



JOHN

GRISHAM

Czas zapłaty

JOHN GRISHAM

Czas zapłaty

Z angielskiego przełożyli
LECH Z. ZOŁĘDZIOWSKI
ZBIGNIEW KOŚCIUK



Tytuł oryginału:
SYCAMORE ROW

Copyright © Belfry Holdings Inc. 2013 All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2014

Polish translation copyright © Lech Z. Zołędziowski & Zbigniew Kościuk 2014

Redakcja: Piotr Chojnacki

Konsultacja prawnicza: prof. Tadeusz Tomaszewski

Zdjęcie na okładce: plainpicture/C&P

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7885-847-8
(oprawa miękka)

ISBN 978-83-7885-848-5
(oprawa twarda)

Książka dostępna także jako audiobook i jako e-book
(czyta Wiktor Zborowski)

Dystrybutor

Firma Księgarska Olesiejuk sp, z o.o, sp, j.
Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
t./f. 22.535.0557, 22.721.3011/7007/7009
www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.merlin.pl
www.fabryka.pl
www.empik.com

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com

2014. Wydanie I/oprawa miękka
Druk: Abedik S.A., Poznań

Dla Renée

Rozdział 1

Setha Hubbarda znaleziono mniej więcej tam, gdzie sam wskazał, choć może niezupełnie w stanie, w jakim się go spodziewano znaleźć. Zwisał na sznurze dwa metry nad ziemią, lekko obracając się na wietrze. W rejonie przesunął się front atmosferyczny i wisielec był przemoczony do suchej nitki, choć nie miało to dla niego większego znaczenia. Ktoś zauważył, że buty Setha nie są ubłocone, a pod nim nie widać żadnych śladów, czyli pewnie zawisł i wyzionął ducha, zanim zaczęło padać. Czemu to miało być ważne? No więc właściwie nie było.

Powieszenie się na drzewie nie jest proste, jednak Seth wszystko skrupulatnie zaplanował. Zastosował gruby sznur z manilskich konopi, nienowy i z pewnością wystarczająco mocny, by go utrzymać. Jego waga zanotowana miesiąc wcześniej podczas badania lekarskiego wynosiła siedemdziesiąt trzy kilogramy. Później pracownik zakładu Setha zeznał, że widział, jak tydzień przed tym dramatycznym wydarzeniem szef własnoręcznie odcinał piętnastometrowy kawał sznura ze szpuli w magazynie. Koniec sznura był ciasno owinięty wokół niższej gałęzi i zakończony serią dość amatorskich węzłów, które jednak wytrzymały obciążenie. Drugi koniec został przerzucony przez gałąź jakieś pół metra nad pierwszą, dokładnie sześć metrów czterdzieści centymetrów nad ziemią. Zwisał z niej odcinek sznura o długości dwóch metrów siedemdziesięciu centymetrów, zakończony niemal profesjonalną pętlą wisieleczą. Widać było, że Seth musiał się niezłe nad nią natrudzić. Była wykonana z wręcz podręcznikową precyzją i składała się z trzynastu zwojów, które po

obciążeniu miały ją zacisnąć. Dobrze wykonana pętla powinna od razu złamać kark, dzięki czemu śmierć następuje szybciej i jest mniej bolesna. Najwyraźniej Seth dobrze odrobił pracę domową. Nie było żadnych śladów walki lub obrażeń.

Pod drzewem leżała dwumetrowa drabina. Seth widocznie wybrał drzewo, przrzucił sznur, zawiązał, wszedł po drabinie, wsunął głowę w pętlę i gdy wszystko było gotowe, nogą odtrącił drabinę. Jego ręce zwisały swobodnie po bokach.

Czy ktoś choć przez chwilę miał wątpliwości, coś podejrzewał? Czy gdy nogi straciły oparcie, a ręce pozostawały wolne, Seth nie próbował odruchowo podciągnąć się na sznurze, nim ostatecznie się poddał? Nikt nigdy się tego nie dowie, ale nie wyglądało na to. Jak wykazało późniejsze dochodzenie, Seth wypełniał misję.

Ubrał się na tę okazję w swój najlepszy garnitur, ciemnoszary, wełniany, który zwykle wkładał na pogrzeby w chłodniejsze dni. Miał tylko trzy garnitury. Wiszące na sznurze ciało ulega wydłużeniu, więc mankiety spodni Setha znalazły się na wysokości kostek, poły marynarki sięgały pasa. Czarne skórzane półbuty były świeżo wyczyszczone i lśniły. Granatowy krawat był równiutko zawiązany. I tylko białą koszulę splamiła krew, która wyciekła spod pętli. Już po paru godzinach ustalono, że o jedenastej Seth Hubbard uczestniczył w nabożeństwie w miejscowym kościele. Rozmawiał ze znajomymi, pożartował z diakonem, położył na tacy datek i zdawało się, że jest w dobrym nastroju. Większość znajomych słyszała, że zмага się z rakiem płuc, choć nikt nie wiedział, że lekarze dają mu tylko parę tygodni życia. Wiedzano natomiast, że znajduje się na kilku listach intencji modlitewnych. Seth nosił na sobie piętno dwóch rozwodów, i jego wizerunek prawdziwego chrześcijanina był na zawsze zbrukany.

Samobójstwo na pewno tego wizerunku nie poprawiało.

Drzewem był wiekowy platan, rosnący na ziemi od lat należącej do rodziny Setha – jedno z wielu starych drzew porastających jego posiadłość. Las stanowił źródło cennego surowca i był wielokrotnie zastawiany w bankach, przyczyniając się do powstania fortuny jego właściciela. Ojciec Setha w dość niejasnych okolicznościach w latach

trzydziestych przejął ten teren na własność, potem obie żony Setha próbowały mu go zabrać podczas batalii rozwodowych, jednak nic nie wskórały. Ziemia pozostała jego własnością, choć eksmałżonkom udało się zabrać mu niemal całą resztę.

Pierwszy na miejscu zjawił się Calvin Boggs, złota rączka od wszystkiego, którego Seth od lat zatrudniał w swoim gospodarstwie. W niedzielę rano Calvin odebrał telefon od pracodawcy, który polecił mu przyjść o drugiej na mostek. Nic więcej mu nie powiedział, a Boggs nie miał zwyczaju wypytywać swego szefa. Jeśli pan Hubbard kazał mu przyjść gdzieś o określonej porze, z góry było wiadomo, że sam też tam będzie. W ostatniej chwili dziesięcioletni syn Calvina uprosił ojca, by wziął go z sobą, i Boggs uległ, choć coś mu mówiło, że nie powinien Pojechali zwirowaną drogą, która całymi kilometrami wiła się po posiadłości Hubbarda. Po drodze Calvin zachodził w głowę co może być powodem tego spotkania. Nie przypominał sobie by szef kiedykolwiek wcześniej wzywał go w niedzielne popołudnie. Wiedział, że jest ciężko chory, i słyszał, że może niedługo umrzeć, ale jak we wszystkim, pan Hubbard także w tej sprawie zachowywał dyskrecję.

Mostek był tak naprawdę drewnianą kładką przerzuconą prze; bezimienny potok o brzegach porośniętych gęstwiną kudzu, gdzie roilo się od mokasynów błotnych. Od wielu miesięcy Hubbard nosił się z myślą o zbudowaniu w tym miejscu prawdziwego mostka, jednak stan jego zdrowia sprawiał, że miał co innego na głowie. Na porośniętej krzakami polanie koło kładki stały dwie rozpadające się drewniane chaty, świadcząc o tym, że niegdyś mieszkali tu ludzie.

Obok stał zaparkowany najnowszy model cadillaca pana Hubbarda; drzwi po stronie kierowcy i kłapa bagażnika były szeroko otwarte. Calvin stanął za limuzyną, przyjrzał jej się i po raz pierwszy pomyślał, że coś może być nie tak. Lał rześisty deszcz, wiał dość silny wiatr, i Boggsowi nie przychodził do głowy żaden rozsądny powód, dla którego Hubbard mógłby zostawić drzwi i bagażnik otwarte. Kazał synowi zostać w kabinie pick-upa, sam ostrożnie obszedł samochód wokół, niczego nie dotykając. Nigdzie ani śladu szefa.

Calvin westchnął głęboko, otarł twarz z kropli deszczu i rozejrzał się. Po drugiej stronie polany, jakieś sto metrów dalej, dostrzegł wiszące na drzewie ciało. Zawrócił do swojego wozu i ponownie nakazał synowi, by nie ruszał się z miejsca i miał drzwi zamknięte. Niestety było już za późno. Chłopiec siedział ze wzrokiem utkwionym w rozłożysty platan w oddali.

– Masz tu siedzieć i nie wysiadać – powiedział surowo Calvin. – Nie ruszaj się stąd.

– Tak, tato.

Boggs ruszył w stronę platana. Ślizgając się po błocie i powoli stawiając nogi, starał się uspokoić. Zresztą i tak nie miał się po co śpieszyć, bo im bliżej drzewa podchodził, tym oczywistsze stawało się to, że wiszący mężczyzna już nie żyje. Chwilę później Calvin go rozpoznał, dostrzegł leżącą drabinę i wszystko ułożyło mu się w głowie w logiczny ciąg. Nie dotykając niczego, zawrócił w stronę pick-upa.

Był październik 1988 roku i wreszcie na wiejskie tereny Missisipi zaczęły docierać telefony samochodowe. Na wyraźne życzenie pana Hubbarda Calvin zainstalował ten wynalazek w swoim pick-upie i dzięki temu mógł teraz zadzwonić do biura szeryfa okręgu Ford. Zwięźle poinformował szeryfa o swoim znalezisku i zaczął czekać. Czuł na sobie podmuch włączonego ogrzewania, słuchał przez radio kojącego głosu Merle Haggard i tęym wzrokiem wpatrywał się w zalewaną deszczem szybę. Zapomniał o obecności syna. Postukując palcami w rytmie pracujących wycieraczek, Calvin nagle zdał sobie sprawę, że płacze. Chłopiec siedział jak trusia, bojąc się odezwać.

Po półgodzinie zjawili się dwaj funkcjonariusze z biura szeryfa. Wysiedli z radiowozu i właśnie wciągali kurtki przeciwdeszczowe, gdy nadjechała karetka z trzyosobową załogą. Wszyscy zaczęli wpatrywać się w rosnący w oddali platan, bo nawet z tej odległości było widać, że na gałęzi ktoś wisi. Calvin przekazał policjantom wszystko, co miał w tej sprawie do powiedzenia, a oni stwierdzili, że najlepiej będzie uznać otoczenie platana za miejsce przestępstwa, i zabronili załodze karetki zbliżać się do wisielca. Po chwili nadjechał

kolejny policjant, zaraz po nim jeszcze jeden. Przeszukali samochód Hubbarda, ale nie znaleźli nic ciekawego. Obfotografowali i nagrali na wideo wiszące zwłoki z wybałuszonymi oczami i groteskowo przekrzywioną głową. Dokładnie zbadali ziemię wokół platana i doszli do wniosku, że poza denatem wcześniej nie było tam nikogo więcej. Jeden z policjantów zawiózł Calvina do domu Hubbarda, milczący cały czas chłopiec usiadł z tyłu. Drzwi nie były zamknięte na klucz, na stole w kuchni leżała kartka wydarta z notatnika. Seth napisał na niej wyraźnymi drukowanymi literami: „Do Calvina. Zawiadom władze, że odebrałem sobie życie sam, bez niczyjej pomocy. Na załączonej kartce zostawiam szczegółowe instrukcje co do nabożeństwa żałobnego i pogrzebu. Nie życzę sobie żadnej sekcji! S.H.”. U dołu widniała dzisiejsza data: niedziela, 2 października 1988 roku.

Ludzie szeryfa w końcu pozwolili Calvinowi odejść. Wrócił z synem do domu, chłopiec wtulił się w matkę i do końca dnia nie powiedział ani jednego słowa.

Ozzie Walls był jednym z dwóch czarnoskórych szeryfów w Missisipi. Drugi został niedawno wybrany w okręgu zamieszkanym w siedemdziesięciu procentach przez czarnych. W okręgu Ford siedemdziesiąt cztery procent stanowili biali, a mimo to Ozzie był szeryfem już drugą kadencję, zwyciężając za każdym razem dużą przewagą głosów. Czarni go kochali, bo był jednym z nich. Biali go szanowali, bo był twardym gliną i dawnym gwiazdorem drużyny futbolowej liceum w Clanton. Na głębokim Południu futbol w pewnym sensie miał przewagę nad rasą.

Wiadomość dotarła do Ozziego w chwili, gdy wraz z żoną i czwórką dzieci wychodził z kościoła po niedzielnym nabożeństwie. Dłatego dołączył do reszty, w odświętnym ubraniu, bez odznaki i broni, ale za to w gumowcach, które zawsze woził w bagażniku. Z dwoma funkcjonariuszami i z parasolem w rękę przebrnął przez błoto i dotarł do platana. Ciało Setha było już tak przemoknięte, że woda

ciurkiem kapąła z czubków butów, brody, uszu, palców i mankietów spodni. Ozzie zatrzymał się z głową koło butów, uniósł parasol i przyjrzał się pobladłej żałośnie twarzy człowieka, którego widział zaledwie dwa razy w życiu.

Wiązały się z nim wspomnienia. W 1983 roku, gdy po raz pierwszy ubiegał się o urząd szeryfa, miał trzech białych konkurentów i brakowało mu pieniędzy. Wtedy zadzwonił do niego Seth Hubbard. Ozzie go nie znał, ale – jak się wkrótce przekonał – był to człowiek unikający rozgłosu. Seth mieszkał na północno-wschodnim krańcu okręgu Ford, niemal na granicy z okręgiem Tyler. Oznajmił Ozziemu, że działa w branży drzewnej, jest właścicielem kilku tartaków w Alabamie i paru współpracujących z nimi zakładów przetwórczych w różnych miejscach, i brzmiał jak człowiek sukcesu. Zaproponował sfinansowanie kampanii wyborczej Ozziego, jednak po warunkiem, że ten przyjmie forszę z ręki do ręki. Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów w żywej gotówce. Siedzieli sami w gabinecie Hubbarda, gospodarz otworzył kasetkę i pokazał gościowi pliki banknotów. Ozzie przypomniał mu, że prawo nakazuje oficjalnie zgłaszać wszelkie datki na kampanię, na co Seth oświadczył, że sobie tego nie życzy. Gotówka z ręki do ręki albo nic z tego.

- Czego oczekuje pan w zamian? – zapytał Ozzie.
- Że wygra pan wybory, nic więcej – odrzekł Seth.
- Sam nie wiem.
- Czy sądzi pan, że pańscy konkurenci nie biorą pieniędzy pod stołem?
- Pewnie biorą.
- Jasne, że biorą. Niech pan nie będzie naiwny.

Ozzie wziął pieniądze, rozkręcił kampanię, przeszedł do drugiej tury i zmiażdżył konkurenta. Później jeszcze dwukrotnie zaglądał do biura Hubbarda, by mu podziękować, ale ani razu go nie zastał. Hubbard nie odbierał telefonów i nie oddzwaniał. Walls nawet dyskretnie zasięgnął języka, ale informacje o Hubbardzie były niezwykle skąpe. Mówiono, że dorobił się na produkcji mebli, ale nikt nie wiedział nic pewnego. Był właścicielem osiemdziesięcioheкта-

rowej posiadłości, na której stał jego dom. Nie korzystał z usług miejscowych banków, firm prawniczych ani ubezpieczeniowych. Czasami pojawiał się w kościele.

Cztery lata później Ozzie miał niegroźnych konkurentów, ale Seth i tak chciał się z nim spotkać. Z rąk do rąk przeszło kolejne dwa-dzieścia pięć tysięcy dolarów, po czym Hubbard ponownie jakby zapadł się pod ziemię. A teraz nie żył. Sam odebrał sobie życie i wisiał, ociekając deszczem.

Na miejscu zjawił się w końcu Finn Plunkett, miejscowy koroner, i od tej chwili zgon denata stał się faktem urzędowym.

– Zdejmijmy go – powiedział Ozzie.

Rozsuplano węzły na gałęzi i ciało Setha spuszczone na ziemię. Zdjęto pętlę, ułożono zwłoki na noszach i przykryto płachtą termiczną, po czym czterech mężczyzn nieźle się nadźwigało, niosąc je do karetki. Ozzie Walls szedł za nimi, równie zbity z tropu jak wszyscy.

Od czterech i pół roku był szeryfem i widział wiele ofiar wypadków i kraks samochodowych, kilku morderstw oraz paru samobójstw, nie stępiło to jednak jego wrażliwości i nie wywołało zobojętnienia. Wielokrotnie zdarzało mu się dzwonić wieczorami do rodziców lub współmałżonków ofiar, jednak i tak z przerażeniem myślał o następnym razie.

Pocziwy stary Seth. Tylko do kogo powinien zadzwonić tym razem? Wiedział, że Hubbard był rozwodnikiem, ale nie miał pojęcia, czy się ponownie ożenił. Nie wiedział też nic o jego bliższej i dalszej rodzinie. Seth był około siedemdziesiątki. Jeśli miał dorosłe dzieci, to co się teraz z nimi dzieje?

No cóż, wkrótce wszystkiego się dowie. W drodze do Clanton zaczął dzwonić do ludzi, którzy mogli bliżej znać Setha Hubbarda.

Rozdział 2

Jake Brigance leżał wpatrzony w czerwone cyferki na elektronicznym budziku. O piątej dwadzieścia dziewięć wyciągnął rękę, wcisnął guzik i ostrożnie spuścił nogi na podłogę. Carla obróciła się z boku na bok i szczerzej otuliła kołdrą. Jake klepnął ją lekko w pupę i powiedział „dzień dobry”, ale nie zareagowała. Był poniedziałek, zwykły dzień roboczy, i Jake wiedział, że żona pośpi jeszcze z godzinę, potem zerwie się z łóżka i popędzi z Hanną do szkoły. W czasie wakacji Carla sypiała dłużej, a dni wypełniały jej babskie sprawy i spełnianie zachcianek Hanny. Natomiast plan dnia Jake'a praktycznie zawsze wyglądał tak samo. Wstawał o wpół do szóstej, o szóstej był już w kawiarni, przed siódmą wchodził do biura. Niewielu prawników rozpoczynało dzień tak wcześnie jak Jake Brigance, choć i on – osiągnąwszy niedawno poważny wiek trzydziestu pięciu lat – zaczynał się coraz częściej zastanawiać, co go rano tak pędzi. I dlaczego tak mu zależy, by być w biurze wcześniej niż inni prawnicy z Clanton? Odpowiedź – niegdyś tak oczywista – stawała się coraz bardziej mglista. Marzenie, by zostać wielkim prawnikiem procesowym, wcale go nie opuściło, a jego ambicje ani trochę nie zmalowały, tyle że górę brała proza życia. Dziesięć lat walki na pierwszej linii, a na jego biurko wciąż trafiały tylko testamenty, umowy nabycia i akty własności oraz banalne spory o treść zapisów w kontraktach. Ani jednej przyzwoitej sprawy kryminalnej, żadnych dobrze rokujących kraks samochodowych.

Wyglądało na to, że najbardziej chwalebny moment kariery ma już za sobą. Od niewinnienia Carla Lee Haileya minęły trzy lata i Jake

zaczynał się obawiać, że po tym szczycie kariery nic podobnego go już nie czeka. Jednak uporczywie próbował odganiać od siebie takie myśli, powtarzając sobie, że ma dopiero trzydzieści pięć lat i jest gladiatorem, którego na arenach sądowych czeka jeszcze wiele zwycięstw.

Nie musiał rano wypuszczać psa, bo psa już nie było. Max zginął trzy lata temu w pożarze, w którym spłonął ich ukochany, prześliczny i zadłużony po dach wiktoriański dom przy Adams Street. Ludzie z Klanu podpalił go w lipcu 1985 roku, w kluczowym momencie procesu Haileya. Najpierw spalili krzyż na trawniku przed wejściem, potem próbowali wysadzić dom. Jake wysłał wtedy Carlę i Hannę do rodziny i postąpił słusznie. Klansmani przez miesiąc próbowali go zabić, w końcu podpalił mu dom. Mowę końcową na procesie wygłaszał w pożyczonym ubraniu.

Temat nowego psa był zbyt bolesny, by poważnie się nim zajmować. Kilkakrotnie się do tego przymierzali i dawali spokój. Hanna chciała mieć psa i pewnie jej się to należało, bo była jedynaczką i często się skarżyła, że nudzi jej się samej. Jednak i Jake, i – zwłaszcza – Carla wiedzieli, na kogo spadnie obowiązek przyuczania szczeniaka do porządku i sprzątanego po nim. Ponadto mieszkali teraz w wynajętym domu i nie można było powiedzieć, że są tu u siebie. Może obecność zwierzaka nadałaby ich życiu większą normalność, a może wręcz przeciwnie. Jake często o tym myślał w pierwszych minutach po przebudzeniu. Bo tak naprawdę brakowało mu psa.

Wziął szybki prysznic i ubrał się w małej gościnnej sypialni, którą zamienili z Carlą we wspólną garderobę. Zresztą pokoje w tym cudzym domu były małe i wszystko w nim było tymczasowe. Umeblowanie stanowiło żalosną zbieraninę prezentów od przyjaciół i staroci z pchłego targu. Jeśli sprawy potoczą się zgodnie z planem, któregoś dnia wszystko to trafi na śmietnik. Niestety Jake z przykrością stwierdzał, że na razie nic tego nie zapowiada. Ich roszczenie wobec firmy ubezpieczeniowej utknęło na etapie przepychanek przedprocesowych i wyglądało beznadziejnie. Złożył je sześć miesięcy po wyroku w sprawie Haileya, gdy zdawało mu się, że świat

należy do niego, i wszystko widział w różowych barwach. Jak jakaś firma ubezpieczeniowa śmie go oszukiwać? Niech tylko stanie przed następną ławą przysięgłych w okręgu Ford, to on już wydobędzie z niej właściwy werdykt. Jednak nastrój pewności siebie zaczął się kruszyć, gdy Jake i Carla uświadomili sobie, że ich dom był poważnie niedoubezpieczony. Cztery przecznice od obecnie wynajmowanego domu ich pusta działka leżała odłogiem, z wolna porastając chwastami. Mieszkająca obok pani Pickle obiecała mieć na nią oko, tyle że nie bardzo miała co pilnować. Sąsiedzi czekali cierpliwie na chwilę, gdy na posesji Brigance'ów zacznie rosnąć nowy piękny dom i powrócą właściciele.

Jake wszedł na palcach do pokoju Hanny, pocałował ją w policzek i podciągnął wyżej kołderkę. Miała siedem lat, była ich jedynym dzieckiem i następnych nie planowali. Chodziła do drugiej klasy szkoły podstawowej w Clanton, przez ścianę z przedszkolem, w którym pracowała jej mama.

Przeszedł do kiszkowatej kuchni, włączył ekspres do kawy i chwilę odczekał, aż zacznie prychać. Otworzył teczkę, musnął końcami palców tkwiącą w niej półautomatyczną dziewiątkę w kaburze i włożył kilka plików akt. Już przywykł do noszenia broni i bardzo go to martwiło. Bo jak można prowadzić normalne życie, gdy ma się stale pod ręką broń? Ale normalne czy nie, noszenie broni było koniecznością. Najpierw próbują wysadzić ci dom, potem go podpalają; przez telefon grożą twojej żonie; palą krzyż na trawniku przed domem; katują do nieprzytomności męża twojej sekretarki i robią to tak skutecznie, że wkrótce umiera; nasyłają snajpera, który próbuje cię zastrzelić, tylko że strzela niecelnie i zamiast w ciebie trafia w strażnika; próbują cię terroryzować podczas procesu i odgrażają się jeszcze długo po jego zakończeniu.

Czterech skazano i ci odsiadywali wyroki – trzech w więzieniu federalnym, jeden w Parchman. Ale tylko czterech, jak Jake wciąż sobie powtarzał. Do więzienia powinno trafić co najmniej tuzin. Tak samo uważał Ozzie i inni miejscowi czarnoskórzy liderzy. Z przyzwyczajenia i w poczuciu bezsilności Jake dzwonił do FBI co naj-

mniej raz w tygodniu, wypytując o postępy w śledztwie. Minęły trzy lata, zaczęto więc unikać jego telefonów i nie oddzwaniać. Wtedy zaczął słać pisma. Teczki z dokumentacją sprawy zajmowały oddzielną szafkę w jego gabinecie.

Tylko czterech. Znał po nazwisku wielu innych. Wszyscy mieli status podejrzanych, w każdym razie dla Jake'a. Niektórzy się wynieśli, inni zostali, ale jedni i drudzy prowadzili zwykłe życie, jakby nic się nie stało. Dlatego wciąż trzymał pod ręką broń, na którą miał wszystkie niezbędne pozwolenia. Jeden pistolet chował w teczce, jeden w samochodzie, dwa miał w biurze i jeszcze w paru innych miejscach. Jego kolekcja broni myśliwskiej przepadła w pożarze, ale powoli ją odbudowywał.

Wyszedł na niedużą murowaną werandę i wciągnął do płuc chłodne powietrze. Na ulicy przed domem stał radiowóz z biura szeryfa okręgu Ford, z niejakim Louistem Tuckiem za kierownicą.

Tuck pracował na nocnej zmianie, a do jego podstawowych zadań należało kręcenie się po okolicy przez całą noc i stanie przed domem Brigance'ów o piątej czterdzieści pięć każdego ranka, od poniedziałku do piątku. Jake Brigance co rano wychodził na werandę i machał na przywitanie, a Tuck odmachiwał, co oznaczało, że Brigance'om udało się przeżyć kolejną noc.

Dopóki Ozzie Walls będzie szeryfem okręgu Ford – czyli co najmniej jeszcze przez trzy lata, a zapewne znacznie dłużej – on i jego funkcjonariusze zamierzali robić wszystko, by chronić Jake'a i jego rodzinę. Jake zajął się sprawą Carla Lee Haileya, harował jak wół za grosze, unikał kul, nie zwracał uwagi na groźby i stracił niemal wszystko za cenę wyroku uniewinniającego, który wstrząsnął okręgiem Ford i do dziś był rozpamiętywany. Dlatego chronienie go trafiło na listę priorytetów Ozziego.

Tuck ruszył z miejsca. Jak zwykle zamierzał zrobić rundkę po okolicy, kilka minut po odjeździe Jake'a wrócić pod jego dom i poczekać na zapalenie się światła w kuchni, co będzie znaczyło, że Carla już wstała i się krząta.

Jake jeździł jednym z dwóch saabów zarejestrowanych w okręgu

Ford. Jego był czerwony i miał ponad trzysta tysięcy kilometrów na liczniku. Jake'owi przydałoby się coś nowszego, ale nie było go na to stać. Tak nietypowym samochodem w małym miasteczku można było kiedyś nieźle poszpanować, jednak koszty napraw stawały się mordercze. Najbliższy dealer saaba znajdował się w Memphis, godzinę jazdy z Clanton, a to oznaczało, że każda wizyta w serwisie zabierała pół dnia i kosztowała tysiąc dolarów. Jake dojrzał już do kupna amerykańskiego samochodu i myślał o tym co rano, gdy przekręcał kluczyk w zapłonie i wstrzymywał oddech w obawie, czy silnik zapali. Jak dotąd zawsze zapalał, ale od paru tygodni Jake słyszał, że robi to jakby niechętnie. Rozrusznik musiał kilka razy pokręcić, a to stanowiło ostrzeżenie, że szykuje się coś poważniejszego. Słuch miał obsesyjnie wyczulony na wszelkie nietypowe dźwięki i szmery. Co drugi dzień sprawdzał też stan opon, patrząc, jak bieżnik robi się coraz płytszy. Wyjechał tyłem na Culbert Street, która – choć dzieliły ją zaledwie cztery przecznice od Adams Street i ich posesji – zdecydowanie zaliczała się do biedniejszych. Sąsiedni dom też był na wynajem. Przy Adams stały starsze i okazalsze domy z charakterem. Przy Culbert ciągnął się szereg jednakowych podmiejskich klocków, które budowano w czasach, gdy w mieście nikt nie myślał jeszcze o planowej zabudowie.

Choć Carla niewiele na ten temat mówiła, Jake wiedział, że też marzy o wyrwaniu się stąd.

Jeśli rozmawiali o przeprowadzce, to raczej o wyniesieniu się z Clanton na dobre. Trzy lata, które minęły od procesu Haileya, nie przyniosły im zasadniczej zmiany statusu materialnego, na jaką liczyli i która im się należała. Skoro Jake był skazany na codzienną partaninę biurową w roli szeregowego prawnika, równie dobrze mógł to robić gdzie indziej. Carla też mogła uczyć gdziekolwiek. Przecież na pewno uda im się znaleźć jakieś miejsce, w którym będą mogli spokojnie pracować, bez ciągłego oglądania się za siebie. Jake mógł się cieszyć szacunkiem czarnoskórej społeczności okręgu Ford, ale wielu białych mieszkańców wciąż go nienawdziło. A szaleńców nie brakowało. Z drugiej strony mieszkanie wśród tak wielu przyjaciół dawało poczucie

bezpieczeństwa. Ich sąsiedzi mieli oko na ruch uliczny i reagowali na wszystkie obce pojazdy. Każdy gliniarz w mieście i każdy funkcjonariusz z biura szeryfa okręgowego wiedział, że pilnowanie trzysobowej rodziny Brigance'ów ma najwyższy priorytet.

Nie było szans, by Jake i Carla naprawdę się stąd wyprowadzili, choć czasami z przyjemnością bawili się w „gdzie byś chciał/chciała zamieszkać?”. Była to jednak tylko zabawa, Jake znał bowiem brutalną prawdę, że nigdy nie odnalazłby się w dużej firmie prawniczej w wielkim mieście oraz że w żadnym stanie nie znalazłby małego miasta, w którym nie roiłoby się od prawników walczących o klientów. Jego przyszłość była na zawsze związana z tym miastem i tak naprawdę wcale go to nie martwiło. Musiał tylko zacząć lepiej zarabiać.

Gdy mijał pustą działkę przy Adams, zmełł pod nosem kilka przekleństw, myśląc o tchórzach, którzy spalili mu dom, i dorzucił parę soczystych określeń pod adresem firmy ubezpieczeniowej. Z Adams skręcił w Jefferson Street, potem w Washington Street, która przecinała miasto ze wschodu na zachód i stanowiła północną pierzeję rynku w Clanton. Jego biuro mieściło się przy Washington, obok imponującego gmachu sądu. Zaparkował na zwykłym miejscu, bo o szóstej rano wszędzie było pusto, i miał wybór. Jeszcze przez dwie godziny na rynku będzie spokój, bo dopiero wtedy zaczną się otwierać sklepy i biura oraz zacznie pracę sąd.

Natomiast w kawiarni Coffee Shop już teraz robiło się gwaro, a pomieszczenie wypełniał tłumek robotników, farmerów i funkcjonariuszy z biura szeryfa. Przeciskając się między nimi, Jake witał się na prawo i lewo ze znajomymi. Był w tym gronie jedynym bywalcem w marynarce i koszuli z krawatem. Tak zwane białe kołnierzyki spotykały się godzinę później w herbaciarni Tea Shoppe po drugiej stronie rynku, gdzie dyskutowano o stopach procentowych i polityce światowej. W kawiarni rozmawiało się o futbolu, miejscowych plotkach i łowieniu okoni. Jake był jednym z nielicznych przedstawicieli wolnych zawodów tolerowanych w Coffee Shopie, z kilku przyczyn: był powszechnie lubiany, nie zadzierał nosa i miał pogodne usposobienie,

a ponadto, gdy któryś z bywalców popadł w tarapaty, mógł zawsze zwrócić się do Jake'a o szybką bezpłatną poradę prawną. Jake powiesił marynarkę na wieszaku na ścianie i usiadł na wolnym miejscu przy stoliku Prathera, pracującego w biurze szeryfa. W sobotę drużyna Ole Miss* przegrała trzema przyłożeniami z Georgią i mecz stanowił główny temat rozmów. Opryskliwa i wiecznie żująca gumę kelnerka imieniem Dell naląła mu kawy, przy okazji ocierając się o niego swym wydatnym zadem, co robiła regularnie sześć razy w tygodniu, następnie zaś jak zwykle przyniosła jedzenie, którego nie zamówił: biały tost, kaszka kukurydziana i galaretka truskawkowa. Jake pokropił kaszkę sosem tabasco i usłyszał, jak Prather go pyta:

* Ole Miss – potoczny skrót nazwy University of Mississippi (Uniwersytet Missisipi); slangowo „stara panna”.

- Jake, znałeś Seta Hubbarda?
- Nigdy się nie spotkaliśmy – odrzekł Jake. – Ale trochę o nim słyszałem. Mieszkał gdzieś pod Palmyrą, nie?
- Zgadza się. – Prather wsunął do ust kawałek kielbaski i zaczął żuć.

Jake upił łyk kawy i chwilę odczekał.

– Zakładam, że Hubbardowi coś się przydarzyło, bo użyłeś czasu przeszłego.

– Co zrobiłem? – rzucił Prather. Miał irytujący zwyczaj zadawania pytań głośnym, zaczepnym tonem i spokojnego kontynuowania śniadania. Zwykle znał odpowiedź i chodziło mu tylko o wyciągnięcie czegoś jeszcze.

– Użyłeś czasu przeszłego. Spytałeś, czy znałem Seta Hubbarda, a nie czy go znam, co by znaczyło, że jeszcze żyje. Kapujesz?

- Chyba tak.
- No więc co mu się stało?
- Powiesił się. Znaleźli go wczoraj wiszącego na drzewie – wtrącił Andy Furr, mechanik z serwisu Chevroleta.
- Zostawił list i w ogóle – dorzuciła Dell, przechodząc obok z dzbankiem kawy. Kawiarnia była czynna od godziny, więc kelnerka oczywiście zdążyła już dowiedzieć się wszystkiego o śmierci Seta

Hubbarda.

– I co było w tym liście? – spytał Jake.

– Nie mogę ci powiedzieć, słoneczko – zaszcebiotała Dell. – To sprawa między mną a Sethem.

– W ogóle go nie znałaś – mruknął Prather.

Dell miała opinię starej zdziry o najbardziej ciętym języku w mieście.

– Kiedyś się kochaliśmy. Może nawet ze dwa razy. Nie mogę wszystkich pamiętać.

– Bo tylu ich było – rzucił Prather.

– Ale tobie, staruszkule, nawet nie udało się zbliżyć.

– Czyli rzeczywiście nie wszystko pamiętasz. – Parsknął śmiechem. Kilku słyszających rozmowę też się roześmiało.

– Gdzie był ten list? – spytał Jake, by zmienić temat.

Prather wepchnął do ust wielki kęs naleśnika, pożał chwilę, po czym powiedział:

– W kuchni na stole. Ma go teraz Ozzie i prowadzi śledztwo, tyle że nie bardzo jest co śledzić. Wygląda na to, że Hubbard rano był w kościele i wszystko było normalnie, potem wrócił do domu, wziął drabinę i sznur i załatwił sprawę. Około drugiej znalazł go jeden z jego pracowników, jak dyndał w lejącym deszczu. Był w wyjściowym niedzielnym garniturze.

Sprawa wyglądała na ciekawą, niezwykłą i dramatyczną, jednak dla Jake'a ofiara była kimś zupełnie obcym i trudno mu było aż tak się tym przejmować.

– Coś mu było? – zaciekawiał się Andy Furr.

– Nie wiem – odrzekł Prather. – Ozzie go chyba znał, ale nic nie mówił.

Dell napelniła ich filiżanki i zatrzymała się przy stoliku, żeby pogadać. Oparła rękę na biodrze i powiedziała:

– To prawda, że nigdy go nie znałam. Ale moja kuzynka poznała jego pierwszą żonę, a miał ich co najmniej dwie. Żona mówiła, że Seth miał sporo ziemi i kupę forsy. Ale trzymał się na uboczu, miał swoje sekrety i nikomu nie ufał. Mówiła też, że był z niego kawał

sukinsyna, tylko że ekszony zawsze tak mówią po rozwodzie.

– Powinnaś coś o tym wiedzieć – mruknął Prather.

– Powinam i wiem, staruszk. W ogóle wiem dużo więcej od ciebie.

– Zostawił testament? – spytał Jake. Nie przepadał za sprawami spadkowymi, ale gdy przedmiotem spadku jest znaczny majątek, zajmujący się tym adwokat może liczyć na sowite honorarium. Czysto papierkowa robota, parę wizyt w sądzie, w sumie nic trudnego. Jake wiedział, że z wybiciem dziewiątej wszyscy prawnicy w mieście ruszą do boju, by ustalić, kto spisał ostatnią wolę Seta Hubbarda.

– Jeszcze nie wiem – odrzekł Prather.

– Ale testamentów się chyba nie rozgłasza, nie? – zapytał Bill West, elektromonter z fabryki obuwia, nieco na północ od miasta.

– Nie za życia spadkodawcy. Każdy ma prawo zmieniać testament do ostatniej chwili, więc wcześniejsze ujawnienie miałoby się z celem. W końcu możesz sobie nie życzyć, żeby cały świat znał twój testament, zanim umrzesz. Po śmierci spadkodawcy, gdy testament zostaje uznany za autentyczny i złożony w sądzie, treść staje się dostępna dla każdego. – Jake rozejrzał się po sali i naliczył co najmniej trzech klientów, dla których sporządzał testamenty. Robił to szybko i tanio, a jego testamenty były krótkie i zwięzłe. Ludzie o tym wiedzieli i interes się kręcił.

– Jak długo po śmierci zaczyna się postępowanie spadkowe? – spytał Bill West.

– Nie ma sztywnego limitu czasowego. Zwykle wdowa po zmarłym lub jego dzieci odnajdują testament i zanoszą do adwokata, po czym jakiś miesiąc po pogrzebie sprawa trafia do sądu i zaczyna się procedura spadkowa.

– A jak nie ma testamentu?

– Brak testamentu to marzenie każdego prawnika. – Jake parsknęła śmiechem. – Bo to oznacza awanturę. Gdyby Hubbard umarł bez spisania ostatniej woli i zostawił dwie byłe żony, może też dorosłe dzieci, może jakieś wnuki, to przez następne pięć lat wszyscy by się żarli o podział spadku. Oczywiście zakładając, że byłoby co dzielić.

– O tak, bez obaw – wtrąciła z daleka Dell. Jej radar ani na chwilę nie przestawał działać. Jeśli ktoś zakaszał, ona z drugiego końca sali pytała go o zdrowie. Jeśli kichnął, biegła do niego z chusteczką. Jeśli ktoś był zbyt milczący, była gotowa go pytać o problemy domowe lub kłopoty w pracy. Jeśli ktoś zaczynał mówić ściszym głosem, stawała przy nim i dolewała kawy, nie bacząc na zawartość kubka. Nic nie umykało jej uwagi, wszystko pamiętała i nigdy nie pomijała okazji, by wypomnieć mówiącemu, że trzy lata wcześniej mówił coś przeciwnego.

Prather zrobił minę z kategorii „walnięta wariatka”, ale na wszelki wypadek nie powiedział tego głośno. W ciszy dokończył naleśniki i wstał od stolika.

Chwilę później Jake zrobił to samo. Za dwadzieścia siódma zapłacił rachunek i wyszedł z kawiarni, uściskawszy po drodze Dell i zakrztusiwszy się od zapachu jej tanich perfum. Niebo na wschodzie robiło się pomarańczowe, wstawał nowy dzień. Po wczorajszym deszczu nie pozostał ślad, powietrze było chłodne i rześkie. Jak zwykle Jake skręcił w lewo i oddalając się od biura, ruszył przed siebie szybkim zdecydowanym krokiem, jakby się śpieszył na ważne spotkanie. W rzeczywistości nie czekało go dziś nic ważnego. Ot, zwykle użeranie się z problemami klientów.

Jake odbył poranny spacer wokół rynku, mijając banki, agencje ubezpieczeniowe i biura handlu nieruchomościami, sklepy i knajpki. Wszystkie tłoczyły się blisko siebie i ze względu na porę były jeszcze zamknięte. Z kilkoma wyjątkami, wokół rynku stały jednopiętrowe domy zbudowane z czerwonej cegły, a ich balkony z balustradami z fantazyjnie wygiętych żelaznych prętów wystawały nad chodnikiem biegnącym wzdłuż boków idealnego kwadratu, którego środek zajmował otoczony trawnikiem gmach sądu. Clanton nie kwitło, ale też nie zamierało jak wiele miasteczek na głębokim wiejskim Południu. Z powszechnego spisu ludności z 1980 roku wynikało, że w samym Clanton mieszkowało osiem tysięcy osób, liczba mieszkańców w całym okręgu była czterokrotnie większa. Zakładano, że w następnym spisie ludności liczby te nieco wzrosną. Przy rynku nie straszły puste

lokale, zabite deskami witryny ani żalosne wywieszki „Do wynajęcia”. Jake pochodził z Karaway, małego, dwuipółtysięcznego miasteczka niecałe trzydzieści kilometrów na zachód od Clanton, w którym główna ulica zupełnie zamierała. Kupcy się wynosili, knajpki zamykały, a prawnicy likwidowali swoje kancelarie i przenosili się do stolicy okręgu. Obecnie przy rynku w Clanton działało ich dwudziestu sześciu, ale liczba stale rosła i walka o klientów stawała się coraz bardziej mordercza. Ile jeszcze wytrzymamy? Jake często zadawał sobie to pytanie.

Lubił mijać cudze kancelarie prawne i patrzeć na zamknięte na głucho drzwi i ciemne wnętrza. Wykonywał swoistą rundę zwycięzcy. Był gotów do boju, podczas gdy jego konkurencja jeszcze spała. Przeszedł obok kancelarii Harry'ego Rexa Vonnera, najbardziej zaprzyjaźnionego z nim adwokata i niezłomnego bojownika sądowego, który przychodząc do pracy około dziewiętej, często zastawał poczekalnię pełną poirytowanych kandydatów na rozwodników. Harry Rex sam był kilkakrotnie żonaty, wiedział, co znaczy rozchwiane życie domowe, i wołał siedzieć w kancelarii do późnego wieczora. Nieco dalej Jake minął znieawidzoną firmę Sullivana, zatrudniającą najliczniejszą hordę prawników w całym okręgu. Dziewięciu, według najświeższych danych. Dziewięciu zasańców, których Jake starał się unikać, po części też z zazdrości. Do klientów Sullivana należały banki i firmy ubezpieczeniowe, więc zatrudnieni u niego prawnicy zarabiali więcej niż wszyscy pozostali razem wzięci. Minął też zamknięte na kłódkę drzwi biura starego kumpla Macka Stafforda, który od ośmiu miesięcy nie dawał znaku życia. Mówiło się, że zwiął w środku nocy z pieniędzmi klienta i od tej pory ślad po nim zaginął. Żona i dwie córki wciąż liczyły, że wróci, podobnie jak prokuratura, która postawiła go w stan oskarżenia. W głębi duszy Jake miał nadzieję, że Mack siedzi gdzieś na plaży, sączy koktajle z rumem i nikt go tu już nie zobaczy. Tu był nieszczęśliwy w nieudanym małżeństwie. „Uciekaj, Mack, uciekaj!”, mruczał pod nosem Jake, muskając palcami kłódkę i nie zwalniając kroku.

Mijał kolejne lokale – redakcję „The Ford County Times”, herba-

ciarnię Tea Shoppe, właśnie budzącą się do życia, sklep z męską odzieżą, w którym kupował ubrania na wyprzedażach, prowadzoną przez Murzynów knajpkę, w której co piątek jadł lunch w gronie innych białych liberałów, sklep z antykami należący do hochsztaplera, przeciwko któremu Jake już dwukrotnie występował w sądzie, bank trzymający drugą hipotekę na jego dom i uczestniczący w tym samym postępowaniu sądowym oraz siedzibę władz okręgu, gdzie urzędował nowy prokurator okręgowy, kiedy był w mieście. Poprzedni, Rufus Buckley, odszedł w niesławie w zeszłym roku, niewybrany przez wyborców na następną kadencję i raz na zawsze usunięty z grona kandydatów na wybieralne urzędy. Przynajmniej Jake – tak jak wielu innych – miał taką nadzieję. Niewiele brakowało, by podczas procesu Haileya on i Buckley rzucili się sobie do gardeł, i obaj do dziś gorąco się nienawidzili. Były prokurator wrócił do rodzinnego Smithfield w okręgu Polk i lizał rany, starając się wiązać koniec z końcem w kancelarii prawnej przy Main Street, jednej z wielu w mieście.

Runda wokół rynku dobiegła końca i Jake otworzył kluczem drzwi do swojej kancelarii w lokalu powszechnie uważanym za najlepszy w Clanton. Dom, w którym się mieściła, jak zresztą większość budynków wokół rynku, postawiła sto lat wcześniej rodzina Wilbanksów i niemal od początku funkcjonowała w nim firma prawnicza któregoś z członków klanu. Do zerwania z tą tradycją doszło w chwili, gdy Luciena Wilbanksa, ostatniego i niewątpliwie najbardziej szalonego członka dynastii, pozbawiono uprawnień adwokackich. Krótko przedtem zatrudnił w firmie Jake'a, przepelnionego szlachetnymi ideami młodego absolwenta prawa. Lucien starał się go z nich wyleczyć, jednak zanim mu się to udało, Stanowa Rada Adwokacka cofnęła mu licencję. Lucien musiał porzucić praktykę, innych Wilbanksów nie było i w rezultacie Jake przejął we władanie wspaniałe pomieszczenia biurowe. Wykorzystywał tylko pięć spośród dziesięciu pokoi. Na parterze mieściła się obszerna recepcja, w której jedyna pracownica prowadziła sekretariat i witała gości. Na piętrze był gabinet, ogromne pomieszczenie dziewięć na dziewięć metrów, gdzie Jake spędzał dnie za potężnym dębowym biurkiem po Lucienie, które

wcześniej służyło jego ojcu i dziadkowi. Gdy zaczynał się nudzić – co zdarzało mu się dość często – otwierał dwuskrzydłowe drzwi balkonowe i wychodził na taras, skąd roztaczał się piękny widok na gmach sądu i cały rynek.

Jak zawsze o siódmej zasiadł przy biurku i łyknął kawy. Zajrzał do kalendarza i stwierdził, że dzień nie zapowiada się ani obiecująco, ani szczególnie lukratywnie.

Rozdział 3

Sekretarka była trzydziestojednoletnią matką czworga dzieci, którą Jake zatrudnił tylko dlatego, że nie mógł znaleźć nikogo odpowiedniejszego. Gdy rozpoczynała pracę pięć miesięcy temu, pilnie potrzebował kogoś do pomocy, a ona była do wzięcia od zaraz. Miała na imię Roxy i do jej zalet należało to, że codziennie zjawiała się w biurze o ósmej trzydzieści lub tylko parę minut później, sprawnie radziła sobie z odbieraniem telefonów, witaniem klientów i opędzaniem się od hołoty, a także maszynopisaniem, rozkładaniem korespondencji do teczek i utrzymywaniem miejsca pracy w znośnym porządku. Minusem, dużo zresztą poważniejszym, okazał się brak zaangażowania Roxy w pracę. Posadę u Jake'a traktowała jako coś na przeczekanie, póki nie trafi się coś lepszego. Wciąż wychodziła na papierosa na werandę z tyłu domu i cała śmierdziała dymem. Narzekała, że za mało zarabia, i wciąż robiła aluzje do bogactw, w jakie – jej zdaniem – opływają wszyscy prawnicy. W sumie była niesympatyczną babą, z którą źle się pracowało. Pochodziła z Indiany, na Południe przywędrowała za mężem, zawodowym wojskowym, i jak większość ludzi z Północy nie akceptowała zwyczajów tych z Południa. Wywodziła się z lepszych sfer, a musiała żyć wśród hołoty. Jake nigdy tego nie dociekał, ale był niemal pewny, że w jej małżeństwie nie dzieje się najlepiej. Mąż stracił pracę za rzekome zaniedbywanie obowiązków służbowych i Roxy chciała, by Jake wystąpił w jego imieniu do sądu. Odmówił, i jej uraza wciąż się tliła. Ponadto w kasie gotówkowej pojawiło się manko w wysokości pięćdziesięciu dolarów, i Jake podejrzewał najgorsze.

Będzie musiał ją zwolnić, choć naprawdę bardzo tego nie chciał. Co dzień rano przed pracą odmawiał cichą modlitwę, prosząc Boga o cierpliwość, by ścierpieć kolejną kobietę w jego życiu zawodowym.

A było ich wiele. Zatrudniał młode siksy, bo bez trudu znajdował kandydatki i mógł im mniej płacić. Tyle że te lepsze szybko wychodziły za mąż, zachodziły w ciążę i domagały się półrocznego urlopu macierzyńskiego, gorsze próbowały flirtować, nosiły obcisłe minispódniczki i rzucały znaczące spojrzenia. Gdy Jake jedną z nich zwolnił, zagroziła mu oskarżeniem o molestowanie seksualne. Na szczęście przyłapano ją na wystawieniu lewego czeku i pannica zniknęła z jego życia.

By uniknąć wszelkich fizycznych pokus, zaczął zatrudniać dojrzale kobiety, te jednak z reguły bywały apodyktyczne, próbowały mu matkować, przechodziły klimakterium i cierpiały na rozliczne choroby. Ciągłe biegały do lekarzy i najchętniej rozprawiały o swoich niedomaganiach i cudzych pogrzebach.

Wcześniej przez kilkadziesiąt lat biurem rządziła Ethel Twitty, sekretarka i asystentka, która stała się legendą firmy Wilbanksów, pracując w niej w czasach największej świetności. Przez czterdzieści lat trzymała wszystko żelazną ręką, terroryzowała inne sekretarki i toczyła wojny z początkującymi prawnikami, z których żaden nie wytrzymał dłużej niż rok czy dwa. Ethel była już na emeryturze, zmuszona przez Jake'a do odejścia po awanturze podczas sprawy Haileya. Jej męża dotkliwie wtedy pobito i zapewne zrobili to członkowie Klanu, jednak sprawy nigdy do końca nie wyjaśniono i niczego nie udowodniono. Wtedy Jake z radością powitał jej decyzję o odejściu, teraz niemal za nią tęsknił.

Dokładnie o wpół do dziewiątej zszedł na dół, by zrobić sobie następną kawę, potem poszperał w magazynku, jakby szukał zawieruszonej teczki z aktami. Gdy o ósmej trzydzieści dziewięć Roxy weszła tylnymi drzwiami, Jake stał przy jej biurku, przerzucając stronicę leżącego na nim dokumentu. Niech wie, że on wie, że znów się spóźniła do pracy. To, że jest matką czworga małych dzieci, ma bezrobotnego i niezaradnego męża, pracę, której nie lubi, i pensję,

którą uważa za niewystarczającą, a także wiele innych problemów, Jake'a mało obchodziło. Gdyby ją lubił, pewnie umiałby wykrzesać z siebie choć trochę współczucia, jednak z upływem czasu lubił Roxy coraz mniej. Dlatego kompletował pretensje, dawał milcząco do zrozumienia, że nie jest z niej zadowolony, i zapamiętywał haki, by gdy nadejdzie ten nieszczęsny moment i trzeba będzie przeprowadzić z nią rozmowę, mieć pod ręką wystarczająco dużo argumentów. Jake'a mierziło takie knucie w celu pozbycia się niechcianej sekretarki.

– Dzień dobry, Roxy – powiedział, spoglądając znacząco na zegarek.

– Witam, przepraszam za spóźnienie, musiałam odwiedzić dzieci do szkoły. – Jake'a w równym stopniu mierziły te jej ciągłe kłamstwa, nawet najdrobniejsze. Dzieci do i ze szkoły woził jej bezrobotny mąż. Jake wiedział o tym od Carli.

– Mhm – mruknął, biorąc do ręki plik kopert, które właśnie położyła na biurku. Przejął pocztę, nim zdążyła do niej zajrzeć w poszukiwaniu czegoś ciekawego. Jednak dzisiejsze listy stanowiły standardowy zestaw biurowych śmieci: korespondencja z innymi firmami, list z kancelarii sędziego, pękate koperty z kopiami protokołów, wniosków oraz oświadczeń stron i różne takie. Nie próbował ich nawet otwierać. To należało do obowiązków sekretarki.

– Szuka pan czegoś? – spytała Roxy, rozkładając swoje rzeczy.

– Nie.

Jak zwykle była zaniedbana, bez śladu makijażu, z włosami w nieładzie. Bez słowa odeszła od biurka i poszła do łazienki, by doprowadzić się do porządku, co zwykle zajmowało jej kwadrans. Jeszcze jeden hak do kolekcji.

Z samego spodu sterty Jake wyłuskał zwykłą kopertę z ręcznie wypisanym jego nazwiskiem i adresem. Adres napisano niebieskim atramentem, lekko pochyłym charakterem pisma. Umieszczony w rogu adres zwrotny tak go zdumiał, że reszta listów omal wypadła mu z rąk. Pośpiesznie rzucił je na biurko i pobiegł na górę. Usiadł przy sekretarzyku pod portretem Williama Faulknera kupionym jeszcze

przez Johna Wilbanksa, ojca Luciena, i przyjrzał się kopercie – zwykłej standardowej białej kopercie z lichego papieru, jakie kupuje się w pudełkach po sto sztuk za pięć dolarów. W rogu miała znaczek za dwadzieścia pięć centów z wizerunkiem jednego z astronautów i sądząc po grubości, zawierała kilka złożonych kartek. Zaadresowana była imiennie do niego: „Sz. Pan Jake Brigance, adwokat, 146 Washington Street, Clanton, Missisipi”, bez kodu pocztowego.

Nadawcą był „Seth Hubbard, skr. poczt. 277, Palmyra, Missisipi, 38664”.

Na kopercie widniał stempel pocztowy z datą 1 października 1988 i nazwą urzędu pocztowego w Clanton. List nadano w minioną sobotę. Jake zaczerpnął głęboko powietrza i zaczął rekonstruować możliwy przebieg wydarzeń. Jeśli wierzyć plotce usłyszanej w kawiarni, a nie było powodu – przynajmniej na razie – by jej nie wierzyć, Seth Hubbard powiesił się w niedzielę po południu, niecałą dobę temu. Teraz był poniedziałek, dochodziła dziewiąta rano. By list mógł zostać ostemplowany datownikiem z minionej soboty, Seth Hubbard lub ktoś działający w jego imieniu musiał go wrzucić do skrzynki listów miejscowych na poczcie w Clanton w piątek po południu lub w sobotę do południa, gdyż po południu poczta była już nieczynna. Tylko miejscowe listy były stemplowane i sortowane na miejscu w Clanton, resztę korespondencji zawożono do regionalnego punktu rozdziału poczty w Tupelo, gdzie ją sortowano, stemplowano i rozsyłano do adresatów.

Jake wziął nożyczki i ostrożnie odciął brzeg koperty, od znaczka do adresu zwrotnego, uważając, by niczego nie uszkodzić. Musiał się liczyć z tym, że trzyma w ręku dowód dla sądu. Zamierzał potem wszystko skopiować, ale najpierw chciał zajrzeć do środka. Lekko potrząsnął kopertą tak, że wypadło z niej kilka złożonych kartek. Czując, jak mu wali serce, ostrożnie rozprostował papier. Trzy białe arkusiki, bez żadnych ozdobników czy firmowych nadruków. Położył kartki na biurku i wziął do ręki pierwszą. Tekst był napisany niebieskim atramentem i starannym, nieco pochyłym charakterem pisma, bardzo ładnym jak na mężczyznę. Nadawca pisał:

*Szanowny Panie Brigance,
o ile wiem, nigdy osobiście się nie spotkaliśmy
i już się nie spotkamy. W chwili, gdy Pan
będzie to czytał, ja nie będę już żył, a ta
okropna miejscina, w której Pan mieszka,
będzie jak zwykle huczała od plotek.
Odebrałem sobie życie, ale tylko dlatego, że za
chwilę i tak bym umarł na raka płuc. Lekarze
dają mi zaledwie parę tygodni życia i jestem
już zmęczony ciągłym bólem. Jestem zmęczony
wieloma rzeczami. Jeśli jest Pan palaczem,
niech Pan posłucha rady nieboszczyka
i natychmiast rzuci palenie.*

*Wybrałem Pana, bo ma Pan opinię
uczciwego, a poza tym podziwiałem Pana
podczas procesu Carla Lee Haileya. Czuję, że
jest Pan człowiekiem tolerancyjnym, a jest to*

cecha, której dramatycznie brakuje w tej części świata.

Gardzę prawnikami, szczególnie tymi z Alanton. Jest za późno, by wymieniać jakies nazwiska, proszę mi jednak wierzyć, że umieram z wielkim bagażem niezrealizowanych najgorszych życzeń pod adresem różnych przedstawicieli Pańskiego zawodu. Sęków. Pijawek.

Załączam moją ostatnią wolę i testament, w którym każde słowo napisałem własną ręką, własnoręcznie podpisałem i opatrzyłem datą. Zapoznałem się z prawem obowiązującym w Missisipi i jestem pewny, że sporządziłem wymagany przepisami własnoręczny testament, który posiada pełną moc prawną. W chwili spisania nie miałem żadnych świadków, ale jak Panu wiadomo, testamenty własnoręczne nie wymagają obecności świadków. Rok temu spisałem testament w kancelarii prawnej Rusha w Tupelo, niniejszym go jednak unieważniam.

Wykonanie załączonego testamentu może nastręczyć pewnych trudności, i dlatego chcę, żeby tą sprawą zajął się Pan. Chcę, by załączony testament został za wszelką cenę wybroniony i wiem, że Pan potrafi tego dokonać. W szczególności wydziedziczam moje dorosłe dzieci, a także ich dzieci i dwie byłe żony. To nie są mili ludzie i będą zażarcie walczyć, więc proszę być przygotowanym. Posiadam znaczny majątek, o którego rzeczywistej wielkości moja rodzina nie ma

nawet pojęcia, więc gdy się dowie, przystąpi do ataku. Proszę stanąć z nimi do walki, Panie Brigrance, i ich pokonać. Musimy postawić na swoim.

W liście samobójczym zawarłem instrukcje odnośnie do mojego pogrzebu. Proszę nikomu nie ujawniać treści mojego testamentu przed pogrzebem. Chcę, aby moja rodzina musiała dopełnić wszystkich żalobnych rytuałów, zanim się dowie, że nic nie dostanie. Niech się Pan im przyjrzy, gdy będą udawać, są w tym bardzo dobrzy. Tylko dla mnie zabrakło im miłości.

Z góry dziękuję za Pańskie zaangażowanie. To nie będzie łatwe zadanie i pocieszam się myślą, że nie będę musiał osobiście uczestniczyć w tym obrzydliwym spektaklu.

*Z poważaniem, Seth Hubbard
1 października 1988 roku*

Jake był zbyt poruszony, by zabrać się od razu do czytania testamentu. Głęboko westchnął, wstał, przespacerował się po gabinecie, otworzył drzwi na taras i popatrzył na gmach sądu i rynek. Powrócił do sekretarzyka i raz jeszcze przeczytał cały list. Będzie ważny dla udowodnienia prawnej zdolności testamentowej Setha Hubbarda. Przez chwilę siedział jak sparaliżowany, nie mogąc się zdecydować. Wytarł dłonie o spodnie. Czy nie powinien zostawić listu i testamentu w nietkniętym stanie i wezwać Ozziego? A może sędziego?

Nie. Koperta była zaadresowana imiennie do niego, miał więc pełne prawo poznać jej zawartość. Mimo to miał takie uczucie, jakby trzymał w ręku tykającą bombę. Wolnym ruchem odsunął list i spojrzął na znajdujące się pod nim kartki papieru. Z bijącym sercem i

drżącymi rękami wpatrywał się w napisany niebieskim atramentem dokument, wiedząc, że jego treść wypełni mu następny rok życia, może nawet dwa.

OSTATNIA WOLA I TESTAMENT HENRY'EGO SETHA HUBBARDA

Ja, Seth Hubbard, lat 71, będąc w pełni sił umysłowych, choć obciążony wędrującym ciałem, niniejszym sporządzam swoją ostatnią wolę i testament.

1. Jestem mieszkańcem stanu Missisipi, mój oficjalny adres to Simpson Road 4498, Palmyra, okręg Ford, Missisipi.

2. Niniejszym unieważniam wszystkie wcześniejsze podpisane przeze mnie testamenty, zwłaszcza testament datowany 7 września 1987 roku, sporządzony przez Lewisa McGwire'a z firmy prawniczej Rush w Tupelo, Missisipi, który to testament unieważniał z kolei mój poprzedni testament z marca 1985 roku.

3. Niniejszy testament jest dokumentem holograficznym, w którym każde słowo zostało napisane moją ręką, moim charakterem pisma i bez pomocy kogokolwiek innego. Dokument został przeze mnie własnoręcznie podpisany i datowany. Sporządziłem go bez świadków w moim gabinecie dnia 1 października 1988 roku.

4. Jestem w pełni władz umysłowych i posiadam pełną zdolność prawną do spisania testamentu. Nikt nie wywiera ani nie stara się wywierać na mnie jakiegokolwiek nacisku.

5. Na wykonawcę mojego testamentu wyznaczam Russella Amburgha,

zamieszkałego przy Ember Street 762, Temple, Missisipi. Pan Amburgh jako wiceprezes firmy holdingowej dysponuje pełną wiedzą na temat moich należności i zobowiązań. Polecam panu Amburghowi, by do realizacji postanowień niniejszego testamentu zaangażował mec. Jake'a Brigance'a, adwokata z Clanton, Missisipi, i powierzył mu pełną reprezentację moich interesów. Niniejszym oświadczam, że żaden inny adwokat z okręgu Ford nie ma prawa zajmować się moim majątkiem i nie wolno mu zarobić ani grosza na wykonawstwie niniejszego testamentu.

6. Mam dwoje dzieci: Herschela Hubbarda i Ramonę Hubbard Dufbe, oni zaś mają swoje dzieci. Nie wiem dokładnie ile, gdyż od pewnego czasu nie utrzymujemy kontaktów. Z dziedziczenia mojego majątku wyłączaam w szczególności moje dzieci i wszystkie ich dzieci. Nie dostają nic. Nie znam prawniczego terminu na „wycięcie” kogoś z uczestniczenia w spadku, moją intencją jest jednak całkowite uniemożliwienie im, to znaczy moim dzieciom i ich dzieciom, otrzymania czegoś w spadku po mnie. Jeśli spróbują podważyć treść niniejszego testamentu i przegrają, życzę sobie, żeby w ramach nauki za swoją chciwość ponieśli wszystkie koszty w postaci honorariów adwokackich i opłat sądowych.

7. Mam też dwie byłe żony, których imion nie wymienię. Ponieważ dostały niemal wszystko, czego chciały w postępowaniach

rozwodowych, nic więcej im się nie należy.
Niniejszym obie zostają całkowicie wyłączone
z udziału w spadku. Niech szezna w bólu tak
jak ja.

8. Daję, przeznaczam, zapisuję, zostawiam
(wszystko jedno, jak to się fachowo nazywa)
dziewięćdziesiąt procent majątku mojej
przyjaciółce Lettie Lang, w podziękę za jej
pełną poświęcenia opiekę i przyjaźń
w ostatnich latach mojego życia. Jej pełne
nazwisko brzmi Letetia Delores Tayber Lang,
mieszka przy Montrose Road 1488, Box
Hill, Missisipi.

9. Daję, przeznaczam itd. pięć procent
majątku mojemu bratu Ancilowi F.
Hubbardowi, o ile jeszcze żyje. Od wielu lat
nie miałem z nim kontaktu, choć często o nim
myślałem. Był zagubionym chłopcem, który
zasłużył na coś więcej. Jako dzieci widzieliśmy
coś, czego ludzkie oczy nigdy nie powinny
oglądać, i to już na zawsze wywarło wpływ
na jego życie. Jeżeli Ancil nie żyje, jego pięć
procent wchodzi do pozostałej masy spadkowej.

10. Daję, przeznaczam itd. pięć procent
majątku Chrześcijańskiemu Kościołowi
Irlandzkiej Drogi.

11. Polecam wykonawcy mojego testamentu
sprzedać dom, ziemię, dobytek osobisty
i zakład drzewny pod Palmyrą po cenie
rynkowej, zrobić to możliwie jak najszybciej
i doliczyć uzyskane kwoty do reszty spadku.

Seth Hubbard

1 października 1988

Podpis był krótki i dość czytelny. Jake ponownie wytarł dłonie o spodnie i przeczytał jeszcze raz cały testament. Tekst mieścił się na dwóch kartkach, pismo było staranne, wiersze idealnie proste, jakby Seth przy pisaniu używał linijki.

Jake'owi cisnęły się do głowy dziesiątki pytań, z których najbardziej natarczywe brzmiało: kim, u diabła, jest Lettie Lang?

A zaraz po nim, niemal równie uporczywe: co ona takiego zrobiła, by zasłużyć na dziewięćdziesiąt procent majątku? I dalej: jak duży jest ten majątek? Bo jeśli naprawdę ogromny, to ile z niego zje podatek spadkowy? No i oczywiste pytanie w tym kontekście: ile może wynieść honorarium adwokackie?

Jednak nim zdążyła zawładnąć nim chciwość, Jake ponownie przespacerował się po gabinecie. Czuł, jak buzuje w nim adrenalina i w głowie mu się kręci. Szykowała się cudowna prawnicza awantura. Jeśli rzeczywiście chodzi o duże pieniądze, niewątpliwie rodzina Setha weźmie do pomocy prawników, a ci z furią zaatakują jego ostatnią wolę. Choć sam nigdy nie uczestniczył w próbie podważenia testamentu, wiedział, że tego typu sprawy zwykle trafiają do sądu kanclerskiego* i są rozpatrywane w obecności ławy przysięgłych. W okręgu Ford rzadko się zdarzało, by zmarły zostawił po sobie znaczny majątek, jednak czasami ktoś w miarę zamożny umierał, nie zostawiwszy dyspozycji co do podziału majątku, lub pozostawiony testament budził wątpliwości. Dla miejscowych adwokatów były to wymarzone żniwa, banda prawników nie wychodziła z sądu, a spadek rozchodził się na honoraria adwokackie.

* Sąd kanclerski (*Chancery Court*) – działający w stanie Missisipi sąd do spraw rodzinnych (rozwoły, adopcje, wyznaczanie opiekunów prawnych), ale także zajmujący się uznawaniem niepoczytalności, sporami spadkowymi i zarzutami o niekonstytucyjność ustaw stanowych. Od sędziego zwanego kanclerzem zależy, czy rozprawa odbywa się z udziałem ławy przysięgłych.

Jake ostrożnie włożył kopertę i trzy kartki do kartonowej teczki i zaniósł na dół, na biurko Roxy, której prezencja uległa niejakiej poprawie. Siedziała przy biurku, segregując poranną pocztę.

– Przeczytaj to – powiedział Jake. – Wolno i uważnie.

Zrobiła to, skończyła czytać i uniósłszy wzrok, parsknęła:

- Kurczę. Ale super początek tygodnia.
- Dla starego Seta nie tak bardzo. Zwróć uwagę, że przyszło to w dzisiejszej poczcie, trzeciego października.
- Zwróciłam. I co z tego?
- Bo daty mogą się okazać bardzo ważne w sądzie. Sobota, niedziela, poniedziałek.
- Czy to znaczy, że będę świadkiem?
- Może tak, może nie. Ale na wszelki wypadek trzeba wszystko zapamiętywać.
- Pan tu jest prawnikiem.

Jake zrobił po cztery kopie koperty, listu i testamentu. Jeden komplet dał Roxy do schowania w teczce akt najnowszej sprawy kancelarii prawnej Brigance'a, dwa włożył do zamykanej na klucz szuflady w swoim biurku. Odczekał do dziewiątej i wyszedł z biura z oryginałem i jednym kompletem kopii, informując Roxy, że idzie do sądu. W rzeczywistości wszedł do znajdującego się po sąsiedzku oddziału Security Bank i schował oryginały do firmowej skrytki bankowej.

△△

Biuro Ozziego Wallsa mieściło się w budynku aresztu okręgowego, przysadzistym betonowym bunkrze dwie przecznice od rynku, zbudowanym za niewielkie pieniądze dekadę wcześniej. Przypominający narośl aneks z biurami szeryfa dobudowano później i wyposażono w tanie biurka, składane krzeselka i liche, strzępiące się na brzegach wykładziny dywanowe. Zwykle w poniedziałki rano, po weekendowych występach rozochoconych mieszkańców, panował tu wzmożony ruch. Wściekle żony przyjeżdżały, by wykupić z aresztu skacowanych mężów, inne wpadały podpisać wnioski o zamknięcie mężów awanturników w areszcie. Po biurze kręcili się wystraszeni rodzice w oczekiwaniu na szczegóły przyłapania ich latorośli na zażywaniu narkotyków. Telefony dzwoniły częściej niż zwykle i częściej niż zwykle się zdarzało, że nikt ich nie odbierał. Funkcjona-

riusze zwijali się jak w ukropie, w biegu pogryzając pączki i siorbiąc mocną kawę. Nałożenie się na to zaskakującego samobójstwa tajemniczego biznesmena powodowało, że tego dnia panowało jeszcze większe zamieszanie niż zwykle.

Na końcu krótkiego korytarzyka, za grubymi masywnymi drzwiami z wykonanym ręcznie białym napisem OZZIE WALLS, SZERYF, OKRĘG FORD, mieścił się gabinet szeryfa. Drzwi były zamknięte, Ozzie, który tego ranka przyszedł wcześniej niż zwykle, już wisiał na telefonie. Dzwoniła rozhisteryzowana matka, której nieletniego syna przyłapano za kierownicą półciężarówki załadowanej znaczną ilością marihuany. Zatrzymano go w sobotę wieczorem nad jeziorem Chatulla, na terenie parku stanowego, gdzie kwitła przestępczość. Oczywiście syn był niewinny i matka upierała się, że chce przyjechać i zabrać go z aresztu.

Spokojnie, nie da się tak zaraz, tłumaczył Ozzie. Rozległo się pukanie do drzwi, szeryf przykrył dłonią słuchawkę i rzucił: „Tak?”.

Drzwi się uchyliły i w szparze pojawiła się głowa Jake'a Brigance'a. Ozzie przyjaźnie się uśmiechnął i kiwnął ręką, że ma wejść. Adwokat zamknął za sobą drzwi i usiadł na krześle przy biurku, a Ozzie powrócił do wyjaśniania matce, że wprawdzie jej syn ma dopiero siedemnaście lat, lecz został przyłapany na posiadaniu półtora kilograma narkotyku i nie można go wypuścić za kaucją bez zgody sędziego. Matka nie dawała się przekonać, szeryf skrzywił się i odsunął słuchawkę od ucha, po czym uśmiechnął się i pokręcił głową. Zawsze te same argumenty. Jake też już wielokrotnie je słyszał.

Ozzie przez chwilę jeszcze słuchał, obiecał zrobić wszystko, co w jego mocy – czyli bardzo mało – i odłożył słuchawkę. Lekko uniósł się zza biurka i uścisnął Jake'owi rękę.

- Witam, mecenasie.
- Witaj, szeryfie.

Przez chwilę gadali o pierdołach, potem rozmowa zeszła na futbol. Ozzie grał krótko w Ramsach, karierę zawodniczą przerwała kontuzja kolana, ale nadal był zagorzałym kibicem tej drużyny. Jake – jak większość mieszkańców Missisipi – kibicował Saintsom, więc nie-

wiele mieli sobie do powiedzenia. Cała ściana za plecami Ozziego była obwieszona pamiątkami futbolowymi: fotografiami, dyplomami, plakietkami, nagrodami. W połowie lat siedemdziesiątych, jako student Uniwersytetu Stanowego Alcorn, Ozzie grał w uniwersyteckiej reprezentacji Stanów Zjednoczonych i pieczołowicie hołubił pamiątki z tamtych lat.

Przy innej okazji i najlepiej w obecności większego audytorium – na przykład w gronie prawników w sali sądowej podczas przerwy w rozprawie – Ozzie mógłby zacząć opowiadać o tym, jak złamał Jake'owi nogę. Jake był wtedy niezbyt rosnym uczniem pierwszej klasy liceum i grał w drużynie Karaway na pozycji rozgrywającego. Jego szkoła była dużo mniejsza od szkoły w Clanton, ale jakoś tak się zwykle działo, że co roku jej drużyna nadziewała się w finale rozgrywek międzyszkolnych na drużynę z Clanton. Mecze powszechnie nazywano „podwórkową naparząnką”, a gra nigdy nie była wyrównana. W tamtym meczu Ozzie, główny obrońca Clanton, przez trzy kwarty paraliżował atak Karaway, by pod koniec czwartej ruszyć do przodu. Obrońcy Karaway, już poobijani i odpowiednio wystraszeni, próbowali nie zwracać uwagi na Ozziego, który bez pardonu starał się Jake'a, rozpaczliwie starającego się go zatrzymać. Ozzie zawsze potem twierdził, że słyszał chrupnięcie kości strzałkowej Jake'a, ten zaś utrzymywał, że nie słyszał nic poza rykiem atakującego Ozziego, który pędził na niego, tak jakby chciał go zmiażdżyć. W tej czy innej wersji, historia tego zderzenia odżywała w opowieściach co najmniej raz w roku.

Dziś był jednak poniedziałek rano, telefony nie przestawały dzwonić i obaj mieli co innego na głowie. Nie ulegało wątpliwości, że Jake nie przyszedł pogadać.

- Chyba zostałem zatrudniony przez Setha Hubbarda – oznajmił. Szeryf zmrużył oczy i przyjrzał się przyjacielowi.
- Czasy, kiedy mógł kogoś zatrudnić, już się skończyły – mruknął. – Leży na stole u Magargela.
- Ty go odciąłeś?
- Powiedzmy, że byłem przy spuszczeniu go na ziemię. – Ozzie

sięgnął po teczkę, wyjął trzy kolorowe fotografie dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów i przesunął po biurku. Jake podniósł je kolejno do oczu. Ujęcie od przodu, od tyłu, z prawego boku. Na wszystkich widniał Seth Hubbard wiszący w ulewnym deszczu, żałośnie martwy. Widok nie był przyjemny, ale Jake nie dał nic po sobie poznać. Wpatrywał się w groteskowo wykrzywioną twarz, próbując wygrzebać ją z pamięci.

– Nigdy w życiu go nie widziałem – rzekł w końcu. – Kto go znalazł?

– Jeden z jego pracowników. Wygląda na to, że Hubbard wszystko sobie zaplanował.

– Też tak myślę. – Jake sięgnął do kieszeni i położył kopie na biurku przed Ozziem. – Dostałem to w dzisiejszej poczcie. Jeszcze ciepłe. Pierwsza kartka to list do mnie. Na drugiej i trzeciej jest jego domniemany testament.

Ozzie przeczytał list, potem bez słowa go odłożył i zajął się testamentem. Skończywszy czytać, położył kartki na biurku i potarł sobie oczy.

– Rany – stęknął. – To jest autentyczne?

– Na pierwszy rzut oka tak. Ale nie wątpię, że rodzina będzie próbowała to podważyć.

– W jaki sposób?

– Zgłoszą mnóstwo zastrzeżeń. Że stary postradał zmysły, że ta kobieta miała na niego niedopuszczalny wpływ i przekonała go do zmiany testamentu. Wierz mi. Jeśli rzeczywiście chodzi o duże pieniądze, wytoczą ciężkie działa.

– Ta kobieta – powtórzył Ozzie, po czym uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Znasz ją?

– O tak.

– Biała czy czarna?

– Czarna.

Jake tego się spodziewał i słowa Ozziego ani go nie zaskoczyły, ani nie zmartwiły. Właściwie poczuł nawet coś w rodzaju ekscytacji.

Bogaty biały mężczyzna sporządza w ostatniej chwili nowy testament i wszystko zapisuje czarnej kobiecie, która widocznie dużo dla niego znaczyła. Dojdzie do zażartej kłótni o treść testamentu przed ławą przysięgłych, a on znajdzie się w samym jej środku.

– Jak dobrze ją znasz? – spytał. Wiadomo było, że Ozzie zna każdego czarnego mieszkańca okręgu Ford. Wszystkich zarejestrowanych na listach wyborców i dopiero do tego dorastających; posiadających własną ziemię i żyjących na zasiłkach dla bezrobotnych; chcących pracować i unikających pracy; ciułających oszczędności i włamujących się do cudzych domów; chodzących co niedziela do kościoła i przesiadujących w spelunach.

– Znam ją – powtórzył Ozzie. – Mieszka pod Box Hill, w rejonie zwanym Małą Deltą.

– Przejeżdżałem tamtędy. – Jake kiwnął głową.

– Takie slumsy dla czarnych. Jest żoną niejakiego Simeona Langa, obiboka i próżniaka, który wciąż gdzieś znika. Albo jest w domu i nic nie robi, albo go nie ma.

– Nigdy nie natknąłem się na żadnych Langów.

– Tym lepiej dla ciebie. Kiedy jest trzeźwy, chyba pracuje jako kierowca ciężarówki i buldożera. Wiem, że parę razy pracował na platformie wiertniczej. Niestabilny. Czwórka dzieci, z czego jeden chłopak w więzieniu, jedna córka chyba w wojsku. Lettie ma około czterdziestu pięciu lat. Jest z Tayberów, a tych nie ma tu zbyt wielu. On jest z Langów i tych jest niestety wszędzie pełno. Nie wiedziałem, że Lettie pracuje u Seta Hubbarda.

– Znałeś Hubbarda?

– Trochę. Na obie moje kampanie dał mi pod stołem po dwadzieścia pięć tysięcy dolców i nic nie chciał w zamian. Powiem więcej, przez pierwsze cztery lata wręcz mnie unikał. Spotkaliśmy się dopiero latem zeszłego roku, kiedy zbliżała się następna kampania wyborcza. Wręczył mi wtedy następną kopertę.

– I ty przyjąłeś?

– Nie podoba mi się twój ton, Jake – rzekł Ozzie z krzywym uśmiechem. – Tak, przyjąłem, bo chciałem wygrać. Nie mówiąc o

tym, że wszyscy moi konkurenci też brali forszę. Tutejsza polityka to bezwzględna walka.

– Mnie to nie przeszkadza. Ile wynosił jego majątek?

– No cóż, twierdził, że jest znaczny. Ale nie wiem. To było zawsze owiane tajemnicą. Plotki mówią, że dużo stracił w trakcie rozwodu. Harry Rex oskubał go do cna. Od tamtej pory trzymał wszystko w tajemnicy.

– Mądry gość.

– Miał trochę ziemi i od zawsze działał w branży drzewnej. Ale poza tym nic więcej nie wiem.

– A jego dorosłe dzieci?

– Wczoraj około piątej po południu rozmawiałem z Herschelem Hubbardem, żeby mu przekazać smutną wiadomość. Mieszka w Memphis, ale dużo się od niego nie dowiedziałem. Powiedział, że powiadomi siostrę Ramonę i oboje się tu zjawią. Seth zostawił pisemne instrukcje w sprawie swojego pogrzebu. Jutro o szesnastej nabożeństwo w kościele, potem pogrzeb. – Ozzie przerwał i ponownie przebiegł wzrokiem list. – Trochę to okrutne, nie sądzisz? Seth chce, żeby rodzina najpierw opłakiwała go podczas pogrzebu, i dopiero potem się dowiedziała, że ich wszystkich wystrychnął na dudka.

– A ja myślę, że to piękne. – Jake zaśmiał się. – Wybierasz się na pogrzeb?

– Jeśli ty też pójdziesz.

– Załatwione.

Przez chwilę wsłuchiwali się w głosy i dzwonki telefonów za drzwiami. Obu czekały sprawy do załatwienia. Tyle było pytań bez odpowiedzi, tyle tragedii na wyciągnięcie ręki.

– Ciekawe, co oni widzieli. Seth z bratem – powiedział Jake.

Ozzie pokręcił bezradnie głową na znak, że nic na ten temat nie wie.

– Ancil F. Hubbard – mruknął, zerkając na testament. – Jeśli chcesz, mogę spróbować go odszukać. Wpuszczę jego dane do sieci i sprawdzę, czy jest gdzieś notowany.

– Zrób to. Dzięki.

Zapadło kolejne milczenie, w końcu szeryf powiedział:

– Jake, posłuchaj, mam dziś mnóstwo pracy...

Adwokat zerwał się na równe nogi.

– Ja też – rzucił. – Dzięki. Zadzwoń później.

Rozdział 4

Jazda z centrum Memphis do okręgu Ford trwa tylko godzinę, ale Herschelowi Hubbardowi zawsze wydawała się wyprawą, która zajmuje cały dzień. Wyjazdy te były dla niego jak niechciane powroty do przeszłości i z wielu powodów jechał tylko wtedy, gdy było to absolutnie niezbędne, co na szczęście nie zdarzało się zbyt często. Opuścił rodzinny dom w wieku osiemnastu lat, nie oglądając się za siebie, i przyrzekł sobie unikać go ze wszystkich sił. Padł ofiarą wojny między rodzicami i gdy ci wreszcie się rozstali, Herschel wziął stronę matki i wyniósł się z nią z domu i okręgu, zostawiając ojca samego. Dwadzieścia osiem lat później nie mógł uwierzyć, że stary wreszcie nie żyje.

W ciągu tych lat zdarzały się próby pojednania, zwykle z jego inicjatywy, choć musiał też przyznać, że ojciec przez jakiś czas się starał i tolerował obecność syna i jego dzieci. Jednak pojawienie się drugiej żony i drugie nieudane małżeństwo mocno sprawę komplikowały, i w rezultacie przez ostatnie dziesięć lat dla Setha liczyła się tylko praca. Dzwonił z życzeniami z okazji większości urodzin i raz na pięć lat wysyłał kartki na Boże Narodzenie, ale na tym kończyły się jego wysiłki. Im więcej pracował, z tym większą pogardą odnosił się do kariery Herschela, co w końcu stało się główną przyczyną napięć między ojcem a synem.

Herschel był właścicielem baru w pobliżu kampusu Uniwersytetu Stanowego w Memphis, chętnie odwiedzanego przez brać studencką. Lokal nieźle prosperował i miał stałą klientelę, a Herschel wyciągał z niego wystarczająco dużo, by starczało na życie i odłożenie paru

groszy. Podobnie jak ojciec, on też został finansowo skaleczony przez bolesny rozwód, wygrany zdecydowanie przez jego eks, której sąd przyznał opiekę nad ich dwiema córkami i niemal cały majątek. W rezultacie od czterech lat Herschel mieszkał z matką w starym, rozpadającym się domu w centrum Memphis, dzieląc go z gromadą kotów i od czasu do czasu z jakimś przybłądą, którego matka przyjmowała pod swój dach. Niełatwe życie u boku Setha odcisnęło się na niej głębokim piętnem, i matka Herschela była lekko zblizkowana.

Herschel minął granicę okręgu i jeszcze bardziej sposepniał. Jeździł małym sportowym datsunem, kupionym w stanie używanym głównie dlatego, że ojciec nienawidził japońskich samochodów, a właściwie wszystkiego co japońskie. Podczas drugiej wojny światowej Seth stracił kuzyna z rąk Japończyków, i potem uwielbiał afiszować się swoją pryncypialnością.

Herschel znalazł stację radiową z Clanton i ze zdumieniem słuchał szczeniackich wygłupów didżeja mówiącego z lokalnym nosowym akcentem. Był to zupełnie inny świat, który wiele lat temu opuścił i do którego miał nadzieję nigdy nie wracać. Współczuł kolegom, którzy nadal mieszkali w okręgu Ford i którzy nigdy się nie zdobędą na ucieczkę stąd. Dwie trzecie jego klasy maturalnej wciąż tu mieszkało, pracując w fabrykach, jeżdżąc ciężarówkami i piłując drewno. Zjazd absolwentów na dziesięciolecie matury tak go przygnębił, że na dwudziestolecie już nie pojechał.

Po rozwodzie matka Herschela uciekła stąd i osiadła w Memphis. Druga żona ojca też się z nim rozwiodła i zamieszkała w Jackson. Stary dom i otaczająca go ziemia przypadły wtedy Sethowi i dlatego Herschel, chcąc odwiedzić ojca, musiał stawiać czoło strasznym wspomnieniom z dzieciństwa. Do czasu zachorowania ojca na raka robił to tylko raz na rok. Dom był wiejską chałupą z czerwonej cegły, oddaloną od drogi i ukrytą w kępie rozłożystych dębów i wiązów. Przed budynkiem ciągnął się długi, nieogrodzony trawnik, na którym Herschel bawił się jako dziecko, ale nigdy z ojcem. Ani razu nie kopali ani nie rzucali piłką, nigdy nie ustawili bramki do piłki nożnej, nigdy w nic nie grali. Skręcił w podjazd prowadzący do domu i raz

jeszcze się zdumiał, jak ten trawnik teraz zmałał. Staął za jakimś nieznanym samochodem z miejscową rejestracją i przez chwilę wpatrywał się w dom.

Zawsze zakładał, że śmierć ojca nie zrobi na nim żadnego wrażenia, choć niektórzy koledzy ostrzegali go, że się myli. Człowiek dorasta i uczy się panować nad emocjami, nie obejmuje ojca na przywitanie i pożegnanie, bo ojciec nie zalicza się do tych, których chce się obejmować, nie wysyła mu prezentów ani listów, a gdy umiera, to wiadomo, że człowiek bez trudu sobie bez niego poradzi. Może w trakcie pogrzebu zrobi mu się na chwilę przykro, może nawet uroni ze dwie łzy, ale po paru dniach przestanie o tym myśleć i wszystko wróci do normy, nie zostawiając żadnych blizn. Jednak koledzy mówili ciepło o swoich ojcach. Patrzyli, jak się starzeją i podchodzą do śmierci bez lęku i zbędnych emocji. I wszyscy byli potem pogrążeni w żałobie.

Herschel nie czuł nic. Nie miał poczucia straty, żalu z powodu zamknięcia rozdziału, śladu współczucia dla kogoś, komu życie tak dopiekło, że sam je sobie odebrał. Siedział w samochodzie, wpatrując się w dom i przyznając w duchu, że nic nie czuje. Może co najwyżej pewną ulgę, że odejście ojca oznacza uwolnienie się od drobnych niedogodności w życiu. Może.

Wysiadł i ruszył do wejścia. Drzwi otworzyły się, nim do nich dotarł, i na progu stanęła Lettie Lang z chusteczką przytkniętą do oczu.

– Witam, panie Hubbard – powiedziała drżącym głosem.

– Witaj, Lettie – odrzekł, stając na gumowej macie ułożonej na betonowej werandzie. Może gdyby znał ją lepiej, podszedłby bliżej i objął w geście współczucia, ale nie potrafił się na to zdobyć. Widział ją raptem trzy lub cztery razy w życiu i nigdy tak naprawdę z nią nie rozmawiał. Była służącą ojca, w dodatku czarną, więc podczas rodzinnych spotkań miała obowiązek trzymać się z boku.

– Tak mi przykro – dodała, cofając się od drzwi.

– Mnie też – odrzekł Herschel. Podążył za nią do wnętrza, przeszedł przez salon i wkroczył do kuchni.

Lettie wskazała dzbanek z kawą.

– Przed chwilą zaparzyłam.

– To twój samochód stoi przed domem? – spytał Herschel.

– Tak, proszę pana.

– Dlaczego stawiasz go przed wejściem? Myślałem, że zawsze parkujesz z boku, obok pick-upa taty.

– Przepraszam. Nie pomyślałam. Zaraz go przestawię.

– Nie, zostaw. Nalej mi kawy, dwie łyżeczki cukru.

– Tak, proszę pana.

– A gdzie samochód taty? Cadillac?

Lettie uważnie napełniła filiżankę kawą.

– Szeryf go zabrał. Mają go dziś odstawić.

– Po co go zabrał?

– Będzie pan musiał jego o to spytać.

Herschel odsunął krzesło, usiadł i objął dłońmi filiżankę. Upił łyk, skrzywił się i spytał:

– Jak dowiedziałas się o tacie?

Lettie oparła się o blat i skrzyżowała ręce na piersiach. Herschel obrzucił ją szybkim spojrzeniem. Miała na sobie tę samą co zawsze białą bawełnianą sukienkę do kolan, nieco przyciasną w pasie i mocno opinającą wydatny biust.

Jego spojrzenie nie uszło jej uwagi. Zawsze dostrzegała takie spojrzenia. Mimo swych czterdziestu siedmiu lat i pięciu porodów, Lettie Lang wciąż przyciągała wzrok mężczyzn, jednak nie białych.

– Wczoraj wieczorem zadzwonił Calvin i powiedział mi, co się stało. Kazał mi otworzyć dom dziś rano i czekać na wszystkich.

– Masz klucze od domu?

– Nie, proszę pana. Nigdy nie miałam kluczy. Dom nie był zamknięty na klucz.

– Kto to jest Calvin?

– Biały, pracuje w gospodarstwie. Powiedział, że pan Seth zadzwonił do niego wczoraj rano i kazał przyjść na mostek o drugiej. No i pan Seth tam był. – Zamilkła i uniosła do oczu chusteczkę.

Herschel upił następny łyk.

- Szeryf mi mówił, że tata zostawił jakiś list i instrukcje.
- Ja tego nie widziałam, ale Calvin tak. Było tam napisane, że pan Seth odbiera sobie życie. – Zaczęła szlochać.

Herschel przez chwilę słuchał jej zawodzenia. Gdy ucichła, zapytał:

- Od jak dawna tu pracujesz, Lettie?

Westchnęła i obtarła sobie policzki.

- Bo ja wiem? Będzie ze trzy lata. Zaczęłam od sprzątanania dwa razy w tygodniu, w poniedziałki i środy po parę godzin, nie miałam dużo pracy, bo pan Seth mieszkał sam, wie pan, i był bardzo porządny jak na chłopca. A potem sobie zażyczył, żebym dla niego gotowała, a ja bardzo chętnie, bo mogłam więcej zarobić. Gotowałam furę jedzenia i zostawiałam mu na kuchni albo w lodówce. A potem, jak zachorował, to kazał mi przychodzić co rano i się nim opiekować. Jak ta chemia go męczyła, to dzień i noc nie wstawał z łóżka.

- Zdawało mi się, że opłacał pielęgniarkę.

Lettie wiedziała, jak rzadko pan Herschel i pani Dafoe widywali ojca podczas jego choroby. Tak naprawdę Lettie wiedziała o Secie wszystko, oni prawie nic. Ale nie dawała tego po sobie poznać i odzywała się jak zawsze z szacunkiem.

- Tak, proszę pana, przychodziły tu takie, ale potem starszy pan przestał je lubić. Wciąż mu przysyłali nowe i nigdy nie było wiadomo, kto przyjdzie.

- Czyli pracowałaś tu na okrągło dzień i noc. Od jak dawna?

- Tak gdzieś od roku.

- Ile tata ci płacił?

- Pięć dolarów za godzinę.

- Pięć! To bardzo dużo jak za pomoc domową, nie sądzisz? Mieszkam w Memphis, w dużym mieście, a matka płaci pomocy domowej cztery pięćdziesiąt za godzinę.

Lettie tylko pokiwała głową, bo nie wiedziała, co powiedzieć.

Mogłaby najwyżej dodać, że pan Seth zawsze płacił jej z ręki do ręki, często dodawał coś ekstra i pożyczył pięć tysięcy dolarów, gdy jej syn wpadł w tarapaty i trafił do więzienia. Cztery dni temu po-

życzka została umorzona, ale nie miała tego na piśmie.

Herschel popijał kawę, wyraźnie poirytowany. Lettie stała ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Z dworu dobiegło trzaśnięcie drzwi samochodu.

△△△

Ramona Hubbard Dafoe zaczęła płakać, zanim jeszcze przekroczyła próg domu. Objęła starszego brata już na werandzie, jemu zaś udało się przybrać pozę należycie przejętego. Zacisnął powieki, wyduł wargi i zmarszczył czoło, jak przystało na zboląłego mężczyznę. Ramona głośno łkała i jej żal wyglądał na autentyczny, choć Herschel miał co do tego pewne wątpliwości.

Ramona weszła do środka i utuliła Lettie z taką serdecznością, jakby obie straciły ukochanego ojca. Herschel został na werandzie, by przywitać się z mężem Ramony, którego serdecznie nie znosił, zresztą z wzajemnością, Ian Dafoe był lalusem z bankierskiej rodziny z Jackson – stolicy i największego miasta stanu oraz kolebki co najmniej połowy najgorszych palantów z całego Missisipi. Należące do rodziny banki padły już dawno temu, jednak Ian nadal starał się roztaczać wokół siebie aurę młodzieńca z lepszych sfer i nie zmieniał tego faktu, że ożenił się z kobietą z nizin i musiał – jak inni – mocno się starać, aby wiązać koniec z końcem.

Uprzejmie podali sobie ręce i Herschel zerknął przez ramię na ich samochód. No oczywiście, lśniący nowością biały mercedes, najnowszy model. Dzięki picciu Ramony i jej trudnościom z trzymaniem języka za zębami wiedział, że drogi szwagier bierze swoje auta w leasing na trzydzieści sześć miesięcy i zwraca przed terminem. Raty leasingowe poważnie obciążały ich domowy budżet, ale nie miało to znaczenia. Grunt, że państwo Dafoe mogli pokazywać się w północnym Jackson w odpowiednio eleganckim aucie.

Wszyscy troje usiedli w salonie. Lettie podała im kawę i colę, po czym dyskretnie wycofała się do sypialni oddalonej o parę metrów. Często się tam chowała, aby podsłuchiwać rozmowy telefoniczne pana Seta w salonie. Z sypialni wszystko było słychać. Ramona

jeszcze trochę popłakała i pozawodziła, że trudno w to wszystko uwierzyć. Mężczyźni słuchali jej żalów, od czasu do czasu kiwając głowami i cedząc pojedyncze sylaby. W pewnej chwili to uzalenie przerwał dzwonek do drzwi. Przyszły dwie panie z kółka parafialnego – jedna z ciastem, druga z zapiekanką – i oczywiście je wpuszczono. Lettie zabrała jedzenie do kuchni, panie, nie czekając na zaproszenie, rozsiadły się w salonie i zaczęły wspominać. Brata Setha widziały w kościele nie dalej jak wczoraj i tak dobrze wtedy wyglądał. Wiedziały o jego raku płuc i w ogóle, ale – Boże Świąty – wyglądał tak, jakby to w sobie zwalczył.

Herschel i państwo Dafoe nie mieli nic do dodania, Lettie słuchała z mroku sypialni.

Widać było, że panie z parafii miały ochotę zasypać gospodarzy lawiną pytań typu: „Jak on to zrobił?”, „Czy zostawił jakiś list?”, „Kto odziedziczy jego pieniądze?”, „Czy coś wskazuje na udział osób trzecich?”. Z żalem musiały jednak pogodzić się z myślą, że ich wścibstwo nie zostanie dobrze przyjęte. Po dwudziestu minutach siedzenia w niemal całkowitej ciszy w końcu dały za wygraną i zaczęły się żegnać.

Pięć minut po ich wyjściu ponownie rozległ się dzwonek przy drzwiach. Najwyraźniej dom był pod obserwacją i zaparkowane przed nim trzy samochody przyciągały uwagę.

– Zajmij się tym, Lettie! – krzyknął Herschel z salonu. – My schowamy się w kuchni.

Sąsiadka z naprzeciwka przyniosła ciasto cytrynowe. Lettie podziękowała i wyjaśniła, że dzieci pana Setha są wprawdzie w domu, ale „nie przyjmują”. Kobieta jeszcze przez chwilę postąpiła na werandzie, starając się zerkać do środka i pławić się w rodzinnej tragedii, jednak Lettie grzecznie, lecz stanowczo zagradzała jej drogę. Gdy sąsiadka wreszcie odeszła, Lettie zaniosiła ciasto do kuchni i położyła na blacie, ale nikt się nim nie zainteresował.

△△△

Nie trzeba było długo czekać, by zgromadzeni przy kuchennym

stole przystąpili do rzeczy.

– Widziałeś jego testament? – spytała Ramona. Jej oczy już zupełnie obeschły, nabrały pełnej przejrzystości i błyszczały ciekawością z domieszką podejrzliwości.

– Nie, a ty?

– Nie. Byłam tu parę miesięcy temu...

– W lipcu – wtrącił Ian.

– Dobrze, w lipcu. Próbowалам rozmawiać z tatą o testamencie. Powiedział, że zlecił to jakimś prawnikom w Tupelo i że zadbał w nim o nas, ale to wszystko. A ty kiedyś z nim o tym rozmawiałaś?

– Nie – przyznał Herschel. – Wiesz, nie bardzo wypadało. Człowiek umiera na raka, a ja wypytuję go o testament. Nie wypadało.

Lettie siedziała ukryta w mroku sypialni, chłonąc każde słowo.

– A jak wygląda jego majątek? – spytał Ian. Miał powody do ciekawości, gdyż jego majątek był w całości zastawiony w banku. Jego firma budowała tanie centra i galerie handlowe i każda nowa inwestycja pakowała go w kolejny kredyt. Starał się trzymać o krok przed wierzycielami, ale oni wciąż go dopadali.

Herschel spojrział z niechęcią na szwagra pijawkę, nic jednak nie powiedział. Wszyscy troje przeczuwali kłopoty z podziałem majątku Seta, więc nie było powodu, by się śpieszyć. Wiadomo było, że wkrótce i tak wybuchnie wojna.

– Nie mam pojęcia – odrzekł Herschel, wzruszając ramionami. – Jak wiesz, ojciec był bardzo skryty. Ten dom, osiemdziesiąt hektarów ziemi wokół, tartak, ale nie wiem nic o jego zadłużeniu i innych zobowiązaniach. Nigdy nie rozmawialiśmy o interesach.

– Nigdy nie rozmawialiście o czymkolwiek – burknęła Ramona, zaraz się jednak zreflektowała. – Przepraszam, Herschel.

Ale takiej podłej złośliwości ze strony siostry nie dało się pominąć milczeniem. Herschel prychnął i rzucił zjadliwie:

– Nie wiedziałem, że ty byłaś tak blisko ze starym.

By zmienić temat, Ian szybko zadał następne pytania:

– Ma tu swoje biuro? Jakies miejsce, gdzie trzymał papiery? Przecież chyba możemy się rozejrzeć, nie? Gdzieś muszą być wyciągi

bankowe, akty własności ziemi, jakieś umowy. Cholera, załóżę się, że kopia testamentu też leży w tym domu.

– Może Lettie coś wie – zauważyła Ramona.

– Jej lepiej do tego nie mieszać – mruknął Herschel. – Wyobraźcie sobie, że płacił jej pięć dolarów za godzinę za cały czas spędzany w tym domu.

– Pięć dolarów? – powtórzył Ian. – Ile my płacimy Berneice?

– Trzy pięćdziesiąt – powiedziała Ramona. – Za dwadzieścia godzin.

– My swojej w Memphis płacimy po cztery i pół – rzekł z dumą Herschel, jakby to on wystawiał czeki, a nie matka.

– Dlaczego taki stary skąpiec jak on płacił tyle forsy służącej? – zdumiała się Ramona. Zadała pytanie, choć wiedziała, że i tak nikt na nie nie odpowie.

– Niech się nacieszy – mruknął Herschel. – Jej dni są policzone.

– Chcesz powiedzieć, że ją zwalniamy? – spytała Ramona.

– Jak najszybciej. Nie mamy wyboru. Masz zamiar wyrzucać taką kasę w błoto? Posłuchaj, siostrzyczko, plan jest taki. Pójdziemy na pogrzeb, każemy Lettie doprowadzić dom do porządku, zwolnimy ją, zamkniemy dom na cztery spusty i w przyszłym tygodniu wystawimy go na sprzedaż. Miejmy nadzieję, że szybko pójdzie. Nie ma żadnego powodu, żeby miała zbijać tu bąki po pięć dolców za godzinę.

Siedząca w sypialni Lettie spuściła głowę.

– Może się tak nie śpieszmy – rzekł pojednawczo Ian. – Niedługo zapoznamy się z testamentem i dowiemy się, kto będzie jego wykonawcą. Zapewne któreś z was. Zwykle jest nim wdowa, wdowiec lub jedno z dzieci. Zgodnie z zapisami w testamencie wykonawca zajmie się sprzedażą majątku.

– Wszystko to wiem – syknął Herschel, choć wcale tak nie było. Ponieważ Ian miał na co dzień do czynienia z prawnikami, często udawał eksperta w kwestiach prawnych. Jeszcze jeden powód, żeby go nie cierpieć.

– Po prostu nie mogę uwierzyć, że on już nie żyje – jęknęła

Ramona i nawet otarła sobie łzę.

Herschel obrzucił ją nienawistnym spojrzeniem. Najchętniej walnąby ją na odlew. Przyjeżdżała tu raptem raz w roku, zwykle sama, bo Ian nie znosił tego miejsca, a Seth nie znosił Iana. Wyruszała z Jackson około dziewiętej i upierała się, by spotkać się z ojcem na lunchu zawsze w tej samej przydrożnej knajpie z grillem, piętnaście kilometrów na północ od Clanton, po czym jechała z nim do domu. O drugiej była już śmiertelnie znudzona towarzystwem ojca i o czwartej wyruszała w drogę powrotną. Dwójka jej dzieci w wieku szkolnym (chodziły do prywatnego gimnazjum) od lat nie widziała dziadka. Oczywiście Herschel nie mógł się pochwalić ani odrobinę bliższymi relacjami, przynajmniej jednak nie udawał i nie wylewał krokodylich łez, by okazać, jak bardzo brakuje mu starego.

Rozległo się pukanie do kuchennych drzwi i cała trójka aż podskoczyła. Za drzwiami stało dwóch mężczyzn w mundurach. Herschel wpuścił ich do środka. Wszyscy sztywno się sobie przedstawili, mężczyźni z biura szeryfa zdjęli kapelusze i podali ręce pozostałym.

– Przepraszam, że przeszkadzamy – powiedział funkcjonariusz Prather – ale wysłał nas szeryf Walls, który przy okazji przekazuje najszczerze kondolencje. Przyprawiliśmy samochód pana Hubbarda. – Podał kluczyki Herschelowi, a ten je wziął i podziękował.

Drugi, funkcjonariusz, Pirtle, wyjął z kieszeni kopertę.

– A to pan Hubbard zostawił tu, na kuchennym stole. Zabraliśmy to wczoraj po tym, jak go znaleźliśmy. Szeryf Walls zrobił kopię, ale uważa, że rodzina powinna mieć oryginał. – Podał kopertę Ramonie, która znów żałośnie chlipała.

Ona, jej mąż i brat kolejno podziękowali i po chwili niezręcznej ciszy, kiwania głowami i ściskania dłoni ludzie z biura szeryfa wyszli. Ramona otworzyła kopertę i wyjęła dwie kartki. Na pierwszej znajdował się liścik do Calvina, w którym Seth powiadał go, że jego śmierć jest zaplanowanym samobójstwem.

Druga była adresowana „Do wszystkich, których to dotyczy”.

Instrukcje w sprawie mojego pogrzebu:

Życzę sobie skromnego nabożeństwa w Chrześcijańskim Kościele Irlandzkiej Drogi we wtorek, 4 października, o 16.00, które odprawi wielebny Don McElwain. Chcę, żeby pani Nora Baines odśpiewała „Ten stary umęczony krzyż”. Nie życzę sobie żadnych mów pogrzebowych, zresztą nie sądzę, by ktoś chciał je wygłaszać. Wielebny McElwain może mówić, co mu się spodoba, ale najwyżej pół godziny.

Jeśli jacyś czarni przyjdą na mój pogrzeb, mają być wpuszczeni do środka. Jeśli nie chcecie ich wpuszczać, dajcie sobie spokój z całą ceremonią i po prostu zakopcie mnie w ziemi.

Moją trumnę mają nieść: Harvey Moss, Duane Thomas, Steve Holland, Billy Bowles, Mike Mills i Walter Robinson.

Instrukcja w sprawie pochówku:

Niedawno wykupiłem kwaterę na przykościelnym cmentarzu Irlandzkiej Drogi. Rozmawiałem z panem Magargelem z zakładu pogrzebowego i zapłaciłem mu za trumnę. Nie życzę sobie grobowca. Pogrzeb ma nastąpić zaraz po nabożeństwie żałobnym. Najwyżej pięć minut i trumna ma być opuszczona.

Na razie. Do zobaczenia po tamtej stronie.

Seth Hubbard

Przekazali sobie kartki z rąk do rąk, chwilę pomilczeli i dolali so-

bie kawy. Herschel odkroił kawałek ciasta cytrynowego i oznajmił, że jest pyszne. Oboje Dafoe odmówili.

– Wygląda na to, że wasz ojciec wszystko dokładnie zaplanował – mruknął Ian, czytając ponownie instrukcje. – Szybko i sprawnie.

– Musimy się zastanowić, czy ktoś inny nie maczał w tym palców – powiedziała Ramona. – W ogóle o tym nie mówimy. Czy nie powinniśmy przynajmniej się zastanowić? A jeśli to nie było samobójstwo? A jeśli ktoś inny to zrobił, i tylko wszystko upozorował? Naprawdę wierzycie, że tata mógł się zabić?

Herschel i Ian popatrzyli na nią z takim zdumieniem, jakby nagle wyrosły jej rogi. Obaj mieli ochotę ostro ją ofuknąć, wytknąć jej głupotę, jednak żaden tego nie zrobił i zapadło niezręczne milczenie. Herschel wolno ugryzł następny kęs ciasta, Ian wziął do ręki obie kartki i cicho spytał:

– Kochanie, jak by ktoś mógł upozorować coś takiego? Przecież charakter pisma Seta można poznać na kilometr.

Ramona chlipała, ocierając łzy.

– Mono, już zadałem szeryfowi to pytanie – dodał Herschel. – Jest pewny, że to było samobójstwo.

– Wiem, wiem – wyjąkała.

– Twój ojciec umierał na raka – przypomniał Ian. – Miał straszne bóle i różne takie, więc postanowił wziąć sprawę w swoje ręce. Wygląda na to, że zrobił to bardzo dokładnie.

– Nie mogę w to uwierzyć. Dlaczego nie mógł z nami porozmawiać?

Bo nigdy z sobą nie rozmawialiście, pomyślała słuchająca w sypialni Lettie.

– To nic niezwykłego w przypadku samobójstwa – oznajmił wszystkowiedzący Ian. – Samobójcy nigdy z nikim nie rozmawiają i potrafią wszystko bardzo szczegółowo zaplanować. Mój wujek, który zastrzelił się dwa lata temu...

– Twój wujek był pijakiem – prychnęła Ramona, wycierając sobie oczy.

– Tak, był. I był pijany, kiedy do siebie strzelał, a i tak wszystko

dokładnie zaplanował.

– Możemy porozmawiać o czymś innym? – powiedział Herschel.

– Nie, Mono, nikt mu w tym nie pomógł. Seth zrobił to sam i na dowód zostawił te listy. Proponuję poszperać po domu i poszukać papierów. Wyciągów bankowych, może testamentu. Czegoś, co może się nam przydać. Jesteśmy najbliższą rodziną i my tu teraz rządzymy. Chyba mamy prawo, nie?

Ian i Ramona pokiwali głowami.

Lettie uśmiechnęła się w duchu. Pan Seth wywiózł papiery do firmy i zamknął w szafie w swoim gabinecie. Przez ostatni miesiąc systematycznie opróżniał biurko i szuflady ze wszystkiego, co mogłoby mieć jakiegokolwiek znaczenie. W pewnym momencie powiedział: „Lettie, gdyby coś się ze mną stało, to pamiętaj, że wszystkie ważne papiery są w szafie w moim gabinecie w zakładzie. Zajmą się nimi prawnicy, nie moje dzieci”.

A na koniec dodał jeszcze: „I jest tam też coś dla ciebie”.

Rozdział 5

W poniedziałek w południe całe środowisko prawnicze okręgu Ford już huczało od plotek o samobójstwie i domysłów, która z kancelarii adwokackich została wybrana do administrowania testamentem. Większość zgonów wywoływała podobne poruszenie, śmiertelne wypadki samochodowe z oczywistych względów nawet większe. Wyjątkiem były zwykle morderstwa, gdyż mordercy z reguły wywodzili się z biedoty i nie gwarantowali godziwych honorariów. Wychodząc rano z domu, Jake nie miał nic do roboty – żadnych morderstw, żadnych karamboli samochodowych, żadnych obiecujących testamentów do zatwierdzenia. W porze lunchu zaczynał już w myślach wydawać zarobione honorarium.

W budynku sądu po drugiej stronie ulicy zawsze można było znaleźć coś do zrobienia. Dział ksiąg wieczystych mieścił się na pierwszym piętrze, w ogromnym pomieszczeniu z regałami pełnymi grubych ksiąg z wpisami nieruchomości za ostatnie dwieście lat. W początkach kariery zdarzało się Jake'owi – z nudów lub by się ukryć przed Lucieniem – ślęczeć godzinami nad starymi aktami własności i darowizn, jakby szykował się do grubszej sprawy z tego zakresu. Teraz, mając trzydzieści pięć lat i dziesięć lat pracy za sobą, starał się unikać tego miejsca. Uważał się za adwokata procesowego, a nie gryziopiórka; za wojownika sądowego, a nie cichego i skromnego prawnika, któremu wystarcza grzebanie w archiwach i przekładanie papierków z miejsca na miejsce. Niemniej zdarzały się sytuacje, kiedy Jake, jak każdy prawnik w mieście, uznawał za konieczne zanurzenie się na godzinę lub więcej w miejscowych archiwaliach.

W sali było tłoczno. Bogatsze firmy zatrudniały asystentów do grzebania w rejestrach i teraz też kilku siedziało przy stołach i przerzucało księgi. Jake zamienił parę słów z kolegami, którzy zapewne zjawili się tu w tym samym celu co on, jednak tematy rozmów ograniczyły się głównie do futbolu. Nikt nie chciał się przyznać do szperania w papierach Setha Hubbarda. Na wszelki wypadek Jake zajrzał do rejestru testamentów, by się upewnić, że Seth nie odziedziczył ziemi czy innych dóbr po jakimś Hubbardzie, jednak w rejestrze obejmującym ostatnie dwadzieścia lat nic nie znalazł. Wyszedł z sali i przespacerował się do kancelarii głównej. Chciał zajrzeć do starych akt rozwodowych, jednak kancelarię okupowali już inni prawnicy.

Nie pozostało mu nic innego, jak wyjść z sądu i poszukać lepszego źródła informacji.

△△△

Trudno było dziwić się niechęci Setha Hubbarda do prawników z Clanton. Większość pozwanych, czy to w sprawach rozwodowych, czy innych, którzy starli się z Harrym Rexem Vonnerem, do końca życia liżała rany i nienawidziła całej profesji prawniczej. Seth nie był pierwszym samobójcą.

Harry Rex wytaczał z człowieka krew, a wraz z nią wyciskał pieniądze, ziemię i wszystko, co się dało. Rozwody były jego specjalnością, im paskudniejsze, tym lepsze. Uwielbiał babrać się w brudach, toczyć ryszotkowe boje, walczyć wręcz, korzystać z nielegalnych podsłuchów telefonicznych i zaskakiwać delikwenta fotografią kochanki w jej nowym kabriolecie. Jego procesy przypominały walkę pozycyjną w okopach. Wysokość wywalczanych przez niego alimentów biła rekordy. Dla własnej satysfakcji potrafił zamienić przyjazny rozwód bez orzekania o winie w morderczą dwuletnią batalię. Lubił oskarżać byłych kochanków o rozkład życia uczuciowego. Gdy żadna z jego brudnych sztuczek nie dawała rezultatu, wymyślał nowe. Wykorzystując niemal monopolistyczną pozycję na rynku, sprawował kontrolę nad rejestrem spraw i terroryzował

urzędników sądowych. Młodzi adwokaci przed nim uciekali, starzy, którzy już się na nim sparzyli, trzymali się na odległość. Miał niewielu przyjaciół, a ci, którzy zachowywali wobec niego lojalność, często musieli się do tego zmuszać.

Spośród miejscowych adwokatów Harry Rex ufał tylko Jake'owi, a on odwzajemniał się tym samym. Gdy w trakcie procesu Haileya Jake cierpiał na bezsenność, tracił wagę i koncentrację, był nękany skrytobójczymi kulami i groźbami śmierci i coraz bardziej się obawiał, że zawali największą sprawę w swojej karierze, Harry Rex nagle przyszedł mu z pomocą. Pozostał w cieniu do końca procesu, pracował wiele godzin bez wynagrodzenia, udzielił Jake'owi masy bezpłatnych rad i pomógł mu nie oszaleć.

Jak zwykle w poniedziałek Harry Rex siedział u siebie w biurze i jadł ogromnego *po'boya** na lunch. Dla adwokatów specjalizujących się w rozwodach poniedziałki są najpracowitszymi dniami tygodnia, bo w weekendy dochodzi do licznych awantur domowych i małżonkowie noszący się wcześniej z myślą o rozstaniu przystępują do działania. Jake wszedł do biura od tyłu, co pozwalało uniknąć opryskliwych sekretarek oraz zadymionej poczekalni z tłumem podenerwowanych klientów. Drzwi gabinetu Harry'ego Rexa były zamknięte. Jake przytknął do nich ucho, nie usłyszał żadnych odgłosów, i naciśnął klamkę.

Po'boy (zwany też *poor boy* lub *hoagie*) – kanapka z przekrojonej wzdłuż bagietki z wędliną, serem, cebulą, pomidorem i ostrym sosem.

– Czego chcesz? – burknął Harry Rex z ustami pełnymi jedzenia. Nadgryziona kanapka leżała na kawałku papieru śniadaniowego, obok wznosił się kopczyk frytek polanych sosem barbecue i stała butelka piwa Bud Light.

– Też cię witam, Harry Rexie. Przepraszam, że przeszkadzam ci w lunchu.

Harry wytarł usta wierzchem pulchnej dłoni.

– W lunchu mi nie przeszkadzasz – mruknął. – Co jest?

– Od rana pijesz? – spytał Jake, zapadając się w obszerny skórzany fotel.

- Jakbyś miał takich klientów, to zaczynałbyś od śniadania.
- Myślałem, że właśnie tak robisz.
- Nigdy w poniedziałki. Co u panny Carli?
- W porządku, dziękuję. A jak sobie radzi panna... mmm... jak ona ma na imię?

- Jane, dowcipnisiu, Jane Ellen Vonner. I nie radzi sobie, tylko świetnie się bawi i jest wdzięczna losowi za szczęście, jakie ją spotkało. W końcu znalazłem kobietę, która mnie rozumie. – Chwycił garść czerwonych od sosu frytek i wpakował sobie do ust.

- Gratuluję. To kiedy będę miał zaszczyt ją poznać?
- Jesteśmy małżeństwem od dwóch lat.
- Wiem, ale wolę odczekać pięć. Nie ma sensu się śpieszyć, skoro twoje panienki mają taki krótki okres przydatności do spożycia.
- Przyszedłeś mnie obrażać?
- Ależ skąd! – Przerzucanie się obelgami było ich ulubionym wyglupem. Adwokat ważył sto czterdzieści kilo i poruszał się jak stary rozleniwiony niedźwiedź, jednak język miał zaskakująco szybki i kąśliwy. – Powiedz mi coś o Secie Hubbardzie.

Harry Rex parsknął śmiechem, pryskając okruchami jedzenia.

- Ostatni palant. Czemu pytasz?
- Wiem od Ozziego, że zajmowałaś się jednym z jego rozwodów.
- Jego drugim, jakieś dziesięć lat temu. Mniej więcej wtedy, gdy zjawiłaś się w tym mieście i zaczęłaś udawać adwokata. A czemu on cię interesuje?

- Bo zanim się zabił, napisał list oraz dwustronicowy testament. Jedno i drugie dostałem dziś rano pocztą.

Harry Rex pociągnął łyk piwa, zmrużył oczy i na moment się zamyślił.

- Poznaliście się kiedyś? – spytał.
- Nigdy.
- To szczęściarz z ciebie. Nic nie straciłeś.
- Nie mów tak o moim kliencie.
- I co jest w tym testamencie?
- Nie mogę powiedzieć. Wolno mi go złożyć w sądzie dopiero po

pogrzebie.

- Kto wszystko dostanie?
- Nie mogę powiedzieć. Powiem ci w środę.
- Dwustronicowy testament holograficzny sporządzony dzień przed samobójstwem? Wygląda mi to na pięcioletnią zabawę na sali sądowej.

- Liczę na to.

- Na jakiś czas nudę masz z głowy.

- Przyda mi się dobrze płatne zajęcie. Co wiesz o jego majątku? Harry Rex pokręcił głową i sięgnął po kanapkę.

- Nic nie wiem – rzekł, odgryzając kęs. Zdecydowana większość znajomych Jake'a starała się nie mówić z pełnymi ustami, ale tego rodzaju towarzyskie fanaberie nigdy nie obchodziły Harry'ego Rexa. – Jeśli dobrze pamiętam, a w końcu było to dziesięć lat temu, miał dom przy Simpson Road i wokół spory kawał ziemi. Najcenniejszym składnikiem majątku był tartak i skład drewna przy szosie dwadzieścia jeden pod Palmyrą. Moją klientką była... mmm... Sybil, Sybil Hubbard, żona numer dwa. Dla niej to też było drugie czy trzecie małżeństwo.

Po dwudziestu latach i niezliczonych sprawach sądowych Harry Rex wciąż potrafił wygrzebać z pamięci nazwiska dawnych klientów. Im ich proces był obrzydliwszy, tym dłużej go pamiętał.

Znów napił się piwa i mówił dalej:

- Była dość fajna, całkiem atrakcyjna babka, cholernie sprytna. Pracowała w składzie drewna, praktycznie nim kierowała. Firma świetnie prosperowała i Seth postanowił się rozwinąć. Dokupił skład drewna w Alabamie i zaczął tam przesiadywać. Okazało się, że w tamtejszym biurze pracowała sekretarka, która zagięła na niego parol. Wszystko się wydało, Seth został przyłapany na gorącym uczynku i Sybil wynajęła mnie, żebym mu przypiekle tyłek. No to przypiekle. Przekonałem sąd, żeby mu nakazał sprzedaż tartaku i składu drewna pod Palmyrą. Tego w Alabamie nie ruszaliśmy, bo nie przynosił zysków. Firma poszła za dwieście tysięcy dolców i całość dostała się mojej klientce. Mieli też niezły apartament koło Destin nad Zatoką

Meksykańską, który sąd również przyznał Sybil. To w skrócie przebieg sprawy, ale akta mają ze trzydzieści centymetrów grubości. Możesz do nich zajrzeć, jeśli chcesz.

– Może później. Nie wiesz, jak wygląda jego ostatni bilans?

– Pojęcia nie mam. Straciłem go z oczu. Po rozwodzie zapadł się pod ziemię. Gdy ostatni raz rozmawiałem z Sybil, mieszkała przy plaży z nowym mężem, o wiele młodszym od niej. Powiedziała, że świetnie się bawi. Słyszała, że Seth wrócił do branży drzewnej, ale nie znała szczegółów. – Przełknął duży kęs, przepłukał usta piwem i głośno beknął, nawet nie mrugnawszy okiem na znak zażenowania. – Rozmawiałaś z jego dziećmi?

– Jeszcze nie. Znasz ich?

– Wtedy ich poznałem. Postarają się, żebyś się z nimi nie nudził.

Herschel to prawdziwa łajza. A jego siostra... jak ona się nazywa?

– Ramona Hubbard Dafoe.

– O właśnie. Jest kilka lat młodszą od Herschela i obraca się w towarzyskich kręgach północnego Jackson. Żadne nie miało wspólnego języka z Sethem, ale zawsze mi się zdawało, że to on nie nadaje się na ojca. Oboje lubili Sybil, swoją macochę. Kiedy się okazało, że Sybil wyjdzie z tego rozwodu zwycięsko i zgarnie całą forszę, opowiedzieli się po jej stronie. Czeka, niech zgadnę! Stary nic im nie zapisał, tak?

Jake bez słowa skinął głową.

– No to się wściekną i wezmą adwokata. Czeka cię niezła zabaawa, Jake. Szkoda, że nie mogę się wkręcić i coś z tego uszczknąć.

– I to jaka.

Harry Rex przełknął ostatni kęs kanapki i resztę frytek, zgniółł opakowania i razem z pustą butelką wrzucił wszystko gdzieś pod biurko. Odsunął szufladę, wyjął długie czarne cygaro i wetknął sobie do ust, ale nie zapalił. Rzucił palenie cygar, wciąż jednak zużywał ich po dziesięć dziennie, rozgryzając je i plując kawałkami tytoniu.

– Słyszałem, że się powiesił. To prawda?

– Prawda. Wszystko skrupulatnie zaplanował.

– Wiesz może dlaczego?

– Znasz plotki. Podobno umierał na raka. Nic ponadto nie wiadomo. Kto go reprezentował w sprawie rozwodowej?

– Zrobił błąd i zaangażował Stanleya Wade'a.

– Wade'a? Od kiedy Wade zajmuje się rozwodami?

– Już się nie zajmuje – powiedział Harry Rex, śmiejąc się. Obliznął wargi i jego twarz spoważniała. – Posłuchaj, Jake, z żalem ci to mówię, ale to, co się wydarzyło dziesięć lat temu, nie ma żadnego związku z tą sprawą. Oskubałem Hubbarda ze wszystkiego, co miał, oczywiście zatrzymałem sobie odpowiednio dużo, całą resztę przekazałem klientce i zamknąłem sprawę. To, co Seth robił po rozwodzie numer dwa, w ogóle mnie nie dotyczy. – Wskazał ręką stertę papierów na biurku. – To moja poniedziałkowa porcja. Chcesz się później umówić na drinka, proszę bardzo, ale w tej chwili jestem zawałony robotą.

Drink z Harrym Rexem oznaczał zwykle spotkanie po dziewiątej wieczorem.

– Jasne, umówimy się. – Jake ruszył do wyjścia, uważając, by nie potknąć się o rozrzucone po podłodze akta.

– Jake, czy to znaczy, że Hubbard unieważnił swój poprzedni testament?

– Tak.

– I że ten poprzedni testament został spisany w firmie nieco większej od twojej?

– Tak.

– No to na twoim miejscu pognałbym do sądu i jako pierwszy złożył wniosek o zatwierdzenie nowego testamentu.

– Mój klient zażyczył sobie, żeby to zrobić dopiero po pogrzebie.

– A kiedy jest pogrzeb?

– Jutro o szesnastej.

– Sąd zamykają o siedemnastej. Zjaw się tam. Kto pierwszy, ten lepszy.

– Dzięki, Harry Rexie.

– Nie ma za co. – Vonner znów głośno beknął i wziął do ręki teczkę z aktami.

Przez całe popołudnie trwał nieustanny ruch. Sąsiedzi, członkowie kółka parafialnego i znajomi pielgrzymowali do domu Setha, znosząc jedzenie i składając kondolencje, ale przede wszystkim próbując wywęszyć, ile jest prawdy w pogłoskach rozchodzących się po północno-wschodniej części okręgu Ford.

Większość odchodziła z kwitkiem, grzecznie, ale stanowczo odprawiana przez Lettie, która strzegła drzwi, odbierała ciasta i zapiekanki, przyjmowała kondolencje i cierpliwie tłumaczyła, że „rodzina jest bardzo wdzięczna, ale nie przyjmuje żadnych gości”. Mimo to niektórym udawało się wcisnąć do środka. Wchodzili do salonu i rozglądali się po wnętrzu, chłonąc atmosferę domu ich świętej pamięci drogiego przyjaciela. Nigdy wcześniej tu nie byli i Lettie o żadnym z nich nie słyszała, ale wszyscy byli pogrążeni w głębokim smutku. Cóż za tragiczny koniec. Naprawdę się powiesił?

Rodzina zebrała się na patio za domem. Siedzieli przy stole piknikowym i kryli się przed ludzkim wzrokiem. Przeszukanie biurka i szuflad Setha nic nie dało. Na ich pytania Lettie odpowiadała, że nie wie, choć mieli co do tego wątpliwości. Mówiła cichym, spokojnym głosem, namyślała się nad każdą odpowiedzią, co budziło jeszcze większą podejrzliwość. Korzystając z chwilowej przerwy w odwiedzinach, o drugiej podała im lunch. Zażyczyli sobie, by nakryła stół piknikowy obrusem, położyła płócienne serwetki i srebrne sztuce, choć nieużywana od lat zastawa była w opłakanym stanie. Nie powiedzieli tego głośno, ale z ich min wynikało, że przy stawce pięciu dolarów za godzinę Lettie powinna zachowywać się jak prawdziwa służąca.

Krążąc między kuchnią a patio, Lettie słyszała, jak się spierają, kto z rodziny ma wziąć udział w pogrzebie, a kto nie. Na przykład Ian był akurat w trakcie walki o ogromny kontrakt, który mógł rzutować na finansową przyszłość całego stanu. Miał na jutro poumawiane ważne spotkania i ich odwołanie mogło spowodować poważne problemy.

Herschel i Ramona niechętnie pogodzili się z myślą, że nie uda im się wymigać od obecności na nabożeństwie, choć słuchając ich, Lettie

miała wrażenie, że starają się jeszcze coś wymyślić. Stan zdrowia Ramony z godziny na godzinę ulegał pogorszeniu i nie wiedziała, czy to wszystko zniesie. Na byłą żonę Herschela nie mogli liczyć, zresztą on wcale jej tu nie chciał. Nigdy nie lubiła Setha, a ten jej wręcz nie cierpiał.

Herschel miał dwie córki, jedną w college'u w Teksasie, drugą w liceum w Memphis. Starsza nie mogła sobie pozwolić na opuszczenie kolejnych zajęć, zresztą Herschel przyznał, że nie była specjalnie zżyta z dziadkiem. No coś takiego, parsknęła w duchu Lettie, sprzątając ze stołu. Przyjazd młodszej córki też był wątpliwy.

Seth miał jednego brata, ich stryjka Ancila, którego żadne nigdy nie widziało na oczy i nic o nim nie wiedziało. Według szczątkowych wiadomości rodzinnych, stryjek Ancil podał fałszywą datę urodzenia i w wieku szesnastu czy siedemnastu lat zaciągnął się do marynarki wojennej. Został ranny na Pacyfiku, ale przeżył, po czym kręcił się po kraju, imając się różnych zajęć związanych z morzem. Wiele lat temu Seth stracił kontakt z młodszym bratem i nigdy o nim nie wspominał. Nie mieli żadnej możliwości (ani powodu), by próbować zawiadomić Ancila o śmierci brata. Zresztą pewnie i tak już nie żył.

Porozmawiali o kilku dalszych krewnych, z którymi od lat nie utrzymywali kontaktu i nie mieli ochoty, by go teraz nagle nawiązywać. Co za nieszczęsna i dziwaczna rodzina, myślała Lettie, stawiając na stole talerze z ciastami. Zapowiadał się skromny i szybki pogrzeb.

– Wyrzucmy ją – zaproponował Herschel, gdy Lettie wróciła do kuchni. – Zdiera z nas po pięć dolców za godzinę.

– Z nas? – zachnęła się Ramona. – Od kiedy my jej płacimy?

– No cóż, tak czy siak, jest teraz naszą pracownicą. Wszystko idzie ze spadku.

– Nie mam zamiaru sprzątać w tym domu, Herschel, a ty?

– Oczywiście, że nie.

– Uspokójcie się – wtrącił Ian. – Odwalmy ten pogrzeb i całą resztę, potem każemy jej wysprzątać dom, w środę zamkniemy go na klucz i wyjedziemy.

– Kto ją powiadomi o zwolnieniu? – spytała Ramona.

– Mogę ja – zaofiarował się Herschel. – To nic wielkiego. Przecież to tylko sługa.

– Trochę dziwnie się zachowuje – powiedział Ian. – Nie potrafię tego nazwać, ale zachowuje się tak, jakby wiedziała coś o czym my nie wiemy. Nie macie takiego wrażenia?

Coś tu jest zdecydowanie nie tak – potwierdził Herschel, zaskoczony, że może się w czymś zgodzić ze szwagrem.

Tym razem Ramona była innego zdania.

Nie, jest tylko smutna i przybita. To jedna z niewielu osób, które Seth tolerował, a ona tolerowała jego, więc to oczywiste, że jest jej smutno. Wie też, że straci pracę.

– Myślisz, że czuje, że ją zwolnimy? – spytał Herschel.

– Na pewno się tym martwi.

– Jest tu tylko sługa.

△△△

Lettie wróciła do domu z tortem, wspaniałomyślnie podarowanym jej przez Ramonę. Tort był cienki, jednowarstwowy, obłany z wierzchu kupnym lukrem z zatopionymi w nim kawałkami podpieczonego ananasa. Bez wątplenia wyglądał najmniej smakowicie ze wszystkich deserów stojących na kuchennym blacie. Przyniósł go jakiś mężczyzna z parafii, który przy okazji spytał Lettie, czy rodzina zamierza sprzedać pick-upa marki Chevrolet, należącego do Seta Hubbarda. Lettie odrzekła, że nic jej na ten temat nie wiadomo, obiecała spytać rodzinę, ale tego nie zrobiła.

Poważnie się wahała, czy po drodze do domu nie wyrzucić ciasta do przydrożnego rowu, nie mogła jednak zdobyć się na takie marnotrawstwo. Jej matka walczyła z cukrzycą i nie potrzebowała dodatkowej porcji słodyczy, gdyby jej przyszło do głowy spróbować tego specjału.

Lettie zaparkowała na żwirowanym podjeździe, odnotowując w myślach, że pod domem nie ma starej półciężarówki Simeona. Nie zdziwiło jej to, bo mąż nie pojawiał się już od paru dni. Nawet wołała, gdy go nie było, tyle że nigdy nie wiedziała, kiedy może się zjawić.

Ich dom nie należał do szczęśliwych nawet w dobrych czasach, a obecność męża nie poprawiała sytuacji.

Dzieci wciąż jeszcze jeździły po okolicy szkolnym autobusem, powoli zbliżając się do domu. Lettie weszła tylnymi drzwiami i położyła tort na kuchennym stole. Cypress była w salonie, jak zwykle tkwiąc przed telewizorem od rana i oglądając wszystko jak leci.

Na widok Lettie wyrzuciła w górę ramiona.

– Moja córeczka – powiedziała z uśmiechem. – Jak ci minął dzień?

Lettie pochyliła się i czule ją uściskała.

– Trochę się działo. A u ciebie?

– Tylko ja i ekran. Jak ci Hubbardowie radzą sobie z taką stratą? Siadaj i opowiadaj.

Lettie wyłączyła telewizor, usiadła na stolku obok wózka matki i zaczęła relacjonować swój dzień. Od przyjazdu Herschela i państwa Dafoe do domu ich dzieciństwa bez przerwy coś się działo. Byli w nim po raz pierwszy pod nieobecność ojca i nie mieli ani chwili spokoju: sąsiedzi, poczęstunki, niekończący się korowód. Jak wynikało z relacji, nie można się było nudzić. Lettie ani słowem nie wspomniała o kłopotach. Ciśnienie Cypress ledwo dawało się utrzymać na jakim takim poziomie za pomocą zestawu lekarstw, ale najmniejsze zdenerwowanie mogło spowodować nagły skok. Lettie zamierzała powiedzieć matce, że wkrótce straci pracę, ale postanowiła zrobić to w dogodniejszej chwili.

Na pewno taka się trafi.

– A co z pogrzebem? – spytała Cypress, gładząc córkę po ręce.

Lettie opowiedziała o przygotowaniach, potwierdziła, że zamierza w nim uczestniczyć, i z naciskiem podkreśliła wolę pana Hubbarda, że czarni mają być wpuszczeni do kościoła.

– Pewnie posadzą cię w ostatniej ławce. – Cypress się skrzywiła.

– Pewnie tak. Ale i tak pójdę.

– Szkoda, że ja nie mogę.

– Też żałuję. – Z uwagi na tuszę i trudności z poruszaniem, Cypress rzadko wychodziła z domu. Żyła tak już od pięciu lat, cały czas

tyła i z miesiąca na miesiąc była coraz bardziej nieruchawa. Simeon uciekał z domu z wielu powodów, i jednym z nich niewątpliwie była teściowa. – Pani Dafoe dała nam w prezencie tort. Masz ochotę na kawałek?

– A z czym? – Choć ważyła tonę, Cypress bywała wybredna w sprawach jedzenia.

– Na wierzchu z anansem i czymś jeszcze. Chyba nigdy takiego nie jadłam, ale może warto spróbować. Napijesz się do tego kawy?

– Tak, i mały kawałeczek.

– Usiądźmy na dworze, mamó, łykniemy trochę świeżego powietrza.

– Chętnie. – Wózek Cypress ledwo się mieścił między sofą a telewizorem i sięgał niemal od ściany do ściany wąskiego korytarzyka do kuchni. Otarł się o kuchenny stół i z trudem zmieścił w tylnych drzwiach. Lettie ostrożnie wypchnęła wózek na zapadający się drewniany podest za domem, który Simeon wiele lat temu sklecił z desek.

Przy ładnej pogodzie Lettie lubiła wypić popołudniową kawę lub mrożoną herbatę na dworze, bo pozwalało to uciec od hałasów i ciasnoty w starym domu, w którym były tylko trzy nieduże sypialnie, o wiele za mało dla tylu domowników. Cypress zajmowała jedną, Lettie i Simeon (jeśli był w domu) drugą, dzieląc ją z którymś z wnucząt. Córki jakoś się upychały w trzeciej. Szesnastoletnia Clarice chodziła do liceum i nie miała dzieci. Dwudziestoletnia Phedra miała jedno dziecko w przedszkolu, drugie w pierwszej klasie i nie miała męża. Najmłodszy, czternastoletni syn Kirk spał na kanapie w salonie. Do tego dochodziła cała czworoosobowa siostrzenica i bratanków, którzy pomieszkiwali całymi miesiącami, czekając, aż ich rodzice dojdą z sobą do ładu.

Cypress upiła łyk kawy rozpuszczalnej i dziobnęła widelcem kawałek tortu. Włożyła go do ust, pogryzła i się skrzywiła. Lettie też nie smakował, obie ograniczyły się więc do kawy i zaczęły rozmawiać o pokręconej rodzinie Hubbarda. Pośmiały się trochę z białych i tego, że zawsze tak się śpieszą z pogrzebaniem swoich bliskich, zwykle w

ciągu dwóch czy trzech dni od śmierci. Czarni nigdy się z tym nie śpieszyli.

– Wyglądasz na zatroskaną, kochanie. Co ci jest? – spytała łagodnym tonem Cypress.

Wkrótce dzieci wrócą ze szkoły, potem Phedra z pracy. Lettie wiedziała, że to ostatnia spokojna chwila przed pójściem spać. Zaczepnęła powietrza i zaczęła mówić:

– Słyszałam ich rozmowę, mamó. Zamierzają mnie zwolnić. Pewnie już w tym tygodniu, zaraz po pogrzebie.

Cypress pokręciła swą wielką okrągłą głową i zrobiła taką minę, jakby miała się rozpłakać.

– Ale dlaczego?

– Pewnie niepotrzebna im będzie gospodyni. Zamierzają sprzedać dom, bo żadne z nich go nie chce.

– Boże święty.

– Nie mogą się już doczekać, żeby dobrać się do jego pieniędzy. Nigdy nie mieli czasu na odwiedziny, a teraz krążą nad nim jak sępy.

– Jak to biali. Zawsze tak robią.

– Uważają, że za dużo mi płacił, więc chcą się mnie jak najszybciej pozbyć.

– A ile on ci płacił?

– No wiesz, mamó. – Lettie nie przyznała się nikomu z rodziny, że pan Hubbard płaci jej pięć dolarów za godzinę, i to gotówką do ręki. Jak za pomoc domową w wiejskich rejonach Missisipi była to rzeczywiście dość wysoka stawka, i Lettie wołała się tym nie chwalić, żeby nie narobić sobie kłopotu. Rodzina mogłaby zacząć dopominać się o więcej, znajomi mogliby zacząć gadać. „Trzymaj zawsze język za zębami, Lettie – powtarzał pan Hubbard. – Nigdy nie rozmawiaj o swoich pieniądzach”. Wiedząc, ile zarabia żona, Simeon mógłby stracić resztki chęci do pracy. Jego zarobki były równie nieregularne jak obecność w domu, więc Lettie nie chciała dodatkowo zniechęcać męża do przynoszenia pieniędzy. – Słyszałam, jak mnie nazwali sługą.

– Sługą? Już dawno tego nie słyszałam.

– To nie są dobrzy ludzie, mamó. Nie sądzę, żeby pan Hubbard był dobrym ojcem, ale jego dzieci są okropne.

– A teraz dostaną po nim wszystkie pieniądze.

– Pewnie tak. Na to liczą.

– Ile tego jest?

Lettie pokręciła głową i upiła łyk zimnej kawy.

– Nie mam pojęcia. Chyba nikt tego nie wie.

Rozdział 6

Gdy we wtorek za pięć czwarta po południu przed Chrześcijański Kościół Irlandzkiej Drogi podjechał dyskretnie oznakowany samochód szeryfa, parking był w połowie wypełniony. Ozzie wolał unikać ostentacji i na karoserii wozu nie było żadnych z daleka widocznych napisów czy numerów, niemniej od razu dawało się poznać, że to pojazd policyjny. Wielki, czterodrzwiowy brązowy ford z czarnymi felgami, pęczkiem anten na dachu i niebieską, częściowo ukrytą lampą na desce rozdzielczej był typowym pojazdem wszystkich szeryfów w całym stanie.

Ozzie zaparkował obok stojącego na uboczu czerwonego saaba. Obaj z Jakiem wysiedli niemal równocześnie i ruszyli przez parking.

– Coś nowego? – spytał Jake.

– Nic – odrzekł Ozzie. Miał na sobie ciemny garnitur z krawatem, a na nogach czarne kowbojki. Jake był ubrany podobnie, z wyjątkiem kowbojek. – Au ciebie?

– Nic. Pewnie jutro zacznie się zadyma.

Ozzie parsknął śmiechem.

– Już nie mogę się doczekać.

Kościół zbudowano z czerwonej cegły jako kaplicę z niską, przysadzistą wieżą nad wejściem, jednak później obudowano nieodzownymi dodatkami – budynkiem tuż obok, przy którym kaplica optycznie zmalała, drugim z tyłu, gdzie młodzież grywała w koszykówkę. Na łagodnym stoku za kościołem rozciągał się ocieniony drzewami cmentarz, ładne i spokojne miejsce na wieczny spoczynek.

Przed wejściem stała grupka miejscowych kmiotków w rzadko

noszonych garniturach, którzy łączywie pociągali ostatniego dymka przed wejściem do środka. Chóralnie powitali szeryfa i uprzejmie kiwnęli głowami Jake'owi. W kościelnych ławkach zebrał się już tłumek żałobników, światła były przytłumione, organista cicho grał żalobną muzykę, wprowadzającą obecnych w odpowiedni nastrój. Przystrojoną kwiatami zamkniętą trumnę z ciałem Setha ustawiono na środku poniżej pulpitu, obok pianina po lewej siedzieli rządkiem mężczyźni wyznaczeni do niesienia trumny.

Jake i Ozzie usiedli jako jedyni w ostatnim rzędzie i rozejrzeli się po wnętrzu. Kilka rzędów przed nimi siedziało pięcioro czarnoskórych uczestników uroczystości.

Ozzie wskazał ich głową i szeptem powiedział:

- Ta w zielonej sukience to Lettie Lang.
- A ci inni? – spytał szeptem Jake.

Ozzie pokręcił głową.

- Z tej odległości nie poznaję.

Jake spojrzał na głowę Lettie i pomyślał o awanturze, która wkrótce ich czeka. Nigdy wcześniej nie słyszał o tej kobiecie i nigdy się nie spotkali, a teraz przyjdzie im się poznać aż za dobrze.

Lettie siedziała nieświadoma jego obecności, z rękami splecionymi na kolanach. Rano przepracowała trzy godziny, po czym Herschel kazał jej wyjść. Gdy była już przy drzwiach, powiadomił ją, że jutro, w środę, o piętnastej przestaje być zatrudniona w domu Setha, a dom zostanie zamknięty, po czym aż do wydania przez sąd ostatecznej decyzji będzie stał pusty. Lettie miała odłożone na koncie czterysta dolarów, o których istnieniu Simeon nawet nie wiedział, a także trzysta dolarów w słoiku po ogórkach konserwowych, który stał ukryty w spiżarni. Poza tym była bez grosza i miała nikłe szanse na znalezienie nowej pracy. Nie rozmawiała z mężem od blisko trzech tygodni. Zdarzało się, że wracał do domu z czekiem lub gotówką w portfelu, jednak najczęściej przyjeżdżał urzęnięty i od razu kładł się spać.

Można by pomyśleć, że jako przyszła bezrobotna z rachunkami do zapłacenia i gębami do wykarmienia Lettie siedziała, słuchając

żałobnych organów i zamartwiając się o przyszłość, jednak wcale tak nie było. Pan Hubbard nieraz ją zapewniał, że gdy umrze – a wiedział, że dużo życia mu już nie zostało – coś dla niej zostawi. Nie wiedziała, jak duże jest to „coś”, więc mogła jedynie marzyć. Gdyby tylko wiedziała, myślał siedzący cztery rzędy za nią Jake. Ale nie wiedziała nawet, że on tu jest. Lettie później utrzymywała, że zapamiętała nazwisko Brigance z procesu Haileya, jednak nigdy wcześniej nie widziała adwokata na oczy.

W środku pierwszego rzędu, tuż za trumną, siedziała Ramona Dafoe, mając po bokach Iana i Herschela. Żadnemu z wnuków Seta nie udało się przyjechać na pogrzeb. Byli zbyt zajęci, zresztą ich rodzice specjalnie nie naciskali. Za nimi rozsiedli się krewni tak dalecy, że musieli się sobie przedstawiać przed wejściem do kościoła, a nazwiska zostały od razu zapomniane. Rodzice Hubbarda nie żyli od kilkudziesięciu lat, kontakty z jego jedynym bratem Ancilem urwały się dawno temu. Rodzina nie należała do najliczniejszych, a ostatnie lata mocno ją jeszcze przetrzebiły.

W mrocznym wnętrzu siedziało kilkadziesiąt innych osób – pracowników Seta, znajomych i członków jego kółka parafialnego. Gdy punktualnie o szesnastej pastor Don McElwain stanął za pulpitem, wszyscy poczuli, że nabożeństwo nie będzie długie.

Pastor odmówił modlitwę i wygłosił krótką mowę żegnającą Seta urodzonego dziesiątego maja 1917 roku w okręgu Ford i tam zmarłego drugiego października 1988 roku. Seth dołączył do świętej pamięci rodziców i zostawił po sobie dwoje dzieci i kilkoro wnucząt. I tak dalej.

Kilka rzędów przed sobą i nieco w lewo Jake rozpoznał znajomą twarz mężczyzny w eleganckim garniturze. Był jego rówieśnikiem i kolegą ze studiów. Nazywał się Stillman Rush, był adwokatem i wyjątkowym kutasem, reprezentującym trzecie pokolenie znanej prawniczej rodziny, elity pierwszoligowych prawników korporacyjnych i ubezpieczeniowych, przynajmniej w skali wiejskiego Południa. Rush & Westerfield, największa firma prawnicza w północnym Missisipi z siedzibą w Tupelo i oddziałem blisko ciebie, w twoim

centrum handlowym. Seth Hubbard wspomniał o firmie Rusha w liście do Jake'a i w swoim testamencie, nie ulegało więc wątpliwości, że Stillman Rush i towarzyszący mu dwaj wystrojeni mężczyźni zjawili się na pogrzebie, aby pilnować interesu. Prawnicy od ubezpieczeń zwykle działają parami. Nawet najprostsze czynności o charakterze prawnym zawsze wymagają udziału dwóch osób: dwie składają wniosek w sądzie; dwie stawiają się na wezwanie w sprawie ustalenia terminu; dwie biorą udział w przesłuchaniu w sprawie wniosku nieoprotowanego; dwie jadą tu czy tam; no i oczywiście dwie zapełniają teczkę dokumentami i wystawiają rachunki. Wielkie firmy prawnicze kochają wszelkie niedoróbki, bo im więcej czasu muszą poświęcić na ich wyprostowanie, tym wyższe jest honorarium.

Ale aż trzech? Na krótkim pogrzebie gdzieś na zadupiu? To robiło wrażenie. To pachniało pieniędzmi. Czujny i pracujący na wysokich obrotach umysł Jake'a nie miał wątpliwości, że wszyscy trzej włączyli liczniki w chwili wyjazdu z biura w Tupelo i teraz siedzą w kościele pogrążeni w żałobie po dwieście dolarów za godzinę. Według słów Hubbarda, jego testament sporządził we wrześniu 1987 Lewis McGwyre i Jake domyślał się, że jednym z dwóch wystrojonych palantów jest właśnie on. Jake nie znał nikogo o tym nazwisku, ale w firmie pracowało wielu prawników, a skoro sporządzili testament, to oczywiście zakładali, że także oni zajmą się jego zatwierdzeniem.

Jutro znów tu przyjadą, pomyślał. Co najmniej dwóch, ale może i trzech, by dostarczyć dokumenty do sekretariatu sądu kanclerskiego na pierwszym piętrze gmachu. Stawią się tam i poinformują Evę lub Sarę, że przybyli z testamentem Setha Hubbarda, a Eva lub Sara słłumi uśmiech i będzie udawała zmieszanie. Pogrzebie w papierach, zada kilka pytań, po czym ich zaskoczy: przykro mi, panowie, ale troszkę się spóźniliście. Postępowanie w sprawie spadku po panu Hubbardzie już zostało otwarte.

A potem Eva lub Sara pokaże im nowy wpis w rejestrze, a oni w niemym zdumieniu będą się wpatrywać w krótki, własnoręcznie sporządzony testament, w którym jest wyraźnie napisane, że jego autor odwołuje i unieważnia poprzedni, na który panowie tak liczyli. I

wybuchnie wojna. W pierwszym odruchu się wściekną i obrzuca Brigance'a wyzwiskami, potem jednak dojdą do wniosku, że taka wojna może być korzystna dla wszystkich biorących w niej udział prawników.

Lettie otarła łzę i pomyślała, że jest chyba jedyną płaczącą osobą.

Przed trzema prawnikami siedziało kilku mężczyzn o wyglądzie biznesmenów. Jeden z nich odwrócił głowę i powiedział coś do Stillmana Rusha, a Jake pomyślał, że to pewnie któryś z dyrektorów w zakładach Setha. Jego najbardziej interesował Russell Amburgh, wymieniony w testamencie jako wiceprezes firmy holdingowej, dysponujący pełnią wiedzy o aktywach i pasywach testatora.

Nora Baines odśpiewała kilka zwrotek *Tego starego umęczonego krzyża*, smętnego wyciskacza łez na każdym pogrzebie, który jednak tym razem nie wzbudził większych emocji. Pastor McElwain odczytał fragment z Księgi Psalmów, rozwodził się przez chwilę nad mądrością Salomona, po czym dwóch pryszczatych nastolatków z gitarami odśpiewało coś współczesnego, co zapewne nie przypadłoby Sethowi do gustu. W końcu Ramona nie wytrzymała i wybuchła płaczem, a Ian zaczął ją uspokajać. Herschel siedział nieruchomo, wpatrując się z kamienną twarzą w podłogę u stóp trumny. Do Ramony dołączyła jakaś kobieta i też zaszlochała.

Według okrutnego planu Setha jego rodzina miała poznać treść testamentu dopiero po pogrzebie. W liście do Jake'a Seth napisał wyraźnie: „Proszę nikomu nie ujawniać treści mojego testamentu przed końcem pogrzebu. Chcę, aby moja rodzina musiała dopełnić wszystkich żałobnych rytuałów, zanim się dowie, że nic nie dostanie. Niech się Pan im przyjrzy, gdy będą udawać, są w tym bardzo dobrzy. Tylko dla mnie zabrakło im miłości”. Nabożeństwo się wlokło i Jake pomyślał, że Seth chyba jednak się pomylił. Tym kilkorgu członkom jego rodziny, którzy pofatygowali się na pogrzeb, nie chciało się nawet udawać. Jakże smutne zakończenie życia.

Zgodnie z poleceniami Setha nie było mowy pogrzebowej. Poza pastorem nikt nie powiedział ani słowa, choć nietrudno było zgadnąć, że gdyby nawet kogoś o to proszono, byłoby trudno znaleźć ochot-

nika. Pastor zakończył bardzo długą modlitwą, która wyraźnie służyła wypełnieniu czasu. Po dwudziestu pięciu minutach od rozpoczęcia nabożeństwa pastor zakończył je zaproszeniem obecnych do wzięcia udziału w pochówku na przykościelnym cmentarzu. Przed kościołem Jake'owi udało się umknąć przed Stillmanem Rushem i jego prawnikami, natomiast sam zaczepił jednego z mężczyzn o wyglądzie biznesmena i rzekł:

– Przepraszam, szukam pana Russella Amburgha.

Mężczyzna grzecznie wskazał ręką i powiedział: „To ten?”.

Russell Amburgh stał trzy metry dalej, zapalając papierosa. Dośłyszał pytanie Jake'a i sam podszedł. Panowie uścisnęli sobie ręce i przedstawili się.

– Moglibyśmy zamienić słówko na boku? – spytał Jake.

Amburgh lekko wzruszył ramionami.

– Jasne, a w czym rzecz?

Żałobnicy zaczęli z wolna kierować się w stronę cmentarza, Jake miał jednak inne sprawy na głowie i nie zamierzał uczestniczyć w ceremonii. Odszedł z Amburghiem na bok i powiedział:

– Jestem adwokatem z Clanton, nigdy osobiście nie poznałem pana Hubbarda, ale wczoraj dostałem od niego list. Do listu był dołączony jego testament, w którym wyznaczył pana na wykonawcę. Dlatego musimy jak najszybciej się spotkać i wszystko omówić.

Amburgha zamurowało. Przesunął papierosa w kącik ust, wlepił wzrok w Jake'a, potem szybko się rozejrzał, jakby się upewniał, że nikt ich nie słyszy.

– Co za testament? – spytał, wypuszczając kłęb dymu.

– Spisał go własnoręcznie w ostatnią sobotę. Zapewne z myślą o swojej bliskiej śmierci.

– Chyba mu odbiło. – Na twarzy Amburgha pojawił się ironiczny uśmiezek i Jake pomyślał, że to pierwszy błysk szabli w rozpoczynającej się bitwie. Nie spodziewał się takiej reakcji.

– Zobaczmy. Myślę, że sąd później wypowie się w tej sprawie.

– Ja też kiedyś byłem prawnikiem, panie Brigance. Dawno temu, nim znalazłem sobie uczciwe zajęcie. Znam się na prawniczych

kruczkach.

Jake kopnął kamień i rozejrzył się na boki. Pierwsi żałobnicy znikali już w bramie cmentarza.

– Możemy się spotkać i porozmawiać? – spytał.

– Co jest w tym testamencie?

– Dziś nie mogę panu powiedzieć. Dopiero jutro.

Amburgh przekrzywił głowę i wbił wzrok w ziemię.

– Jak dużo pan wie o interesach Setha? – zapytał.

– Powiedzmy, że nic. W testamencie napisał, że pan wie wszystko o jego aktywach i pasywach.

Amburgh zaciągnął się papierosem i znów uśmiechnął.

– Nie ma żadnych pasywów, panie Brigance. Są same aktywa, i to bardzo dużo.

– Spotkajmy się i porozmawiajmy. Wszystko i tak wyjdzie na jaw. Po prostu musimy wiedzieć, na czym stoimy. Zgodnie z treścią testamentu pan jest jego wykonawcą, a ja mam się zająć administrowaniem masą spadkową.

– Coś mi tu nie pasuje. Seth nienawidził prawników z Clanton.

– Tak, i bez ogródek o tym napisał. Jeśli możemy spotkać się jutro rano, chętnie dam panu do przeczytania kopię testamentu i rzucę nieco więcej światła na całą sprawę.

Amburgh ruszył w stronę cmentarza i Jake przez chwilę starał się dotrzymać mu kroku. Przy bramie czekał na nich Ozzie. Amburgh zatrzymał się i powiedział:

– Mieszkam w Temple. Przy szosie pięćdziesiąt dwa na zachód od miasta jest kafejka. Spotkajmy się tam jutro rano o wpół do ósmej.

– W porządku. Jak się nazywa ta kafejka?

– Kafejka.

– Jasne.

Amburgh odwrócił się i odszedł bez słowa pożegnania. Jake spojrzął na Ozziego i z niedowierzaniem pokręcił głową, potem machnął ręką w stronę parkingu i obaj ruszyli. Mieli dość Setha Hubbarda jak na jeden dzień.

Dwadzieścia minut później, dokładnie o szesnastej pięćdziesiąt

pięć, Jake wparował do sekretariatu sądu kanclerskiego i uśmiechnął się do Sary.

– Gdzieś ty się podziewał? – burknęła zniecierpliwiona.

– Nie ma jeszcze piątej – odburknął i otworzył aktówkę.

– Tak, ale my kończymy pracę o czwartej, w każdym razie we wtorki. W poniedziałki o piątej. W środy i czwartki o trzeciej. W piątki będziesz miał szczęście, jeśli nas tu w ogóle zastaniesz. – Kobieta mówiła szybko na jednym oddechu i nie dawała się przegadać. Po dwudziestu latach użerania się z prawnikami miała gotową cietą ripostę na każdy temat.

Jake położył papiery na biurku.

– Chcę otworzyć postępowanie w sprawie podziału majątku po Secie Hubbardzie.

– Testamentowe czy beztestamentowe?

– Och, zostawił po sobie testament, nawet więcej niż jeden.

Właśnie na tym polega zabawa.

– Czy to może ten, co właśnie się zabił?

– Wiesz bardzo dobrze, że to właśnie ten. Przecież pracujesz w sądzie, który huczy od plotek, w którym rodzą się plotki i gdzie niczego nie da się utrzymać w tajemnicy.

– Czuję się obrażona – prychnęła, przybijając stempel na wniosku. Przerzuciła kilka kartek i dodała: – Oo, pięknie, holograficzny testament. Spełnienie marzeń każdego prawnika.

– Jakbyś zgadła.

– Kto wszystko dostaje?

– Mam zasznurowane usta. – Jake zachichotał, wyciągając z teczki następny plik papierów.

– No cóż, mecenasie Brigance, twoje usta mogą być zasznurowane, ale ta teczka z dokumentami na pewno nie jest. – Energicznie przystawiła stempel. – Zgodnie z prawem obowiązującym w naszym pięknym stanie od tej chwili ten dokument trafia do rejestru publicznego. Chyba że składasz pisemny wniosek o utajnienie.

– Nie składam.

– To świetnie, czyli możemy sobie pomówić o wszystkich za-

gwozdkach. Bo w tej sprawie są jakieś zagwozдки, prawda?

– Jeszcze nie wiem. Dopiero w to wchodzę. Saro, chcę cię poprosić o przysługę.

– Dla ciebie wszystko, słoneczko.

– Trwa wyścig do sądu i właśnie go wygrałem. Niedługo, być może jutro, zjawią się u ciebie dwaj lub trzej nadęci kolesie w ciemnych garniturach, żeby złożyć wniosek o otwarcie postępowania w sprawie rozporządzenia mieniem Setha Hubbarda. Prawie na pewno będą z kancelarii w Tupelo. Bo widzisz, oni też mają jego testament, tyle że inny.

– Jak ja to lubię!

– Ja też. No więc oczywiście nie masz obowiązku ich informować, że przybiegli drudzy na metę, ale może warto zobaczyć ich miny. Co o tym myślisz?

– Już się nie mogę doczekać.

– Świetnie. Pokaż im teczkę z założoną sprawą, pośmiej się, a potem do mnie zadzwoń i wszystko opowiedz. Ale proszę, zostaw to do jutra.

– Masz to jak w banku, Jake. Może być zabawnie.

– No cóż, jeśli wszystko potoczy się tak, jak się tego spodziewam, przez cały następny rok możemy mieć niezłą zabawę.

Natychmiast po wyjściu Jake'a Sara przeczytała dołączony do wniosku testament, po czym skrzyknęła wszystkie koleżanki z biura, które kolejno się z nim zapoznały. Czarnoskóra urzędniczka oznajmiła, że nigdy nie słyszała o żadnej Lettie Lang. Nikt też nie wiedział nic o Secie Hubbardzie. Jeszcze przez chwilę pogawędziły, ale zrobiło się już grubo po piątej i na wszystkie czekały inne obowiązki. Teczka z aktami trafiła do szafy na dokumenty, światła pogaszono i urzędniczki szybko wyrzuciły z pamięci wszystko, co wiązało się z pracą. Będą miały dość czasu jutro, żeby jeszcze trochę pogrzebać w sprawie. Może dowiedzą się czegoś więcej.

Gdyby wniosek złożono rano, w południe sąd już by huczał od plotek, po południu wiedziałoby o nim całe miasto. Złożenie go tuż przed siedemnastą sprawiło, że szum miał się zacząć z opóźnieniem,

jednak niezbyt wielkim.

▲▲▲

Simeon Lang pił, ale nie był pijakiem – cienka granica dzieląca oba stany ulega często zatarciu, ale w jego rodzinie w zasadzie spotykała się ze zrozumieniem. Ktoś pijący, lecz niebędący pijakiem na ogół kontroluje swoje poczynania i w zasadzie nie wykazuje agresji. W praktyce picie sprowadzało się do siedzenia nad kolejnym piwem i sączenia go ze szklanym wzrokiem i zdrętwiałym językiem. Bycie pijakiem oznaczało zadawanie się z okropnymi ludźmi, którzy uciekali z domów i koczowali po lasach. Trzeba też uczciwie przyznać, że Simeonowi zdarzało się być zupełnie trzeźwym, i nawet on sam wołał ten stan od upojenia alkoholowego.

Po trzech tygodniach włóczenia się po drogach głębokiego Południa za kierownicą ciężarówki wyładowanej złomem wrócił do domu z nienaruszoną wypłatą, zmęczony, ale zupełnie trzeźwy. Nie próbował nawet tłumaczyć, gdzie się przez ten czas podziewał. Nigdy tego nie robił. Jak zwykle starał się sprawiać wrażenie, że cieszy się z powrotu do domu i jest mu w nim dobrze, jednak już po paru godzinach ciągłego objiania się o innych domowników, słuchania zawołania Cypress i odpierania pretensji żony zrobił sobie kanapkę, wziął z lodówki piwo i poszedł pod drzewo na podwórku, gdzie mógł spokojnie posiedzieć i pogapić się na przejeżdżające drogą samochody.

Powrót był zawsze stresujący. Podczas godzin spędzanych na drogach mógł marzyć o nowym życiu w jakimś innym miejscu. W marzeniach życie zawsze było lepsze, on sam zaś wolny i beztroski. Tysiące razy odczuwał pokusę, by nie wracać. By dowieźć ładunek do miejsca przeznaczenia i jechać dalej, ani na moment nie zwalnając. Jego ojciec zostawił rodzinę, gdy Simeon był jeszcze dzieckiem. Porzucił ciężarną żonę z czwórką dzieci i nigdy więcej się nie odezwał. Simeon ze starszym bratem całymi dniami przesiadywali na werandzie, czekając i połykając lzy. Dorastał w nienawiści do ojca. Wciąż go nienawdził, tyle że teraz sam zmagał się z pokusą ucieczki

od rodziny. Jego dzieci były dużo starsze, więc na pewno by sobie poradziły.

Będąc w drodze, często zadawał sobie pytanie, co go tak ciągnie do domu. Przecież nienawidził mieszkać w wynajętym domu z teściową, dwójką okropnych wnuków, o które się nie prosił, i z wiecznie mającą pretensje żoną. W ciągu minionych dwudziestu lat Lettie sto razy groziła rozwodem i w jego odczuciu był to cud, że wciąż byli razem. Chcesz się rozstać, to się rozstańmy, powtarzał, popijając piwo. Ze sto razy jej to mówił.

Zapadał już zmrok, gdy wyszła z domu na podwórko za domem i powoli podeszła do drzewa. Simeon siedział na jednym z dwóch starych krzeseł ogrodowych, nogi miał oparte na skrzynce na mleko, obok stała przenośna chłodziarka. Wskazał ręką wolne krzesło, ale Lettie pokręciła głową.

– Jak długo zostajesz w domu? – spytała cicho, wpatrując się, tak jak on, w drogę.

– Dopiero przyjechałem, a ty już chcesz się mnie pozbyć?

– Nie to miałam na myśli. Po prostu pytam z ciekawości, nic więcej.

Nie miał ochoty odpowiadać na to pytanie, więc zamiast tego pociągnął łyk piwa. Rzadko bywali sami, a gdy to się zdarzało, nie bardzo potrafili z sobą rozmawiać. Polną drogą przed ich domem wolno przejechał samochód i oboje odprowadzili go wzrokiem, jakby ten widok ich zafascynował.

W końcu Lettie przerwała milczenie.

– Pewnie jutro stracę pracę. Mówiłam ci, że pan Hubbard się zabił i jego rodzina od pojutra już mnie tam nie chce.

Simeon miał w tej kwestii mieszane uczucia. Z jednej strony się ucieszył, bo dzięki temu miał odzyskać pozycję głównego żywiciela rodziny i pana domu. Nie znosił fochów Lettie, która zadzierała nosa, bo zarabiała więcej od niego. Nie znosił jej zrządzenia i głędzenia, kiedy był bez pracy. Choć była tylko gosposią, potrafiła nieźle mu dopiec wiecznym wypominaniem, jak biały pracodawca bezgranicznie jej ufa. Z drugiej strony potrzebowali pieniędzy i utrata jej za-

robków na pewno doprowadzi do poważnych kłopotów.

– Współczuję – bąknął.

Znów zapadła cisza i przez dłuższą chwilę słyhać było tylko odgłosy z domu.

Jakieś wiadomości od Marvisa? – spytał.

– Nie. – Lettie spuściła głowę. – Od dwóch tygodni ani słowa.

– Pisałaś do niego?

– Piszę do niego co tydzień. Przecież wiesz. A ty kiedy ostatni raz do niego pisałaś?

Simeon spieniał się w środku, ale nic nie powiedział. Był dumny z siebie, że wrócił do domu trzeźwy, i nie miał ochoty psuć tego kłótniami. Marvis Lang, lat dwadzieścia osiem, od dwóch lat za kratkami, co najmniej jeszcze dziesięć do odsiedzenia. Handel narkotykami i napaść z użyciem niebezpiecznego narzędzia.

Drogą przejechał kolejny samochód i zwolnił koło ich domu, powoli go mijając. Potem zatrzymał się, cofnął i skręcił w podjazd. Dało się dostrzec, że samochód jest jakiś dziwny, na pewno zagraniczny i do tego czerwony. Silnik zgasł i z auta wysiadł dość młody biały mężczyzna. Miał na sobie białą koszulę i rozluźniony pod szyją krawat, w rękach nic nie trzymał. Zrobił kilka niepewnych kroków w stronę domu.

– Tutaj! – zawołał Simeon i przybysz znieruchomiał. Najwyraźniej nie zauważył ich w mroku pod drzewem i niespodziewane wołanie go wystraszyło. Ruszył ku nim, ostrożnie krocząc po niewielkim podwórku.

– Szukam pani Lettie Lang – rzucił z daleka.

– Tu jestem – rzekła Lettie.

Mężczyzna zatrzymał się trzy metry przed nimi.

– Dobry wieczór – powiedział. – Nazywam się Jake Brigance, jestem adwokatem z Clanton i chciałbym z panią porozmawiać.

– Był pan dziś na pogrzebie – stwierdziła Lettie.

– Tak, byłem.

Simeon wstał z ociąganiem i wszyscy podali sobie ręce. Gospodarz zaproponował przybyszowi piwo, po czym wrócił na swoje

krzeselko. Jake odmówił, choć tak naprawdę chętnie by się napił. Ale był tu służbowo.

– Coś mi mówi, że pan przypadkowo tędy nie przejeżdżał, co? – W tonie Lettie nie było zaczepności.

– Nie, nie przypadkowo.

– Brigance – powtórzył Simeon. – Czy to nie pan bronił Carla Lee Haileya?

Carl Lee, niezawodny łamacz towarzyskich lodów, w każdym razie w czarnej społeczności.

– Tak, ja – potwierdził Jake z uśmiechem.

– Tak myślałem. Dobrze się pan sprawił. Świetna robota.

– Dzięki. Tak naprawdę jestem tu służbowo i chciałbym porozmawiać z Lettie na osobności. Nie mam nic przeciwko panu i nie chciałbym pana urazić, ale mam dla niej poufne wiadomości.

– Jakie wiadomości? – spytała Lettie. W jej głosie pojawiło się zmieszanie.

– I dlaczego są poufne? – dodał Simeon.

– Bo tak stanowi prawo – odrzekł Jake, odrobinę na wyrost. Prawo niczego w tej kwestii nie stanowiło, a on, rozmawiając z tym dwojgiem, uświadomił sobie, że wiadomość może nie jest aż tak poufna, bo on nie zdąży nawet stąd odjechać, gdy Lettie wszystko wypaple mężowi. Zresztą testament Seta Hubbarda trafił już do rejestru publicznego i w ciągu najbliższej doby każdy prawnik w mieście będzie mógł poznać jego treść. Więc co tu mówić o poufności?

Simeon ze złością cisnął puszkę o drzewo. Po pniu pociekła struga piany. Zerwał się z miejsca, burknął: „Dobrze, dobrze” i kopnął skrzynkę po mleku. Sięgnął do chłodziarki, wyjął następne piwo i oddalił się, mrużąc i klnąc pod nosem, i wtapiając się w mrok pośród drzew. Jake nie miał wątpliwości, że stanął kawałek dalej i nasłuchuje.

– Przepraszam za jego zachowanie – powiedziała Lettie niemal szeptem.

– Nic nie szkodzi. Pani Lang, musimy porozmawiać o bardzo

ważnej sprawie, i to jak najszybciej. Najchętniej jutro w moim biurze. Chodzi o pana Hubbarda i jego testament.

Lettie przygryzła dolną wargę i wlepiła wzrok w Jake'a, jakby chciała powiedzieć: Proszę, mów dalej.

– Dzień przed swoją śmiercią – ciągnął adwokat – pan Hubbard sporządził nowy testament i wysłał go do mnie pocztą tak, bym dostał go już po jego śmierci. Testament wygląda na ważny w świetle prawa, choć rodzina niewątpliwie spróbuje go obalić.

– I ja jestem w tym testamencie?

– Tak. Prawdę mówiąc, znaczną część majątku zapisał właśnie pani.

– O Boże.

– No właśnie. Wyznaczył mnie na prawnego pełnomocnika masy spadkowej, ale sądzę, że to też zostanie oprotestowane. Dlatego musimy porozmawiać.

Uniosła prawą rękę i zakryła usta.

– Boże święty – wymamrotała.

Jake popatrzył w stronę domu, którego oświetlone okna rozjaśniały otaczający mrok smugami światła. W jednej z nich mignął jakiś cień. Pewnie Simeon, który kręci się w pobliżu i próbuje podsłuchiwać. Jake poczuł gwałtowną chęć, by wskoczyć do saaba i jak najszybciej powrócić do cywilizacji.

– Mam mu powiedzieć? – spytała Lettie, pokazując głową cień.

– To zależy od pani. Właściwie mógł być obecny przy naszej rozmowie, ale słyszałem o jego picciu i nie wiedziałem, w jakim jest stanie. Ale to pani mąż, pani Lang, i szczerze mówiąc, powinien pani jutro towarzyszyć. Oczywiście, o ile się wcześniej nie upije.

– Nie upije się, obiecuję.

– Jutro po południu o dowolnej porze – rzekł Jake, wręczając kobiecie wizytówkę. – Będę na was czekał w biurze.

– Będziemy, proszę pana. I dziękuję, że pan nas tu znalazł.

– To bardzo ważna sprawa, pani Lang. Uznałem, że musimy się poznać. Być może dla nas obojga rozpoczyna się długa i trudna walka.

– Chyba nie bardzo rozumiem.

- Wiem. Jutro wszystko pani wyjaśnię.
- Dziękuję, panie Brigance.
- Dobranoc pani.

Rozdział 7

Sprzątnęli ze stołu po późnej kolacji złożonej z grillowanego sera i zupy pomidorowej, pozmywali (nie mieli zmywarki) i usiedli w salonie, który zaczynał się tam, gdzie kończyła się kuchnia, jakieś dwa metry od stołu. Trzy lata (z okładem) gnieźdzenia się w ciasnym wnętrzu nauczyły ich kompromisów między chęciami a możliwościami, a także panowania nad nerwami. Hanna bardzo im w tym pomagała. Małych dzieci nie obchodzą sprawy materialne, tak ważne dla dorosłych, i gdy tylko rodzice okazują im dość czułości, wszystko inne staje się nieważne. Carla uczyła córkę pisać, Jake czytał bajki na dobranoc. Zajmowanie się Hanną na zmianę pozwalało obojgu znajdować czas na przejrzenie gazet i obejrzenie wiadomości w telewizji. Punktualnie o ósmej Carla kąpała Hannę, pół godziny później dziewczynka już leżała w łóżku, utulona do snu przez oboje rodziców.

Wreszcie wolni usiedli na chybotliwej kanapie, okryli nogi pledem i Carla powiedziała:

- No dobra, to co jest grane?
- Co to znaczy: „co jest grane”? – mruknął Jake, nie odrywając wzroku od przeglądanego magazynu sportowego.
- Nie udawaj głupiego. Coś się dzieje. Masz jakąś nową sprawę? Jakiegoś nowego klienta, którego będzie stać na zapłacenie przyzwoitego honorarium? A może wielkiego honorarium, które wyciągnie nas z nędzy?

Jake gwałtownym ruchem zrzucił koc na podłogę i skoczył na równe nogi.

– No więc jeśli chcesz wiedzieć, moja kochana, jest duża szansa na to, że pokażemy nędzy środkowy palec! – wykrzyknął.

– Wiedziałam. Zawsze wiem, kiedy uda ci się załapać na jakąś dobrą krakę. Od razu robisz się nerwowo.

– Nie chodzi o żadną krakę. – Jake pogrzebał w aktówce, wyjął teczkę i podał jej plik kartek. – To samobójstwo.

– Ach, to.

– Tak, to. Wczoraj wieczorem opowiedziałem ci o żalonym końcu Setha Hubbarda, nie wspomniałem jednak, że zanim umarł, spisał odręczny testament i wysłał do mnie pocztą razem z listem, w którym powierzył mi obsługę prawną masy spadkowej. Dziś późnym popołudniem byłem w sądzie, testament trafił do rejestru publicznego i dlatego mogę już o nim mówić.

– To ten facet, którego nigdy w życiu nie spotkałeś?

– Ten.

– Którego nigdy nie spotkałeś, ale na którego pogrzebie dziś byłeś?

– Ten.

– Dlaczego wybrał akurat ciebie?

– Dzięki mojej świetnej reputacji. Po prostu przeczytaj ten testament.

Carla rzuciła okiem i aż się zachnęła.

– Ale to rękopis.

– Co ty powiesz!

Jake wrócił na sofę i przytulony do żony patrzył, jak powoli czyta list i dwustronicowy testament. Widać było, jak szczęka jej z lekka opada, oczy rozwierają się coraz szerzej. Skończyła czytać i z niedowierzaniem spojrzała na męża.

– Niech szczeną w bólu? – spytała. – Co za palant.

– Niewątpliwie. Nigdy go nie spotkałem, ale Harry Rex zajmował się jego drugim rozwodem i najwyraźniej nie ma o nim najlepszego zdania.

– Większość ludzi nie ma najlepszego zdania o Harrym Rexie.

– To też prawda.

- Kto to jest Lettie Lang?
- Jego czarna gosposia.
- O rany, Jake. Chyba szykuje się skandal.
- Mam taką nadzieję.
- Dużo miał pieniędzy?
- Przeczytałaś ten fragment, w którym pisze, że posiada „znaczny majątek”? Ozzie go znał i zdaje się, że podziela tę opinię. Jutro z samego rana jadę do Temple na spotkanie z wykonawcą testamentu, Russellem Amburghiem. W południe będę wiedział więcej.

Carla pomachała dwiema kartkami papieru.

- Ale czy to ma moc prawną? Wolno tak spisywać testamenty?
- O tak. Testamenty i Spadki, sala sto jeden, od pięćdziesięciu lat wykładane przez profesora Roberta Weemsa na wydziale prawa Ole Miss. Miałem u niego piątkę. Jeśli każde słowo testamentu zostało własnoręcznie napisane przez testatora, jest jego podpis i data, to jest to tak zwany testament holograficzny i ma pełną moc prawną. Nie wątpię, że jego dzieci spróbują go obalić, ale na tym polega zabawa.

- Dlaczego prawie wszystko zostawił swojej czarnoskórej gosposi?

- Może uznał, że dobrze sprząta. Nie wiem. Może poza sprzątaniami robiła coś jeszcze.

- To znaczy?

- Był ciężko chory, umierał na raka płuc. Pewnie Lettie Lang zajmowała się nim na różne sposoby. Najwyraźniej bardzo ją polubił. Jego dzieci najmą prawników, którzy oskarżają tę kobietę o wywieranie niedopuszczalnego wpływu. Będą dowodzić, że zbyt blisko się zbliżyła do Hubbarda i szeptała mu do ucha, może nawet coś więcej. To już przysięgli o tym zdecydują.

- Będzie ława przysięgłych?

Twarz Jake'a rozjaśnił radosny uśmiech.

- O tak.

- Kurczę. Kto jeszcze o tym wie?

- Złożyłem wniosek w sądzie dziś o siedemnastej, więc zawie-

rucha jeszcze się nie zaczęła. Ale myślę, że od rana zaczną huczeć od plotek.

– Jake, ta zawierucha może zerwać dach z budynku sądu. Bogaty facet wydziedzicza swoją rodzinę i zapisuje wszystko czarnej gosposi, po czym się wiesza? No chyba żartujesz.

Jake jednak nie żartował. Carla zabrała się od nowa do czytania testamentu, jej mąż przymknął oczy i zaczął rozmyślać o czekającej go rozprawie. Skończyła, położyła kartki na podłodze i rozejrzała się po pokoju.

– Tak tylko z ciekawości, kochanie, ale jak w takich sprawach ustala się honorarium? Wybacz, że pytam. – Dramatycznym gestem powiodła ręką po ciasnym wnętrzu, meblach z pchlego targu, półkach uginających się pod ciężarem książek, podróbce perskiego dywanu, starych zasłonach z odzysku, stercie czasopism na podłodze – żalonym obrazie wynajmowanego mieszkania, którego lokatorów nie stać na nic lepszego.

– A co? Nie podoba ci się tu? Może byś chciała zamieszkać w dużym domu? A może w bliźniaku?

– Lepiej nie zaczynaj.

– Honorarium może być solidne, ale jeszcze o tym nie myślałam.

– Solidne?

– Oczywiście. Honorarium adwokackie zawsze zależy od wkładu pracy. Od liczby zafakturowanych godzin, czyli czegoś nam nieznanego. Adwokat reprezentujący masę spadkową codziennie rano podbija kartę i dostaje wynagrodzenie za przepracowane godziny. Dla nas to coś niezwykłego. Wszystkie faktury muszą być zatwierdzone przez sędziego, którym w tym przypadku będzie nasz drogi przyjaciel, szacowny Reuben Atlee. A ponieważ on wie, że przymieramy głodem, zapewne możemy liczyć na jego szczodrość. Wielki spadek, fura pieniędzy, zażarty bój o unieważnienie testamentu, więc może nam się uda uniknąć upadłości.

– Fura pieniędzy?

– To tylko taki zwrot, kochanie. Nie wolno nam kierować się chciwością.

– Nie traktuj mnie protekcjonalnie – prychnęła, wpatrując się w roziskrzone oczy swego głodnego sukcesu prawnika.

– Jasne.

Ale Carla w myślach już zaczynała się pakować i szykować do przeprowadzki. Już raz popełniła ten sam błąd, gdy przed rokiem do kancelarii Jake'a Brigance'a zgłosiła się młoda para, której nowo narodzone dziecko zmarło w szpitalu w Memphis. Coś, co zapowiadało się na rażący błąd w sztuce lekarskiej, po bliższym przyjrzeniu okazało się zwykłym niedopatrzaniem procedury i Jake'owi nie zostało nic innego, jak zgodzić się na drobne odszkodowanie.

– Byłeś u tej Lettie Lang? – zapytała.

– Byłem. Mieszka za Box Hill, w okolicy zwanej Małą Delta. Niewielu tam białych. Jej mąż jest pijakiem, który się pojawia i znika. Nie wchodziłem do środka, ale odniosłem wrażenie, że dom jest pełen ludzi. Zajrzałem do księgi wieczystej. Nie są właścicielami, mieszkają w prymitywnej wynajmowanej chałupie, podobnej do...

– ...do tej rudery, tak?

– Podobnej do naszego domu. Niewykluczone, że budował go ten sam partacz, który potem pewnie zbankrutował. Tyle że my tu mieszkamy tylko we trójkę, a w domu Lettie jest ich pewnie z tuzin.

– Jest sympatyczna?

– Dość. Nie rozmawialiśmy długo. Odniosłem wrażenie, że to typowa tutejsza czarna: dom pełen dzieci, mąż na przychodne, praca za minimum socjalne, ciężkie życie.

– To dość przykry opis.

– Tak, ale także dość trafny.

– Ładna?

Jake pogłaskał pod pledem żonę po łydce i po chwili zastanowienia odparł:

– Właściwie nie potrafię powiedzieć. Robiło się już ciemno. Ma około czterdziestu pięciu lat, chyba zgrabna, na pewno niebrzydka. A czemu pytasz? Myślisz, że u podstaw testamentu Hubbarda mógł być seks?

– Seks? Nie mówiłam nic o seksie.

– Ale pomyślałaś. Że dupą zapracowała na testament.

– No dobrze, więc tak właśnie pomyślałam i o tym będzie jutro plotkowało całe miasto. To pachnie seksem na kilometr. On był umierający, ona się o niego troszczyła. Kto wie, co wyprawiali?

– Ależ masz kosmate myśli. Bardzo mi się to podoba.

Jego dłoń powędrowała na jej udo, ale została zastopowana. Zabrzączał telefon i oboje drgnęli. Jake przeszedł do kuchni, zamienił parę słów i odwiesił słuchawkę.

– To Nesbit – mruknął. – Jedzie tu.

Wyjął z pudełka cygaro, wziął zapalki i wyszedł z domu. Zatrzymał się obok skrzynki na listy przy końcu krótkiego podjazdu, zapalił cygaro i wypuścił kłąb dymu w chłodne i rześkie wieczorne powietrze. Chwilę później w ulicę bezszelestnie wjechał radiowóz z biura szeryfa i zatrzymał się obok Jake'a.

Funkcjonariusz Nesbit wygramolił się z samochodu, rzucił „Bry czór, Jake” i zapalił papierosa.

– Bry czór, Mike – odrzekł Jake.

Przysiedli na masce radiowozu.

– Ozzie kazał przekazać, że nie znalazł nic na temat Hubbarda – powiedział Nesbit. – Sprawdził rejestry w Jackson, ale nic mu nie wypuło. Wygląda na to, że stary gdzieś indziej trzymał swoje zabawki. W tym stanie nie należało do niego nic poza domem, samochodami, ziemią i tartakiem pod Palmyrą. Nic więcej. Znaczący, w ogóle nic. Ani kont bankowych, ani firm, ani spółek. Kilka standardowych polis ubezpieczeniowych i to wszystko. Podobno działał w innych stanach, ale do tego jeszcze nie dotarliśmy.

Jake w milczeniu palił, kiwając głową. Już go to nie dziwiło.

– A Amburgh?

– Russell Amburgh pochodzi z Foley w Alabamie. Dalej na południe, w pobliżu Mobile. Pracował tam jako adwokat do czasu, gdy jakieś piętnaście lat temu pozbawiono go uprawnień. Przekręty z funduszami klientów, ale zarzutów karnych mu nie postawiono. Nienotowany. Porzucił zawód prawnika i zaangażował się w przemysł drzewny. Pewnie wtedy natknął się na Setha Hubbarda. Z tego,

co zdołaliśmy ustalić, wszystko odbywało się legalnie. Nie bardzo wiadomo, dlaczego przeniósł się do takiej dziury jak Temple.

- Jutro rano wybieram się do Temple, to go spytam.
- Spytaj.

Minęła ich wiekowa para z równie wiekowym pudlem na smyczy. Wymienili się pozdrowieniami i staruszkowie podreptali dalej. Gdy rozplynęli się w mroku, Jake wypuścił kolejny kłęb dymu i spytał:

- A co z Ancilem, bratem Setha? Udało się coś ustalić?
- Nic. Ani śladu.
- Jakoś mnie to nie dziwi.

– To zabawne. Mieszkam tu od urodzenia, a nigdy nie słyszałem o Secie Hubbardzie. Mój ojciec ma osiemdziesiąt lat, mieszka tu całe życie, a o Secie Hubbardzie też nie słyszał.

– Mieszkają tu trzydzieści dwa tysiące ludzi, Mike. Nie możesz znać wszystkich.

- Ozzie zna.

Obaj parsknęli śmiechem. Nesbit rzucił peta na chodnik i się przeciągnął.

- Chyba będą się zbierał, Jake.
- Dziękuję, że wpadłeś. Pogadam jutro z Ozziem.
- Jasne. To na razie.

Znalazł Carlę w pustej sypialni. Siedziała po ciemku przy oknie wychodzącym na ulicę. Jake wszedł po cichu i zatrzymał się na środku. Nie odwracając głowy, ale czując jego obecność, Carla rzuciła:

– Jake, mam już serdecznie dość radiowozów pod naszym domem.

Westchnął i podszedł bliżej. Miał doświadczenie z tego typu rozmowami i wiedział, że jedno jego nieostrożne słowo może doprowadzić do scysji.

- Ja też – powiedział cicho.
- Czego on chciał?

– Nic specjalnego. Chciał mi przekazać parę drobiazgów z przeszłości Seta Hubbarda. Ozzie o niego rozpytuje, ale na razie niewiele się dowiedział.

– Nie mógł poczekać z tym do jutra i zadzwonić? Dlaczego musi przyjeżdżać i parkować pod naszymi oknami, żeby wszyscy widzieli, że Brigance'owie nie mogą przeżyć jednej nocy bez policyjnej kurateli?

Pytania, na które nie było odpowiedzi.

Jake zacisnął zęby i bez słowa wycofał się z pokoju.

Rozdział 8

Russell Amburgh siedział w boksie w głębi Kafejki, zasłaniając twarz rozłożoną gazetą. Nie był tu stałym bywalcem i nie miał w Temple wielu znajomych. Przeniósł się tu z powodu kobiety, trzeciej żony, ale oboje trzymali się na uboczu. To, że pracował u człowieka ceniącego dyskrecję, też bardzo mu odpowiadało.

Zajął stolik parę minut po siódmej, zamówił kawę i zabrał się do czytania. O testamentach czy testamentach Setha Hubbarda nie miał pojęcia. Mimo iż pracował u niego od blisko dziesięciu lat, o jego życiu prywatnym prawie nic nie wiedział. Potrafiłby wymienić większość aktywów szefa – choć na pewno nie wszystkie – natomiast bardzo szybko zorientował się, że szef kocha utajnianie wszystkiego. A poza tym lubi intrygi, pamięta urazy i każe ludziom dochodzić do prawdy. Dość dużo podróżowali razem po wschodnim pasie Południa, gdzie Hubbard budował swój holding, mimo to nigdy się zbytnio nie zaprzyjaźnili. Z Sethem Hubbardem nikt się zbytnio nie zaprzyjaźniał.

Jake wszedł do Kafejki punktualnie o wpół do ósmej i wypatrzył Amburgha. W lokalu było trochę ludzi i Jake jako nieznajomy przyciągnął spojrzenia paru stałych bywalców. Podali sobie z Amburghiem ręce i wymienili się uprzejmościami. Sądząc po wczorajszej rozmowie, Jake spodziewał się odpychającego przyjęcia i mrukliwych odpowiedzi, tyle że specjalnie się tym nie przejmował. Został przez Hubbarda wyznaczony do wykonania określonego zadania i gdyby ze strony jego pracownika napotkał jakieś trudności, mógł zwrócić się o pomoc do sądu, a ten na pewno stanąłby po jego stronie. Tym razem jednak Amburgh wyglądał na rozluźnionego i gotowego do współ-

pracy.

Po paru minutach rozmowy o futbolu i pogodzie sam przeszedł do rzeczy.

– Testament jest już w sądzie? – zapytał.

– Tak, złożyłem go wczoraj przed piątą. Wymknąłem się z pogrzebu i pojechałem do sekretariatu.

– Przywiózł mi pan kopię?

– Przywiozłem – rzekł Jake, nie sięgnął jednak do kieszeni. – Jest pan w nim wyznaczony na wykonawcę. Testament jest już w rejestrze publicznym, więc mogę panu udostępnić kopię.

Amburgh rozłożył dłoń.

– Jestem też beneficjentem? – spytał.

– Nie.

Amburgh bez słowa pokiwał głową, a po minie Jake nie potrafił poznać, czy się tego spodziewał.

– Nic mi nie zapisał?

– Nic. Dziwi to pana?

Amburgh przełknął głośno ślinę i popatrzył na boki.

– Właściwie nie – mruknął bez przekonania. – Po Secie można się było wszystkiego spodziewać.

– To, że się zabił, też pana nie dziwi?

– Zupełnie nie, panie Brigance. Ostatnie dwanaście miesięcy to był koszmar. Seth miał już dość tego ciągłego bólu. Wiedział, że umiera. Więc jego samobójstwo wcale mnie nie zaskoczyło.

– Sądzę jednak, że treść testamentu pana zaskoczy.

Obok przemknęła kelnerka, niemal bez zatrzymywania dolewając kawy do ich filiżanek. Amburgh upił łyk.

– Proszę mi opowiedzieć swoją część historii, panie Brigance – powiedział. – Jak pan poznał Seta?

– Wcale go nie poznałem. – Jake pokrótce wyjaśnił, skąd wziął się przy tym stole.

Amburgh słuchał uważnie. Miał niedużą okrągłą głowę z łysiną na czubku i nerwowy odruch polegający na przykładaniu prawej dłoni do czoła i odgarnianiu paru kosmyków ciemnych włosów, jakby wciąż

musiał je przyglądać. Nosił koszulkę polo, powycierane płócienne spodnie khaki i cienką wiatrówkę. Z wyglądu bardziej przypominał emeryta niż biznesmena.

– Czy mogę przyjąć – ciągnął Jake – że był pan jego najbardziej zaufanym powiernikiem?

– Absolutnie nie. Tak naprawdę, to nawet nie wiem, dlaczego właśnie mnie w to wplątał. Mógłbym wymienić wiele bliższych mu osób. – Kolejny łyk kawy. – Seth i ja nie we wszystkim się zgadzaliśmy. Parę razy nosiłem się nawet z zamiarem odejścia. Im większe robił pieniądze, tym ryzykowniej postępował. Chwilami odnosiłem wrażenie, że Seth postanowił doprowadzić firmę do spektakularnej ruiny, oczywiście wcześniej ukrywszy łupy w jakimś rajku podatkowym. Zrobił się taki nieustraszony, i to mnie przerażało.

– Skoro już poruszył pan ten temat, pomówmy o jego finansach.

– Oczywiście. Powiem panu wszystko, co wiem, ale nie wiem wszystkiego.

– Jasne – rzucił Jake obojętnym tonem, jakby znów mówili o pogodzie. W rzeczywistości od przedwczoraj zżerała go ciekawość. Wreszcie miał poznać wielkość majątku Seta, jednak nie wziął do ręki notatnika, nie trzymał w pogotowiu pióra. Stała przed nim tylko filiżanka z czarną kawą.

Amburgh znów popatrzył na boki, ale nikt się nimi nie interesował.

– To, co panu teraz powiem, nie jest powszechnie wiadome. To żadna tajemnica, ale Seth nigdy się z tym nie afiszował.

– Wszystko w końcu i tak wyjdzie na jaw, proszę pana.

– Tak, wiem. – Łyknął kawy, jakby musiał uzupełnić paliwo, potem pochylił się jeszcze niżej. – Seth miał furę pieniędzy i wszystko zarobił w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Po drugim rozwodzie był rozgoryczony i zły na cały świat. Rozwód go zrujnował, i chciał się odkuć. Naprawdę lubił swoją drugą żonę i gdy od niego odeszła, postanowił się zemścić. A dla Seta zemsta znaczyła zgromadzenie większej sumy, niż mu zabrała.

– Znam adwokata, który ją wtedy reprezentował.

– Taki zwalisty grubas, jak on się nazywał?

- Harry Rex Vonner.
- Harry Rex. Słyszałem, jak Seth wielokrotnie mu zlorzeczył.
- Nie on jeden.
- Też tak słyszałem. W każdym razie zatrzymał dom i ziemię.

Zastawił jedno i drugie pod zakup wielkiego tartaku pod Dothan, w Alabamie. Kierowałem tam działem zaopatrzenia i tak się poznaliśmy. Trafił na dobry moment i tanio kupił. Był koniec lat siedemdziesiątych, ceny sklejki poszybowały w górę i biznes zaczął się kręcić. Przyszły potężne huragany, narobiły strasznych zniszczeń i ogromnie wzrosło zapotrzebowanie na sklejkę i drewno. Zastawił tartak, wziął nowy kredyt i kupił fabrykę mebli pod Albany w Georgii. Robili tam te ogromne fotele na biegunach, które widuje się na werandach restauracji sieci Griddle. Seth podpisał z nimi kontrakt i nagle nie mogliśmy nadażyć z produkcją bujanych foteli. Zastawił cały zapas magazynowy, wziął kolejny kredyt i kupił następną fabrykę mebli pod Troy w Alabamie. Mniej więcej w tym czasie skumał się z bankierem z Birmingham, który próbował przekształcić swój mały prywatny bank w coś znacznie większego, więc działał agresywnie. Razem z Sethem mieli wspólne cele i bez przerwy coś się działo. Kupowali nowe zakłady i nowe tartaki, podpisywali nowe umowy dzierżawne na lasy. Seth miał nosa do wynajdywania firm o zaniżonej wartości lub przeżywających kłopoty, a bankier prawie na wszystko się zgadzał. Ostrzegałem szefa przed zaciąganiem tak ogromnych długów, ale mnie nie słuchał. Miał coś do udowodnienia. Kupił samolot i trzymał go w Tupelo, żeby nikt się tu nie zorientował. Praktycznie mieszkał w powietrzu.

- Ta opowieść ma szczęśliwe zakończenie?

– O tak. W ciągu ostatniej dekady Seth kupił trzydzieści kilka firm, głównie fabryk mebli na Południu, niektóre z nich przeniósł potem do Meksyku. Miał także składy drewna i tartaki plus tysiące hektarów na wyrąb. Wszystko za pożyczone pieniądze. Wspomniałem o bankierze z Birmingham, ale byli też inni. Im więcej miał, tym łatwiej mu było pożyczać. Jak już mówiłem, chwilami mnie to przerażało, ale facet ani razu się nie sparzył. Nie sprzedawał nic z

tego, co kupił, i wciąż tylko szukał nowych okazji. Kupowanie i pożyczanie stało się niemal jego obsesją. Niektórzy uprawiają hazard, inni się zapijają, jeszcze inni gonią za kobietami. Setha najbardziej podniecał zapach cudzych pieniędzy, więc kupował kolejną firmę. Ale kobietami też nie gardził.

A potem niestety zachorował. Mniej więcej rok temu lekarze orzekli, że ma raka płuc. Do tego momentu parł pełną parą do przodu. Powiedzieli mu, że ma najwyżej rok życia, i to oczywiście nim wstrząsnęło. Bez naradzania się z kimkolwiek postanowił wszystko sprzedać. Kilka lat temu znaleźliśmy firmę prawniczą Rusha w Tupelo i Seth uznał, że wreszcie ma kogoś, komu może zaufać. Generalnie nienawidził prawników i zwalniał ich równie szybko, jak angażował. Ale ludzie z firmy Rusha namówili go do połączenia wszystkich firm w jeden holding, po czym w listopadzie zeszłego roku sprzedał całość za pięćdziesiąt pięć milionów dolarów lewarowanej grupie kapitałowej z Atlanty. Z tych pieniędzy spłacił wszystkie swoje długi w wysokości trzydziestu pięciu milionów.

- Czyli na czysto zostało mu dwadzieścia.
- Plus minus dwadzieścia. Było jeszcze paru innych beneficjentów, na przykład ja. Miałem trochę udziałów w firmie holdingowej, więc wyszedłem na tym całkiem nieźle. Pod koniec ubiegłego roku przeszedłem na emeryturę. Nie wiem, co Seth od tamtej pory robił ze swoimi pieniędzmi, ale pewnie gdzieś je ulokował. Ponadto miał inne aktywa, które nie należały do holdingu. Domek myśliwski w górach Karoliny Północnej i sporo innych rzeczy. Chyba są też konta w jakichś zamorskich bankach.
- Chyba?
- Bo nie mam pewności, panie Brigance. Ale tak wynika z jego uwag rzucanych w ciągu ostatnich lat. Jak wspominałem, Seth Hubbard uwielbiał trzymać wszystko w sekrecie.
- Cóż, pan jako wykonawca testamentu i ja jako jego pełnomocnik mamy obowiązek dotrzeć do wszystkich aktywów.
- To nie powinno być trudne. Potrzebny nam będzie tylko dostęp do jego gabinetu.

– Czyli gdzie?

– W zakładzie drzewnym pod Palmyra. To jego jedyne biuro. Miał tam sekretarkę, Arlene, która wszystkim zawiadywała. Rozmawiałem z nią w niedzielę wieczorem. Powiedziałem jej, żeby do czasu, aż skontaktują się z nią upoważnieni prawnicy, trzymała dokumenty pod kluczem.

Jake starał się z tym wszystkim oswoić, nerwowo siorbiąc kawę.

– Dwadzieścia milionów? Nie słyszałem o żadnym mieszkańcu okręgu Ford, który dysponowałby takim majątkiem.

– Na ten temat nie mam nic do powiedzenia. Nigdy w życiu tam nie mieszkałem. Natomiast mogę pana zapewnić, że w naszym okręgu Milburn nie ma nikogo, kto miałby choć niewielką część tej kwoty.

– To są wiejskie rejony Południa.

– To prawda. I na tym polegała wielkość Seta. Któregoś dnia stwierdził, że stuknęła mu sześćdziesiątka, zmęczyło go byciem bankrutem i musi coś z tym zrobić. Przy pierwszych dwóch transakcjach mu się poszczęściło i dzięki temu poznał radość obracania cudzymi pieniędzmi. Kilkanaście razy kładł na szali dom i ziemię, ryzykując ich utratę i zadłużając hipotekę. O takich ludziach powiadają, że mają jaja z mosiądzu.

Kelnerka przyniosła owsiankę dla Amburgha i jajecznicę dla Jake'a, a oni zabrali się do posypywania swoich porcji cukrem i solą. Po chwili Amburgh zapytał:

– Wydziedziczył swoje dzieci?

– Tak.

Uśmiech, skiniecie głową, brak zdziwienia.

– Spodziewał się pan tego? – spytał Jake.

– Niczego się nie spodziewałem, panie Brigance, ale nic mnie nie zdziwi.

– Mam dla pana niespodziankę. Wydziedziczył swoje dzieci, wydziedziczył obie byłę żony, którym, nawiasem mówiąc, i tak nic się już nie należy, wydziedziczył wszystkich poza dawno zaginionym bratem Ancilem, który pewnie już nie żyje, ale jeśli żyje, to otrzyma pięć procent majątku, oraz swoim kościołem, któremu zapisał na-

stępne pięć procent. Pozostałe dziewięćdziesiąt procent majątku zapisał swojej gospodyni, niejakej Lettie Lang.

Amburgh przestał jeść i na moment zamarł z rozchylonymi ustami i wytrzeszczonymi oczami. Na jego czole pojawiły się głębokie bruzdy.

– Nie powie mi pan, że to też pana nie dziwi – dodał Jake, triumfalnie wkładając do ust porcję jajecznicy.

Amburgh głęboko westchnął i bez słowa wyciągnął rękę. Jake sięgnął do kieszeni i podał mu kopię testamentu. Jego rozmówca przebiegł wzrokiem dwie kartki, z niedowierzaniem kręcąc głową i jeszcze bardziej marszcząc czoło. Dotarł do końca, przeczytał całość jeszcze raz od początku, po czym złożył kartki i odłożył na stół.

– Poznał pan może Lettie Lang? – spytał Jake.

– Nigdy jej nie spotkałem. Nigdy nie byłem u Seta w domu, panie Brigance. Nigdy nie słyszałem, żeby o niej wspominał. Właściwie o nikim, kto u niego pracował. Seth wszystko szufladkował i większość szufladek była zamknięta. A pan zna tę kobietę?

– Wczoraj widziałem ją pierwszy raz w życiu. Spotkam się z nią dziś po południu w moim biurze.

Amburgh końcami palców odsunął od siebie miseczkę. Stracił apetyt, jego śniadanie było skończone.

– Panie Brigance, dlaczego on to zrobił?

– Chciałem spytać pana o to samo.

– No cóż, to wbrew zdrowemu rozsądkowi, a to oznacza, że będą z tym kłopoty. Wygląda na to, że mu odbiło. A człowiek niemający zdolności testamentowej nie może sporządzić ważnego testamentu.

– Oczywiście, tyle że na razie nic nie można w tej sprawie powiedzieć. Z jednej strony bardzo precyzyjnie zaplanował swoją śmierć, a to by wskazywało, że dokładnie wiedział, co robi. Z drugiej strony trudno pojąć oddanie całego majątku zwykłej gosposi.

– Chyba że znajdował się pod jej niedopuszczalnym wpływem.

– Ten argument niewątpliwie padnie.

Amburgh sięgnął do kieszeni i spojrzał na Jake'a pytająco.

– Nie przeszkodzi panu, jeśli zapalę?

– Nie.

Zapalił mentolowego papierosa; w milczeniu strząsał popiół do resztek owsianki. Pewnie w głowie mu wirowało i nie mógł się w tym wszystkim połapać.

– Myślę, że sobie z tym nie poradzę, panie Brigance – oznajmił w końcu. – Zostałem wyznaczony na wykonawcę testamentu, ale to jeszcze nie znaczy, że muszę się zgodzić.

– Mówił pan, że był pan kiedyś adwokatem. Zresztą to się czuje.

– Kiedyś byłem małomiasteczkowym papugą, jednym z miliona. W Alabamie, ale tutejsze prawo spadkowe jest bardzo podobne.

– To prawda. Nie ma pan obowiązku być wykonawcą.

– Kto miałby ochotę babrać się w takim szambie?

Na przykład ja, pomyślał Jake, ale ugryzł się w język. Kelnerka sprzątnęła ze stołu i dołała kawy do filiżanek. Amburgh po raz trzeci przeczytał testament i zapalił następnego papierosa. Wydmuchnął kłęb dymu i powiedział:

– Dobrze, panie Brigance, pozwoli pan, że pomyślę na głos. Seth wspomina o poprzednim testamencie sporządzonym dla niego przez firmę prawniczą Rusha w Tupelo. Znam tych ludzi i mogę spokojnie założyć, że ich wersja jest dużo obszerniejsza, dużo lepiej napisana i tak pomyślana, by rozłożyć w czasie płacenie podatku, umożliwić odpisanie darowizn, ustanowić trusty pokoleniowe, wykorzystać wszystkie kruczki zmierzające do zapobieżenia nadmiernemu opodatkowaniu. Nadażę pan?

– Tak.

– Po czym nagle, w ostatniej chwili, Seth pisze na kolanie ten prymitywny świstek, którym unieważnia właściwy testament, i zapisuje niemal cały majątek swojej czarnoskórej służącej, powodując, że lwia część jego majątku pójdzie na podatek spadkowy. Nadal się rozumiemy?

– Około pięćdziesięciu procent zjedzą podatki. – Jake kiwnął głową.

– Połowa majątku na straty. Czy tak postępuje trzeźwo myślący biznesmen, panie Brigance?

Z całą pewnością nie, jednak Jake nie zamierzał ustępować.

– Nie wątpię, że nasi oponenti użyją tego argumentu przed sądem, panie Amburgh. Jednak moim obowiązkiem jest ustalić wielkość masy spadkowej i postępować zgodnie z wolą klienta.

– Mówi pan jak typowy kauzyperda.

– Dzięki. Czy podejmie się pan roli wykonawcy testamentu?

– Dostanę za to jakieś pieniądze?

– Tak, sędzia wyznaczy panu odpowiednie wynagrodzenie.

– Ile czasu mi to zajmie?

– Może się okazać, że całkiem sporo. Jeśli testament zostanie oprotestowany, a wszystko na to wskazuje, rozprawa może się ciągnąć wiele godzin, może nawet dni. Jako wykonawca będzie pan musiał być cały czas na miejscu i słuchać wszystkich wystąpień świadków.

– Rzecz w tym, panie Brigance, że mnie się ten testament nie podoba. Nie akceptuję postępowania Setha. Nie znam tamtego obszerniejszego testamentu, ale jestem pewien, że bardziej by mi pasował. Dlaczego mam występować w obronie tego świstka, który przekazuje wszystko jakiejś czarnej służącej, która zapewne wywierała niedopuszczalny nacisk na starego? Rozumie pan, do czego zmierzam?

Jake pokiwał głową i z niechęcią zmarszczył brwi. Pół godziny w towarzystwie tego człowieka wystarczyło, by nabrał pewności, że wolałby nie użerać się z nim przez następne dwanaście miesięcy. Zamiana jednego wykonawcy testamentu na innego jest zwykle dość prosta. Jake był pewny, że uda mu się przekonać sędziego do dokonania takiej zamiany. Amburgh znów się rozejrzał i cicho powiedział:

– To bez sensu. Seth przez ostatnie dziesięć lat ciężko pracował, żeby zbić fortunę. Podejmował ogromne ryzyko i miał szczęście. A potem nagle wszystko oddaje jakiejś obcej kobiecie, która nijak się nie przyczyniła do jego sukcesu. Rzygać mi się chce, panie Brigance. To wszystko jest bardzo podejrzane.

– To niech pan zrezygnuje. Jestem pewny, że sąd znajdzie na pana miejsce kogoś, kto się tego podejmie. – Jake wziął do ręki

testament, sprasował palcami zagięcia i schował do kieszeni. – Ale niech się pan z tym prześpi. Nie pali się.

– Kiedy ta wojna wybuchnie?

– Niedługo. Gdy pojawią się ci drudzy z tym drugim testamentem.

– To może być fascynujący spektakl.

– Dzięki za poświęcony czas. To moja wizytówka. – Jake położył na stole wizytówkę, pięć dolarów i szybkim krokiem wyszedł z lokalu. W samochodzie przez chwilę siedział bez ruchu, próbując oswoić się z myślą o dwudziestomilionowym spadku, o który przyjdzie mu wkrótce stoczyć zażarty bój.

Rok wcześniej Clanton żyło sprawą sądową o wypłatę odszkodowania za fabrykę nawozów sztucznych, która w tajemniczych okolicznościach doszczętnie spłonęła. Jej właścicielem był znany miejscowy kombinator Bobby Carl Leach, któremu nie pierwszy raz coś się spaliło i który za każdym razem walczył przed sądem o odszkodowanie. Jake'owi udało się wymigać z tej sprawy, bo zawsze unikał wszelkich kontaktów z Leachem. W trakcie procesu okazało się, że wartość majątku Leacha sięga czterech milionów dolarów. Nie dysponował wprawdzie żadną gotówką, jednak z bilansu jego firmy wynikało, że po odjęciu zobowiązań od aktywów, wielkość salda robi wrażenie. To uruchomiło spory o to, kto jest najbogatszym mieszkańcem okręgu Ford. Dyskusje toczono przy porannej kawie w knajpkach wokół rynku i w barach, gdzie bankowcy spotykali się po pracy, a także w gmachu sądu, w kątach, w których adwokaci dzielili się najnowszymi doniesieniami. Dosłownie wszędzie.

Bobby Carl ze swymi czterema milionami dolarów zdecydowanie przewodził całej stawce. Klan Wilbanksów mógłby się liczyć w tym wyścigu, gdyby przed kilkadziesiątu laty Lucien nie roztrwonił rodzinnej fortuny. Wymieniano też kilku zamożnych farmerów, ale właściwie tylko z przyzwyczajenia, gdyż byli jedynie właścicielami „rodzinnych majątków”, co pod koniec lat osiemdziesiątych znaczyło, że choć posiadają ziemię, to mają trudności z płaceniem bieżących rachunków. Osiem lat wcześniej niejaki Willie Traynor sprzedał „The

Ford County Times” za półtora miliona dolarów i mówiło się, że w ciągu następnych lat podwoił tę sumę na giełdzie, tyle że plotek o Traynorze nie traktowano poważnie. Okazało się, że pewna dziewięćdziesięcioośmioletnia dama ma udziały w banku warte sześć milionów dolarów. Konkurs na najbogatszych obywateli zataczał coraz szersze kręgi i do kancelarii sądu dotarła nawet anonimowa lista, którą natychmiast rozesłano faksem do wielu odbiorców w mieście. Listę sprytnie zatytułowano: „Pierwsza dziesiątka najbogatszych mieszkańców okręgu Ford według »Forbesa«”. Do wszystkich dotarły kopie listy i plotki jeszcze się nasiliły. Korygowano ją, wydłużano, opatrywano dodatkowymi szczegółami, poprawiano, modyfikowano, a nawet beletryzowano, jednak w dalszym ciągu nie wspomniano w niej ani słowem o Secie Hubbardzie.

Zażarte spekulacje trwały kilka tygodni, po czym zainteresowanie zaczęło przygasać. Nazwisko Jake'a nigdy, ani na chwilę, nie trafiło na listę, czemu zresztą trudno się było dziwić.

Zachichotał na myśl, że w wyniku dramatycznego splotu okoliczności na listę trafi teraz nazwisko niejkiej Lettie Lang.

Rozdział 9

W ostatnim dniu Lettie stawiała się do pracy o godzinę wcześniej w nadziei, że jej obowiązkowość zmięczy serca pana Herschela i pani Dafoe, tak że zmienią decyzję. O wpół do ósmej zaparkowała swojego dwunastoletniego pontiaca obok pick-upa pana Setha. Gdy byli sami, już od wielu miesięcy nie zwracała się do niego per „pan”. W obecności innych nadal mówiła do niego „proszę pana”, ale jedynie dla zachowania pozorów. Głęboko zaczerpnęła powietrza i zacisnęła dłonie na kierownicy, z niechęcią myśląc o spotkaniu z tymi ludźmi. Niedługo wyjadą, oby jak najszybciej. Słyszała ich utyskiwania, że muszą tu spędzić aż dwie noce. Wyglądało to tak, jakby w ich wielkomiejskim świecie wszystko się bez nich waliło i musieli jak najszybciej wracać. Przyjazd na pogrzeb ojca był dla nich takim poświęceniem. Gardzili okręgiem Ford i jego mieszkańcami.

Ostatniej nocy źle spała. Słowa Brigance'a – „znaczną część majątku zapisał pani” – kołatały się jej w głowie i nie pozwalały usnąć. W końcu nic Simeonowi nie powiedziała. Może zrobi to później. A może poprosi Brigance'a, żeby on to zrobił. Simeon długo się dopytywał, czego chciał adwokat, co jej powiedział i tak dalej, ale ona była zbyt oszołomiona i zdenerwowana, by cokolwiek wyjaśniać. Zresztą, jak mogła wyjaśnić coś, czego sama nie rozumiała? Dotarło do niej tylko to, że najgłupszą rzeczą byłoby wierzyć w szczęśliwe zakończenie. Gdy zobaczy te pieniądze na własne oczy, to wtedy uwierzy, ale ani chwili wcześniej.

Drzwi między garażem a kuchnią nie były zamknięte na klucz. Lettie po cichu weszła do środka i zaczęła nasłuchiwać. Telewizor w

salonie był włączony. Na kuchennym blacie parzyła się kawa. Zakaślała najgłośniejsz jak umiała i z wnętrza domu dobiegł ją męski głos.

– To ty, Lettie?

– Tak, to ja – odrzekła przymilnym tonem. Przyozdobiła twarz sztucznym uśmiechem i weszła do salonu. Na sofie siedział Ian Dafoe, obłożony stertą papierów. Był jeszcze w piżamie i w skupieniu coś czytał.

– Dzień dobry panu.

– Dzień dobry, Lettie. – Spojrzał na nią z uśmiechem. – Jak się czujesz?

– W porządku, dziękuję, a pan?

– Na tyle dobrze, na ile to możliwe. Prawie całą noc prześlęczałem nad tymi papierami – dodał, ogarniając ruchem ręki stertę papierzysk, jakby to wyjaśniało, co się w nich kryje. – Zrób mi kawę, dobrze? Czarnej.

– Tak, proszę pana.

Lettie przyniosła filiżankę kawy, a on przyjął ją bez słowa podziękowania, od nowa zatopiony w papierach. Wróciła do kuchni, naląła sobie kawy i otworzywszy lodówkę, żeby wyjąć śmietankę, natknęła się na niemal opróżnioną butelkę wódki. Nigdy przedtem nie widziała w tym domu mocnego alkoholu. Seth nic takiego nie trzymał. Raz na miesiąc przynosił kilka piw, wstawiał do lodówki i najczęściej o nich zapominał.

Zlew zawałowała sterta brudnych naczyń i talerzy. Widać żadnemu z nich nie chciało się ich wkładać do zmywarki, skoro w domu była opłacana przez nich służąca. Lettie była zajęta porządkami, gdy za plecami usłyszała głos pana Dafoe.

– Wezmę teraz prysznic. Ramona nie czuje się najlepiej, chyba się przeziębiła.

Przeziębiła się czy spała? – pomyślała Lettie. Głośno jednak powiedziała:

– Przykro mi to słyszeć. Czy mogę jej w czymś pomóc?

– Chyba nie. Ale mogłabyś zrobić śniadanie, jajka, bekon. Dla mnie jajecznicą, nie wiem co dla Herschela.

– Zapytam go.

Skoro wkrótce wszyscy łącznie z nią mieli opuścić dom, który pusty i zamknięty będzie czekał na kupca lub w jakiś inny sposób zmieni właściciela, Lettie postanowiła całkowicie opróżnić spizarnię i lodówkę. Usmażyła jajka, zrumieniła bekon, przygotowała ciasto na naleśniki, rozbełtała jajka na jajecznicę i omlety, przygotowała serowe chrupki i podgrzała w piekarniku ulubione przez Setha biszkwity. Gdy wszyscy troje usiedli do śniadania, stół aż się ugiął od talerzy i misek z parującym jedzeniem. Stołownicy dali wyraz niezadowoleniu z powodu takiej rozrzutności i liczby dań na stole, po czym ochoczo zabrali się do jedzenia. Ramona miała podpuchnięte i przekrwione oczy i milczała nadąsana, co nie przeszkodziło jej wybierać co tłustsze kąski. Jak przystało na służącą, Lettie ich obsługiwała, napawając się ciężką atmosferą przy stole. Podejrzewała, że wszyscy mają za sobą ciężką noc spędzoną na picciu, kłótniach i przeżywaniu ostatnich godzin w znieawidzonym domu. Potem zajrzała do sypialni i z przyjemnością stwierdziła, że ich bagaże są już spakowane.

Snując się po kątach, podsłuchiwała rozmowę Herschela i Iana o spotkaniu z prawnikami, Ian przekonywał, że adwokatom łatwiej będzie przyjechać do domu Setha, niż im jechać do Tupelo.

– To oczywiście, że oni powinni przyjechać do nas – upierał się. – Mogą tu być na dziesiątą.

– Dobrze już, dobrze – zgodził się Herschel, po czym obaj ściszyli głosy.

Lettie sprzątnęła ze stołu i załadowała zastawę do zmywarki, oni zaś znów wyszli przed dom. Rozsiedli się wokół stołu piknikowego na patio i wygrzewając się w porannym słońcu, powoli sączyli kawę. Ramona wyraźnie się ożywiła i Lettie mieszkająca pod jednym dachem z pijakiem bez trudu rozpoznawała charakterystyczne symptomy. Była pewna, że większość poranków pani Dafoe spędza na powolnym dochodzeniu do siebie. Siedzący przy stole parę razy wybuchnęli śmiechem na wspomnienie epitetów, jakimi ostatniej nocy się obrzucali.

Zabrzącał dzwonek u drzwi i Lettie wpuściła ślusarza z Clanton. Herschel oprowadził go po domu i donośnym głosem, by służąca dobrze słyszała, wyjaśnił, że chcą wymienić zamki we wszystkich czworogu drzwiach wejściowych. Ślusarz zabrał się do pracy, ale Herschel i tak zajrzał do kuchni i powiedział:

– Kazalem wymienić zamki, Lettie, więc stare klucze nie będą już do niczego pasować.

– Nigdy nie miałam kluczy – burknęła ze złością. Przecież już mu to mówiła.

– Mhm, tak – mruknął Herschel. Jego mina świadczyła, że jej nie wierzy. – Jeden komplet kluczy zostanie u Calvina, resztę zabierzemy. Pewnie od czasu do czasu będę tu zaglądał, żeby wszystko sprawdzić.

Lettie podjęła jeszcze jedną próbę.

– Chętnie przyjadę i posprzątam przed pańskim przyjazdem. Calvin może mnie wpuszczać.

– To nie będzie konieczne, ale dziękuję. O dziesiątej przyjadą tu adwokaci, więc zaparz świeżą kawę. Po spotkaniu wyjeżdżamy i obawiam się, Lettie, że nie będziesz nam już więcej potrzebna. Przykro mi, ale śmierć taty wszystko zmienia.

– Rozumiem – wymamrotała przez zaciśnięte zęby.

– Jak często ci płacił?

– W każdy piątek za czterdzieści godzin.

– I w ostatni piątek ci zapłacił?

– Tak, proszę pana.

– Czyli jesteśmy ci winni za poniedziałek, wtorek i połowę dziś, zgadza się?

– Chyba tak.

– Po pięć dolców za godzinę, tak?

– Tak, proszę pana.

– Wciąż trudno mi uwierzyć, że aż tyle ci płacił.

Herschel obrócił się na pięcie i wyszedł na patio.

△△△

Gdy zjawili się adwokaci, Lettie była zajęta zdejmowaniem po-

ścieli z łóżek. Zachowanie czekających na nich domowników wskazywało, że przybysze są Świętymi Mikołajami, którzy wiozą wory zabawek dla grzecznych dzieci. Ramona na szpilkach, ze sznurem pereł na szyi i w sukience dużo elegantszej od tej, w której była na pogrzebie, bezustannie podchodziła do okna, wyglądając na podjazd, Ian w koszuli, z krawatem i w marynarce nerwowo kręcił się po salonie, zerkając co chwila na zegarek.

Po raz pierwszy gładko ogolony Herschel łąził tam i z powrotem między kuchnią a salonem.

Przez ostatnie trzy dni Lettie usłyszała dość, by wiedzieć, że rodzina ma wielkie oczekiwania. Nikt z nich nie wiedział, ile Seth miał pieniędzy na koncie, ale wszyscy byli pewni, że dużo. Poza tym, bez względu na sumę, i tak stanowiły mannę z nieba, czyż nie? Zdaniem Iana sam tylko dom i ziemia musiały być warte co najmniej pół miliona. Jak często się zdarza, że się dostaje do podziału pięćset tysięcy dolarów? A do tego zakłady drzewne i Bóg wie co jeszcze.

Zebrali się wszyscy w salonie. Trzej adwokaci i troje liczących na spadek, wszyscy elegancko ubrani i zachowujący nienaganne maniery. Służąca ubrana w najlepszą sukienkę z białej bawełny nalala im kawy i podała ciasta, po czym wycofała się do sypialni i nadstawiła uszu.

Prawnicy rozpoczęli od złożenia serdecznych kondolencji. Wszyscy trzej od lat znali Seta i szczerze go podziwiali. Cóż to był za mężczyzna. Zapewne adwokaci mieli dużo lepsze mniemanie o zmarłym niż jego własne dzieci, ale w tej chwili nikt się nad tym nie zastanawiał. Herschel i Ramona zachowywali się kulturalnie, wręcz wzorowo, i pierwsza faza rozmów przebiegła bez żadnych zakłóceń. Tylko Ian wyglądał na lekko znudzonego tym wstępem i chciał przejść już do rzeczy.

– Mam pomysł – powiedział Herschel. – Niewykłuczone, że słuchają nas jeszcze jakieś uszy. Jest tak pięknie, że proponuję przenieść się na patio. Myślę, że tam będzie bezpiecznie.

– No wiesz, Herschel – obruszyła się Ramona, ale Ian już się podnosił z miejsca. Wszyscy przeszli przez kuchnię na patio, gdzie cała szóstka rozsiadła się wokół stołu piknikowego. Lettie godzinę

wcześniej przewidująco uchylila okno w łazience i teraz siedząc na brzegu wanny, słyszała każde słowo nawet lepiej niż poprzednio.

Mecenas Lewis McGwyre z trzaskiem otworzył aktówkę, z kartonowej teczki wyjął trzy komplety kopii i rozdał zebrany.

– Nasza firma ponad rok temu sporządziła ten dokument na życzenie waszego ojca – zaczął. – Jest w nim niestety trochę żargonu prawniczego, ale takie są wymogi.

Ramona, której oczy były wciąż mocno przekrwione, poprawiła się niecierpliwie na krześle i powiedziała:

– Przeczytam sobie to wszystko później. Na razie proszę nam powiedzieć w skrócie, co jest w tym testamencie.

– Bardzo proszę. – McGwyre skinął głową. – W największym skrócie, pan Herschel i pani Ramona otrzymują po czterdzieści procent spadku. Część od razu, część w postaci udziałów w różnych funduszach powierniczych. Można powiedzieć, że łącznie dziedziczyce państwo osiemdziesiąt procent majątku pana Hubbarda.

– A pozostałe dwadzieścia? – wtrącił Ian.

– Z piętnastu procent utworzone zostaną fundusze powiernicze dla wnuków, pięć procent trafi do Chrześcijańskiego Kościoła Irlandzkiej Drogi.

– Ile wynosi cały majątek? – zapytał Herschel.

– Wartość aktywów jest bardzo duża – odrzekł spokojnym głosem Stillman Rush.

△△△

Gdy pół godziny później Lettie podeszła do stołu z dzbankiem świeżo zaparzonej kawy, panowała przy nim zupełnie inna atmosfera. Skończyło się nerwowe oczekiwanie, uleciało gdzieś napięcie i poczucie krzywdy, w ich miejsce pojawiło się radosne podniecenie, zwykle towarzyszące nagłemu i niezasłużonemu wzbogaceniu. Właśnie wygrali wielki los na loterii i martwili się wyłącznie o szybkie zainkasowanie wygranej. Ponieważ chodziło o tak duże pieniądze, cała szóstka od razu zamilkła na widok Lettie, i dolewaniu kawy do filiżanek towarzyszyła grobowa cisza. Dopiero gdy drzwi

kuchenne się zamknęły, podjęli na nowo radosną paplaninę.

Lettie słuchała wszystkiego i coraz mniej z tego rozumiała.

Testament wyznaczał Lewisa McGwyre'a na administratora masy spadkowej, czyli on nie tylko sporządzał testament, ale i odpowiadał za urzędowe zatwierdzenie go i wszelkie czynności administracyjne. Trzeci z prawników, mecenas Sam Larkin, był głównym doradcą biznesowym Setha i teraz niedwuznacznie dawał do zrozumienia, że to jemu Seth w dużej mierze zawdzięczał swój spektakularny sukces. Z lubością rozwodził się o kolejnych transakcjach, podkreślając odwagę byłego klienta w pozornie nadmiernym zadłużaniu. Jak się jednak okazało, Seth wszystkich przechytrzył, Iana te opowieści wyraźnie nudziły.

McGwyre oznajmił, że skoro już tu są, to skorzystają z okazji i po drodze wstąpią do Sądu Okręgowego w Clanton i złożą wniosek o zatwierdzenie testamentu oraz otwarcie postępowania spadkowego. W miejscowej gazecie ukaże się wezwanie do wszystkich wierzycieli Setha Hubbarda, którzy będą mieli dziewięćdziesiąt dni na zgłoszenie swoich roszczeń. Tyle że – jak podkreślił McGwyre – jest bardzo mało prawdopodobne, by istnieli jacyś nieznani wierzyciele. Seth wiedział o zbliżającej się śmierci i niecały miesiąc temu rozmawiał na ten temat z McGwyre'em.

– Reasumując – odezwał się Stillman Rush – nie przewidujemy w tej sprawie żadnych komplikacji, tyle że musi to trochę dłużej potrwać.

I odpowiednio więcej kosztować, pomyślał Ian.

– Za kilka miesięcy przedłożymy w sądzie rozliczenie i pełne zestawienie wszystkich aktywów i zobowiązań waszego ojca. Trzeba będzie w tym celu zaangażować jakąś firmę audytorską, by wyszukała i wyceniła wszystkie aktywa Setha. Znamy kilka takich firm. Będą musieli dokonać wyceny nieruchomości, przeprowadzić inwentaryzację majątku ruchomego. To cała procedura.

– Jak długo to potrwa? – spytała Ramona.

Wszyscy trzej równocześnie poprawili się na krzesłach, co jest typową reakcją prawników, kiedy ktoś próbuje wydobyć z nich szczegóły. Po chwili milczenia najstarszy wiekiem, Lewis McGwyre,

wzruszył ramionami i bez przekonania bąknął:

– Powiedziałbym, że między dwanaście a osiemnaście miesięcy.

Ian skrzywił się, od razu przebiegając w myślach przypadające w ciągu najbliższych sześciu miesięcy terminy spłat pożyczek. Herschel zmarszczył brwi, starał się jednak nie okazywać zawodu, jakby jego konta bankowe pękały w szwach i wcale mu się nie śpieszyło. I tylko Ramona gniewnie pokręciła głową i burknęła:

– Dlaczego tak długo?

– Dobre pytanie. – McGwyre pokiwał głową.

– Dzięki za uznanie.

– W tych sprawach dwanaście miesięcy to nie jest długo – ciągnął McGwyre. – Trzeba wykonać mnóstwo czynności. Na szczęście wasz ojciec miał pokaźny majątek. Niewielu spadkodawców takim dysponuje. Gdyby umarł bez grosza, postępowanie spadkowe trwałoby dziewięćdziesiąt dni.

– Na Florydzie takie postępowanie trwa średnio trzydzieści miesięcy – dodał Larkin.

– Nie jesteśmy na Florydzie – prychnął Ian.

Stillman Rush szybko przejął pałeczkę.

– A poza tym prawo dopuszcza wstępny podział – powiedział. – To oznacza, że moglibyście otrzymać część należnego spadku już w trakcie postępowania, ale jeszcze przed jego zakończeniem.

– O, to mi się podoba – ucieszyła się Ramona.

– Czy możemy pomówić o podatku? – wtrącił Ian. – Ile wyniesie w przybliżeniu?

McGwyre odchylił się na krześle i skrzyżował nogi.

– Przy tej wielkości majątku i bez dziedziczącej wdowy – powiedział z uśmiechem – podatek będzie morderczy. Nieco ponad pięćdziesiąt procent. Jednak dzięki zapobiegliwości pana Hubbarda i naszej znajomości przedmiotu udało nam się wypracować pewien plan. – Wziął do ręki kopię testamentu. – Dzięki uruchomieniu kilku funduszy powierniczych i użyciu innych narzędzi prawnofinansowych obniżyliśmy stopę podatkową do około trzydziestu procent.

Jako specjalista od liczb Ian nie potrzebował kalkulatora. Dwa-

dzieścia milionów z okładem po odjęciu trzydziestu procent zamieniało się w czternaście milionów. Czterdzieści procent od tej kwoty, należne jego drogiej żonie, dawało plus minus pięć milionów sześćset tysięcy dolarów. Czystych, do ręki, bez potrzeby odprowadzania jakichkolwiek podatków, bo wszystkie te paskudztwa, zarówno stanowe, jak i federalne, będą już zawarte w podatku spadkowym. W tym momencie zadłużenie Iana i jego różnych wspólników i firm w bankach wynosiło ponad cztery miliony dolarów, z czego mniej więcej połowa była przeterminowana.

W głowie Herschela też pracował kalkulator, a on sam przyłapał się na tym, że nuci coś pod nosem. Po chwili zmagania się z liczbami wyszła mu podobna kwota, około pięciu i pół miliona dolarów. Miał już serdecznie dość mieszkania z matką. No i skończą się wreszcie problemy z płaceniem chesnego za dzieci.

Ramona skorzystała z okazji i zjadliwie uśmiechnęła się do męża.

– Dwadzieścia milionów to nieźle jak na prostego drwala, jak go chętnie nazywałeś, co?

Herschel przymknął oczy i westchnął.

– Ramono, przestań – sapnął Ian.

Wszyscy trzej adwokaci wykazali nagle zainteresowanie butami.

Jednak Ramona nie przestała.

– Przez całe życie nie zarobisz dwudziestu milionów, a tatuś zrobił to w dziesięć lat. Cała twoja rodzina z tymi wszystkimi bankami, które kiedyś do niej należały, nigdy nie miała takiej forsy. Aż trudno uwierzyć, co, Ian?

Ianowi opadła szczęka i mógł tylko w milczeniu wpatrywać się w żonę. Gdyby byli sami, zapewne rzuciłby się jej do gardła, ale w tej sytuacji czuł się bezbronny. Spokojnie, tylko spokojnie, powtarzał sobie w duchu, starając się zapanować nad gniewem. Jasne, że lepiej zachować spokój, bo ta siedząca półtora metra od niego, złośliwie uśmiechnięta suka wkrótce odziedziczy kilka milionów i choć pewnie ich małżeństwo w końcu się rozpadnie, jemu też coś z tego skapnie.

Stillman Rush zatrzasnął aktówkę i powiedział:

– No cóż, będziemy się zbierać. Po drodze wstąpimy jeszcze do

sądu i uruchomimy procedurę. Chciałbym, żebyśmy się wkrótce znów spotkali, jeśli to możliwe. – Zerwał się z miejsca, jakby nagle zaczęło mu się bardzo śpieszyć. McGwyre i Larkin poszli w jego ślady, hałaśliwie zatraskując teczki i wylewnie się żegnając. Uparli się, że nikt nie musi ich odprowadzać, i gdy schowali się za rogiem domu, niemal puścili się biegiem.

Po ich odejściu przy stole zapadła złowróżbna cisza. Unikając swojego wzroku, wszyscy troje czekali, kto pierwszy odważy się odezwać. Jedno niepotrzebne słowo mogło wywołać kolejną scysję, może nawet coś gorszego. W końcu pierwszy nie wytrzymał najbardziej zestresowany Ian.

– Dlaczego mówisz coś takiego przy obcych? – prychnął.

Herschel się obruszył.

– Nie, dlaczego w ogóle mówisz coś takiego? Koniec, kropka.

Ramona zignorowała słowa brata i zwróciła się do męża:

– Bo od dawna chciałam ci to powiedzieć. Od zawsze traktowałeś nas z góry, zwłaszcza ojca, a teraz nagle zaczynasz liczyć jego pieniądze.

– Wszyscy je liczymy – wtrącił Herschel.

– Zamknij się, Herschel – syknęła.

Nadal nie spuszczała wzroku z Iana.

– Teraz się z tobą rozwiodę, wiesz o tym, nie?

– Długo się nie zastanawiałaś.

– Nie, niedługo.

– Dajcie już spokój – bąknął Herschel. Nie była to pierwsza rozmowa o rozwodzie, jakiej był świadkiem. – Chodźmy do środka, skończmy się pakować i wynośmy się stąd.

Obaj mężczyźni wstali i powoli odeszli od stołu. Ramona została, wpatrzona w las w oddali i drzewa porastające teren za podwórzem, gdzie bawiła się jako dziecko. Od dawna nie czuła się tak swobodna.

△△△

Przed południem doniesiono kolejny tort i Lettie tym razem odmówiła jego przyjęcia. Na koniec usiadła w kuchni i zaczęła po raz

ostatni wycierać naczynia. Państwo Dafoe krótko się z nią pożegnali, ale i tak zrobili to tylko dlatego, że nie wypadało im wyjechać bez słowa. Ramona zapewniła, że pozostaną w kontakcie, bla, bla, bla. Lettie w milczeniu patrzyła, jak wsiadają do samochodu. Mieli przed sobą długą drogę do Jackson.

Zgodnie z umową w południe zjawił się Calvin i Herschel przekazał mu komplet kluczy do nowych zamków. Calvin miał zaglądać co drugi dzień i sprawdzać, czy z domem wszystko w porządku, a także kosić trawę, grabić opadłe liście i tak dalej.

Po jego odjeździe Herschel popatrzył na Lettie.

– No to, Lettie, wygląda, że jesteśmy ci winni za osiemnaście godzin po pięć dolarów za godzinę, zgadza się?

– Jak pan uważa.

Herschel schylił się nad blatem i wypisał czek.

– Dziewięćdziesiąt dolarów – mruknął i zmarszczył czoło, jakby wciąż nie mógł się pogodzić z takim zdzierstwem. Wyrwał czek z książeczki i wręczył go Lettie.

– Proszę, to dla ciebie. – Powiedział to takim tonem, jakby wręczał jej prezent.

– Dziękuję.

– A ja dziękuję za opiekę nad ojcem, nad domem i za wszystko. Wiem, że to dla ciebie niełatwe.

– Wszystko rozumiem – odparła twardo.

– Wygląda na to, że już nigdy się nie zobaczymy, ale chcę, żebyś wiedziała, że w pełni doceniamy to, co zrobiłaś dla naszego ojca.

Łzesz jak pies, pomyślała Lettie, ale głośno rzuciła:

– Dziękuję panu. – Schowała czek, czując, jak jej oczy wypełniają się wilgocią.

Zapadło niezręczne milczenie i dopiero po chwili Herschel powiedział:

– No cóż, Lettie, czy mogłabyś już wyjść, bo chciałbym wszystko pozamykać?

– Tak, proszę pana.

Rozdział 10

Trzech nieznanym nikomu prawników w eleganckich garniturach, idących korytarzem sądowym w senne środowe popołudnie, musiało przyciągać uwagę, im jednak najwyraźniej to nie przeszkadzało. Do banalnej formalności złożenia wniosku wystarczyłby oczywiście jeden, ale osobisty udział trzech pozwalał wystawić wyższą fakturę. Z całkowitą obojętnością mijali kręcących się urzędników i stałych bywalców sądu, by ostatecznie wkroczyć do sekretariatu sądu kanclerskiego. W środku czekała już na nich Sara, uprzedzona telefonicznie przez Jake'a, do którego nieoczekiwanie zadzwoniła Lettie Lang. Lettie zatelefonowała jeszcze z domu Setha z wiadomością, że właśnie wyjechała stamtąd cała gromada prawników z zamiarem odwiedzenia sądu w Clanton.

Stillman Rush obdarzył zniewalającym uśmiechem Sarę, która spokojnie żując gumę, mierzyła gości takim wzrokiem, jakby byli intruzami bezprawnie wkraczającymi na cudzy teren.

– Jesteśmy z kancelarii prawnej Rusha z Tupelo – oznajmił.

Żadna z trzech siedzących przy biurkach urzędniczek nawet nie podniosła wzroku. Nie wyłączyły też radia, z którego sączyła się cicha muzyka.

– Gratuluję – powiedziała Sara. – Witam w Clanton.

Lewis McGwyre otworzył swą elegancką aktówkę i wyjął plik papierów.

– Tak, a zatem chcielibyśmy złożyć wniosek o zatwierdzenie testamentu.

Z głośnym szelestem plik papierów wylądował na kontuarze przed

Sarą, która nie dotykając go, spytała:

– Tak, a kto umarł?

– Niejaki Seth Hubbard – odrzekł Stillman głosem o oktawę wyższym, ale nadal niewystarczającym, by przyciągnąć uwagę urzędniczek sądu kanclerskiego okręgu Ford.

– Nigdy o nim nie słyszałam – powiedziała z kamienną twarzą Sara. – Mieszkał w naszym okręgu?

– Tak, pod Palmyrą.

Sara wzięła w końcu papiery do ręki, zaczęła przeglądać i uniosła brwi.

– Kiedy umarł? – spytała.

– W ostatnią niedzielę.

– Już go pochowano?

Tym razem Stillman nie wytrzymał.

– Czy to naprawdę pani sprawa? – warknął, zaraz się jednak zreflektował. Był na obcym terenie i zadzierał z urzędniczką, która mogła mu uprzykrzyć życie. Przełknął ślinę, przywołał na twarz uśmiech i szybko dodał: – Wczoraj.

Sara zapatrzyła się w ścianę, jakby coś jej zaczynało świtać.

– Seth Hubbard? Seth Hubbard? Hej, Eva – rzuciła przez ramię. – Czy myśmy nie przyjęły czegoś wczoraj w sprawie Setha Hubbarda?

– Wczoraj pod koniec dnia – odrzekła siedząca dziesięć metrów dalej Eva. – Tam, ten nowy segregator na półce.

Sara zrobiła kilka kroków, zdjęła z półki segregator i zaczęła go przeglądać. Trzej prawnicy zamarli, wpatrując się w nią w napięciu.

– Mhm, mam tu już wniosek o zatwierdzenie testamentu Henry'ego Setha Hubbarda – mruknęła. – Złożony wczoraj o szesnastej pięćdziesiąt pięć.

Wszyscy trzej prawnicy równocześnie otworzyli usta, aby coś powiedzieć, ale żaden nie wydusił z siebie słowa. W końcu udało się to Stillmanowi, który sapnął:

– Co jest, u diabła?

– Ja go nie złożyłam. Ja tu tylko pracuję.

– To rejestr publiczny? – spytał McGwyre.

– O tak – odrzekła Sara, kładąc segregator na kontuarze.

Trzej prawnicy pochylili się, niemal się stykając głowami. Sara odwróciła się, puściła oko do koleżanek i wróciła do swojego biurka.

△△△

Pięć minut później na biurku Jake'a zabrzączał interkom. Dzwoniła Roxy z dołu z informacją, że przyszło do niego jakichś trzech panów. Chwilę wcześniej Jake widział z tarasu, jak wypadają z budynku sądu.

– Są umówieni? – zapytał.

– Nie, panie mecenasie. Ale mówią, że to pilne.

– Mam spotkanie, które potrwa jeszcze jakieś pół godziny – powiedział siedzący samotnie Jake. – Ale jeśli chcą, niech zaczekają.

Roxy, która została wcześniej wtajemniczona, odłożyła słuchawkę i przekazała gościom wiadomość. Adwokaci skrzywili się, powiercili jeszcze chwilę, po czym postanowili wyskoczyć na kawę i wrócić za pół godziny.

– Proszę przekazać panu Brigance'owi, że to bardzo pilne – rzucił od drzwi Stillman.

– Już to zrobiłam.

– No tak, dobrze. Dziękuję.

Jake usłyszał trzask z impetem zamykanych drzwi i uśmiechnął się w duchu. Był pewien, że wróca, i już się cieszył na to spotkanie. Poświęcił się na nowo przeglądaniu najnowszego wydania tygodniowego dodatku do „The Ford County Times”, który ukazywał się w każdą środę rano i stanowił skarbnicę lokalnych wiadomości. W dolnej połowie pierwszej strony zamieszczono krótką notatkę o śmierci Seta Hubbarda „wyglądającej na samobójstwo”. Autor notatki popytał różnych ludzi i powołując się na anonimowe źródła, stwierdził, że Hubbard był niegdyś ważnym przemysłowcem w branży drzewnej, który we wschodnich stanach Południa posiadał liczne zakłady przetwórstwa drewna i produkcji mebli. Niecały rok temu pozbył się większości swoich fabryk i ślad po nim zagał. Także jego rodzina unikała kontaktów i nie odpowiadała na telefony. Do notatki dołączono zdjęcie Seta Hubbarda sprzed wielu lat, i

patrząca z niego twarz nijak nie przypominała oblicza wiszącego na sznurze nieszczęśnika, którego pośmiertne zdjęcia Jake oglądał w biurze Ozziego. Ale w końcu taka śmierć każdego musi odmienić.

Po dwudziestu minutach adwokaci wrócili. Roxy wpuściła ich do sali konferencyjnej na parterze, oni zaś stanęli przy oknie i zaczęli gapić się na ospały ruch na rynku. Od czasu do czasu mówili coś do siebie szeptem, jakby się obawiając, że w sali może być podsłuch. Po paru minutach dołączył do nich Brigance i przywitał się kolejno ze wszystkimi. Mężczyźni obdarzyli się wzajemnie wymuszonymi uśmiechami i chłodnymi, ale uprzejmymi uściskami dłoni. Usiedli i Roxy zaproponowała im kawę lub wodę. Wszyscy podziękowali, więc wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Dziesięć lat wcześniej Jake i Stillman skończyli prawo na Ole Miss i choć się wówczas znali i często spotykali na zajęciach, obracali się w zupełnie innych kręgach. Jako ukochany jedynak właścicieli firmy prawniczej o podobno stuletniej tradycji, Stillman mógł być spokojny o swoją przyszłość, nim jeszcze na dobre rozpoczął studia. Jake, jak wszyscy inni, musiał usilnie zabiegać o pracę. Mimo to trzeba było Stillmanowi przyznać, że naprawdę ciężko harował i ukończył studia wśród pierwszych dziesięciu procent absolwentów. Jake zajął miejsce niewiele gorsze. Zawodowo ich ścieżki przecięły się tylko raz, gdy Lucien kazał Jake'owi wystąpić z pozwem w sprawie dość wątpliwej dyskryminacji płciowej przeciwko biznesmenowi reprezentowanemu przez kancelarię Rusha. Sprawa zakończyła się remisem, ale w trakcie procesu Jake znieubił Stillmana. Na studiach był do zniesienia, jednak kilka lat spędzonych w sądach uczyniło z niego straszego waśniaka ze strasznie ważnej kancelarii o strasznie rozdętym ego. Jego blond włosy były nieco dłuższe niż za czasów studenckich i pięknie kontrastowały z nienagannym garniturem z czarnej wełny, pozwalały też bezustannie zatykać kosmyki włosów za uszy.

Panów McGwyre'a i Larkina Jake nigdy wcześniej nie spotkał, ale znał ich ze słyszenia. Missisipi to nieduży stan.

- Czemu zawdzięczam ten zaszczyt, panowie? – zaczął Jake.
- Och, myślę, Jake, że się już domyśliłeś – odrzekł grzecznie

Stillman. – Widziałem cię wczoraj na pogrzebie pana Hubbarda. Czytaliśmy jego odręczny testament i sprawa jest dość oczywista.

– I pod wieloma względami ułomna – dorzucił surowo Lewis McGwyre.

– Ja tego testamentu nie pisałem – odciął się Jake.

– Ale ty go złożyłeś w sądzie – rzekł Stillman. – Czyli musisz go uważać za autentyczny dokument.

– Nie mam powodu sądzić inaczej. Dostałem go pocztą z poleceniem złożenia w sądzie. I tyle.

– Ale jak pan może firmować swoim nazwiskiem taki prawny bubel? – oburzył się Sam Larkin, biorąc do ręki kopię testamentu.

Jake obrzucił go niechętnym spojrzeniem. Typowy gnojek z ważnej firmy prawniczej. Ważniejszy od innych, bo wystawia rachunki i płacą mu od godziny. Według jego niepodlegającego dyskusji zdania testament to „prawny bubel”, czyli śmieć bez wartości. I wszyscy mają myśleć jak on. Zachował jednak spokój i powiedział tylko:

– Szkoda naszego czasu, byśmy tu siedzieli i roztrząsali zalety i wady holograficznego testamentu pana Hubbarda. Zachowajmy nasze argumenty na spotkanie w sali sądowej. – Jake odpałił pierwszą salwę. W końcu to na sali sądowej odniósł wielki sukces zawodowy i położył podwaliny pod swoją reputację. O ile Jake wiedział, mecenas McGwyre był od spisywania testamentów, mecenas Larkin siedział w kontraktach dla firm, a Stillman Rush głównie bronił podejrzanych o podpalenia w celu wyłudzenia odszkodowania, choć sam uważał się za niezłomnego obrońcę sądowego.

W sali sądowej – w swojej sali sądowej – w gmachu po drugiej stronie ulicy Jake niecałe trzy lata temu stoczył wielką zwycięską bitwę w sprawie Haileya i choć jego trzech goście pewnie by się do tego nie przyznali, oni też wtedy z uwagą śledzili przebieg wypadków. I jak wszyscy adwokaci w całym stanie, musieli zielenieć z zazdrości z powodu rozgłosu, jaki ta sprawa przyniosła Jake'owi.

– Czy wolno spytać o twoje powiązania z Sethem Hubbardem? – spytał Stillman.

– Nigdy w życiu go nie spotkałem. Umarł w niedzielę, a testament przyszedł w poniedziałkowej poczcie.

To ich wyraźnie zaskoczyło i potrzebowali chwili na przetrawienie tej wiadomości. Jake postanowił nie ułatwiać im zadania i nie czekać.

– Przyszanaję, że nigdy w życiu nie miałem do czynienia z taką sprawą. Nigdy nie zajmowałem się sprawą zatwierdzenia holograficznego testamentu. Myślę, że macie dość egzemplarzy poprzedniej wersji, tej sporządzonej w waszej firmie w zeszłym roku. Czy mógłbym dostać jeden z nich?

Wszyscy trzej spojrzeli po sobie, po czym Stillman powiedział:

– No cóż, Jake, gdyby ten testament został przyjęty do zatwierdzenia przez sąd, trafiłby do rejestru publicznego i chętnie byśmy ci dali jego kopię. Okazało się jednak, że w sądzie jest już inny testament, więc naszego nie złożyliśmy. W tej sytuacji jego treść musimy uznać za poufną.

– Rozumiem.

Wszyscy trzej wciąż wymieniali się spojrzeniami i widać było, że żaden właściwie nie wie, jak powinien się zachować. Jake milczał, z satysfakcją obserwując ich zmieszanie. W końcu Stillman, spec od sporów sądowych, wyduśił:

– No więc, Jake, prosilibyśmy, żebyś wycofał ten odręczny testament i umożliwił nam złożenie autentyku.

– Moja odpowiedź brzmi: nie.

– Spodziewałem się tego. Jak więc widzisz dalszy ciąg sprawy?

– Bardzo prosto, Stillman. Złożmy wspólny wniosek do sądu o wstępne przesłuchanie stron. Sędzia Atlee przyjrzy się obu testamentom i jestem przekonany, że zaproponuje jakieś rozwiązanie. Występuję w jego sądzie raz w miesiącu i wiem z góry, do kogo będzie należało ostatnie słowo.

– Pomyślałem właśnie o tym samym – powiedział Lewis McGwyre. – Znam Reubena od lat i myślę, że powinniśmy zacząć od niego.

– Chętnie zajmę się uruchomieniem całej procedury – zaoferował Jake.

– Czy to znaczy, że jeszcze z nim nie rozmawiałeś? – upewnił się Stillman.

– Oczywiście, że nie. Jeszcze nic o tym nie wie. Dopiero wczoraj był pogrzeb.

Udało im się wydusić z siebie kilka uprzejmości na pożegnanie i rozstać w pokoju, choć wszyscy wiedzieli, że wkrótce czeka ich wojna.

Lucien siedział na werandzie przed domem, popijając coś wyglądającego na lemoniadę. Zdarzało mu się to od czasu do czasu, gdy jego ciało i całe życie stawało się tak nasączone whisky, że musiał zniknąć na tydzień i zmierzyć się z koszmarem detoksu. Z werandy otaczającej cały dom na wzgórzu w pobliżu Clanton roztaczał się widok na miasteczko ze sterczącą pośrodku kopułą sądu. Stary dom, jak większość swego majątku i długów, Lucien odziedziczył po przodkach, o których miał jak najgorsze zdanie, ale którzy – jak się okazało – zapewnili mu całkiem dostatnie życie. Lucien w wieku sześćdziesięciu trzech lat był starcem ze zmęczoną i pokrytą siwym zarostem twarzą, którą wieńczyła strzecha kudłatych włosów. Wypita whisky i wypalone papierosy odłożyły się głębokimi bruzdami na twarzy, a przesiadywanie bez ruchu na werandzie – warstwą tłuszczu w pasie. Wszystko razem nie poprawiało mu humoru i dodatkowo rzutowało na jego nastroje.

Dziewięć lat temu stracił licencję adwokata i zgodnie z warunkami wykluczenia miał prawo wystąpić już o jej przywrócenie. Wypuścił w tej kwestii kilka próbnych baloników przy Jake'u, chcąc się zorientować w jego reakcji, jednak młodszy kolega nie podjął tematu. W rzeczywistości aż drętwiał na myśl o powrocie do współpracy z Lucieniem, będącym właścicielem budynku mieszczącego biuro. Wspólnik nie nadawał się ani na zwierzchnika, ani na kolegę. Gdyby odzyskał uprawnienia adwokackie i wrócił do firmy, którą Jake od lat samodzielnie prowadził, a następnie zaczął znów pozywać do sądu każdego, kto mu się w czymś naraził, oraz bronić pedofilów, gwałci-

cieli i morderców pierwszego stopnia, Jake nie wytrzymałby dłużej jak sześć miesięcy.

– Co u ciebie, Lucien? – rzucił, wchodząc na werandę.

Trzeźwy, odświeżony i patrzący jasnym wzrokiem Lucien obdarzył go pogodnym uśmiechem.

– U mnie wszystko gra, Jake. Miło cię widzieć, jak zawsze.

– Wspominałeś coś o lunchu. Czy ja kiedykolwiek odrzuciłem zaproszenie na lunch? – Jeśli pogoda na to pozwalała, co najmniej dwa razy w miesiącu jedli lunch na werandzie Luciena.

– Nie przypominam sobie. – Lucien wstał i podał Jake'owi rękę. Uścisnęli sobie dłonie i szybko pokleпали się po plecach, jak to zwykle robią mężczyźni niemający naprawdę ochoty na kontakt fizyczny, po czym zasiedli w starych wiklinowych fotelach, z których łuszczyła się biała farba. Fotele stały z dokładnością do dziesięciu centymetrów w miejscach, w których Jake zobaczył je po raz pierwszy dziesięć lat wcześniej.

W końcu zjawiała się Sallie; rzuciła Jake'owi „cześć”, a on ją zapewnił, że chętnie napije się mrożonej herbaty. Sallie powoli skinęła głową i niespiesznie się oddaliła. Nigdy jej się nie śpieszyło. Lucien przyjął ją jako gospodynię do prowadzenia domu, potem – gdy wpadł w ciąg alkoholowy i na dwa tygodnie został wyłączony – zamieniła się w jego pielęgniarkę. W którymś momencie przeniosła się do niego na stałe i w Clanton zawrzało od plotek, które szybko jednak ucichły, gdyż nic, co robił Lucien Wilbanks, nie mogło naprawdę szokować.

Sallie przyniosła mrożoną herbatę i doląła Lucienowi lemoniady.

– Jesteś na odwyku? – spytał Jake.

– Nieee, w życiu. Tylko krótka przerwa. Chcę jeszcze pożyć ze dwadzieścia lat, ale martwię się o wątrobę. Nie chcę umierać, ale nie chcę też żegnać się z jackiem danielsem, więc żyję w ciągłym stresie. Cały czas się tym martwię, stres narasta i staje się nie do zniesienia, a wtedy jedynym lekarstwem jest jack daniels.

– Przepraszam, że spytałem.

– A ty pijesz?

– Właściwie to nie. Od czasu do czasu piwo, ale w domu tego nie

trzymamy. Wiesz, Carla kręci nosem na alkohol.

– Moja druga żona też kręciła, i małżeństwo z nią nie przetrwało roku. No, ale ona nie wyglądała jak Carla.

– Chyba powinienem powiedzieć „dziękuję”.

– Nie ma za co. Sallie smaży jarzyny. Może być?

– Pycha.

Istniała niepisana lista spraw, które zawsze omawiali, i to w tej samej kolejności. Porządek był do tego stopnia ustalony, że Jake nawet podejrzewał, iż Lucien ma pod ręką ukrytą ściągę. Najpierw rodzina, Carla i Hanna; potem sprawy biurowe łącznie z wypytywaniem o aktualną sekretarkę i lukratywne zlecenia, które mogły się pojawić w kancelarii od ostatniego spotkania; pozwy pod adresem firm ubezpieczeniowych; śledztwa w sprawach Klanu; najnowsze wieści o Macku Staffordzie, adwokacie, który zniknął z forszą klienta; plotki o innych adwokatach i sędziach; futbol w college'u i oczywiście pogoda.

Przenieśli się do małego stolika na drugim końcu werandy, gdzie Sallie nakryła do lunchu: fasola, dynia, duszone pomidory i chleb kukurydziany. Nałożyli sobie na talerze i Sallie się wycofała.

Przez chwilę jedli w milczeniu, po czym Jake zapytał:

– Znałeś Seta Hubbarda?

– Czytałem o nim w dzisiejszej gazecie. Smutna sprawa. Ze-
tknąłem się z nim raz czy dwa piętnaście lat temu. Chodziło o jakiś drobiazg natury prawnej. Nigdy nie występowałem przeciwko niemu w sądzie, czego zawsze będę żałował. Mógł mieć gruby portfel. Starąłem się występować przeciwko wszystkim właścicielom grubych portfeli, a jak wiesz, w naszych stronach nie ma ich tak wielu. A bo co?

– Bo mam dla ciebie zagadkę.

– Nie możesz z tym poczekać? Teraz jem.

– Nie mogę. Posłuchaj: masz majątek, nie masz żony ani dzieci, masz jakichś dalekich krewnych i ładną czarną gospozię, która sprawia wrażenie, że może być czymś więcej niż tylko gospozią.

– Pachnie mi to wtrącaniem się w nie swoje sprawy. Do czego

zmierzasz?

- Gdybyś sporządzał testament, komu zapisałbyś swój majątek?
- Mogę cię zapewnić, że nie tobie.
- To mnie nie dziwi. I pragnę cię uspokoić, że w moim testamencie ty też nie występujesz.
- Nic nie szkodzi. A tak przy okazji, zalegasz z czynszem za ostatni miesiąc.
- Sprawdź w poczcie. Możesz mi odpowiedzieć na pytanie?
- Nie, bo ono mi się nie podoba.
- Przestań. Skup się. Postaraj się. Gdybyś dziś pisał nowy testament, komu wszystko byś zapisał?

Lucien wsadził do ust kawałek chleba kukurydzianego i przez chwilę żuł w milczeniu, potem rozejrzał się na boki, jakby się chciał upewnić, że Sallie ich nie słyszy.

- Nie twoja sprawa – mruknął. – A czemu pytasz?
- Jake sięgnął do kieszeni i wyjął kilka złożonych kartek.
- Przeczytaj to. Ostatnia wola i testament Setha Hubbarda, napisane własnoręcznie w sobotę w pełni świadomości tego, co zamierzał zrobić w niedzielę. Oryginał dostałem pocztą w poniedziałek rano.

Lucien poprawił okulary, pociągnął łyk lemoniady i zaczął czytać. Pod koniec pierwszej strony i po przejściu do drugiej rysy jego twarzy wyraźnie złagodniały i zaczął się nawet uśmiechać. Kończąc czytanie, parę razy kiwnął potakująco głową, jakby zgadzał się z Sethem.

- Podoba mi się – rzekł, opuszczając kartki i z uśmiechem patrząc na Jake'a. – Rozumiem, że Lettie to ta czarna gosposia.
- Zgadza się. Widziałem ją wczoraj pierwszy raz w życiu. Mówi ci coś jej nazwisko?

Lucien zamyślił się, nie wypuszczając testamentu z rąk. Wyglądało, jakby zupełnie zapomniał o jedzeniu.

- Żadnych Tayberów sobie nie przypominam, paru Langów mogłem znać. Box Hill to specyficzny zakątek naszego okręgu. Nigdy się tam nie zapuszczałem.

Zaczął czytać od początku, Jake wrócił do jedzenia.

– Ile on był wart? – Lucien złożył kartki i oddał je młodszemu koledze.

– Ze dwadzieścia milionów – bąknął obojętnie Jake, jakby to była typowa wielkość spadku w okręgu Ford. – Dorobił się na handlu drewnem i produkcji mebli.

– Całkiem nieźle się dorobił.

– Większość z tego jest w gotówce.

Lucien parsknął śmiechem.

– Tylko tego tej dziurze potrzeba – wykrztusił, trzęsąc się ze śmiechu. – Świeżo upieczona czarna milionerka z kasą większą niż ktokolwiek inny.

– Jeszcze tych pieniędzy nie ma – przypomniał Jake. – Właśnie spotkałem się z paroma kolesiami z kancelarii Rusha. Mówiąc w skrócie, grożą wojną.

– Oczywiście. A ty byś nie walczył o taką forszę?

– Jasne. Walczyłbym nawet o dużo mniej.

– To tak jak ja.

– Miałeś kiedyś do czynienia z walką o unieważnienie testamentu?

– Ach, więc o to ci chodzi. Szukasz bezpłatnej porady prawnej u pozbawionego licencji adwokata, tak?

– Takie sprawy nieczęsto się zdarzają.

Lucien włożył do ust porcję jedzenia, podrapał się po szczecinie na brodzie i pokręcił głową.

– Nie, nigdy. Rodzina Wilbanksów od stu lat żarła się między sobą o ziemię, akcje i depozyty. O wszystko toczono boje, czasami bardzo zawzięte. Dochodziło do walk na pięści, rozwodów, samobójstw, pojedynków, grózb śmierci. Wymyśl cokolwiek i możesz mieć pewność, że Wilbanksowie to robili. Ale zawsze toczyli swoje spory poza salą sądową.

Przyszła Sallie i dołąca do szklanek. Przez chwilę jedli w milczeniu, potem Lucien się wyprostował i powiódł rozjarzonym wzrokiem po trawniku przed domem.

– To fascynująca historia, nie sądzisz? – powiedział.

- Może wpadnę do ciebie dziś po południu. I tak się wybierałem do biura, bo potrzebna mi jedna stara książka. Może być na strychu.
- Ty jesteś właścicielem – mruknął Jake, odsuwając talerz.
- A ty zalegasz z czynszem.
- Podaj mnie do sądu.
- Chętnie bym to zrobił, tyle że jesteś gołodupcem. Mieszkasz w wynajętym domu, a twój samochód ma prawie taki sam przebieg jak mój.
- Może należało zająć się produkcją mebli.
- Czymkolwiek, byle nie prawem. Ale ta sprawa mi się podoba, Jake. Może nawet chciałbym się w nią włączyć.
- Oczywiście, Lucien. – Jake'owi udało się to powiedzieć obojętnym tonem. – Wpadnij, to pogadamy. – Wstał i rzucił serwetkę na stolik.
- Co, bez kawy?
- Bez, muszę lecieć. Dzięki za lunch i podziękuj ode mnie Sallie.

Rozdział 11

Wścibski asystent z kancelarii prawnej, który akurat siedział w pomieszczeniu w głębi korytarza i grzebał w starych aktach własności ziemi, usłyszał plotkę przy chłodziarce wody i od razu pobiegł do kopiarki, by zrobić odbitkę najnowszego testamentu złożonego do zatwierdzenia w sądzie okręgu Ford. Po powrocie do biura pokazał kopię swoim szefom i następnie rozesłał ją faksem w parę miejsc. Jego szefowie postąpili podobnie i w rezultacie dwustronicowy holograficzny testament Hubbarda znalazł się na kilkunastu biurkach w całym okręgu. Użyte w nim sformułowanie „niech szczerzą w bólu” znalazło się na ustach wielu, jednak dominowały spekulacje na temat wielkości majątku testatora.

Tuż po wyjeździe z domu ojca Herschel zadzwonił do swojego adwokata, by się z nim podzielić wspaniałą wiadomością, że wkrótce stanie się posiadaczem paru milionów dolarów. Szczególnie interesowała go sytuacja prawna byłej żony – rany zadane przez nią w trakcie bolesnego rozwodu wciąż jeszcze krwawiły – i spytał prawnika, czy jego była będzie miała prawo do udziału w spadku. Adwokat go zapewnił, że nie będzie mogła wysuwać żadnych roszczeń, po czym zadzwonił do kolegi w Tupelo właściwie tylko po to, by trochę poplotkować. Między innymi wspomniął o tym, że majątek Setha Hubbarda jest „oceniany na ponad dwadzieścia milionów dolców”. Zaraz potem prawnik z Tupelo zadzwonił do paru kolegów i wielkość spadku zaczęła szybko rosnąć.

Gdy tylko Ian Dafoe dotarł do szosy Natchez Trace Parkway i skręcił na południe, od razu ustawił tempomat na osiemdziesiąt

kilometrów na godzinę i rozsiadł się wygodnie, szykując się do relaksującej jazdy. Ruch na szosie był niewielki, słońce stało wysoko, liście zaczynały żółknąć i niektóre już spadały, porywane podmuchami wiatru. Choć żona jak zwykle utrudniała mu życie, miał powody do zadowolenia. Udało mu się wyciszyć temat rozwodu, przynajmniej na razie. Męczył ją kac, właśnie pochowała ojca i nerwy miała napięte jak postronki. Zresztą i bez tego Ramona nie radziła sobie zbyt dobrze z przeciwnościami losu, on jednak był gotów całować żonę w zadek, byle ją udobruchać, uspokoić i załagodzić zadrażnienia, byle tylko móc przystąpić do zarządzania ich nowym bogactwem. Ich wspólnym bogactwem. Był pewny, że sobie z tym poradzi.

Ramona leżała na tylnym siedzeniu z oczami przykrytymi ramieniem i starała się usnąć. Przestała się odzywać, jej oddech stał się ciężki, Ian kilkakrotnie się obejrzał, by się upewnić, że pasażerka śpi, po czym ostrożnie sięgnął po nowy telefon samochodowy i zadzwonił do biura. Starając się mówić jak najciszej, w skrócie poinformował Rodneya, swojego wspólnika, o ostatnich wydarzeniach:

– Starego już nie ma... kasa ponad dwadzieścia melonów... meble i drewno... zdumiewające... nie miałem pojęcia... widziałem testament... czterdzieści procent po opodatkowaniu... nieźle... około roku... nie żartuję... więcej później.

Ian prowadził, uśmiechając się do mijanych drzew i marząc o czekającym go lepszym życiu. Jeśli nawet dojdzie do rozwodu, to i tak coś z tego spadku mu skapnie, nie? Powinien zadzwonić do swojego adwokata, ale rozsądek mu podpowiadał, żeby lepiej się z tym wstrzymać. Brzęczenie telefonu wyrwało go z rozmarzenia i obudziło Ramonę.

– Halo.

W słuchawce zabrzmiał suchy męski głos.

– Halo, Ian, tu Stillman Rush. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Właśnie wracamy z Clanton do Tupelo.

– Skąd, nie przeszkadzasz. Jesteśmy na Trace Parkway i zostało nam jeszcze parę godzin jazdy. Nie mam nic do roboty poza rozmową

z tobą.

– Tak, no więc posłuchaj, wystąpiły pewne komplikacje. Nie będę owijał w bawełnę i od razu przejdę do rzeczy. – Mówił z lekka podenerwowanym głosem i Ian od razu wyczuł, że ma coś złego do przekazania. Ramona usiadła i przetarła podpuchnięte oczy. – Nie udało nam się złożyć wniosku o zatwierdzenie testamentu pana Hubbarda, ponieważ wcześniej sąd przyjął już inną jego wersję. Wygląda na to, że jeden z prawników z Clanton pognął do sądu wczoraj późnym popołudniem i złożył własnoręczny testament, który pan Hubbard rzekomo sporządził w minioną sobotę, dzień przed swoją śmiercią. Odręcznie spisane testamenty mają moc prawną, pod warunkiem że spełniają pewne wymogi. Ten jest po prostu okropny. Rodzina nie dostaje ani grosza, ze szczególnym uwzględnieniem Ramony i Herschela, którzy są w nim wymienieni z imienia. Zamiast nich, dziewięćdziesiąt procent majątku otrzymuje gospośia, Lettie Lang.

– Lettie! – wykrzyknął Ian i tak przy tym szarpnął kierownicą, że samochód na moment zjechał na przeciwny pas.

– O co chodzi? – burknęła z tyłu Ramona.

– Tak, Lettie Lang – powtórzył Stillman. – Zdaje się, że bardzo ją polubił.

– Ależ to bzdura! – zapiszczał Ian ze zdenerwowania, jednocześnie wpatrując się rozkojarzonym wzrokiem w lusterko wsteczne. – Dziewięćdziesiąt procent? Powiedziałeś dziewięćdziesiąt?

– Tak powiedziałem. Mam przy sobie kopię tego testamentu i jest w nim czarno na białym: dziewięćdziesiąt procent.

– Odręcznie napisany? Może być sfalszowany?

– Na razie nic nie wiemy. Wszystko jest na wstępnym etapie.

– Stillman, przecież chyba ten numer nie przejdzie, co?

– Oczywiście, że nie. Spotkaliśmy się z adwokatem, który złożył testament w sądzie. Odmówił jego wycofania, więc uzgodniliśmy, że wkrótce spotkamy się z sędzią i dojdziemy do porozumienia.

– Dojdziemy do porozumienia? Co to znaczy?

– Poprosimy sędziego o odrzucenie holograficznej wersji testa-

mentu i zatwierdzenie właściwej, którą widzieliście dziś rano. Jeśli z jakiegoś powodu odmówi, wytoczymy proces i rozpoczniemy batalię o uznanie naszej wersji za obowiązującą.

– I kiedy to zrobimy? – warknął Ian. W jego głosie brzmiała złość, ale także desperacja, jakby sobie nagle uświadomił, że fortuna zaczyna wymykać mu się z rąk.

– Na razie nic nie wiemy. Odezwę się za parę dni. Nie damy się, Ian.

– Mam nadzieję, że nie. Bo inaczej zwrócę się do kancelarii Laniera w Jackson. To wielka firma, od lat mnie reprezentują. Oni wiedzą, jak postawić na swoim. Właściwie to chyba zaraz zadzwonię do Wade'a Laniera, jak tylko się rozłączymy.

– Nie ma takiej potrzeby, przynajmniej na razie. Mieszanie się innych prawników może nam tylko zaszkodzić. Zadzwonię za parę dni.

– Czekam.

Ian rzucił słuchawkę i wlepił wzrok w żonę.

– Ian, co się dzieje? – spytała.

Westchnął głęboko i sapnął:

– No nie uwierzysz.

ΔΔΔ

Herschel siedział za kierownicą swego małego datsuna i słuchał ostatnich taktów piosenki Springsteena. Samochód stał zaparkowany obok wjazdu do salonu BMW we wschodnim Memphis i widać było rzędy lśniących nowością beemek. Przez dłuższą chwilę walczył z tym pomysłem i uległ dopiero po zawarciu z samym sobą kompromisu, że jedynie porozmawia ze sprzedawcą, ale nie odbędzie jazdy próbnej. Przynajmniej na razie. Właśnie wyłączył radio, gdy zadzwonił telefon.

Dzwonił Stillman Rush, który rzucił podenerwowanym tonem:

– Herschel, pojawił się pewien problem.

ΔΔΔ

Lettie przyjechała sama. Jake zaprowadził ją do swojego gabinetu, zamknął drzwi i posadził w kąciku wypoczynkowym z sofą i dwoma fotelami. Zdjął krawat i nalał jej kawy w nadziei, że to ją trochę rozluźni. Wyjaśniła, że jest sama, bo Simeon znów gdzieś pojechał. Nic mu nie powiedziała o testamencie Setha i to go rozzłościło. Pokłócili się tak, że aż się niosło po domu. W końcu wybiegł i odjechał.

Jake wręczył jej kopię testamentu Setha. Zaczęła czytać i od razu się rozplakała. Położył obok niej pudełko chusteczek higienicznych, Lettie otarła oczy i jeszcze raz wszystko przeczytała, potem odłożyła kartki na stolik przy kanapie i przez dłuższą chwilę siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach. W końcu przestała płakać, otarła policzki i lekko się wyprostowała na znak, że szok minął i jest gotowa porozmawiać o sprawie.

– Lettie, dlaczego on to zrobił? – zaczął twardo Jake.

– Nie wiem. Przysięgam, że nie wiem.

– Rozmawialiście o tym?

– Nie.

– Widziałaś to kiedyś?

Lettie gwałtownie potrząsnęła głową.

– Nie, nie. Nigdy.

– Wspominał ci o testamencie?

Zamilkła, jakby próbowała wygrzebać coś z pamięci.

– Chyba ze dwa razy w ciągu ostatnich miesięcy. Mówił, że coś dla mnie zostawi, ale nigdy nie powiedział co. Oczywiście liczyłam, że coś mi zapisze, ale sama nigdy go o to nie pytałam. Nigdy w życiu nie byłam w żadnym testamencie. Moja mama nie spisała testamentu. Wie pan, to nie jest coś, o czym się u nas rozmawia.

– Mów mi po imieniu.

– Dobrze, spróbuję.

– Jak do niego mówiłaś: proszę pana, panie Seth czy po prostu Seth?

– Kiedy byliśmy sami, to mówiłam mu po imieniu, bo tak sobie zyczył. Jeśli był ktoś jeszcze, to zawsze zwracałam się „panie Seth” albo „proszę pana”.

- A on do ciebie jak mówił?
- Lettie. Zawsze, od samego początku.

Jake wypytał ją o ostatnie dni życia Setha, jego chorobę, zabiegi i lekarstwa, lekarzy, pielęgniarki, apetyt, codzienne zwyczaje i warunki jej zatrudnienia. Nie wiedziała prawie nic o jego interesach poza tym, że początkowo wszystkie papiery trzymał pod kluczem w różnych miejscach w domu, jednak w ostatnich miesiącach większość przeniósł do biura. Nigdy z nią ani w jej obecności nie rozmawiał o interesach. Zanim zachorował, a nawet już później, gdy tylko lepiej się czuł, dużo podróżował. Wolał być poza domem. W domu było cicho i pusto, i nie czuł się w nim szczęśliwy. Często przyjeżdżała na ósmą rano i przez całe osiem godzin nie miała nic do roboty, zwłaszcza gdy Setha nie było w domu. Jeśli był, gotowała mu i sprzątała. Gdy zachorował i był umierający, dużo przy nim siedziała. Karmiła go, a także... tak, kąpała go i w razie potrzeby sprzątała po nim. Miewał gorsze okresy, zwłaszcza po chemioterapii i naświetlaniach, kiedy był przykuty do łóżka i zbyt słaby, żeby jeść o własnych siłach.

Jake ostrożnie wyjaśnił znaczenie terminu „niedopuszczalny wpływ”. Próba obalenia w sądzie ważności tego testamentu sprowadzi się do oskarżenia Lettie o to, że nadmiernie zbliżyła się do Setha i wywierała na niego nadmierny wpływ. Że tak go zmanipulowała, iż zapisał jej swój majątek. Dlatego obrona testamentu będzie wymagała udowodnienia, że tak nie było. W trakcie rozmowy Lettie trochę się odprężyła, ale Jake wyobrażał ją sobie w sali pełnej rozjuszonych prawników, którzy jeden przez drugiego będą chcieli ją dopaść i wydusić z niej przyznanie się do tego, co robiła z Sethem Hubbardem. I już teraz jej współczuł.

– Muszę ci wyjaśnić naszą wzajemną relację, Lettie – powiedział, widząc, że się uspokoiła i panuje nad sobą. – Nie jestem twoim adwokatem. Jestem pełnomocnikiem do spraw masy spadkowej po Secie Hubbardzie i w tej roli mam obowiązek bronić ważności testamentu i dopilnować wykonania zawartych w nim ustaleń. Muszę współdziałać z wykonawcą testamentu, którym ma być pan Amburgh. W porozumieniu z nim będę musiał wykonać szereg czynności

przewidzianych prawem, takich jak powiadomienie ewentualnych wierzycieli, zabezpieczenie aktywów wchodzących w skład masy spadkowej, inwentaryzacja wszystkich rzeczy Setha i temu podobne. Jeśli testament zostanie oprotestowany, a nie wątpię, że tak się stanie, moim obowiązkiem będzie podjąć walkę w sądzie o jego utrzymanie. Nie mogę być twoim adwokatem, bo jesteś beneficjentką tego testamentu, podobnie jak brat Setha, Ancil Hubbard, i parafia. Niemniej stoimy po tej samej stronie barykady, bo obojgu nam zależy, żeby testament pozostał w mocy. Czy to jest dla ciebie jasne?

– Chyba tak. Powinnam wynająć adwokata?

– Raczej nie, w każdym razie jeszcze nie teraz. Nie najmuj adwokata, póki nie będzie to konieczne. – Wiadomo, że sępy niedługo się zlecą i zapełnią salę sądową. Wystarczy rzucić na stół dwadzieścia milionów i zejść im z drogi.

– Powiesz mi, kiedy to będzie konieczne?

– Tak, powiem – odrzekł Jake, choć nie bardzo wiedział, jak mógłby to zrobić. Dolał sobie kawy i zauważył, że Lettie swojej nawet nie tknęła. Zerknął na zegarek. Siedziała u niego już pół godziny, a jeszcze ani słowem nie spytała o wielkość spadku. Białe na jej miejscu nie wytrzymałyby pięciu minut. Chwilami zdawała się chłonąć każde jego słowo, chwilami była tym wszystkim przytłoczona.

Znów się rozpląkała i znów otarła sobie policzki.

– Nie jesteś ciekawa, ile tego jest? – zapytał Jake.

– Pomyślałam, że prędzej czy później sam mi to powiesz.

– Nie widziałem jeszcze żadnych dokumentów finansowych i nie byłem w biurze Setha, choć pewnie niedługo będę musiał tam zajrzeć. Ale według informacji uzyskanych od Amburgha, Seth niedawno sprzedał wszystkie swoje zakłady i na czysto zostało mu około dwudziestu milionów dolarów. Amburgh sądzi, że te pieniądze leżą w jakimś banku. W żywej gotówce. Do tego dochodzi jeszcze kilka innych rzeczy, pewnie jakieś nieruchomości tu i tam. Jednym z moich zadań jest zrobienie szczegółowej inwentaryzacji jego wszystkich posiadłości. Dla sądu i dla beneficjentów.

– I ja jestem jednym z tych... tych beneficjentów?

- O tak, jak najbardziej. W dziewięćdziesięciu procentach.
- Dziewięćdziesiąt procent od dwudziestu milionów?
- Tak, mniej więcej.
- O mój Boże, Jake. – Lettie sięgnęła po chusteczkę i znów zaczęła płakać.

△△△

W ciągu następnej godziny osiągnęli pewien postęp. W przerwach między kolejnymi wybuchami płaczu Jake przekazał Lettie trochę szczegółów o administrowaniu masą spadkową: kalendarz wydarzeń, ludzie, spotkania w sądzie, podatki i na koniec przekazanie majątku. Widział jednak, że w miarę wyjaśniania rozmówczyni wyglądała na coraz bardziej zagubioną i że wiele z tego będzie musiał jej powtarzać. Poinformował ją w skrócie o zarzutach, jakie może wysunąć rodzina, i ostrożnie zarysował możliwy scenariusz dalszych wydarzeń. Znając sędziego Atlee i jego niechęć do wlokących się spraw i opieszłych pełnomocników stron, Jake przewidywał, że termin rozprawy – o ile w ogóle do niej dojdzie – zostanie wyznaczony w ciągu dwunastu miesięcy, może nawet wcześniej. Przy tak dużej wartości przedmiotu sporu strona przegrana z całą pewnością się odwoła, a to będzie znaczyło, że do wydania prawomocnego werdyktu trzeba będzie doliczyć kolejne dwa lata. Gdy do Lettie dotarło, co ją czeka i jak długo to może potrwać, zebrała się w sobie i opanowała emocje.

Dwukrotnie spytała, czy uda się to wszystko utrzymać w tajemnicy. Nie, wyjaśnił cierpliwie Jake, nie ma takiej możliwości. Niepokoila ją reakcja Simeona i jego krewniaków, zaczęła nawet przemyślać o wyprowadzce z domu. Jake nie chciał jej nic doradzać, ale wyobrażał sobie czekający ją chaos, gdy z różnych kątów zaczną wypełzać krewni oraz starzy i nowi znajomi.

Po dwóch godzinach rozmowy Lettie zaczęła się niechętnie szykować do wyjścia. Jake odprowadził ją do drzwi, a ona stanęła i niepewnie wyjrzała przez szybę na rynek, jakby nie paliła się do wyjścia z miejsca, gdzie czuła się bezpiecznie. Wstrząsnęła nią treść testamentu, potem przytłoczyła zapowiedź czekających ją proble-

mów. Ufała tylko Jake'owi. Gdy w końcu zdecydowała się wyjść, oczy znów miała pełne łez.

– Płacze z radości czy jest tak śmiertelnie przerażona? – spytała Roxy, gdy Jake zaniknął drzwi za Lettie.

– Myślę, że jedno i drugie.

Roxy pomachała różową karteczką.

– Dzwonił Doofus Lee. Bardzo się interesuje tą sprawą.

– Coś takiego.

– Serio. Powiedział że może wpadnie do nas po południu, żeby pokopać w śmieciach Seta Hubbarda.

– Jakich śmieciach? – mruknął Jake, przejmując karteczkę.

– Dla Doofusa wszystko to śmieci.

Dumas Lee pisywał do „The Ford County Times” i słynął z tego, że nagminnie przekręca fakty, o włos unikając procesów o zniesławienie. Popelniane przez niego błędy i przeinaczenia świadczyły głównie o jego niechlujstwie i były łatwe do sprostowania, zwykle jednak niewielka szkodliwość nie pozwalała ich uznać za karalne zniesławienie. Mylił daty, nazwiska i miejsca, ale tak naprawdę nigdy nikomu nie zrobił krzywdy. Miał wyczulony słuch na głosy ulicy i niezwykle węch do sensacji. Był wprawdzie zbyt leniwy, by dokopywać się do szczegółów, można było jednak liczyć, że jego relacja narobi szumu. Najchętniej węszył w sądzie, głównie dlatego, że jego gmach znajdował się naprzeciwko redakcji, a wiele spraw Lee wygrzebywał po prostu z rejestrów publicznych.

Dziennikarz wkroczył do biura Jake'a w środę późnym popołudniem, usiadł przy biurku Roxy i zażądał widzenia z szefem.

– Wiem, że jest u siebie – powiedział, obdarzając sekretarkę zniewalającym uśmiechem, który jednak nie zrobił na niej żadnego wrażenia. Lee jako kobieciarz był święcie przekonany, że one też patrzą na niego pożądliwie.

– Jest zajęty – mruknęła Roxy.

– Ja też.

Otworzył magazyn i zaczął go przeglądać, cicho pogwizdując.

Po dziesięciu minutach Roxy powiedziała:

– Przyjmie pana teraz.

Jake i Dumas znali się od lat i nigdy nie mieli z sobą problemów. Brigance był jednym z niewielu miejscowych prawników, którzy nigdy nie grozili mu sądem, i Dumas to doceniał.

– Powiedz mi, co wiesz o Secie Hubbardzie – rzucił, wyciągając notatnik i zdejmując skuwkę z pióra.

– Zakładam, że widziałeś jego testament – odparł Jake.

– Mam kopię. Wszędzie ich pełno. Ile on jest wart?

– Nic. Już nie żyje.

– Cha, cha. No więc jego spadek.

– Nic nie mogę ci powiedzieć, Dumas. Nie teraz. Sam wiem niedużo i nie wolno mi nic mówić.

– Dobra, pogadajmy poza protokołem. – W rozmowie z Dumasem nigdy nic nie było poza protokołem i wiedział o tym każdy prawnik, każdy sędzia i każdy urzędnik sądowy w mieście.

– Nie mówię nic poza protokołem i nie mówię nic do protokołu. Po prostu nic nie mówię. Jasne? Może później.

– Kiedy idziecie do sądu?

– Dopiero wczoraj był pogrzeb. Nie ma pośpiechu.

– Och, czyżby? Naprawdę nie ma pośpiechu? To czemu złożyłeś wniosek w sądzie dwadzieścia minut po pogrzebie, co?

Jake zamilkł, zmarszczył czoło i postukał palcami w blat biurka. Dobre pytanie.

– No dobra, więc może miałem powody, żeby się śpieszyć ze złożeniem wniosku.

– Zgodnie z regułą: kto pierwszy, ten lepszy, tak? – Dumas uśmiechnął się krzywo i coś sobie zanotował.

– Bez komentarza.

– Nigdzie nie mogę znaleźć Lettie Lang. Nie wiesz przypadkiem, gdzie ona może być?

– Bez komentarza. I nie będzie rozmawiała ani z tobą, ani z żadnym reporterem.

– Zobaczymy. Rozmawiałem z facetem w Atlancie, który pisuje do czasopisma biznesowego. Powiedział mi, że grupa kapitałowa

kupiła firmę holdingową należącą do Setha Hubbarda za pięćdziesiąt pięć milionów dolarów. W zeszłym roku. Coś ci to mówi?

– Bez komentarza, Dumas. – Jake'a zaskoczyło, że znany z lenistwa reporter tak ostro zabrał się do pracy.

– Nie wyznaję się zbytnio na interesach, ale chyba trzeba przyjąć, że stary miał jakieś długi, nie? Bez komentarza, tak? – Jake skinął głową, że tak. – Ale nie mogę natrafić na jego bank. Im głębiej kopię, tym mniej wiem o twoim kliencie.

– Nigdy go nie znałem – rzekł Jake i od razu pożałował, że to powiedział. Dumas coś sobie zapisał.

– Wiesz coś o jego długach? Gdy spytałem o to Amburgha, to najpierw zamilkł, a potem odłożył słuchawkę.

– Bez komentarza.

– Czyli jeśli napiszę, że Hubbard sprzedał firmę za pięćdziesiąt pięć milionów i nie wspomnę nic o jego długach, bo nic na ten temat nie wiem, to moi czytelnicy dojdą do wniosku, że jego majątek jest wart dużo więcej niż naprawdę, nie?

Jake pokiwał głową. Dumas przez chwilę mu się przyglądał, po czym znów zaczął pisać. A potem zmienił bieg i zajechał od innej strony.

– Zatem moje pytanie za sto punktów brzmi: dlaczego ktoś mający miliony na dzień przed swoją śmiercią zmienia testament, wydziedzicza rodzinę i zapisuje wszystko swojej gosposi?

Trafiłeś w sedno, Dumas. To rzeczywiście pytanie za sto punktów. Jake znów pokiwał głową i znów nie odpowiedział.

– A pytanie za pięćdziesiąt mogłoby brzmieć: co takiego zobaczyli Seth i jego młodszy brat, co nimi tak wstrząsnęło, że Seth pamiętał o tym kilkadziesiąt lat później. Zgadzasz się?

– To rzeczywiście ciekawe pytanie, ale nie jestem pewny, czy za pięćdziesiąt.

– Niech ci będzie. A wiesz może, gdzie teraz przebywa Ancil Hubbard?

– Nie mam pojęcia.

– Znalazłem w Tupelo kuzyna, który twierdzi, że zdaniem ro-

dziny Ancil od dawna nie żyje.

– Nie miałem czasu zajmować się Ancilem.

– A zamierzasz to zrobić?

– Tak, zgodnie z treścią testamentu Ancil jest jego beneficjentem.

Moim obowiązkiem jest go znaleźć, jeśli to tylko możliwe. Lub przynajmniej ustalić, co się z nim stało.

– I jak zamierzasz to zrobić?

– Nie wiem. Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem.

– Kiedy macie termin wstępnego przesłuchania w sądzie?

– Jeszcze nie został wyznaczony.

– Czy powiesz swojej sekretarce, żeby do mnie zadzwoniła i podała termin, jak go wyznaczą?

– Tak, pod warunkiem że nie będzie to przesłuchanie przy drzwiach zamkniętych.

– Jasne.

△△△

Ostatnim gościem tego dnia był właściciel domu, w którym Jake wynajmował biuro. Lucien usiadł w sali konferencyjnej z podręczną biblioteką prawniczą, rozłożył na stole stertę ksiąg i pogrążony we własnym świetle zaczął je przeglądać. Jake wszedł do sali, powiedział „dzień dobry” i na widok kilkunastu otwartych ksiąg prawniczych poczuł zimny dreszcz na plecach. Nie pamiętał, kiedy ostatnio widział Luciena ślęczącego nad książkami. Pozbawienie go licencji adwokackiej nastąpiło krótko po przyjęciu Jake'a do pracy i od tamtej pory Lucien trzymał się z dala od kancelarii i prawa. A teraz nagle wrócił.

– Czytasz dla przyjemności? – spytał Jake, siadając w skórzanym fotelu.

– Odświeżam sobie prawo testamentowe. Nigdy się tym specjalnie nie zajmowałem. Dość nudne, chyba że ma się do czynienia z taką sprawą jak ta. Nie mogę się zdecydować, czy powinienem wystąpić o ławę przysięgłych, czy nie.

– Skłaniam się ku ławie przysięgłych, ale za wcześnie o tym mówić.

– Oczywiście. – Lucien zamknął książkę i odsunął na bok. – Miałaś się dziś spotkać z Lettie Lang. Jak ci poszło?

– W porządku. Lucien, wiesz równie dobrze jak ja, że nie mogę nic mówić o poufnych rozmowach.

– Och, oczywiście. Spodobała ci się?

Jake napomniał się w duchu, by nie tracić cierpliwości.

– Tak, to miła kobieta, którą ta cała sprawa przytłacza. Ale powiedzmy sobie szczerze, że jest to przytłaczające.

– Myślisz, że przysięgłym też się spodoba?

– Masz na myśli białych?

– Sam nie wiem. Rozumiem czarnych dużo lepiej niż większość białych. Nie jestem rasistą, Jake. Jestem jednym z co najmniej kilkunastu białych mieszkańców tego okręgu niezaślepionych przez rasizm. Byłem pierwszym i jedynym białym członkiem NAACP* w tym okręgu. W pewnej chwili niemal wszyscy moi klienci byli czarni. Dlatego wiem, że czarni przysięgli mogą ci narobić kłopotów.

* NAACP (National Association for the Advancement of Colored People) – Krajowe Stowarzyszenie Wspierania Rozwoju Kolorowych.

– Lucien, dopiero był pogrzeb. Czy nie wybiegamy zanedo do przodu?

– Może, ale w którymś momencie będziesz musiał się z tym zmierzyć. Szczęściarz z ciebie, bo masz przy sobie kogoś takiego jak ja. Więc korzystaj z tego. Rozmawiaj ze mną. Wielu czarnych pozazdrości Lettie Lang. Teraz jest jedną z nich, ale gdy dostanie ten spadek, stanie się najbogatszą mieszkanką okręgu Ford. A tu nie ma bogatych czarnych. To się tu nie zdarza. Ona przestanie być czarna, a zrobi się ważna, bogata i będzie na wszystkich patrzeć z góry, szczególnie na swych pobratymców. Rozumiesz mnie, Jake?

– Do pewnego stopnia. Ale i tak wolę mieć czarnych na ławie przysięgłych. Mimo wszystko będą przyjaźniej nastawieni od bandy białych wsioków, którym ledwo starcza na spłacanie hipoteki.

– Burasów też nie chcemy.

Jake parsknął śmiechem.

– Jeśli wyeliminujemy czarnych i wsioków, to kto usiądzie na tej

idealnej ławie przysięgłych? – spytał.

– Jeszcze się nad tym zastanawiam. Podoba mi się ta sprawa, Jake. Od lunchu o niczym innym nie myślę. Pozwala mi to sobie uprzytomnić, dlaczego kiedyś pokochałem prawo. – Oparł się na łokciach, pochylił do przodu i wpatrzył w Jake'a tak, jakby za chwilę miało mu zabraknąć tchu. – Chcę być na sali sądowej, Jake.

– Wybiegasz trochę za daleko do przodu, Lucien. Sprawa w sądzie, jeśli w ogóle do niej dojdzie, odbędzie się nie wcześniej jak za kilka miesięcy.

– Oczywiście, wiem o tym. Ale będzie ci potrzebna pomoc, i to ogromna. A ja się nudzę, Jake. Jestem już zmęczony siedzeniem na werandzie i piciem. Muszę ograniczyć picie. Powiem ci szczerze, że mi to bardzo ciąży.

I nie bez powodu, pomyślał Jake.

– Będę trzymał się z boku. Nie będę się wtrącał. Wiem, że wielu ludzi mnie unika, i rozumiem dlaczego. Cholera, sam bym się unikał, gdybym mógł. Ale to pozwoli mi się czymś zająć i odstawić butelkę, przynajmniej w ciągu dnia. A o prawie wiem dużo więcej od ciebie. Chcę być na sali sądowej.

Powtórzył to drugi raz i Jake poczuł, że już go od tego nie odwiezie. Rozprawy odbywały się w wielkiej sali z wydzielonymi miejscami dla stron i mnóstwem miejsc dla publiczności. Czy Lucien zamierzał usiąść wśród widzów i oglądać spektakl? Czy może chciał zasiać przy stole wśród innych prawników? Bo jeśli to drugie, w życie Jake'a wkradłby się chaos. Gdyby Lucien zamierzał wrócić do praktyki prawniczej, musiałby przejść całą gehennę ponownego egzaminu adwokackiego. Jeśli mu się powiodło i odzyskał uprawnienia, ponownie wkroczyłby w życie Jake'a.

Myśl o Lucienie siedzącym przy stole parę metrów od ławy przysięgłych była wręcz przerażająca. Większość białych uważała go za toksyczną legendę, cholernego pijaczynę, który nie tylko skompromitował świetną niegdyś rodzinę, ale sypiał ze swoją służącą.

– Zobaczmy – rzekł ostrożnie Jake.

Rozdział 12

Sędzia Reuben V. Atlee przechodził rekonwalescencję po trzecim ataku serca i lekarze obiecywali mu pełny powrót do zdrowia – na tyle, na ile można w pełni wyzdrowieć po tak rozległych uszkodzeniach mięśnia sercowego. Odzyskiwał siły i chęć do życia, o czym najlepiej świadczyła jego wokanda.

Widać było, że wraca do formy, bo prawnicy coraz częściej dostawali opieprz, a on wyznaczał coraz krótsze terminy, z płaczących się w zeznaniach świadków rezygnował, krzywoprzysięzcom groził więzieniem, powodów próbujących zawracać głowę duperelami wyrzucał z sali. W rozmowach kręcących się po korytarzach prawników, urzędników sądowych, a nawet woźnych powtarzało się jedno słowo: „Wrócił”.

Zasiadał na ławie sędziowskiej od trzydziestu lat i od pewnego czasu w wyborach na kolejną czteroletnią kadencję nie miał nawet konkurentów. Nie należał do żadnej z dwóch głównych partii, nie był liberałem ani konserwatystą, baptystą ani katolikiem, nie przypominał się władzom stanowym ani wykładowcom w Ole Miss. Nie miał faworytów, ugruntowanych przekonań ani z góry wyrobionego zdania o sprawach i ludziach. Był modelowym sędzią, na tyle otwartym, tolerancyjnym i bezstronnym, na ile to było możliwe przy jego pochodzeniu i wychowaniu. Kierował sądem twardą ręką, bez wahania besztając źle przygotowanych prawników, ale równie chętnie pomagając tym, którzy niezbyt dobrze sobie radzili. Potrafił okazać niezwykle współczucie tam, gdzie było to potrzebne, ale także popisywać się bezwzględnością, której bali się wszyscy

prawnicy. No, może z wyjątkiem Harry'ego Rexa Vonnera.

Dziewięć dni po samobójstwie Setha sędzia Atlee zasiadł za stołem sędziowskim w głównej sali rozpraw i powiedział „Dzień dobry”. Zdaniem Jake'a wyglądał nie gorzej niż zwykle, co znaczyło nie tyle zdrowo, ile normalnie, zważywszy na to, co przeszedł. Był potężnie zbudowanym mężczyzną, miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i pokaźny brzuch, który skrzętnie maskował pod czarną togą.

– Ale zbiegowisko – rzekł, rozglądając się z rozbawieniem po sali. Przy tej liczbie prawników zabrakło miejsc siedzących i niektórzy musieli stać. Jake przyszedł wcześniej i korzystając z uprawnień przysługujących pełnomocnikowi strony, usiadł przy stole powoda. Dołączył do niego Russell Amburgh, który już wcześniej go poinformował, że pragnie się wycofać. Tuż za nimi, po tej samej stronie sali, choć formalnie nienależąca do tej samej drużyny, siedziała Lettie Lang w towarzystwie dwóch adwokatów. Obaj byli czarni i obaj przyjechali z Memphis.

Jakiem już dzień wcześniej wstrząsnęła wiadomość, że Lettie wynajęła Bookera Sistrunka, słynnego awanturnika sądowego, którego pojawienie się w tej sprawie mogło ją mocno skomplikować. Jake bezskutecznie próbował się do niej dodzwonić i nadal był z lekka oszołomiony jej decyzją, którą uznawał za wielce nierozsądną.

Przy stole po drugiej stronie sali rozsiadła się grupa adwokatów w eleganckich garniturach, za barierką, w staromodnych drewnianych ławach dla publiczności, cisnął się tłum widzów przyciągniętych przez krążące po mieście plotki.

– Nim rozpoczniemy, chciałbym się upewnić, że wszyscy dobrze rozumiemy, co chcemy tu dziś osiągnąć – odezwał się sędzia Atlee. – Nie zebraliśmy się tu na wniosek którejsz ze stron. Na składanie wniosków przyjdzie jeszcze czas. Naszym dzisiejszym zadaniem jest uzgodnienie trybu dalszego postępowania. Jeśli dobrze rozumiem, Seth Hubbard zostawił dwa testamenty. Jeden został złożony do w sądzie przez mecenasa Brigance'a, i jest to holograficzny testament z datą pierwszego października bieżącego roku. – Jake kiwnął potakująco głową, ale nie wstał. Wiadomo było powszechnie, że jeśli

adwokat ma coś do powiedzenia sędziemu Atlee, dla własnego dobra powinien to zrobić na stojąco. Potakujące kiwanie głową na siedząco było dopuszczalne, ale ledwo ledwo. – Drugi testament nosi datę siódmego września ubiegłego roku i jego ważność została *expressis verbis* anulowana w treści późniejszego testamentu. Moje pierwsze pytanie brzmi: czy komuś z obecnych wiadomo o istnieniu jeszcze innego testamentu? Czy możemy oczekiwać jeszcze jakichś niespodzianek ze strony pana Hubbarda? – Sędzia zrobił sekundową przerwę i potoczył wielkimi piwnymi oczami po sali. Na końcu nosa sterczała mu para tanich okularów do czytania. – Dobrze. Tak myślałem.

Przełożył papiery na stole i coś sobie zanotował.

– W porządku. A zatem zaczynamy. Proszę wstawać i się przedstawiać. Musimy wszyscy się poznać. – Wyciągnął rękę w stronę Jake'a, który posłusznie wstał i wyrecytował swoje nazwisko. Po nim wstał Russell Amburgh i też się przedstawił.

– Pan jest wykonawcą własnoręcznego testamentu, czy tak? – upewnił się sędzia Atlee.

– Tak, panie sędzio, ale chciałbym się z tego wycofać – powiedział Amburgh.

– Na to będzie jeszcze czas. A pan, w tym szarym ubraniu?

Czarnoskóry adwokat wstał i z namaszczeniem dopiął górny guzik marynarki szytego na miarę garnituru.

– Tak, Wysoki Sądzie. Nazywam się Booker Sistrunk i wraz z moim współnikiem, mecenasem Kendrickiem Bostem, reprezentuję interesy pani Lettie Lang. – Sistrunk dotknął ramienia Lettie, Bost wstał i Lettie została niemal stłamszona przez masywne sylwetki obu prawników. Na tym etapie postępowania nie powinno jej tam być. Powinna siedzieć za barierką wśród publiczności, jednak Sistrunk i Bost posadzili ją przy stole, jakby rzucając wyzwanie, by ktoś odważył się temu sprzeciwić.

Gdyby to było przesłuchanie procesowe, sędzia Atlee niewątpliwie kazałby jej przesiąść się na miejsce dla publiczności, ale w tych okolicznościach rozsądnie udał, że nie dostrzega nieprawidłowości.

– Nie wydaje mi się, bym miał zaszczyt gościć panów wcześniej

w moim sądzie – rzekł sędzia z nutą podejrzliwości w głosie. – Skąd panowie są?

– Mamy kancelarię w Memphis – wyjaśnił Sistrunk, choć wszyscy dobrze o tym wiedzieli. Ostatnio prasa w Memphis pisała o ich firmie więcej niż o następnych pięciu razem wziętych. Prowadzili wojnę z policją w Memphis i regularnie wygrywali sprawy o brutalność tamtejszych funkcjonariuszy. Sistrunk płynął na fali złej sławy. Był szorstki, pyskаты, kłótlivy i bardzo skutecznie prowokował zatargi na tle rasowym, których w mieście i tak nie brakowało.

Jake słyszał, że mąż Lettie ma rodzinę w Memphis, i zapewne krewnym Simeona zawdzięczał to, że w jego biurze zadzwonił telefon i Booker Sistrunk osobiście przekazał mu straszną wiadomość, że „włącza” się do sprawy. To w praktyce oznaczało poddawanie wszystkich posunięć Jake'a dodatkowej kontroli, nie mówiąc o konieczności wykrojenia kolejnego kawałka spadkowego tortu. Już dotarły do niego pierwsze niepokojące sygnały o samochodach parkujących pod domem Lettie i sępach zlatujących się na jej werandę.

– Rozumiem, że mają panowie licencję na praktykowanie w naszym stanie.

– Nie, panie sędzio, nie w tej chwili. Ale zamierzamy działać za pośrednictwem miejscowej kancelarii.

– To rozsądne posunięcie, panie Sistrunk. Gdy znów pojawi się pan w moim sądzie, oczekuję, że będę znał towarzyszącego panu pełnomocnika.

– Tak jest, panie sędzio. – W tonie Sistrunka pobrzmiwało niemal szyderstwo. Obaj z Bostem siedzieli po bokach swej cennej klientki. Przed rozpoczęciem przesłuchania Jake próbował przywitać się z Lettie, ale adwokaci ją zasłonili, a ona uciekła wzrokiem przed jego spojrzeniem.

– Teraz wy – powiedział sędzia Atlee, wskazując ręką zatłoczony stół po drugiej stronie sali.

Stillman Rush skwapliwie zerwał się z miejsca i powiedział:

– Tak, Wysoki Sądzie. Jestem Stillman Rush z firmy Rusha w

Tupelo. Towarzyszą mi Sam Larkin i Lewis McGwyre. – Obaj mężczyźni wstali i grzecznie skłonili głowy. Wszyscy trzej znali sędziego Atlee i dłuższe przedstawianie było zbyteczne.

– I to w waszej firmie powstała ta poprzednia wersja testamentu, czy tak?

– Tak jest – odrzekł Stillman, szeroko się uśmiechając.

– Doskonale. Następny.

– Nazywam się Wade Lanier, Wysoki Sądzie, z firmy prawniczej Laniera w Jackson – zatrudnił zwalzysty mężczyzna z wielką łusą głową, podnosząc się z miejsca. – Jestem tu z moim współnikiem Lesterem Chilcottom i obaj reprezentujemy interesy pani Ramony Dafoe, córki zmarłego. Jej mąż, pan Ian Dafoe, jest wieloletnim klientem naszej firmy i...

– Wystarczy, panie Lanier – burknął sędzia, bezceremonialnie przerywając mu w pół słowa. Witajcie w okręgu Ford. – Nie pytałem o innych klientów pańskiej firmy.

Pojawienie się Wade'a Laniera też nie było dobrą wiadomością. Jake znał go tylko ze słyszenia, ale jego reputacja wystarczała, by Brigance'a nie cieszyła perspektywa bezpośrednich potyczek z nim. Duża firma, agresywni gracze, wystarczająco dużo sukcesów, by polechtane nimi ego domagało się kolejnych zwycięstw.

Sędzia Atlee wskazał ręką następnego mężczyznę i spytał:

– A pan?

Mężczyzna w jaskrawej sportowej marynarce zerwał się na nogi i wyjąkał:

– Mmm tak, Wysoki Sądzie, nazywam się D. Jack O'Malley i reprezentuję pana Herschela Hubbarda, syna nieboszczyka. Mój klient mieszka w Memphis i ja też stamtąd pochodzę, ale zapewniam, że następnym razem będzie mi towarzyszył miejscowy pełnomocnik.

– Dobry pomysł. Następny?

Za O'Malleyem siedział wciśnięty w kącik chudy facet ze szczerzą twarzą i rozwichrzonymi na wszystkie strony włosami. Wstał oniesmielony, jakby nigdy wcześniej nie stawał przed sędzią, i drżącym, lekko piskliwym głosem powiedział:

– Jestem Zack Zeitler, panie sędzio, także z Memphis. Zostałem wynajęty do reprezentowania interesów córek Herschela Hubbarda.

– Wnuczki też mają swoich adwokatów? – Sędzia pokręcił głową.

– Tak, panie sędzio. Są beneficjentkami na mocy poprzedniego testamentu.

– Rozumiem. I zakładam, że znajdują się na sali.

– Znajdują, panie sędzio.

– Dziękuję, panie Zeitler. I jeśli jeszcze pan tego nie wie, następnym razem powinien pan przyprowadzić z sobą miejscowego pełnomocnika. Bóg mi świadkiem, że może nam nie wystarczyć adwokatów. Chyba że ma pan uprawnienia w tym stanie.

– Mam, Wysoki Sądzie.

– Doskonale. Następny.

Stojący w kącie i oparty o barierkę prawnik, dla którego zabrakło miejsca przy stole, rozejrzał się na boki i powiedział:

– Tak, Wysoki Sądzie, jestem Joe Bradley Hunt z firmy Skole w Jackson i ja...

– Z jakiej firmy?

– Z firmy Skole, Wysoki Sądzie. Skole, Rumky, Ratliff, Bodini i Zacharias.

– Niepotrzebnie spytałem – mruknął sędzia. – Proszę kontynuować.

– Reprezentujemy interesy nieletnich dzieci Ramony i Iana Dafoe, wnucząt zmarłego.

– Dobra. Jeszcze ktoś?

Szyje się wyciągnęły, oczy rozbiegły po sali. Sędzia Atlee policzył szybko w myślach i powiedział:

– Ale tłok. Jak dotąd naliczyłem jedenastu pełnomocników i zapewne dojdzie jeszcze paru. – Poszperał chwilę w papierach i potoczył wzrokiem po publiczności. Po lewej, za Jakiem i Lettie, siedziała gromada czarnoskórych widzów, wśród nich Simeon, ich dzieci i wnuki, grono kuzynów i ciotek, Cypress, kaznodzieja i wielu znajomych starych i nowych, którzy przyszli udzielić Lettie moral-

nego wsparcia w walce o to, co jej się słusznie należy. Na prawo od stołu sędziowskiego, za grupą prawników, których zadaniem było do tego nie dopuścić, rozsiedli się biali uczestnicy, a wśród nich Ian i Ramona i ich dwójka dzieci, Herschel i jego dwie córki oraz była żona, która usiadła w najdalszym końcu sali, Dumas Lee i jeszcze jeden reporter, a także grono bywalców sądowych, obecnych na większości rozpraw i obiecujących awanturę podczas przesłuchań. Przy drzwiach stał funkcjonariusz z biura szeryfa Prather, któremu Ozzie kazał uważnie się przysłuchiwać i złożyć później sprawozdanie. Lucien Wilbanks usiadł w ostatnim rzędzie po czarnej stronie sali, częściowo chowając się za siedzącym przed nim barczystym byczkiem. Z Atlee łączyła go wieloletnia znajomość i nie chciał wprowadzać zamieszania swoją obecnością.

Chwilę przed rozpoczęciem przesłuchania Jake próbował przedstawić się Ramonie i Herschelowi, ci jednak ostentacyjnie odwrócili się do niego plecami. Teraz to on był ich wrogiem, nie ojciec. Zwłaszcza Ian miał taką minę, jakby miał ochotę mu przywalić. Ich nastoletnie dzieci wystąpiły w najmodniejszych ciuchach, ostentacyjnie okazując arogancję dziedziców fortuny. W odróżnieniu od nich córki Herschela wyglądały na biedne i zaniedbane. Kilka dni wcześniej cała czwórka była zbyt zajęta, by przyjechać na pogrzeb ukochanego dziadka, teraz ich priorytety uległy raptownej zmianie.

Jake podejrzewał, że adwokaci wymogli na rodzicach przywiezienie dzieci po to, by swą obecnością od początku podkreślały zaangażowanie w sprawę i konsekwencje, jakie będą dla nich miały decyzje sądu. Zdaniem Jake'a oczywista strata czasu, ale stawka była wysoka.

Mimo tłumy w sali rozpraw, Jake czuł się w tej chwili bardzo samotny. Towarzyszący mu Russell Amburgh siedział naburmuszony i widać było, że chce się jak najszybciej wyplątać ze sprawy. Tuż za nim, niespełna o metr, siedziała Lettie, na którą bardzo liczył w tej rozgrywce, a której pilnowało teraz dwóch adwokatów buldogów, gotowych rzucić mu się do gardła. I tak wyglądali jego sprzymierzeńcy na tej sali! Po drugiej stronie siedziało stado hien, gotowych go

rozszarpać.

– Zapoznałem się z oboma testamentami – rozpoczął sędzia Atlee. – Zacniemy od nowszego, spisane go własnoręcznie w dniu pierwszego października. Wniosek o jego zatwierdzenie wpłynął do sądu dnia czwartego października. Mecenasiu Brigance, proszę rozpocząć wymagane prawem czynności administracyjne wobec masy spadkowej testatora. Proszę powiadomić wierzycieli, sporządzić wstępną inwentaryzację majątku i tak dalej. Oczekuję, że zostanie to szybko zrobione. Panie Amburgh, rozumiem, że chce się pan wycofać, czy tak?

Amburgh ociężale podniósł się z krzesła.

– Tak, Wysoki Sądzie – oświadczył. – Ta sprawa mnie przerasta. Jako wykonawca testamentu musiałbym złożyć przysięgę, że to prawomocna ostatnia wola i testament Setha Hubbarda, a ja po prostu nie jestem gotów złożyć takiej przysięgi. Ten testament mi się nie podoba i nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

– Mecenasiu Brigance?

Jake stanął obok swego byłego współpracownika *in spe* i powiedział:

– Wysoki Sądzie, pan Amburgh jest z wykształcenia prawnikiem i zna zasady postępowania z testamentami. Przygotuję wniosek, który umożliwi mu rezygnację z funkcji wykonawcy, a jednocześnie zaproponuję nowych kandydatów w to miejsce.

– Proszę to zrobić jak najpilniej. Chcę, żeby w czasie, gdy będziemy zajmowali się innymi sprawami, czynności administracyjne już trwały. Niezależnie od tego, co się wydarzy z własnoręcznym i wcześniejszym testamentem pana Hubbarda, jego masa spadkowa wymaga inwentaryzacji. Rozumiem, że kilku pełnomocników zamierza podważyć ważność tego testamentu, czy tak?

Adwokaci zerwali się na nogi i energicznie pokiwali głowami.

– Tak, dziękuję. Proszę, żeby wszyscy usiedli – powiedział sędzia Atlee, podnosząc rękę. – Panie Amburgh, pan może opuścić salę.

Amburgh wymamrotał suche: „Dzięki”, wstał od stołu i ruszył przez salę do wyjścia.

Sędzia poprawił okulary i powiedział:

– Zrobimy tak. Mecenasie Brigance, ma pan dziesięć dni na znalezienie nowego wykonawcy testamentu i zgodnie z życzeniem testatora nie może to być prawnik z naszego okręgu. Gdy już wyznaczymy wykonawcę, obaj panowie przystąpią do spisania wszystkich aktywów i zobowiązań testatora. Chciałbym możliwie jak najszybciej otrzymać wstępny wykaz jednych i drugich. Jednocześnie pozostali pełnomocnicy złożą na piśmie zastrzeżenia co do treści tego testamentu. Gdy już wszystkie strony wyrażą swe stanowiska, spotkamy się ponownie i uzgodnimy plan przygotowań do procesu. Jak wiadomo, obie strony mają prawo wnioskować o udział ławy przysięgłych. Jeśli zamierzacie to zrobić, zróbcie to jak najszybciej i dołączcie wnioski do pisemnych zastrzeżeń. Postępowanie w sprawie unieważnienia testamentu toczy się według tych samych zasad co inne procesy cywilne w stanie Missisipi, łącznie z przedstawieniem dowodów i czynnościami proceduralnymi. – Zdjął okulary, przygryzł końce zauszników i wlepił wzrok w prawników. – Ponieważ wyraźnie zmierzamy do procesu, chcę was od razu uprzedzić, że nie zamierzam prowadzić rozpraw z udziałem tuzina adwokatów. Nawet nie mogę sobie wyobrazić takiego koszmaru i nie zamierzam narażać ławy przysięgłych, jeśli ją powołamy, na takie katusze. Zdefiniujemy zarzuty, ustalimy tryb postępowania i dopilnujemy, by proces przebiegł szybko i sprawnie. Jakieś pytania?

Och, tysiące pytań, ale będzie jeszcze dużo czasu, by je zadać.

Nieoczekiwanie wstał Booker Sistrunk i swym dudniącym barytonem powiedział:

– Nie jestem pewny, Wysoki Sądzie, czy to jest odpowiedni moment, ale chciałbym zaproponować, by na wykonawcę testamentu zamiast pana Amburgha została wyznaczona moja klientka, Lettie Lang. Zapoznałem się z prawem obowiązującym w tym stanie i nie znalazłem w nim żadnych wskazówek, że funkcję tę musi pełnić prawnik lub księgowy czy ktoś taki. Przeciwnie, w kodeksie nie ma ani słowa o wymaganiach odnośnie do wykształcenia czy doświadczenia zawodowego osoby pełniącej rolę administratora masy spad-

kowej w razie braku testamentu lub wykonawcy testamentu, gdy testament istnieje, czyli w takim przypadku jak ten.

Sistrunk mówił wolno, spokojnie i z bezbłędną dykcją, a jego słowa dudniły w całej sali. Sędzia Atlee i pozostali prawnicy słuchali w milczeniu, wzajemnie się obserwując. Sistrunk miał rację. Technicznie rzecz biorąc, na miejsce Amburgha można było wyznaczyć każdego zdrowego na umyśle obywatela mającego powyżej osiemnastu lat. Prawo nie wyłączało nawet kryminalistów. Niemniej z uwagi na wielkość majątku i spodziewane komplikacje przydałby się ktoś bardziej doświadczony i mniej zaangażowany emocjonalnie. Pomysł wyznaczenia Lettie na wykonawcę testamentu o wartości dwudziestu milionów dolarów, z Sistrunkiem podpowiadającym jej do ucha, conia robić, był zaiste przerażający, przynajmniej w odczuciu obecnych w sali białych. Nawet sędzia Atlee wyglądał przez chwilę na zbitego z tropu.

Ale Sistrunk jeszcze nie skończył. Zrobił przerwę na tyle długą, by pierwszy szok minął, a jego propozycja zapadła w pamięć słuchaczy, po czym podjął na nowo:

– Wiem także, Wysoki Sądzie, że wszelkie czynności związane z zatwierdzeniem testamentu wykonuje wyznaczony pełnomocnik, oczywiście pod ścisłym nadzorem sądu, chcę więc zaproponować, by wyznaczyć moją kancelarię na pełnomocnika pomocniczego. Działalibyśmy w ścisłym porozumieniu z naszą klientką, panią Lettie Lang, dokładnie przestrzegając życzeń pana Hubbarda. W razie potrzeby konsultowalibyśmy nasze poczynania z panem Brigance'em, który jest niewątpliwie zdolnym młodym prawnikiem, jednak wszystkie główne ciężary związane z wykonaniem testamentu wzięlibyśmy na nasze barki, moje i mojego personelu.

Sistrunk osiągnął swój cel, wytyczając linię frontu w szykującej się wojnie: czarni przeciwko białym.

Herschel i Ramona wraz z rodzinami wpatrywali się z nienawiścią w czarnych po drugiej stronie sali, ci obrzucali białych równie nienawistnymi spojrzeniami. Jedna z grup miała dostać pieniądze i oni byli tu po to, by o nie walczyć. Tyle że te pieniądze prawnie należały

się Hubbardom. Seth chyba oszalał.

Całkowicie zaskoczony Jake obejrzał się przez ramię, jednak Sistrunk zignorował jego spojrzenie. Pierwszą reakcją Jake'a była myśl: co za głupi pomysł! Okręg w większości zamieszkały przez białych oznacza w większości białą ławę przysięgłych. Byli daleko od Memphis, gdzie Sistrunkowi udawało się umieszczać swoich ludzi w gronie przysięgłych federalnych i wygrywać wielkie batalie, ale Memphis należało do innego świata.

Tu wystarczyło posadzić na ławie przysięgłych dziewięciu czy dziesięciu białych mieszkańców okręgu Ford i kazać im przez tydzień słuchać tyrad Bookera Sistrunka, by puścić Lettie Lang z torbami.

Białych prawników po drugiej stronie zaskoczyło to równie mocno jak Jake'a, jednak Wade Lanier szybko dostrzegł w tej propozycji szansę dla siebie, bo zerwał się z miejsca i wykrzyknął:

– Nie zgłaszamy sprzeciwu, Wysoki Sądzie!

– Nie do pana należy przyjmowanie lub odrzucanie wniosków – warknął sędzia Atlee.

Drugą reakcją Jake'a była myśl: chyba lepiej się z tego wypłatać. Gdy ta wataha sędów zacznie dziobać, dla mnie nic już nie zostanie. Życie jest za krótkie, by tracić rok na krycie się przed kulami na polu bitwy rasowej.

– Coś jeszcze, mecenasie Sistrunk? – spytał sędzia.

– Na razie tyle, Wysoki Sądzie. – Sistrunk odwrócił głowę i obrzucił Simeona i rodzinę Lettie pełnym zadowolenia spojrzeniem. Właśnie udowodnił, ile jest wart. Pokazał, że jest odważny, nie da się zastraszyć i jest gotów wdać się w ryszotkowe mordobicie. Postąpili słusznie i wynajęli właściwego prawnika. Zanim usiadł, posłał jeszcze wyzywające spojrzenie Herschelowi Hubbardowi: „Stajemy do walki, kolego”.

– Musi pan jeszcze trochę postudiować, panie Sistrunk. Nasze prawo spadkowe daje szczególne preferencje życzeniom osoby spisującej testament. Pan Hubbard jednoznacznie wyraził swoją wolę co do osoby pełnomocnika. W tej kwestii nie będzie żadnych zmian. Jeśli ma pan jeszcze jakieś prośby, proszę je złożyć w postaci for-

malnych wniosków. Ale dopiero wówczas, gdy będzie pan reprezentowany przez adwokata akceptowanego przez sąd.

Jake zaczął znów normalnie oddychać, choć nadal trząśł się na myśl o bezczelności Sistrunka i jego pomysłów. A także o jego chciwości. Niewątpliwie namówił Lettie Lang do podpisania jakiejś umowy, na mocy której miał uczestniczyć w jej spadku. Pełnomocnicy strony powodowej na ogół zatrzymują dla siebie jedną trzecią kwoty ugody, czterdzieści procent odszkodowania przyznanego przez ławę przysięgłych i aż połowę, jeśli odszkodowanie przyznano w trybie odwoławczym. Rozdęte ego Sistrunka i historia jego sukcesów niewątpliwie plasowały jego wymagania blisko górnej granicy tego procentowego haraczu. A jeśli tego było mało, uzupełniał swoje zyski w postaci wysokiego honorarium opłacanego według stawki godzinowej adwokata od spraw spadkowych.

Sędzia Atlee wyczerpał swoją listę spraw, wziął do ręki młotek i oświadczył:

– Spotykamy się ponownie za trzydzieści dni. Odraczam posiedzenie. – Mówiąc to, walnął młotkiem w blat ławy sędziowskiej.

Lettie natychmiast odgradzili jej adwokaci, którzy pośpiesznie wyprowadzili ją przez bramkę w balustradzie i doprowadzili do siedzącej w pierwszym rzędzie rodziny i kibiców. Wszyscy od razu ją otoczyli, zaczęli uspokajająco głaskać i dodawać otuchy, jakby jej życie znalazło się w niebezpieczeństwie. Sistrunk zbierał gratulacje i wyrazy wdzięczności za odważne wystąpienie, Kendrick Bost nie zdejmował ręki z ramienia Lettie, która stała nachylona nad bliskimi i o czymś z nimi szeptała. Cypress siedziała na wózku inwalidzkim, ocierając łzy z policzków. Jakże strasznej próbie poddawano jej rodzinę.

Jake nie miał ochoty na żadne pogaduszki o duperelach, zresztą nikt nawet nie próbował go zaczepiać. Zbici w niewielkie grupki prawnicy rozmawiali, chowali papiery do aktówek i szykowali się do wyjścia. Rodzina Hubbarda trzymała się razem, starając się nie patrzeć w stronę czarnych, którzy próbują ich obrabować z należnego im majątku. Jake wymknął się bocznymi drzwiami i już dochodził do

tylnych schodów, gdy usłyszał za sobą głos pana Pate'a, wiekowego woźnego sądowego:

– Halo, Jake. Sędzia Atlee chce cię zobaczyć.

Gdy Jake wszedł do ciasnego pokoiku, gdzie adwokaci pili kawę podczas przerw, a sędziowie organizowali nieformalne narady ze stronami, sędzia Atlee akurat zdejmował tokę.

– Zamknij drzwi – rzucił.

Nie należał do gaduła i nie opowiadał prawniczych dykteryjek. Rzadko tracił czas na głupstwa i żarciki, choć jego słuchacze byli często gotowi śmiać się z byle czego.

– Siadaj, Jake. – Obaj usiedli przy małym biurku. – Co za dureń. Może w Memphis przechodzą takie numery, ale nie u nas.

– Wciąż nie mogę wyjść ze zdumienia – potwierdził Jake.

– Znasz Quince'a Lundy'ego, adwokata ze Smithfield?

– Ze słyszenia.

– Starszy gość, może już nawet częściowo na emeryturze. Od stu lat nie zajmuje się niczym poza prawem spadkowym. Naprawdę dobrze się na tym zna, a w dodatku jest bezzwzględnie uczciwy. Mój stary znajomy. Złóż wniosek z kandydaturą Quince'a i jeszcze jakichś dwóch innych, których sam sobie znajdziesz, na nowego wykonawcę testamentu, a ja go przyjmę i wyznaczę Quince'a. Bez trudu się z nim dogadasz. Co do ciebie, zostajesz na pokładzie do końca. Jaką masz stawkę godzinową?

– Nie mam żadnej, panie sędzio. Moi klienci pracują po dziesięć dolarów za godzinę, jeśli mają szczęście. Nie stać ich na płacenie adwokatowi po sto za godzinę.

– Myślę, że w obecnej sytuacji rynkowej sto pięćdziesiąt będzie rozsądną stawką. Co o tym myślisz?

– Sto pięćdziesiąt brzmi bardzo dobrze, panie sędzio.

– Dobra, od tej chwili liczysz swój czas po sto pięćdziesiąt dolarów za godzinę. Zakładam, że jesteś wolny.

– O tak.

– To dobrze. Przez pewien czas ta sprawa wypełni ci całe twoje życie zawodowe. Co sześćdziesiąt dni występuj do mnie z wnioskiem

o naliczenie honorarium adwokackiego, a ja już dopilnuję, żeby ci zapłacili.

– Dziękuję, panie sędzio.

– Krążą różne dzikie plotki na temat wielkości masy spadkowej.

Wiesz mniej więcej, ile tego naprawdę jest?

– Według Russella Amburgha co najmniej dwadzieścia milionów, z czego większość w gotówce. Schowane gdzieś poza granicami stanu, bo inaczej każdy mieszkaniec Clanton wiedziałby wszystko dokładnie.

– Trzeba działać szybko, żeby to zabezpieczyć. Podpiszę nakaz upoważniający cię do przejęcia całej dokumentacji finansowej Hubbarda. Gdy tylko Quince Lundy do nas dołączy, będziecie mogli zacząć się w to wgryzać.

– Tak jest, panie sędzio.

Sędzia Atlee pociągnął długi łyk kawy z papierowego kubka i zapatrzył się w brudną szybę w oknie, jakby chciał dojrzeć rozposcierający się w dole trawnik.

– Prawie zrobiło mi się żal tej biednej kobiety – mruknął po chwili milczenia. – Kompletnie straciła kontrolę nad tą sprawą. Opadli ją ludzie, których zwabił zapach pieniędzy. Sistrunk oskubie ją ze wszystkiego.

– Zakładając, że ława przysięgłych wyda werdykt po jej myśli.

– Wystąpisz o powołanie ławy przysięgłych, Jake?

– Jeszcze nie wiem. A powinienem? – Pytanie było zdecydowanie nie na miejscu, ale w tym momencie zabrzmiało całkiem niewinnie. Jake już się zebrał w sobie w oczekiwaniu na reprimendę, jednak sędzia Atlee tylko lekko się uśmiechnął, nie odrywając wzroku od okiennej szyby, przez którą nic nie było widać.

– Osobiście wolałbym mieć przysięgłych. Nie boję się podejmować trudnych decyzji, to należy do moich obowiązków, ale w takiej sprawie jak ta dobrze byłoby mieć do pomocy dwunastu porządnych i uczciwych obywateli. Dla odmiany. – Jego uśmiezek zamienił się w pełny uśmiech.

– Wcale się panu nie dziwię. Wystąpię z takim wnioskiem.

– Zrób to. Aha, Jake, mamy do czynienia z bandą prawników, z których tylko kilku naprawdę ufam. Nie krępuj się wpadać do mnie na kawę, jeśli twoim zdaniem coś będzie wymagało przedyskutowania. Jestem pewny, że doceniasz ogromne znaczenie tej sprawy. W tych stronach nie zdarzają się wielkie spadki. Nigdy się nie zdarzały. A teraz nagle stoi przed nami skrzynia złota i tłum ludzi będzie chciał się do niej dostać. Nie ty i nie ja, ale jest wielu innych. Dlatego to bardzo ważne, żebyśmy trzymali się razem.

Po raz pierwszy od wielu godzin Jake poczuł, że robi mu się lżej na duszy, i odetchnął z ulgą.

- Też tak uważam, panie sędzio. I dziękuję.
- Do zobaczenia, Jake.

Rozdział 13

W środę dwunastego października Dumas Lee wypełnił swoimi tekstami całą pierwszą stronę „The Ford County Times”, jakby wczorajsze wstępne przesłuchanie było jedynym godnym uwagi wydarzeniem w całym okręgu. Wielki tytuł głosił: TESTAMENT HUBBARDA. LINIE FRONTU WYTYCZONE.

Niżej Dumas w czysto tabloidowej konwencji relacjonował wydarzenia w sądzie: „Wczoraj wypełniona pełnymi nadziei spadkobiercami i ich gorliwymi pełnomocnikami sala rozpraw zamieniła się pod okiem sędziego Reubena Atlee w pole bitwy, na którym wystrzelono pierwsze salwy w potyczce zapowiadającej dramatyczną batalię o wielki spadek po Secie Hubbardzie, który powiesił się 2 października”.

Fotograf też nie próżnował. Na środku pierwszej strony zamieszczono wielkie zdjęcie Lettie Lang wychodzącej z sądu i podtrzymywanej przez Bookera Sistrunka i Kendricka Bosta, jakby była niepełnosprawna. Podpis pod zdjęciem głosił: „Lettie Lang, lat 47, mieszkanka Box Hill, była gosposia Setha Hubbarda i podobno beneficjentka na mocy najnowszego własnoręcznego i budzącego wątpliwości testamentu, w towarzystwie swych pełnomocników z Memphis”. Obok znalazły się dwie mniejsze fotografie Herschela i Ramony, których uchwycono przed budynkiem sądu.

Przy porannej kawie przy biurku Jake przeczytał wszystko od deski do deski, dokładnie analizując każde zdanie w poszukiwaniu błędów i przeinaczeń, i z zaskoczeniem stwierdził, że tym razem Dumas w niczym się nie pomylił. Skłął go tylko w myślach za na-

zwanie testamentu „budzącym wątpliwości”. Każdy stały mieszkaniec okręgu był potencjalnym członkiem ławy przysięgłych, większość albo sama przeczytała gazetę, albo usłyszała o sprawie od kogoś innego, a Dumas beztrąsko uznawał testament Hubbarda za budzący wątpliwości. Ironiczne uśmiešky na twarzach dwóch obcych elegantów z Memphis też w niczym nie pomagały. Wpatrując się w fotografię, Jake starał się wyobrazić sobie odczucia dziewięciu białych i trzech czarnych przysięgłych, którzy patrzą na Lettie i myślą o dwudziestu milionach dolarów. Prawdopodobnie nie zyska ich sympatii, a po tygodniu siedzenia na ławie i słuchaniu wywodów Bookera Sistrunka pewnie wszyscy przejrzą jego intencje i unieważnią testament. Przysięgli mogą też zniechęcić Herschela i Ramonę, ale przynajmniej ci są biali i nie reprezentuje ich śliski krętacz o manierach telewizyjnego kaznodziei.

Przypomniał sobie, że on i Sistrunk stoją teoretycznie po tej samej stronie barykady, a w każdym razie sali sądowej, Jake postanowił zrezygnować. Jeśli sędzia Atlee zgodzi się na pozostawienie Sistrunka w sprawie, wycofa się i zacznie od nowa się uganiać za ofiarami wypadków drogowych. Wszystko lepsze od tego brutalnego procesu, w którym będzie musiał poleć. Potrzebował związanych z nim honorariów, ale nie bólu głowy.

Z dołu dobiegł jakiś hałas, potem odgłos kroków na schodach. Rytm i łomot kroków Harry'ego Rexa na starych drewnianych schodach był nie do podrobienia. Stawiał nogi wolno i ciężko tupał, jakby chciał pogruchotać deski stopni, te zaś skrzypiały i wibrowały z wysiłku. Z dołu rozlegały się krzyki protestującej głośno Roxy. Potężna nadwaga i brak kondycji spowodowały, że gdy Rex wreszcie dotarł na górę i kopniakiem otworzył drzwi gabinetu Jake'a, dyszał ciężko, z trudem łapiąc powietrze.

– Cholernej babie chyba odbiło – warknął na powitanie, rzucając na biurko Jake'a egzemplarz gazety.

– Dzień dobry, Harry Rexie – powiedział Jake, patrząc, jak przyjaciel sadowi się w fotelu i walczy z oddechem, który stopniowo zaczyna się uspokajać, z każdym wydechem oddalając groźbę zawału.

– Czy ona stara się wszystkich wkurzać? – wystękał.
– Na to wygląda. Chcesz kawy?
– A nie masz piwka?
– Jest dziewiąta.
– I co z tego? Dziś nie idę do sądu. W wolne dni wcześniej zaczynam.

– Nie uważasz, że pijesz za dużo?
– A skąd! Przy moich klientach to i tak za mało. Ty zresztą też.
– Nie trzymam piwa w biurze. W domu zresztą też nie.
– Co to za życie. – Harry Rex gwałtownym ruchem sięgnął przed siebie, chwycił z biurka gazetę i wskazując na fotografię Lettie, burknął: – Powiedz mi, Jake, co przeciętny biały obywatel tego okręgu pomyśli, widząc to zdjęcie? Mamy czarną gosposię, która prezentuje się całkiem znośnie, jakimś cudem wślizgnęła się do testamentu starego i teraz zaangażowała cwanych afroamerykańskich prawników z wielkiego miasta, żeby tu przyjechali i wydusili dla niej pieniądze. Jakie wrażenie to zrobi w Coffee Shopie?

– Myślę, że sam wiesz.
– Głupia jest?
– Nie, ale dała się omotać. Simeon ma rodzinę w Memphis i przez nią jakoś na siebie trafili. Nie ma pojęcia, w co się pakuje, i słucha złych doradców.

– Przecież jesteś po jej stronie, Jake. Nie możesz z nią porozmawiać? – Harry Rex rzucił gazetę z powrotem na biurko.

– Nie. Myślałem, że mogę, ale ona wynajęła Sistrunka. Próbo-
wałem porozmawiać z nią wczoraj w sądzie, ale za bardzo jej pilno-
wali. Chciałem też rozmawiać z dziećmi Hubbarda, ale oni też niezbyt
przyjaźnie mnie potraktowali.

– Cieszysz się wielką popularnością, Jake.
– Wczoraj zbyt tego nie czułem. Ale sędzia Atlee mnie lubi.
– Podobno nie był zachwycony Sistrunkiem.
– Nie był. Ława przysięgłych też go nie pokocha.
– Czyli jednak występujesz o przysięgłych?
– Tak, Wysoki Sąd sobie życzy, ale ode mnie tego nie sły-

szałeś.

– Nie słyszałem. Musisz znaleźć jakiś sposób, żeby się porozumieć z Lettie. Sistrunk wkurzy wszystkich w całym stanie i ta kobieta nie dostanie ani grosza.

– A powinna?

– Cholera, jasne, że tak. To forsa Setha i gdyby chciał ją podarować komunistom, to też mu wolno. Sam ją zarobił i mógł z nią robić, co mu się żywnie podoba. Poczekaj na zderzenie z jego dziećmi, według mnie parą wyjątkowych zasańców, to zrozumiesz, dlaczego Seth wolał zostawić forszę komuś innemu.

– Myślałem, że go nie znosiłeś.

– Nie znosiłem go dziesięć lat temu, ale ja zawsze nienawidzę palanta po przeciwnej stronie sali. Dlatego tak wrednie się zachowuję. Ale potem mi to przechodzi. Wszystko jedno czy go Kocham, czy nienawidzę, facet przed śmiercią sporządził testament i prawo musi go respektować, o ile tylko uzna go za ważny.

– A uzna?

– O tym zadecyduje ława przysięgłych. Na pewno będą go atakować ze wszystkich stron.

– Jak ty byś go zaatakował?

Harry Rex oparł się plecami i założył nogę na nogę.

– Już się nad tym zastanawiałem – powiedział. – Przed wszystkim nająłbym biegłych, jakichś medyków, którzy by zeznali, że Seth był oszołomiony środkami przeciwbólowymi. Miał ciało wyniszczone przez raka płuc i wszystkie zabiegi w postaci chemioterapii i naświetlań oraz lekarstwa łykane w przeciągu ostatniego roku spowodowały, że nie był w stanie trzeźwo myśleć. Cierpiał straszliwe bóleści i mój ekspert od bólu wyjaśniłby wszystkim, jak cierpienie może wpływać na proces myślowy. Nie wiem, skąd bym wytrzasnął tych ekspertów, ale diabła tam, da się wynająć eksperta, który powie wszystko, co mu każesz. Pamiętaj, Jake, że typowy przysięgły z tego okręgu z trudem zdał maturę. To nie są zbyt rozcarnięci ludzie. Postaw przed nimi odpowiednio wygadane go biegłego, albo jeszcze lepiej cały zespół biegłych, i przysięgli dadzą sobie wszystko w mó-

wić. Cholera, bez trudu mógłbym zrobić z Hubbarda śliniącego się idiotę, który umiał tylko założyć sobie pętlę na szyję. Bo czy nie trzeba być idiotą, żeby się powiesić?

– Na to nie potrafię odpowiedzieć.

– Po drugie, Seth nie umiał utrzymać zapiętego rozporaka. Nie wiem, czy zdarzało mu się łamać barierę rasową, ale może tak. Jeśli biali przysięgli nabiorą choćby cienia podejrzeń, że czarna gosposia Seta zapewniała mu coś więcej niż tylko ciepłe jedzenie i czyste koszule, bardzo szybko zwrócą się przeciwko Lettie.

– Nie mogą się publicznie babrać w życiu seksualnym nieboszczyka.

– To prawda, ale mogą podszczypywać Lettie. Mogą robić aluzje, snuć domysły, puszczać wodze fantazji. Jeśli ona będzie zeznawać jako świadek, a na pewno tak będzie, to ją rozszarpią.

– Musi zeznawać.

– Oczywiście, że musi. I na tym polega twój problem. Bo tak naprawdę nieważne, Jake, kto i co powie w sądzie. Chodzi o to, że jeśli Sistrunk będzie się wymądrzał i wypinał swój czarny tyłek na białą ławę przysięgłych, to twoje szanse są równe zeru.

– Nie jestem pewien, czy aż tak bardzo zależy mi na tej sprawie.

– Musi ci zależeć. To twoja praca. To będzie wielki proces. I dostaniesz grube honorarium. Pracujesz i zarabiasz według stawki godzinowej, a to w naszym świecie rzadkość. Jeśli dojdzie do procesu, to czeka cię jeszcze apelacja i tak dalej. W ciągu trzech lat zarobisz pół miliona dolców. Ilu kierowców pod wpływem musiałbyś zdybać, żeby zarobić takie pieniądze?

– Nawet nie myślałem o honorarium.

– No cóż, każdy uganiający się za ofiarami wypadków drogowych na pewno o nim myśli. Dostaniesz kupę forsy. Dla szeregowego prawnika jak ty to jak manna z nieba. Ale musisz wygrać, Jake, a żeby wygrać, musisz pozbyć się Sistrunka.

– Jak?

– O tym też myślę. Daj mi trochę czasu. Pewne szkody zostały już poczynione przez to cholerne zdjęcie w gazecie. I możesz być

pewny, że Doofus znów to zrobi przy okazji najbliższego przesłuchania. Musimy jak najszybciej wykopać Sistrunka.

Dla Jake'a pocieszające było to, że Harry Rex mówi w liczbie mnogiej. Nie znał nikogo bardziej lojalnego, kogoś, kogo bardziej chciałby mieć po swojej stronie. Nie znał też nikogo równie podstępного i przebiegłego.

– Daj mi ze dwa dni – powiedział Harry Rex, dźwigając się z fotela. – Teraz muszę się napić piwa.

△△△

Gdy godzinę później Jake wciąż jeszcze siedział przy biurku, w sprawie Sistrunka nastąpił nagły zwrot na gorsze.

– Dzwoni jakiś Rufus Buckley – zaanonsowała Roxy przez interkom.

Jake zaczerpnął głęboko powietrza i kazał łączyć. Wpatrując się w migającą czerwoną lampkę, gwałtownie szukał w myślach powodu, dla którego Buckley mógłby chcieć z nim rozmawiać. Od procesu Carla Lee Haileya nie zamienili z sobą słowa i można było sądzić, że obaj woleliby, żeby ich ścieżki już nigdy się nie przecięły. Rok wcześniej, gdy Buckley starał się o reelekcję na stanowisko prokuratora okręgowego, Jake – jak zresztą większość prawników z Clanton czy nawet całego Dwudziestego Drugiego Obwodu Sądowego – po cichu popierał jego konkurenta. W ciągu swej dwunastoletniej kariery na stanowisku prokuratora Buckley zdołał zniechęcić do siebie wszystkich prawników w liczącym pięć okręgów obwodzie. Zemsta była słodka i dawny, nieliczący się z nikim prokurator o stanowych aspiracjach musiał teraz siedzieć w małej kancelarii przy Main Street w rodzinnym Smithfield, godzinę drogi od Clanton, zajmując się testamentami, aktami nabycia i rozwodami bez orzekania o winie.

– Witaj, gubernatorze – powiedział Jake pełnym ironii tonem. W ciągu minionych trzech lat jego niechęć do tego człowieka ani trochę nie zmalała.

– No witaj, Jake – odrzekł pogodnie Buckley. – Miałem nadzieję, że możemy już sobie darować takie tanie złośliwości.

– Przepraszam, nie chciałem cię urazić. – Ale oczywiście dokładnie tego chciał. W pewnym momencie, nie tak dawno temu, mnóstwo ludzi przeżywało Buckleya gubernatorem. – Co porabiasz?

– Praktykuję prawo i się nie wysilam. Najwięcej mam spraw związanych z gazem i ropą naftową.

No jasne. Buckley spędził większość dorosłego życia na próbach wmawiania ludziom, że dzierżawa należących do rodziny żony terenów gazonośnych jest źródłem ich ogromnego bogactwa. Wcale tak nie było i Buckleyowie żyli dużo poniżej swych aspiracji.

– Pogratulować. Z czym dzwonicz?

– Przed chwilą skończyłem rozmowę z adwokatem z Memphis, niejakim Bookerem Sistrunkiem. O ile wiem, już się poznaliście. Robi sympatyczne wrażenie. W każdym razie zaproponował mi włączenie się do sprawy Seta Hubbarda w roli reprezentanta na stan Missisipi.

– Czemu akurat tobie, Rufusie? – spytał Jake, czując, jak mu serce podchodzi do gardła.

– Pewnie z uwagi na reputację.

O nie, Sistrunk odrobił pracę domową i znalazł jedyne go prawnika w całym stanie, który serdecznie nienawidzi Brigance'a. Jake wyobrażał sobie zwały błota, jakim Buckley obrzucił go w rozmowie z Sistrunkiem.

– Nie bardzo widzę twoją rolę, Rufusie.

– Pracujemy nad tym. Zacznijmy od tego, że Booker chce się ciebie pozbyć i przejąć prowadzenie całej sprawy. Wspomniał też o wystąpieniu o zmianę miejsca procesu. Twierdzi, że sędzia Atlee jest do niego uprzedzony, i chce wnioskować o zmianę sędziego. To dopiero wstępne przymiarki, Jake. Jak wiesz, Sistrunk to pełen inwencji prawnik sądowy, który ma do dyspozycji poważne zasoby. Pewnie dlatego chce mnie mieć w swojej drużynie.

– No cóż, witaj na pokładzie. Podejrzewam, że Sistrunk nie powiedział ci wszystkiego, na przykład, że już próbował mnie wygrać. Nie udało mu się, bo sędzia Atlee umie czytać nie gorzej od innych. Testament imiennie wyznacza mnie na zarządzającego masą spadkową. Atlee też nie wyłączy się z tej sprawy i nie dopuści do jej

przeniesienia z Clanton. Sikacie pod wiatr, panowie. Zniechęćcie każdego potencjalnego członka ławy przysięgłych w tym okręgu. Według mnie to głupota, Rufusie. Głupota, która poważnie podkopuje nasze szanse.

– To się okaże. Brak ci doświadczenia, Jake, i powinieneś się usunąć. Oczywiście masz na swoim koncie parę przychylnych werdyktów w sprawach kryminalnych, ale to nie jest sprawa kryminalna. To jest skomplikowana sprawa cywilna z wielkimi pieniędzmi w tle, która już cię przerasta.

Jake ugryzł się w język, przypominając sobie, jak serdecznie nie znosił tego głosu w słuchawce. Wolno cedząc słowa, powiedział:

– Byłeś prokuratorem, Rufusie. Od kiedy jesteś specjalistą od spraw cywilnych?

– Jestem prawnikiem sądowym. Moim domem jest sala rozpraw. W ciągu minionego roku zajmowałem się wyłącznie sprawami cywilnymi. I dodatkowo mam jeszcze przy stole Sistrunka. W ubiegłym roku trzykrotnie załatwił policję miejską w Memphis łącznie na ponad milion dolarów.

– Policja we wszystkich trzech sprawach się odwołała. Nie dostał jeszcze ani grosza.

– Ale dostanie. I tak samo skopiemy przeciwnikom tyłki w sprawie Hubbarda.

– Ile z tego zgarniecie, chłopcy? Pięćdziesiąt procent?

– To poufne ustalenia, Jake. Przecież wiesz.

– Powinny być publicznie ogłoszone.

– Nie bądź zazdrosny.

– Do usłyszenia, Rufusie – powiedział Jake i odłożył słuchawkę. Zacerpnął głęboko powietrza, zerwał się z fotela i zbiegł na dół.

– Zaraz wracam – rzucił do Roxy, mijając jej biurko.

Było wpół do jedenastej i kawiarnia była pusta. Dell stała za kontuarem i wycierała widelce. Jake usiadł na stołku obok.

– Przerwa na kawę? – spytała.

– Tak. Bezkofeinową poproszę. – Jake często wpadał w nietypowych porach, zwykle po to, by uciec od biura i dzwoniącego

telefonu. Dell napełniła filiżankę i przysunęła się bliżej, nie przerywając wycierania sztućców.

– Co wiesz? – spytał Jake, mieszając cukier.

U Dell istniało wyraźne rozróżnienie między tym, co wie, a tym, co słyszała. Większość jej klientów zakładała, że wszystko wszystkim powtarza, jednak Jake wiedział, że jest inaczej. W ciągu dwudziestu pięciu lat pracy w Coffee Shopie słyszała wystarczająco dużo przeznaczonych pogłosek i zwykłych kłamstw, by wiedzieć, ile szkody może wyrządzić ich powtarzanie. Dlatego, wbrew swej reputacji, tak naprawdę była dość dyskretna.

– No cóż – zaczęła z namysłem. – Chyba Lettie sobie nie pomogła, angażując tych czarnych prawników z Memphis. – Jake pokiwał głową i upił łyk kawy, a Dell kontynuowała: – Jake, po co ona to zrobiła? Zdawało mi się, że to ty jesteś jej adwokatem. – Mówiła o Lettie takim tonem, jakby znały się od dziecka. W rzeczywistości nigdy się nawet nie spotkały, ale w Clanton nie było w tym nic niezwykłego.

– Nie, nie jestem jej adwokatem. Jestem pełnomocnikiem do spraw masy spadkowej i testamentu. Jesteśmy po tej samej stronie, ale nie mogła mnie nająć jako swojego adwokata.

– A w ogóle potrzebuje adwokata?

– Nie. Moim obowiązkiem jest ochrona testamentu i wypełnienie zawartych w nim poleceń. Jeśli zrobię to, co do mnie należy, Lettie dostanie swój spadek. Nie musiała nikogo najmować.

– Powiedziałeś jej to?

– Powiedziałem i wydawało mi się, że rozumiała.

– To co się stało? Dlaczego ich w to włączyła?

Jake pociągnął kolejny łyk kawy, nakazując sobie ostrożność w słowach. Dell i on często wymieniali się poufnymi informacjami, jednak spraw delikatnych to nie dotyczyło.

– Nie wiem. Myślę, że ktoś w Memphis usłyszał o testamencie i wiadomość dotarła do Bookera Sistrunka. Zapachniała mu forsa, więc wsiadł do swojego czarnego rollsa, zajechał pod jej dom i ją uwiódł. Obiecał jej złote góry i w zamian wytargował kawał tortu dla siebie.

– Ile?
– Gdybym to wiedział. To sprawy poufne, których się nigdy nie ujawnia.

– Do czarnego rollsa, Jake? Jaja sobie robisz?

– Nie. Wczoraj zajechał nim pod sąd i zaparkował przed bankiem. Sam prowadził, jego wspólnik siedział obok. A Lettie siedziała z tyłu z facetem w ciemnym garniturze, pewnie kimś w rodzaju ochroniarza. Urządzają cyrk, i tym ją kupili.

– Nie rozumiem tego.

– Ani ja.

– Prather mówił dziś rano, że mogą próbować przenieść sprawę gdzieś indziej. Gdzieś, gdzie mogą liczyć na więcej czarnych na ławie przysięgłych. To prawda?

– Pewnie tylko pogłoski. Znasz Prathera. Założę się, że połowa plotek w mieście zaczyna się od niego. Coś jeszcze słyszałaś?

– O tak, Jake. Miasto aż huczy od plotek. Ludzie milkną na twój widok, ale jak tylko wychodzisz, od razu zaczynają gadać.

Drzwi się otworzyły, do środka weszło dwóch urzędników z biura podatkowego i usiadło przy stoliku obok baru. Jake znał ich obu i uprzejmie skinął im głową. Usiedli na tyle blisko, by słyszeć ich rozmowę. Bez wątpienia zrobili to celowo i wytężają teraz słuch.

Jake pochylił się ku Dell i szepnął:

– Miej uszy otwarte, dobra?

– Jake, słoneczko, przecież wiesz, że nic nie umyka mojej uwagi.

– Wiem. – Zapłacił za kawę i się pożegnał.

Nadal nie palił się do powrotu do biura, zrobił więc rundę wokół rynku i zatrzymał się przed biurem Nicka Nortona, który tak jak on prowadził samotną praktykę i również skończył prawo na Ole Miss, tyle że w roku, w którym Jake dopiero zaczynał. Nick odziedziczył kancelarię prawną po swoim wuju i najprawdopodobniej miał więcej pracy niż Jake. Podsyłali sobie wzajemnie klientów z jednej strony rynku na drugą i w zasadzie przez dziesięć lat udało im się uniknąć poważniejszych zadrażnień.

Przed dwoma laty Nick reprezentował w sądzie Marvisa Langa,

który przyznał się do handlu narkotykami i napaści z użyciem niebezpiecznego narzędzia. Rodzina zapłaciła wtedy honorarium adwokackie w wysokości pięciu tysięcy dolarów, mniej niż Nick sobie zażyczył, ale więcej niż większość jego klientów była w stanie zapłacić. Wina Marvisa była bezsporna i Nick miał niewiele miejsca na prawnicze wybiegi, w dodatku Marvis się zaparł i odmówił obciążenia winą współoskarżonych. Ostatecznie Nick wynegocjował dwanaście lat więzienia. Cztery dni wcześniej Jake spotkał się z nim na lunchu i Nick opowiedział mu wszystko, co mógł, o Marvisie i jego rodzinie.

Nick miał klienta, ale jego sekretarka wyciągnęła z szafy akta i wręczyła Jake'owi, a ten obiecał, że skopiuje potrzebne dokumenty i bezzwłocznie je zwróci. Sekretarka uspokoiła go, że nie musi się śpieszyć, bo sprawa od kilku lat jest już zamknięta.

△△△

Ulubionym miejscem Wade'a Laniera na lunch była Mal's & Hal, stara knajpka w Jackson, kilka przecznic od kapitolu stanowego i dziesięć minut spacerem od jego biura przy State Street. Usiadł przy swoim stałym stoliku, zamówił herbatę i niecierpliwie odczekał kilka minut na przyjście Iana Dafoe, Ian przysiadł się i obaj zamówili po kanapce. Zaczęli rozmowę od pogody i futbolu, ale szybko przeszli do rzeczy.

– Pójdziemy z tą sprawą do sądu – oświadczył Lanier głosem ściszym niemal do szeptu, jakby miał do przekazania jakiś ważny sekret.

Ian pokiwał głową, wzruszył ramionami i mruknął:

– Dobrze słyszeć.

Każda inna decyzja jego adwokata byłaby dla niego niemiłym zaskoczeniem. W stanie Missisipi nie zdarzało się wiele tak dużych pul i wokół tej kręciła się już masa prawników.

– Ale nie potrzebujemy nikogo więcej – dodał szybko Lanier. – Herschel ma tego pajaca z Memphis, który oczywiście nie ma uprawnień na Missisipi i tylko będzie nam przeszkadzał. Ten głupek

w niczym nam nie pomoże, za to może mnie bardzo drażnić. Czy mógłbyś porozmawiać z Herschelem i go przekonać, że grają z siostrą w jednej drużynie i ja sam sobie z tym poradzę?

– Nie wiem. On miewa pomysły, z którymi Ramona nie zawsze się zgadza.

– No to pogłówkuj. Sala sądowa i tak już jest pełna, więc Atlee niedługo zacznie sam niektórych eliminować.

– A jeśli Herschel się nie zgodzi? Powie, że chce mieć własnego adwokata?

– To wtedy się tym zajmiemy. Najpierw spróbuj go przekonać, że nie potrzebuje oddzielnego adwokata. Że to tylko jeszcze jeden do podziału.

– Dobra, a skoro o tym mowa, jakie proponujesz honorarium dla siebie?

– Procentowy udział w spadku. Trzydzieści procent od uzyskanej kwoty. Aspekt prawny nie jest zbyt skomplikowany i sprawa nie powinna ciągnąć się dłużej jak tydzień. Zwykle zadowolamy się dwudziestopięcioprocentowym udziałem w uzyskanej kwocie, ale nasze ryzyko jest tym razem dużo większe.

– Dlaczego?

– Bo albo dostaniecie wszystko, albo nic. Nie ma miejsca na rozwiązanie pośrednie.

Ian przez chwilę się nad tym zadumał, jednak nie wszystko było dla niego jasne. Dostali zamówione kanapki i kilka następnych minut obaj nakładali jedzenie na talerze.

– Zajmiemy się tą sprawą – powiedział Lanier – ale tylko pod warunkiem, że Herschel i Ramona podpiszą z nami umowę. Możemy...

– Chcesz powiedzieć, że wolicie jedną trzecią czternastu milionów niż jedną trzecią tylko siedmiu, tak? – przerwał mu Ian, próbując obrócić wszystko w żart, jednak Laniera wcale to nie rozbawiło i bez cienia uśmiechu odgryzł kawałek kanapki. Zresztą w ogóle rzadko się uśmiechał. Przelknął i odparł:

– Właśnie tak. Jestem w stanie wygrać tę sprawę, ale nie po-

zwolę, żeby jakiś dureń z Memphis patrzył mi na ręce, przeszkadzał i denerwował ławę przysięgłych. Poza tym musisz zrozumieć, że jesteśmy, ja i moi wspólnicy, okropnie zawałeni pracą. Przyrzekliśmy sobie, że nie weźmiemy żadnych nowych spraw. Moi wspólnicy bardzo niechętnie podchodzą do angażowania firmy w spory testamentowe. Cholera, w samym tylko przyszłym miesiącu mamy trzy sprawy przeciwko Shell Oil. Z powodztwa ofiar wypadków przy pracy na platformach wiertniczych.

Ian napchał do ust frytek, by nie musieć odpowiadać. Wstrzymał też oddech w nadziei, że adwokat nie uraczy go kolejną porcją opowieści ze swych najważniejszych potyczek sądowych. Znał tę nieznośną przypadłość większości prawników procesowych i już nieraz musiał ich wysłuchiwać.

Jednak Lanierowi udało się tym razem zwalczyć pokusę i spokojnie kontynuował:

– I tak, masz rację, jeśli przyjmiemy tę sprawę, to chcemy reprezentować oboje spadkobierców, nie tylko ciebie. To tyle samo pracy, a właściwie nawet mniej, bo nie będziemy musieli tracić czasu na użeranie się z tym chłopakkiem z Memphis.

– Zobaczę, co da się zrobić – rzekł Ian.

– Co miesiąc będziemy refakturować nasze wydatki, a będzie tego trochę, głównie na opłacenie biegłych.

– Ile?

– Opracowaliśmy budżet dla całego postępowania. Pięćdziesiąt tysięcy powinno starczyć na pokrycie kosztów. – Lanier rozejrzał się czujnie na boki, choć nikt z gości restauracji nie mógł słyszeć ani słowa z ich rozmowy, po czym jeszcze bardziej ścisząc głos, dodał: – Ponadto trzeba wynająć detektywa, i to nie jakiegoś zwykłego podglądacza. Będziemy musieli wydać trochę forsy na specja, który potrafi przeniknąć do świata Lettie Lang i wyszukać wystarczająco dużo brudów, a to nie będzie łatwe.

– Ile?

– Tylko zgaduję, ale powiedziałbym, że jeszcze dwadzieścia pięć kawałków.

– Zaczynam mieć wątpliwości, czy mnie stać na ten proces.

Tym razem na twarzy Laniera pojawił się uśmiech, choć dość wymuszony.

– Wyjdiesz z tego z kupą forsy, Ian. Tylko trzymaj się mnie.

– Skąd ta pewność? Kiedy spotkaliśmy się w zeszłym tygodniu, byłeś nastawiony dość sceptycznie. Miałeś wątpliwości.

Kolejny cierpki uśmieszek.

– Rozmawialiśmy wtedy o tej sprawie po raz pierwszy. Chirurg zawsze zachowuje ostrożność, gdy staje przed skomplikowaną operacją. Teraz sytuacja jest już jaśniejsza. Spędziliśmy wczorajszy poranek w sądzie. Przyjrzałem się lepiej całej sprawie. Wysłuchałem wystąpień drugiej strony. A co najważniejsze, przyjrzałem się bliżej adwokatom Lettie Lang, tym komedianom z Memphis. To oni stanowią klucz do naszego zwycięstwa. Postaw ich przed ławą przysięgłych w Clanton, a odręczny testament zostanie uznany za głupi dowcip.

– Tak, rozumiem. Wróćmy jeszcze do siedemdziesięciu pięciu tysięcy na pokrycie kosztów. Zdawało mi się, że niektóre firmy prawnicze wykładają własne środki na pokrycie kosztów i odbierają je sobie na końcu z wywalczonej kwoty.

– Kiedyś tak robiliśmy.

– Daj spokój, Wade. Cały czas tak robicie, bo większość waszych klientów jest bez grosza. Zajmujecie się umarlakami, którzy się przejechali na tamten świat w wypadkach w pracy, tego typu sprawami.

– Tak, ale ciebie to nie dotyczy. Ciebie stać na sfinansowanie sprawy sądowej, innych nie. Etyka zawodowa wymaga, żeby klient pokrył koszty, jeśli to leży w jego możliwościach finansowych.

– Etyka? – prychnął Ian, zachowując się wręcz obraźliwie, ale Lanier jakby tego nie zauważył. Przestrzeganie etyki zawodowej było dla niego ważne, jeśli mógł na tym zyskać. W przeciwnym razie całkowicie ją ignorował.

– Daj spokój, Ian. – Skrzywił się. – To raptem siedemdziesiąt pięć kawalków, i to rozłożone na cały następny rok, czy coś koło tego.

– Jestem gotów zapłacić do dwudziestu pięciu tysięcy – oświadczył twardo Ian. – Wszystko, co ponad to, pokryjecie z własnych środków i rozliczymy się na końcu.

– Dobra, niech ci będzie. Rozliczymy to później. Mamy teraz ważniejsze sprawy na głowie. Zaczynj urabiać Herschela. Jeśli nie zgodzi się zwolnić tamtego palanta i nie podpisze umowy z nami, to mam smakowitsze kąski na półmisku. Rozumiemy się?

– Rozumiem. Ale mogę tylko obiecać, że spróbuję.

Rozdział 14

Zakłady Drzewne Berlinga stanowiły zbieraninę blaszanych szop otoczonych płotem z dwuipółmetrowej stalowej siatki, zaopatrzonej w ciężką stalową bramę. Brama była niedomknięta, jakby zapraszając gości. Prowadził do niej wyasfaltowany podjazd na tyle długi, że z szosy nr 21 wjazd był niewidoczny; niecałe półtora kilometra dalej przebiegała granica okręgu Tyler. Za bramą po lewej znajdowały się zabudowania administracyjne, po prawej rozciągało się liczące tysiące metrów kwadratowych składowisko surowego drewna, na wprost wznosił się szereg wolno stojących budynków, gdzie pnie czyszczono, przycinano, sortowano, cięto i impregnowano przed zmagazynowaniem. Na parkingu stały mocno zdezelowane pick-upy – widomy znak, że interes szedł pełną parą. Ludzie mieli pracę, co w tej części kraju nie zawsze było regułą.

Seth Hubbard utracił skład drewna w wyniku drugiego bolesnego rozvodu, by go jednak po paru latach odzyskać. Harry Rex doprowadził do przymusowej sprzedaży za dwieście tysięcy dolarów i zgarnął pieniądze, oczywiście w imieniu klientki. Seth Hubbard w swoim stylu cierpliwie poczekał na dekonstrukcję, po czym zmusił załamanego właściciela do szybkiej sprzedaży.

Nikt nie wiedział, skąd wziął się Berring w nazwie. Jake zdążył się już zorientować, że Seth często brał nazwy z księżycy i nadawał je swoim firmom. Gdy po raz pierwszy był właścicielem tej firmy, nosiła ona nazwę Skład Drewna Palmyra. Chyba tylko po to, by zmylić speców od branży drzewnej, za drugim podejściem zmienił nazwę na Zakłady Drzewne Berringa.

Tu mieściło się główne biuro Hubbarda, choć przejściowo miał też biura w innych miejscach. Po zdiagnozowaniu u niego raka płuc i sprzedaniu pozostałych firm Seth zebrał wszystkie swoje papiery i zaczął częściej bywać w tym biurze. Następnego dnia po jego samobójstwie firmę odwiedził szeryf Ozzie Walls i odbył przyjazną pogawędkę z personelem, nalegając, by nikt nie dotykał papierów szefa. Uprzedził, że wkrótce zjawią się prawnicy i wszystko jeszcze bardziej się skomplikuje.

Jake dwukrotnie rozmawiał przez telefon z Arlene Trotter, sekretarką Hubbarda, która zachowywała się uprzejmie, ale wyraźnie nie była zachwycona jego wizytą. W piątek, blisko dwa tygodnie po śmierci Setha, Jake wkroczył do recepcji. Za ustawionym pośrodku biurkiem siedziała krzykliwie umalowana młoda kobieta w obcisłym sweterku i ze strzechą czarnych włosów na głowie. Sprawiała wrażenie bardzo pewnej siebie.

Na mosiężnej tabliczce na biurku widniało tylko jej imię, Kamila, i Jake szybko uznał, że jego pierwsze wrażenie się potwierdza, a egzotyczne imię dobrze pasuje do właścicielki. Kamila obrzuciła go zalotnym spojrzeniem i Jake od razu przypomniał sobie rozporkowe kłopoty Setha.

Przedstawił się, Kamila, nie wstając, podała mu wiotką rękę.

– Arlene czeka na pana – zagruchała i nacisnęła jeden z przycisków na konsoli.

– Bardzo pani współczuję z powodu szefa. – Jake nie pamiętał Kamili z pogrzebu, a był pewny, że odnotowałby jej twarz i kształty.

– To bardzo smutna sprawa – powiedziała.

– Od jak dawna pani tu pracuje?

– Od dwóch lat. Seth był miłym człowiekiem i dobrym szefem.

– Nie miałem okazji go poznać.

Z głębi korytarza wyłoniła się Arlene Trotter i podała Jake'owi rękę. Miała około pięćdziesiątki, ale była już zupełnie siwa i walczyła z lekką nadwagą, a jej jednobarwny kostium ze spodniami pochodził sprzed dobrych dziesięciu lat. Poszli w głąb budynku, rozmawiając po drodze.

– Tu był jego gabinet. – Wskazała zamknięte drzwi tuż obok jej biurka. – Wszystkie jego papiery są tam – dodała, pokazując ręką na sąsiednie drzwi. – Nikt nic nie ruszał. W dniu jego śmierci wieczorem zadzwonił do mnie Russell Amburgh i kazał wszystko zabezpieczyć. Następnego dnia przyjechał szeryf i powtórzył to samo. Od tamtej pory nic się tu nie działo. – Głos jej się lekko łamał.

– Współczuję.

– Myślę, że znajdzie pan jego dokumenty we właściwym stanie. Seth zawsze pilnował porządku w papierach, a im był bardziej chory, tym więcej czasu spędzał na porządkowaniu wszystkiego.

– Kiedy widziała go pani po raz ostami?

– W piątek przed śmiercią. Nie czuł się dobrze i wyszedł około trzeciej. Powiedział, że jedzie do domu odpocząć. Słyszałam, że podobno tu napisał ten swój testament. To prawda?

– Na to wygląda. Wiedziała pani o tym?

Na chwilę zamilkła, jakby nie potrafiła lub nie chciała na to odpowiedzieć.

– Mogę pana o coś spytać? – rzekła w końcu.

– Oczywiście.

– Po czyjej pan jest stronie? Czy możemy panu ufać, czy powinniśmy nająć swoich adwokatów?

– No cóż, sądzę, że angażowanie dodatkowych adwokatów nie jest dobrym pomysłem. Ja jestem pełnomocnikiem do spraw masy spadkowej pana Hubbarda. Zostałem przez niego wybrany i poinformowany, że mam dopilnować, by uznano i zrealizowano jego ostatnią wolę wyrażoną we własnoręcznym testamencie.

– I to w nim zapisał wszystko swojej gosposi?

– W zasadzie tak.

– I na czym polega nasza rola?

– W administrowaniu masą spadkową nie odgrywacie żadnej roli. Możecie zostać wezwani na świadków, jeśli dojdzie do oprostowania testamentu przez rodzinę Hubbarda.

– Świadków podczas rozprawy sądowej? – spytała z lękiem w głosie, robiąc krok do tyłu.

– Możliwe, ale jest za wcześnie, by się tym martwić. Ile osób współpracowało na co dzień z Sethem Hubbardem?

Arlene splótła ręce i na moment się zamyśliła. Odchyliła się i przysiadła na narożniku biurka.

– Ja, Kamila i Dewayne. Właściwie tylko my troje. Po drugiej stronie budynku też są biura, ale tamci rzadko mieli kontakt z Sethem. Jeśli mam być szczerą, my też zbyt często go nie widywaliśmy, w każdym razie zanim się okazało, że jest chory. Wołał cały czas jeździć i sprawdzać, co się dzieje w innych zakładach, w jakim stanie jest drewno. Spotykał się z kontrahentami, latał do Meksyku na otwarcie kolejnych fabryk mebli. Seth nie lubił siedzieć w miejscu.

– Kto to wszystko koordynował?

– To było moje zadanie. Rozmawialiśmy codziennie przez telefon. Organizowałam niektóre jego podróże, ale zwykle wołał sam to robić. Nie lubił przekazywać spraw innym. Sam płacił wszystkie swoje rachunki, osobiście podpisywał czeki, sprawdzał stan na każdym koncie, pilnował każdego centa. Jego doradcą biznesowym był facet z Tupelo, niejaki...

– Już z nim rozmawiałem.

– U niego leżą całe pudła dokumentacji finansowej.

– Jeśli to możliwe, chciałbym porozmawiać z panią i Kamilą, potem z Dewayne'em.

– Oczywiście. Jesteśmy wszyscy na miejscu.

△△△

Pomieszczenie nie miało okien i było słabo oświetlone. Stare biurko i krzesło dowodziły, że kiedyś używano go do celów biurowych, jednak na pewno nie ostatnio. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu. Pod jedną ze ścian stał rząd wysokich metalowych szaf na dokumenty, na innej wisiał kalendarz Kenworth Truck na 1987 rok. Na biurku ustawiono cztery wielkie kartony i Jake zaczął od nich. Pilnując, by nie narobić bałaganu, przejrzał kolejno teczki z dokumentami z pierwszego pudła, zapoznając się z ich treścią bez zagłębiania się w liczby. Na liczby przyjdzie czas później.

Pierwszy karton miał etykietkę „Nieruchomości” i zawierał tytuły własności, spłacone kredyty hipoteczne, kwity i wymiary podatkowe, opłacone faktury wykonawców, kopie czeków wystawionych przez Seta i opinie prawników. Znajdowały się w nim dokumenty nieruchomości przy Simpson Road, a także domu letniskowego pod Boone w Karolinie Północnej, apartamentu w wieżowcu pod Destin na Florydzie i kilku działek, które wyglądały na puste, niezabudowane parcele. Drugi karton opatrzono napisem „Kontrakty drzewne”; trzeci – „Bank i brokerzy”, i ten szczególnie zainteresował Jake'a. W oddziale Merrill Lynch w Atlancie zdeponowano prawie siedem milionów w postaci papierów wartościowych, wartość obligacji złożonych w UBS w Zurychu przekraczała trzy miliony, na koncie gotówkowym w Royal Bank of Canada na Wielkim Kajmanie leżało sześć i pół miliona dolarów. Jednak wszystkie te trzy obiecujące rachunki zostały zamknięte pod koniec września i dopiero podążenie wyraźnym tropem zostawionym przez Seta doprowadziło Jake'a do prawdziwego skarbu. Na koncie depozytowym w banku w Birmingham leżało dwadzieścia jeden milionów dwieście tysięcy dolarów, zarabiając sześć procent rocznie i czekając na uprawomocnienie testamentu.

Od takich liczb aż mu się zakręciło w głowie. Dla małomiasteczkowego adwokata, który mieszkał w wynajętym domu i jeździł samochodem z przebiegiem blisko trzystu dwudziestu tysięcy kilometrów, brzmiały one wręcz surrealistycznie. Oto on, Jake Brigrance, grzebał w kartonach w zakurzonej i źle oświetlonej pomieszczeniu w baraku biurowym z prefabrykatów na terenie składu drewna w wiejskim rejonie Missisipi i patrzył na górę pieniędzy, która znacznie przekraczała zarobki całego życia wszystkich prawników z całego okręgu Ford. Zaczął się głośno śmiać.

Więc te pieniądze naprawdę istnieją! Pokręcił w osłupieniu głową, czując, jak ogarnia go podziw dla Seta Hubbarda.

Ktoś zapukał i Jake omal nie wyskoczył ze skóry. Zamknął karton, otworzył drzwi i wyszedł na korytarz.

– Panie mecenasie, to jest Dewayne Squire. Formalnie ma tytuł

wiceprezesa, ale w rzeczywistości robi, co mu każe – powiedziała Arlene i po raz pierwszy się roześmiała. Jake i Dwayne uścisnęli sobie szybko dłonie pod okiem ponętnie zaokrąglonej Kamili. Cała trójka wpatrywała się w niego z napięciem, jakby mieli coś ważnego do powiedzenia. Dwayne był żyłastym nerwowym facetem palącym non stop mentolowe koolisy, które odpalał jeden od drugiego, zupełnie nie przejmując się, gdzie leci dym.

– Możemy z panem porozmawiać? – spytała Arlene, niewątpliwa liderka tej grupy. Dwayne sztywnymi palcami zapalił kolejnego koolisa i wetknął sobie do ust. Powiedziała „porozmawiać”, co sugerowało poważny temat, nie pogaduszki o pogodzie.

– Jasne – odparł Jake. – W czym rzecz?

Arlene podała mu wizytówkę.

– Zna pan tego gościa? – spytała. Na wizytówce było napisane: „Reed Maxey, adwokat, Jackson, Missisipi”.

– Nie – rzekł Jake. – Nigdy o nim nie słyszałem. A co?

– Był tu w ostatni wtorek. Powiedział, że zajmuje się spadkiem po panu Hubbardze i sąd martwi się testamentem holograficznym, czy jak to się tam nazywa, który pan złożył w sądzie. Powiedział, że ten testament prawdopodobnie jest nieważny, bo sporządzając go, Seth musiał być nie w pełni władz umysłowych, skoro planował się zabić i jednocześnie pisał ten testament. Oświadczył, że my troje będziemy w tej sprawie kluczowymi świadkami, bo widzieliśmy szefa w piątek przed samobójstwem, i to do nas będzie należało przekonanie sądu, że nie był zupełnie sobą. Na dodatek oświadczył, że w prawdziwym testamencie, tym sporządzonym przez zawodowych prawników, Seth zapisał jakieś kwoty swoim przyjaciołom i pracownikom jak my, więc w naszym dobrze pojętym interesie leży powiedzieć, że Sethowi brakowało tej... jak to się mówi?

– Zdolności testamentowej – odpowiedział Dwayne zza mentolowej chmury.

– O właśnie, zdolności testamentowej. Mówił to wszystko tak, jakby Seth postradał zmysły.

Jake próbował zachować zimną krew i nie dać po sobie poznać, jak

bardzo go ta wiadomość wzburzyła. Jego pierwszą reakcją była wściekłość. Jak ktoś ma czelność wtrynąć się nieproszony do sprawy, kłamać i nachodzić świadków? W zachowaniu tego prawnika było tak wiele odstępstw od norm etycznych, że Jake nawet nie potrafił wymienić wszystkich. Dopiero po chwili ochłonął na tyle, by dojść do wniosku, że ten rzekomy adwokat musiał być oszustem, przebierańcem. Żaden prawdziwy prawnik tak by się nie zachował.

– Cóż, będąc musiał mu powiedzieć, żeby się nie wtrącał w nie swoje sprawy – rzekł, udając spokój.

– A co jest w tym drugim testamentie, tym prawdziwym? – zainteresował się Dewayne.

– Nie widziałem go. Został sporządzony przez prawników w Tupelo, którzy dotąd nie mieli obowiązku go ujawnić.

– Myśli pan, że naprawdę jesteśmy w nim uwzględnieni? – spytała prosto z mostu Kamila, nie próbując nawet udawać.

– Nie wiem.

– Możemy się tego jakoś dowiedzieć?

– Wątpię. – Jake na końcu języka miał pytanie, czy to mogłoby wpłynąć na ich zeznania przed sądem, dał jednak spokój.

– Bardzo się wypytywał o Seta – dodała Arlene. – Głównie o to, jak się zachowywał w ten piątek. Pytał, jak się czuł i jakie lekarstwa zażywał.

– I co mu powiedzieliście?

– Niewiele. Jeśli mam być szczerą, nie budził wielkiego zaufania. Miał takie rozbiegane oczy i...

– I bardzo szybko mówił – wtrącił Dewayne. – O wiele za szybko. Chwilami nie mogłem go nawet zrozumieć i tylko myślałem w duchu: i to ma być adwokat? Nie chciałbym na niego patrzeć w sądzie przed ławą przysięgłych.

– Chwilami był też bardzo agresywny – dorzuciła Kamila. – Prawie żądał, żebyśmy zeznawali według jego wskazówek. Mieliśmy powiedzieć, że przez te wszystkie lekarstwa Seth był niezrównoważony psychicznie.

Dewayne wypuścił dwie strużki dymu przez nos i powiedział:

– W pewnej chwili postawił aktówkę na biurku Arlene. Postawił, nie położył, ale nawet nie próbował jej otworzyć. Nagrywa nas, pomyślałem, w środku musi mieć magnetofon.

– Nie zachowywał się zbyt uprzejmie – stwierdziła Arlene. – Ale wie pan, w pierwszej chwili mu uwierzyliśmy. Przychodzi ktoś w eleganckim ciemnym garniturze, oświadcza, że jest adwokatem, wręcza wizytówkę i dużo wie o Secie Hubbardzie i jego interesach. Uparł się, że chce rozmawiać równocześnie z nami wszystkimi, a my nie bardzo umieliśmy odmówić. Więc rozmawialiśmy, lecz właściwie to głównie on mówił. Myśmy go tylko słuchali.

– Jak by go pani opisała? – spytał Jake. – Wiek, wzrost, tusza i tak dalej.

Spojrzeli niepewnie po sobie, jakby w obawie, że ich opisy mogą nie być zgodne.

– Na ile go oceniacie? – zwróciła się Arlene do pozostałej dwójki. – Ja bym mu dała około czterdziestki.

Dewayne pokiwał głową, Kamila uznała, że miał raczej czterdzieści pięć lat.

– Metr osiemdziesiąt, tęgi, ważył ze sto kilo – dodała.

– Co najmniej sto – poprawił Dewayne. – Ciemne włosy, prawie czarne, gęste i takie jakby zmierzwiłone...

– Przydałby mu się fryzjer – wtrąciła Arlene. – Gęsty wąs i bokobrody. Bez okularów.

– Palił camele – przypomniał sobie Dewayne. – Z filtrem.

– Znajdę go i dowiem się, co to za jeden – obiecał Jake, choć miał już niemal pewność, że nie istnieje żaden adwokat o nazwisku Reed Maxey. Nawet najglupszy prawnik wiedziałby, że tego rodzaju zachowanie wpędzi go w kłopoty i doprowadzi do postępowania dyscyplinarnego. Nic tu nie pasowało.

– Powinniśmy się porozumieć z prawnikiem? – spytała Kamila. – To wszystko jest dla mnie zupełnie nowe i trochę mnie to przeraża.

– Na razie nie. – Jake zamierzał ich rozdzielić i porozmawiać z każdym sam na sam. W grupowych opowieściach wydarzenia często ulegają zniekształceniu. – Może później, ale jeszcze nie teraz.

– Co się stanie z tym zakładem? – spytał Dewayne, głęboko zaciągając się dymem.

Jake podszedł do okna i otworzył je na oścież.

– Miałeś palić na dworze – fuknęła ze złością Kamila. Nie ulegało wątpliwości, że palenie wiceprezesa było już od dawna kością niezgody w tym gronie. Szef umierał na raka płuc, a pomieszczenia biurowe przypominały wędzarnię. Ale oczywiście palenie było dozwolone.

Jake odwrócił się od okna, stanął przed nimi i powiedział:

– Pan Hubbard w testamencie polecił wykonawcy sprzedać wszystkie aktywa za cenę rynkową i wszystko spieniężyć. Zakłady będą funkcjonowały w dotychczasowej postaci do czasu, aż ktoś je kupi.

– A kiedy to się stanie? – spytała Arlene.

– Kiedy wykonawca testamentu uzyska zadowolającą ofertę. Może jutro, może za dwa lata. Nawet jeśli majątek pana Hubbarda utknie w przepychankach o ważność testamentu, aktywa będą chronione przez sąd. Jestem pewny, że w branży już rozeszła się wiadomość, że zakład jest do sprzedania. Oferta kupna może się pojawić bardzo szybko. Do tej chwili wszystko zostaje po staremu. Zakładając, oczywiście, że personel sam sobie poradzi.

– Dewayne już od pięciu lat samodzielnie kieruje zakładem – powiedziała z dumą Arlene.

– I nadal będę – dodał Dewayne.

– To dobrze. A teraz, jeśli to już wszystko, chciałbym wrócić do papierów.

Wszyscy troje podziękowali i odeszli.

Pół godziny później Jake oznajmił siedzącej beczynn timer przy biurku Arlene, że chciałby zajrzeć do gabinetu pana Hubbarda. Kobieta wyciągnęła rękę, mówiąc, że drzwi nie są zamknięte, po czym wstała i sama je otworzyła. Gabinet był długi i wąski, na jednym końcu stało biurko z kilkoma krzesłami, na drugim dość lichego stołu konferencyjny. Jak było do przewidzenia, całość wykończono głównie w drewnie. Ściany pokrywała sosnowa boazeria, podłogę sosnowy

parkiet, jedno i drugie zabójcowane na brązowo; pod jedną ze ścian stał regał na książki z dębowych desek, ziejący wieloma pustymi półkami. Na przeciwległej ścianie nie wisiały żadne dyplomy uniwersyteckie, bo Seth nie ukończył żadnych studiów, ale brakowało też dyplomów uznania czy nagród w konkursach, żadnych fotografii z politykami.

W całym gabinecie w ogóle nie było ani jednej fotografii. Biurko sprawiało wrażenie zrobionego na zamówienie stołu z szufladami, blat był niemal całkowicie opróżniony. Leżała na nim tylko jedna kupka papierów i stały trzy puste popielniczki.

W sumie takiego gabinetu należało się spodziewać po prostaku, któremu się powiodło i który w ostatnich latach zbił fortunę, jednak aż trudno było uwierzyć, że bogacz z dwudziestoma milionami dolarów w portfelu nie sprawił sobie czegoś elegantszego.

– Wszystko posprzątane i poukładane – zapewniła Arlene.

Przeszli oboje w głąb pokoju, Jake podszedł do stołu konferencyjnego i odsunął krzesło.

– Ma pani minutkę? – spytał.

Arlene skwapliwie usiadła, jakby sama czekała na zaproszenie do rozmowy.

Jake przysunął sobie aparat telefoniczny.

– Zadzwonimy do tego Reeda Maxeya, zgoda? – powiedział.

– Jak pan uważa. Pan tu rządzi. – Arlene wzruszyła ramionami.

Jake wybrał numer podany na wizytówce i ku jego zdumieniu telefon odebrała recepcjonistka, która zaanonsowała wielką, dobrze znaną firmę prawniczą w Jackson. Brigance poprosił o połączenie z panem Reedem Maxeyem i znów z zaskoczeniem usłyszał, jak recepcjonistka mówi „chwileczkę, proszę”. Najwyraźniej ktoś o tym nazwisku pracował w firmie. W słuchawce odezwał się inny damski głos, który powiedział: „Sekretariat mecenasa Maxeya”. Jake się przedstawił i poprosił o połączenie z panem Maxeyem.

– Mecenas Maxey wyjechał i do poniedziałku go już nie będzie – oznajmiła sekretarka.

Jake przywołał na pomoc swój urok osobisty, wyjaśnił, kim jest i

co robi, po czym ze smutkiem w głosie dodał, że wygląda na to, że ktoś podszywa się pod Reeda Maxeya.

– Czy pan Maxey wyjeżdżał w ubiegły wtorek do okręgu Ford? – zapytał.

– Och nie, od poniedziałku przebywa służbowo w Dallas – zapewniła go sekretarka.

Jake powiedział, że zna rysopis mężczyzny podającego się za jej szefa, i zaczął go opisywać. Nie skończył, bo sekretarka mu przerwała i chichocząc, oświadczyła, że to na pewno jakieś nieporozumienie.

– Mecenas Reed Maxey ma sześćdziesiąt dwa lata, jest łysy i niższy ode mnie, a ja mam metr siedemdziesiąt trzy.

– Zna pani w Jackson innego prawnika nazwiskiem Reed Maxey?

– Nie, skąd.

Jake podziękował i obiecał, że w przyszłym tygodniu zadzwoni do jej szefa i o wszystkim go poinformuje.

– Tak jak myślałem – oznajmił, odkładając słuchawkę. – Facet kłamał. Nie był w ogóle adwokatem. Może dla jakiegoś pracuje, ale sam jest oszustem. – Arlene wpatrywała się w niego w milczeniu, nie mogąc wydusić słowa. – Nie wiem, kim jest i pewnie nigdy więcej go nie zobaczymy. Spróbuję się rozejrzeć, ale możemy nigdy się nie dowiedzieć. Sądzę, że nasłał go ktoś związany ze sprawą, ale mogę się tylko domyślać kto.

– Tylko po co? – wydusiła w końcu.

– Żeby wam zamieszać w głowach, wystraszyć. Zapewne wszyscy troje zostaniecie wezwani na świadków i sąd będzie was wypytywał o zachowanie pana Hubbarda w ostatnich dniach przed śmiercią. Czy był w pełni władz umysłowych? Czy nie zachowywał się dziwnie? Czy zażywał dużo leków? Jeśli tak, to czy te lekarstwa wpływały na jego odbiór otaczającej go rzeczywistości? To będą kluczowe sprawy dla sądu.

Arlene milczała, jakby przetrawiając w myślach jego słowa.

Po dłuższej chwili Jake powiedział:

– A zatem, Arlene, spróbujmy ustalić fakty. Napisał testament tu,

w tym gabinecie, w sobotę rano. Żebym mógł go dostać w poniedziałkowej porannej poczcie, musiał go wysłać przed południem. Widziałś Setha w piątek, czy tak?

– Tak.

– Zauważyłaś coś niezwykłego?

Wyjęła z kieszeni chusteczkę higieniczną i przytknęła sobie do oczu.

– Przepraszam – bąknęła i zaczęła płakać.

To może trochę potrwać, pomyślał Jake, jednak Arlene szybko się opanowała, wypięła biust i się uśmiechnęła.

– Wie pan, nie jestem pewna, komu powinnam ufać w tej sytuacji, ale jeśli mam być szczerą, to ufam właśnie panu.

– Chyba powinienem podziękować.

– Bo widzi pan, mój brat siedział wtedy na ławie przysięgłych.

– Na jakiej ławie?

– Tej na procesie Carla Lee Haileya.

Wszystkie dwanaście nazwisk przysięgłych na zawsze wryło się Jake'owi w pamięć. Uśmiechnął się i spytał:

– Jak się nazywał?

– Barry Acker, mój najmłodszy brat.

– Nigdy go nie zapomnę.

– Po tym procesie bardzo pana szanuje i w ogóle.

– A ja bardzo szanuję jego. Przysięgli wykazali wielką odwagę i wydali słuszny wydykt.

– Gdy usłyszałam, że to pan zajmuje się spadkiem po Secie, od razu lepiej się poczułam. Ale potem usłyszeliśmy o tym jego testamentie i trochę nam to namieszało w głowach.

– Doskonale to rozumiem. Proponuję, żebyśmy wzajemnie sobie zaufali, zgoda? I daj spokój z tym „panem”. Mów mi Jake i mów prawdę. Co ty na to?

Arlene odłożyła chusteczkę na stół i wyraźnie się rozluźniła.

– Chętnie, ale ja nie chcę iść do sądu.

– Będziemy się o to martwić później. Na razie opowiedz mi wszystko, co wiesz.

– Jasne. – Głośno przełknęła ślinę, zebrała się w sobie i zaczęła mówić: – Ostatnie dni życia Setha nie były przyjemne. Od miesiąca raz się zjawiał, raz go nie było. Chyba dochodził do siebie po chemioterapii. Miał dwie serie chemii i naświetlań. Zupełnie wyłysiał i bardzo schudł. Bywał taki słaby i chory, że nie mógł zwlec się z łóżka. Ale był twardym facetem i się nie poddawał. Miał raka płuc i gdy guzy znów się pojawiły, wiedział, że koniec jest bliski. Przestał podróżować i spędzał więcej czasu tutaj. Miał straszne bóle i zażywał mnóstwo demerolu. Przyjeżdżał wcześniej rano, wypijał kawę i przez parę godzin czuł się nieźle, a potem zaczynał niknąć w oczach. Nigdy nie widziałam, żeby zażywał środki przeciwbólowe, ale mówił mi o nich. Czasami bywał jakby lekko zamroczony i półprzytomny, zdarzało mu się też wymiotować. Upierał się, że sam chce prowadzić samochód, i bardzo nas to martwiło.

– Nas? To znaczy kogo?

– Nas troje. Opiekowaliśmy się Sethem. On nigdy nie dopuszczał nikogo zbyt blisko siebie. Powiedziałaś, że się nie poznaliście. Nie dziwi mnie to, bo on unikał ludzi. Nie znosił pustej paplaniny. Nie był ciepłym człowiekiem, tylko samotnikiem, i nie lubił, żeby ktoś coś o nim wiedział lub coś za niego robił. Nawet kawę sam sobie parzył. Kiedy mu ją zanosila, nigdy nie dziękował. Ufał Dwayne'owi, że dobrze zarządza zakładem, ale spędzali niedużo czasu razem. Kamila pracuje u nas od paru lat i Seth lubił z nią poflirtować. To puszczałka, ale miła dziewczyna, i Seth ją lubił. Ale na tym koniec. My troje i nikt więcej.

– Czy zauważyłaś, żeby w ostatnich dniach życia robił coś niezwykłego.

– Właściwie nie. Źle się czuł. Dużo drzemał. W ostatni piątek był bardzo ożywiony. Rozmawialiśmy później we trójkę, że ludzie, którzy podjęli decyzję o samobójstwie, często odczuwają ulgę, a nawet się cieszą, że z sobą skończą. Myślę, że w ten piątek Seth już był zdecydowany to zrobić. Był tym wszystkim wyczerpany. I tak już przecież umierał.

– Mówił kiedyś o swoim testamencie?

Pytanie tak ją rozbawiło, że aż parsknęła śmiechem.

Seth z nikim nie rozmawiał o swoich sprawach osobistych. Nigdy. Pracuję tu od sześciu lat i ani razu nie słyszałam, żeby wspomniał o swoich dzieciach, wnukach, krewnych, przyjaciółach, wrogach...

– A o Lettie Lang?

– Ani słowa. Nigdy nie byłam u niego w domu, nie widziałam jej na oczy, nic o niej nie wiem. Pierwszy raz w życiu zobaczyłam jej twarz na zdjęciu w gazecie parę dni temu.

– Podobno Seth był kobieciarzem.

– Słyszałam takie plotki, ale mnie nigdy nie tknął, nawet nie próbował. Gdyby Seth Hubbard miał choćby i pięć kochanek, i tak nikt by o tym nie wiedział.

– Wiedziałaś o jego planach biznesowych?

– W większości. Przez moje ręce przechodziło mnóstwo papierów. Musiało. Seth wielokrotnie przypominał mi o dyskrecji. Ale nigdy nie wiedziałam wszystkiego. Nie wiem, czy w ogóle był ktoś taki, kto wiedział. Kiedy w zeszłym roku sprzedał swoje firmy, dał mi pięćdziesiąt tysięcy dolarów jako premię. Dwayne i Kamila też dostali premie, ale nie wiem ile. Dobrze nam płacił. Był przyzwoitym człowiekiem. Oczekiwał wytężonej pracy, ale był gotów dobrze za to wynagradzać. I powinieneś wiedzieć coś jeszcze. Seth nie miał przesądów rasowych, jak większość tutejszych białych. W naszym zakładzie pracuje osiemdziesiąt osób, po równo białych i czarnych, i wszyscy są opłacani według tych samych zasad. Seth nie mieszał się do polityki, ale oburzało go traktowanie czarnych na Południu. Po prostu był przyzwoitym człowiekiem. Bardzo go szanowałam. – Głos jej się załamał i sięgnęła po chusteczkę.

Jake spojrział na zegarek i ze zdumieniem stwierdził, że dochodzi już południe. Spędził w zakładzie dwie i pół godziny.

Oświadczył, że musi jechać, ale w przyszłym tygodniu wróci tu z Quince'em Lundym, wyznaczonym przez sąd na nowego wykonawcę testamentu. Po drodze do wyjścia zamienił jeszcze parę słów z Dwayne'em, Kamila zaś obdarzyła go na pożegnanie zalotnym uśmie-

chem.

W drodze do Clanton zaczął obmyślać różne scenariusze z udziałem drania udającego adwokata z Jackson, który próbował zastraszyć potencjalnych świadków kilka dni po samobójstwie Seta i przed wstępnym przesłuchaniem w sądzie. Kimkolwiek był, nigdy się już nie pojawił. Zapewne wysłał go któryś z adwokatów reprezentujących Herschela, Ramonę lub ich dzieci. Dla Jake'a pierwszym podejrzanym był Wade Lanier. Miał dziesięcioosobową firmę prawniczą specjalizującą się w pozwach sądowych i słynął z agresywnych i niekonwencjonalnych zachowań. Jake rozmawiał z kolegą ze studiów, który często miewał do czynienia z firmą Laniera. Przekazane przez niego uwagi robiły wrażenie, ale brzmiały dość zniechęcająco. W kwestiach etyki zawodowej pracownicy Laniera często brutalnie łamali zasady, po czym biegli do sędziego na skargę, pokazując palcem innych. „Nigdy nie stawaj do nich plecami”, ostrzegł go kolega.

Jake, który od trzech lat nosił przy sobie pistolet, by móc się bronić przed członkami Klanu i innymi szaleńcami, zaczynał się zastanawiać, czy na listę zagrożeń nie powinien też wpisać rekinów zwabionych zapachem fortuny Hubbarda.

Rozdział 15

Dla Lettie w domu brakowało miejsca i nocami miewała trudności ze spaniem. Simeon już od ponad tygodnia był w domu i zajmował połowę ich łóżka; drugą dzieliła z dwojgiem wnucząt. Na podłodze w ich pokoju spało dwóch kuzynów.

Obudziła się o brzasku i przez chwilę leżała wpatrzona w męża okutanego w koc i wychrapującego opary wczorajszego piwa. Jego widok nie budził w niej miłych skojarzeń. Z biegiem lat coraz bardziej tył i siwiał, w dodatku przywoził do domu coraz mniej pieniędzy. Słuchaj no, ty grubasie, chyba czas się wynieść z domu, nie? Czas, żebyś zniknął i uwolnił mnie od siebie na miesiąc czy dwa. Nie ma z ciebie żadnego pożytku poza seksem, ale co to za seks z wnukami w łóżku?

Jednak Simeon nigdzie się nie wybierał. Ostatnio nikt nie miał ochoty opuszczać towarzystwa Lettie. Musiała nawet przyznać, że w ciągu ostatnich paru tygodni zachowanie Simeona radykalnie się poprawiło. Oczywiście po tym, jak umarł pan Hubbard i wszystko się zmieniło. Simeon nadal pił co wieczór, ale już nie przesadzał z ilością. Był też miły dla Cypress. Proponował, że może wyskoczyć coś załatwić, i nie odzywał się do niej, jak wcześniej, obraźliwym tonem. Okazywał cierpliwość dzieciom. Dwa razy zrobił grilla przed domem i po raz pierwszy w życiu wysprzątał kuchnię. W ostatnią niedzielę towarzyszył rodzinie do kościoła. Ale najbardziej uderzająca była zmiana w jego stosunku do żony. Stał się wobec niej łagodny i troskliwy.

Już od paru lat jej nie uderzył, ale gdy się obrywało regularnie, to

się o tym pamięta. Sińce po jakimś czasie znikają, ale blizny pozostają, głęboko ukryte i jątrzące. I człowiek pozostaje zbity. Tylko tchórze biją kobiety. W końcu zawsze ją przeproszał, a ona zawsze mówiła, że mu wybacz, ale to nie była prawda. Według niej istnieją pewne grzechy, których się nie wybacz, i bicie żony do nich należy. Przymknęła sobie wtedy – i ta przysięga wciąż obowiązywała – że pewnego dnia odejdzie i będzie wolna. Może zrobi to za dziesięć lat, może za dwadzieścia, ale przyjdzie taki dzień, że zbierze się na odwagę i zostawi tego żalostnego palanta.

Nie była pewna, czy sprawa z panem Hubbardem ułatwia, czy utrudnia realizację jej planów. Bo z jednej strony było trudniej odejść od odmienionego i nadskakującego jej Simeona, który zgadywał każde jej życzenie, z drugiej zaś pieniądze dawały jej niezależność.

Chociaż czy na pewno? Czy posiadanie pieniędzy zagwarantowałoby zamieszkanie w większym domu, więcej fajnych rzeczy w zasięgu ręki i mniej trosk, może nawet całkowite uwolnienie się od nielubianego męża? Oczywiście, było to możliwe. Ale czy to by również gwarantowało odcięcie się od rodziny, przyjaciół i obcych, którzy wyciągali do niej ręce? Lettie zaczynała już mieć tego dość i miała ochotę uciec. Od lat czuła się zamknięta w klatce, w której wciąż było za dużo ludzi, za mało łóżek i nie dość metrów kwadratowych; teraz jej ściany zdawały się jeszcze bardziej na nią napierać.

Pięcioletni wnuczek Anthony obrócił się przez sen u jej nóg. Lettie ostrożnie wstała, podniosła z podłogi szlafrok, włożyła go i bezszelестnie wymknęła się z sypialni. Pokryta starą i brudną wykładziną podłoga w przedpokoju zaskrzypiała pod jej ciężarem. W sąsiednim pokoju Cypress spała rozwalona na łóżku, przykryta zbyt małym na jej cielsko cienkim kocikiem, złożony wózek inwalidzki stał oparty o ścianę obok okna. Na podłodze spała dwójka dzieci siostry Lettie. Zajrzała do trzeciej sypialni, gdzie na pojedynczym łóżku cisnęły się Clarice i Phedra, z rękami i nogami zwisającymi na boki. Drugie łóżko od blisko tygodnia okupowała siostra Lettie. Na podłodze, z kolanami podciągniętymi pod brodę, spało kolejne dziecko. W pokoju dziennym Kirk leżał rozciągnięty na podłodze, jego wuj chrapał na

należącej do Kirka kanapie.

Lettie miała wrażenie, że wszędzie zalegają jakieś ciała. Zapaliła światło w kuchni i omiotła spojrzeniem bałagan pozostały po wczorajszej kolacji. Później pozmywa, najpierw zrobi sobie kawę, pomyślała. Czekając, aż się zaparzy, zajrzała do lodówki. Tak jak przypuszczała, wewnątrz ziała pustka. Poza kilkoma jajkami i opakowaniem mielonki wieprzowej nie było właściwie nic do jedzenia, w każdym razie nic, czym można by nakarmić taką gromadę stołowników. Będzie musiała posłać drogiego małżonka, gdy tylko wstanie, do sklepu. A pieniądze na zakupy nie będą pochodziły ani z jego czyjej zarobków, ani ze stanowej zapomogi, tylko z kieszeni ich nowego dobroczyńcy, szanownego mecenasa Bookera Sistrunka. Simeon zwrócił się do niego o pożyczkę w wysokości pięciu tysięcy dolarów („Dla kolesia, który jeździ taką bryką jak on, pięć kawałków nic nie znaczy”). Tak naprawdę to nie żadna pożyczka, wyjaśnił Simeon, tylko coś w rodzaju zaliczki. Booker bez wahania się zgodził i obaj podpisali weksel. Lettie schowała pieniądze do puszek ze słonymi krakersami w spiżarni.

Włożyła sandały, otuliła się szlafrokiem i wyszła na dwór. Był piętnasty października i wiało chłodem. Żółknące liście szeleściły na wietrze. Popijając kawę ze swojego ulubionego kubka, poszła przez trawnik do niewielkiej szopy, gdzie trzymali kosiarkę i drobny sprzęt gospodarczy. Za szopą zwisała z gałęzi sznurowa huśtawka i Lettie na niej usiadła. Zsunęła sandały, uniosła nogi i zaczęła się huśtać.

Już jej zadano to pytanie i Lettie wiedziała, że jeszcze nieraz ją o to spytają. Dlaczego Hubbard zrobił to, co zrobił? I czy wcześniej to omawiali? Odpowiedź na drugie pytanie była łatwiejsza i brzmiała: nie, nigdy niczego z nią nie omawiał. Czasem rozmawiali o pogodzie lub o tym, co jest do zrobienia w domu, co ma kupić w sklepie lub ugotować na obiad, ale nigdy o niczym istotnym. Tak brzmiała jej standardowa odpowiedź, przynajmniej na razie. Prawda jednak była taka, że Hubbard dwukrotnie i zupełnie nieoczekiwanie wspomniał, że coś jej zapisze. Wiedział, że umiera i długo nie pociągnie. Robił plany na pożegnanie z życiem i chciał ją uspokoić, że o niej nie

zapomni.

Ale dlaczego zostawił jej aż tyle? Jego dzieci nie były dobrymi ludźmi, ale nie zasługiwały na aż tak surowe potraktowanie. A ona z całą pewnością nie zasługiwała na fortunę, jaką jej zapisał. To wszystko nie miało sensu. Dlaczego nie mogli usiąść we trójkę z Herschelem i Ramoną i bez udziału tych okropnych prawników ustalić rozsądny podział spadku? Lettie nigdy nic nie miała i nie była zachłanna. Łatwo byłoby ją zadowolić.

Oddałyby większość majątku do dyspozycji Hubbardów. Jej wystarczyłaby niewielka częśćka. Tylko tyle, żeby mogła zacząć nowe życie.

Wiejską drogą przed domem przejechał jakiś samochód. Przyhamował, potem wolno ruszył dalej, jakby jego kierowca chciał dokładnie przyjrzeć się posiadłości Lettie Lang. Chwilę później z przeciwnego kierunku nadjechało inne auto. To bez trudu rozpoznała. Jej braciszek Rontell z czeredą okropnych dzieciaków i żółzowatą zonosią. Zadzwoił i uprzedził, że być może wpadną w odwiedziny w sobotę rano. I oto przyjechali do ukochanej cioci Lettie, której zdjęcie ukazało się na pierwszej stronie gazety i która była na ustach wszystkich. Udało jej się wkręcić do testamentu starego, dzięki czemu wkrótce będzie bogata.

Podreptała do domu i zaczęła wrzeszczeć.

ΔΔΔ

Siedząc przy kuchennym stole nad listą zakupów, Simeon zauważył, że Lettie wkłada rękę do puszki z krakersami w spiżarni i wyjmując stamtąd parę banknotów. Nie dał nic po sobie poznać, a chwilę po jej odejściu wsadził rękę do puszki i wyjął dziesięć studolarówek.

A więc to tu chowa nasze pieniądze.

Co najmniej czworo dzieci i Rontell zgłosili chęć towarzyszenia mu do sklepu, jednak Simeon chciał mieć trochę spokoju. Po cichu wymknął się tylnymi drzwiami, wskoczył do pick-upa i przez nikogo niezauważony odjechał do odległego o piętnaście minut Clanton.

Cieszyła go ta chwila samotności za kierownicą. Zdał sobie sprawę, że brakuje mu jazdy po otwartych przestrzeniach, dni poza domem, nocnych knajp i barów, no i kobiet. Wiedział, że prędzej czy później zostawi Lettie i ucieknie gdzieś daleko, ale na pewno nie teraz. Co to, to nie. W najbliższej przyszłości Simeon Lang zamierzał być wzorowym mężem.

Przynajmniej tak postanowił. Często nawet nie wiedział, dlaczego robi różne rzeczy. Zły głos znikąd szeptał mu do ucha, a Simeon słuchał jego podszeptów. Knajpa Tanka mieściła się przy końcu bitej drogi kilka kilometrów na północ od Clanton i zaglądali do niej tylko szukający guza. Tank nie miał licencji na sprzedaż alkoholu, a za szybko nie widniało pozwolenie Wydziału Handlu na działalność. Picie, hazard i nierząd były nielegalne także w innych częściach okręgu, jednak to nie przeszkadzało Tankowi serwować najzimniejsze piwo w okolicy. Jadąc z listą zakupów żony w jednej kieszeni i pieniędzmi od ich adwokata w drugiej, Simeon poczuł nagle przemożną ochotę na zimne piwo. Zimne piwko i sobotnia poranna partyjka kart lub kości. Czy może być coś lepszego?

U Tanka trwało usuwanie śmieci i zaduchu z wczorajszego wieczoru. Jednoręki chłopak nazywany przez wszystkich Łupem kręcił się po sali z mopem, wycierając stoły i podłogę. Parkiet zaścierały okruchy potłuczonego szkła, co świadczyło o bójce.

– Kogoś postrzelili? – spytał Simeon, otwierając półlitrową puszkę piwa. Poza nim w barze nie było nikogo.

– Jeszcze nie. Ale dwóch trafiło do szpitala z pęknięciem czaszki – odrzekł Ontario, jednonogi barman, który odsiedział wyrok za zabicie swoich pierwszych dwóch żon i teraz żył samotnie. Tank miał słabość do kalek i większości jego pracowników brakowało jednej lub dwóch kończyn. Wykidajło Baxter nie miał ucha.

– Szkoda, że mnie przy tym nie było – powiedział Simeon i łyknął piwa.

– Słyszałem, że była niezła rozpierducha.

– Na to wygląda. Jest Benjy?

– Chyba jest.

Benjy prowadził grę w blackjacka w dusznym pokoiku bez okien za barem. W identycznym pomieszczeniu obok odbywała się gra w kości i zza zamkniętych drzwi dobiegały podniecone okrzyki. Do baru weszła urodziwa biała kobieta z kompletem kończyn i nalezycie wyeksponowaną resztą anatomii, rzucając ku Ontario:

– Już jestem.

– Myślałem, że prześpisz cały dzień – mruknął w odpowiedzi.

– Jestem umówiona z klientami – odmruknęła. Przechodząc obok Simeona, lekko skrobnęła go w ramię długimi różowymi tipsami. – Gotowa do dzieła – zagruchała mu do ucha, on jednak udał, że jej nie słyszy. Miała na imię Bonnie i od lat obsługiwała gości na zapleczu baru, gdzie wielu młodych czarnoskórych mieszkańców okręgu Ford pierwszy raz w życiu przekraczało magiczną granicę. Simeon kilkakrotnie korzystał z jej usług, ale dziś nie zamierzał. Gdy zniknęła na zapleczu, ruszył za bar i wszedł do pomieszczenia z blackjackiem.

Benjy zamknął za nim drzwi i spytał:

– Za ile dziś, kolego?

– Za tauzena – rzucił Simeon, dumny z poważnej kwoty. Liczący się gracz. Szybko rozłożył wachlarzyk studolarówek na pokrytym filcem stole.

Benjy aż wytrzeszczył oczy.

– Boże święty, człowieku, uzgodniłeś to z Tankiem?

– Nie. Ale mi nie wmawiaj, że nigdy wcześniej nie widziałeś tysiąca dolców.

– Chwileczkę. – Benjy wyjął z kieszeni kluczyk, otworzył schowaną pod stołem kasetkę i szybko przeliczył zawartość.

Przez chwilę się zastanawiał i z wyrazem zatroskania na twarzy liczył coś w głowie, w końcu powiedział: – Dobra, chyba się wyrobię. Zresztą, o ile dobrze pamiętam, nie jesteś zbyt groźnym zawodnikiem.

– Przymknij się wreszcie i rozdawaj.

Benjy wymienił gotówkę na dziesięć czarnych sztonów. Drzwi otworzyły się i wkuśtykał Ontario z nową puszką piwa.

– Masz może jakieś orzeszki? – spytał Simeon. – Suka nie zrobiła dziś śniadania.

- Coś znajdę – mruknął Ontario, wychodząc.
 - Z tego, co słyszę, to na twoim miejscu bym jej tak nie nazywał
- powiedział Benjy, tasując karty.

- Wierzysz we wszystko, co słyszysz?

Zdążyli rozegrać pierwsze sześć rozdań, gdy do pomieszczenia weszła Bonnie z miseczką orzeszków i kolejnym piwem w oszronionym kuflu. Przebrała się już w strój roboczy, złożony ze skąpej przejrzystej bielizny, czarnych pończoch i fikuśnych butów na grubej podeszwie i tak wysokich obcasach, że każda dziwka zzieleniałaby z zazdrości. Simeon obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem, Benjy wymamrotał:

- O kurde.
- Mogę ci jeszcze czymś służyć? – spytała Bonnie.
- Nie w tej chwili – odrzekł Simeon.

Godzinę i trzy piwa później Simeon spojrział na zegarek. Wiedział, że powinien już stąd wyjść, ale nie potrafił się zmusić. W domu kłębili się żerujący na nich krewni, Lettie była nieznośna, a Rontella nienawidził niezależnie od pogody. I te cholerne uganiające się po domu dzieciaki.

Bonnie wróciła z następnym piwem i tym razem była topless. Simeon ogłosił przerwę, oświadczając, że niedługo wróci do stołu.

Afera zaczęła się w chwili, gdy Simeon podwoił stawkę przy dwunastu punktach, co według wszelkich reguł gry było idiotyzmem. Następną kartą była dama, u Simeona zrobiła się tura i Benjy zabrał mu ostatnie dwa sztony.

- Pożycz mi pięćset dolców – zażądał natychmiast Simeon.
- Nie prowadzimy tu banku – odrzekł Benjy, jak było do przewidzenia. – Tank nie godzi się na kredyt.
- Dawaj pięć sztonów po stówie – wrzasnął już niezle zalany Simeon i grzmotnął pięścią w stół.

Tocząca się gra zwabiła do stołu innego gracza, młodego osiłka z bicepsami wielkości piłek do koszykówki. Młodzieniec nazywany

przez wszystkich Rasco grał pięciodolarowymi sztonami i przyglądał się, jak Simeon szasta pieniędzmi, splukując się do ostatniego grosza.

– Uważaj! – burknął, przytrzymując dłońią sztony, które podskoczyły na stole.

Simeona od początku irytowała obecność Rasca przy stole. Taki poważny gracz jak on powinien mieć prawo do gry sam na sam z bankierem. W ułamku sekundy uznał, że bez bójki się nie obejdzie, a doświadczenie go nauczyło, że w takich sytuacjach przewagę ma ten, kto pierwszy zaatakuje i rozkwasi drugiemu nos, może wręcz załatwi sprawę jednym ciosem. Zamachnął się szeroko i jeszcze szerzej chybił. Benjy zaczął wrzeszczeć: „Prześcieńcie się wygłupiać! Nie tutaj!”. Rasco zerwał się ze stołka – na stojąco był dużo wyższy, niż się wydawało, gdy siedział – i wymierzył dwa potężne ciosy w twarz Simeona.

Ten ocknął się na parkingu, dokąd zawlekli go nieprzytomnego i wrzucili na pakę jego pick-upa. Usiadł, rozejrzał się i nie ujrzawszy nikogo, dotknął palcami prawego oka, na które nic nie widział, i delikatnie rozmasował lewą stronę obolałej szczęki. Spojrzał na zegarek, ale ten zniknął. Nie tylko przepuścił tysiąc dolarów zabranych z puszki Lettie, ale także sto dwadzieścia, które mu dała na zakupy. Zabrali mu wszystkie banknoty i cały bilon. Zostawili wprawdzie portfel, ale w środku nie było nic wartościowego. Przez chwilę miał ochotę wrócić do knajpy, chwycić za gardło jednonożnego Ontaria lub jednoręcznego Łupa i zażądać zwrotu zabranych pieniędzy. W końcu obrabowano go w ich lokalu. Co to za cholerna speluna!

Po namyśle zmienił jednak zdanie, usiadł za kierownicą i odjechał. Lepiej będzie, gdy wróci tu później i pogada z Tankiem. Ontario obserwował wszystko zza szyby i gdy pick-up Simeona wyjechał z parkingu, zadzwonił do biura szeryfa. Policjanci z drogówki zatrzymali Simeona na rogatek Clanton i aresztowali za jazdę po pijanemu. Zakuli go w kajdanki i zawieźli do miejskiego aresztu, gdzie wsadzili go do celi dla pijaków i poinformowali, że póki nie wytrzeźwieje, nie ma prawa skorzystać z telefonu.

Choć on i tak specjalnie się nie palił, by dzwonić do domu.

△△△

W porze lunchu z Memphis przyjechał Darias z żoną Natalie i gromadą dzieciaków. Oczywiście wszyscy umierali z głodu, ale Natalie przynajmniej przywiozła dużą tacę ciasteczek kokosowych. Żona Rontella nie przywiozła nic. Po Simeonie i jego zakupach słuch zaginął, więc Lettie szybko wysłała Dariasia do sklepu. Po południu tłum gości przeniósł się przed dom, gdzie chłopcy zajęli się grą w piłkę, a mężczyźni schronili się w cieniu z puszkami piwa. Potem Rontell rozpałił grill i po całym podwórzu rozszedł się zapach pieczonych żeberek. Kobiety rozsiadły się na werandzie, plotkując i chichocząc. Dojechali też kolejni goście – dwóch kuzynów z Tupelo i kilku przyjaciół z Clanton.

Wszyscy przymilali się do Lettie i chcieli spędzać czas w jej towarzystwie, a ona była zachwycona okazywaną jej uwagą i podziwem, i choć miała pewne wątpliwości co do ich motywów, bycie w centrum zainteresowania sprawiało jej prawdziwą przyjemność. Nikt nie mówił o testamencie, pieniądzach czy panu Hubbardzie, przynajmniej nie w jej obecności. Kwota dwudziestu milionów dolarów została tyle razy i z takim przekonaniem powtórzona, że wszyscy przyjmowali ją za pewnik i nikomu nie przyszło do głowy, żeby w nią wątpić. Po prostu tyle było pieniędzy, a Lettie dostanie dziewięćdziesiąt procent. I tylko Darias w pewnej chwili nie wytrzymał i spytał Rontella, gdy stali sami przy grillu:

- Widziałeś dzisiejszą gazetę?
- Mhm – odrzekł Rontell. – Pewnie specjalnie jej to nie pomoże.
- Też tak pomyślałem. Ale akcje Sistrunka poszły mocno w górę.
- Na pewno sam zadzwonił do redakcji i podrzucił im tę historię.

Mieli na myśli wychodzącą w Memphis gazetę, a dokładnie pierwszą stronę działu poświęconego Środkowemu Południu. Zamieszczono na niej utrzymaną w plotkarskim tonie opowieść o samobójstwie Setha Hubbarda i jego niezwykłym testamencie, ilustrując ją zdjęciem Lettie w eleganckiej sukni, którą włożyła na

wizytę w sądzie. Po bokach Lettie stali wpatrzeni w nią Booker Sistrunk i Kendrick Bost.

– Już oni wypełzną z krzaków – mruknął Darias.

Rontell chrząknął, roześmiał się i machnął ręką.

– Już wypełzli. Już tu są i czekają.

– Jak myślisz, ile Sistrunk na tym trafi?

– Spytałem ją, ale nie chciała powiedzieć.

– Chyba nie połowę, co? – zatroskał się Darias.

– Nie mam pojęcia. Do tanich nie należy.

Jeden z kuzynów podszedł, by sprawdzić stan żeberek, i Darias i Rontell zmienili temat.

Późnym popołudniem policjant wypuścił Simeona z celi dla pijaków i zaprowadził do pokoiku bez okien, używanego do porad adwokatów z klientami. Wręczył mu zimny okład na twarz i postawił przed nim kubek kawy.

– I co dalej? – spytał Simeon.

– Masz gościa – odrzekł policjant.

Po pięciu minutach drzwi się otworzyły i wszedł Ozzie. Był ubrany w dżinsy i sportową kurtkę, do pasa miał przypiętą odznakę szeryfa, na biodrze sterczała kabura z rewolwerem.

– Chyba nigdy dotąd się nie spotkaliśmy – powiedział Ozzie.

– Dwa razy na ciebie głosowałem – mruknął Simeon.

– Dzięki, ale wygranemu wszyscy tak mówią. – Ozzie zajrzał wcześniej do kartoteki i był pewny, że na liście zarejestrowanych wyborców nie ma Simeona Langa.

– Przysięgam, że tak.

– Dzwonił do mnie Tank. Powiedział, że masz się tam więcej nie pokazywać, jasne? Żadnego więcej rozrabiania.

– Wyczyścili mi kieszenie.

– To prawdziwa speluna. Znasz ich zasady, bo nie mają żadnych.

Po prostu trzymaj się z daleka.

– Chcę odzyskać moją forszę.

O forsie możesz zapomnieć. Chcesz wrócić do domu czy wolisz zostać tu do jutra?

- Wołę wrócić.
- No to jedziemy.

Simeon usiadł obok Ozziego. Zdjęto mu kajdanki, jeden z ludzi szeryfa wsiadł do pick-upa Simeona i ruszył za nimi. Przez pierwsze dziesięć minut jazdy słyhać było tylko skrzeczenie policyjnego radia, Ozzie i Simeon milczeli jak zakłęci. W końcu Ozzie ściszył radio i powiedział:

– To nie moja sprawa, Simeon, ale ci prawnicy z Memphis nie powinni się tu kręcić. Twoja żona już wypada nie najlepiej, przynajmniej w oczach reszty mieszkańców okręgu. Sprawa rozstrzygnie się w sądzie z udziałem ławy przysięgłych, ale wy już wszystkich wkurzacie.

W pierwszym odruchu Simeon miał ochotę odwarknąć, żeby się odpieprzył, ale mózg miał odrętwiały, szczęka go bolała i nie chciało mu się wdawać w kłótnie. Właściwie to nawet fajnie tak siedzieć w wielkim samochodzie i jechać sobie w ciszy do domu.

– Słyszałeś, co powiedziałem? – burknął Ozzie. Czyli: otwórz gębę i zacznij mówić.

– A co ty byś zrobił? – wymamrotał Simeon.

– Pozbył się tych prawników. Jake Brigance wygra dla was tę sprawę.

– To szczeniak.

– Idź pogadaj z Carlem Lee Haileym.

Simeonowi ciężko się myślało i nie przychodziła mu do głowy żadna riposta. Zresztą chyba taka nie istniała. Dla czarnych mieszkańców okręgu Ford werdykt w sprawie Haileya znaczył wszystko.

Szeryf nie odpuszczał.

– Pytasz, co ja bym zrobił. Zebrałbym się do kupy i nie rozrabiał. Co ci strzeliło do łba, żeby się upijać, kurwić i tracić pieniądze w sobotę od rana, a właściwie dzień w dzień? Wszyscy mają oko na twoją żonę. Biali już patrzą na nią podejrzliwie, a za chwilę czeka was sprawa w sądzie. Najmniej ze wszystkiego potrzebne ci teraz ob-

smarowanie w gazecie za jazdę po pijaku, udział w mordobiciu czy cokolwiek innego. Co ty masz we łbie?

Picie, kurwienie się i hazard, pomyślał Simeon, jednak nie powiedział tego na głos. Miał czterdzieści sześć lat i nie przywykł, by opieprzał go ktoś, kto nie był jego szefem.

– Weź się w garść, dobra? – powiedział Ozzie.

– A co z oskarżeniem o jazdę po pijaku?

– Dam ci odroczenie na sześć miesięcy. Zobaczymy, jak się będziesz sprawował. Ale jeszcze jedna wpadka, i staniesz przed sądem. Tank zadzwoni do mnie, jak tylko przekroczysz jego próg. Kapujesz?

– Rozumiem.

– I jeszcze coś. Ta ciężarówka, którą prowadziłeś z Memphis do Houston i El Paso. Do kogo ona należy?

– Do jednej firmy z Memphis.

– Ta firma jakoś się nazywa?

– Mój szef się nazywa. Nie wiem, kto jest jego szefem.

– Nie bardzo w to wierzę. I co nią wozisz?

Simeon zamilkł i odwrócił twarz ku bocznemu oknu.

– To firma transportowa – powiedział po dłuższej przerwie. – Wozimy dużo różnych rzeczy.

– Zdarzają się z kradzieży?

– Skąd, pewno, że nie.

– To dlaczego FBI się tym interesuje?

– Nic nie wiem o żadnym FBI.

– Jeszcze nie wiesz, ale do mnie dzwonili już dwa dni temu. Mieli twoje nazwisko. Posłuchaj, Simeon. Jeśli federalni wezmą cię za tylek, to ty i Lettie możecie zapomnieć o ławie przysięgłych z tego okręgu. Człowieku, nie rozumiesz tego? Twoje nazwisko na pierwszych stronach gazet. Do diabła, całe miasto i tak już huczy o Lettie i testamencie Hubbarda. Jeśli to spieprzysz, żaden przysięgły nie będzie po waszej stronie. Nie jestem nawet pewny, czy możecie liczyć na poparcie ze strony czarnych. Myśl, człowieku.

Federalni, chciał prychnąć z odrazą Simeon, jednak w ostatniej chwili ugryzł się w język i nic nie powiedział. Siedział wpatrzony w

okno i resztę drogi odbyli w milczeniu. By oszczędzić Simeonowi wstydu, kawałek przed domem Ozzie zatrzymał się i pozwolił mu przesiąść się do pick-upa.

– Masz się stawić w sądzie w środę o dziewiątej rano – rzucił na pożegnanie. – Jake zajmie się papierkową robotą. Na razie odpuścimy sprawę.

Simeon podziękował mu i powoli odjechał.

Na podjeździe i przed domem doliczył się ośmiu zaparkowanych samochodów, znad grilla unosił się dym, wszędzie kręciły się tabuny dzieci. Rodzina nie odstępowała na krok drogiej Lettie.

Zaparkował na ulicy i ruszył piechotą w stronę domu. Mogło być nieprzyjemnie.

Rozdział 16

Od nadejścia przed dwoma tygodniami przesyłki z ostatnią wolą i testamentem Hubbarda otwieranie porannej poczty nabrało rumieńców. Każdy dzień przynosił wiadomości o coraz to nowych prawnikach próbujących dołączyć do sprawy. Wade Lanier złożył w imieniu Ramony i Iana Dafoe formalny wniosek o unieważnienie odręcznego testamentu, co wywołało lawinę. W ciągu paru dni podobne wnioski złożyli adwokaci Herschela Hubbarda, jego dzieci, a także dzieci państwa Dafoe. Ponieważ treść wniosków można było dowolnie korygować, w pierwszych wersjach wykorzystano tę samą strategię. Ich autorzy twierdzili, że własnoręczny testament jest nieważny, albowiem, po pierwsze, Seth Hubbard nie miał zdolności testamentowej; po drugie, znajdował się pod niedopuszczalnym wpływem Lettie Lang. We wnioskach nie przytoczono żadnych dowodów na poparcie tych twierdzeń, jednak nie było w tym nic niezwykłego. W Missisipi obowiązuje tak zwane postępowanie notyfikacyjne, w ramach którego wnioski są formułowane w oparciu o ogólną zasadę i dopiero później ich treść jest uszczegółowiana.

Próby namówienia Herschela, by dołączył do grona reprezentowanego przez kancelarię Wade'a Laniera, nie tylko nic nie dały, ale doprowadziły do swoistego rozłamu. Herschelowi nie podobało się podejście prawnika. Uważał, że Lanier nie poradzi sobie z przekonaniem ławy przysięgłych, choć nie przytaczał na to żadnych konkretnych argumentów. Rozglądając się za adwokatem z Missisipi, zwrócił się do Stillmana Rusha z propozycją reprezentowania jego interesów. Jako autorzy poprzedniej wersji testamentu z 1987 roku, adwokaci z

firmy Rush odgrywali marginesową rolę w bieżącym sporze sądowym i poza śledzeniem prac przygotowawczych właściwie nie mieli nic do roboty. Co więcej, można się było spodziewać, że sędzia Atlee nie wyrazi zgody na ich obecność na sali sądowej nawet w roli obserwatorów, choć oczywiście ich licznik nie przestałby bić. Herschel wykazał się sprytem, angażując wysoko cenioną firmę prawniczą z Tupelo za honorarium w postaci procentowego udziału w uzyskanej kwocie, i rozstał się z adwokatem z Memphis.

Podczas gdy kontestujący testament ustalali swoje stanowiska, jego obrońcy toczyli bratobójcze walki. Rufus Buckley oficjalnie zarejestrował się jako lokalny adwokat Lettie Lang, Jake to oprostował, uzasadniając swój sprzeciw brakiem niezbędnego doświadczenia Buckleya. Bomba wybuchła, gdy Sistrunk zgodnie z zapowiedzią wystąpił z wnioskiem o wyłączenie Jake'a ze sprawy i zastąpienie go kancelarią prawną Sistrunk & Bost, reprezentowaną przez Buckleya w roli lokalnego adwokata. Następnego dnia Sistrunk i Buckley złożyli też wniosek o wyłączenie sędziego Atlee, mgliście uzasadniając to tym, że jest on rzekomo negatywnie nastawiony do własnoręcznego testamentu. W ich kolejnym wniosku znalazła się prośba o przeniesienie procesu do sądu w innym, „obiektywniejszym” – czytaj czarniejszym – okręgu.

Jake przeprowadził długą rozmowę z adwokatem z Memphis, do którego trafił przez wspólnego znajomego. Prawnik ten od lat miał do czynienia z Sistrunkiem, nie należał do jego wielbicieli, ale niechętnie przyznawał, że podziwia go za skuteczność. Strategia Sistrunka polegała na rozdmuchiwaniu sprawy, przekształcaniu jej w wojnę na tle rasowym i atakowaniu wszystkich występujących w niej białych, łącznie – jeśli to było konieczne – z prowadzącym sprawę sędzią, a także na zwlekaniu z wyborem ławy przysięgłych tak długo, aż udawało mu się zebrać założoną przez siebie liczbę czarnoskórych przysięgłych. Bywał bezczelny, krzykliwy, przebiegły i nieustraszony; gnębił oponentów na sali sądowej i poza nią. W razie potrzeby potrafił też być czarujący dla przysięgłych. We wszystkich procesach z udziałem Sistrunka padały boleśnie ranione ofiary, ale on zupełnie

się tym nie przejmował. Występowanie przeciwko niemu w procesie było tak nieprzyjemne, że oponenti szybko szli na ugodę, byle się od niego uwolnić.

Tego rodzaju taktyka mogła się sprawdzać w nabrzmiałej konfliktami rasowymi atmosferze sądów federalnych w Memphis, ale nie w okręgu Ford i nie przed obliczem sędziego Reubena V. Atlee. Jake kilkakrotnie przeczytał uważnie wszystkie wnioski złożone przez Sistrunka, coraz bardziej utwierdzając się w przekonaniu, że ów słynny prawnik wyrządzi Lettie Lang niepowetowaną krzywdę. Pokazał kopie dokumentów Lucienowi i Harry'emu Rexowi, a ci jednogłośnie orzekli, że tego rodzaju durna strategia musi się zwrócić przeciwko Sistrunkowi i jego klientce.

Po dwóch tygodniach takich przepychanek Jake był gotów poddać się i wycofać, jeśli Sistrunk pozostanie w sprawie. Złożył wniosek o oddalenie wszystkich wniosków Sistrunka i Buckleya, argumentując to tym, że nie są uprawnieni do ich składania, gdyż to on jest pełnomocnikiem w sprawie, nie oni. Zamierzał wywrzeć nacisk na sędziego Atlee, by ten pokazał im ich miejsce w szeregu; w przeciwnym razie – zagroził – chętnie wszystko zostawi i pójdzie do domu.

Russella Amburgha zwolniono z obowiązków wykonawcy testamentu i na jego miejsce wyznaczono Quince'a Lundy'ego, adwokata ze Smithfield i starego znajomego sędziego Atlee. Lundy po przejściu na emeryturę zajmował się doradztwem podatkowym, co pozwalało mu unikać traumy sporów sądowych. Jako zastępczy wykonawca testamentu, oficjalnie zwany jego administratorem, miał obowiązek zajmować się należącymi do niego sprawami bez względu na toczyący się spór o ważność odręcznego testamentu. Do jego zadań należało zidentyfikowanie wszystkich aktywów Hubbarda, ich wycena, zabezpieczenie i dostarczenie sądowi pełnego wykazu. Lundy przejął całą dokumentację z Zakładów Drzewnych Berlinga i przeniósł się z nią do biura Jake'a, zajmując niewielkie pomieszczenie na parterze obok podręcznej biblioteki. Zaczął regularnie dojeżdżać do biura, co zajmowało mu godzinę. Zjawiał się co rano punktualnie o dziesiątej. Na szczęście bez problemu dogadali się z Roxy i wszystko potoczyło

się całkiem gładko.

Znacznie gorzej miały się sprawy w innej części kancelarii. Lucien zaczął codziennie wpadać do biura i wtykać nos we wszystko, co dotyczyło sprawy Hubbarda. Przesiadywał w bibliotece, wparowywał do gabinetu Jake'a i wygłaszał swoje zdanie, służąc radami i nękając Roxy, która go nie znosiła. Lucien i Quince mieli wielu wspólnych znajomych i wkrótce zaczęli przesiadywać razem, wypijając litry kawy i wymieniając się barwnymi anegdotami o niegdysiejszych sędziach, którzy od wielu lat już nie żyli. Jake siedział zamknięty w swoim gabinecie ze świadomością, że na dole praca niemal stoi w miejscu.

Luciena zaczęto po raz pierwszy od wielu lat widywać w gmachu sądu. Upokorzenie wynikające z pozbawienia go uprawnień adwokackich poszło już nieco w zapomnienie i choć nadal uchodził za pariasa, był też prawdziwą legendą – głównie zresztą o zabarwieniu negatywnym – i ludzie na jego widok zatrzymywali się i witali z nim. Co się z tobą działo? Czym się teraz zajmujesz? Często go widywano, gdy niczym detektyw poszukujący poszlak ślęczał w upalne popołudnia w dziale ksiąg wieczystych nad zakurzonymi tomiskami.

ΔΔΔ

Jake i Carla obudzili się o piątej rano, wzięli szybki prysznic, ubrali się i pożegnali z matką Jake'a, która zgodziła się odegrać rolę opiekunki do dziecka, po czym wsiedli do saaba i wyjechali. W Oxfordzie zahaczyli o fast food typu drive-in i kupili dwie kawy i ciepłe bułeczki. Godzinę drogi na zachód od Oxfordu pagórki zaczęły zanikać i przechodzić w równinę Deltę. Jechali szosami wśród ciągnących się po horyzont pól, białych od późnej bawełny. Olbrzymie kombajny pełzały po polach niczym gigantyczne robale, łykając puszyste kępki z czterech rzędów jednocześnie, za nimi sunęły traktory z przyczepami, na które ładowano zbiór. Stary drogowszak przy drodze informował, że do Parchman zostało jeszcze pięć mil. Wkrótce w oddali zamajaczyło więzienne ogrodzenie.

Jake już tu kiedyś był. W trakcie ostatniego roku studiów jego

profesor od procedury karnej zorganizował doroczną wycieczkę do cieszącego się złą sławą więzienia stanowego. Jake i jego koledzy spędzili wtedy kilka godzin na słuchaniu opowieści przedstawicieli służb więziennych i ukradkowym zerkaniu na widocznych w oddali więźniów bloku śmierci. Głównym punktem programu było zbiorowe spotkanie z Jerrym Rayem Masonem, skazanym na śmierć mordercą, którego sprawa stanowiła przedmiot ich rozważań i któremu wyznaczono wizytę w komorze gazowej za niecałe trzy miesiące. Mason uparcie twierdził, że jest niewinny, choć nie potrafił tego dowieść. Butnie utrzymywał, że władze wyłożą się na jego przypadku i nic mu nie zrobią, ale się mylił. Potem Jake jeszcze dwukrotnie odwiedzał Parchman, by zobaczyć się z klientami. Aktualnie czterech z nich siedziało w Parchman, a trzech w federalnych zakładach penitencjarnych.

Zaparkowali w pobliżu budynku administracyjnego i weszli do środka. Podążając za tabliczkami informacyjnymi, dotarli do holu pełnego ludzi sprawiających wrażenie, że zdecydowanie woleliby być gdzie indziej. Jake podpisał się na liście i otrzymał wydruk zatytułowany „Wykaz wysłuchań w sprawie ułaskawień”. Dennis Yawkey był trzeci na liście, przy nazwisku widniała godzina 10.00. W nadziei, że uda im się uniknąć spotkania z rodziną Yawkeya, Jake i Carla weszli na pierwsze piętro i odszukali biuro Floyda Greena, kolegi Jake'a ze studiów, który znalazł pracę w stanowym zarządzie więziennictwa. Jake uprzedził kolegę telefonicznie, że chce go prosić o przysługę, a Floyd obiecał, że postara mu się pomóc. Jake wręczył mu list od Nicka Nortona, adwokata z Clanton, który bronił Marvisa Langa, obecnie osadzonego w Obozie nr 29 o podwyższonym reżimie bezpieczeństwa. Floyd wziął list i obiecał, że postara się zorganizować widzenie.

Wysłuchania rozpoczęły się o dziewiątej rano w dużym pustym pomieszczeniu z zestawionymi w kwadrat składanymi stołami i rozstawionymi w nieładzie rzędami krzeseł. Przy głównym stole siedział przewodniczący Komisji Ułaskawień w towarzystwie czterech członków. Pięciu białych mężczyzn, wyznaczonych imiennie

przez gubernatora.

Jake i Carla weszli na salę w tłumie innych widzów i rozejrzeli się za miejscami. Kawalek dalej po lewej siedział Jim Yawkey, ojciec Dennisa, jednak nie spojrział w ich kierunku, a Jake ujął Carlę za ramię i skierował ją w prawo. Znaleźli wolne krzesła i zaczęło się czekanie. Pierwszym na liście był więzień, który miał za sobą trzydzieści sześć lat odsiadki za morderstwo popełnione w trakcie zbrojnego napadu na bank. Wprowadzono go na salę i zdjęto mu kajdanki, a on szybko potoczył wzrokiem po sali w poszukiwaniu kogoś z rodziny. Biały, około sześćdziesiątki, z długimi zadbanymi włosami, o schludnym i sympatycznym wyglądzie. Patrząc na niego, Jake nie potrafił pojąć, jak ktoś może wytrzymać tyle lat w tak okrutnym miejscu jak Parchman. Prowadzący jego sprawę przedstawił opinię, z której wynikało, że wnioskujący o ułaskawienie jest przykładowym więźniem, członkowie Komisji Ułaskawień zadali kilka pytań, po czym głos zabrała córka zamordowanej kasjerki z banku. Zaczęła od stwierdzenia, że już po raz trzeci występuje przed Komisją Ułaskawień i po raz trzeci musi od nowa przeżywać tamten koszmar. Zdławionym głosem przedstawiła przejmującą opowieść o tym, jak to jest być dziesięciolatką i usłyszeć, że matka nie wróci z pracy, bo ją zastrzelono. I jak od tamtej chwili było już tylko coraz gorzej.

Wprawdzie Komisja Ułaskawień przyjęła sprawę do rozpatrzenia, jednak ułaskawienie zabójcy wydawało się mało prawdopodobne. Po trwającym trzydzieści minut wysłuchaniu więźnia wyprowadzono z sali.

Następny na liście był młody czarnoskóry chłopak. Zdjęto mu kajdanki i posadzono na krzesło przed komisją. Odsiedział sześć lat za kradzież samochodu połączoną z napadem, będąc w tym czasie wzorowym więźniem, kończąc szkołę średnią, zbierając punkty do wstąpienia do college'u i nie stwarzając żadnych problemów. Prowadzący jego sprawę zarekomendował ułaskawienie, to samo zrobiła ofiara przestępstwa, która złożyła komisji pisemną prośbę o okazanie łaski. Podkreśliła w niej, że w trakcie zdarzenia nie doznała żadnych urazów, a w ciągu minionych lat nawiązała korespondencyjny kontakt

z osadzonym.

Podczas odczytywania wniosku Jake zauważył, że pod ścianą po lewej zbierają się inni członkowie klanu Yawkeyów. Wywodzili się z nizin społecznych i byli prostakami ze skłonnością do przemocy. Zetknął się z nimi dwukrotnie na sali sądowej i teraz znów patrzył na nich z mieszaniną odrazy i strachu.

Dennis Yawkey wkroczył do pomieszczenia z bezczelnym uśmiechem i od razu zaczął się rozglądać za swoimi. Jake nie widział go od dwudziestu siedmiu miesięcy i wołałby go nigdy więcej nie oglądać. Prowadzący sprawę zrelacjonował suche fakty: w 1985 roku Dennis Yawkey przyznał się do udziału w spisku w celu podpalenia. Ustalono, że Yawkey i trzech innych opryszków zawiązali spisek z zamiarem spalenia domu należącego do niejakiego Jake'a Brigance'a. Trzej kompani Yawkeya doprowadzili zamiar do końca i obecnie odbywają karę w więzieniu federalnym. Jeden z nich zeznał jako świadek oskarżenia i dlatego pozostali oskarżeni przyznali się do winy. Prowadzący sprawę nie rekomendował ułaskawienia Yawkeya, a to zdaniem Floyd'a Greena znaczyło, że jego wcześniejsze zwolnienie jest mało prawdopodobne.

Jake i Carla słuchali, gotując się ze złości. Yawkeyowi się upiekło i dostał niski wyrok tylko dlatego, że Buckley zaważył akt oskarżenia. Gdyby się nie wtrącił i pozwolił władzom federalnym dokończyć sprawę, Yawkey dostałby minimum dziesięć lat, tak jak jego koleś. A przez Buckleya musieli dwadzieścia siedem miesięcy później uczestniczyć w próbie ułaskawienia drania, który chciał popisać się przed koleśkami z Klanu. Sędzia wymierzył mu pięć lat odsiadki, a on nie dotrwał nawet do połowy wyroku i już występował o ułaskawienie.

Trzymając się za ręce, Jake i Carla podeszli do prymitywnej mównicy na składanym stole i w tym momencie drzwi do sali otworzyły się i do środka wkroczyli zamasyście Ozzie Walls i Prather. Jake skinął im głową, po czym zwrócił twarz ku komisji i zaczął mówić:

- Wiem, że mam tylko kilka minut, więc będę się streszczał.

Nazywam się Jake Brigance i jestem właścicielem domu, który już nie istnieje. To moja żona, Carla. Oboje chcielibyśmy powiedzieć kilka słów w uzasadnieniu naszego sprzeciwu wobec tego ułaskawienia.

Odsunął się i jego miejsce przy pulpicie zajęła Carla, która rozłożyła kartkę papieru, blado uśmiechnęła się do komisji, po czym przeniosła wzrok na Dennisa Yawkeya i odchrząknęła.

– Nazywam się Carla Brigance. Być może niektórzy z państwa pamiętają proces Carla Lee Haileya, który odbył się w Clanton w lipcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku. Mój mąż bronił wtedy Carla Lee, włożył w to całe serce i zapłaciliśmy za to bardzo wysoką cenę. Dręczono nas anonimowymi telefonami, niekiedy wręcz otwartymi groźbami. Ktoś podpalił krzyż na trawniku przed naszym domem. Próbowano nawet zabić mojego męża. Przyłapano bandziora z bombą, który zamierzał wysadzić nasz dom w powietrze, z nami śpiącymi w środku. Wciąż czekamy na jego proces, a on się miga i symuluje chorobę psychiczną. W pewnej chwili musiałam uciec z Clanton i schronić się z naszą czteroletnią córeczką u moich rodziców. Mąż zaczął nosić broń i do dziś ją nosi, a paru kolegów występuje w roli jego ochroniarzy. Wreszcie, gdy w czasie procesu mąż spędzał noce w biurze, ci ludzie... – wyciągnęła rękę w stronę Dennisa Yawkeya – ...podpalili nasz dom bombą benzynową. Dennis Yawkey mógł w tym osobiście nie uczestniczyć, ale należał do ich bandy, był jednym z nich. Drani zbyt tchórzliwych, by pokazywać twarze, i zawsze kryjących się pod osłoną nocy. To aż nie do wiary, że się tu spotykamy zaledwie dwadzieścia siedem miesięcy później i musimy patrzeć, jak ten bandzior próbuje wydostać się z więzienia.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i odwróciła kartkę. Piękne kobiety rzadko występują przed komisjami ułaskawień, które na ogół składają się z samych mężczyzn. Carla zyskała niepodzielną uwagę wszystkich członków tej komisji. Lekko się wyprostowała i mówiła dalej:

– Nasz dom zbudował w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku kolejarz razem ze swoją rodziną. Umarł w nim w wigilię Bożego Narodzenia w pierwszym roku po skończeniu budowy, jego rodzina mieszkała tam do chwili, gdy dwadzieścia lat temu ostatecz-

nie go porzuciła. Budynek uznano za budowlę zabytkową, choć gdy go kupiliśmy, w podłodze były dziury, a dach przeciekał. Przez trzy lata poświęciliśmy temu domowi cały nasz czas i pakowaliśmy w niego każdy grosz, jaki udało nam się zarobić lub pożyczyć. Całymi dniami pracowaliśmy zawodowo, potem do północy malowaliśmy ściany. Urlopy spędzaliśmy na klejeniu tapet i wykładaniu podłóg. Jake płacił hydraulikom, architektom zieleni i budowlańcom obsługą prawną. Jego ojciec własnoręcznie urządził na strychu pokój gościnny, mój ojciec zbudował z cegieł taras za domem. Mogłabym tak godzinami opowiadać, ale nie mamy na to czasu. Siedem lat temu przywieźliśmy do tego domu naszą córeczkę i umieściliśmy w pokoju dzieciennym. – Jej głos lekko się załamał, ale przełknęła głośno ślinę i wysunęła podbródek. – Na szczęście nie było jej tam w chwili, gdy nasz dom podpalono. Często się zastanawiałam, czy tym ludziom sprawiłoby to jakąś różnicę, gdyby tam była. Osobiście wątpię. Zawzięli się, by go doszczętnie zniszczyć. – Znów zamilkła i Jake uspokajającym gestem położył jej rękę na ramieniu. Po chwili Carla podjęła wątek. – Od pożaru minęły trzy lata, a my wciąż myślimy o wszystkim, co w nim straciliśmy, w tym naszego psa. Wciąż staramy się zastąpić rzeczy, które są nie do zastąpienia. Wciąż próbujemy wytłumaczyć naszej córce, co się wtedy stało i dlaczego. Jest za mała, by to zrozumieć. Myślę, że nam samym trudno to zrozumieć. I dlatego nie mogę też zrozumieć, dlaczego tu dziś jesteśmy, dlaczego musimy od nowa przeżywać ten koszmar. Pewnie taki jest los wszystkich ofiar przestępstw, ale my do tego musimy patrzeć na bandziora, który próbował zniszczyć nasze życie, i prosić was, byście podtrzymali jego karę. Wyrok pięciu lat dla Dennisa Yawkeya był niewspółmiernie łagodny. Proszę, kaźcie mu odbyć całą wymierzoną karę.

Przesunęła się w prawo, jej miejsce przy pulpicie zajął Jake.

Zerknął w stronę rodziny Yawkeya i stwierdził, że Ozzie i Prather przesunęli się bliżej, jakby chcieli powiedzieć: „Jeśli szukacie guza, to tu jesteśmy”. Odchrząknął i zaczął mówić:

– Carla i ja dziękujemy Komisji Ułaskawień za możliwość powiedzenia kilku słów. Będę mówił krótko. Dennisowi Yawkeyowi i

jego żalosnej bandzie rzeźmieszków udało się spalić nasz dom i w dużej mierze zrujnować nasze życie, ale nie udało im się nas złamać, tak jak to zaplanowali. Nie udało im się także osiągnąć znacznie ważniejszego celu, mianowicie rzucić na kolana wymiar sprawiedliwości. Ponieważ podjąłem się obrony Carla Lee Haileya, czarnoskórego mężczyzny oskarżonego o to, że zastrzelił dwóch białych zwyrodnialców, którzy zgwałcili i próbowali zamordować jego córkę, oni – Dennis Yawkey i jemu podobni, znani i nieznani członkowie Ku-Klux-Klanu – wielokrotnie próbowali zastraszyć i skrzywdzić mnie, moją rodzinę, moich przyjaciół, nawet moich pracowników. Na szczęście to im się nie udało. Sprawiedliwości w cudowny sposób stało się zadość, gdy w całości biała ława przysięgłych opowiedziała się po stronie mojego klienta. Tym samym przysięgli potępiłi bandziorów w rodzaju Dennisa Yawkeya i reprezentowaną przez niego ideologię brutalnego rasizmu. Przysięgli wypowiedzieli się głośno, jasno i raz na zawsze. Dlatego członkowie tej Komisji Ułaskawień okryliby się hańbą, gdyby teraz pokleпали Yawkeya po ramieniu i odesłali go do domu. Nie mam wątpliwości, że Yawkey powinien zostać w Parchman tak długo, jak to tylko możliwe. Dziękuję panom.

Yawkey przyglądał się Jake'owi z ironicznym uśmiechem. Wciąż przeżywał triumf zwycięstwa, jakim było spalenie domu. Jego pewność siebie nie uszła uwagi paru członków komisji. Jake przez chwilę mierzył się z nim wzrokiem, potem odwrócił głowę i wraz z Carlą wrócili na miejsce.

– Szeryf Walls? – powiedział przewodniczący komisji i Ozzie podszedł do mównicy, błyskając przypiętą nad kieszenią odznaką szeryfa.

– Dziękuję, panie przewodniczący. Nazywam się Ozzie Walls i jako szeryf okręgu Ford nie chcę, żeby ten chłopak wrócił do domu i zaczął znów rozrabiać. Szczerze mówiąc, moim zdaniem powinien być trafić do zakładu federalnego z dużo surowszym wyrokiem, ale nie ma teraz czasu się tym zajmować. Mam wciąż otwarte śledztwo w sprawie wydarzeń sprzed trzech lat, podobnie jak FBI w Oxford. Sprawa nie jest zakończona. Zwolnienie go teraz byłoby błędem.

Myślę, że natychmiast próbowałby zacząć od nowa. Dziękuję.

Ozzie odszedł od stołu i przedefilował przed nosami członków klanu Yawkeyów. On i Prather stali oparci o ścianę tuż za nimi i gdy komisja przystąpiła do rozpatrywania kolejnego wniosku, dołączyli do kilku innych osób, które wyszły z sali. Jake i Carla spotkali ich w holu i podziękowali za przyjazd. Nic o tym nie wiedzieli i oboje zaskoczyło pojawienie się szeryfa. Chwilę porozmawiali, po czym Ozzie i Prather poszli spotkać się z więźniem, którego mieli eskortować do Clanton.

Wkrótce zjawił się Floyd Green. Był lekko podekscytowany.

– Chyba się udało – rzucił. – Chodźcie za mną i miejcie poczucie, że jesteście mi coś dłużni. – Wyszli z jednego budynku i weszli do następnego. Pod drzwiami gabinetu zastępcy naczelnika stało dwóch uzbrojonych strażników i mężczyzna w koszuli z krótkimi rękawami i z krawatem przypiętym spinką, który mruknął:

– Macie dziesięć minut.

Mnie też miło pana poznać, pomyślał Jake.

Jeden ze strażników uchylił drzwi.

– Zostań tu – rzekł Jake do Carli.

– Ja z nią zostanę – powiedział Floyd Green.

Pokoik był maleńki, nie miał okna i bardziej przypominał szafę niż gabinet. Marvis Lang, lat dwadzieścia osiem, siedział przykuty kajdankami do metalowego krzesła. Był ubrany w regulaminowy biały kombinezon więzienny z niebieskimi paskami po bokach nogawek. Sprawiał wrażenie zrelaksowanego, siedział rozparty, z nogą założoną na nogę. Na głowie miał sterczące afro, na twarzy kozią bródkę.

– Marvis, jestem Jake Brigance, adwokat z Clanton – powiedział Jake, przyciągając sobie krzesło i siadając.

Marvis uśmiechnął się grzecznie i leniwym ruchem poruszył prawą ręką, która tak jak lewa była przykuta kajdankami do krzesła. Mimo to udało im się ucisnąć dłonie.

– Pamiętasz swojego adwokata, Nicka Nortona?

– Jako tako. Trochę czasu minęło. Nie miałem specjalnych powodów, żeby z nim gadać.

– W kieszeni mam list podpisany przez Nicka, w którym mnie upoważnia do rozmowy z tobą. Chcesz go zobaczyć?

– Rozmawiamy. Możemy pogadać. O czym pan chce mówić?

– O twojej matce. O Lettie. Odwiedziła cię ostatnio?

– Była w zeszłą niedzielę.

– Powiedziała ci, że jej nazwisko znalazło się w testamencie białego mężczyzny, niejakiego Setha Hubbarda?

Marvis na moment uciekł wzrokiem, potem lekko skinął głową.

– Powiedziała. Po co pan pyta?

– Bo w tym samym testamencie Seth Hubbard wyznaczył mnie na pełnomocnika, który ma się zająć jego majątkiem. Zapisał twojej matce dziewięćdziesiąt procent całości, a ja mam dopilnować, żeby to dostała. Rozumiesz?

– Znaczący się pan jest z tych dobrych, tak?

– Jak najbardziej. Tak naprawdę jestem najlepszym facetem w całej tej wojnie, tylko że ona tak nie uważa. Wynajęła prawników z Memphis, którzy właśnie próbują spieprzyć sprawę i obrabować ją z pieniędzy.

Marvis wyprostował się na krześle, machinalnie spróbował unieść ręce i rzucił:

– Dobra, nic z tego właściwie nie kapuję. Niech pan trochę przyhamuje i wszystko mi wyjaśni.

Jake wciąż jeszcze mówił, gdy ktoś zapukał, drzwi się uchyliły i w szparze pojawiła się głowa strażnika.

– Koniec widzenia – powiedział.

– Już kończymy – rzekł Jake, przymykając drzwi i zwracając się do Marvisa: – Chcę, żebyś zadzwonił do Nicka Nortona na jego koszt. Przyjmie rozmowę i potwierdzi wszystko, co ci powiedziałem. Teraz każdy prawnik w okręgu Ford powie ci to samo: Lettie robi straszny błąd.

– I ja mam temu zapobiec?

– Możesz w tym pomóc. Porozmawiaj z matką. Oboje, ona i ja,

stoimy przed trudnym zadaniem. A ona je dodatkowo komplikuje.

- Muszę się nad tym zastanowić.
- Zastanów się, Marvis. I zadzwoń do mnie o dowolnej porze na mój koszt.

Strażnik znów uchylił drzwi.

Rozdział 17

Na śniadaniu przy kawie w Tea Shoppe spotkał się zwyczajowy tłumek białych kołnierzyków. Przy jednym z okrągłych stolików usiedli bankier, handlowiec i agent ubezpieczeniowy, przy innym zebrało się dobrane grono emerytów, starszych energicznych panów, których wszyscy nazywali Dziadkami. Rozmowy nabierały wigoru, obracały się głównie wokół żalonych wyników drużyny futbolowej Ole Miss, która w ostatnią sobotę przegrała u siebie z Tulane, co było zbrodnią nie do wybaczenia, oraz jeszcze żałośniejszych wyników reprezentacji stanu Missisipi. Potem Dziadkowie zaczęli się pastwić nad Dukakisem, który poległ w walce z Bushem, i właśnie wtedy bankowiec powiedział na tyle głośno, by wszyscy mogli go usłyszeć:

– Słuchajcie, podobno ta kobieta wynajęła dom Sappingtonów i przenosi się do miasta, oczywiście z całą swoją czeredą. Ponoć zjeżdżają do niej tłumy krewniaków i potrzebuje większego domu.

– Dom Sappingtonów?

– Wiesz, na północ od miasta, w bok od Martin Road, w pobliżu placu aukcyjnego. Taka stara wiejska chałupa, prawie niewidoczna z ulicy. Próbują ją sprzedać od śmierci Yanka Sappingtona, czyli już z dziesięć lat.

– Co najmniej. Chyba parę razy ją wynajmowali.

– Ale nigdy czarnym, prawda?

– Chyba nie.

– Zdawało mi się, że jest w dobrym stanie.

– Bo jest. W zeszłym roku ją odnowili.

Na chwilę wszyscy zamilkli, próbując oswoić się ze zdumiewającą wiadomością. Wprawdzie dom Sappingtonów stał poza miastem, ale w rejonie uważanym za zdecydowanie biały.

– Dlaczego wynajęli go czarnym? – spytał jeden z Dziadków.

– Dla pieniędzy. Żaden Sappington już tu nie mieszka, więc co im zależy? Skoro go nie mogą sprzedać, to przynajmniej wynajmą. Forsa jest zawsze zielona, niezależnie od kogo pochodzi. – Powiedział to bankowiec i od razu pożałował swoich słów. Gdyby się dało, chętnie by je cofnął. Jego bank służył z niechęcią do obsługiwania czarnej klienteli.

Do lokalu wszedł agent nieruchomości, zajął swoje miejsce przy stoliku białych kołnierzyków i natychmiast został wciągnięty do rozmowy.

– Mówimy o tym, że podobno ta kobieta wynajęła dom Sappingtonów. To prawda?

– Najprawdziwsza prawda – odrzekł obojętnie. Szczycił się tym, że zawsze jako pierwszy dowiaduje się o różnych sensacjach, a przynajmniej za takiego chciał uchodzić. – O ile wiem, wczoraj się przeprowadzili. Siedemset dolarów miesięcznie.

– Ilu ich tam zamieszkało?

– Nie wiem. Nie byłem tam i nie zamierzam się pokazywać. Mam tylko nadzieję, że nie wpłynie to ujemnie na ceny nieruchomości w okolicy.

– Co to za okolica? – Jeden z Dziadków zarechotał. – Kawałek dalej jest szopa aukcyjna, która od zawsze śmierdziała jak kupa krowiego łajna. A po drugiej stronie drogi złomowisko Luthera Selby'ego. O jakiej okolicy mowa?

– Mówimy o rynku nieruchomości – odparował agent. – Jeśli pozwolimy czarnym osiedlać się w nieodpowiednich miejscach, ceny nieruchomości spadną w całym mieście. To nas wszystkich może bardzo dotknąć.

– On ma rację – potwierdził bankowiec.

– Przecież ona już nie pracuje, prawda? – ciągnął agent nieruchomości. – A jej mąż to obibok. Więc skąd ma na czynsz siedemset

dolców miesięcznie?

– Chyba tak zaraz nie dostanie tej forsy Hubbarda, nie?

– A skąd! – Adwokat się skrzywił. – Gotówka jest zamrożona jako część masy spadkowej i pozostanie taka do końca postępowania sądowego. To potrwa lata. Wcześniej nie dostanie ani centa.

– No to skąd ma na to pieniądze?

– Może cała rodzina zrzuca się na czynsz.

– W tym domu jest aż pięć sypialni.

– I założę się, że wszystkie są pełne.

– I założę się, że nikt na nic się nie zrzuca.

– Podobno parę tygodni temu męża tej kobiety capnęli za jazdę po pijanemu.

– To prawda – potwierdził adwokat. – Widziałem jego nazwisko na wokandzie. Simeon Lang. Złapali go w sobotę rano. Pojawił się w sądzie z Jakiem jako swoim pełnomocnikiem. Sprawę na razie odroczone. Pewnie Ozzie maczał w tym palce.

– A kto płaci Jake'owi?

– No cóż, tego nigdy się nie dowiemy – rzekł adwokat z uśmiechem. – Ale jestem gotów się założyć, że tak czy siak, pójdzie to z masy spadkowej. Bardziej lub mniej formalnie.

– Jeśli w ogóle coś z niej zostanie.

– Co jest dość wątpliwe.

– Bardzo wątpliwe.

– Więc wracam do mojego pytania. Skąd ona ma na taki czynsz? – powiedział agent nieruchomości.

– Daj spokój, Howard. Dostają kupę forsy. Doskonale potrafią wykorzystywać system pomocy społecznej. Kartki żywnościowe, fundusz pomocy dzieciom, zapomogi, dodatki mieszkaniowe, pomoc dla bezrobotnych. Zarabiają więcej, siedząc na tyłku i nic nie robiąc, niż większość pracujących po czterdzieści godzin tygodniowo. Jak w jednym domu jest pięcioro czy sześcioro na zapomodze, to nie muszą martwić się o czynsz.

– To prawda, ale dom Sappingtonów nie należy do tych, na które dostaje się dodatek mieszkaniowy.

– Pewnie ten jej prawnik z Memphis nabija sobie koszty – wyjaśnił adwokat. – Cholera, mógł jej nawet zapłacić, żeby dostać tę sprawę. Bo pomyślcie. Jeśli nawet wyłoży pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt kawałków gotówką, dostanie za to sprawę i na końcu zgarnie połowę majątku, to mu się opłaci, nie? Plus pewnie nalicza jeszcze odsetki od pożyczki.

– Chyba z etycznego punktu widzenia nie wolno mu tego robić, co?

– Chcesz powiedzieć, że prawnik mógłby się zniżyć do oszustwa?

– Albo do gonienia za sprawą?

– Przestrzeganie zasad etycznych zależy od tego, na czym cię przyłapią – odrzekł spokojnie adwokat. – Jak cię na niczym nie przyłapią, to nie złamałeś żadnych zasad. A ponadto nie sądzę, żeby Sistrunk zbyt się przejmował czytaniem ostatnich wytycznych Amerykańskiego Stowarzyszenia Prawników w kwestii etyki zawodowej.

– Za dużo czasu zajmuje mu czytanie o sobie w gazetach. Kiedy się tu znów zjawi?

– Sędzia Atlee wyznaczył termin wstępnego przesłuchania na przyszły tydzień – oznajmił adwokat.

– I co będą robić?

– Rozpatrywać wstępne wnioski. Zapewne cyrk jak zawsze.

– Jeśli znów tu przyjedzie tym czarnym rollsem, to dureń z niego.

– Mogę się założyć, że przyjedzie.

– Mam w Memphis kuzyna, który się obraca w kręgach sądowych – wtrącił agent ubezpieczeniowy. – Twierdzi, że Sistrunk ma u wszystkich długi. Mnóstwo zarabia i jeszcze więcej wydaje. Wciąż musi uciekać przed bankami i wierzycielami. Dwa lata temu kupił samolot i niemal doprowadziło go to do bankructwa. Bank przejął samolot za długi, a potem podał Sistrunka do sądu. Oczywiście on twierdzi, że to spisek na tle rasowym. Wydał ogromne przyjęcie urodzinowe dla żony numer trzy. Wynajął wielki namiot, zaangażował artystów cyrkowych, zafundował wszystkim dzieciom jazdy

kolejkami i zakończył wystawną kolacją ze świeżymi homarami i krabami. Wino lało się strumieniami. Przyjęcie się skończyło i wtedy wyszło na jaw, że jego czeki są bez pokrycia. Zagroził wystąpieniem o upadłość, potem jednak wpadła mu jakaś sprawa o dziesięciomilionowe odszkodowanie i wszystko spłacił. Cały czas tak balansuje, raz w górę, raz w dół.

Opowieść zainteresowała słuchaczy i przez chwilę o tym rozmawiano. Kelnerka dołała wszystkim gorącej kawy.

Agent nieruchomości spojrział na adwokata i powiedział:

– Ty chyba naprawdę nie głosowałeś na Dukakisa, co? – Pytanie było czystą prowokacją.

– Głosowałem i zagłosowałbym znowu – odparł adwokat.

Jego odpowiedź wywołała kilka parsknięć i sztuczną wesołość. Adwokat był jednym z dwóch bywalców Tea Shoppe, którzy popierali demokratów. Bush miał w okręgu Ford sześćdziesięciopięcioprocentowe poparcie.

Ów drugi zwolennik demokratów, jeden z Dziadków, szybko zmienił temat.

– Kiedy mają skończyć inwentaryzację majątku Hubbarda? – spytał. – Chciałbym wiedzieć, co się na niego składa. No bo pomyślcie. Gadamy o jego testamencie, domyślamy się, jaki jest i tak dalej, i tak dalej. A czy jako obywatele i podatnicy nie mamy prawa wiedzieć, ile dokładnie tego jest? Bo ja zdecydowanie uważam, że mamy. Zapewnia nam to ustawa o swobodnym dostępie do informacji.

– To nie twoja sprawa – mruknął agent nieruchomości.

– Może nie moja, ale naprawdę chciałbym wiedzieć. A wy nie?

– Mnie to zwisa – rzucił agent, wywołując wybuch śmiechu.

Gdy śmiechy ucichły, odezwał się adwokat:

– Administrator masy spadkowej musi przedstawić sądowi wykaz wszystkich części majątku dopiero wtedy, gdy sędzia sobie tego zażyczy. Żaden urzędowy termin nie istnieje. Mogę tylko zgadywać, że przy tej wielkości majątku administrator dostanie wystarczająco dużo czasu, żeby wszystko wyszukać i wycenić.

– O jakiej wielkości majątku rozmawiamy?

– O takiej samej jak wszyscy. Ale nie dowiemy się nic na pewno, póki administrator nie skończy inwentaryzacji.

– Myślałem, że ktoś taki nazywa się wykonawcą testamentu.

– Tylko jeśli wyznaczony wykonawca nie zrezygnuje, a tak było w tym przypadku. Wtedy sąd wyznacza administratora masy spadkowej, a ten zajmuje się wszystkim. Administratorem został prawnik ze Smithfield, niejaki Quince Lundy, stary znajomy sędziego Atlee. O ile wiem, jest już jedną nogą na emeryturze.

– I będzie opłacany z masy spadkowej?"

– A skąd by mieli wziąć pieniądze?

– Dobra, czyli kogo jeszcze z niej opłacają?

Adwokat chwilę pomyślał i zaczął wyliczać.

– Pełnomocnika od spadku. W tej chwili jest nim Jake, choć nie wiem, jak długo to wytrzyma. Podobno ma dość użerania się z prawnikami z Memphis i myśli o rezygnacji. Z masy spadkowej opłaca się jeszcze administratora, księgowych, biegłych od wyceny majątku, doradców podatkowych, tego typu specjalistów.

– A kto płaci Sistrunkowi?

– Zakładam, że się dogadał z tą kobietą. Jeśli wygra, dostanie swój procent.

– A co, u diabła, robi w tej sprawie Rufus Buckley?

– Jest lokalnym pełnomocnikiem Sistrunka.

– Czyli Hitler i Mussolini. Chcą nastawić przeciwko sobie wszystkich mieszkańców okręgu Ford?

– Najwyraźniej.

– I proces odbędzie się przy udziale ławy przysięgłych, tak?

– O tak. Wygląda na to, że wszyscy są za tym, nawet sędzia Atlee.

– A on dlaczego?

– To proste. Przysięgli zdejmą mu ciężar z ramion. Nie będzie musiał podejmować decyzji. W tej sprawie będą wielcy wygrani i wielcy przegrani, ale jeśli decyzję podejmie ława przysięgłych, to nikt nie będzie miał pretensji do sędziego.

– Stawiam dziesięć do jednego, że przysięgli wydadzą werdykt

niekorzystny dla tej baby.

– Proponuję zaczekać – powiedział adwokat. – Dajmy sędziemu Atlee parę miesięcy na uporządkowanie sprawy, ustawienie wszystkich jak należy, zaplanowanie i przygotowanie procesu. Gdy już wszystko będzie gotowe, wtedy zorganizujemy zakłady i będziemy obstawiać wynik. Z przyjemnością was oskubię.

– Jakim cudem znajdą dwanaście osób, które nic nie słyszały o tej sprawie? Wszyscy, których znam, mają w tej kwestii jakieś zdanie i założę się, że każdy Afroamerykanin w promieniu dwustu kilometrów ma nadzieję coś z tego uszczknąć. Słyszałem, że Sistrunk chce przenieść proces do Memphis.

– Nie można go przenieść poza granice stanu, ty durna pało. Ale rzeczywiście wystąpił o zmianę miejsca.

– Jake też próbował przenieść sprawę Haileya do innego okręgu, nie? Do jakiegoś przyjaźniejszego, z większą populacją czarnych.

– Próbował, ale sędzia Noose odrzucił jego wniosek. Tyle że sprawa Haileya była dużo poważniejsza od tej.

– Może. Ale nie chodziło w niej o dwadzieścia milionów dolców.

– Myślisz, że Jake może wygrać sprawę dla tej kobiety? – zapytał Dziadek demokrata.

Wszyscy umilkli i spojrzeli wyczekująco na adwokata. W ciągu minionych trzech tygodni zadawano mu to pytanie co najmniej czterokrotnie przy tym samym stole.

– To zależy – rzekł ponuro. – Jeśli Sistrunk będzie na sali rozpraw, to nie mają szans. Jeśli sam Jake, to dałbym mu pięćdziesiąt procent na wygraną. – Słowa te mówił ktoś, kto nigdy w życiu nie stawał przed sądem.

– Słyszałem, że dysponuje tajną bronią.

– Jaką bronią?

– Podobno Lucien Wilbanks wrócił do zawodu. I nie mówię o zawodzie pijaczka. Ponoć przesiaduje w biurze Jake'a.

– Wrócił – potwierdził adwokat. – Widziałem go w budynku sądu. Siedział nad starymi aktami własności i testamentami. Nic a nic się nie zmienił.

- To przykro słyszeć.
- Wyglądał na trzeźwego?
- Mniej więcej.
- Przecież chyba Jake nie dopuści go do ławy przysięgłych.
- Wątpię, żeby sędzia Atlee wpuścił go na salę rozpraw.
- Chyba nie wolno mu praktykować prawa, nie?
- Nie. Został na stałe pozbawiony licencji adwokackiej, co w jego przypadku oznacza, że dopiero po upływie ośmiu lat może rozpocząć starania o jej przywrócenie.
 - Na stałe znaczy osiem lat?
 - Mhm.
 - Przecież to bez sensu.
 - Tak mówi prawo.
 - Prawo, prawo.
 Kto to powiedział: „Na początek zabijmy wszystkich prawników”?
 - Chyba Szekspir.
 - Mnie się zdaje, że Faulkner.
 - Jak zaczynamy cytować Szekspira, to znak, że pora uciekać – mruknął adwokat, wstając od stolika.

△△△

Pierwszy zadzwonił Floyd Green z Parchman z wiadomością, że Komisja Ułaskawień stosunkiem głosów trzy do dwóch postanowiła ułaskawić Dennisa Yawkeya. Decyzji nie poparto żadnym uzasadnieniem i Floyd napomknął coś o niejasnych kryteriach działania komisji. Jake wiedział, że władze stanowe od dawna podejrzewano o sprzedaż ułaskawień, jednak nie wierzył, by rodzina Yawkeya była w stanie zorganizować takie przekupstwo.

Dziesięć minut później z tą samą wiadomością zadzwonił Ozzie, dając wyraz swemu zdumieniu i irytacji. Powiedział też, że jutro osobiście wybiera się do Parchman po odbiór Dennisa, a to oznacza, że spędzi z nim dwie godziny sam na sam w samochodzie. Pozwoli mu to postraszyć chłopaka na wszelkie możliwe sposoby i zakazać mu

przekraczania granic miasta Clanton.

Jake mu podziękował i zadzwonił do Carli.

Rozdział 18

Rufus Buckley zaparkował swojego starego cadillaca po drugiej stronie rynku, jak najdalej od biura Jake'a. Chwilę posiedział w samochodzie, podsycając w sobie nienawiść do Clanton, tutejszego sądu i wyborców, a zwłaszcza do swych niepowodzeń w tym mieście. Był czas – nie tak przecież odległy – gdy tutejsi go uwielbiali, a on uważał ich za swój twardy elektorat, fundament, na którym mógł się oprzeć w walce o stanowisko gubernatora, a dalej, no cóż, kto wie? Był ich prokuratorem okręgowym, młodym, nieustraszonym oskarżycielem z rewolwerami przy bokach i pętlą w ręce. Nie bał się złoczyńców, wystarczyło ich namierzyć i dostarczyć, a potem tylko siedzieć i patrzeć, jak Rufus się z nimi rozprawia. Podczas kampanii wyborczej głosił, że chce uzyskać dziewięćdziesięcioprocentowy wskaźnik wyroków skazujących w sprawach, w których oskarżał, i ludzie go za to kochali. Trzykrotnie wybierali go przytłaczającą większością głosów na kolejne kadencje na stanowisko prokuratora okręgowego, a potem nagle wszystko się zmieniło. W ubiegłym roku, gdy jego gorzka porażka w procesie Haileya wciąż była świeża, wierni wyborcy w okręgu Ford odwrócili się do niego plecami. Przegrał też zdecydowanie w okręgach Tyler, Milburn i Van Buren, czyli praktycznie w całym Dwudziestym Drugim Obwodzie, i tylko w swoim rodzinnym okręgu Polk udało mu się uzyskać żalosną sześćdziesięcioprocentową większość.

Oznaczało to koniec kariery na państwowej posadzie, choć czasami prawie udawało mu się uwierzyć, że w wieku czterdziestu czterech lat ma jeszcze przed sobą przyszłość i że wciąż jest jeszcze

potrzebny. Komu i do czego, tego nie był już pewien. Żona mu zagroziła, że go zostawi, jeśli jeszcze raz wystartuje w jakichkolwiek wyborach. Po dziesięciu miesiącach spędzonych w małym cichym biurze na przyglądaniu się leniwemu ruchowi ulicznemu na Main Street Rufus czuł się znudzony, przegrany, przygnębiony i wytrącony z równowagi. Dlatego telefon od Sistrunka był jak cudowny dar niebios i Rufus z radością powitał szansę włączenia się do głośnej awantury. Fakt, że jego wrogiem w niej będzie Jake, tylko dodawał sprawie pikanterii.

Otworzył drzwi i wysiadł, mając nadzieję, że nikt go nie rozpozna. Jakże nisko upadają niegdyś gwiazdy.

Drzwi budynku Sądu Okręgowego w Clanton otwierano o ósmej rano i pięć po ósmej Rufus przekroczył je tak, jak to wielokrotnie czynił w swym dawnym życiu. Wówczas go tu szanowano, a nawet wywoływał strach. Teraz nikt nie zwracał na niego uwagi poza może woźnym, którego wzrok spoczął na nim nieco dłużej, jakby mężczyzna chciał powiedzieć: „Zaraz, zaraz, czy my się skądś nie znamy?”. Buckley pobiegł schodami na górę i z radością stwierdził, że drzwi do głównej sali rozpraw nie są zamknięte na klucz i nikt ich nie pilnuje. Przesłuchanie wyznaczono na dziewiątą i Rufus zjawił się jako pierwszy. Tak zresztą miało być, ho uknuli z Sistrunkiem pewien plan.

Znalazł się w gmachu sądu raptem trzeci raz od zakończenia procesu Haileya i wspomnienie koszmaru tamtej porażki odczuł jak cios w żołądek. Zatrzymał się tuż za wielkimi podwójnymi drzwiami do sali rozpraw i potoczył wzrokiem po ogromnym pustym pomieszczeniu. Poczuł, że miękną mu kolana, i przez chwilę nawet myślał, że zemdleje. Przymknął oczy i w głowie rozbrzmiał mu głos urzędnika sądowego Jeana Gillespiego odczytującego werdykt: „My, sędziowie przysięgli, uznajemy oskarżonego za niewinnego wszystkich postawionych mu zarzutów z uwagi na jego niepoczytalność”. Cóż za koszmarna pomyłka!

Przecież nie można z zimną krwią zastrzelić dwóch mężczyzn i twierdzić, że się to zrobiło, bo sobie na to zasłużyli. Należałoby

znaleźć prawne uzasadnienie dla popełnienia takiego czynu, a poza niepoczytalnością Jake, Brigance niczym innym nie dysponował.

Ale jak się okazało, to mu wystarczyło. Tyle że zabijając tych dwóch chłopaków, Carl Lee Hailey był najnormalniejszym człowiekiem na świecie.

Rufus pamiętał dziką wrzawę, jaka wybuchła w sali sądowej po ogłoszeniu werdyktu, i jak rodzina i przyjaciele Haileya szaleli ze szczęścia. Więc co tu mówić o niepoczytalności? Chwilę później tłum zebrany pod budynkiem sądu eksplodował radością, gdy jakiś dzieciak wypadł z budynku, wrzeszcząc: „Niewinny! Niewinny!”.

Docierając do barierki, Rufus zdołał się już jednak opanować. Miał zadanie do wykonania i mało czasu na jego przygotowanie. Jak w każdej sali sądowej, między barierką a ławą sędziowską znajdowały się dwa duże stoły. Z wyglądu były identyczne, jednak służyły diametralnie różnym celom. Przy stole po prawej siadali oskarżyciele w sprawach karnych (w tej roli Rufus czuł się najlepiej) lub pełnomocnicy powoda w sprawach cywilnych. Stół znajdował się tuż obok ławy przysięgłych, dzięki czemu Rufus jako oskarżyciel czuł, że jest blisko ludzi. Przy drugim stole, oddalonym od tamtego o trzy metry, zasiadali obrońcy oskarżonego w sprawach karnych lub pozwanego w sprawach cywilnych. Zdaniem prawników, którzy zjedli zęby na procesach, rozsadzenie uczestników przy stołach miało istotne znaczenie dla przebiegu rozprawy. Zajmowane miejsce świadczyło o poczuciu siły lub jej braku. Pozwalało pełnomocnikom stron bardziej lub mniej przyciągać uwagę przysięgłych, którzy zawsze wszystko bacznie obserwowali. Czasami stanowiło też scenę zmagania Dawida z Goliatem, gdy samotnemu adwokatowi i jego zgnębionemu klientowi przychodziło stawiać czoło grupie pewnych siebie korporacyjnych prawników lub gdy wystraszony obrońca stawał twarzą w twarz z potęgą władzy stanowej. Odpowiednie miejsce przy stole miało też znaczenie dla prawniczek w krótkich spódniczkach, jeśli ława przysięgłych w większości składała się z mężczyzn, a także dla ulicznych kowbojów w spiczastych kowbojkach.

Jako oskarżyciel Rufus nigdy nie zwracał uwagi na swoje miejsce,

bo nie stanowiło to dla niego problemu, jednak sprawy o obalenie testamentu zdarzały się rzadko i obaj z Sistrunkiem postanowili zająć stół blisko ławy przysięgłych i wystąpić w roli rzeczywistych obrońców testamentu. Jake Brigance pewnie będzie się wściekał, ale to im tylko pomoże. Pora zdefiniować prawdziwe role w tym procesie. Ich klientka jest beneficjentką najnowszej wersji testamentu Seta Hubbarda, więc ich roszczenie weźmie górę.

Buckley w głębi duszy miał pewne wątpliwości co do tej strategii. Dobrze znał legendę otaczającą Reubena V. Atlee, który jak większość starych, doświadczonych i często zwariowanych sędziów z Missisipi rządził żelazną ręką i zwykle bywał nieufny wobec obcych. Jednak Sistrunk parł do starcia i chciał rozdawać w nim ciosy. Bez względu na to, jak się sprawy potoczą, będzie to emocjonujące przedstawienie, a on, Rufus, znajdzie się w samym jego środku.

Szybko poprzestawiał krzesła, zostawiając pośrodku trzy i przenosząc resztę na koniec stołu. Otworzył teczkę i rozłożył na stole papiery, jakby już przy nim siedział od wielu godzin i czekał go jeszcze cały dzień pracy. Zamienił parę słów z Pate'em, woźnym sądowym, który postawił na stołach dzbanki wody z lodem. Kiedyś gawędzili z sobą o pogodzie, teraz jednak opady przestały Rufusa interesować.

Na salę wcisnął się po cichu Dumas Lee, rozpoznał Buckleya i od razu ku niemu ruszył. Na szyi zwisał mu aparat fotograficzny, w rękę miał notatnik i długopis gotowy do zapisania wypowiedzi, jednak pytanie: „Panie Buckley, co pana tu sprowadza?” pozostało bez odpowiedzi.

– Rozumiem, że jest pan lokalnym pełnomocnikiem Lettie Lang, czy tak?

– Bez komentarza – mruknął prawnik, zajęty rozkładaniem papierów i nuceniem pod nosem.

Sytuacja rzeczywiście uległa zmianie, pomyślał Dumas. Dawny Rufus dałby sobie rękę uciąć, byle tylko porozmawiać z prasą. Wtedy nikt nie miał prawa stanąć między nim a obiektywem fotoreportera.

Dumas odszedł parę kroków i zagadał coś do Pate'a, ten jednak

burknął: „Zabieraj się stąd z tym aparatem”. Reporter wyszedł z sali i dołączył do fotoreportera, który stał przed budynkiem w nadziei na uchwycenie przyjazdu czarnego rolls-royce'a.

Wade Lanier przyjechał ze swym asystentem Lesterem Chilcotem. Skinęli głowami Buckleyowi, który był jednak zbyt zajęty, by się do nich odezwać. Skwitowali uśmiechem jego pomysł zaanektowania całego stołu powództwa i zajęli się rozpakowywaniem wypchanych aktówek i przygotowaniem do batalii. Parę minut później na salę weszli Stillman Rush i Sam Larkin, zbliżyli się do barierki i rzucili „cześć” swym teoretycznym sprzymierzeńcom. Stali po tej samej stronie barykady i zapewne przyjdzie im używać wielu podobnych argumentów, ale postępowanie znajdowało się we wstępnym stadium i nie byli skłonni w pełni sobie ufać. Sala zaczęła wypełniać się widzami, którzy półgłosem wymieniali pozdrowienia i komentarze. Wśród publiczności kręciło się paru umundurowanych strażników, którzy rzucali żarcikami i witali się ze stałymi bywalcami, Ian i Ramona wraz z dziećmi wkroczyli w zwartej grupie i usiedli po lewej stronie sali za plecami swoich adwokatów i jak najdalej od pełnomocników strony przeciwnej. Przy ławie sędziowskiej kręciło się paru wścibskich prawników, dowcipkując z urzędnikami sądowymi. Chichoty ustały wraz ze zjawieniem się Bookera Sistrunka i jego grupy. Przepisnęli się hurmą przez drzwi i wkroczyli do środka pewnym siebie krokiem, jakby cała sala należała do nich. Idąc ramię w ramię z Lettie, Sistrunk poprowadził swój oddział środkowym przejściem między ławkami dla publiczności, rzucając na boki groźne spojrzenia, jakby szukał zaczepki i tylko czekał, aż ktoś odważy się coś powiedzieć. Posadził Lettie w pierwszym rzędzie obok Simeona i dzieci i ustawił tuż obok niej młodego czarnoskórego osiłka o byczym karku, ubranego w czarny garnitur, czarną koszulę oraz czarny krawat i gotowego bronić Lettie przed nagłym atakiem zabójców lub wielbicieli. Wokół niej rozsiadła się liczna gromada kuzynów, ciotek, siostrzeńców i sąsiadów, a także towarzyszące im grono kibiców.

Buckley przyglądał się temu pochodowi, z trudem tłumiąc niepokój. Przez dwanaście lat miał do czynienia z przysięgłymi z Połu-

dnia. Potrafił ich dobierać, umiał ich przejrzeć i przewidywać ich reakcje, porozumiewać się z nimi i w większości przypadków prowadzić jak na sznurku. I dlatego był niemal pewien, że Booker Sistrunk i kreowany przez niego wizerunek Wielkiego, Czarnego i Złego nie trafi do przekonania obecnych na tej sali. Ochroniarz dla Lettie? Bez sensu, zwłaszcza że ona sama okazywała się marną aktorką. Kazano jej być poważną, a nawet przygnębiałą, i okazywać żal po drogim przyjacielu, który wprawdzie odszedł na zawsze, ale na otarcie łez zostawił jej należny spadek. A teraz chciwi biali chcą go jej odebrać. Starła się więc jak mogła, by wyglądać na zgnębiałą i skrzywdzoną.

Sistrunk i jego partner, Kendrick Bost, przeszli za barierkę, wylewnie przywitali się ze swoim lokalnym pełnomocnikiem, mecenasem Buckleyem, i rzucili na zajęty przez niego stół kolejne stosy papierów, całkowicie ignorując prawników po drugiej stronie przejścia. Sala się zapełniała, zegar na ścianie pokazywał ósmą czterdzieści pięć.

Jake wszedł bocznymi drzwiami i od razu dostrzegł, że jego miejsce przy stole jest zajęte. Przywitał się z Wade'em Lanierem, Stillmanem Rushem i resztą prawników drugiej strony.

– Wygląda na to, że mamy mały problem – powiedział do Stillmana, wskazując głową Buckleya i prawników z Memphis.

– Życzę powodzenia – odrzekł Stillman.

Jake podjął szybką decyzję, że nie będzie parł do konfrontacji. Bez słowa skierował się ku drzwiom i wróciwszy na zaplecze, ruszył w stronę gabinetu sędziowskiego. Tymczasem na sali zjawił się Herschel Hubbard, który wraz z towarzyszącymi mu dziećmi i grupką przyjaciół zasiadł obok Iana i Ramony. W miarę zbliżania się godziny dziewiątej robiło się coraz ciszej i poważniej. Publiczność niemal idealnie podzieliła salę na część czarną po jednej stronie przejścia i białą po drugiej. Niemal, bo Lucien, siedzący w ostatnim rzędzie, oczywiście zajął miejsce po stronie czarnej.

Jake wrócił na salę, oparł się o ścianę obok drzwi prowadzących do sali narad przysięgłych i bez słowa zajął się czytaniem jakiegoś

dokumentu. O dziewiątej pięć Pate zawołał: „Wszyscy wstać, sąd idzie!”, drzwi się otworzyły i na salę wkroczył sędzia Atlee, powłócząc wyblakłą ze starości czarną togą. Zasiadł na swoim miejscu, powiedział: „Proszę siadać” i potoczył wzrokiem po sali, przez dłuższą chwilę krzywiąc się milczeniu. Popatrzył na Jake'a, popatrzył na Buckleya, Sistrunka i Bosta, po czym wziął do ręki kartkę papieru i zaczął czytać listę obecności. Wszyscy wyczytani potwierdzili swoją obecność, łącznie dziesięciu adwokatów.

Sędzia przysunął sobie mikrofon i oznajmił:

– Najpierw sprawy porządkowe. Panie Buckley, zgłosił się pan do tej sprawy w roli lokalnego pełnomocnika firmy prawniczej Sistrunk and Bost z Memphis, czy tak?

Buckley – jak zwykle chętny do zabrania głosu – zerwał się na równe nogi i oświadczył:

– Zgadza się, Wysoki Sądzie, ja właśnie...

– I zaraz potem pan i pańscy mocodawcy złożyliście całą masę wniosków do rozpatrzenia na dzisiejszej sesji, czy tak?

– Tak, Wysoki Sądzie, i w związku z tym chciałbym...

– Chwileczkę. Równocześnie pan Brigance złożył wniosek, w którym wyraził sprzeciw wobec pańskiego włączenia się do sprawy, argumentując to pańskim brakiem doświadczenia, umiejętności i wiedzy w tym zakresie, czy tak?

– To zupełnie niepoważny wniosek, Wysoki Sądzie, jak niewątpliwie sąd potwierdzi. Adwokat zarejestrowany w tym stanie nie musi...

– Chwileczkę, panie Buckley. Pan złożył wniosek o włączenie do tej sprawy, pan Brigance to oprotestował, a to oznacza, że muszę podjąć decyzję w obu sprawach. Jeszcze jej nie podjąłem i do chwili podjęcia decyzji nie może pan być uważany za pełnoprawnego uczestnika postępowania w tej sprawie. Rozumiemy się?

– Wysoki Sądzie, sprzeciw pana Brigance'a jest tak niepoważny, że wnioskodawca zasługuje na sankcje. Nawiasem mówiąc, właśnie jestem w trakcie przygotowywania wniosku o zastosowanie wobec niego sankcji karnych.

– Niech pan nie traci czasu, panie Buckley. Niech pan siada i posłucha. – Sędzia zawiesił głos i odczekał, aż Buckley usiądzie. Ciemne oczy sędziego Atlee zwróciły się do szparek, na czole pojawiły się jeszcze głębsze bruzdy niż zwykle. Sędzia nigdy nie tracił panowania nad sobą, ale potrafił wyrazić swój gniew tak, że każdy prawnik w promieniu pięćdziesięciu metrów czuł ciarki na plecach. – Nie jest pan pełnoprawnym uczestnikiem postępowania w tym sądzie, podobnie jak pan, panie Sistrunk, oraz pan, panie Bost. Mimo to odważyliście się podjąć próbę zawładnięcia moim sądem, bezprawnie zajmując w nim miejsca. Nie jesteście uprawnieni do zajmowania się tym spadkiem. Na podstawie mojej urzędowej decyzji uprawniony jest pan Brigance. Być może w którymś momencie zostaniecie uznani za pełnomocników strony występującej o zatwierdzenie testamentu, ale jeszcze nimi nie jesteście. – Sędzia mówił dobitnie, wolno cedził słowa bez trudu docierające do wszystkich uszu i odbijające się echem od ścian zamarłej w milczeniu sali.

Jake nie potrafił opanować uśmiechu. Nie przyszło mu nawet do głowy, że jego dość frywolny i wręcz sztubacko złośliwy protest w sprawie Buckleya może przynieść taki skutek.

Sędzia Atlee wyżywał się na całego.

– Pana tu oficjalnie nie ma, panie Buckley. Jakim prawem tak się pan tu rządzi?

– No cóż, Wysoki Sądzie...

– Proszę wstać, kiedy zwraca się pan do sądu.

Buckley zerwał się z krzesła, waląc boleśnie kolanem o krawędź stołu i próbując mimo to zachować resztki godności.

– No cóż, Wysoki Sądzie, jeszcze nigdy nie spotkałem się z tym, by adwokatowi próbowano odmówić prawa zajmowania się sprawą na podstawie tak bzdurnych zastrzeżeń. Dlatego założyłem, że pan bez chwili namysłu odrzuci tego typu brednie, by móc się zająć ważniejszymi sprawami.

– Błędnie pan założył, panie Buckley. W dodatku założył pan też, że pan i pański kolega z Memphis możecie wejść na tę salę i przejąć kontrolę w imieniu strony występującej o zatwierdzenie testamentu.

Zdecydowanie się temu sprzeciwiam.

– No cóż, Wysoki Sądzie, pragnę zapewnić, że...

– Niech pan siada, panie Buckley. Proszę zebrać swoje manatki i zająć miejsce tam. – Sędzia Atlee wyciągnął kościsty palec w kierunku ławy przysięgłych i stojącego obok Jake'a. Buckley nie zareagował, zrobił to natomiast jego kolega przy stole.

Booker Sistrunk wstał, rozłożył szeroko ręce i niskim, dudniącym głosem powiedział:

– Wysoki Sądzie, za pozwoleniem sądu muszę stwierdzić, że brzmi to dość absurdalnie. To zwykła formalność, którą da się szybko załatwić. Nie ma potrzeby aż tak ostro reagować. Jesteśmy ludźmi rozsądnymi i wszystkim nam zależy na przestrzeganiu prawa. Czy mogę zaproponować, byśmy zaczęli od rozważenia kwestii prawa mecenasa Buckleya do włączenia się do tej sprawy w roli lokalnego pełnomocnika? Jestem przekonany, że Wysoki Sąd sam widzi, iż zastrzeżenia zgłoszone przez młodego kolegę Brigance'a są niedorzeczne i powinny być w całości oddalone. Przecież pan to widzi, panie sędzio, prawda?

Sędzia Atlee nic nie odpowiedział i nie dał nic po sobie poznać. Zapadła kilkusekundowa, nabrzmiała emocjami cisza, po czym sędzia spojrział na jednego ze strażników i powiedział:

– Proszę sprawdzić, czy szeryf Walls jest w budynku.

Pytanie mogło przerazić Rufusa Buckleya i rozbawić Jake'a oraz prawników po drugiej stronie sali, natomiast Bookera Sistrunka wyraźnie zdenerwowało, bo wyprężył się i warknął:

– Wysoki Sądzie, mam prawo coś powiedzieć.

– Jeszcze nie. Proszę siadać, panie Sistrunk.

– Protestuję przeciwko takiemu traktowaniu, Wysoki Sądzie. Reprezentuję beneficjentkę tego testamentu, panią Lettie Lang, i mam obowiązek dbać o jej interesy.

– Niech pan siada, panie Sistrunk.

– Nie dam się uciszyć, Wysoki Sądzie. Jeszcze niedawno takim jak ja prawnikom nie pozwalano zabierać głosu w tej sali sądowej. Przez wiele lat nie mieli prawa tu wejść, a gdy już nawet weszli, nie

wolno im było otworzyć ust.

– Niech pan siada, bo uznam pana za winnego obrazy sądu.

– Proszę mi nie grozić, panie sędzio – rzucił Sistrunk, wychodząc zza stołu. – Mam prawo mówić i występować w imieniu mojej klientki. Nie dam się uciszyć za pomocą jakichś kruczków w pańskiej procedurze.

– Niech pan siada, nim uznam pana za winnego obrazy sądu.

Jednak Sistrunk nie tylko nie usiadł, ale ku zdumieniu wszystkich zrobił kolejny krok w stronę ławy sędziowskiej.

– Nie usiądę – warknął gniewnie i Jake pomyślał, że chyba coś mu się w głowie pokręciło. – To po to złożyłem wniosek, by pan się wycofał z tej sprawy. Jest dla mnie, a także dla wielu moich kolegów oczywiste, że kieruje się pan w tej sprawie uprzedzeniami rasowymi, co pozbawia moją klientkę szans na sprawiedliwy proces. Z tego samego powodu złożyliśmy wniosek o zmianę miejsca procesu. Powołanie bezstronnej ławy w tym... tym miasteczku będzie po prostu niemożliwe. Poczucie sprawiedliwości nakazuje, by ten proces odbył się w innym sądzie przed obliczem innego sędziego.

– Obraża pan sąd, panie Sistrunk.

– Nic mnie to nie obchodzi. Zrobię wszystko, czego będzie wymagało dobro mojej klientki. Jeśli dla zapewnienia sprawiedliwego procesu trzeba będzie zwrócić się do sądu federalnego, jestem gotów to zrobić. Złożę pozew federalny przeciwko każdemu, kto stanie mi na drodze. – Dwaj strażnicy sądowi zaczęli z boków zachodzić Sistrunka, który nagle wyciągnął palec w kierunku jednego z nich i zawołał: – Nie waż się mnie tknąć, jeśli nie chcesz trafić do sądu federalnego. Nie podchodź!

– Co z szeryfem Wallsem? – spytał sędziego Atlee.

– Już idzie – odrzekł strażnik, pokazując głową.

Drzwi się otworzyły i Ozzie energicznym krokiem ruszył środkowym przejściem, towarzyszył mu funkcjonariusz Willie Hastings. Sędzia Atlee stuknął młotkiem.

– Panie Sistrunk, uznaję pana za winnego obrazy sądu i oddaję w ręce szeryfa okręgu Ford. Szeryfie Walls, proszę go wyprowadzić.

– Nie wolno panu! – wrzasnął Sistrunk. – Jestem licencjonowanym adwokatem, mam uprawnienia do występowania przed federalnym Sądem Najwyższym, jestem tu w imieniu mojej klientki, towarzyszy mi lokalny pełnomocnik. Nie wolno panu tego zrobić, Wysoki Sądzie. To dyskryminacja, w najwyższym stopniu szkodliwa dla mojej klientki. – Ozzie dotarł już na wyciągnięcie ręki i widać było, że w razie potrzeby gotów jest użyć siły. Był od Sistrunka blisko dziesięć centymetrów wyższy, dziesięć lat młodszy, piętnaście kilogramów cięższy i miał broń. Z wyrazu jego twarzy wynikało, że chętnie popisze się przed swoimi wyborcami. Ujął Sistrunka za łokieć i napotkał nawet krótkotrwały opór. Ścisnął mocniej i mruknął:

– Ręce za siebie.

Najwyraźniej Sistrunk uznał, że osiągnął już to, o co mu chodziło, bo dramatycznym gestem opuścił głowę, wyciągnął ręce za siebie i dał się upokorzyć aresztowaniem na sali sądowej. Spojrzał też na Kendricka Bosta i – jak później twierdzili niektórzy znajdujący się najbliżej świadkowie – w jego wzroku błysnęła złośliwa iskierka. W towarzystwie strażników sądowych Sistrunka poprowadzono za barierkę i dalej, środkowym przejściem. Przechodząc obok Lettie, adwokat głośno powiedział:

– Załatwię ich, Lettie, nic się nie martw. Ci rasiści nigdy nie dobiorą się do twoich pieniędzy. Zaufaj mi.

Eskortujący adwokata strażnicy doprowadzili go do wyjścia i drzwi się za nim zamknęły.

Z niejasnych powodów, których nikt do końca nie rozumiał, Rufus Buckley uznał za konieczne coś powiedzieć. Wstał z miejsca i przerywając grobową ciszę na sali, oznajmił:

– Wysoki Sądzie, za pozwoleniem sądu muszę stwierdzić, że stawia nas to w bardzo niekorzystnej sytuacji.

Sędzia Atlee spojrział na jednego z pozostałych strażników i mruknął:

– Jego też wyprowadźcie.

– Co takiego? – zachnął się Buckley.

– Uznaję pana za winnego obrazy sądu, panie Buckley. Wypro-

wadźcie go.

– Ale za co, Wysoki Sądzie?

– Bo zachowuje się pan obraźliwie, a w dodatku zarozumiale, niegrzecznie, arogancko i tak dalej. Wyjść!

Funkcjonariusze zatrzasnęli kajdanki na rękach Rufusa, który zbladł jak ściana i potoczył na boki dzikim wzrokiem. On, Rufus Buckley, były prokurator okręgowy i symbol najwyższego szacunku dla prawa, moralności i etycznego postępowania, zostaje skuty i wyprowadzony jak pospolity przestępca. Jake z trudem powstrzymywał się od oklasków.

– I zamknijcie go w jednej celi z jego mocodawcą – huknął sędzia Atlee do mikrofonu, wlepiając wzrok w prowadzonego środkiem sali Rufusa, który rozpaczliwie rozglądał się na boki w poszukiwaniu przyjaznych twarzy.

Drzwi się za nim zamknęły i wszyscy głęboko odetchnęli, jakby chcieli zaczerpnąć choć odrobinę pozostałego w pomieszczeniu tlenu. Adwokaci patrzyli po sobie z rozbawieniem, świadomi, że właśnie byli świadkami czegoś, czego już nigdy w życiu nie zobaczą. Sędzia Atlee udawał, że coś notuje, cała sala w napięciu czekała na dalszy ciąg. W końcu sędzia uniósł głowę.

– Panie Bost, czy ma pan może coś do powiedzenia? – zapytał.

Pan Bost miał w głowie kotłowaną myśl, jednak w zaistniałej sytuacji zachował rozsądek i pokręcił przecząco głową.

– To dobrze. Ma pan teraz trzydzieści sekund na zebranie wszystkiego ze stołu i przeniesienie się na miejsca dla przysięgłych. Panie Brigance, zechce pan zająć należne panu miejsce w moim sądzie.

– Z przyjemnością, Wysoki Sądzie.

– A właściwie nie, najpierw ogłaszam dziesięciominutową przerwę.

△△△

Ozzie Walls miał poczucie humoru. Na łukowatym podjeździe za budynkiem sądu stały cztery w pełni oznakowane radiowozy z

rzucającymi się w oczy napisami i numerami oraz zestawami anten i lamp. Gdy aresztowani prawnicy znaleźli się w holu przy tylnym wyjściu, szeryf szybko zadecydował, że obaj pojedą razem.

- Wsadźcie ich obu do mnie – zarządził.
- Podam was za to do sądu – zagroził po raz dziesiąty Sistrunk.
- My też mamy adwokatów – odburknął Walls.
- Wszystkich was tępaków postawię przed sądem.
- I nasi adwokaci nie siedzą w kiciu.
- Przed sądem federalnym.
- Kocham sądy federalne.

Sistrunka i Buckleya wyprowadzono za drzwi i wepchnięto na tylne siedzenie wielkiego brązowego forda Ozziego. Migawki Dumasa Lee i gromady fotoreporterów nie przestawały strzelać.

– Urządzimy im paradę – poinstruował Ozzie swoich ludzi. – Włączcie koguty, bez syren.

Sam usiadł za kierownicą, uruchomił silnik i wolniutko ruszył.

– Rufus, jechałeś kiedyś na tylnym siedzeniu radiowozu? – spytał.

Buckley nie odpowiedział. Wsunął się jak najniżej za fotel kierowcy i zerkał przez boczną szybę podczas powolnego przejazdu kawalkady radiowozów wokół rynku. W odróżnieniu od niego Booker Sistrunk wiercił się z podniesioną głową i rękami skutymi na plecach, nie przestając gadać.

– To wstyd tak traktować czarnego brata.

– Białego też tak traktujemy.

– Gwałćcie moje prawa obywatelskie.

– A ty gwałćisz moje tą swoją gadaniną. Więc się lepiej przy-
mknij, bo cię wsadzę do lochu. Pod aresztem mamy fajną piwnicę. Widziałeś ją kiedyś, Rufus?

Buckley znów przemilczał pytanie.

Zrobili dwie rundy wokół rynku, po czym całą kolumną pokręcili się po okolicznych ulicach, podążając za radiowozem Ozziego. Szeryf chciał dać Dumasowi czas na ustawienie się pod budynkiem aresztu miejskiego. Gdy w końcu dojechali, reporter rzeczywiście już tam był,

strzelając aparatem na prawo i lewo. Sistrunka i Buckleya wyciągnięto z radiowozu i wolno poprowadzono do aresztu. W środku potraktowano ich jak wszystkich nowych aresztantów: obfotografowano, pobrano odciski palców, zadano sto pytań do protokołu, kazano złożyć do depozytu aktówki oraz zawartość kieszeni i wręczono rzeczy do przebrania.

Czterdzieści pięć minut po narażeniu się szacownemu sędziemu Reubenowi V. Atlee aresztanci Booker Sistrunk i Rufus Buckley w bładopomarańczowych kombinezonach z białymi pasami wzdłuż nogawek usiedli na krawędziach metalowych pryczy i spojrzeli z obrzydzeniem na brudną i cieknącą miskę klozetową, którą mieli się dzielić. Strażnik wetknął twarz między pręty kraty ich maleńkiej celi i pogodnie zapytał:

- Czegoś wam potrzeba, chłopcy?
- O której jest obiad? – zapytał Rufus.

△△△

Z Bostem siedzącym na ławie przysięgłych i jego kompaniami w areszcie przesłuchanie potoczyło się zaskakująco sprawnie. Ponieważ na sali nie było nikogo, kto byłby gotów poprzeć wnioski o zmianę miejsca procesu i odsunięcie sędziego Atlee, wnioski automatycznie upadły. Wniosek o zastąpienie Jake'a Rufusem Buckleyem oddalono niemal bez słowa. Sędzia Atlee przyjął wnioski o przeprowadzenie procesu z udziałem ławy przysięgłych i dał stronom dziewięćdziesiąt dni na rozpoczęcie i zakończenie procedury zbierania materiałów dowodowych. Przy okazji powtórzył raz jeszcze, że nadaje sprawie wysoki priorytet i nie pozwoli, by się wlokła w nieskończoność. Poleciał adwokatom zajrzeć do terminarzy i wymusił na nich zgodę na rozpoczęcie procesu trzeciego kwietnia 1989 roku, prawie za pięć miesięcy.

Po trzydziestu minutach Atlee zamknął przesłuchanie i opuścił ławę sędziowską. Publiczność wstała z miejsc i salę wypełnił gwar rozmów; prawnicy zbili się w jedną grupkę, by porównać notatki w sprawie podjętych ustaleń.

– Masz szczęście, że ty też nie trafiłeś do pudła – szepnął Stillman Rush do Jake'a.

– Nie do wiary – odrzekł Jake. – Zamierzasz odwiedzić Buckleya?

– Może później.

Kendrick Bost poprowadził Lettie i towarzyszących jej ludzi do narożnika, by ich zapewnić, że nic się nie stało i wszystko idzie zgodnie z planem, jednak większość potraktowała jego słowa z niedowierzaniem. W końcu Bost dał za wygraną. Razem z roslým ochroniarzem przepchał się przez tłum i wybiegł z budynku. Przebiegli przez trawnik, szybko wskoczyli do czarnego rolls-royce'a (ochroniarz pełnił jednocześnie funkcję szofera) i z piskiem opon ruszyli do miejskiego aresztu. Po przybyciu na miejsce usłyszeli od Ozziego, że sąd nie zezwolił na widzenia z aresztantami. Bost zaklął, wyszedł z budynku i rolls odjechał w kierunku Oxfordu, siedziby najbliższego sądu federalnego.

△△△

Dumas Lee do lunchu spłodził tysiąc słów tekstu i przefaksował swoją relację do znajomego reportera z gazety wychodzącej w Memphis. Przesłał też telegraficznie masę fotografii. Później przekazał te same materiały do gazet w Tupelo i w Jackson.

Rozdział 19

Przeciek nastąpił z wiarygodnego źródła i wiadomość lotem błyskawicy obiegnęła gmach sądu, zaraz potem cały rynek. Następnego dnia o dziewiątej rano sędzieja Atlee miał ponownie zwołać posiedzenie i dać szansę aresztantom na wyrażenie skruchy i przeproszenie sądu. To, że będzie można zobaczyć Rufusa Buckleya i Bookera Sistrunka dowożonych do sądu w pomarańczowych drelichach i gumowych klapkach na nogach, a może nawet w łańcuchach, poruszyło wszystkich.

Ich historia stała się sensacją dnia i dała początek całej serii pełnych zachwyty plotek i spekulacji. Dla Buckleya było to straszliwe upokorzenie, dla Sistrunka tylko kolejny rozdział w jego karierze.

Na pierwszej stronie działu miejskiego porannej gazety w Memphis ukazała się relacja Dumasa, zilustrowana wielką fotografią dwóch adwokatów w kajdankach, wyprowadzanych dzień wcześniej z budynku sądu w Clanton. Już sam tytuł dawał Sistrunkowi niejaką rekompensatę: SŁYNNY ADWOKAT Z MEMPHIS UWIEŻIONY W MISSISIPPI. Zaskakująco rzetelnej relacji Dumasa towarzyszyła krótsza notatka o wniosku o sądowy nakaz zwolnienia aresztowanych, złożonym w Sądzie Federalnym w Oxfordzie przez firmę Sistrunk & Bost. Przesłuchanie w tej sprawie wyznaczono w tym samym dniu na trzynastą.

Jake siedział z Lucieniem na balkonie wychodzącym na rynek, sącząc kawę i czekając na przyjazd radiowozów. Ozzie obiecał dać mu cynk, gdy będą wyjeżdżali.

Lucien, który nie bez powodu nienawidził poranków, tym razem

wyglądał zadziwiająco świeżo i trzeźwo. Zarzekał się, że ostatnio mniej pije i więcej się rusza, w każdym razie na pewno dużo więcej pracował. Jake'owi było coraz trudniej unikać natykania się na niego w biurze.

– Nigdy nie sądziłem, że dożyję chwili, gdy Rufusa Buckleya będą wyprowadzać skądś w kajdankach. – Lucien parsknął śmiechem.

– To była piękna scena, po prostu piękna, aż trudno uwierzyć – potwierdził Jake. – Zadzwoń do Dumasa i zapytam, czy mi sprzeda zdjęcie Buckleya w drodze do aresztu.

– Zrób to. I skopijuj je dla mnie.

– Dwadzieścia na dwadzieścia pięć oprawne w ramkę. Pewnie mógłbym zacząć nimi handlować.

Roxy musiała wejść po schodach i odszukać szefa na balkonie.

– Dzwonił szeryf Walls – powiedziała. – Są już w drodze.

– Dzięki.

Jake i Lucien wyskoczyli z biura i pobiegli na drugą stronę ulicy. Nie dało się nie zauważyć, że nie oni jedni mieli ten pomysł. Kancelarie wokół rynku nagle opustoszały, a jakieś pilne sprawy pognały ich właścicieli do sądu. Biedny Buckley narobił sobie tylu wrogów. W sali rozpraw prawie nie było publiczności, za to kręciła się po niej spora liczba prawników i nie ulegało wątpliwości, że zjawili się tu tylko w jednym celu. Woźny sądowy przywołał obecnych do porządku, sędzia Atlee zasiadł za stołem sędziowskim i skinął głową na strażnika.

– Wprowadźcie go – zarządził.

Boczne drzwi się otworzyły i na salę wkroczył Buckley bez kajdanek. Nie licząc jednodniowego zarostu na twarzy i nieco zmierzwionych włosów, jego wygląd niczym się nie różnił od wczorajszego. Sędzia Atlee okazał wspaniałomyślność i pozwolił mu się przebrać, uznając, że zmuszanie prawnika do pokazywania się w sądzie w aresztanckim drelichu byłoby przesadą. Zważywszy na zainteresowanie prasy, nie chciał dopuścić do tego, by prawników występujących w jego sądzie oglądano w łachmanach.

Sistrunk się nie pojawił. Drzwi za Buckleyem zamknęły się i dla

wszystkich stało się jasne, że Sistrunka nie ma i nie będzie.

– Proszę tu, panie Buckley – powiedział Atlee, wskazując ręką miejsce tuż przed ławą sędziowską. Adwokat bez słowa postąpił i stanął przed jego obliczem. Wyglądał na bezbronnego, upokorzonego i pokonanego. Przełknął głośno ślinę i spojrzał na sędziego.

Atlee odsunął mikrofon i ściszym głosem powiedział:

– Mam nadzieję, że przeżył pan jakoś tę noc w naszym eleganckim areszcie.

– Przeżyłem.

– Szeryf Walls dobrze pana traktował?

– Dobrze.

– Pan i pan Sistrunk odpoczęliście przez noc?

– Nie nazwałbym tego odpoczynkiem, Wysoki Sądzie, ale przeżyliśmy.

– Nie mogę nie zauważyć, że stoi pan przede mną sam. Ma pan jakąś wiadomość od pana Sistrunka?

– O tak, Wysoki Sądzie. Sistrunk ma dużo do powiedzenia, ale nie zostałem upoważniony do powtarzania jego słów. Nie sądzę, żeby mogły być w czymś pomocne.

– Zapewne. Nie lubię być obrzucany wyzwiskami, panie Buckley, szczególnie tak wrednymi jak „rasista”. To jedno z ulubionych słów pana Sistrunka. Upoważniam pana, jako jego pełnomocnika, do powtórzenia mu tych słów. Proszę mu powiedzieć, że jeśli jeszcze raz mnie tak nazwie, zarówno on, jak i pan zostaniecie na stałe usunięci z mojej sali rozpraw.

Buckley skinął głową.

– Z przyjemnością mu to powtórzę, panie sędzio.

Jake i Lucien usiedli w czwartym rzędzie od końca na długiej ławie z mahoniowego drewna, stojącej tu od kilkudziesięciu lat. Na drugim końcu tej samej ławy usiadła młoda, ładna czarnoskóra kobieta. Wyglądała na dwadzieścia kilka lat i było w niej coś jakby znajomego. Siadając, nerwowo rozejrzała się na boki, niepewna, czy ma prawo tu być. Popatrzyła na Jake'a, a on uśmiechnął się uspokajająco. Wszystko w porządku. Każdemu wolno tu przyjść.

– Dziękuję. – Sędzia Atlee skinął głową. – A co do naszego dzisiejszego spotkania. Ma ono służyć przyjrzeniu się sprawie i, miejmy nadzieję, uwolnieniu pana od zarzutu. Uznałem pana i pańskiego mocodawcę za winnych obrazy sądu za, moim zdaniem, niedopuszczalny brak szacunku dla sądu i mnie osobiście. Przyznaję, że mnie to zezłościło, choć staram się unikać podejmowania jakichkolwiek decyzji w stanie wzburzenia emocjonalnego. Z wieloletniego doświadczenia wiem, że z reguły są to niesłuszne decyzje. Nie żałuję tego, co wczoraj zrobiłem, i dziś postąpiłbym tak samo. Daję panu teraz szansę ustosunkowania się do moich słów.

Propozycja wyjścia z impasu została już wcześniej przedstawiona aresztantom przez Ozziego. Krótkie przyznanie się do winy i krótkie przeprosiny, skutkujące uwolnieniem od zarzutu obrazy sądu. Buckley bez wahania wyraził zgodę, Sistrunk nie.

Buckley przestał z nogi na nogę i spuścił wzrok.

– Tak, no cóż, Wysoki Sądzie, przyznaję, że wczoraj trochę nas poniosło. Okazaliśmy pychę oraz brak szacunku i za to przepraszam. Więcej się to nie powtórzy.

– Doskonale. Niniejszym uwalniam pana od zarzutu obrazy sądu.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie – rzekł potulnie Buckley, opuszczając z ulgą ramiona.

– A zatem, mecenasie Buckley, ustaliłem datę rozprawy na trzeciego kwietnia. Do tego czasu czeka nas dużo pracy i mnóstwo spotkań pełnomocników stron, a także zapewne wiele dalszych przesłuchań w tej sali. Sprawie towarzyszą ogromne emocje. Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że gra idzie o wysoką stawkę. Stąd moje pytanie: jak pan widzi swoją rolę w tej sprawie? Swoją i kolegi z Memphis.

Czując się znów wolnym człowiekiem i mając możliwość wypowiedzenia się, Rufus Buckley głośno odchrząknął i zaczął mówić pewnym siebie głosem.

– Tak, Wysoki Sądzie, jesteśmy tu, by chronić prawa naszej klientki, pani Lettie Lang, która...

– Tak, tak, mecenasie Buckley. Ale ja mówię o samej rozprawie.

Wygląda na to, że ta sala nie pomieści pana Brigance'a, głównego pełnomocnika testamentu, i pełnomocników wszystkich beneficjentów. Po prostu jest na niej zbyt tłoczno, rozumiemy się?

– Chyba nie do końca, Wysoki Sądzie.

– Dobrze, zatem prosto z mostu. Ktoś pragnący podważyć treść testamentu ma prawo nająć adwokata i złożyć odpowiedni wniosek. – Mówiąc to, powiódł ręką po prawnikach drugiej strony. – Taki pełnomocnik uczestniczy od początku do końca w całym postępowaniu. Po drugiej stronie, w obronie kwestionowanego testamentu, występuje pełnomocnik do spraw masy spadkowej, w tym przypadku mecenas Brigance. Beneficjenci testamentu tylko się niejako pod niego podczepiają.

– Och, nie zgadzam się, Wysoki Sądzie, my...

– Spokojnie, mecenasie. Chcę tylko z całym szacunkiem stwierdzić, że nie jestem do końca przekonany, że wasza obecność jest niezbędna. Być może jest, ale będziecie musieli mnie o tym przekonać. Mamy na to mnóstwo czasu. Proszę się nad tym zastanowić, dobrze?

– No cóż, panie sędzio, myślę...

Sędzia uniósł obie dłonie.

– Wystarczy. Nie będę się teraz nad tym zastanawiał. Może innym razem.

Jeszcze przez chwilę Buckley sprawiał wrażenie gotowego walczyć, jednak dość szybko spasował. Nie było sensu ponownie zadzierać z sędzią.

– Oczywiście, panie sędzio, i dziękuję.

– Może pan opuścić salę.

Jake ponownie zerknął na młodą kobietę. Obcisłe dzinsy, czerwony sweterek, podniszczone żółte trampki, krótkie włosy, stylowe okulary. W odróżnieniu od innych młodych czarnych kobiet w okręgu Ford sprawiała wrażenie dbającej o swój wygląd i kondycję fizyczną. Odwzajemniła jego spojrzenie i się uśmiechnęła.

Pół godziny później stanęła przed biurkiem Roxy i grzecznie spytała, czy mogłaby zająć chwilę mecenasowi Brigance'owi. Pani nazwisko? Portia Lang, córka Lettie. Mecenas Brigance był bardzo zajęty, ale Roxy uznała, że to może być ważne. Kazała dziewczynie poczekać i po dziesięciu minutach pozwoliła jej pójść na górę.

Jake powitał ją w drzwiach swojego gabinetu i zaproponował kawę, ale odmówiła. Usiedli w narożniku – Jake w wiekowym skórzanym fotelu, Portia na kanapie – jakby się szykowali do sesji terapeutycznej. Portia rozejrzała się z podziwem po przestronnym wnętrzu z eleganckimi meblami i zorganizowanym bałaganem, przyznając, że po raz pierwszy w życiu znalazła się w kancelarii adwokackiej.

– Jeśli ci szczęście dopisze, to również ostatni – powiedział Jake, wywołując śmiech. Portia była wyraźnie spięta i trudno jej było zacząć mówić. Jej wizyta mogła okazać się bardzo ważna dla sprawy i Jake starał się ją ośmielić. – Opowiedz mi coś o sobie – zaproponował.

– Wiem, że jest pan zajęty.

– Mam dużo czasu, a sprawa twojej matki jest w tej chwili najważniejsza.

Po jej twarzy przemknął nerwowo uśmiešek. Przysiadła na dłońiach, jej stopy w żółtych trampkach lekko podrygiwały. Wolno i z wahaniem zaczęła mówić. Ma dwadzieścia cztery lata, jest najstarszą córką i właśnie przeszła do cywila po sześciu latach służby w wojsku. Jeszcze w Niemczech dostała wiadomość, że jej matka znalazła się w testamencie pana Hubbarda, choć akurat to nie miało żadnego związku z jej odejściem z wojska. Po prostu uznała, że sześć lat wystarczy. Miała dość chodzenia w mundurze i chciała rozpocząć cywilne życie. Nauka w liceum w Clanton szła jej dobrze, ale z uwagi na niepewną sytuację finansową matki i ojca w domu nie było pieniędzy na dalszą naukę w college'u. (Na wspomnienie Simeona lekko się skrzywiła). Chcąc jak najszybciej uciec z domu i okręgu Ford, wstąpiła do wojska i zwiedziła kawał świata. Niecały tydzień temu wróciła, ale nie zamierza zostać w Clanton na stałe. Podczas służby

uzyskała tyle zaliczeń, ile przez trzy lata w college'u, myśli o jego skończeniu i marzy o studiach prawniczych. W Niemczech pracowała w biurze korpusu JAG* i przyglądała się z bliska pracy sądów wojskowych.

* Korpus JAG (*Judge Advocate General's Corps*) – służba prawnicza amerykańskich sił zbrojnych.

Mieszka z rodzicami i resztą rodziny, która, nawiasem mówiąc, przeniosła się ostatnio do miasta. Wynajmują stary dom Sappingtonów, wyjaśniła z lekką dumą w głosie.

– Tak, słyszałem – powiedział Jake. – To małe miasto i wieści szybko się rozchodzą.

Mimo tej przeprowadzki Portia wątpiła, by długo tam została. Dom był wprawdzie dużo większy, ale z powodu tłumu kręcących się krewnych przypominał zatłoczoną poczekalnię dworcową i ludzie spali pokotem.

Jake słuchał uważnie, cierpliwie czekając, aż dziewczyna przejdzie do rzeczy. Od czasu do czasu zadawał jakieś pytania o jej życie, ale ona już nie potrzebowała zachęty, coraz bardziej się rozluźniając i rozgadując. Sześć lat spędzonych w wojsku pozbawiło ją lokalnego zaśpiewu i wpłynęło korzystnie na składnię i gramatykę jej wypowiedzi. Mówiła z doskonałą dykcją i widać było, że świadomie o to dba. W Europie nauczyła się niemieckiego i francuskiego i służyła za tłumaczkę. Teraz uczyła się hiszpańskiego.

Słuchając jej, Jake z przyzwyczajenia miał ochotę robić notatki, ale wydało mu się to nie na miejscu.

W zeszłym tygodniu była w Parchman na widzeniu z Marvisem i to on jej opowiedział o Jake'u i jego wizycie. Przez dłuższą chwilę mówiła o bracie i nawet parę razy obtarła sobie łyzy. Starszy mądry brat, zawsze był jej bohaterem i tak strasznie się zmarnował. Gdyby Simeon był lepszym ojcem, Marvis na pewno nie zszedłby na złą drogę. Tak, kazał jej przekazać matce, że mają się trzymać Jake'a. Powiedział, że rozmawiał ze swoim adwokatem Nickiem Nortonem, który go przekonał, że adwokaci z Memphis wszystko sknocą.

– Po co byłaś dziś w sądzie? – spytał Jake.

- Wczoraj też tam byłam, proszę pana.
- Mów mi po imieniu. Jestem Jake.
- Dobrze, Jake. Byłam świadkiem tej wczorajszej awantury i dziś przyszedłam, żeby zajrzeć do akt w kancelarii sądu. I wtedy usłyszałam, że wiozą tych adwokatów z aresztu.
- Adwokatów twojej rodziny.
- Właśnie. – Westchnęła głęboko i zaczęła mówić wolniej i dobitniej. – Właśnie dlatego tu jestem. Możemy porozmawiać o tej sprawie?
- Oczywiście. Formalnie jesteśmy po tej samej stronie. Może tak to nie wygląda, ale jesteśmy w tej sprawie sprzymierzeńcami.
- Otóż to. – Raz jeszcze westchnęła. – Ja muszę z kimś rozmawiać, rozumiesz? Posłuchaj, nie było mnie tu podczas procesu Haileya, ale wszystko o nim wiem. Przyjechałam do domu na Boże Narodzenie i dookoła mówiono tylko o procesie. O Clanton, o Klanie, o Gwardii Narodowej i tak dalej, i tak dalej. Poczulałam się wtedy tak, jakby coś ważnego mnie ominęło. Twoje nazwisko jest w naszych kręgach dobrze znane. Kilka dni temu mama powiedziała, że czuje, że może ci zaufać. A to dla czarnych nie takie proste, zwłaszcza w takiej sytuacji jak ta.
- Nigdy wcześniej nie było takiej sytuacji.
- Wiesz, co mam na myśli. Gdy w grę wchodzi tak wielkie pieniądze, to niejako automatycznie się zakłada, że biali będą chcieli nas wyrolować.
- Chyba rozumiem.
- Wczoraj po moim powrocie do domu doszło do strasznej awantury między mamą a tatą i kilkoma innymi osobami, które się wtrąciły nieproszone. Nie wiem, co się dokładnie zdarzyło przed moim przyjściem, ale wyraźnie bardzo się o coś pokłócili. Zdaje się, że tata oskarżył mamę, że sypiała z panem Hubbardem. – Jej oczy gwałtownie napelniły się łzami i Portia przerwała, by je otrzeć. – Moja matka nie jest dziwką, Jake. Jest dzielną kobietą, która praktycznie sama wychowała piątkę dzieci. To straszne, że tyle osób wokół sądzi, że wkręciła się do testamentu starego przez łóżko. Nigdy w to nie

uwierzę. Nigdy. Ale z ojcem jest zupełnie inaczej. Od dwudziestu lat się z sobą kłócą i w czasach licealnych błagałam mamę na kolanach, żeby od niego odeszła. Czepia jej się o wszystko, co robi, a teraz czepia się o coś, czego nawet nie zrobiła. Kazałam mu się zamknąć. – Jake podał jej paczkę chusteczek higienicznych, ale łyży już obeschły. Mimo to bąknęła „dziękuję” i ciągnęła: – No i z jednej strony ją oskarża, że się z nim przespała, z drugiej się cieszy, że jeśli to zrobiła, to on może dobrze na tym wyjść. Czyli tak źle, i tak niedobrze. No i jak wróciliśmy wczoraj z sądu, mama się na niego wściekła za tych prawników z Memphis.

– To on ich najął?

– Tak, teraz zrobił się strasznie ważny i musi strzec swojego skarbu: mojej mamy. Jest przekonany, że biali spiskują w celu unieważnienia testamentu i pozbawienia go pieniędzy. A ponieważ i tak się to sprowadzi do kwestii rasowych, to najlepiej wynająć najostrejszego brytana od takich spraw. No to go wynajęli, a on się zjawił i od razu trafił do aresztu.

– A co ty o tym sądzisz?

– O zachowaniu Sistrunka? Pobyt w areszcie bardzo mu odpowiada, bo dzięki temu w gazecie wydrukowali jego zdjęcie z ładnym podpisem. Jeszcze jeden czarny niesłusznie uwięziony przez rasistów z Missisipi. To dla niego jak znalazł. Sam by lepiej tego nie wymyślił.

Jake z uśmiechem pokiwał głową. Ta kobieta potrafiła myśleć.

– Też tak sądzę – powiedział. – To wszystko było obmyślonym przedstawieniem. W każdym razie ze strony Sistrunka. Mogę cię zapewnić, że Rufus Buckley nie planował nocy w areszcie.

– Jak myśmy się dostali w łapy tych komediantów? – jęknęła.

– O to samo chciałem spytać ciebie.

– O ile wiem, tata pojechał do Memphis i spotkał się z Sistrunkiem, który oczywiście wyczuł, że jest grubsza forsa do zarobienia. Przyjechał tu, urządził swój show i omotał mamę. Ty jej się naprawdę spodobałeś i ona ci ufa, ale Sistrunk wbił jej do głowy, że w tej sprawie nie wolno ufać żadnemu białemu. Potem z jakiegoś powodu włączył w to Buckleya.

– Jeśli mama ich nie zwolni, to przegramy tę sprawę. Wyobrażasz sobie tych ludzi przed naszą ławą przysięgłych?

– Nie wyobrażam. O to zresztą była ta awantura. Mama i ja twierdziłyśmy, że to działanie na naszą niekorzyść. Ojciec, jak zawsze wszechwiedzący, upierał się, że Sistrunk przeniesie sprawę do sądu federalnego i tam ją wygra.

– Nie ma szans, Portio. W tej sprawie nie ma żadnego aspektu federalnego.

– Też tak uważałam.

– Ile Sistrunk ma dostać?

– Połowę. A wiem o tym tylko dlatego, że to się wysnęło mamie w trakcie kłótni. W pewnej chwili wyrzeszczała, że dzielenie się z Sistrunkiem po połowie to bzdura. Na co tata powiedział: „Połowa nic równa się nic”.

– Pożyczyli od Sistrunka jakieś pieniądze?

– Nie wahasz się zadawać dociekliwych pytań, co?

Jake uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– I tak w końcu wszystko wyjdzie na jaw – powiedział.

– Tak, była jakaś pożyczka. Nie wiem dokładnie ile.

Jake upił łyk zimnej kawy. Oboje zamilkli, dumając nad następnym pytaniem.

– To poważna sprawa, Portio. Chodzi o fortunę, a nasza strona na razie przegrywa.

– Chodzi o fortunę – powtórzyła. – Kiedy się rozniosło, że biedna czarna kobieta z wiejskiego rejonu Missisipi ma dostać około dwudziestu milionów dolarów, prawnicy dostali kota. Zadzwoił nawet jakiś z Chicago i zaczął obiecywać złote góry. Sistrunk już się wtedy panoszył i wszystkich pogonił, ale do dziś dzwonią. Biali, czarni, a co jeden, to lepszy.

– Nie są wam do niczego potrzebni.

– Jesteś pewny?

– Moim zadaniem jest pilnować wykonania ostatniego testamentu Setha Hubbarda, po prostu. Testament próbuje unieważnić rodzina zmarłego i o to toczy się prawdziwa walka. Dlatego chcę,

żeby podczas procesu twoja matka siedziała przy jednym stole ze mną i Quince'em Lundym, który jest administratorem majątku i wykonawcą testamentu. On jest biały, ja też jestem biały, a między nami usiądzie ładna i zadowolona Lettie. W tej sprawie chodzi o pieniądze, ale także o kwestie rasowe. Nie chcemy sali rozpraw czarnej po jednej stronie i białej po drugiej. Przedstawię sprawę ławie przysięgłych i...

– ...i ją wygrasz?

– Tylko idiota przewiduje, co mogą zrobić przysięgli. Ale mogę obiecać, że moje szanse na zwycięstwo są nieporównywalnie większe od szans Bookera Sistrunka.

– Jak ci za to płacą?

– Nie wahasz się zadawać dociekliwych pytań, co?

– Przepraszam. Po prostu tak wielu rzeczy nie wiem.

– Pracuję według stawki godzinowej, a moje honorarium jest pokrywane z masy spadkowej. W rozsądnym wymiarze i za zgodą sądu.

Pokiwała głową, jakby znała to na pamięć. Potem zakasłała i powiedziała:

– Zaszło mi w gardle. Masz coś zimnego do picia?

– Jasne. Chodź ze mną.

Zeszli na dół do małej kuchni i Jake znalazł jakiś dietetyczny napój gazowany. By zrobić na dziewczynie wrażenie, poprowadził ją do niewielkiej sali konferencyjnej z rozłożoną stertą papierów, nad którymi Quince Lundy wgrzyzał się w majątek Hubbarda. Quince się jeszcze nie pojawił i salka była pusta.

– Ile z tego jest w gotówce? – spytała nieśmiało Portia, jakby wkraczała na zakazany teren. Obrzuciła spojrzeniem kartony, jakby zamiast papierów leżały w nich pieniądze.

– Większość.

Z należytym podziwem obrzuciła wzrokiem półki wypełnione księgami i rozprawami prawniczymi, do których od lat nikt nie zaglądał.

– Masz ładne biuro – powiedziała.

– Nie jest moje. Należy do niejakiego Luciena Wilbanksa.

- Słyszałam o nim.
- Mało kto nie słyszał. Siadaj.

Usiadła w miękkim skórzanym fotelu przy stole konferencyjnym, a Jake zamknął drzwi. Oczywiście Roxy była w pełnej gotowości podsłuchowej.

Jake usiadł naprzeciwko i spojrzał na Portię.

- No to powiedz mi teraz, jak się pozbędziecie Sistrunka.
- Trzymając jego tłusty tyłek w pierdłu – bluznęła bez namysłu, jakby nadal jeszcze była w wojsku.
- To tylko na chwilę. – Jake roześmiał się. – Twoja matka musi go zwolnić. Ojciec nie może jej w tym przeszkodzić, bo nie jest stroną.

– Ale są mu winni pieniądze.

– Mogą je zwrócić później. Jeśli matka mi zaufa, to ją przez to przeprowadzę. Ale przede wszystkim musi poinformować Sistrunka, że go zwalnia. I Buckleya też. I zrobić to na piśmie. Mogę to za nią napisać, ona tylko podpisze.

– Daj mi trochę czasu do namysłu, dobrze?

– Nie mamy czasu. Im dłużej Sistrunk będzie się koło tego kręcił, tym więcej szkód wyrządzi. Uwielbia rozgłos i ściąganie na siebie uwagi. Na nieszczęście ściąga na siebie uwagę wszystkich białych w okręgu Ford. A z nich będą rekrutowali się nasi przysięgli.

– Ława przysięgłych będzie w całości biała?

– Nie, ale z dwunastu co najmniej ośmiu lub dziewięciu.

– Ława przysięgłych w procesie Haileya też była w całości biała, prawda?

– Owszem. I miałem wrażenie, że z każdym dniem jest coraz bielsza. Ale to była zupełnie inna sprawa.

Upiła łyk z puszki i ponownie powiodła wzrokiem po rzędach książek na półkach.

– Musi być fajnie być prawnikiem – powiedziała z rozmarzeniem w głosie.

Jake nie użyłby słowa „fajny”. Musiał sam przed sobą przyznać, że od dłuższego czasu uznawał swój zawód raczej za „uciążliwy”. Proces

Haileya był wielkim triumfem w sensie prestiżowym, ale za całą ciężką pracę, nękanie, fizyczne groźby i szarpiące nerwy incydenty zarobił dziewięćset dolarów. Do tego stracił dom, a niewiele brakowało, by także rodzinę.

- Zdarzają się fajne momenty – rzekł wymijająco.
- Powiedz mi, Jake, czy w Clanton są jakieś czarne prawniczki?
- Nie ma.
- A ilu czarnych prawników?
- Dwóch.
- Gdzie mieści się najbliższa kancelaria czarnej adwokatkki?
- Wiem o jednej w Tupelo.
- Znasz ją? Chciałabym ją poznać.
- Chętnie do niej zadzwonię. Nazywa się Barbara McNatt i jest bardzo sympatyczna. Skończyła prawo rok przede mną. Zajmuje się głównie prawem rodzinnym, ale miewa też do czynienia z gliniarzami i prokuratorami. To dobra prawniczka.

– Byłabym bardzo wdzięczna.

Upiła łyk, wypełniając kolejną chwilę niezręcznego milczenia. Jake wiedział dokładnie, do czego zmierza, jednak nie chciał zbyt jej pośpieszać.

– Wspomniałaś coś o studiach prawniczych – podsunął i to od razu przykuło jej uwagę. Porozmawiali o tym dłuższą chwilę, a Jake pilnował się, by jego uwagi nie sugerowały trzyletniej męczarni, jaką w rzeczywistości przeżył. Czasami Jake'a – jak zresztą wszystkich jego kolegów po fachu – młodzi ludzie pytali, czy poleca zawód prawnika. Nigdy nie potrafił z ręką na sercu zaprzeczyć, choć miał do niego mnóstwo zastrzeżeń. Przede wszystkim na rynku było za dużo prawników i za mało dobrej pracy. Siedzieli jeden obok drugiego w ciasnych klitkach przy głównych ulicach niezliczonych miasteczek lub jeden nad drugim w biurówcach w centrach miast. A mimo to połowy Amerykanów potrzebujących pomocy prawnej na nią nie stać, czyli prawników powinno być więcej. Ale nie prawników korporacyjnych czy ubezpieczeniowych i na pewno nie małomiasteczkowych papug jak on sam. Coś mu jednak mówiło, że jeśli Portia Lang

zostanie prawniczką, obierze właściwą drogę i będzie pomagać swoim pobratymcom.

Zjawił się Quince Lundy i przerwał im rozmowę. Jake przedstawił Portię, potem odprowadził ją do drzwi. Żegnając się w progu, zaprosił dziewczynę do domu na kolację.

△△△

Przesłuchanie w sprawie wniosku Kendricka Bosta o sądowy nakaz zwolnienia z aresztu rozpoczęło się o trzynastej na pierwszym piętrze budynku Sądu Federalnego w Oxfordzie i w tym momencie mecenas Booker F. Sistrunk miał za sobą ponad dwudziestoczętygodzinny pobyt w areszcie. Nie pojawił się osobiście na przesłuchaniu, czego zresztą nikt się nie spodziewał.

Sesji przewodniczył federalny sędzia pokoju, który nie wykazał zbyt dużego zainteresowania sprawą. W piątym obwodzie nie było dotąd przypadku, by sąd federalny musiał zajmować się oskarżeniem o obrazę sądu stanowego. Sędzia próbował wyszukać podobne sprawy w innych sądach w kraju, ale nikt nie potrafił mu w tym pomóc.

Bostowi pozwolono skarżyć się przez całe pół godziny, jednak w jego wywodach było mało treści. Próbował dowodzić wątpliwej tezy, że Sistrunk padł ofiarą jakiegoś bliżej niesprecyzowanego spisku władz okręgu Ford, które chciały go wyeliminować z postępowania w sprawie obrony testamentu. Bost nie użył argumentu, który dla wszystkich był oczywisty: Sistrunka należało zwolnić po prostu dlatego, że jest czarny i został źle potraktowany przez białego sędziego.

Wniosek Bosta oddalono, a on natychmiast złożył odwołanie do piątego apelacyjnego w Nowym Orleanie. Ponadto zarówno on, jak i Buckley złożyli skargę do Sądu Najwyższego stanu Missisipi na nieuzasadnione oskarżenie o obrazę sądu.

Booker Sistrunk spędzał czas w celi na grze w warcaby z nowo poznanym specjalistą od czeków bez pokrycia.

△△△

Rodzina ze strony matki miała niemieckie korzenie, więc Carla uczyła się niemieckiego w liceum, a następnie przez cztery lata uczęszczała na lektorat z niemieckiego podczas studiów na Ole Miss. W Clanton nie miała zbyt wielu okazji do ćwiczenia swych umiejętności językowych i dlatego z radością powitała Portię w ich skromnym domu, choć Jake zapomniał jej powiedzieć o swoim zaproszeniu i zrobił to dopiero tuż przed piątą.

– Nic się nie przejmuj – uspokoił ją. – To miła dziewczyna i może odegrać kluczową rolę w postępowaniu, a ponadto pewnie nigdy nie była na prozanej kolacji w domu białych. – W trakcie rozmowy, która zaczęła się w dość napiętej atmosferze, doszli do wniosku, że oni chyba też nigdy nie podejmowali kolacją nikogo czarnego.

Portia zjawiała się punktualnie o wpół do siódmej z butelką wina pod pachą, i to taką z prawdziwym korkiem. Choć Jake kilkakrotnie zapewnił ją, że wieczór będzie „domowy i całkiem niezobowiązujący”, ich gość zdążył się przebrać w długą luźną bawełnianą suknię. Przywitała się z Carlą po niemiecku, jednak szybko przeszły na angielski. Przeprosiła za gatunek wina – taniego czerwonego z Kalifornii – i wszyscy troje pośmiali się z żalosego wyboru win w miejscowych sklepach z alkoholem. Jake wyjaśnił, że praktycznie wszystkie alkohole łącznie z winem są kontraktowane centralnie przez władze stanowe i dopiero potem dostarczane do prywatnych sklepów w całym stanie. To dało asumpt do ożywionej dyskusji na temat idiotycznych przepisów stanowych o handlu alkoholem, które sprawiały, że w niektórych miastach można bez trudu kupić dziewięćdziesięcioprocentowy rum, ale ani jednej puszkę piwa.

Jake wziął do ręki butelkę i powiedział:

- Nie trzymamy w domu alkoholu.
- Przepraszam – odrzekła zmieszana Portia. – To może zabiorę ją z powrotem.
- Mam lepszy pomysł – wtrąciła Carla. – Po prostu od razu ją wypijmy.

Wszyscy uznali, że to świetny pomysł, i Jake udał się na poszukiwanie korkociągu, panie zaś podeszły do płyty kuchennej i zajęły

się kolacją. Portia przyznała się, że woli jeść, niż gotować, choć w Europie nauczyła się bardzo dużo o produktach spożywczych. Polubiła też włoskie wina, które jednak w okręgu Ford były trudno dostępne.

– Będiesz musiała po nie jeździć do Memphis – zauważył Jake, nie przerywając poszukiwań. Carla przygotowywała sos do spaghetti z pikantnymi kielbaskami i czekając, aż się ugotuje, zaczęła ćwiczyć podstawowe zwroty niemieckie. Portia cierpliwie jej w tym pomagała, czasem powtarzając za Carla, czasem ją poprawiając. Hanna dosłyszała obco brzmiące słowa i dołączyła do nich w kuchni. Została przedstawiona Portii, która powitała ją włoskim *ciao*.

– Co to znaczy *ciao*! – spytała Hanna.

– W potocznym włoskim znaczy „cześć” na przywitanie i pożegnanie, chociaż zdaje się, że po portugalsku też – wyjaśniła Portia. – W każdym razie brzmi to dużo prościej niż *guten Tag* czy *bonjour*.

– Umieję kilka słów po niemiecku – oznajmiła Hanna. – Mama mnie nauczyła.

– To później poćwiczymy – powiedziała Carla.

Jake w końcu znalazł stary korkociąg i otworzył butelkę.

– Kiedyś mieliśmy prawdziwe kieliszki do wina – bąknęła Carla, wyjmując trzy szklaneczki do wody. – Tak jak wszystko inne przepadły w pożarze.

Jake rozlał wino, stuknęli się szklaneczkami, powiedzieli „na zdrowie” i zasiedli przy kuchennym stole. Hanna ich zostawiła i wróciła do swojego pokoju.

– Rozmawiacie czasem o pożarze? – spytała Portia.

– Niespecjalnie – odrzekł Jake, Carla tylko pokręciła głową i odwróciła wzrok. – Ale jeśli czytasz gazety, to wiesz, że jeden z tych drani wyszedł na wolność i gdzieś się tu kręci.

– Czytałam. Dwadzieścia siedem miesięcy.

– Mhm. Zgadzam się: nie on zapalił zapałkę, ale brał udział w zaplanowaniu całości.

– Martwi was, że znów jest na wolności?

– Oczywiście, że nas martwi – powiedziała Carla. – Śpimy z

bronią pod poduszką.

– Dennisem Yawkeyem aż tak bardzo się nie przejmuję – rzekł Jake. – To tylko głupi gówniarz, który chciał się popisać przed kolegami. A poza tym Ozzie go bacznie obserwuje. Jeden niewłaściwy ruch, i Yawkey wróci do Parchman. Bardziej niepokoją mnie ci dranie, których nigdy nie złapano za rękę. Wielu, zarówno miejscowych, jak i obcych, maczało w tym palce. A przed sądem stanęło tylko czterech.

– Pięciu, jeśli liczyć Blunta – wtrąciła Carla.

– Blunt nie był jednym z oskarżonych. On tylko próbował wysadzić dom w powietrze na tydzień przed pożarem. Teraz przebywa w zakładzie dla psychicznie chorych i świetnie mu idzie udawanie wariata.

Carla podeszła do kuchenki, by zamieszać sos i włączyć palnik pod garnkiem z wodą.

– Przepraszam – bąknęła Portia. – Nie chciałam poruszać przykrego tematu.

– Nie szkodzi – rzucił Jake. – Opowiedz nam o Włoszech.

Przy jedzeniu Portia rozgadała się o swoich podróżach po Włoszech, Niemczech, Francji i reszcie Europy. Jeszcze w liceum postanowiła zwiedzić świat, uciec jak najdalej od Missisipi. Wojsko dało jej taką szansę, a ona w pełni ją wykorzystała. Po kursie rekruckim na pierwszych miejscach jej listy znalazły się Niemcy, Australia i Japonia. Stacjonując w Ansbach, cały żołd wydawała na bilety kolejowe i noclegi w studenckich hostelach. Zwykle podróżowała sama i odwiedziła wszystkie kraje od Szwecji po Grecję. Przez rok stacjonowała na Guam, ale brakowało jej tam europejskiej historii i kultury, a zwłaszcza jedzenia i wina, więc załatwiła sobie przeniesienie.

Jake był kiedyś w Meksyku, Carla odwiedziła Londyn. Wskrobali wspólnie dość funduszy i w piątą rocznicę ślubu pojechali na tanią wycieczkę do Paryża, którą do dziś z rozrzewnieniem wspominali. Ale poza tym siedzieli w domu. Czasami udawało im się w lecie wyskoczyć na tydzień na plażę w Destin. Z zazdrością słuchali

opowieści Portii, Hanna wpatrywała się w nią jak urzeczona.

– I widziałaś nawet piramidy? – spytała w pewnej chwili.

Portia rzeczywiście je widziała. Wyglądało na to, że właściwie była wszędzie i wszystko zwiedziła. Butelkę opróżnili do dna już przy sałacie na przystawkę i chętnie wypiliby więcej. Carla zastąpiła wino mrożoną herbatą i jakoś dotrwali do końca posiłku.

Po kolacji Hanna poszła spać, a oni zasiedli w pokoju z filiżankami bezkofeinowej kawy, pogryzając kruche ciasteczka i rozmawiając o problemach świata.

Podczas całego wieczoru nikt ani razu nie wspomniał o Lettie, testamencie i związanych z nim sprawach.

Rozdział 20

Acil Hubbard nie nazywał się już Ancil Hubbard. Dawnego nazwiska i dawnej tożsamości pozbył się już pośpiesznie wiele lat temu, gdy odnalazła go kobieta w ciąży i zaczęła stawiać warunki i żądania. Nie była pierwszą, przez którą miał kłopoty, i musiał zmienić nazwisko. W Tajlandii mieszkała porzucona żona, w para krajach było para zazdrosnych mężów, interesowały się nim władze skarbowe, służby policyjne w co najmniej trzech krajach i wściekły handlarz narkotyków w Kostaryce. A to tylko te najważniejsze z efektów burzliwego i chaotycznego życia, które już dawno temu chętnie zamieniłby na bardziej zorganizowane i tradycyjne. Jednak zorganizowane i tradycyjne życie nie było mu pisane.

Aktualnie pracował w barze w Juneau na Alasce, w zakazanej części miasta, w której spotykały się przeróżne morskie i lądowe męty, by sobie popić, pograć w kości i upuścić trochę pary. Dwóch groźnie wyglądających wykidajłów utrzymywało jaki toki porządek, ale awantura niemal zawsze wisiała w powietrzu. Przybrał imię Lonny, które dwa lata wcześniej rzuciło mu się w oczy w nekrologu wydrukowanym w gazecie w Tacoma. Nazywał się teraz Lonny Clark. Wiedział, jak można oszukać system, i gdyby tylko chciał, mógł sobie na to nazwisko wyrobić numer ubezpieczenia społecznego i prawo jazdy, a nawet paszport. Ale Lonny wołał się nie wychylać, dzięki czemu w żadnym komputerze czy teczce z aktami w administracji stanowej nie było po nim śladu. Po prostu w sensie prawnym nie istniał, choć na wszelki wypadek miał pod ręką komplet fałszywych dokumentów. Wołał pracować w barach, bo płacono w nich

żywą gotówką. Wynajmował pokój w tanim domu noclegowym, za który też płacił gotówką. Jeździł rowerem i autobusami, a gdyby musiał szybko zniknąć – co mogło się zawsze zdarzyć – kupiłby za gotówkę bilet na greyhounda, okazując fałszywe prawo jazdy. Albo wyruszyłby autostopem, jak przejechał już miliony kilometrów.

Stojąc za barem, mógł się przyglądać wszystkim wchodzącym i wychodzącym. Gdy się przez trzydzieści lat ucieka, to człowiek uczy się patrzeć i dostrzegać – a to zbyt baczne spojrzenie, a to kogoś o wyglądzie czy zachowaniu odstającym od normy. Ponieważ jego różne występki nie spowodowały żadnych obrażeń fizycznych u innych ani – niestety – nie przyniosły mu znaczących pieniędzy, to całkiem możliwe, że nikt go w ogóle nie ścigał. Lonny był tylko drobnym kanciarzem, którego podstawową wadą był nadmierny sentyment do upadłych kobiet. Ale akurat to trudno uznać za przestępstwo. Miał wprawdzie na sumieniu prawdziwe przestępstwa – drobny handel narkotykami, drobny handel bronią – ale, do cholery, człowiek musi z czegoś żyć, nie? Może znalazłoby się też kilka poważniejszych przestępstw. Niemniej w ciągu życia spędzonego na wiecznej włóczędze Lonny nauczył się oglądać przez ramię.

Obecnie czyny przestępcze, podobnie jak upadłe kobiety, należały w zasadzie do przeszłości. W wieku sześćdziesięciu sześciu lat Lonny pogodził się z tym, że zamierające libido nie musi być powodem do zmartwień. Dzięki temu nie pakował się już w kłopoty i mógł poświęcać więcej uwagi innym sprawom. Marzył o kupnie kutra rybackiego, choć zdawał sobie sprawę, że przy swoich żalosnych zarobkach nigdy nie odłoży wystarczająco dużo. Często przemyślał o jeszcze jednej, finalnej transakcji narkotykowej. O wygraniu szlema, który mu zapewni pokaźną sumkę i uwolni od trosk. Jednak panicznie bał się więzienia. Gdyby wpadł, przy jego wieku i ilości towaru, o jakiej myślał, do końca życia pozostałby za kratami. A niestety jego wcześniejsze transakcje – do czego niechętnie się przyznawał nawet przed samym sobą – nie poszły najlepiej.

Więc nie, dziękuję. Czuł się spokojny, stojąc za barem, gawędząc z marynarzami i dziwkami i udzielając im życiowych rad. Zamykał bar

codziennie o drugiej w nocy i wracał pieszo, lekko wstawiony, do ciasnego pokoiku w domu noclegowym, gdzie walił się do brudnego wyra i z sentymentem wspominał dni spędzane na otwartym morzu – najpierw w marynarce wojennej, potem na pokładach statków i jachtów, a nawet tankowców. Gdy człowiek nie ma przyszłości, zaczyna żyć przeszłością i Lonny'ego czekało to już do końca życia.

Nigdy nie wspominał Missisipi ani spędzonego tam dzieciństwa. Od pierwszej chwili, gdy tylko się stamtąd wyrwał, nauczył się nie dopuszczać do głowy żadnych myśli o tamtych miejscach i czasach. Jakby pstrykając przyciskiem aparatu, bez trudu zmieniał obrazy i scenerię i po kilkudziesięciu latach takich zabiegów wyrobił w sobie przekonanie, że w ogóle nigdy tam nie mieszkał. Jego życie zaczęło się, gdy skończył szesnaście lat. Wcześniej nic się nie działo.

Zupełnie nic.

△△△

Wczesnie rano drugiego dnia w areszcie, krótko po śniadaniu złożonym z zimnej jajecznicy i jeszcze zimniejszych tostów, Sistrunka wyprowadzono z celi i doprowadzono bez kajdanek do biura szeryfa. Eskortujący go funkcjonariusz kazał mu wejść, sam został pod drzwiami. Ozzie powitał adwokata ciepło i spytał, czy ma ochotę na świeżo zaparzoną kawę, zaproponował też właśnie dowieszone pączki. Sistrunk z zapalem rzucił się na jedno i drugie.

– Jeśli chcesz, możesz za dwie godziny stąd wyjść – powiedział Ozzie. Sistrunk nadstawił uszu. – Wystarczy, jeśli pójdziesz do sądu i przeprosisz sędziego Atlee. Zdązysz wrócić do Memphis jeszcze przed lunchem.

– Tu mi się podoba – wymamrotał Sistrunk z ustami pełnymi pączka.

– Nie, Booker, tobie się co innego podoba. – Ozzie podsunął mu gazetę z Memphis. W dolnej części pierwszej strony działu miejscowego zamieszczono zdjęcie Sistrunka wyjęte z archiwum, obok widniał duży tytuł: SĄD ODMÓWIŁ SISTRUNKOWI NAKAZU ZWOLNIENIA; ZOSTAJE ZA KRATKAMI W CLANTON. Opy-

chając się następnym pączkiem, Sistrunk wolno przeczytał notatkę. Ozzie dojrzał na jego twarzy cień uśmiechu.

– Kolejny dzień, kolejny tytuł, co, Booker? Tylko o to ci chodzi w tej sprawie?

– Walczę w imieniu mojej klientki, szeryfie. Dobro przeciwko złu. Dziwi mnie, że tego nie rozumiesz.

– Wszystko wiem, Booker, zwłaszcza jedno: nie poprowadzisz tej sprawy w sądzie sędziego Atlee, koniec, kropka. Naraziłeś mu się i ma dość ciebie i twoich wygłupów. Trafiłeś na jego czarną listę i już na niej zostaniesz.

– Nie ma problemu, szeryfie. Zwrócę się do sądu federalnego.

– Jasne, w sądzie federalnym możesz oczywiście złożyć jakiś wydumany pozew o naruszenie praw obywatelskich, tylko że nic z tego nie będzie. Rozmawiałem z paroma znajomymi prawnikami, którzy mają do czynienia z pozwami federalnymi. Nazywają cię „tym zasańcem”. Posłuchaj, Booker. Nie da się tutaj sędziom tak grać na nosie, jako to robisz w Memphis. Tu, na północy, mamy trzech sędziów federalnych. Jeden z nich był wcześniej sędzią w sądzie kanclerskim, tak jak Atlee. Drugi jest eksprokuratorem okręgowym, trzeci był oskarżycielem federalnym. Wszyscy trzej biali i wszyscy o dość konserwatywnych poglądach. Wydaje ci się, że wejdiesz do sądu federalnego, zaczniesz nas obrzucać swoim rasistowskim gównem i ktoś to kupi? Dureń z ciebie.

– A ty nie jesteś prawnikiem, szeryfie. Ale dzięki za poradę prawną. Zdążę o niej zapomnieć, zanim wrócę do celi.

Ozzie odchylił się i przeniósł nogi ni biurko. Jego wyglansowane kowbojki lśniły złowrogo. Uniósł głowę i wbił w sufit zasepiiony wzrok.

– Ułatwisz białym znieprawienie Lettie Lang, zdajesz sobie z tego sprawę?

– Jest czarna. Znieprawili ją dawno temu, nim tu przyjechałem.

– I tu się mylisz. Zostałem dwukrotnie wybrany na szeryfa przez białych mieszkańców tego okręgu, To w większości przyzwoici ludzie. Podejdą do Lettie uczciwie i bezstronnie. Przynajmniej tak by

zrobili, zanim się tu zjawiłeś. Teraz to już wojna czarnych przeciwko białym, a nam zabraknie głosów. Idiota z ciebie, Booker, wiesz o tym? Nie wiem, jakie macie prawo w Memphis, ale tu ono nie działa.

- Dzięki za kawę i pączki. Mogę już iść?
- Możesz.

Sistrunk wstał i już od drzwi rzucił:

– A tak przy okazji. Nie jestem pewny, czy twój areszt spełnia wymogi federalne.

- Podaj mnie do sądu.
- Mnóstwo niedociągnięć.
- Może być jeszcze gorzej.

△△△

Portia przyszła następnego dnia przed południem. Jake kończył długą rozmowę telefoniczną, więc pogawędziła z Roxy przy jej biurku, po czym poszła na górę. Miała przekrwione oczy, ręce jej drżały i wyglądała, jakby od tygodnia nie spała. Przez chwilę rozmawiali o wczorajszej kolacji, jednak Jake szybko przerwał towarzyskie pogaduszki.

- Co się dzieje? – spytał bez ogródek.

Przymknęła powieki, potarła czoło i zaczęła mówić:

– Przez całą noc nie spaliśmy. Wybuchła karczemna awantura. Ojciec cały czas pił. Niezbyt się upił, ale wystarczająco, by się wprowadzić w stan ekscytacji. Obie z mamą oznajmiłyśmy, że musimy się pozbyć Sistrunka. Jemu to się oczywiście nie spodobało, i zaczęła się kłótnia. Dom pełen ludzi, a my wrzeszczeliśmy na siebie jak głupi. W końcu wypadł z domu i więcej się nie pokazał. To ta zła wiadomość. Dobra jest taka, że mama jest gotowa wszystko podpisać, byle tylko uwolnić się od tych facetów z Memphis.

Jake podszedł do biurka i podał Portii kartkę papieru.

- Tu jest po prostu napisane, że go zwalnia. Nic więcej. Jeśli mama to podpisze, wypłyniemy na czyste wody.
- A co z ojcem?
- Może sobie nająć tylu prawników, ilu zechce. Testament nic o

nim nie wspomina, więc nie jest stroną sporu. Sędzia Atlee nie dopuści ani jego, ani jego prawników. Dla Simeona gra jest skończona. Sprawa toczy się między Lettie a rodziną Hubbarda. Myślisz, że to podpisze?

- Zaraz wracam.
- Gdzie ona jest?
- W samochodzie przed biurem.
- Poproś, żeby weszła.
- Nie chce. Boi się, że się na nią gniewasz.

Jake nie wierzył własnym uszom.

– Portio, przestań. Zaparzę świeżą kawę i pogadamy. Idź po matkę.

△△△

Sistrunk leżał wygodnie rozciągnięty na dolnej pryczy i czytał. Na brzuchu miał plik kartek z wnioskami i konspektami, w nogach siedział kompan z celi i czytał książkę w kieszonkowym wydaniu. Zabrzęczał metalowy skobel, drzwi otworzyły się i stanął w nich Ozzie.

– Idziemy, Booker – rzucił, wręczając mu wieszak z garniturem, koszulą i krawatem. Buty i skarpetki znajdowały się w papierowej torbie na zakupy.

Wyszli tylnymi drzwiami i podeszli do zaparkowanego na podwórzu radiowożu. Chwilę później podjechali pod budynek sądu i weszli do środka. Nikt niczego nie zauważył i korytarze były puste. Na drugim piętrze weszli do sekretariatu przed gabinetem sędziego Atlee. Protokółantka sądowa pełniła równocześnie funkcję sekretarki sędziego. Wskazała ręką drzwi i rzuciła krótkie: „Czekają”.

– Co tu jest grane? – burknął Sistrunk, chyba już po raz czwarty, a Ozzie po raz czwarty zignorował jego pytanie i bez słowa otworzył drzwi. Sędzia Atlee siedział na końcu długiego stołu, jak zwykle w czarnym garniturze, ale bez togi. Na prawo od niego siedzieli Jake, Lettie i Portia. Sędzia wskazał miejsca po lewej stronie i powiedział:

- Proszę, panowie, siadajcie.

Usiedli, Sistrunk bliżej, Ozzie dalej od sędziego.

Sistrunk wlepił wzrok w siedzących po drugiej stronie stołu Jake'a i Lettie, z trudem utrzymując język za zębami. Przywykł najpierw strzelać i dopiero potem zadawać pytania, jednak tym razem zdrowy rozsądek mu podpowiedział, że bezpieczniej będzie się przymknąć i nie drażnić niepotrzebnie sędziego. Lettie z uwagą przyglądała się swoim dłoniom, Jake pisał coś w notatniku.

– Proszę się z tym zapoznać. Dostał pan wypowiedzenie – powiedział sędzia, przesuwając po stole kartkę papieru.

Sistrunk przeczytał króciutki tekst i podniósł wzrok na Lettie.

– Ty to podpisałaś? – zapytał.

– Tak.

– Zostałaś zmuszona?

– Absolutnie nie – wtrąciła ostro Portia. – Sama postanowiła zrezygnować z pańskich usług. Ma pan to czarno na białym. Rozumie pan?

– Gdzie jest Simeon?

– Nie ma go – odrzekła Lettie. – Nie wiem, kiedy wróci.

– Nadal go reprezentuję – mruknął Sistrunk.

– Simeon nie jest stroną w tej sprawie – wtrącił sędzia Atlee. – W związku z tym nie będzie mógł uczestniczyć w rozprawie, podobnie zresztą jak pan. – Wziął do ręki następną kartkę i podał Sistrunkowi. – To decyzja, którą właśnie podpisałem, o uwolnieniu pana od zarzutu obrazy sądu. Ponieważ nie bierze pan już udziału w tej sprawie, jest pan wolny, panie Sistrunk. Może pan odejść. – Zabrzmiało to bardziej jak polecenie niż zgoda.

Sistrunk spojrział na Lettie.

– Należy mi się wynagrodzenie za poświęcony czas i wysiłek – rzucił ze złością. – Poza tym jest jeszcze sprawa długu. Kiedy dostanę te pieniądze?

– W odpowiednim czasie – powiedział Jake.

– Chcę je teraz.

– No cóż, teraz ich pan nie dostanie.

– Wystąpię na drogę sądową.

- Świetnie. A ja podejmę się obrony.
- A ja będę przewodniczył – dodał sędzia Atlee. – Wyznaczę wstępny termin za jakieś cztery lata.

Portii nie udało się opanować chichotu.

– To już wszystko, panie sędzio? – zapytał Ozzie. – Bo muszę odwiedzić pana Sistrunka aż do Memphis. Zdaje się, że trochę się tu zasiedział. Poza tym muszę z nim pogadać o paru rzeczach.

– Sprawa na tym się nie kończy. Jeszcze o mnie usłyszysz – warknął Sistrunk w stronę Lettie.

– Nie wątpię. – Jake skinął głową.

– Zabierzcie go stąd – rzekł sędzia Atlee. – Najlepiej do granicy stanu.

Spotkanie dobiegło końca.

Rozdział 21

Kancelaria prawna Jake'a Brigance'a nigdy nie zatrudniała praktykantów, choć inni prawnicy przy rynku od czasu do czasu korzystali z ich usług. Zwykle byli to uczniowie miejscowego liceum, którzy planowali podjęcie studiów prawniczych i chcieli wzbogacić swoje CV. Teoretycznie byli źródłem taniej lub wręcz bezpłatnej siły roboczej, jednak Jake słyszał o nich więcej złego niż dobrego i dlatego do pojawienia się Portii Lang nawet o tym nie myślał. Jednak Portia była inteligentna, znużona bezczynnością, bez pracy i myślała o pójściu na prawo. Była też najrozsądniejszą osobą w tłumie mieszkańców starego domu Sappingtonów i matka bezgranicznie jej ufała, a matka wciąż jeszcze miała szansę stać się najbogatszą czarną kobietą w całym stanie, choć Jake dostrzegał liczne piętrzące się przed nią przeszkody.

Zatrudnił Portię z pensją pięćdziesięciu dolarów tygodniowo i przydzielił jej pokój na piętrze, by odseparować ją od Roxy, Quince'a Lundy'ego i przede wszystkim Luciena, który od Święta Dziękczynienia zaczął pojawiać się codziennie, coraz bardziej przypominając dawnego siebie. W końcu była to jego kancelaria i jeśli chciał palić cygara i zasmradzać powietrze w całym biurze, nikt nie mógł mu tego zabronić. Jeśli miał ochotę kręcić się po recepcji ze szklaneczką burbona w dłoni i peszyć Roxy opowiadaniem świńskich kawałów, to trudno. Jeśli zamęczał Quince'a Lundy'ego wypytywaniem o majątek Setha Hubbarda, to kto mógł mu w tym przeszkodzić?

W rezultacie Jake'owi coraz więcej czasu zabierało rozsądzanie sporów wśród coraz liczniejszego personelu. Dwa miesiące wcześniej

we dwoje z Roxy wiedli spokojne i nudnawe, ale efektywne życie zawodowe. Teraz zdarzały się kwasy i dąsy, czasem otwarte konflikty, ale także było dużo śmiechu i pracy zespołowej. Właściwie całkiem podobał mu się ten ruch i zamieszanie, choć z przerażeniem myślał o możliwości powrotu Luciena do pełnej praktyki adwokackiej. Z jednej strony go lubił i szanował jego rady i przemyślenia, z drugiej wiedział, że nie wytrwa długo w nowym układzie. W tej sytuacji mógł tylko liczyć na zapis w prawie stanu Missisipi, zgodnie z którym adwokat pozbawiony uprawnień i starający się o ich przywrócenie musiał od nowa zdawać pełny egzamin adwokacki. Lucien miał sześćdziesiąt trzy lata i codziennie od jakiejś piątej po południu (czasami nawet wcześniej) do późnego wieczora nie rozstawał się ze szklaneczką Jacka Daniela. Nie było szans, by ktoś pijący takie ilości alkoholu mógł zdać tak trudny egzamin.

Pierwszego dnia Portia stawiała się do pracy rano za pięć dziewiąta, pięć minut przed wyznaczoną godziną. Wcześniej grzecznie zapytała Jake'a o zasady ubierania się do pracy, a on jej grzecznie odpowiedział, że nic nie wie o sposobie ubierania się praktykantek, ale sądzi, że ubierają się swobodnie i niezobowiązująco. Jeśli się zdarzy, że będzie musiała pójść do sądu, pewnie powinna włożyć coś eleganckiego, ale w sumie było mu wszystko jedno. Po tej rozmowie spodziewał się ją zobaczyć w dżinsach i trampkach, jednak Portia przyszła w ładnej bluzce, spódniczce i szpilkach. Aż się paliła do pracy i już po paru minutach Jake odniósł wrażenie, że dziewczyna myśli o sobie jako o prawniczce. Zaprowadził ją do jej pokoju, jednego z trzech wolnych na piętrze. Stał nieużywany, odkąd podupadła chwała starej firmy prawniczej Wilbanksów, i Portia powiodła zdumionym wzrokiem po wielkim drewnianym biurku i zakurzonych, ale eleganckich meblach.

– Kto ostatni zajmował ten gabinet? – spytała, przyglądając się wyblakłemu portretowi kogoś ze starych Wilbanksów.

– Będiesz musiała spytać Luciena – odrzekł Jake. W ciągu ostatnich dziesięciu lat nie przebywał w tym pokoju dłużej niż pięć minut.

- Robi wrażenie.
- Niezły jak dla praktykantki – potwierdził Jake. – W ciągu dnia przyjdzie monter, żeby podłączyć ci telefon, i będziesz mogła zaczynać.

Następne pół godziny spędzili na omawianiu regulaminu pracy w biurze i spraw organizacyjnych: korzystanie z telefonu, przerwa na lunch, biurowa etykieta, nadgodziny itp. W pierwszej kolejności Portia miała przestudiować kilkanaście przypadków podważenia ważności testamentu, jakie były rozpatrywane przez ławy przysięgłych w różnych sądach Missisipi. Miała zapoznać się z obowiązującymi w tym zakresie przepisami i prawniczym żargonem, bo pomoże jej to rozumieć wszystko, co się będzie działo wokół sprawy jej matki. Przeczytaj wszystko od deski do deski, powiedział Jake, a gdy skończysz, zacznij od początku. Porób sobie notatki. Przegryź się przez obowiązujące przepisy tak, żebyś mogła swobodnie się w nich poruszać, a wtedy twoje rozmowy z matką nabiorą więcej sensu. Podczas rozprawy Lettie będzie naszym kluczowym świadkiem i należy zacząć budować fundament jej zeznań. Oczywiście prawda jest najważniejsza, ale każdy prawnik procesowy ci powie, że prawdę da się mówić na różne sposoby.

Ledwo Jake zostawił ją samą, gdy do gabinetu wparował Lucien i rozgościł się bez pytania. Poznali się z Portią dzień wcześniej i wzajemne przedstawianie było zbędne. Rozgadał się szeroko o tym, jak mądrym posunięciem było pozbycie się prawników z Memphis i przyłączenie do Jake'a, choć jego zdaniem wygranie tej sprawy i tak będzie bardzo trudne. Przypomniwał sobie, że dwadzieścia lat wcześniej reprezentował jednego z kuzynów jej ojca, także Langa, w sprawie kryminalnej. Udało mu się wtedy wybronić chłopaka od więzienia. Wykonał świetną robotę adwokacką. To mu z kolei przypomniało historię pewnej strzelaniny, w której uczestniczyło czterech mężczyzn, zupełnie – o ile mu wiadomo – niespokrewnionych z Portią. Portia знаła Luciena ze słyszenia i wlokącej się za nim reputacji. Jak wszyscy wiedziała, że jest pijaczną, który jako pierwszy biały wstąpił do miejscowego koła NAACP, a obecnie żyje ze swoją

służącą w wielkim domu na wzgórzu. Był po części legendą, po części miejscowym złym duchem, którego nigdy nie spodziewała się poznać osobiście. A teraz proszę, siedzi i z nią gawędzi (i to w jej gabinecie!), jakby byli starymi znajomymi. Przez pewien czas słuchała go z uwagą, jednak po godzinie zaczęła się ze strachem zastanawiać, jak często mogą się powtarzać takie wizyty.

△△△

Jake zamknął się z Lundym na klucz w swoim gabinecie i zaczęli punkt po punkcie omawiać zawartość dokumentu, który od tej chwili miał się nazywać „Inwentaryzacja wstępna”. Po miesiącu ślęczenia nad dokumentami Lundy był przeświadczony, że inwentaryzacja ostateczna nie będzie bardzo odbiegała od wstępnej. Nie natknął się na żadne ukryte aktywa, Hubbard wiedział z góry, kiedy i jak umrze, i dopilnował, by zostawić po sobie odpowiednio uporządkowaną dokumentację.

Wycena nieruchomości była kompletna i aktualna. W chwili śmierci Seth był właścicielem: domu mieszkalnego na działce o powierzchni 81 hektarów, wycenionego na 300 000 dolarów; nieco ponad 60 hektarów lasu do wyrębu w pobliżu Valdosty w Georgii, wycenionego na 450 000 dolarów; blisko 162 hektarów lasu do wyrębu w pobliżu Marshall w Teksasie, wycenionego na 800 000 dolarów; pustej działki budowlanej nad zatoką na północ od Clearwater na Florydzie, wycenionej na 100 000 dolarów; domku letniskowego na dwuhektarowej działce w pobliżu Boone w Karolinie Północnej, wycenionego na 280 000 dolarów; apartamentu na czwartym piętrze bloku przy plaży w Destin na Florydzie, wycenionego na 230 000 dolarów.

Łączna wartość wszystkich nieruchomości Setha wynosiła 2 160 000 dolarów, ich hipoteki nie były niczym obciążone.

Firma konsultingowa z Atlanty wyceniła łączną wartość Zakładów Drzewnych Berlinga na 400 000 dolarów. Jej ostatnie sprawozdanie finansowe i wycena stanowiły załączniki do spisu inwentaryzacji.

Załącznikami były też wyciągi z kont w banku w Birmingham, z

których wynikało, że łączna kwota depozytów na sześć procent rocznie wynosi obecnie nieco ponad 21 360 000 dolarów.

Oczywiście najbardziej uciążliwa była drobnica. Quince Lundy umieścił w wykazie tyle rzeczy Seta, ile jego zdaniem sąd był w stanie przełknąć, poczynając od jego pojazdów (35 000 dolarów), a na osobistej garderobie kończąc (1000 dolarów).

Jednak wielkie liczby nadal robiły ogromne wrażenie. W inwentaryzacji wstępnej wykazano majątek Seta wyceniony łącznie na 24 020 000 dolarów, w czym lwiał część stanowiła gotówka. Wartość wszystkich pozostałych części składowych majątku zależała od sytuacji na rynku i mogła podlegać fluktuacjom, ich spieniężenie zaś mogło trwać miesiącami czy wręcz latami. Gotówka w banku była namacalna i twarda jak skała.

Plik kartek z inwentaryzacją był gruby na dwa i pół centymetra i Jake'owi zależało, by nikt w biurze ich nie widział. Dlatego sam stanął przy kopiarce i osobiście skopiował całość w dwóch egzemplarzach, po czym wyszedł wcześniej na lunch, pojechał do szkoły i zjadł w stołówce szkolnej spaghetti w towarzystwie żony i córki. Starał się wpadać do szkoły co najmniej raz w tygodniu, najczęściej w środy, kiedy Hanna nie brała z domu drugiego śniadania, by móc zjeść szkolny lunch. Uwielbiała spaghetti, ale jeszcze bardziej posiłki z ojcem.

Po lunchu Hanna pobiegła na dziedziniec, a Jake odprowadził Carlę do jej klasy. Zadzwęczał dzwonek, przywołując dzieci na zajęcia.

- Idę na spotkanie z sędzią Atlee – powiedział z uśmiechem Jake.
- Dzisiaj pierwszy dzień wypłaty.
 - Powodzenia – szepnęła, ukradkiem go całując. – Kocham cię.
 - Ja też cię kocham. – Jake wyszedł z klasy i usunął się pod ścianę, by przepuścić pędzącą watahę małych ludzików.

Sędzia Atlee siedział przy swoim biurku i kończył jeść zupę pomidorową, gdy jego sekretarka wpuściła Jake'a do gabinetu. Wbrew zaleceniom lekarza sędzia nadal palił fajkę – mimo starań nie potrafił się od niej uwolnić – i teraz też załadował główkę mieszanką tytoniu

Sir Walter Raleigh i przyłożył zapalną. Po trzydziestu latach nałogowego palenia cały gabinet sędziego był pokryty brunatnym nalotem, a pod sufitem na stałe wisiała mgielka dymu. Na szczęście przez lekko uchylone okno wpadało nieco świeżego powietrza, choć Jake musiał przyznać, że zapach fajkowego dymu jest całkiem przyjemny. Zawsze się tu dobrze czuł. Ściany były zastawione regałami z opasłymi księgami i obwieszone portretami dawno zmarłych sędziów i konfederackich generałów. W ciągu dwudziestu lat rezydowania w tym gabinecie sędzia Atlee niczego w nim nie zmienił. Jake podejrzewał, że w ciągu minionych pięćdziesięciu lat też się tu wiele nie zmieniło. Sędzia kochał historię i swoje najważniejsze księgi trzymał w idealnym porządku na zrobionym na zamówienie regale w rogu gabinetu. Biurko zawałowały papierzyska i Jake był gotów się założyć, że leżąca na prawym rogu podniszczona teczka z dokumentami tkwiła tam już od dziesięciu lat.

Właśnie dziesięć lat temu spotkali się po raz pierwszy na nabożeństwie w kościele prezbiteriańskim wkrótce po ich, Carli i Jake'a, przyjeździe do Clanton. Sędzia działał w kościele z taką samą werwą, z jaką robił wszystko w swoim życiu, i wkrótce wciągnął do tego młodego prawnika. Szybko się zaprzyjaźnili, jednak ich znajomość nigdy nie wyszła poza kontakty zawodowe.

Reuben Atlee należał do starej szkoły. Był sędzią, Jake był tylko jednym z prawników i tego rozgraniczenia należało ściśle przestrzegać. Jako sędzia nie omieszkał dwukrotnie zbesztać Jake'a przy wszystkich i ten dobrze tę lekcję zapamiętał.

Trzymając cybuch fajki w kąciку ust, sędzia zdjął z oparcia czarną marynarkę i ją włożył. Z wyjątkiem występów w sali rozpraw, kiedy miał na sobie togę, sędziego widywano zawsze w czarnym garniturze. Takim samym czarnym garniturze. Nikt nie wiedział, czy sędzia ma ich dwadzieścia, czy tylko jeden, bo wyglądały identycznie. Do tego zawsze nosił granatowe szelki i białe wykrochmalone koszule, w większości upstrzone dziurkami wypalonymi przez gorący popiół z fajki. Atlee przeniósł się na koniec stołu i zaczęli rozmawiać o Lucienie. Jake otworzył teczkę i podał sędziemu kserokopię wykazu.

– Quince Lundy jest bardzo dobry w tym, co robi – powiedział. – Nie chciałbym, żeby kiedyś grzebał w moich finansach.

– Pewnie dużo czasu by mu to nie zajęło – mruknął sędzia.

W opinii wielu był człowiekiem zupełnie pozbawionym poczucia humoru, jednak wobec tych, których lubił, pozwalał sobie czasem na złośliwe żarciki.

– No, to prawda.

Jak na sędziego był oszczędny w słowach. W milczeniu przewertował strona po stronie spis inwentaryzacyjny. Tytoń w fajce już się nie żarzył, ale Atlee tylko przestał pykać, nie wyjmując cybucha z ust. Czas nie miał znaczenia, to sędzia bowiem rządził zegarem. Na koniec wyjął fajkę z ust, położył na popielniczce i powiedział:

– Dwadzieścia cztery miliony, tak?

– Łącznie wszystko razem.

– Trzymajmy to pod kluczem, Jake, zgoda? Nikt nie powinien tego widzieć, przynajmniej na razie. Przygotuj wniosek, a ja utajnię ten fragment dokumentacji. Bóg raczy wiedzieć, co by się działo, gdyby się to przedostało do wiadomości publicznej. Pewnie trafiłoby na pierwsze strony gazet i przyciągnęło jeszcze więcej prawniczych hien. Później i tak to wyjdzie na jaw, ale na razie zachowajmy to w tajemnicy.

– Też tak uważam, panie sędzio.

– Jakież wiadomości od Sistrunka?

– Nie, panie sędzio, a mam teraz dostęp do pewnego źródła wiadomości. W duchu pełnej jawności poczynań chcę pana zawiadomić, że zatrudniłem u siebie nową stażystkę. Portia Lang, najstarsza córka Lettie. Inteligentna dziewczyna, myśli o podjęciu studiów prawniczych.

– Sprytne posunięcie, Jake. A dziewczyna naprawdę mi się podoba.

– Czyli nie ma problemu?

– Żadnego. Nie kieruję pracą twojego biura.

– Nie będzie konfliktu interesów?

– Niczego takiego nie widzę.

– Ja też nie. Jeśli Sistrunk się pojawi lub zacznie węszyć, będziemy od razu wiedzieli. Simeona nadal nie ma, ale pewnie w końcu wróci do domu. Może jest rozrabiaką, ale nie jest głupi. Lettie wciąż jest jego żoną.

– Na pewno wróci. Jest jeszcze coś, Jake. Zgodnie z testamentem pięć procent majątku dziedziczy brat zmarłego, Ancil Hubbard. To oczywiście czyni z niego stronę w postępowaniu. Czytałem twoje sprawozdanie i oświadczenia i rozumiem, że postępujemy tak, jakby Ancil już nie żył. Ale to mnie niepokoi. Ponieważ nie mamy pewności, nie powinniśmy z góry zakładać, że nie żyje.

– Szukaliśmy, panie sędzio, ale nie natrafiłszy na żadne ślady.

– Wiem, ale nie jesteś zawodowcem w tej dziedzinie. Oto mój pomysł. Pięć procent tej masy spadkowej to ponad milion dolarów. Jestem za tym, żeby wykorzystać część tej sumy, powiedzmy jakieś pięćdziesiąt tysięcy czy coś koło tego, wynajmując dobrą agencję detektywistyczną i zlecić jej znalezienie Ancila lub przynajmniej ustalenie, co się z nim stało. Co o tym myślisz?

W takich sytuacjach sędziemu Atlee tak naprawdę było obojętne, co kto myśli o jego pomysłach. Decyzja została już podjęta, a on tylko ubierał ją w grzeczne słówka.

– Świetny pomysł – powiedział Jake, mówiąc to, co każdy sędzia lubi słyszeć.

– Wyrażę zgodę na twój wniosek. A co z innymi kosztami?

– No cóż, panie sędzio, cieszę się, że pan o to pyta. Bo chciałbym dostać swoją zapłatę. – Jake wręczył sędziemu zestawienie pracowanych godzin. Sędzia uważnie przebiegł je wzrokiem i zmarszczył czoło, jakby Jake próbował złupić masę spadkową, po czym powiedział: – Sto osiemdziesiąt godzin. Jaka stawkę zaakceptowałem?

Jake pomyślał, że stary łajdak pamięta dokładnie, co zaakceptował.

– Sto pięćdziesiąt za godzinę – powiedział głośno.

– Czyli w sumie to daje... – sędzia zawiesił głos, wpatrując się w zestawienie przez zsunięte na koniec nosa grube szkła do czytania i

nadal marszcząc czoło, jakby ktoś go znieważał – ...dwadzieścia siedem tysięcy dolarów? – dokończył z niedowierzaniem w głosie.

– Co najmniej.

– Trochę drogo, nie uważasz?

– Wręcz przeciwnie, panie sędzio. To okazja.

– A także miłe rozpoczęcie sezonu urlopowego.

– O tak, to też. – Jake nie miał wątpliwości, że Atlee zaakceptowałby jego wyliczenie, gdyby godzin było nawet dwa razy więcej.

– Akceptuję. Jakies inne koszty? – Sędzia sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął sakiewkę z tytoniem.

– Tak, panie sędzio. Całkiem sporo – odrzekł Jake, przesuając ku sędziemu następne zestawienie. – Trzeba zapłacić Quince'owi Lundy'emu. Wyliczył sto dziesięć godzin po sto dolarów za godzinę. Musimy też zapłacić autorom wycen, księgowym i firmie konsultingowej. Mam tu wszystkie rachunki i polecenia wypłaty do podpisania. Chciałbym zaproponować, żebyśmy przelali część pieniędzy z banku w Birmingham na konto masy spadkowej w First National tu na miejscu.

– Ile? – spytał sędzia, zapalając zapalkę i przytykając ją do główki fajki.

– Nie za dużo. Nie chciałbym, żeby ludzie w tutejszym banku widzieli te pieniądze. Leżą bezpiecznie w banku w Birmingham i niech tak zostanie tak długo, jak to możliwe.

– Z ust mi to wyjąłeś. – Sędzia często używał tego zwrotu, gdy ktoś miał dobry pomysł. Wypuścił z ust kłęb gęstego dymu, który zasnuł cały stół.

– Już przygotowałem wniosek w tej sprawie – stwierdził Jake, przesuając po stole kolejny papier i starając się ignorować dym. Atlee wyjął spomiędzy zębów ustnik z ciągnącą się za nim strużką dymu i zaczął składać podpisy – zamaszyste i zupełnie nieczytelne, ale nieomylnie rozpoznawalne. Wstrzymał się na moment z podpisaniem wniosku o przelew pieniędzy i w zadumie powiedział:

– Jednym pociągnięciem pióra decyduję o losie pół miliona dolarów. To się nazywa władza.

- To więcej, niż zarobię na czysto przez następne dziesięć lat.
- Jak będziesz wystawiał takie rachunki, to nie wiem. Chyba ci się zdaje, że pracujesz w wielkiej firmie prawniczej.
- Już wolałbym kopać rowy, panie sędzio.
- To tak jak ja. – Przez chwilę podpisywał kolejne wnioski, w milczeniu pykając fajką. Skończył, podniósł głowę i powiedział:
 - Pomówmy o przyszłym tygodniu. Wszystko w porządku?
 - O ile wiem, to tak. Przesłuchanie Lettie wyznaczaliśmy na poniedziałek i wtorek. Potem w środę mamy Herschela Hubbarda, w czwartek jego siostrę, w piątek Iana Dafoe. To będzie ciężki tydzień. Pięć kolejnych dni przesłuchań.
 - Skorzystacie z głównej sali?
 - Tak, panie sędzio. W przyszłym tygodniu nie ma żadnych rozpraw. Poprosiłem też Ozziego o przydzielenie nam dodatkowego funkcjonariusza, żeby pilnował zamkniętych drzwi. Będziemy mieli mnóstwo miejsca.
 - A ja cały czas będę tu u siebie, gdyby działo się coś złego. W każdym razie nie chcę żadnych osób postronnych w trakcie przesłuchań.
 - Wszystkim daliśmy to wyraźnie do zrozumienia.
 - I wszystko ma być rejestrowane na taśmie wideo.
 - Tak to zaplanowaliśmy. Nie bacząc na koszty.
- Sędzia Atlee przez chwilę w milczeniu żuł cybuch fajki, wyraźnie czymś ubawiony.
 - Kurczę! – odezwał się w końcu. – Ciekaw jestem, co by powiedział Seth Hubbard, gdyby mógł tu być w poniedziałek i zobaczyć, jak wataha wygłodniałych prawników walczy o jego pieniądze.
 - Myślę, że zrobiłoby mu się niedobrze, panie sędzio, ale sam jest sobie winien. Powinien był podzielić majątek i zadbać o swoje dzieci, o Lettie i o wszystkich, na których mu zależało. Gdyby tak zrobił, w ogóle by nas tu nie było.
 - Myślisz, że zwariował?
 - Nie, raczej nie.
 - To dlaczego to zrobił?

- Nie mam pojęcia.
- Seks?
- No cóż, moja nowa stażystka jest przekonana, że nie, a poznała kawał świata. Chodzi o jej matkę, ale nie jest naiwną dziewczynką.

Ściśle mówiąc, tego typu rozmowy były zabronione. Jeden z najsłynniejszych paragrafów wiekowego, ale wciąż obowiązującego kodeksu wykroczeń stanu Missisipi nosił tytuł „O niezgodzie na kładzenie do ucha sędziego sądu kanclerskiego”. W tłumaczeniu na ludzki język chodziło w nim o zakaz omawiania z sędzią przez pełnomocnika jednej strony bez obecności pełnomocnika drugiej strony wrażliwych punktów toczącej się sprawy. Zakaz był nagminnie łamany i „kładzenie do ucha” stanowiło powszechną praktykę, zwłaszcza w gabinecie kanclerza Reubena V. Atlee, jednak tylko w odniesieniu do wąskiego, cieszącego się sympatią i zaufaniem sędziego grona prawników.

Jake miał już okazję boleśnie się przekonać, że wszystko, co się mówi w czterech ścianach gabinetu sędziego, w nich pozostaje i nie ma prawa być przenoszone na forum publiczne. Na sali rozpraw sędzia Atlee zawsze postępował bezstronnie i uczciwie, bez względu na to, kto i co mu nakładł do ucha.

Rozdział 22

Tak jak powiedział sędzia Atlee – gdyby Seth Hubbard stał się muchą na ścianie sali rozpraw, byłby wstrząśnięty. W poniedziałek rano zebrano się aż dziewięciu adwokatów, by formalnie przystąpić do wstępnego przesłuchania w sprawie, którą na wokandzie zapisano jako: *Do. spr. spadku Henry'ego Setha Hubbarda*. W praktyce dziewięciu adwokatów przyszło tu po to, by podostrzyć noże do wykrojenia kawałka smakowitego tortu.

Poza Jakiem zjawili się Wade Lanier i Lester Chilcott z Jackson jako pełnomocnicy Ramony Dafoe oraz Stillman Rush i Sam Larkin z Tupelo jako pełnomocnicy Herschela Hubbarda. Lanier w dalszym ciągu naciskał na Iana, by ten nacisnął na Ramonę, by ta nacisnęła na Herschela, by ten odpuścił adwokatów z Tupelo i dołączył do nich, lecz próby wywierania presji doprowadziły jedynie do wzrostu napięcia w rodzinie. Lanier zagroził, że się wycofa, jeśli rodzeństwo się nie dogada i nie zewrze szyków, jednak jego groźby brzmiały coraz ciszej, Ian podejrzewał, że w puli jest za dużo pieniędzy, by jakiś prawnik mógł machnąć na nią ręką. Dzieci Herschela reprezentował Zack Zeitler, adwokat z Memphis z licencją na Missisipi. Przyprowadził z sobą całkowicie zbędnego asystenta, który miał wyłącznie siedzieć przy stole, robić notatki i stwarzać wrażenie, że Zeitlerowi nie brakuje ludzi. Dzieci Ramony reprezentował Joe Bradley Hunt z Jackson, który też przywiózł z sobą równie przydatnego asystenta. Ancila uważano za zmarłego i choć wciąż był formalnie spadkobiercą pięciu procent, nikt go nie reprezentował i nikt nawet o nim nie wspominał.

Portia należała do trójki osób niebędących adwokatami; pozostałe dwie osoby przyprowdzili Wade Lanier i Stillman Rush.

Z wyjątkiem czarnej Portii i białej protokółantki sądowej wszyscy uczestnicy przesłuchań byli białymi mężczyznami.

– Właścicielami sali sądowej są podatnicy – objaśnił Portii Jake – więc zachowuj się tak, jakbyś była u siebie. – Starła się jak mogła, ale nadal była kłębkim nerwów. Spodziewała się atmosfery napięcia, zajadłej rywalizacji i nieufności, może nawet obraźliwych słów. Zamiast tego zobaczyła grupę białych mężczyzn, którzy przyjaźnie się witali, wymieniali przyjazne docinki, żartowali, wybuchali śmiechem i świetnie się bawili przy porannej kawie, czekając na rozpoczęcie przesłuchania. Jeśli tkwiły w nich pokłady agresji i niechęci, które miały się ujawnić po wybiciu dziewiątej, to doskonale się z tym kryli.

– To tylko wstępne przesłuchanie – ostrzegł ją Jake. – Śmiertelnie się wynudzisz. Kara śmierci przez przesłuchanie.

Stojące między barierką a ławą sędziowską stoły stron zostały połączone, dookoła rozstawiono krzesła. Adwokaci powoli się rozsiedli, choć nikt nie wyznaczał im miejsc. Ponieważ Lettie miała być pierwszą przesłuchiwaną, Jake usiadł tuż obok wyznaczonego dla świadka miejsca u szczytu stołu. Na drugim końcu usadowił się sprawozdawca sądowy ze sprzętem wideo, jedna z urzędniczek wniosła dzbanek z kawą i postawiła na stole.

Gdy wszyscy uościłi się na miejscach, Jake skinął głową na Portię, a ona podeszła do bocznych drzwi i wpuściła matkę. Lettie ubrała się jak do kościoła i wyglądała bardzo elegancko, choć Jake wcześniej ją zapewnił, że nie musi się specjalnie stroić. „To tylko zwykłe przesłuchanie”, powiedział.

Lettie usiadła na końcu stołu, mając po jednej ręce Jake'a i siedzącą za nim córkę, po drugiej protokółantkę z maszynką do stenografowania. Powiodła wzrokiem po tabunie adwokatów z obu stron długiego stołu i grzecznie powiedziała: „Dzień dobry”. Wszyscy adwokaci odpowiedzieli, ciepło się uśmiechając, jakby chcieli dodać jej otuchy.

Nie trwało to jednak długo. Jake już miał rozpocząć, gdy główne drzwi się otworzyły i do sali wkroczył Rufus Buckley z aktówką w ręce. Miejsca dla publiczności były puste i zgodnie z dyspozycją sędziego Atlee takie miały pozostać, jednak z zachowania Buckleya wynikało, że nie przyszedł jako obserwator.

Pewnym krokiem minął furtkę w barierce i spokojnie ruszył do stołu. Dziewięciu adwokatów przyglądało mu się podejrzliwie.

Jake poczuł w sobie wolę walki.

– Witaj, Rufusie! – powiedział głośno. – Jak miło widzieć cię znów na wolności.

– Cha, cha, Jake. Jak zwykle dowcipny.

– Co tu robisz?

– Przyszedłem na przesłuchanie. Nie widzisz?

– Kogo reprezentujesz?

– Tego samego klienta, co od początku. Simeona Langa.

– On nie jest stroną w tej sprawie.

– Och, my uważamy inaczej. Być może trzeba będzie o to powalczyć, ale naszym zdaniem pan Lang jest bezpośrednio finansowo zainteresowany wynikiem sporu o testament. Dlatego tu jestem.

Jake wstał od stołu.

– Dobrze, wyjaśnijmy to sobie od razu. Sędzia Atlee czeka w swoim gabinecie, by móc interweniować w spornych sprawach. Już po niego idę. – Szybkim krokiem opuścił salę, Buckley usiadł przy stole, ale widać było, że jest zdenerwowany.

Chwilę później drzwi za stołem sędziowskim otworzyły się i na salę wszedł Atlee. Był w cywilnym ubraniu bez togi.

– Witam panów – powiedział ponuro. Usiadł na swoim miejscu i nie czekając na odpowiedź, od razu przystąpił do rzeczy. – Panie Buckley, może mi pan w paru słowach wyjaśnić, co pan tu robi?

Buckley wstał i jak zwykle pewnym siebie głosem oświadczył:

– No cóż, panie sędzio, nadal reprezentujemy pana Simeona Langa i w jego...

– Jacy „my”?

– Mecenas Booker Sistrunk i ja, a także...

– Pan Sistrunk nie ma wstępu na tę salę, panie Buckley, przynajmniej w tej sprawie.

– Dobrze, ale nasze stanowisko nie uległo zmianie. Pan Simeon Lang jest stroną w tym postępowaniu i...

– Nie jest i nie dopuszczę, by się nią stał. Dlatego pan, panie Buckley, nie reprezentuje zainteresowanej strony.

– To nie zostało jeszcze do końca ustalone.

– O tak, zostało. Przeze mnie. Nie jest pan pełnomocnikiem strony, a przesłuchanie jest zamknięte dla publiczności.

– Proszę nie przesadzać, panie sędzio. To tylko wstępne przesłuchanie, nie jakaś poufna narada. Przecież wyniki przesłuchania trafią do akt sprawy i będą dostępne dla każdego.

– O tym zdecyduję w odpowiednim czasie.

– Panie sędzio, wszystko, co powie świadek, stanie się zeznaniem złożonym pod przysięgą i jako takie znajdzie się w aktach sprawy.

– Niech mnie pan nie poucza, panie Buckley.

– Przepraszam, nie chciałem...

– Zeznania będą utajnione do chwili, aż się z nimi zapoznam. Szczerze mówiąc, nie mam ochoty się z panem spierać. Czy mam panu przypomnieć, co się wydarzyło, gdy ostatnio na tej sali powiedział pan o parę słów za dużo?

– Nie musi pan, panie sędzio – odrzekł Buckley.

– Żegnam pana, panie Buckley – rzucił kategorycznym tonem sędzia.

Buckley niepewnie wstał i z niedowierzaniem rozłożył ręce.

– Poważnie, panie sędzio?

– Śmiertelnie poważnie, panie Buckley. Żegnam pana.

Buckley skinął głową, sięgnął po teczkę i szybkim krokiem opuścił salę. Gdy drzwi za nim się zamknęły, sędzia rzucił: „Proszę kontynuować”, wstał i wyszedł z sali.

Wszyscy odetchnęli z ulgą.

– To przy czym byliśmy? – powiedział Jake.

– Trochę mi brakuje Sistrunka – bąknął Wade Lanier, komicznie przeciągając słowa i wywołując kilka uśmieszków przy stole.

– Nie wątpię – rzekł Jake. – On i Buckley świetnie by sobie poradzili z przysięgłymi z okręgu Ford.

Przedstawił Lettie protokółantce i siedzącym przy stole adwokatom, wymieniając ich nazwiska i wyobrażając sobie, jak wszyscy natychmiast jej się myślą, po czym przeszedł do długiego objaśnienia zasad czekającego ją przesłuchania. Powinna mówić wyraźnie i wolno, jeśli pytanie nie będzie dla niej jasne, powinna poprosić o powtórzenie. Jeśli nie będzie pewna odpowiedzi, nie wolno jej nic zmyślać. On sam będzie zgłaszał sprzeciw wobec budzących wątpliwości pytań i uwag. Wszystkie jej odpowiedzi muszą być zgodne z prawdą, gdyż zeznaje pod przysięgą. Pytania będą zadawali kolejno wszyscy pełnomocnicy. Jeśli potrzebna jej będzie przerwa, powinna o nią poprosić. Protokółantka sądowa zanotuje każde wypowiedziane słowo, kamera wideo zarejestruje całe zeznanie. Gdyby z jakiegoś powodu nie mogła stawić się na rozprawę, nagranie wideo zostanie wykorzystane jako materiał dowodowy.

Przypomnienie obowiązujących zasad było i jednocześnie nie było konieczne. Siedząc przy stole konferencyjnym w biurze Jake'a, on sam, Portia i Lucien godzinami ćwiczyli z Lettie jej zeznanie. Była dobrze przygotowana, choć nie dało się przewidzieć wszystkiego, co mogło się wydarzyć w trakcie przesłuchania. Podczas rozprawy pytania muszą ściśle dotyczyć przedmiotu sprawy, wcześniej zasada ta nie obowiązuje, i wstępne przesłuchanie często zamienia się w poruszanie się po omacku w nieznanym terenie.

Bądź uprzejma. Bądź zwięzła. Nie dodawaj nic od siebie. Jeśli czegoś nie wiesz, mów, że nie wiesz. Pamiętaj, że kamera wszystko rejestruje. Będę tuż obok, by cię chronić, powtarzał do znudzenia. Portia wygrzebała ze starych akt na strychu zapisy z kilkudziesięciu przesłuchań i przesiedziała nad nimi kilkadziesiąt godzin, poznając techniczne sztuczki, strategię i pułapki. Potem, siedząc z matką na tylnej werandzie starego domu Sappingtonów, godzinami je z nią omawiała.

Lettie była przygotowana najlepiej, jak się dało. Została zaprzyjężona przez protokółantkę sądową, po czym Wade Lanier ze

sztucznym uśmiechem raz jeszcze się przedstawił i przystąpił do zadawania pytań.

– Zaczniemy od pani rodziny – powiedział i zaczął wypytywać o imiona i nazwiska krewnych, ich obecne miejsca zamieszkania, daty urodzeń, wykształcenie i miejsca pracy, dzieci, wnuki, rodziców, braci, siostry, kuzynów i kuzynki, ciotki i wujków. Lettie wszystko to wcześniej przećwiczyła z Portią i odpowiadała gładko i bez namysłu. W pewnej chwili Lanier zorientował się, że Portia jest jej córką, i zamilkł, z lekka skonsternowany.

– Portia jest stażystką w moim biurze. Płatną – wyjaśnił spokojnie Jake. Wywołało to lekkie zamieszanie przy stole, w końcu Stillman Rush zapytał:

– Czy to nie powoduje konfliktu interesów, Jake?

Jake już dawno przemyślał to pytanie.

– Absolutnie nie – oświadczył. – Jestem pełnomocnikiem do spraw masy spadkowej, Portia nie jest w tym testamencie beneficjentką. Nie widzę żadnego konfliktu. A ty?

– Czy będzie zeznawała jako świadek? – spytał Lester Chilcott.

– Nie. Przez ostatnie sześć lat jej tu nie było. Służyła w wojsku.

– A czy nie ma dostępu do informacji, których jej matka nie powinna znać? – zainteresował się Zack Zeitler.

– Na przykład jakich?

– W tej chwili nie potrafię podać przykładu. Tylko się zastanawiam. Nie twierdzę, że istnieje konflikt. Po prostu sytuacja trochę mnie zaskoczyła.

– Czy poinformowałeś o tym sędziego Atlee? – zapytał Wade Lanier.

– Zrobiłem to w ubiegłym tygodniu i sędzia nie miał zastrzeżeń.

To zakończyło rozmowę i Wade Lanier powrócił do przesłuchania, pytając o rodziców Lettie, potem o jej dziadków. Pytania były łatwe i pozbawione agresji, jakby go naprawdę interesowało, gdzie kiedyś mieszkali jej dziadkowie ze strony matki i czym się wtedy zajmowali. Po godzinie Jake'owi z trudem udawało się skupić na pytaniach i odpowiedziach, a powinien słuchać i robić notatki na wypadek, gdyby

później inny z adwokatów chciał ponownie poruszyć ten sam temat.

Powróciwszy do Lettie, Lanier dowiedział się, że w 1959 roku skończyła szkołę średnią dla kolorowych w Hamilton w Alabamie, przeniosła się do Memphis i tam poznała Simeona. Szybko się pobrali i rok później na świat przyszedł Marvis.

Następnie Lanier poświęcił trochę czasu na pytania o Marvisa: jego działalność przestępczą, wyroki skazujące, pobyty w więzieniu. Lettie odpowiadała zdławionym głosem, ocierając łzy, ale się nie załamała. Potem zaczęły się pytania o Phedre i jej problemy: dwójkę nieślubnych dzieci, pierwszych wnuków Lettie, oraz historię zatrudnienia, które w najlepszym razie można było uznać za niepewne. Phedra mieszkała u rodziców, a ściślej mówiąc, nigdy się od nich nie wyprowadziła. Jej dwoje dzieci miało różnych ojców, którzy w ogóle nie mieli związku ze sprawą.

Portia wzdrygała się, słuchając pytań o starszego brata i młodszą siostrę. Ich losy nie były dla nikogo tajemnicą, ale nigdy nie mówiło się o nich tak głośno i otwarcie. W rodzinie szeptano na ich temat, tu jednak wszystkie brudy wywlekano na światło dzienne w obecności obcych białych mężczyzn.

O wpół do jedenastej zrobiono piętnastominutową przerwę i wszyscy wstali od stołu. Adwokaci rozbiegli się w poszukiwaniu telefonów, Portia z matką udały się do damskiej toalety. Urzędniczka doniosła dzbanek świeżej kawy i tacę kupnych kruchych ciasteczek. Stół zaczął z wolna przypominać śmietnik.

Po przerwie pałeczkę przejął Stillman Rush i zajął się głównie Simeonem, którego związki rodzinne były dużo bardziej skomplikowane. Lettie przyznała, że niewiele wie o przodkach męża, a jego historia zatrudnienia miała wiele białych plam. Pamiętała jedynie, że w różnych okresach pracował jako kierowca ciężarówki, operator buldożera, drwal, malarz i pomocnik murarza. Kilkakrotnie był aresztowany, ostatnio w październiku tego roku, ale za każdym razem za wykroczenia, nie poważne przestępstwa. Tak, parę razy byli w separacji, ale nigdy nie trwało to dłużej niż dwa miesiące.

To tyle o Simeonie, przynajmniej na razie. Teraz Stillman chciał

powrócić do życiorysu samej Lettie. Przez prawie trzy ostatnie lata pracowała u Seta Hubbarda zarówno w niepełnym, jak i pełnym wymiarze godzin. Wcześniej przez trzy lata pracowała w Clanton jako gospodyni domowa u starszego małżeństwa, o którym Jake nigdy wcześniej nie słyszał. Oboje zmarli w odstępie trzech miesięcy i Lettie została bez pracy. Jeszcze wcześniej pracowała jako kucharka w stołówce szkolnej gimnazjum w Karaway. Stillman wypytywał ją o dokładne daty, zarobki, podwyżki, zwierzchników i mnóstwo innych szczegółów. Lettie starała się, jak mogła.

Portia nie dowierzała własnym uszom. Jaki związek ze sprawą testamentu mogło mieć nazwisko kierownika matki sprzed dziesięciu lat? Jake wprawdzie ją uprzedził, że będzie to polowanie po omacku, ale żeby wypytywać o tak nudne i bzdurne sprawy?

Jake powiedział też, że przesłuchania ciągną się całymi dniami, bo prawnikom płaci się za godzinę, przynajmniej tym zadającym najbardziej banalne i rutynowe pytania. Ponieważ zakres zadawanych pytań był praktycznie nieograniczony, a liczniki były, prawnicy – zwłaszcza zatrudnieni w firmach ubezpieczeniowych i wielkich korporacjach – nie mieli powodu się streszczać. Jeśli tylko potrafili utrzymać pytania w luźnym związku z osobą, sprawą lub pozwem, mogli je zadawać całymi godzinami.

Jake wyjaśnił jednak, że przesłuchanie wstępne w sprawie testamentu Hubbarda tym się różni od innych, że jedynym adwokatem ze stawką godzinową jest on sam. Wszyscy pozostali mogą się tylko modlić o sukces końcowy i liczyć na procentowy udział w spadku. Jeśli własnoręczny testament zostanie unieważniony, spadek trafi do rodziny zgodnie z wcześniejszą wersją testamentu, a wszyscy reprezentujący ją adwokaci dostaną swoje działki. Ponieważ jednak nie mieli gwarancji, że coś z tego dostaną, można było oczekiwać, że pytania nie będą aż tak dociekliwe.

Jednak słuchając ich, Portia zaczynała mieć wątpliwości. Nudne bicie piany zdawało się nie mieć końca.

Stillman stosował metodę kręcenia się w kółko zapewne w nadziei, że uda mu się zbić przesłuchiwaną z pantałyku. Wszyscy nastawili

uszu, gdy spytał:

– Czy pożyczyla pani jakieś pieniądze od Bookera Sistrunka?

– Pożyczyłam. – Lettie była na to pytanie przygotowana i odpowiedziała na nie bez chwili wahania. Nie istniały żadne prawne wątpliwości co do takich pożyczek, w każdym razie nie po stronie pożyczkobiorcy.

– Jak dużo?

– Pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

– Pan Sistrunk wypisał pani czek czy dał gotówkę?

– Dał gotówkę, a my z Simeonem podpisaliśmy weksel.

– Czy to była jedyna pożyczka od pana Sistrunka?

– Nie, wcześniej pożyczylimy pięć tysięcy.

– Dlaczego zaciągnęła pani te pożyczki?

– Bo potrzebowaliśmy pieniędzy. Straciłam pracę, a z Simeonem nigdy nic nie wiadomo.

– Czy to za te pieniądze przenieśliście się do większego domu?

– Tak.

– Ile osób mieszka teraz w tym domu?

Lettie chwilę się zastanowiła.

– Zwykle około jedenastu, ale to się zmienia. Jedni przyjeżdżają, inni wyjeżdżają.

Jake spojrzał groźnie na Stillmana, jakby chciał powiedzieć: „Tylko niech ci nie strzeli do łba wypytywać o wszystkie jedenaście nazwisk. Idźmy dalej”.

Stillmana wyraźnie kusilo, jednak poszedł dalej.

– Ile pani płaci czynszu?

– Siedemset dolarów miesięcznie.

– I jest pani obecnie bezrobotna, czy tak?

– Zgadza się.

– A gdzie obecnie pracuje pani mąż?

– Nie pracuje.

– Skoro pan Sistrunk nie jest już pani pełnomocnikiem, jak pani zamierza spłacić swój dług?

– Będę się później o to martwić.

Roxy przygotowała lunch złożony z kanapek i frytek i wszyscy troje usiedli w sali konferencyjnej, by się posilić. Dołączył do nich Lucien i od razu spytał, jak im poszło.

Zwykła pierwsza runda nieistotnych pytań – odrzekł – Lettie była świetna, ale już ją to zaczęło męczyć.

– Nie wytrzymam tego jeszcze przez półtora dnia – jęknęła Lettie.

– Tak wyglądają dzisiejsze wstępne przesłuchania. – Lucien się skrzywił.

– To nam powiedz, jak wyglądały kiedyś – rzekł Jake.

– No cóż, w dawnych czasach, a dawniej było dużo lepiej, niż stanowią te wasze dzisiejsze przepisy...

– Ja ich nie ustanowiłem.

– ...nie było obowiązku wcześniejszego ujawniania świadków i uprzedzania, co mogą powiedzieć na rozprawie, o nie. Na rozprawie działało się z zaskoczenia. Ty masz swoich świadków, ja mam swoich, przychodzimy do sądu i przystępujemy do rozprawy. Wymagało to większej sprawności prawniczej, bo trzeba było z miejsca reagować. Dziś trzeba wszystko wcześniej ujawnić i umożliwić wstępne przesłuchanie wszystkich świadków. Pomyśl, ile to kosztuje czasu. I pieniędzy. Kiedyś było dużo lepiej, przysięgam.

– Może byś się tak zajął jedzeniem – mruknął Jake. – Lettie musi trochę odsapnąć, a nikomu nie uda się zrelaksować przy twojej gadaninie. Zacznij jeść.

Lucien odgryzł kawałek kanapki i zwrócił się do Portii:

– A co ty o tym myślisz? – spytał.

Dziewczyna ugryzła frytkę, a po pytaniu Luciena opuściła rękę i ją odłożyła.

– Naprawdę fajnie się siedzi w towarzystwie tylu adwokatów. Czuję się strasznie ważna.

– Tylko nie daj się im zwieść – wtrącił Jake. – Większość z nich nie poradziłaby sobie z sądzeniem sklepowego złodziejaszka w sądzie magistrackim.

– Mogę się założyć, że Lanier by sobie poradził – powiedziała Lettie. – On jest naprawdę dobry. Wciąż mam wrażenie, że z góry wie, co chcę powiedzieć.

– Jest rzeczywiście bardzo dobry – przyznał Jake. – Ale uwierz mi, Lettie, jeszcze oboje go znienawidzimy. Na razie gra sympatycznego gościa, ale nim dojrniemy do końca, nic będziesz mogła na niego patrzeć.

Myśl o długiej i wyczerpującej walce mocno gnębiła Lettie. Miała za sobą raptem czterogodzinną wstępną potyczkę, a już była tym wszystkim zmęczona.

△△△

Podczas przerwy na lunch dwie pracownice z kancelarii sądu ubrały małą sztuczną choinkę i ustawiły ją w kącie sali rozpraw. Ze swego miejsca przy stole Jake miał doskonały widok na drzewko. Co roku w Wigilię około południa urzędnicy i sędziowie, a także kilku imiennie zaproszonych adwokatów spotykali się tu na lampce ajerkoniaku i wręczali sobie zabawne upominki. Jake jak ognia unikał tych spotkań.

Niemniej widok choinki uprzytomnił mu, że do Bożego Narodzenia zostało już tylko kilka dni, a on nawet nie pomyślał o świątecznych zakupach. Lanier kontynuował przepytywanie i robił to tak spokojnym i beznamiętnym tonem, że jego głos działał wręcz usypiająco. Jake przyłapał się na tym, że myślami krąży wokół świąt. Przez ostatnie dwa lata oboje z Carlą stawali na głowie, by jakoś udekorować wynajęte lokum i nadać mu odświętny charakter, a Hanna bardzo im w tym pomagała. Dziecko w domu nadawało sens ich staraniom.

Lanier zaczynał wkraczać na wrażliwy obszar. Płynnie przeszedł do obowiązków Lettie w domu Hubbarda podczas jego choroby, borykania się ze skutkami chemioterapii i naświetlań i leżenia w łóżku. Lettie wyjaśniła, że agencja specjalizująca się w domowej opiece lekarskiej przysyłała pielęgniarki do opieki nad panem Hubbardem, jednak były one zbyt oschłe i za mało opiekuńcze, i pan

Hubbard odnosił się do nich bardzo niegrzecznie. Często kazał im się wynosić i robił awantury w agencji, aż w końcu Lettie wzięła na siebie opiekę nad nim. Gotowała mu ulubione potrawy i karmiła, gdy sam nie dawał sobie rady. Pomagała mu też wstawać z łóżka i chodzić do łazienki, gdzie czasami po pół godziny przesiadywał na sedesie. Zdarzało mu się zabrudzić łóżko i wtedy zmieniała pościel i sprzątała. Kilka razy się zdarzyło, że musiał skorzystać z basenu i Lettie też mu w tym pomagała. Nie, nie było to przyjemne zajęcie i nigdy się tego nie uczyła, ale jakoś sobie radziła. Pan Hubbard doceniał jej dobroć. Ufał jej. Tak, kilkakrotnie myła pana Hubbarda w łóżku. Tak, od stóp do głów, wszędzie go dotykając. Był wtedy tak chory, że prawie nieprzytomny. Przedtem, gdy miał przerwę w kuracji i naświetlaniach, wzmocnił się na tyle, że zaczął się ruszać i żyć prawie normalnie. Odzyskiwał siły bardzo szybko i z wielkim samozaparciem. Nie, nigdy nie przestał palić.

Nie bawiąc się w żadne subtelności, Jake wyjaśnił Portii, że zbytnia zażyłość Lettie i Hubbarda mogłaby przesądzić wynik na ich niekorzyść, dziewczyna zaś przekazała jego słowa matce. Jeśli przysięgli uznają, że Lettie zbyt się zbliżyła do chorego, bez trudu dojdą do wniosku, że Hubbard znalazł się pod jej niedopuszczalnym wpływem.

Czy pan Hubbard był wobec niej czuły? Czy lubił ją obejmować, przytulać i cmokać w policzek? Poklepywać po pupie? Nie, absolutnie, zapewniła Lettie. Nigdy tego nie robił. Jej pracodawca był twardym, zamkniętym w sobie człowiekiem. Nie miał cierpliwości do innych ludzi i nie potrzebował wielu przyjaciół. Gdy przychodziła rano do pracy, nie podawał jej ręki na przywitanie i nie próbował jej obejmować na pożegnanie. Była pracownicą i nikim więcej – nie przyjaciółką, nie powierniczką ani nikim innym. Mógł być dla niej uprzejmy i dziękował, gdy na to zasłużyła, ale nigdy nie zachowywał się wobec niej serdecznie.

Nie wiedziała nic o jego życiu zawodowym czy towarzyskim. Nigdy nie wspominał o żadnej kobiecie i Lettie nigdy nie widziała żadnej w jego domu. A właściwie to nie pamiętała, by w ciągu trzech

lat jej pracy w tym domu ktokolwiek go odwiedził w celach zawodowych lub towarzyskich.

Tylko tak dalej, pomyślał w duchu Jake.

Żli adwokaci próbują ograć świadka lub go przyskrzynić, lub namieszać mu w głowie – wszystko po to, by wyjść zwycięsko ze wstępnego przesłuchania. Dobrzy adwokaci wolą wygrywać procesy i traktują wstępne przesłuchanie jako okazję do zebrania informacji, które przydadzą się później do zastawienia pułapki. Wybitni adwokaci w ogóle rezygnują z udziału we wstępnych przesłuchaniach i zastawiają zmyślne zasadzki na oczach przysięgłych. Wade Lanier i Stillman Rush byli dobrymi adwokatami i dlatego poświęcili pierwszy dzień na zbieranie danych. Podczas trwającego osiem godzin przesłuchania nie padło z ich ust ani jedno zaczepne słowo pod adresem świadka. Ani przez chwilę nie okazali Lettie braku szacunku.

Jake był pełen uznania dla swych oponentów. Po powrocie do biura wyjaśnił Portii i Lettie, że panowie Lanier i Rush są świetnymi aktorami. Grali rolę przyjaznych i szczerych facetów, którzy polubili Lettie i chcą tylko ustalić fakty. Robili to po to, by Lettie też ich polubiła i zaufała na tyle, by podczas rozprawy zawiodła ją czujność.

– Są jak para wilków – powiedział – które podczas rozprawy rzucą ci się do gardła.

– Jake, ale chyba nie będę musiała tkwić na miejscu dla świadków przez całe osiem godzin, co? – spytała ze strachem Lettie, której dzisiejszy dzień dał się mocno we znaki.

– Poradzisz sobie.

Lettie jakoś to nie uspokoiło.

△△△

Poranną sesję Zack Zeitler rozpoczął serią dociekliwych pytań o ostatnie dni życia Hubbarda, po czym wstrzebił się w punkt pytaniem, czy widziała się z Hubbardem w sobotę, pierwszego października.

Jake zesztyniał, szykując się na to, co musiało teraz nastąpić. Wiedział o tej sprawie już od paru dni, ale nie było sposobu, by się od tego uchronić. Prawda musiała wyjść na jaw.

– Tak – odparła Lettie.
– Zdawało mi się, że pani w soboty nie pracowała.
– To prawda, ale pan Hubbard specjalnie poprosił, żebym przyszła w tamtą sobotę.

– Z jakiego powodu?
– Chciał, żebym pojechała z nim do biura posprzątać. Ktoś, kto normalnie się tym zajmował, zachorował, i biuro wymagało wysprzątania. – Odpowiedź Lettie pobudziła siedzących przy stole bardziej niż poranna kawa. Oczy im się rozjarzyły, plecy wyprostowały, tyłki przesunęły bliżej krawędzi krzeseł, kilka osób wymieniło porozumiewawcze spojrzenia.

Zeitler widać zwęszył krew, bo już nie popuścił.

– O której przyjechała pani do domu pana Hubbarda?
– Około dziewiątej rano.
– I co on wtedy powiedział?
– Powiedział, że chciałby, żebym pojechała z nim do biura. Wsiadliśmy do samochodu i pojechaliśmy.

– Którego samochodu?
– Jego. Do cadillaca.
– Kto prowadził?
– Ja. Pan Hubbard spytał, czy prowadziłam kiedyś nowego cadillaca. Powiedziałam, że nie. Wcześniej wspomniałam coś w rozmowie, że to piękne auto, i teraz mnie spytał, czy chcę je poprowadzić. W pierwszej chwili odmówiłam, ale on wręczył mi kluczyki i kazał jechać. No to wsiadłam i zawiozłam go do biura. Byłam strasznie spięta.

– Zawiozła go pani? – powtórzył Zeitler. Wszyscy przy stole mieli nisko opuszczone głowy i z zapalem coś notowali.

W najsłynniejszym procesie w historii stanu o unieważnienie testamentu niespokrewniona beneficjentka zawiozła umierającego do kancelarii prawnej, by mógł sporządzić testament, w którym wydziedziczał rodzinę i przekazywał cały majątek tejże beneficjentce. Sąd Najwyższy unieważnił testament, uznając, że kobieta wywarła niedopuszczalny wpływ na decyzję testatora. W uzasadnieniu pod-

kreślono osobisty udział „nieoczekiwanej beneficjentki” w spisaniu nowego testamentu. Od czasu owego wyroku sprzed trzydziestu lat nieraz się zdarzało, że gdy w testamencie pojawiał się nieoczekiwany zapis, ktoś pytał z przekąsem: „A kto go tam zawiózł?”.

– Tak – odrzekła Lettie. Jake nie spuszczał wzroku z ósemki adwokatów, którzy zareagowali zgodnie z przewidywaniem. Właśnie podano im na tacy podarunek, a jemu ustawiono przeszkodę, z którą będzie musiał się borykać.

Zeitler przez chwilę przekładał papiery, po czym spytał:

- Jak długo pani była w biurze?
- Nie patrzyłam na zegar, ale powiedziałabym, że kilka godzin.
- Kto jeszcze tam był?
- Nie było nikogo. Pan Hubbard powiedział, że w soboty nie pracują, w każdym razie w biurze.

– Rozumiem.

Przez następną godzinę Zeitler krążył wokół tamtego sobotniego poranka. Kazał Lettie narysować plan budynku administracji i dopytywał się, które jego części sprzątała i gdzie wtedy był Hubbard. Lettie poinformowała, że cały czas siedział u siebie za zamkniętymi drzwiami. Nie, do niego w ogóle nie wchodziła, nawet żeby tam posprzątać. Nie wie, co pan Hubbard robił i czym się zajmował. Wszedł do gabinetu z teczką, z którą zwykle jeździł do pracy, i wyszedł z nią, ale ona nie ma pojęcia, co w niej było. Zachowywał się zupełnie normalnie i na pewno mógłby prowadzić samochód, gdyby chciał. O jego środkach przeciwbólowych wiedziała niewiele. Tak, ostatnio wyglądał na chorego i wycieńczonego, ale mimo to przez cały poprzedni tydzień codziennie jeździł do biura. Jeśli ktokolwiek widział ich wtedy w biurze, to nic jej o tym nie wiadomo. Tak, w drodze powrotnej też ona prowadziła, potem przesiadła się do swojego samochodu i wróciła do domu, gdzie dotarła około południa.

- I nie wspomniał ani słowem, że napisał testament?
- Sprzeciw – wtrącił Jake. – Świadek już dwukrotnie odpowiedział na to pytanie.
- No tak, dobrze, chciałem się tylko upewnić.

- Odpowiedź została zaprotokołowana.
- Jasne.

Po takim triumfie Zeitler nie palił się do zmiany tematu pytań. Ustalili więc jeszcze, że poza tą sobotą Lettie nigdy więcej nie prowadziła cadillaca, że rzadko widywała w domu jakiegokolwiek lekarstwa, że jej zdaniem wszystkie potrzebne mu rzeczy pan Hubbard trzymał w swojej teczce, że miewał straszne bóleści, że nigdy nie wspominał o samobójstwie. Nigdy nie zauważyła u niego dziwnego zachowania mogącego świadczyć, że był zamroczony lekarami, i prawie nie pił, choć zdarzało się, że w lodówce trzymał parę piw. W sypialni stało biurko, ale prawie nigdy nie pracował w domu.

We wtorek około południa Lettie miała tak dość, że była gotowa zrezygnować. W gabinecie Jake'a zjadła długi lunch w towarzystwie Portii, potem urządziła sobie drzemkę na kanapie.

△△△

Wyrok śmierci przez przesłuchanie kontynuowano w środę, gdy Jake przystąpił do parugodzinnego przesłuchania Herschela Hubbarda. Poranna sesja wlokła się w atmosferze obezwładniającej nudy, bo wystarczyło kilka pytań, by ustalić, że Herschel niewiele osiągnął i nie wykorzystał większości szans na zrobienie kariery, a głównym wydarzeniem w jego życiu był rozwód. Pytania Jake'a dotyczyły tak pasjonujących tematów jak przebieg nauki, doświadczenie zawodowe, posiadane firmy, poprzednie miejsca zamieszkania, kontakty towarzyskie, grono przyjaciół i znajomych, zainteresowania, hobby, przekonania religijne i polityczne. Odpowiedzi okazały się do tego stopnia nudne i bezbarwne, że kilka osób się zdrzemnęło. Portia w swym trzecim dniu praktycznej styczności z prawem robiła wszystko, by nie usnąć.

Po lunchu adwokaci bez entuzjazmu wrócili do sali rozpraw na kolejną sesję. Jake'owi udało się wprowadzić nieco ożywienia przy stole, gdy zaczął wypytywać Herschela o jego kontakty z ojcem w ciągu ostatnich lat. Świadek starał się stworzyć wrażenie, że byli sobie bliscy, jednak miał trudności z przypomnieniem sobie konkretnych

wizyt w domu. Skoro tak często rozmawiali przez telefon, może pomocne okażą się billingi telefoniczne. A może ma jakieś listy lub pocztówki od ojca? Herschel był pewny, że jakieś ma, nie wiedział jednak, czy uda mu się je znaleźć. Jego adwokaci kazali mu unikać wszelkich konkretów, i Herschel starał się, jak mógł, wypełnić ich polecenie.

Zapewniał, że wielokrotnie spotykał Lettie Lang podczas swych licznych wizyt w domu ukochanego ojca i jego zdaniem stary był nią zauroczony. Przyznał wprawdzie, że nigdy nie widział, żeby się dotykali, ale coś się kryło w ich spojrzeniach. Nie potrafił określić, co dokładnie, ale coś między nimi było. Zawsze kręciła się w pobliżu i chowała po kątach, starając się podsłuchiwać. W miarę jak ojciec zapadał na zdrowiu, stawało się widoczne, że coraz bardziej się od niej uzależnia i stają się sobie coraz bliżsi. Na pytanie Jake'a, czy chce przez to powiedzieć, że utrzymywali stosunki intymne, odpowiedział: „To tylko Lettie wie”. Z jego tonu wynikało, że odpowiedź jest oczywista.

Portia była oburzona. Czuli, że wszyscy poza Jakiem uważają, iż matka sypiała z ledwo żywym białym starcem po to, by wyciągnąć od niego pieniądze. Mimo to starała się zachowywać profesjonalnie i siedziała ze wzrokiem wbitym w stół, z pokerową twarzą, zapelniając kolejne stroniczki notatkami, których nikt nigdy nie przeczyta.

Siedem godzin przepytывania pozwoliło ustalić ponad wszelką wątpliwość, że Herschel jest wyjątkowo nieciekawym człowiekiem, a jego stosunki z ojcem były mocno napięte. Wciąż mieszkał z matką, wciąż przeżywał bolesny rozwód i w wieku czterdziestu sześciu lat ledwo wiązał koniec z końcem, prowadząc studencką spelunę. Było oczywiste, że potrzebuje tego spadku jak powietrza.

Podobnie jak Ramona. Jej przesłuchanie zaczęło się o dziewiątej rano w czwartek, gdy zebrani przy stole odczuwali już znużenie i mieli dość wszystkiego. Trwające pięć kolejnych dni przesłuchania wstępne nie zdarzały się często, choć nie były czymś niespotykanym. Podczas przerwy Wade Lanier przypomniał historię wstępnego przesłuchania dwunastu świadków w sprawie wycieku ropy naftowej

w Nowym Orleanie, które ciągnęło się przez dziesięć dni. Świadkowie byli Wenezuelczykami, większość nie mówiła po angielsku, a tłumacze nie bardzo sobie radzili. Adwokaci co wieczór urządzali popijawę i za dnia walczyli z ciężkim kacem. Gdy wreszcie przesłuchania dobiegły końca, dwóch poszło na detoks.

Nikt nie znał tyłu opowieści co Wade Lanier. Był z nich wszystkich najstarszy i spędził trzydzieści lat w sądach. Im dłużej Jake go słuchał, tym większego nabierał szacunku. Czuł, że przy ławie przysięgłych Lanier okaże się niezwykle trudnym przeciwnikiem.

Ramona była równie nudnym świadkiem jak jej brat. Z zeznań obojga wyłaniał się obraz Setha Hubbarda jako ojca zaniedbującego dzieci, traktującego je jako zło konieczne. Teraz, po jego śmierci i w nadziei na jego pieniądze, starali się ubarwić ten obraz, tworząc pozory bliskiej i kochającej się rodziny, jednak Setha po prostu nie dawało się wymyślić na nowo. Jake męczył Ramonę dociekliwymi i podchwytliwymi pytaniami, robił to jednak z uśmiechem i starał się jej nie obrażać. Wiedział, że ponieważ ona i Herschel mieli rzadki kontakt z ojcem, ich zeznania na procesie nie będą zbyt istotne dla sprawy. Nie było ich przy nim w dniach poprzedzających jego śmierć, więc nie będą mieli nic do powiedzenia o stanie umysłu Setha. Nie mieli też żadnych dowodów na rzekomą bliskość ojca z Lettie.

Były to jednak dopiero wstępne przesłuchania. Jake i pozostali adwokaci nie wątpili, że Lettie, Herschel, Ramona i Ian Dafoe będą ponownie zeznawać jako świadkowie w trakcie procesu. Wówczas sytuacja będzie dużo jaśniejsza, wątpliwości zostaną lepiej zdefiniowane i pełnomocnicy stron będą mogli zadawać im więcej drążących pytań.

Rozdział 23

W czwartek późnym popołudniem do wychodzącego z sądu Jake'a podszedł Stillman Rush i zapytał, czy ma czas na szybkiego drinka. Propozycja była o tyle zaskakująca, że poza sprawą Hubbarda nic ich od dawna nie łączyło. Jasne, czemu nie, odrzekł. Stillman musiał mieć coś ważnego do powiedzenia, bo inaczej nie traciłby czasu na tak podrzędnego adwokacineę jak Jake.

Spotkali się w barze w podziemiach starej kamienicy w pobliżu rynku, parę kroków od sądu. Na dworze było już ciemno, mglisto i posepnie. Wieczór idealnie nadawał się na spędzenie go przy drinku. Choć Jake z reguły nie chodził po barach, w tym już kiedyś był. W lokalu panował półmrok, w powietrzu czuło się wilgoć, a ciemne zakamarki i osłonięte ściankami łoże wręcz zapraszały do załatwiania ciemnych interesów. Bobby Carl Leach, cieszący się zasłużenie złą sławą miejscowy prawnik kombinator, miał tu swój stały stolik, przy którym widywano polityków i bankierów. Do stałych bywalców lokalu należał też Harry Rex Vonner.

Usiedli w jednej z łóż, zamówili po beczkowym piwie i zaczęli się odprężyć. Po czterech dniach spędzonych na słuchaniu nudnych i w dużej mierze bezużytecznych odpowiedzi obaj czuli śmiertelne znużenie. Wrodzone zarozumialstwo Stillmana gdzieś się rozplynęło i młody adwokat zachowywał się niemal sympatycznie. Gdy kelner zostawił piwa i odszedł, Stillman pochylił się nad stołem i konfidencyjnym półgłosem powiedział:

– Mam pomysł. Mój własny, niekonsultowany z nikim. Wszyscy wiemy, że gra idzie o kupę forsy. Nawet nie wiem dokładnie o ile,

ale...

– Dwadzieścia cztery miliony – wtrącił Jake. Wkrótce wszyscy adwokaci i tak dostaną kopię inwentaryzacji majątku, więc równie dobrze mógł to powiedzieć Stillmanowi już teraz.

Jake'owi zależało głównie na tym, by ta informacja nie przedostała się do prasy.

Stillman zamilkł, łyknął piwa i powtórzył:

– Dwadzieścia cztery miliony.

– I żadnych obciążeń – dodał Jake.

– Aż trudno uwierzyć, nie?

– No, trudno.

– No więc dwadzieścia cztery miliony dolców, tyle że jak fiskus się do nich dobierze, to będzie dobrze, jeśli zostanie z tego połowa.

– To prawda. Księgowi też tak mówią.

– Czyli mówimy o dwunastu milionach. To nadal kupa forsy, więcej niż my obaj kiedykolwiek zarobimy. Mój pomysł jest taki, Jake. Spróbujmy się dogadać, wynegocjujmy ugodę. W grze jest troje głównych graczy: Herschel, Ramona i Lettie. Przecież możemy pokroić ten tort tak, żeby wszyscy byli zadowoleni.

Pomysł Stillmana trudno było nazwać oryginalnym. Jake i Lucien już kilkakrotnie się nad tym zastanawiali w przekonaniu, że pełnomocnicy drugiej strony też się nad tym głowią. W rezultacie wszyscy trochę – albo bardzo – ograniczają apetyty, oszczędzają na kosztach i honorariach prawniczych, zamykają usta prasie, unikają niepewności związanej z procesem. Każdy ma zapewniony smakowity kawałek tortu. Absolutnie sensowne wyjście. Przy każdym sporze sądowym pełnomocnicy rozważają możliwość zawarcia ugody.

– Czy tego sobie życzy twój klient? – zapytał Jake.

– Tego nie wiem. Jeszcze o tym nie rozmawialiśmy. Ale jeśli uznasz to za możliwe do przyjęcia, porozmawiam z Herschelem i spróbuję go przekonać.

– No dobra. A jak sobie wyobrażasz podział tego tortu?

Długi łyk piwa, przetarcie ust wierzchem dłoni i przystąpienie do ataku.

– Bądźmy szczerzy, Jake. Lettie naprawdę należy się bardzo mało. W normalnym trybie w ogóle by nie uczestniczyła w podziale majątku. Nie należy do rodziny, a niezależnie od tego, co byśmy o tej rodzinie powiedzieli, majątek niemal zawsze przypada zstępny. Sam to wiesz. Dziewięćdziesiąt procent majątków dzielonych na mocy testamentu przypada członkom najbliższej rodziny. Tak jest w Missisipi, tak samo w Nowym Jorku, tak samo w Kalifornii, gdzie rzecz dotyczy dużo większych mas spadkowych. I spójrz, co mówi prawo. Jeśli ktoś umiera bez testamentu, cały majątek automatycznie trafia do rodziny i do nikogo więcej. Prawo preferuje pozostawienie majątku w rodzinie.

– To prawda, ale w tej sprawie nie może być mowy o ugodzie, jeśli Lettie nie miałyby nic dostać.

– Oczywiście, że nie. Dajmy jej dwa miliony. Wyobrażasz to sobie? Lettie Lang, bezrobotna, z zawodu służąca, nagle dostaje dwa miliony dolców wolnych od podatku. Nie próbuję jej uwłaczać, Jake. Cholera, po jej zeznaniach autentycznie ją polubiłem. Jest sympatyczna, nawet zabawna, fajna babka. Nie czepiam się jej, Jake, ale czy wiesz, ilu czarnoskórych mieszkańców Missisipi dysponuje siedmiocyfrowym majątkiem?

– Oświeć mnie.

– Według spisu powszechnego z roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego w całym stanie było siedmiu czarnych, którzy zgłosili majątek przekraczający milion dolarów. Sami mężczyźni działający w budowlance albo w nieruchomościach. Lettie zostałaby najbogatszą czarnoskórą kobietą w całym stanie.

– A twój klient i jego siostra dzielą się pozostałymi dziesięcioma milionami, czy tak? – upewnił się Jake.

– Coś w tym rodzaju. Przekazujemy Kościołowi przyzwoitą darowiznę i dzielimy resztę.

– Byłby to dla was dobry interes. Zgarnęlibyście jedną trzecią prawie pięciu milionów. Niezła dola.

– Nie powiedziałem, że dostajemy jedną trzecią.

– Ale macie procentowy udział, nie?

– Nie mogę powiedzieć ile, ale tak, to niezła dola.

Niestety tylko dla niektórych, pomyślał Jake. Jeśli zawrą taką ugodę, jego honoraria dramatycznie na tym ucierpią.

– Rozmawiałeś o tym z Lanierem? – spytał.

Stillman aż się wykrzywił na dźwięk tego nazwiska.

– Z nim to zupełnie inna sprawa – burknął. – Lanier próbuje podkraść mi klienta, który na szczęście trzyma się mnie. Nie ufam Lanierowi i przez następne sześć miesięcy będę musiał oglądać się przez ramię. Co za padalec.

– Czyli twoja odpowiedź brzmi: nie?

– Odpowiedź brzmi: nie, z nikim o tym nie rozmawiałem.

– Rozumiem, że stosunki między twoim klientem a jego klientką są napięte, tak?

– Chyba tak. Herschel i Ramona potrafią się dogadać, kiedy chcą, problemem jest Ian. Herschel twierdzi, że z Ianem się nie cierpią. Nigdy się nie znosili. Uważa szwagra za nadętego palanta z napuszonej starej rodziny, która przepuściła majątek, Ian próbuje teraz odbudować swój status i zgrywa ważniaka. Podobno zawsze lekcewał Hubbarda jako prostaka, naturalnie przedtem. Bo teraz nagle zakochał się w całej rodzinie i bardzo się przejmuje jej losem.

Uwagi Jake'a nie umknęło, że Stillman potrafi nazwać kogoś „nadętym palantem z napuszonej starej rodziny”.

– To ci niespodzianka – mruknął z przekąsem. – Stillman, posłuchaj. Dopiero co skończyłem ośmioipółgodzinną zabawę w ciuciubabkę z Ramoną i gdybym nawet tego nie wiedział, tobym się domyślił, że baba za dużo pije. Te jej przekrwione, załzawione oczy, ta opuchlizna twarzy, którą próbuje zamaskować makijażem, te zmarszczki zupełnie niepasujące do czterdziestodwuletniej kobiety. Znam się na pijakach, bo mam pod bokiem Luciena Wilbanka.

– Herschel mówi, że siostra pije i od lat grozi Ianowi rozwodem – powiedział Stillman, zaskakując Jake'a aż taką szczerością.

– Teraz się go nie pozbędzie.

– O nie, teraz Ian jest w niej od nowa zakochany. Mój kolega z Jackson zna paru jego koleśków od kieliszka. Twierdzą, że Ian lubi

uganiać się za spódniczkami.

– Jutro go o to spytam.

– Spytaj. Rzecz w tym, że Herschel i Ian nigdy sobie nie zaufają. Zamówili następną kolejkę i dopili pierwszą.

– Nie sprawiasz wrażenia zachwyconego możliwością ugody – zauważył Stillman.

– Pomijasz wyraźne życzenie starego. Wyraził je dobitnie zarówno w testamencie, jak i w liście do mnie. Polecił za wszelką cenę bronić tego testamentu, do samego końca.

– Polecił?

– Tak. W liście dołączonym do testamentu. Zobaczysz go później. Szczególnie mu zależało na wydziedziczeniu całej rodziny.

– Ale on już nie żyje.

– To wciąż jego pieniądze. Jak moglibyśmy się rządzić pieniędzmi Setha, skoro jego stanowisko w tej sprawie było absolutnie jasne? To nie byłoby w porządku i nie sądzę, by Atlee to zaakceptował.

– A jeśli przegrasz?

– To nie wypełnię jego polecenia. Nie obronię za wszelką cenę testamentu.

Kelner przyniósł drugą kolejkę i w tym momencie do baru wparował Harry Rex. Nie zwracając na nikogo uwagi i do nikogo się nie odzywając, wcisnął się do pustej łoży w rogu, jakby chciał się przed kimś ukryć. Nie minęła szósta i było za wcześnie na wyjście z biura.

Stillman otarł usta i spytał:

– Jake, dlaczego on to zrobił? Masz jakąś teorię?

– Właściwie nie. – Jake pokręcił głową i wzruszył ramionami na znak, że gdyby miał, chętnie by się nią podzielił ze swoim przeciwnikiem procesowym. Tak naprawdę nie podałby mu nawet godziny, gdyby tylko mogło mu to w czymś pomóc.

– Seks?

Kolejne wzruszenie ramion i kolejne bezradne kręcenie głową.

– Nie sądzę. Facet miał siedemdziesiąt jeden lat, kopał jak komin, był chory i słaby, zżarty przez raka. Trudno sobie wyobrazić, by

w tym stanie miał energię i ochotę do erotycznych igraszek.

- Ale dwa lata wcześniej nie był taki chory.
- To prawda, tyle że nie da się tego udowodnić.
- Nie mówię o dowodach, Jake. Ani o materiale dowodowym, ani o przyznawaniu się do winy. Tak tylko spekuluję. Bo musi być jakiś powód.

No to go sobie znajdź, palancie, pomyślał Jake, jednak nie powiedział tego na głos. Rozbawiły go żalodne próby wyciągnięcia z niego jakichś plotek. Zupełnie jakby on i Stillman byli starymi kumplami od kieliszka, którzy mają zwyczaj dzielić się sekretami. Od mielenia jęzorem robią się zajady, mawiał Harry Rex. Przez mielenie jęzorem przegrywa się procesy.

- Trudno uwierzyć, żeby małe bzykanko mogło być warte dwadzieścia cztery miliony dolców – powiedział w zadumie Jake.

Stillman się roześmiał.

- Nie byłbym taki pewien. Już niejedną wojnę o to stoczono.
- To prawda.
- Czyli nie jesteś zainteresowany zawarciem ugody?
- Nie. Mam swoje wytyczne.
- Pożałujesz tego.
- To ma być groźba?
- Ależ skąd. Tylko że naszym zdaniem Sistrunk zdążył już wkurzyć wszystkich białych mieszkańców okręgu Ford.
- Nie wiedziałem, że z ciebie taki znawca okręgu Ford.
- Posłuchaj, Jake. Masz na koncie wspaniałe, spektakularne zwycięstwo sądowe. Nie pozwól, żeby ci to uderzyło do głowy.
- Nie prosiłem o radę.
- Może powinienes.
- Radę od ciebie?

Stillman wysączył resztkę piwa i energicznie odstawił kufel na stół.

- Muszę lecieć. Zapłacę przy barze. – Wstał od stołu i włożył rękę do kieszeni. Jake odprowadził go wzrokiem, zaklął pod nosem, po czym wstał i ruszył w głąb sali.

– Siedzisz w tłumie wszystkich swoich przyjaciół? – mruknął, wsuwając się do łóża Harry'ego Rexa.

– No proszę, Carla w końcu spuściła cię ze smyczy. – Harry Rex siedział nad kuflem budweisera light i czytał jakiś magazyn, który odłożył na widok Jake'a.

– Właśnie skończyłem pierwszego i ostatniego drinka ze Stillmanem Rushem.

– Fascynujące. Niech zgadnę. Zaproponował ugodę.

– Skąd wiesz?

– Bo to logiczne. Szybka ugoda i chłopcy jak złodzieje uciekają z lupem.

Jake przekazał szczegóły uczciwej ugody w pojęciu Stillmana i obaj się roześmiali. Kelner przyniósł półmisek nachos i miseczkę z dipem.

– To twoja kolacja? – spytał Jake.

– Nie, podwieczorek. Wracam jeszcze do biura. Nie zgadniesz, kto jest w mieście.

– Kto?

– Pamiętasz Williego Traynora, dawnego właściciela „Timesa”?

– Jak przez mgłę. Spotkaliśmy się raz czy dwa wiele lat temu. Chyba sprzedał gazetę mniej więcej w tym czasie, kiedy ja się tu przeprowadziłem.

– Zgadza się. Willie kupił ją w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku od rodziny Caudle'ów. Była na skraju bankructwa i zapłacił za nią coś koło pięćdziesięciu kawałków. Po dziesięciu latach sprzedał ją za półtora melona. – Harry Rex zanurzył nacho w sosie i wpakował do ust. Zajęło mu to chwilę, po czym mówił dalej : – Właściwie nigdy tu nie pasował, więc wrócił do Memphis. Stamtąd pochodził i tam się ostro przejechał na nieruchomościach. Potem jednak zmarła jego babka i zostawiła kolejną kupę szmalu. Zdaje się, że jest właśnie w trakcie roztrwania także tego. Byliśmy wtedy dość zaprzyjaźnieni, więc od czasu do czasu do mnie wpada na darmowego drinka.

– Wciąż jest właścicielem Hocutt House?

– Ta, i chyba właśnie w tej sprawie chce się ze mną widzieć. Kupił go w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim, po tym, jak wszyscy Hocuttowie wymarli. To dopiero była rodzinna. Bliźniaczki Wilma i Gilma, do tego braciszek i walnięta siostrzyczka. Żadne z nich nigdy nie wstąpiło w związek małżeński. Willie kupił dom, bo nikt inny go nie chciał, i przez kilka lat go remontował. Widziałeś go?

– Tylko od ulicy. Jest piękny.

– To jeden z najpiękniejszych wiktoriańskich domów w tych stronach. Przypomina wasz dawny dom, tyle że jest dużo większy. Willie ma dobry gust i wewnątrz jest bez zarzutu. Problem w tym, że przez ostatnie pięć lat nie przespał w nim nawet trzech nocy. Chce go sprzedać, bo pewnie potrzebuje forsy, ale nikogo z miejscowych na niego nie stać.

– Bez względu na cenę i tak jest całkowicie poza moim zasięgiem – rzekł Jake.

– Uważa, że jest wart trzysta tysięcy dolców. Powiedziałem mu, że może tyle jest wart, ale takiej sumy nigdy nie dostanie. Ani teraz, ani za dziesięć lat.

– Jakiś lekarz go kupi.

– Wspomniał o tobie, Jake. Śledził przebieg procesu Haileya, wie, że Klan spalił ci dom i że jesteś potencjalnym kupcem.

– Nie jestem potencjalnym kupcem, Harry. Jestem w sporze z firmą ubezpieczeniową. Ale podziękuj mu w moim imieniu. Ten dom to nie moja liga.

– Poczęstuj się nacho.

– Nie, dzięki. Muszę wracać do domu.

– Powiedz Carli, że ją kocham i pożądam jej ciała.

– Nie muszę mówić. Sama to wie. Na razie.

Jake wyszedł na zimną mżawkę i ruszył w stronę biura. Latarnie wokół rynku udekorowano świątecznymi girlandami i srebrnymi dzwoneczkami. Z ustawionej przed sądem stajenki dochodziły dźwięki kolęd. Sklepy były otwarte do późna i wszędzie panował ożywiony ruch. W powietrzu wisiała obietnica, że mżawka może się wkrótce zamienić w śnieg, a niewiele rzeczy tak ekscytowało miej-

scowych, jak zapowiedź opadów śniegu. Starsi mieszkańcy Clanton z rozrzewnieniem wspominali białe Boże Narodzenie z 1952 roku i nawet najwęższa szansa na śnieg powodowała, że dzieci w podnieceniu biegały od okna do okna, wypatrując białych płatków, a sklepy wystawiały na chodnik szufle do śniegu i worki z solą. Kupujący kręcili się w nerwowym pośpiechu, jakby chcieli zdążyć przed zbliżającą się zadymką.

Jake pojechał okrężną drogą do domu. Przejechał zadrzewionymi uliczkami śródmieścia, potem skręcił w Market Street. W Hocutt House paliło się światło, co należało do rzadkości. Jake i Carla wielokrotnie tędy przejeżdżali; za każdym razem zwalniali, z zachwytem przyglądając się posesji i zawsze konstatując, że śliczny wiktoriański dom wciąż stoi pusty i niewykorzystany. Od zawsze się mówiło, że Willie Traynor chce go sprzedać. Wszyscy wiedzieli, że po sprzedaży gazety wyniósł się z Clanton i nie zamierza tu wracać.

Domowi przydałoby się odnowienie. Latem klomby kwiatów dusiły się od chwastów, trawniki porastały wysoką trawą. Jesienią wiatr nawiewał na werandę sterty liści, których nikt nie zmiatał.

Przez chwilę miał ochotę się zatrzymać, zapukać do drzwi, wprosić na drinka i pogadać z Williem, jednak pokusa minęła i pojechał dalej w stronę domu.

Rozdział 24

W wigilię Bożego Narodzenia Jake wstał późno. O siódmej, kiedy Carla jeszcze spała, zwał się łóżka i cichutko podreptał do kuchni. Zaparzył kawę, usmażył jajecznicę i podgrzał babeczki. Kiedy wrócił ze śniadaniem do sypialni, jego żona niechętnie ożyła. Jedli powoli, cicho rozmawiając i ciesząc się rzadką chwilą samotności. Później do pokoju wpadła Hanna i zaczęła z przejściem trajkotać o Świętym Mikołaju. Usadowiła się między rodzicami i poczęstowała babeczką. Bez żadnej zachęty opowiedziała, co umieściła w swoim liście adresowanym na biegun północny, wyraźnie zatroskana, że poprosiła o zbyt wiele. Oboje rodzice cierpliwie zaprzeczali. W końcu była ich jedynym dzieckiem i zwykle dostawała to, co chciała. Oprócz tego przygotowali niespodziankę, która miała przyćmić wszystkie życzenia małej.

Godzinę później Jake i Hanna wyszli na rynek, a Carla została w domu, żeby zapakować prezenty. Roxy miała wolne, ale Jake musiał pójść po niespodziankę dla żony. Kancelaria była najlepszym miejscem na ukrycie podarunku, który przygotował dla Carli. Nie spodziewał się, że kogoś tam zastanie, ale nie zdziwił się, gdy ujrzał Luciena przeglądającego stertę starych akt w sali konferencyjnej. Wyglądało, jakby siedział tam od wielu godzin, choć sprawiał wrażenie czystego i trzeźwego.

– Musimy pogadać – powiedział.

Hanna lubiła buszować w wielkim biurze taty, więc Jake zostawił ją na górze i poszedł po kawę. Lucien zdążył już wypić pół dzbanka i sprawiał wrażenie wystarczająco pobudzonego.

– Nie uwierzysz – podjął, zamykając drzwi pokoju.

Jake opadł na krzesło, zamieszał kawę i spytał:

– Czy ta sprawa nie może poczekać do poniedziałku?

– Nie, zamknij się i słuchaj. Oto najważniejsze pytanie: dlaczego ktoś miałby zrobić to, co Seth Hubbard? Mam rację? Sporządzić testament, niechlujnym, odręcznym pismem, i wydziedziczyć rodzinę, zapisując wszystko osobie, która nie zgłasza roszczeń do żadnego składnika majątku? Wiem, że to pytanie nie daje ci spokoju. Dodam, że dopóki nie znajdziemy odpowiedzi, będzie się stawać coraz bardziej dokuczliwe.

– Zakładając, że odpowiedź istnieje.

– Tak. Aby rozwiązać zagadkę i pomóc ci wygrać sprawę, trzeba odpowiedzieć na to pytanie.

– Znalazłeś odpowiedź, Lucienie?

– Jeszcze nie, ale jestem na dobrej drodze. – Lucien wskazał stos papierów zalegających na biurku: teczek, kopii starych aktów własności i notatek. – Przejrzałem dokumenty notarialne pięćdziesięciu hektarów ziemi, którą Seth Hubbard miał w tym okręgu w chwili śmierci. Wiele dokumentów uległo zniszczeniu podczas pożaru sądu po drugiej wojnie światowej, ale sporo zdołałem odtworzyć. Przejrzałem każdą księgę notarialną od początku dziewiętnastego wieku, każdy numer miejscowych gazet, odkąd zaczęły wychodzić. Przeprowadziłem również rozległe badania genealogiczne rodzin Hubbardów, Tayberów i Rindsów. Wiesz, jaka to trudna sprawa w przypadku czarnych. Lettie została wychowana przez Cypress i Clyde'a Taybera, choć nigdy nie przeprowadzono formalnej adopcji. Według Portii, dowiedziała się, że nie są jej biologicznymi rodzicami, dopiero jako trzydziestoletnia kobieta. Podobnie jak ja Portia jest przekonana, że Lettie w rzeczywistości była dzieckiem Rindsów, ale ta rodzina nie mieszka już w okręgu Ford.

Jake wypił łyk kawy, słuchając w napięciu. Lucien rozłożył dużą, odręcznie rysowaną mapę i zaczął tłumaczyć:

– To pierwotna ziemia Hubbardów. Trzydzieści hektarów. Należała do rodziny od setek lat. Seth odziedziczył ją po ojcu, Cleonie,

który zmarł trzydzieści lat temu. Cleon zostawił testament, w którym przekazał wszystko Sethowi, całkowicie pomijając Ancila. Z ziemią graniczy kolejne trzydzieści hektarów, o tutaj, przy moście, gdzie znaleźli Seta. Seth kupił piętnaście hektarów dwadzieścia lat temu. Ta ziemia nie ma większego znaczenia. – Lucien wskazał drugą parcelę, nieporadnie naszkicował w tym miejscu potok, most i drzewo, na którym powiesił się Hubbard. – I tu zaczyna się robić ciekawie. Druga parcela licząca trzydzieści hektarów została nabyta w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym przez Cleona Hubbarda. Sprzedającym był Sylvester Rinds lub jego małżonka. Ziemia należała do Rindsów przez sześćdziesiąt lat. Niezwykłe w tym wszystkim jest to, że Rindsowie byli czarnymi. Wygląda na to, że ojciec Sylwestra był synem wyzwolonego niewolnika, który wszedł w posiadanie wspomnianych trzydziestu hektarów około tysiąc osiemset siedemdziesiątego roku, w okresie rekonstrukcji. Nie jest jasne, jak stał się jej właścicielem. Sądzę, że nigdy się tego nie dowiemy. Dokumenty się nie zachowały.

– W jaki sposób Cleon nabył własność od Rindsów? – spytał Jake.

– Przez proste zrzeczenie się własności, pod którym widnieje podpis Esther Rinds zamiast podpisu jej męża.

– Gdzie był wtedy jej mąż?

– Nie wiem. Zakładam, że zmarł lub wyjechał, bo ziemia była na jego nazwisko, a nie żony. Aby mogła sprzedać nieruchomość, musiała ją odziedziczyć. Zatem przypuszczalnie już nie żył.

– Znalazłeś akt zgonu?

– Nie, do tej pory mi się to nie udało. Ciągle szukam. Jest coś jeszcze. Nie znalazłem żadnych dokumentów z okręgu Ford po roku tysiąc dziewięćset trzydziestym, w których figurowaliby członkowie rodziny Rindsów. Zupełnie zniknęli. Dziś nie znajdziesz tu żadnego. Sprawdziłem książki telefoniczne, listy wyborców, spisy podatników. Wymień, co chcesz, wszystko przejrzałem. Nigdzie ani śladu Rindsa. Niezwykła sprawa.

– Co z tego wynika?

– To, że zniknęli.

– Może wyjechali do Chicago, jak inni.

– Może. Z zeznania Lettie pod przysięgą wiemy, że kiedy przyszła na świat, jej matka miała około szesnastu lat. Lettie była nieślubnym dzieckiem. Nigdy nie poznała ojca. Twierdzi, że urodziła się w pobliżu Caledonii w okręgu Monroe. Jej matka zmarła kilka lat później. Lettie jej nie pamięta. Dziewczynką zaopiekowała się ciotka, a później druga. W końcu trafiła do Tayberów w Alabamie. Przyjęła ich nazwisko i ułożyła sobie życie. Resztę usłyszałeś w zeznaniu. Nigdy nie sporządzono jej aktu urodzenia.

– Jakie to ma znaczenie?

Lucien otworzył inną teczkę i podsunął mu kartkę papieru.

– Wiele czarnych niemowląt nie miało aktu urodzenia. Przychodziły na świat w domu, z pomocą położnych i akuserek. Nikt nie zaprzętał sobie głowy prowadzeniem ksiąg. Mimo to wydział zdrowia w każdym okręgu starał się odnotowywać przynajmniej liczbę urodzeń. Oto kopia jednej ze stron rejestru żywych urodzeń z roku tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego. Stoi tu, że Letetia Delores Rinds przyszła na świat szesnastego maja w okręgu Monroe, stan Missisipi. Matką była młoda kobieta nazwiskiem Lois Rinds. Szesnaście lat.

– Pojechałeś do okręgu Monroe, żeby to wygrzebać?

– Tak. Jeszcze nie skończyłem. Wygląda na to, że Lettie może pochodzić z rodziny Rindsów.

– Mówi, że niczego nie pamięta. A przynajmniej nie pamięta nic ze swojego dzieciństwa w Alabamie.

– Czy pamiętasz coś, co wydarzyło się, zanim ukończyłeś trzeci rok życia? – spytał Lucien.

– Wszystko.

– Bo jesteś czubem!

– A jeśli rodzina Lettie pochodzi z okręgu Ford?

– Niech będzie! Przypuśćmy, że właśnie tak jest. I założmy, że kiedyś byli właścicielami tych samych trzydziestu hektarów, do których Cleon Hubbard nabył prawo własności w tysiąc dziewięćset

trzydziestym roku. Tych samych, które później odziedziczył Seth Hubbard. I tych samych, które później zapisał Lettie. Krąg się zamyka, prawda?

– Może tak, a może nie. Nadal są ogromne luki. Nie można założyć, że wszyscy czarni z północnego Missisipi nazwiskiem Rinds pochodzą z okręgu Ford. To naciągane.

– Zgoda. To tylko teoria, ale robimy postępy.

– My?

– Portia i ja. Zdobyła informacje na temat swojego drzewa genealogicznego. Wyciągnęła szczegóły od Cypress, która nie należy do szczególnie rozmownych. Podobnie jak w przypadku większości rodzin w przeszłości kryje się wiele tajemnic, których Portia wolałaby nie poznać.

– Jakiś przykład?

– Cypress i Clyde Tayber się nie pobrali. Mieli szóstkę dzieci i żyli razem czterdzieści lat, ale nigdy formalnie się nie związali, przynajmniej w sensie prawnym.

– Nie ma w tym nic niezwykłego. Chroniło ich prawo zwyczajowe.

– Wiem. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że Cypress nie jest nawet z nimi spokrewniona. Portia sądzi, że jej mama mogła zostać porzucona parę razy, zanim zostawiono ją na progu domu Tayberów.

– Czy Lettie chce o tym rozmawiać?

– Nieszczęśliwie. To zrozumiałe. Jak można się domyślać, historia jej rodziny nie jest przyjemnym tematem.

– Czy Lettie nie wiedziała, że pochodzi z rodziny Rindsów?

– Być może, ale nie jest to pewne. Miała trzydzieści lat, kiedy Cypress powiedziała jej, że została adoptowana. Cypress nigdy nie poznała matki Lettie. Zastanów się, Jake. Przez trzydzieści lat Lettie sądziła, że Cypress i Clyde są jej biologicznymi rodzicami, a sześcioro pozostałych dzieciaków to jej bracia i siostry. Portia wyznała, że Lettie była zmartwiona, kiedy w końcu poznała prawdę, i nigdy nie pragnęła grzebać w przeszłości. Tayberowie z Alabamy nie są nawet daleko spokrewnieni z Rindsami z okręgu Ford, więc całkiem moż-

liwe, że Lettie nie знаła swojego pochodzenia.

Jake dumał o tym kilka minut, popijając kawę i próbując spojrzeć na sytuację z różnych punktów widzenia.

– W porządku – rzekł w końcu. – Założmy, że przyjmujemy twoją teorię. Dlaczego Seth miałby zwrócić ziemię Rindsom?

– Moja teoria nie sięga jeszcze tak daleko.

– I czemu miałby jej wszystko zostawić? Trzydzieści hektarów i znacznie więcej. Kosztem własnej rodziny?

– Jeszcze się do tego nie dokopałem.

– Nawet mi się to podoba. Kop dalej.

– Ta sprawa może mieć kluczowe znaczenie, Jake, bo dostarcza motywu. Najważniejsze pytanie brzmi: dlaczego? Jeśli znajdziemy odpowiedź, będziesz mógł wygrać proces. W przeciwnym razie jest po tobie.

– To tylko twoje zdanie, Lucienie. O ile pamiętam, skłaniałeś się ku tej opinii jeszcze przed procesem Haileya.

– Im prędzej zapomnisz o tym procesie, tym szybciej staniesz się dobrym prawnikiem.

Jake uśmiechnął się i wstał.

– Pewnych rzeczy nie da się zapomnieć, Lucienie. Wybacz, ale muszę cię opuścić. Idę z córką na zakupy. Wesołych świąt.

– Nie pleć bzdur.

– Przyjdiesz na kolację?

– Przestań chrzanić.

– Tak sobie pomyślałem. Do zobaczenia w poniedziałek.

△△△

Simeon Lang wrócił do domu po zmroku w Wigilię. Nie było go ponad dwa tygodnie. Zagnało go aż do Oregonu, dokąd osiemnasto-kołową ciężarówką przewiózł sześć ton kradzionego sprzętu gospodarstwa domowego. Kieszenie miał pełne gotówki, serce rozpiełała mu miłość, na usta cisnęły się kolędy, a zgrabna flaszczyka burbona leżała ukryta pod fotelem pasażera. Był trzeźwy jak świnia i obiecywał sobie, że nie pozwoli, aby gorzała zepsuła mu święta. Mówiąc

krótko, Simeon był w radosnym nastroju, dopóki nie zajechał przed starą budę Sappingtonów. Doliczył się siedmiu samochodów zaparkowanych chaotycznie na podjeździe i trawniku przed domem. Trzy rozpoznał. Trzech nie był do końca pewien. Nagle przestał zawodzić *Jingle Bells* w środku refrenu i mało nie zaklął. W domu paliły się światła i wyglądało na to, że pełno w nim ludzi.

Jedną z zalet poślubienia Lettie było to, że jej rodzina mieszkała daleko, w Alabamie. Nie miała żadnych krewnych w okręgu Ford. Jego krewnych było stanowczo za dużo, w dodatku sprawiali kłopoty, ale nie musiał przynajmniej wysłuchiwać utyskiwań jej rodziny. W skrytości ducha ucieszył się, gdy jako trzydziestoletnia kobieta dowiedziała się, że Cypress i Clyde Tayber nie są jej prawdziwymi rodzicami, a szóstka ich dzieciaków nie jest jej rodzeństwem. Radość szybko prysła, bo Lettie nadal traktowała ich tak, jakby byli spokrewnieni. Clyde umarł, dzieci rozjechały się po świecie, a Cypress potrzebowała domu. Przygarnęli ją tymczasowo, ale pięć lat później wciąż u nich mieszkała, większa i jeszcze bardziej bezradna niż wcześniej. Bracia i siostry wrócili z własnym potomstwem i wyciągniętymi rękami.

Co prawda, kłopoty sprawiali także Langowie. Szczególnie dokuczyła im jego bratowa. Nie miała pracy i chciała pożyczyć gotówkę, najchętniej na gębę, żeby nie dało się wyegzekwować zwrotu pieniędzy. Simeon niemal sięgnął po butelkę, ale zwalczył pokusę i wysiadł z wozu.

Wszędzie roiło się od dzieciaków. W kominku płonął ogień. W kuchni było pełno ludzi, którzy próbowali potraw. Niemal wszyscy byli szczęśliwi lub skutecznie udawali błogość. Lettie uśmiechnęła się i przytuliła męża. Zadzwonił do niej z Kansas i obiecał, że wróci do domu na kolację. Cmoknęła go w policzek, żeby sprawdzić, czy nie pił, a kiedy pomyślnie przeszedł próbę, wyraźnie się rozluźniła. Zadbala o to, żeby w domu nie było ani kropli gorzały. Biedaczka rozpaczliwie pragnęła, aby tak pozostało. W salonie Simeon przytulił swoje dzieciaki – Portię, Phedrę, Clarice i Kirka – oraz dwoje wnucząt. Z magnetofonu na górze dolatywał *Rudolph*, a trzech malców

pchało siedzącą na wózku Cypress po korytarzu z prędkością, która wydawała się zagrażać jej życiu. Z kolei nastolatki oglądały telewizję nastawioną na pełny regulator.

Stary dom niemal dygotał w posadach od chaotycznej energii, więc po kilku minutach Simeon się uspokoił. Samotność, która towarzyszyła mu w drodze, pozostała daleko w tyle. W końcu była wigilia Bożego Narodzenia, a on znajdował się wśród najbliższych. Oczywiście, miłość i serdeczność, którą sobie okazywali, w dużym stopniu wypływały z chciwości i chęci zbliżenia się do Lettie, ale Simeon nie skupiał się na tym. Wiedział, że to tylko kilka godzin, i cieszył się chwilą.

Szkoda, że Marvis nie mógł być z nimi.

Lettie ustawiła dwa stoły tak, że wypełniały całą jadalnię. Kobiety przyniosły półmiski z pieczonym indykiem, szynką, batatami oraz mnóstwem innych warzyw i zapiekanek. Nie zabrakło też imponującego wyboru placków i ciast. Siadanie do stołu trwało kilka minut, a kiedy wszyscy znaleźli się na miejscach, Lettie zmówiła krótką dziękczynną modlitwę. Miała jednak do powiedzenia coś więcej. Rozłożyła kartkę wyrwaną z notatnika i oznajmiła:

– Posłuchajcie, to od Marvisa.

Na dźwięk tego imienia wszyscy zamarli, wszystkie głowy pochyliły się niżej. Każdy miał własne wspomnienia związane z najstarszym dzieckiem Lettie, przeważnie bolesne i nieprzyjemne.

Lettie zaczęła czytać.

– „Witajcie, mamó i tato, bracia i siostry, kuzynki i kuzyni, ciocie i wujkowie. Przesyłam wam świąteczne pozdrowienia i życzę każdemu wesołych świąt. Piszę te słowa w nocy, w mojej celi. Przez okno widać skrawek nieba. Nie ma dziś księżycy, ale jest za to mnóstwo gwiazd. Jedna jest naprawdę jasna. Myślę, że to Gwiazda Północna, ale nie jestem pewny. W każdym razie wyobrażam sobie, że to gwiazda nad Betlejem, prowadząca mędrców do małego Jezusa. Ewangelia Mateusza, rozdział drugi. Kocham was wszystkich. Szkoda, że nie mogę być razem z wami. Bardzo żałuję swoich błędów i cierpienia, którego przysporzyłem mojej rodzinie i przyjaciołom.

Pewnego dnia wyjdę z więzienia, a kiedy będę wolny, przyjadę na Boże Narodzenie i wszyscy będziemy szczęśliwi. Marvis”.

Lettie czytała mocnym głosem, nie zważając na łyzy, które ciekły jej po policzkach. Otarła je i uśmiechnęła się z trudem, a następnie powiedziała:

– Jedźmy.

△△△

Ponieważ okazja była szczególna, Hanna uparła się spać z rodzicami. Czytali bożonarodzeniowe opowieści do dziesiątej, nie licząc krótkich przerw, aby dziewczynka mogła pobiec do salonu i sprawdzić, czy Święty Mikołaj jakimś cudem nie zakradł się do domu. Pełna oczekiwania trajkotała i chichotała nerwowo, aż w końcu ucichła. Kiedy Jake zbudził się o świcie, leżała przytulona do matki, pogrążona w głębokim śnie. Wystarczyło jednak szepnąć: „Myślę, że Święty Mikołaj tu był”, aby zerwała się na równe nogi. Hanna podskoczyła do choinki i zapiszczała ze zdumienia, widząc hojne dary, które jej zostawił. Jake poszedł zaparzyć kawę, a Carla robiła zdjęcia. Otwierali prezenty i śmiali się razem z Hanną, a pudełka i papier piętrzyły się coraz wyżej. Czy na tym świecie można sobie wyobrazić coś lepszego od bycia siedmiolatkiem w Boże Narodzenie? Kiedy radosne podniecenie zaczęło słabnąć, Jake się wycofał i wyszedł na dwór. W małym magazynku obok wiaty dla samochodów znalazł kolejny pakunek – duże kwadratowe pudło owinięte zielonym papierem z szeroką czerwoną kokardą. W środku popiskiwał szczeniak. Dla Jake'a i psiaka była to długa noc.

– Zobacz, co znalazłem – oznajmił, stawiając pudło na dywanie obok Hanny.

– Co jest w środku, tatusiu? – spytała dziewczynka, z miejsca nabierając podejrzeń. Przerażony szczeniak, który siedział w środku, nie wydał żadnego dźwięku.

– Otwórz – zaproponowała Carla. Hanna zaczęła rozrywać papier. Jake otworzył pokrywkę i mała zajrzała do środka. Sadie spojrzała jej w oczy smutnymi, zmęczonymi ślepiami, które zdawały się

mówić: „Wyciągnij mnie stąd”.

Mieli udawać, że Sadie przybyła z bieguna północnego. W rzeczywistości przygarnęli ją z miejscowego przytułku dla zwierząt. Jake kupił ją za trzydzieści siedem dolarów w pakiecie ze szczepieniami i sterylizacją w przyszłości. Ponieważ nie dało się odgadnąć rasy, jej opiekunowie powstrzymali się od uwag w kwestii wielkości lub temperamentu psiaka. Ktoś powiedział, że ma „dużo z teriera”, a inny kategorycznie temu zaprzeczył.

– Dostrzegam w niej pewne cechy sznaucera. – Matkę Sadie znaleziono martwą w rowie, ale Sadie i pięcioro jej rodzeństwa w wieku około miesiąca zdołano uratować.

Hanna delikatnie podniosła i przytuliła szczeniaka, pieszcząc i tuląc go do piersi. Oczywiście Sadie zaczęła lizać ją po twarzy. Dziewczynka spojrzała na rodziców, zaniemówiwszy ze zdumienia. Jej piękne oczy zwilgotniały i nagle straciła głos.

– Święty Mikołaj nazwał ją Sadie – powiedział Jake – ale jeśli chcesz, możesz wybrać inne imię.

Święty Mikołaj to cudotwórca, bo Hanna natychmiast zapomniała o innych zabawkach i podarunkach, które dostała.

– Sadie idealnie pasuje – wydusiła w końcu.

W ciągu godziny pies został oprowadzony po domu, a troje ludzi podążało o krok za nim, dbając o to, żeby dostał wszystko, czego pragnie.

△△△

W skreślonej odręcznie notatce Willie Traynor zapraszał na koktajl. Godzina osiemnasta, dzień po Bożym Narodzeniu, w Hocutt House. Obowiązywał świąteczny strój, cokolwiek to oznaczało. Carla uparła się, że przynajmniej krawat. Jake w końcu uległ. Początkowo udawali, że nie mają ochoty pójść, choć nie mieli nic innego do roboty. Eleganckie koktajle należały w Clanton do rzadkości. Podejrzewali, że Willie, który wychował się w Memphis, w otoczeniu dużych pieniędzy, może wiedzieć, jak zorganizować taką imprezę. Oczywiście największym atutem był dom. Podziwiali go od lat z

zewnątrz, ale nigdy nie weszli do środka.

– Krążą plotki, że Willie chce go sprzedać – powiedział Jake, kiedy rozmawiali o zaproszeniu. Nie wspomniał żonie o swojej rozmowie z Harrym Rexem, głównie z powodu ceny domu, która nie leżała w zasięgu ich możliwości.

– Ludzie gadają o tym od jakiegoś czasu, prawda? – spytała Carla i się rozmarzyła.

– Tak, ale Harry Rex twierdzi, że Willie zaczął myśleć poważnie o sprzedaży. Prawie wcale tam nie mieszka.

Przybyli jako pierwsi, zgodnie ze zwyczajem dziesięć minut po czasie. Willie był sam. Jego świąteczny strój obejmował czerwoną muchę, czarny atlasowy smoking i zmodyfikowany szkocki kilt. Przekroczył czterdziestkę, był przystojnym mężczyzną o długich włosach i siwiejącej brodzie, szarmanckim gospodarzem, szczególnie wobec Carli. Jake musiał się przyznać do brzydkiego uczucia zawiści. Facet miał zaledwie parę lat więcej od niego, a już zarabiał miliony. Był kawalerem ceniącym towarzystwo kobiet i robił wrażenie światowca.

Willie nalał szampana do ciężkich kryształowych kieliszków i wznosił toast za minione święta.

– Chcę wam coś powiedzieć – oznajmił z uśmiechem po pierwszym łyku, jakby byli rodziną i nadeszły ważne nowiny. – Postanowiłem sprzedać dom. Kocham tę posiadłość, ale zwyczajnie za rzadko w nim bywam. Takie miejsce potrzebuje prawdziwego właściciela, ludzi, którzy będą je cenić, pielęgnować, utrzymywać w dobrym stanie. – Pociągnął kolejny łyk, a kieliszki Jake'a i Carli zawisły w połowie drogi do ust. – Nie sprzedam go byle komu. Nie zatrudnię pośrednika nieruchomości. Wolałbym nie wprowadzać go na rynek. Nie chcę, żeby gadali o tym na mieście.

Jake nie mógł stłumić chichotu, bo w Clanton już huczało od plotek.

– Zgoda, tu niczego nie utrzyma się w sekrecie, ale ludzie nie muszą wiedzieć o naszej rozmowie. Byłbym rad, gdybyście mogli go kupić. Dodam, że widziałem wasz poprzedni dom, przed pożarem.

Jestem pod wrażeniem tego, jak go odrestaurowaliście.

– Obniż cenę, to weźmiemy – podpowiedział uczynnie Jake.

Willie spojrział na Carlę łagodnymi brązowymi oczami i powiedział:

– Ten dom jest ci pisany.

– Ile chcesz? – spytał Jake. Kark mu zeszytniał, ale obiecał sobie, że nie mrugnie okiem, gdy usłyszy cenę.

– Dwieście pięćdziesiąt – odparł bez wahania Willie. – W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim dałem za niego setkę. Drugie tyle poszło na remont. Podobny dom w Memphis poszedłby za milion, ale to kawał drogi stąd. Gdybym dał ogłoszenie, że sprzedam za pół miliona, zarósłby chwastami. Powiem szczerze, chciałbym odzyskać zainwestowane pieniądze.

Jake i Carla spojrzeli na siebie w osłupieniu, bo nie było o czym mówić, przynajmniej w tej chwili. Ale Willie, urodzony sprzedawca, ciągnął:

– Rozejrzyjcie się. Inni przyjdą o osiemnastej trzydzieści. – Odebrał im kieliszki i poprowadził w kierunku frontowej werandy. Kiedy wycieczka dobiegła końca, Jake wiedział, że nie ma odwrotu.

Według Williego dom zbudowano około 1900 roku. Klasyczny styl wiktoriański, wysoki dwuspadowy dach, czteropoziomowa wieżyczka i szerokie, zadaszone werandy otaczające dom z obu stron. Jego pierwszym właścicielem był doktor Miles Hocutt, przez wiele dziesięcioleci najlepszy lekarz w mieście.

Jake musiał przyznać, że cena nie jest wygórowana, choć z pewnością nie leżała w zasięgu jego możliwości. Z drugiej strony mogło być znacznie gorzej. Podejrzewał, że Harry Rex poradził Williamu, żeby złożył rozsądną ofertę, szczególnie jeśli chce, aby dom kupili Brigance'owie. Zdaniem Harry'ego Rexa krążyły różne plotki: że Willie ponownie zarobił kupę forsy na giełdzie, że poniósł duże straty na rynku nieruchomości w Memphis i że niedawno odziedziczył fortunę po babce. Kto wie, jak było naprawdę? Zaoferowana cena wskazywała, że szybko potrzebuje gotówki. Willie wiedział, że Jake i Carla szukają domu. Wiedział też, że ugrzęźli w procesie o odszko-

dowanie z firmą ubezpieczeniową. No i wiedział (przypuszczalnie od Harry'ego Rexa), że Jake dostanie sowite honorarium za sprawę Hubbarda.

Gadał bez przerwy, oprowadzając Carlę po nieskazitelnych parkietach z twardego sosnowego rdzenia, demonstrując jej nowoczesną kuchnię i prowadząc na górę krętymi schodami do okrągłej biblioteki na czwartym poziomie wieżyczki. Jake dreptał posłusznie w ślad za nimi, zastanawiając się, jak, u licha, zdoła zapłacić za taki dom, nie mówiąc o jego umeblowaniu.

Rozdział 25

Dla tych, którzy zakwestionowali testament Seta Hubbarda, święta Bożego Narodzenia nadeszły późno. Dokładnie szesnastego stycznia.

Śledczy pracujący dla Wade'a Laniera trafił na istną żyłę złota. Randall Clapp znalazł w końcu potencjalnego świadka, niejakiego Fritza Pickeringa, który mieszkał niedaleko Shreveport w Luizjanie. Clapp był głównym śledczym Laniera i miał nosa do wynajdywania cennych informacji. Pickering pilnował swoich spraw i nie miał zielonego pojęcia, czego ten człowiek chce, ale poczuł się zaintrygowany i zgodził się na spotkanie w barze, kiedy Randall obiecał postawić mu lunch.

Clapp zbierał informacje od poprzednich pracodawców Lettie Lang. Niemal wszyscy pochodzili z zamożnych rodzin i przywykli do posiadania czarnej pomocy domowej. W zeznaniu złożonym pod przysięgą Lettie podała tyle nazwisk, ile zdołała zapamiętać, a przynajmniej tak stwierdziła. Dała wyraźnie do zrozumienia, że mogła pominąć jednego lub dwóch, u których pracowała w ciągu minionych trzydziestu lat. Nie robiła notatek. Większość pomocy domowych nie miała takiego zwyczaju. Zapomniała jednak wspomnieć, że pracowała u Irene Pickering. Nazwisko Pickering wypłynęło, kiedy Clapp rozmawiał z innym z jej byłych pracodawców.

Lettie nie pracowała u nikogo dłużej niż sześć lat. Z różnych powodów niezwiązanych z jej kompetencjami. Faktycznie, niemal wszyscy wysoko ją cenili. Tylko Pickering był odmiennego zdania. Opowiedział swoją historię nad zupą i sałatką.

Jakieś dziesięć lat temu, w 1978 lub 1979 roku, jego matka, wdowa Irene Pickering, zatrudniła Lettie Lang do sprzątanania i gotowania. Pani Pickering mieszkała na przedmieściach małego miasteczka Lake Village w starym domu, który od zawsze należał do jej rodziny. W tym czasie Fritz Pickering mieszkał w Tupelo i pracował w firmie ubezpieczeniowej, która później przeniosła go do Shreveport. Widywał matkę przynajmniej raz w miesiącu i dobrze poznał Lettie. Wszyscy byli zadowoleni z panującego układu, szczególnie pani Pickering. W 1980 roku Irene zaczęła szybko podupadać na zdrowiu i stało się jasne, że niebawem umrze. Lettie pracowała całymi godzinami i okazywała prawdziwe współczucie umierającej kobiecie, ale Fritz i jego siostra zaczęli się coraz bardziej niepokoić finansami matki. Stopniowo Lettie wzięła na siebie płacenie rachunków i wypisywanie czeków, choć wyglądało, że to pani Pickering je podpisywała. Lettie przechowywała wyciągi bankowe, umowy ubezpieczeniowe i inne dokumenty.

Ktoregoś dnia Fritz dostał pilny telefon od siostry, która znalazła zdumiewający dokument. Była to odręczna notatka matki, w której zapisywała Lettie Lang pięćdziesiąt tysięcy dolarów w gotówce. Fritz zwolnił się z pracy i pognął do Lake Village, by po kilku godzinach spotkać się z siostrą i wspólnie przejrzeć testament. Na dokumencie sprzed dwóch miesięcy widniał podpis Irene Pickering. Charakter pisma nie budził żadnych wątpliwości, choć było dużo bardziej niestaranne od tego, jakie znali. Siostra Pickeringa znalazła testament w zwykłej kopercie wetkniętej w starą rodzinną Biblię stojącą na półce obok książek kucharskich. Kiedy zapytali matkę, odparła, że czuje się zbyt słaba, aby rozmawiać o tej sprawie.

W tym czasie pani Pickering miała sto dziesięć tysięcy dolarów odłożonych na lokacie i osiemnaście tysięcy na rachunku bieżącym. Lettie miała dostęp do comiesięcznych wyciągów z obu kont.

Następnego ranka Fritz i jego siostra przeprowadzili konfrontację z Lettie, kiedy ta przyszła do pracy. Urządzili jej karczemną awanturę, utrzymując, że nakłoniła, czy wręcz zmusiła ich matkę do zmiany testamentu. Lettie wszystkiemu zaprzeczyła, była szczerze zasko-

czona, a nawet zraniona. Zwolnili ją mimo to i kazali natychmiast opuścić dom. Później zapakowali mamę do samochodu i zawieźli do kancelarii prawnej w Oxfordzie, gdzie mieszkała siostra Fritza. Prawnik na oczekaniu sporządził dwustronicowy testament, który nie wspominał o Lettie Lang i pozostawiał wszystko Fritzowi i jego siostrze, dzieląc majątek na dwie równe części, zgodnie z wielokrotnie wyrażaną wolą matki. Irene podpisała go na miejscu i zmarła miesiąc później. Urzędowe zatwierdzenie testamentu odbyło się bez problemów. Fritz i jego siostra sprzedali dom i ziemię, a potem bez najmniejszych sporów podzielili majątek na dwie równe części.

Przed śmiercią Irene kilka razy pytali ją o sporządzony odręcznie testament, ale zawsze była tym poirytowana i nie chciała podjąć rozmowy. Wypytywali ją o Lettie Lang, ale to również doprowadzało ją do łez. W końcu zaprzestali dalszych prób. Szczerze mówiąc, kiedy podpisywała testament w kancelarii prawnika, nie była całkowicie świadoma i do śmierci sytuacja nie uległa poprawie.

Clapp pił kawę i słuchał z coraz większym podnieceniem. Za zgodą Fritza nagrywał rozmowę i nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł ją odtworzyć Wade'owi Lanierowi.

– Czy ma pan kopię sporządzonego odręcznie testamentu?

Fritz pokręcił głową i powiedział:

– Nie pomyśleliśmy o zrobieniu kopii, a nawet gdyby istniała, dawno by zaginęła. Nie mam pojęcia, gdzie mogłaby się znajdować.

– Może u tego prawnika z Oxfordu?

– To możliwe. Kiedy pojechaliśmy do niego z mamą, przekazaliśmy mu poprzedni testament, który został sporządzony przez prawnika z Lake Village, oraz spisana odręcznie ostatnią wolę. Jestem pewny, że zabrał oba dokumenty. Powiedział, że należy zniszczyć wcześniejsze testamenty, bo czasami zostają ujawnione i powodują problemy.

– Pamięta pan nazwisko tego prawnika z Oxfordu?

– Hal Freeman. Starszy facet, wkrótce miał przejść na emeryturę. Kiedy siostra zmarła pięć lat temu, byłem wykonawcą jej testamentu. Freeman nie prowadził już wówczas praktyki, ale sprawą zajął się

jego syn.

– Czy rozmawiał pan z nim kiedykolwiek o spisany odręcznie testamentie matki?

– Nie sędzę. Mieliśmy sporadyczne kontakty. Staram się unikać prawników, panie Clapp. Miałem parę przykrych doświadczeń.

Clapp był wystarczająco łebski, aby wiedzieć, że jego odkrycie to dynamit. Był też na tyle doświadczony, aby wiedzieć, kiedy się wycofać. Zachowaj spokój, podziel się odkryciem w Wade'em Lanierem. Pozwól, żeby to on podyktował warunki. Pickering zaczął wypytywać, dlaczego Clapp interesuje się Lettie, ale usłyszał jedynie niejasną odpowiedź. Skończyli lunch i się rozstali.

△△△

Wade Lanier odsłuchiwał taśmę z zaciśniętymi wargami i charakterystycznym grymasem na twarzy, ale jego współpracownik Lester Chilcott z trudem stłumił entuzjazm. Kiedy wyprosilili Clappa z gabinetu Laniera, Chilcott zatarł ręce i oznajmił:

– Gra jest skończona!

Wade w końcu się uśmiechnął.

Krok pierwszy: żadnych dalszych kontaktów z Pickeringiem. Jego matka i siostra nie żyły, więc oprócz Hala Freemana facet był jedyną osobą, która mogła zaświadczyć w sprawie spisanego odręcznie testamentu. Dwa szybkie telefony do Oxfordu wystarczyły, aby ustalić, że Freeman odszedł na emeryturę i nadal mieszka w mieście, a kancelarię przejęli dwaj jego synowie, Todd i Hank. Na jakiś czas zapomnijmy o Pickeringu. Żadnego kontaktu między kancelarią Laniera i Pickeringiem, bo zasadnicze znaczenie miało to, aby później Pickering zeznał, że nigdy nie rozmawiał z prawnikami.

Krok drugi: za wszelką cenę odszukać odręczny testament. Jeżeli istnieje, odnaleźć go i zdobyć. Zdobyć tak, żeby – jeśli to możliwe – nie wzbudzić podejrzeń Hala Freemana. Znaleźć go, zanim zrobi to Jake lub ktoś inny.

Krok trzeci: ukryć dokument i zachować na później. Najbardziej spektakularnym i skutecznym sposobem wykorzystania testamentu

Irene Pickering będzie ujawnienie go na sali rozpraw, kiedy Lettie Lang zaprzeczy, że o nim słyszała. Wtedy go wyciągną i zdemaskują oszustkę. Dowiodą ławie przysięgłych, że chytrze wpływała na starych, bezbronnych chlebodawców, nakłaniając ich do sporządzenia odręcznego testamentu. Że takie były jej pokrętne metody.

Oczywiście była to niezwykle ryzykowna strategia. Pierwsze i najbardziej oczywiste zagrożenie stanowiły przepisy dotyczące ujawnienia świadków. Jake złożył wniosek, aby jego przeciwnicy przedstawili tożsamość wszystkich potencjalnych świadków. Lanier i inni prawnicy zrobili to samo. Tak wyglądała standardowa procedura stosowana w obecnych czasach, kiedy wszystko miało być transparentne, a świadkowie zawczasu wskazani. Ukrycie takiego świadka jak Pickering było nie tylko nieetyczne, ale wręcz groźne. Próba zaskoczenia drugiej strony podczas procesu okazywała się zwykle daremna. Lanier i Chilcott potrzebowali czasu, aby zręcznie obejść tę zasadę. Istniały wyjątki, ale pole manewru było niesłychanie wąskie.

Równie trudne mogło się okazać odnalezienie odręcznego testamentu Irene. Dokument mógł zostać zniszczony, jak tysiące innych bezwartościowych starych akt z archiwum Freemana. Jednak prawnicy przechowywali zwykle stare dokumenty dłużej niż dziesięć lat, więc istniała duża szansa, że testament ciągle istnieje.

Problematyczne było także ignorowanie Fritza. A jeśli dotrze do niego inny prawnik i zada te same pytania? Jeśli będzie nim Jake Brigance, diabli wezmą element zaskoczenia, a Brigance będzie miał dość czasu, żeby przeciwżyć z Lettie zeznaniem, które przekona przysięgłych. Będzie mógł wszystko inaczej przedstawić i grzmieć z powodu naruszenia zasady ujawnienia świadków. Sędzia Atlee z pewnością okaże mu zrozumienie.

Lanier i Chilcott zastanawiali się, czy nie zwrócić się wprost do Freemana. Jeśli testament został odłożony do akt i zbierał kurz, Freeman mógłby go wyciągnąć i nie trzeba by posuwać się do kradzieży. Poza tym byłby wartościowym świadkiem podczas procesu. Z drugiej strony rozmowa z adwokatem zdemaskowałaby ich wielki sekret. Musieliby też ujawnić jego nazwisko jako potencjalnego

świadka. Element zaskoczenia zostałby powtórnie utracony. Być może trzeba będzie skontaktować się z nim później, ale tymczasem Wade Lanier i Lester Chilcott postanowili utkać misterną sieć podstępów i milczenia. Oszustwo jest często trudne do ukrycia i wymaga drobiazgowego planowania, ale obaj mieli w tym wprawę.

Dwa dni później Randall Clapp wszedł do kancelarii prawnej Freemana i poinformował sekretarkę, że ma umówione spotkanie o szesnastej. Dwuosobowa firma działała w przerobionym bungalowu, jedną przecnicę od głównego rynku Oxfordu, obok banku oferującego pożyczki i prowadzącego konta oszczędnościowe. Przy tej samej ulicy co sąd federalny. Clapp usiadł w poczekalni, wertując kolorowy magazyn i przyglądając się otoczeniu. Żadnych kamer wideo, żadnych czujników. Zasuwa na frontowych drzwiach, brak łańcucha. Nic, co zdołałoby powstrzymać nawet marnego włamywacza przed wślizgnięciem się nocą i myszkowaniem bez obaw. Bo i czemu mieliby stosować takie środki? Oprócz stosów dokumentów w budynku nie było nic przedstawiającego większą wartość.

Była to typowa firma prawnicza z małego miasteczka, jak setki innych, które Clapp odwiedził w swojej karierze. Wcześniej rozejrzał się w bocznej alejce i zauważył tylne drzwi. Zasuwa, ale nic takiego, czego nie dałoby się sforsować. Jego człowiek, Erby, mógł wejść frontowymi lub tylnymi drzwiami szybciej niż pracownicy posiadający klucze.

Spotkał się z Toddem Freemanem, żeby omówić sprawę kupna ziemi na zachód od miasta, przy głównej autostradzie. Podał prawdziwe nazwisko, prawdziwy zawód i okazał prawdziwą kartę kredytową, ale skłamał, mówiąc, że razem z bratem chcą otworzyć całodobowy parking dla ciężarówek. Należało załatwić typowe formalności prawne i Todd wydawał się zainteresowany. Clapp zapytał, czy może skorzystać z toalety, i został wysłany w głąb wąskiego korytarza. Wysuwane schodki; przynajmniej dwa zagracone pokoje pełne dokumentów. W małej kuchni okno z pękniętą szybą. Brak zamka. Nigdzie ani śladu czujników.

Bułka z masłem.

Erby wszedł do środka tuż po północy, a Clapp przyczał się w samochodzie po drugiej stronie ulicy, wypatrując niebezpieczeństwa. Była środa, osiemnasty stycznia, chłodna noc. W mieście nie było studentów. Rynek świecił pustkami, a Clapp martwił się głównie o to, że zostanie zauważony przez znudzonego policjanta. Erby zameldował się przez radio po wejściu do środka. W kancelarii było cicho i spokojnie. Za pomocą składanego noża w ciągu paru sekund uporął się z zasuwą w tylnych drzwiach. Zapalił kieszonkową latarkę na podczerwień i ruszył do środka. Chowane schodki były chybottliwe i trzeszczały, ale zdołał je opuścić bez większego hałasu. Stał w jednym z frontowych okien i zagadał do Clappa przez radio. Ten nie zauważył jego cienia. Używając rękawiczek i nie robiąc bałaganu, Erby zaczął od jednego z pokoiów pełniących funkcję magazynu. Wiedział, że robota zajmie mu długie godziny, więc się nie śpieszył. Otworzył szuflady i przejrzał akta, zwracając uwagę na daty, nazwiska i tak dalej. Dotykał dokumentów, których nikt nie ruszał od tygodni, miesiący, może nawet lat. Clapp przestawił wóz na drugą stronę rynku i obszedł alejki. O pierwszej Erby otworzył tylne drzwi i Clapp wszedł do budynku.

– W każdym z pokoiów są szafki na dokumenty – wyjaśnił Erby.
– Wygląda na to, że aktualne teczki są w pokojach prawników. Niektóre u sekretarek.

– Co jest w tych dwóch pokojach? – spytał Clapp.
– Teczki spraw z ostatnich pięciu lat. Niektóre zakończone, inne nie. Ciągłe szukam. Nie skończyłem jeszcze drugiego pokoju. Mają też piwnicę pełną starych mebli, maszyn do pisania, książek prawniczych i dokumentów zakończonych spraw.

W drugim pokoju nie znaleźli nic interesującego. W teczkach znajdowały się typowe stare dokumenty, które można znaleźć w kancelarii prawnej z małego miasteczka. O drugiej trzydzieści Erby wspiał się ostrożnie po rozkładanych schodkach i zniknął na strychu. Clapp zamknął za nim i poszedł do piwnicy. Pozbawiony okien strych wypełniały nieprzeniknione ciemności. W środku stały schludne rzędy kartonowych pudeł na akta. Cztery rzędy. Wiedząc, że nie

zostanie dostrzeżony z zewnątrz, Erby zwiększył intensywność światła latarki i zlustrował kartony. Na każdym widniało zapisane markerem oznaczenie: „Nieruchomości, 1/1/76-8/1/77”, „Sprawy karne, 3/1/81-7/1/81” i tak dalej. Odetchnął z ulgą, widząc dokumenty sprzed dwunastu lat, ale poczuł frustrację, gdyż nie zauważył testamentów i spraw majątkowych.

Musiały być w piwnicy. Pół godziny później Clapp, który grzebał w rupieciach na dole, znalazł podobne pudło na dokumenty z napisem: „Zatwierdzone testamenty, 1979–1980”. Ściągnął karton ze sterty, ostrożnie otworzył i zaczął przeglądać kilkanaście teczek. Teczka Irene Pickering była z sierpnia 1980 roku. Miała ze trzy centymetry grubości i zawierała materiały prawne od dnia, gdy Hal Freeman przygotował dwustronicowy testament, który Irene podpisała w jego kancelarii, po ostatecznie rozporządzenie zwalniające Fritza Pickeringa z roli jego wykonawcy. Pierwszym dokumentem był stary testament sporządzony przez prawnika z Lake Village, drugim – spisany odręcznie testament. Clapp przeczytał go na głos, powoli, bo gryzmoły miejscami z trudem dawały się odcyfrować. W czwartym paragrafie znajdował się zapis przekazujący pięćdziesiąt tysięcy dolarów Lettie Lang.

– Bingo – wymamrotał. Położył teczkę na stole, zamknął pudło, delikatnie odstawił na miejsce i ostrożnie się wycofał, opuszczając piwnicę. Z dokumentami w teczce wyszedł na ciemną alejkę, a kilka minut później wezwał Erby'ego przez radio. Erby wymknął się tylnymi drzwiami; przystanął tylko na chwilę, żeby cicho zamknąć zasuwę. Byli przekonani, że niczego nie poprzesuwali i nie zostawili żadnych śladów. Takim biurom przydałoby się dobre sprzątanie, więc odrobina ziemi z butów lub przesunięcie kurzu nie zwróci niczyjej uwagi.

Wsiedli do wozu, by po dwuipółgodzinnej jeździe dotrzeć do Jackson, a przed szóstą rano spotkać się z Wade'em Lanierem w jego biurze. Choć Lanier od trzydziestu lat wszczynął burdy na salach sądowych, nie miał nigdy znakomitszej tajnej broni. Pozostało jednak pytanie: jak najlepiej jej użyć?

Bar Grubego Benny'ego stał na końcu utwardzonej wiejskiej drogi. Dalej był tylko żwir. Portia wychowała się w Box Hill, ciemnej, odludnej kolonii ukrytej za bagnami i pasmem wzgórz, w okolicy, gdzie mieszkało niewielu białych. Jednak w porównaniu z zabita dechami osadą Prairietown, na zadupiu okręgu Noxubee, niecałe piętnaście kilometrów od granicy z Alabamą, Box Hill przypominało Times Square. Gdyby była biała, nigdy nie zatrzymałaby się w takim miejscu. Przed kilkoma brudnymi samochodami zaparkowanymi na żwirze stały dwa dystrybutory paliwa. Drzwi z siatką przeciw owadom zamknęły się za nią z trzaskiem, kiedy skinęła głową nastolat-kowi za ladą. Mieli trochę artykułów spożywczych, lodówkę z napojami i piwem, a z tyłu z dziesięć czystych stolików przykrytych obrusami w czerwono-białą kratę. W powietrzu unosił się ciężki zapach tłuszczu, a hamburgery skwierczały na ruszcie. Rosły facet z wielkim brzuchem trzymał łopatkę niczym oręż i gadał z dwoma gośćmi siedzącymi na stołkach. Nie było wątpliwości, który z nich jest Grubym Bennym.

Napis informował: „Składanie zamówień”.

– Czym mogę pani służyć? – zapytał kucharz przyjaźnie.

Odwzajemniła się swoim najpromienniejszym uśmiechem i odezwała cicho:

– Proszę hot doga i colę. Szukam Benny'ego Rindsa.

– To ja – odrzekł. – Kim pani jest?

– Nazywam się Portia Lang, jestem z Clanton. Możliwe, że naprawdę nazywam się Rinds. Nie jestem pewna, szukam informacji.

Wskazał jej stolik głową. Dziesięć minut później postawił na nim talerz z hot dogiem i colę, a następnie usiadł naprzeciwko.

– Staram się odtworzyć drzewo genealogiczne mojej rodziny – wyjaśniła. – I trafiam na mnóstwo zgniłych jabłek.

– Było tu przyjechać i mnie wypytać, zanim paniusia zaczęła – odpowiedział ze śmiechem Benny.

Nie tykając hot doga, opowiedziała mu o swojej matce i matce swojej matki. Benny nigdy o nich nie słyszał. Jego rodzina pochodziła

z okręgów Noxubee i Lauderdale, raczej z południa niż północy. Nie znał Rindsów z okręgu Ford, ani jednego. Jadła pośpiesznie, kiedy mówił, i skończyła, gdy tylko zdała sobie sprawę, że to kolejna ślepa uliczka.

Podziękowała mu i wyszła. W drodze do domu zatrzymywała się w każdym miasteczku i sprawdzała książki telefoniczne. W tej części świata było niewielu Rindsów. Ze dwudziestu w okręgu Clay. Około dwunastu w okręgu Oktibbeha, w pobliżu uniwersytetu stanowego. Rozmawiała telefonicznie z kilkunastoma z okręgu Lee, mieszkającymi w Tupelo lub jego okolicach.

Ona i Lucien odnaleźli dwudziestu trzech członków rodziny Rindsów, którzy mieszkali w okręgu Ford przed 1930 rokiem, zanim wszyscy stamtąd zniknęli. W końcu jednak znajdują jakiegoś potomka, starego krewnego, który coś wie i zechce się tym podzielić.

Rozdział 26

W ostatni piątek stycznia Roxy zjawiała się w pracy o ósmej czterdzieści pięć. Jake czekał przy jej biurku, nonszalancko przeglądając dokumenty, jakby wszystko było dobrze. Ale nie było. Przyszedł czas na ocenę wyników i nie zapowiadało się różowo. Nawet zaczęło się od zgrzytu.

- Jake, rzygać mi się chce od tej roboty! – warknęła Roxy.
- Dzień dobry.

Już płakała. Bez makijażu, rozczochrane włosy, sponiewierany wygląd żony-matki-kobiety, która przestała panować nad sytuacją.

– Nie toleruję Luciena – oświadczyła. – Przychodzi tu niemal codziennie. Nie znam bardziej gburowatego człowieka. To wulgarny, chamski i sprośny typ niemający szacunku dla żadnej świętości. W dodatku pali najbardziej paskudne cygara, jakie można kupić. Gardzę nim.

- Coś jeszcze?
- Tak. Wybieraj: on albo ja!
- Jest właścicielem tego budynku.
- Nie możesz nic zrobić?
- Na przykład co? Mam mu powiedzieć, żeby był miłszy i rzucił palenie, przestał kłąć i obrażać ludzi, opowiadać nieprzyzwoite dowcipy i wytrzeźwiał? Może tego nie zauważyłaś, Roxy, ale nikt mu nie mówi, co ma robić.

Sięgnęła po chusteczkę i wytarła policzki.

- Nie dam rady.

Okazja była idealna, a Jake nie zamierzał jej przepuścić.

– Składasz wymówienie? – zapytał ze współczuciem. – Z przyjemnością napiszę ci dobre referencje.

– Zostałam zwolniona?

– Nie, sama zrezygnowałaś. Ze skutkiem natychmiastowym. Możesz iść, nacieszyć się wolnym dniem. Prześlę ci czek z ostatnią wypłatą.

Spojrzała na swojej biurko i rozpacz przerodziła się w gniew. Wysza dziesięć minut później, trzaskając drzwiami. Portia zjawiała się punktualnie o dziewiątej i powiedziała:

– Przed chwilą spotkałam Roxy na ulicy. Nie odezwała się do mnie ani słowem.

– Odeszła. Mam propozycję: możesz pracować tu tymczasowo, jako sekretarka i recepcjonistka. Będziesz traktowana jako pomoc prawna, a nie prosta stażystka. To duży awans, jakkolwiek na to patrzeć.

Przyjęła to chłodno.

– Kiepsko piszę na maszynie – oświadczyła.

– To się naucz.

– Ile dostanę?

– Tysiąc dolarów miesięcznie przez dwa miesiące. W okresie próbnym. Później dokonamy oceny i ustalimy wynagrodzenie.

– W jakich godzinach?

– Od ósmej trzydzieści do siedemnastej, w tym trzydziestominutowa przerwa na lunch.

– Co z Lucienem?

– Z Lucienem?

– Stale tu przesiaduje. Wolałabym pracować na górze. Na piętrze.

Tam jest bezpieczniej.

– Dokucza ci?

– Jeszcze nie. Posłuchaj, Jake, lubię Luciena i dobrze się nam pracuje, ale czasem mam wrażenie, że odpowiadałyby mu bliższe relacje. Wiesz, co mam na myśli?

– Tak sędzę.

– Jeśli mnie tknie, dam mu takiego kopa w tyłek, że wyleci z

pokoju.

Jake wybuchnął śmiechem, wyobrażając sobie tę scenę, bo nie miał wątpliwości, że Portia potrafi o siebie zadbać.

– Pogadam z Lucienem. Pozwól, że sam to załatwię. Ostrzegę go.

Wzięła głęboki oddech i rozejrzała się po biurze. Później skinęła głową i powiedziała:

– Nie jestem sekretarką, Jake. Zamierzam być prawnikiem, jak ty.

– Pomogę ci w każdy możliwy sposób.

– Dzięki.

– Chcę odpowiedzi. Teraz. Na miejscu.

– Nie chcę stracić procesu. Jeśli utkwię za tym biurkiem, proces przejdzie mi koło nosa, prawda?

– Później będziemy się tym martwić. Teraz potrzebuję cię tutaj.

– Rozumiem.

– Umowa stoi?

– Nie. Tysiąc miesięcznie to za mało dla sekretarki, recepcjonistki i pomocy prawnej w jednej osobie.

Jake podniósł rękę, wiedząc, że został pokonany.

– O jakich pieniądzach myślisz?

– Dwa tysiące lepiej odpowiadają sytuacji rynkowej.

– Co ty, u licha, wiesz o rynku?

– Niewiele, ale wiem, że tysiąc miesięcznie to za mało.

– Zgoda. Dam tysiąc pięćset miesięcznie, a po dwóch miesiącach zastanowimy się, co dalej.

Wykonała gwałtowny ruch do przodu i uściśniła go.

– Dziękuję, Jake – powiedziała.

△△△

Godzinę później Jake rozwiązał drugi biurowy kryzys tego ranka. Lucien wpadł do kancelarii niemal bez pukania i zwałił się na krzesło.

– Jake, synu... – zaczął tonem, który wieścił kłopoty – podjąłem decyzję. Zmagalem się z nią miesiącami, może nawet latami. Postanowiłem rozpocząć procedurę przywrócenia... chcę wrócić do za-

wodu, rozumiesz?

Jake, który akurat mozolił się nad odpowiedzią na wniosek złożony przez Stillmana Rusha, powoli odłożył długopis i spojrzał z zadumą na Luciena. Słowo „powrót” do tej pory nie padło w ich rozmowach, ale w ciągu trzech ostatnich miesięcy Lucien na wszelkie sposoby dawał do zrozumienia, że chce ponownie być adwokatem. Choć Jake obawiał się, że ten dzień nadejdzie, wiadomość postawiła go w delikatnym położeniu. Nie chciał tu Luciena, szczególnie jako adwokata, bo jego cierpliwość do Luciena jako samozwańczego, darmowego konsultanta była bliska wyczerpania. Lucien jako adwokat oznaczał Luciena szefa, a Jake by tego nie zdzierzył. Z drugiej strony Lucien przyjaciel dał Jake'owi robotę i biuro, umożliwił karierę i był wobec niego lojalny jak mało kto.

– Dlaczego? – zapytał Jake.

– Brakuje mi tego. Jestem za młody, żeby przesiadywać na werandzie. Udzielisz mi wsparcia?

Jedyną odpowiedzią było „tak”.

– Oczywiście – odrzekł szybko Jake. – Przecież wiesz, że cię poprę. Czego oczekujesz?

– Zacznijmy od moralnego wsparcia. Jak wiesz, zanim przywrócę mnie do zawodu, muszę zdać egzamin. To nie byle co dla takiego starego pryka jak ja.

– Zdałeś go kiedyś, to zdasz i teraz – zaprzeczył Jake z przekonaniem, chociaż poważnie wątpił, czy Lucien zdoła pomyślnie przejść sześciomiesięczną sesję egzaminacyjną, przygotowując się samodzielnie, a jednocześnie próbując odstawić whisky.

– Zatem mnie popierasz?

– Jak to sobie wyobrażasz, Lucienie? Zostaniesz przywrócony i co? Chcesz odzyskać kancelarię? Chcesz, żebym był twoim podwładnym? Wrócić do sytuacji sprzed ośmiu, dziewięciu lat?

– Nie wiem. Jakoś to załatwimy, Jake. Jestem pewien, że nam się uda.

Jake wzruszył ramionami i powiedział:

– Taak, popieram cię. Pomogę w każdy możliwy sposób. – Drugi

raz tego ranka we własnym biurze zaoferował pomoc przyszłemu prawnikowi. Ciekawe, kto będzie następny. – Skoro już tu jesteś, mam parę spraw natury porządkowej. Roxy zrezygnowała, naszą tymczasową sekretarką została Portia. Ma alergię na dym papierosowy, więc proszę, pal na dworze. No i trzymaj łapska daleko od niej. Odsłużyła sześć lat w armii, więc zna się na walce wręcz i karate. Nie podnieca się na myśl o odrażającym białasie, który ją obmacuje. Jeśli ją tkniesz, wybij ci zęby, a później oskarży o molestowanie seksualne. Zrozumiałeś?

– Tak powiedziała? Przysięgam, nic jej nie zrobiłem.

– To tylko ostrzeżenie, Lucienie. Rozumiemy się? Nie dotykaj jej, nie opowiadaj nieprzyzwoitych dowcipów i nie rób dwuznacznych aluzji. Nawet nie przeklinaj w jej obecności. O zakazie picia i palenia w jej pobliżu nie muszę chyba przypominać. Myśli, że jest prawniczką, i chce nią być. Traktuj ją jak profesjonalistkę.

– Sądziłem, że świetnie się nam układa.

– Może i tak, ale znamy się jak łyse konie. Zadbaj o to, żeby nie było żadnych niedomówień.

– Postaram się.

– Zrób dużo więcej. A teraz, za pozwoleniem, muszę wracać do pracy.

Wychodząc z pokoju, Lucien mruknął na tyle głośno, żeby Jake usłyszał:

– Ma zgrabny tyłek.

– Zapomnij o tym, Lucienie.

△△△

W zwykłe piątkowe popołudnie jest prawie niemożliwe, żeby zastać sędziego w sądzie lub prawnika w jego kancelarii. Weekend zaczyna się tak wcześnie, jak wcześnie zdołają się wymknąć pod byle pretekstem. W piątek po południu łapie się dużo ryb, wypija duże ilości piwa i odkłada do poniedziałku dużo spraw natury prawnej. W styczniu w ponure piątkowe popołudnia prawnicy – i nie tylko – wcześnie zamykają swoje biura.

Kiedy Jake zjawił się około szesnastej, sędzia Atlee siedział na frontowej werandzie, okryty pledem. Wiatr ustał, a obłok dymu z fajki wisiał nad stopniami. Na skrzynce pocztowej widniała nazwa „Klonowa droga”. Dom był dostojną rezydencją z georgiańskimi kolumnami i sfatygowanymi okiennicami, jednym z wielu podniszczonych budynków w Clanton i okręgu Ford. Dwie przecznice dalej widać było dach Hocutt House.

Reuben Atlee jako sędzia wyciągał osiemdziesiąt tysięcy dolarów rocznie i niewiele wydawał na swoją posiadłość. Żona nie żyła od wielu lat, a sądząc po kwiatowych rabatkach, zniszczonych wiklinowych meblach na werandzie oraz podartych zasłonach w oknach na górze, domowi wyraźnie brakowało kobiecej ręki. Atlee mieszkał sam. Jego stara służąca też umarła, nie zadał sobie trudu, by znaleźć kogoś na jej miejsce. W każdy niedzielny ranek Jake widywał go w kościele, dostrzegał też, że w miarę upływu lat sędzia wyglądał coraz gorzej. Jego garnitury nie były już tak czyste jak kiedyś, a koszule nie tak nakrochmalone jak za dawnych lat; często też przydałaby mu się wizyta u fryzjera. Najwyraźniej sędzia Atlee wychodził co rano z domu bez należytnej kontroli.

Chociaż nie był alkoholikiem, lubił wypić po południu szklaneczkę whisky, szczególnie w piątek. Bez pytania nalał Jake'owi dużą whisky sour i postawił na wiklinowym stoliku. Załatwianie spraw z sędzią na werandzie nieodmiennie łączyło się z wypiciem szklaneczki whisky. Atlee zakotłosał się w swoim ulubionym wiklinowym fotelu, wypił uspokajającego głębszego i zagaił:

– Ludzie gadają, że ostatnio Lucien przesiaduje w twoim biurze.
– Biuro jest jego – sprostował Jake. Patrzyli na trawnik przed domem, brązowy i ponury w środku zimy. Obaj mieli na sobie płaszcze. Gdyby whisky szybko nie zadziałała, pozbawiony pledu Jake poprosiłby, żeby przenieśli się do środka.

– Co on knuje? – zapytał sędzia Atlee. Znali się z Lucieniem od wielu lat i mnóstwo razem przeżyli.

– Poprosiłem go, żeby zbadał sprawę majątku Setha Hubbarda. Wykonał kilka analiz prawnych. Elementarną prawniczą robotę. –

Jake za żadne skarby nie zdradziłby tego, co Lucien powiedział mu rano, szczególnie komuś takiemu jak Reuben Atlee. Gdyby wiadomość o planowanym powrocie Luciena Wilbanksa się rozeszła, większość sędziów z okręgu Ford zrezygnowałaby z pracy.

– Miej na niego oko – mruknął sędzia Atlee, ponownie udzielając niechcianej rady.

– Lucien jest nieszkodliwy – uspokoił go Jake.

– Nigdy taki nie był. – Atlee zagrzechotał kostkami lodu, jakby nie zwracał uwagi na temperaturę panującą na dworze. – Coś nowego w sprawie Ancila?

Jake odsunął kostkę lodu, próbując łyknąć nieco burbona. Poczuł, że zaczyna szczękać zębami.

– Niewiele – odparł. – Nasi ludzie znaleźli jego byłą żonę w Galveston. Niechętnie przyznała, że trzydzieści pięć lat temu poślubiła niejakiego Ancila Hubbarda. Byli z sobą trzy lata, mieli dwoje dzieci, a później facet zwiął z miasta. Wisi jej fortunę z tytułu alimentów i kosztów opieki nad dziećmi, ale babka ma to gdzieś. Wygląda na to, że jakieś piętnaście lat temu przestał używać prawdziwego nazwiska i zszedł do podziemia. Nadal go szukamy.

– Ci twoi ludzie to goście z Waszyngtonu?

– Tak, panie sędzio. Wynajęliśmy firmę złożoną z byłych agentów FBI, specjalizującą się w odnajdywaniu zaginionych. Nie wiem, czy są dobrzy, ale wiem, że słono sobie liczą. Mam rachunek, który trzeba zapłacić.

– Szukaj dalej. Zdaniem sądu Ancil nie jest martwy, dopóki nie zostanie stwierdzony zgon.

– Sprawdzają akty zgonu z pięćdziesięciu stanów oraz kilku krajów. To wymaga czasu.

– Jak postępują ujawnienia świadków i dowodów?

– Bardzo sprawnie. To dziwna sprawa, panie sędzio. Wszyscy zaangażowani prawnicy chcą, żeby proces odbył się jak najszybciej. Ile razy widział pan coś takiego?

– Chyba nigdy.

– Sprawa ma priorytetowe znaczenie w każdej kancelarii, więc

współpraca kwitnie.

– Nikt się nie ociąga?

– Ani jeden z prawników. W ubiegłym tygodniu otrzymaliśmy jedenaście zeznań pod przysięgą w ciągu trzech dni. Od członków Kościoła, którzy widzieli pana Hubbarda rano, w dzień jego śmierci. Generalnie są zgodni, że zachowywał się normalnie. Nie zauważyli nic niezwykłego lub dziwnego. Do tej pory odebraliśmy zeznania pięciu ludzi, którzy pracowali w jego biurze i widzieli go dzień przed sporządzeniem testamentu.

– Czytałem – odparł sędzia Atlee, sącząc whisky. – Mów dalej.

– Wszyscy poszukują biegłych. Znalazłem specjalistę zajmującego się badaniem pisma ręcznego...

– Eksperta pisma? Chyba nie zaprzeczają, że to pismo Setha Hubbarda?

– Jeszcze tego nie zrobili.

– Mają jakieś wątpliwości?

– Nie, nie sądzę.

– Porusz ten problem na przesłuchaniu przed procesem, przyjrzyć się sprawie. Może zdołamy rozwikłać tę kwestię. Chcę usprawnić nasze działania, przeprowadzić proces tak gładko, jak to możliwe. – Reuben Atlee napisał kiedyś książkę o „usprawnieniu” przebiegu procesu sądowego. Nienawidził marnowania czasu równie gorąco, jak pogardzał napuszonymi prawnikami. Świeżo po szkole Jake był świadkiem, jak sędzia Atlee rozniósł w pył źle przygotowanego prawnika, który przedstawił wątpliwy argument. Kiedy facet trzeci raz powtórzył to samo, sędzia przerwał mu chłodno: „Uważa mnie pan za głupiego czy głuchego?”. Oniemiały adwokat rozsądnie nie udzielił odpowiedzi. Spojrzał tylko na niego z niedowierzaniem. Sędzia Atlee wytrzymał spojrzenie i oznajmił: „Mój aparat słuchowy działa bez zarzutu, nie jestem też głupi. Jeszcze jedno powtórzenie i wydam wyrok korzystny dla drugiej strony. Może pan mówić dalej”.

„Jest pan głupi czy głuchy?” było pytaniem często zadawanym w prawniczych kręgach Clanton.

Na szczęście burbon zaczął w końcu działać i Jake nakazał sobie

zwolnić. Jeden drink wystarczy. Carla nie będzie zachwycona, jeśli w piątkowy wieczór wróci do domu wstawiony.

– Jak można było oczekiwać, pojawiło się dużo ekspertyz medycznych. Pan Hubbard odczuwał silne bóle i brał dużo leków. Druga strona będzie chciała wykazać, że miało to wpływ na jego zdolności umysłowe, więc...

– Rozumiem, Jake. Ilu biegłych z zakresu medycyny zniosą przysięgli?

– Nie mam pojęcia.

– Jaką część ekspertyz lekarskich zdoła pojąć ława przysięgłych z Clanton? Na dwunastu będę miał co najwyżej dwóch absolwentów college'u, paru, którzy rzucili studia. Reszta będzie miała świadectwo ukończenia szkoły średniej.

– Seth Hubbard też rzucił studia – przypomniał Jake.

– To prawda. Założę się, że nigdy nie poproszono go o ocenę sprzecznych ekspertyz medycznych. Widzisz, Jake, trzeba uniknąć przytłoczenia przysięgłych nadmierną ilością opinii biegłych.

– Rozumiem, ale gdybym reprezentował drugą stronę, powołałbym wielu ekspertów, żeby zasiał ziarno wątpliwości. Skołować przysięgłych, zasiał podejrzenie, że Seth nie myślał jasno. Postąpiłby pan inaczej, panie sędzio?

– Nie musimy omawiać teraz strategii procesowej, Jake. Nie lubię wpływania na przysięgłych. Wiesz, że to sprzeczne z prawem, prawda? – Powiedział to z uśmiechem, ale dał do zrozumienia, o co mu chodzi.

Zapadła dłuższa cisza. Obaj popijali drinki i rozkoszowali się nią.

– Nie płaciliśmy ci od sześciu tygodni.

– Odwałam papierkową robotę.

– Ile godzin?

– Dwieście dziesięć.

– Będzie ponad trzydzieści tysięcy?

– Tak, panie sędzio.

– Brzmi rozsądnie. Wiem, że ciężko pracujesz, Jake. Z przyjemnością akceptuję twoje honorarium. Mam jednak pewne zastrze-

zenie, jeśli pozwolisz mi wściubić nos w twoje sprawy.

Oczywiście Jake nie mógł powiedzieć nic, żeby powstrzymać sędziego od wściubiania nosa. Jeśli sędzia kogoś lubił, czuł się w obowiązku udzielać nieproszonych rad w najróżniejszych kwestiach, a ten ktoś musiał się uważać za szczęśliwca obdarzonego takimi względami.

– Słucham, panie sędzio – odrzekł potulnie Jake, szykując się na cios.

Grzechotanie kostek lodu, kolejne siorbnięcie, a później:

– Dziś i w najbliższej przyszłości będziesz godziwie opłacany za swoją pracę. Nikt nie pożałuje forsy. Sam powiedziałaś, że Seth Hubbard wywołał całe to zamieszanie. Facet wiedział, co się święci. Niech mu będzie. Uważam jednak, że nie byłoby rzeczą rozsądną, gdybyś sprawiał wrażenie, jakbyś nagle znalazł się przy forsie. Pani Lang i jej rodzina przeprowadzili się do miasta, do domu Sappingtona. Wiemy, że to nic szczególnego. Nie bez powodu budynek tak długo czekał na kupca. Jednak Clanton to nie Lowtown. To miejsce po naszej stronie torów. Ludzie zaczęli szemrać. Źle to wygląda. Wielu sądzi, że Lettie Lang już pławi się w forsie. To wzbudza niechęć. Krążą plotki, że masz oko na Hocutt House. Nie pytaj, skąd wiem. To małe miasteczko. Taka decyzja w obecnej chwili przyciągnęłaby dużo uwagi, nieprzychylną uwagę.

Jake'owi odjęło mowę. Utkwił wzrok w mansardzie mającego w oddali Hocutt House, bezskutecznie usiłując odgadnąć, kto był źródłem przecieku. Willie Traynor obiecał zachować sprawę w sekrecie, bo nie chciał być nagabywany przez innych kupców. Harry Rex był zaufanym powiernikiem Jake'a i Williiego i chociaż lubił rozsiewać złośliwe plotki, nigdy nie ujawniłby takiej poufnej informacji.

– Snuliśmy tylko marzenia, panie sędzio – wyduślił z siebie Jake.
– Nie stać mnie na taki drogi dom, poza tym nadal toczy się spór o odszkodowanie. Mimo to dziękuję za radę.

Dzięki, że ponownie wściubił pan nos w moje sprawy, panie sędzio. Chociaż gdy oddychał głęboko, aby się uspokoić, Jake musiał

przyznać, że odbyli z Carlą podobną rozmowę. Taki ostentacyjny zakup w naturalny sposób skłoniłby wielu do podejrzeń, że Jake wzbogacił się kosztem zmarłego.

– Czy poruszono kwestię ugody? – zapytał sędzieja.

– Tak, pobieżnie – odrzekł szybko Jake, pragnąc zakończyć temat nieruchomości.

– I?

– Bez rezultatu. W swoim liście Seth Hubbard udziela mi bardzo wyraźnych instrukcji. O ile pamiętam, napisał dokładnie: „Proszę stanąć z nimi do walki, panie Brigance, i ich pokonać”. Nie daje to pola do negocjacji w kwestii ugody.

– Seth Hubbard nie żyje, czego nie można powiedzieć o procesie sądowym, do którego doprowadził. Co powiesz Lettie Lang, jeśli przysięgli wydadzą niekorzystny wyrok i nic nie dostanie?

– Lettie Lang nie jest moją klientką. Odpowiadam za majątek. Moim zadaniem jest doprowadzenie do wykonania testamentu, który nim rozporządza.

Sędzia Atlee skinął głową, jakby się zgadzał, ale nic nie powiedział.

Rozdział 27

Charley Pardue przybył w sprzyjającym czasie. Simeon ponownie wyjechał w trasę. Gdyby był w domu w późny sobotni rano, on i Charley z pewnością by się posprzeczali, może nawet doszłoby do bójki.

A tak, gdy Charley zakolał do drzwi starego domu Sappingtona, okazało się, że w środku są same kobiety i dzieci. Dzieciaki wcinały płatki śniadaniowe prosto z pudełek i oglądały telewizję, a kobiety w szlafrokach oraz piżamach kręciły się po brudnej kuchni, pijąc kawę i plotkując. Phedra otworzyła drzwi i ulokowała przybysza w salonie, a następnie pobiegła do kuchni i zawołała:

- Mamo, przyszedł do ciebie jakiś facet! Jest suuuuper!
- Co za jeden?
- To Charley Pardue. Mówi, że jest twoim kuzynem.
- W życiu nie słyszałam o żadnym Charleyu Pardue – odrzekła

Lettie, z miejsca przechodząc do defensywy.

- No to usłyszałaś. Siedzi w salonie i jest naprawdę śliczniutki.
- Warto z nim gadać?
- Och! I to jak!

Lettie powlokła się na górę i szybko przebrała, a Phedra wymknęła się tylnymi drzwiami i obesła dom. Od frontu stał żółty cadillac. Najnowszy model. W idealnym stanie. Tablice z Illinois. Charley prezentował się równie imponująco. Czarny garnitur, biała koszula, jedwabny krawat ze spinką z brylantami. Do tego na palcach przynajmniej dwa małe gustowne sygnety z brylantami. Brak obrączki. Złota bransoletka na prawym nadgarstku i elegancki zegarek na

lewym. Otaczała go aura wielkiego miasta, więc, jeszcze zanim zdążył wejść do środka, Phedra od razu się domyśliła, że przyjechał z Chicago. Uparła się, żeby usiąść obok matki, kiedy Lettie zeszła na dół, żeby porozmawiać z Charleyem. Portia i Clarice przyłączyły się do nich później. Cypress została w kuchni.

Charley rzucił na wstępie parę nazwisk, które niewiele im mówiły. Powiedział, że pochodzi z Chicago i jest przedsiębiorcą, cokolwiek to oznaczało. Miał szeroki, szczery uśmiech, gładkie maniery i błyszczące oczy, które mrugały, gdy się śmiał. Kobiety wyraźnie się rozgrzały. W ciągu ostatnich czterech miesięcy Lettie odwiedziło dużo osób. Wielu, jak Charley, podawało się za jej krewnych. Ponieważ konary drzewa genealogicznego Lettie były nagie i nieliczne, łatwo było przyjąć cyniczną postawę i odprawić potencjalnych krewniaków. Prawda była taka, że Lettie została nieoficjalnie adoptowana przez Clyde'a Taybera i Cypress i że wcześniej została kilkakrotnie porzucona. Nie miała zielonego pojęcia, kim są jej dziadkowie. Portia poświęciła wiele godzin badaniom skromnej historii swojej rodziny, ale nie miała szczególnie czym się pochwalić. Charley wstrząsnął nimi, oznajmiając:

– Moja babka ze strony matki była z Rindsów. Sądzę, że ty również pochodzisz z tej rodziny, Lettie.

Wyciągnął jakieś papiery, więc przeszli do stołu w jadalni, żeby się nad nimi pochylić. Rozwinął kartkę z diagramem, który z odległości bardziej przypominał kępę krzaków niż zdrowe, rozwinięte drzewo. Kręte linie biegingy na wszystkie strony, a marginesy pokrywały dopiski. Niezależnie od tego, co przedstawiał ów rysunek, ktoś poświęcił wiele godzin, żeby go rozszyfrować.

– Pomogła mi matka – wyjaśnił Charley. – Jej matka była z Rindsów.

– Skąd się wzięło Pardue? – spytała Portia.

– To nazwisko rodziny mojego ojca. Pochodzili z Kansas City i dawno temu osiedlili się w Chicago. Właśnie tam poznali się moi rodzice. – Wskazał fragment diagramu wiecznym piórem. – Wszystko się zaczęło od niejakiego Jeremiaha Rindsa, niewolnika urodzonego

około tysiąc osiemset czterdziestego pierwszego roku w pobliżu Holly Springs. Jeremiaś miał pięcioro lub sześcioro dzieci. Jednym z nich był Solomon Rinds, który miał sześcioro potomstwa. A jedyną z córek była Marybelle Rinds, moja babka. W tysiąc dziewięćset dwudziestym roku urodziła w tym okręgu moją matkę, Effie Rinds. W tysiąc dziewięćset trzydziestym Marybelle Rinds, jej mąż i paru innych członków rodziny wyruszyli do Chicago i nigdy nie wrócili w te strony.

– W tym samym roku ziemia Sylwestra Rindsa przeszła na własność rodziny Hubbardów – powiedziała Portia. Pozostali już o tym słyszeli, ale niewiele im to mówiło. Nawet Portia nie była pewna związku, gdyż brakowało wielu szczegółów.

– Nic o tym nie wiem – odrzekł Charley. – Ale moja matka pamięta kuzynkę, która, jak sądzi, była jedynym dzieckiem Sylwestra Rindsa. Wiadomo, że ta kuzynka przysłała na świat około tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego roku. Stracili z nią kontakt po tysiąc dziewięćset trzydziestym, kiedy rodzina się rozproszyła. Jednak przez całe lata w domu krążyły plotki. Ta dziewczyna miała urodzić dziecko, mimo bardzo młodego wieku. Ojciec wszedł do pociągu i zmychnął. Nie wiedzieli, co się stało z dzieckiem. Mama pamięta, że ta kuzynka miała na imię Lois.

– Słyszałam, że tak nazywała się moja matka – powiedziała ostrożnie Lettie.

– Sprawdźmy w akcie urodzenia – zaproponował Charley, jakby w końcu dotarł do krytycznego momentu.

– Nie mam aktu urodzenia. Nigdy nie miałam – odrzekła Lettie. – Wiem, że urodziłam się w okręgu Monroe w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku, ale nie mam żadnego oficjalnego dokumentu.

– Żadnego dokumentu o którymkolwiek z rodziców – dodała Portia. – Odkryliśmy to niedawno, w okręgu Monroe. Jako jej matkę podano L. Rinds, szesnaście lat. Ojcem był H. Johnson, ale to jedyna wzmianka na jego temat.

Charley z miejsca posmutniał. Tak się natrudził, pokonał taki

szmat drogi, żeby udowodnić swoje pokrewieństwo z nowo odkrytą kuzynką, a tu nagle utknął w ślepej uliczce. Jak można żyć bez aktu urodzenia?

– W pewnym sensie mama została adoptowana przez Cypress i jej męża – ciągnęła Portia. – Miała trzydzieści lat, kiedy dowiedziała się prawdy. Wielu jej krewnych już wówczas nie żyło lub rozjechało się po świecie, więc nie miało to większego znaczenia.

– Byłam mężatką i miałam trójkę własnych dzieci, kiedy o tym usłyszałam – powiedziała Lettie. – Nie mogłam rzucić wszystkiego i rozpocząć poszukiwań zmarłych krewnych. Poza tym było mi to obojętne. Nadal zresztą nie przywiązuję do tego wagi. Byłam z Tayberów. Clyde i Cypress byli moimi rodzicami. Miałam sześcioro rodzeństwa. – Nieświadomie przyjęła defensywną postawę, co ją trochę zirytowało. Przecież nie musiała się tłumaczyć przed nieznanym, nawet gdyby był jej kuzynem.

– Zgodnie z twoją teorią – wtrąciła Portia – mama może pochodzić z rodziny Rindsów z okręgu Ford, ale nie można tego udowodnić.

– Myślę, że na pewno jest z Rindsów – odrzekł Charley, rozpaczliwie chwytając się jej słów. Zaczął grzebać w papierach, jakby zawierały absolutną prawdę. – Przypuszczalnie łączy nas pokrewieństwo siódmego lub ósmego stopnia.

– Jak wszystkich czarnych w północnej części Missisipi – mruknęła pod nosem Lettie. Kobiety odeszły od stołu. Shirley, jedna z córek Cypress, zjawiała się z dzbankiem kawy i napełniła kubki.

Charley wydawał się niezrażony. Gadał bez przerwy, choć rozmowa odeszła od tematu pokrewieństwa i niepewnych historii rodzinnych. Przyjechał tu w poszukiwaniu pieniędzy i zrobił to, co do niego należało. Jego detektywistyczne dociekania doprowadziły Lettie równie blisko prawdziwych przodków, jak wszystkie inne, ale po prostu brakowało niepodważalnych faktów, aby wypełnić puste miejsca. Nadal było za dużo luk, za dużo pytań, na które nigdy nie znajdują odpowiedzi.

Portia wycofała się na drugi plan, słuchając rozmowy. Była zmęczona brylantami i gładkością Charleya, a jednocześnie oczarowania

przeprowadzonymi przez niego poszukiwaniami. Ona i Lucien, a także Lettie, mozolili się nad nieudowodnioną teorią, że Lettie jest spokrewniona z Rindsami, niegdyś właścicielami ziemi, do której w 1930 roku tytuł własności nabyli Hubbardowie. Gdyby okazało się to prawdą, mogłoby pomóc w wyjaśnieniu, czemu Seth podjął taką, a nie inną decyzję. A gdyby się nie udało, mogłoby to wzbudzić setki innych pytań, niejednokrotnie szkodliwych. Czy byłyby dopuszczalne w sądzie? Zdaniem Luciena nie, ale sprawa była warta mozolnych poszukiwań.

– Gdzie można zjeść najlepszy lunch w okolicy? – zapytał śmiało Charley. – Zapraszam wszystkie panie na lunch. Ja stawiam.

Cóż za chicagowski gest! Czarni z Clanton rzadko jadali na mieście. Wyjście na sobotni lunch w towarzystwie czarującego młodego człowieka gotowego zapłacić rachunek było nieodpartą pokusą. Szybko zdecydowały, że najlepiej będzie pojechać do Claude'a, do lokalu na rynku należącego do czarnego właściciela. Jake jadał tam co piątek i czasami zabierał z sobą Portię. W soboty Claude serwował schabowego z kością z rusztu, a knajpa pękała w szwach.

Ostatnim razem Lettie jechała najnowszym modelem cadillaca tego ranka, gdy odwoziła Setha do biura. Dzień przed jego samobójczą śmiercią. Kazał jej prowadzić, a ona czuła się, jakby była wrakiem człowieka. Przeszłość powróciła, gdy usiadła z przodu z Charleyem. Jej trzy córki usadowiły się na wygodnej skórzanej kanapie z tyłu, podziwiając pięknie zaprojektowane wnętrze wozu. Charley gadał bez przerwy i jechał powoli, żeby miejscowi mogli podziwiać limuzynę. Po kilku minutach napomknął o niezwykle zyskownym domu pogrzebowym, który chciał kupić w chicagowskiej dzielnicy South Side. Portia spojrzała na Phedrę, a ta na Clarice. Charley dostrzegł to w lusterku wstecznym, ale nie przestał trajkotać.

Zdaniem jego matki, obecnie sześćdziesięcioośmioletniej, cieszącej się dobrym zdrowiem i znakomitą pamięcią, przedstawiciele tej gałęzi rodziny Rindsów, z której pochodziła, mieszkali niedaleko pozostałych i kiedyś tworzyli całkiem sporą społeczność. Później przyłączyli się do wielkiej migracji i ruszyli na północ w poszukiwa-

niu pracy i lepszego życia. Kiedy wyjechali z Missisipi, nie chcieli wrócić. Ci, którzy zamieszkali w Chicago, wysyłali pieniądze tym, którzy zostali. Po pewnym czasie wszyscy Rindsowie opuścili Missisipi lub umarli.

Tak, dom pogrzebowy będzie istną żyłą złota.

Dochodziło południe i mała restauracja była prawie pełna. Claude krzątał się po sali w nieskazitelnym białym fartuchu, a jego siostra uwijała się w kuchni. Karta dań była zbędna. Czasami danie dnia zapisywano kredą na czarnej tablicy, ale zwykle jadło się to, co ugotowała siostra właściciela. Claude serwował żarcie, kierował mchem, siedział przy kasie i wymyślał więcej plotek, niż był w stanie przekazać dalej. Mówiąc w skrócie, zarządzał knajpą ciężką ręką. Kiedy Charley i panie zajęli miejsca i zamówili mrożoną kawę, Claude usłyszał, że są z sobą spokrewnieni. Przewrócił oczami. Czy w ostatnim czasie był ktoś niespokrewniony z Lettie?

Piętnaście minut później do lokalu weszli Jake i Lucien, jakby właśnie przechodzili w pobliżu. Nie był to jednak przypadek. Portia zatelefonowała do Luciena pół godziny wcześniej, przekazując mu najświeższe informacje. Istniała spora szansa, że Charley mógł być ogniwem łączącym ich z przeszłością, z tajemnicą rodziny Rindsów. Portia pomyślała, że Lucien mógłby chcieć z nim porozmawiać. Dokonano prezentacji, a potem Claude usadził dwóch białasów przy stoliku blisko kuchni.

Nad grillowanym schabowym z kością i ziemniaczanym purée Charley snuł rozważania o zyskowności biznesu pogrzebowego w „pięciomilionowym mieście”, choć panie straciły zainteresowanie tym tematem. Charley był żonaty, ale się rozwiódł. Miał dwoje dzieci, które mieszkały z matką. No i ukończył college. Kobiety wolno wyciągały z niego strzępy informacji, jednocześnie ciesząc się lunchem. Kiedy na stole pojawił się placek z kremem kokosowym, zignorowały Charleya całkowicie, plotkując o diakonie, który uciekł z cudzą żoną.

Późnym popołudniem Portia przyjechała do domu Luciena. Pierwszy raz. Pogoda nagle się zepsuła, zaczął padać deszcz i zerwał się przenikliwy wiatr, więc siedzenie na werandzie nie wchodziło w grę. Była podekscytowana tym, że zobaczy Sallie, kobietę, którą wszyscy znali, choć rzadko widywano ją na mieście. Sposób, w jaki urządziła sobie życie, był źródłem niekończących się uszczypliwych plotek po obu stronach torów, co najwyraźniej nie przeszkadzało ani jej, ani Lucienowi. Portia szybko się połapała, że Luciena niewiele obchodzi, a już na pewno nie opinie innych ludzi. Ciskał gromy z powodu niesprawiedliwości, historii i problemów świata, a jednocześnie pozostawał błogo nieświadomy zdania innych.

Sallie była jakies dziesięć lat starsza od Portii. Nie wychowała się w Clanton i nikt nie wiedział, skąd pochodzą jej najbliżsi. Portia uznała ją za grzeczną, uprzejmą i swobodną w towarzystwie innej czarnej kobiety w domu. Lucien rozpałił ogień w kominku w gabinecie, a Sallie podała gorące kakao. Gospodarz zaproponował koniak, ale Portia odmówiła. Pomysł dodania alkoholu do tak kojącego napoju wydawał się niemal dziwaczny, ale Portia uświadomiła sobie po chwili, że Lucien od dawna nie pijał nic, czego nie dałoby się zaprawić jedną lub dwiema kawkami alkoholu.

Spędzili godzinę w towarzystwie Sallie, która czasami rzuciła jakiś komentarz, podczas gdy oni uaktualnili drzewo genealogiczne Lettie. Portia notowała to, co mówił Charley: ważne rzeczy, jak nazwiska i daty, oraz rzeczy bez znaczenia, jak wzmianki o śmierci i zniknięciu osób, które nie były z nią spokrewnione. W rejonie Chicago mieszkali przedstawiciele kilku gałęzi rodziny Rindsów, inni osiedlili się w Gary. Charley wspomniął o odległym kuzynie nazwiskiem Boaz, który mieszkał niedaleko Birmingham. Wspomniął też o kuzynie, który przeniósł się do Teksasu. I tak dalej.

Portia momentami nie mogła uwierzyć w to, że siedzi przy kominku w pięknym starym domu o ciekawej historii, że popija gorące kakao, którego sama nie przygotowała, i rozmawia z osławionym bałamutem Lucieniem Wilbanksem. Byli równi. Musiała to sobie stale przypominać. Byli sobie równi, bo Lucien tak ją traktował. Bardzo

możliwe, że marnowali czas, uganiając się za duchami z przeszłości, ale poszukiwania były fascynujące. Lucien miał obsesję na punkcie tej zagadki. Żył przekonanie, że Seth Hubbard miał powód, żeby zrobić to, co zrobił.

Powodem nie był seks ani to, że Lettie dotrzymywała mu towarzysztwa. Portia delikatnie wypytała matkę. Z całym zaufaniem, szacunkiem i miłością, na jaką po ludzku potrafiła się zdobyć, zadała jej najważniejsze pytanie. Nie, odpowiedziała Lettie. Nigdy. To nigdy nie wchodziło w grę, przynajmniej z jej strony. Nigdy o tym nie rozmawiali, nawet czysto teoretycznie. Nigdy.

△△△

Randall Clapp wrzucił kopertę do skrzynki przed głównym urzędem pocztowym w centrum Oxfordu. Koperta była zwyczajna, biała, duża, bez informacji o nadawcy, zaadresowana do Fritza Pickeringa w Shreveport w Luizjanie. W środku znajdowały się dwie kartki – pełna kopia skreślonego odręcznie testamentu Irene Pickering podpisanego jedenastego marca 1980 roku. Druga kopia znajdowała się w sejfie kancelarii prawnej Wade'a Laniera, oryginał zaś został ukradziony z archiwum firmy prawniczej Freemana, dwie przecznice dalej.

Zaplanowali, że Fritz Pickering otrzyma anonimowy list, zauważy, że został nadany w Oxfordzie, otworzy go, rozpozna stary testament i zacznie się zastanawiać, kto, u licha, mu go przysłał. Pewne będzie miał jakieś przeczucia, ale tylko przeczucia.

Był późny sobotni wieczór. Bary studenckie pękały w szwach, a policja bardziej interesowała się ich bywalcami niż drobnym włamaniem do małej kancelarii prawnej. Clapp został w alejce, obserwując okolicę, a Erby wszedł tylnymi drzwiami, aby pięć minut później odłożyć teczkę Irene Pickering na właściwie, dawno zapomniane miejsce spoczynku.

Rozdział 28

W poniedziałek dwudziestego lutego sędzia Atlee wezwał do siebie wszystkie zainteresowane strony, żeby sprawdzić postępy. Ponieważ nie było to oficjalne przesłuchanie, kazał zamknąć sąd, by nie dopuścić reporterów i publiczności. Zjawiała się większość zainteresowanych: Hubbardowie z jednej, a Lettie i Phedra z drugiej strony. Chociaż nadal nie natrafiono na ślad Ancila, sędzia Atlee nie był jeszcze gotów uznać go za zmarłego.

Zasiadł w todzie w ławie sędziowskiej, mruknął „Dzień dobry” i wezwał do siebie prawników. Wszystkich obecnych na sali. Wkrótce stało się jasne, że sędzia nie jest w dobrym nastroju, bo źle się czuje. Zmęczonym głosem oświadczył:

– Panowie, sprawa wejdzie na wokandę za sześć tygodni od dziś. Baczenie obserwuję proces ujawniania świadków, więc nie widzę powodu, abyśmy nie mogli rozpocząć zgodnie z planem trzeciego kwietnia. O niczym nie zapomniałem? Czy są jakieś powody do opóźnienia rozprawy?

Uroczyście pokręcili głowami. Nie, Wysoki Sądzie. Nie ma najmniejszego powodu. Jak powiedział Jake, była to dziwna sprawa, bo wszyscy adwokaci z niecierpliwością oczekiwali rozpoczęcia procesu. Jeśli ktoś chciał zwlekać, to chyba tylko Jake. Miał wszelkie powody, żeby przeciągać sprawę, bo płacili mu sto pięćdziesiąt dolców z godzinę, ale i on czuł na karku oddech sędziego Atlee. Sprawa znana oficjalnie jako *In re* majątku Henry'ego Setha Hubbarda* przesuwała się z rekordową prędkością na wokandzie sądowej.

* *In re* (łac.) – w sprawie.

– Pan Brigance przygotował dla państwa pierwszy spis składników majątku – ciągnął sędzia. – Zgodnie z moim pisemnym pouczeniem sprawa powinna zostać utrzymana w największej tajemnicy. – Portia zaczęła rozdawać egzemplarze przedstawicielom drugiej strony. – Kazałem utajnić tę część akt sądowych, bo z rozpowszechniania takich materiałów nie wyniknie nic dobrego. Wy, prawnicy, i wasi klienci macie prawo wiedzieć, co wchodzi w skład majątku, więc rzućcie na to okiem. – Prawnicy łapali swoje kopie spisu i kartkowali. Niektórzy znali szacunkową wartość majątku, ale mimo to chcieli ujrzyć wszystko czarno na białym. Dwadzieścia cztery miliony z kawałkiem. Taka kwota uzasadniała działania, które podjęli, tłumaczyła, dłącząc z sobą walczą.

Kiedy przeczytali, o jaki majątek toczy się gra, w sali sądowej na kilka sekund zapadła cisza. Szło o więcej forszy, niż każdy z nich mógłby zarobić w ciągu całej długiej kariery. Później rozległy się szepty i chichoty z opowiedzianego dowcipu.

Sędzia Atlee mówił dalej:

– Zwrócę się teraz do przedstawicieli strony pragnącej podważyć testament. Przeglądając ujawnione materiały, odniosłem wrażenie, że planujecie zakwestionować wiarygodność charakteru pisma. Zakładam, że strona broniąca testamentu będzie musiała powołać swoich biegłych. Zbadałem próbki pisma, a konkretnie testament, instrukcje dotyczące pogrzebu i list, który pan Hubbard zostawił na stole w kuchni, a także pismo zaadresowane do pana Brigance'a, noszące datę pierwszego października. Przejrzałem również inne próbki pisma pana Hubbarda, które mi dostarczono. Panie Lanier i panie Rush, czy poważnie mają panowie zamiar dowieść, że testament nie został sporządzony przez Setha Hubbarda? – Ton głosu sędziego nie pozostawiał wątpliwości w kwestii jego odczuć.

Rush i Lanier podnieśli się z wolna, nie paląc się do udzielenia odpowiedzi.

– Wysoki Sądzie – zaczął Lanier – nadal się nad tym zastanawiamy...

– Radzę się pośpieszyć – przerwał mu niegrzecznie Atlee. – To

zbędne. Marnujecie mój czas. Nawet ślepy stwierdziłby, że to jego pismo. Każdy biegły, który pojawi się na tej sali i powie co innego, zostanie wyśmiany przez ławę przysięgłych i wyszydzony przez sąd.

W ten sposób rozstrzygnięto kwestię autentyczności pisma.

Prawnicy usiedli. Lanier szepnął do swojego pomagiera, Lestera Chilcotta:

– Ciekawe, o czym jeszcze zdecydował.

Sędzia Atlee spojrzął na Jake'a i burknął:

– Czy są jakieś postępy w sprawie Ancila Hubbarda? Pięć procent wyszczególnionego majątku to duża kwota.

Za cholerę, Wysoki Sądzie, miał ochotę powiedzieć wytrącony z zadumy Jake, ale podniósł się i wyklepał:

– Niewielkie, Wysoki Sądzie. Poszukiwania nie posunęły się do przodu. Wygląda na to, że Ancil dawno temu zaczął się posługiwać fałszywym nazwiskiem. Nie znaleziono żadnego dowodu wskazującego na to, iż umarł, i niczego, co dowodziłoby, że żyje.

– Rozumiem. Następnym punktem na mojej liście jest wybór przysięgłych. Od ponad ośmiu lat nie przewodniczyłem rozprawie z udziałem ławy przysięgłych. Muszę przyznać, że odrobinę zardzewiałem. Rozmawiałem z sędzią Noose'em, sędzią Handlefordem i innymi, którzy udzielili mi dobrych rad. Uważają, że wybór przysięgłych z grona stu obywateli powinien wystarczyć. Co panowie na to?

Bez odpowiedzi.

– Rozumiem. Każę urzędnikowi sądowemu wylosować sto przypadkowych nazwisk ze spisu wyborców i ujawnię ich listę dwa tygodnie przed rozprawą. Taka sama procedura jak w przypadku sądu obwodowego. Pouczę panów i udzielę ostrzeżenia, aby bez zezwolenia sądu nie kontaktować się z potencjalnymi przysięgłymi. To głośna sprawa, panowie. Czasami mam wrażenie, że wszyscy w naszym okręgu wyrobili sobie już w niej zdanie.

Jake podniósł się i powiedział:

– Skoro tak, może powinniśmy zmienić miejsce rozprawy, Wysoki Sądzie?

– Może pan złożyć odpowiedni wniosek, panie Brigance. Nie

dotarło do mnie żadne pismo.

– Nie zrobiłem tego. Jedyne się zastanawiam. Jeśli większość potencjalnych przysięgłych słyszała o sprawie, zmiana miejsca rozprawy może być właściwa.

– Panie Lanier? – spytał sędzia Atlee, spoglądając na pozostałych prawników. – Panowie Rush i Zeitler? Ktoś inny?

Wade Lanier podniósł się z wyrazem frustracji na twarzy.

– W Missisipi jeszcze nigdy nie zmieniono miejsca rozprawy w sprawie o podważenie testamentu! Ani razu! Sprawdziliśmy to! – Lester Chilcott zaczął nagle gmerać w grubej teczce. – Wydaje się też pewną przesadą twierdzenie, że wszyscy mieszkańcy okręgu Ford wyrobili sobie zdanie w tej sprawie przed przedstawieniem dowodów. – Chilcott podał mu grubą teczkę. – Mam. Wysoki Sąd może na to spojrzeć, jeśli ma ochotę. W ani jednej sprawie.

Jake był pod wrażeniem przeprowadzonych poszukiwań, ale sędzia Atlee okazał nieco mniej entuzjazmu.

– Wierzę panu na słowo. Później się z tym zapoznam.

Brigance nie miał zamiaru wnosić o przeniesienie sprawy, bo wolał, żeby odbyła się w jego sądzie, ale zmiana miejsca procesu miała swoje plusy. Po pierwsze, pojawiłaby się szansa powołania większej liczby czarnych przysięgłych. Po drugie, można było uniknąć strat spowodowanych przez Bookera Sistrunka – jego głupiej paplaniny, ataków na tle rasowym i czarnego rolls-royce'a. Po trzecie, znaleźć przysięgłych, którzy nie plotkowali o Lettie i jej rodzinie, ich problemach i nowym domu wynajętym poza dzielnicą Lowtown. Wreszcie, po czwarte, wybrać przysięgłych nieskażonych wiecznymi spekulacjami o Lettie i Secie Hubbardzie oraz tym, co ich tak naprawdę łączyło. Omawiali różne warianty z Lucieniem, w miarę upływu czasu coraz bardziej angażując w to Portię. Mogli sobie debatować o wszystkim, co im się żywnie podobało, ale była to strata czasu. Sędzia Atlee nie zamierzał przenieść procesu i dał to Jake'owi jasno do zrozumienia. Teraz Jake blefował, z przyjemnością obserwując, jak jego przeciwnicy zgłaszają sprzeciw.

– Jeśli Wysoki Sąd uważa, że wszyscy mieszkańcy okręgu Ford

mają wyrobione zdanie w tej sprawie, złożę wnioszek o zmianę miejsca procesu.

– Mam lepszy pomysł, panie Brigance – odrzekł sędzia Atlee. – Wybierzmy sto osób i rozpoczniemy proces wyboru ławy przysięgłych. Szybko się przekonamy, czy nie tracimy tu czasu. Jeśli dojdziemy do wniosku, że w okręgu Ford nie da się wybrać bezstronnej ławy przysięgłych, przeniesiemy rozprawę do innego okręgu. Ten stan nie cierpi na brak sal sądowych. W każdym okręgu jest przynajmniej jedna.

Jake usiadł, podobnie jak Lanier i Stillman Rush. Sędzia Atlee przełożył jakieś papiery, a później wdał się w dyskusję na temat zeznań złożonych pod przysięgą. Ponieważ prawnicy obu stron byli jednomyślni, zaplanowanie procesu nie nastęrczyło większych problemów. Konferencję przed procesem wyznaczono na dwudziestego marca, dwa tygodnie przed pierwszą rozprawą.

Obrady przerwano.

△△△

Wznowiono je piętnaście minut później w gabinecie sędziego Atlee przy tym samym korytarzu. Wzięli w nich udział wyłącznie prawnicy, bez klientów, bez pomocy prawnych i urzędników sądowych lub innych osób, którym nie można zaufać. Tylko prawnicy i sędzia, który zdjął togę i siedział w fotelu, pykając z fajki.

Kiedy adwokaci się usadowili, powiedział:

– Panowie, porozmawiajmy o ugodowym załatwieniu sprawy. Nie obawiam się procesu, właściwie z kilku powodów na niego czekam. Proces z udziałem ławy przysięgłych to dla mnie rzadkość, rzadko też mam do czynienia z tak intrygującymi faktami, jak przedstawione. Mimo to okazałbym niedbałość jako bezstronny arbiter, gdybym nie podjął próby doprowadzenia do rozwiązania, które dałoby coś każdej ze stron, choć nie tyle, ile by chciały. Stawką są duże pieniądze, panowie. Z pewnością da się znaleźć taki sposób podziału tortu, żeby wszyscy byli zadowoleni. – Cmoknął ustnik fajki w ciężkim milczeniu, które zapadło w pokoju. – Mógłbym zgłosić

pierwszą propozycję?

Jakby potrzebował ich zgody! Prawnicy zgodnie przytaknęli głowami, choć uczynili to ostrożnie.

– Doskonale. Przekażmy dwóm mniejszym beneficjentom po pięć procent: wypłacmy pełną kwotę Kościołowi i stwórzmy fundację powierniczą dla Ancila do czasu, aż postanowimy coś innego. Pozostałych dziewięćdziesiąt procent podzielmy na trzy części: jedną trzecią dla Lettie Lang; jedną trzecią dla Herschela Hubbarda i jedną trzecią dla Ramony Hubbard Dafoe. Po odjęciu pięćdziesięcioprocentowego podatku każdy z trójki odejdzie z kwotą trzech milionów sześciuset tysięcy dolarów. To znacznie mniej, niż oczekuje każda ze stron, ale znacznie więcej, niż otrzyma w przypadku wygranej drugiej strony. Co sądzicie?

– Jestem pewny, że Kościół się zgodzi – odrzekł Jake.

– Ta propozycja rozbudza oczekiwania, ale ich nie zaspokaja, Wysoki Sądzie – rzekł Zack Zeitler, adwokat dzieci Herschela.

– Jestem podobnego zdania – przyłączył się Joe Bradley Hunt, prawnik dzieci Ramony.

– Rozumiem – odparł sędzia Atlee – choć można przyjąć, że dzieci otrzymają niebagatelną korzyść z takiej ugody, a ich rodzice odczują nieoczekiwany przyływ gotówki. Oczywiście pieniądze kiedyś się skończą. Można by zarządzić, aby część odłożyć w formie funduszu powierniczego dla dzieci. To tylko pomysł.

– Może i tak – powiedział Zeitler, spoglądając na innych prawników takim wzrokiem, jakby grożono mu poderżnięciem gardła.

– Interesujące – wymamrotał Wade Lanier. – Moi klienci mogliby to rozważyć.

– Jestem podobnego zdania – przytaknął Stillman Rush.

Wysoki Sąd przygryzł zniszczony ustnik fajki i spojrzał na Jake'a, który zaczął się wic w zastawionej zasadzce. Nie został uprzedzony o zorganizowanej na chybcika konferencji w sprawie ugody. Nie miał też pojęcia, że stary przyk planuje rzucić na stół ofertę z konkretnymi liczbami.

– Jake? – spytał sędzia Atlee.

– Wszyscy otrzymaliście kopię listu, który Seth Hubbard przesłał mi wraz z ostatnią wolą i testamentem. Polecenia, które zostawił, są wyraźne. Jego życzenia i pragnienia wobec dwójki dorosłych dzieci nie mogłyby zostać bardziej dosadnie wyrażone. Sugeruję, żebyście się z nim ponownie zapoznali. Przeczytajcie również testament. Jestem jego wykonawcą. Mam swoje wytyczne. Moim zadaniem jest zrealizowanie testamentu pana Hubbarda i dopilnowanie, żeby jego dzieci nie dostały niczego. Nie mam wyboru. Nie pójdę na żaden kompromis ani ugodę.

– Może powinieneś to przedyskutować ze swoim klientem? – zasugerował Stillman.

– Moim klientem jest majątek Hubbarda, reprezentowany przez jego administratora, pana Quince'a Lundy'ego.

– Miałem na myśli Lettie Lang.

– Nie reprezentuję Lettie Lang. Mamy te same interesy: uprawnienie spisane odręcznie testamentu, ale nie jestem jej prawnikiem. Dałem to wszystkim jasno do zrozumienia, szczególnie pani Lang. Jako zainteresowana strona ma prawo zatrudnić prawnika. Podjęła taką próbę, ale facet skończył w więzieniu.

– Dziwnie mi brak starego Bookera. – Wade Lanier westchnął, wzbudzając serię chichotów.

– Chciałem tylko podkreślić, że nie jestem jej prawnikiem – powtórzył Jake.

– Jasne, Jake. Technicznie rzecz biorąc, to prawda, ale obecnie masz na nią większy wpływ niż ktokolwiek inny. Do licha, jej córka jest twoją pomocą prawną, sekretarką, wszystko jedno czym.

– Mam niezły personel.

– Daj spokój, Jake – zachnął się Wade Lanier. – Chyba nam nie powiesz, że gdybyś poszedł do Lettie i powiedział, że za dwa miesiące... cholera, za dwa tygodnie może odejść z ponad trzema milionami dolców, nie weźmie forsy i nie ucieknie.

– Nie mam pojęcia, co by zrobiła. To dumna kobieta, która czuje się wzgardzona przez miejscową społeczność. Chce procesu.

– Trzy miliony dolców mogą złagodzić urazy – zauważył Lanier.

– Pewne tak, ale nie mogę uczestniczyć w kompromisie. Jeśli Wysoki Sąd tego zechce, zrezygnuję z roli wykonawcy testamentu, ale jak długo pełnię tę funkcję, nie mam pełnomocnictwa do tego, żeby pójść na ugodę.

Sędzia Atlee ponownie zapalił fajkę i wydmuchnął kłęb dymu. Oparł się na łokciach i powiedział:

– Panowie, sądzę, że on ma rację. Jeśli testament zostanie uznany za ważny, to znaczy, jeśli przysięgli uznają, że pan Hubbard znajdował się w pełni władz umysłowych, gdy go sporządzał, i nie działał pod niczym naciskiem, wówczas nie będziemy mieli innego wyjścia, jak tylko przyjąć do wiadomości jego wolę. Dorosłe dzieci nic nie dostaną.

Może i tak, pomyślał Wade Lanier, ale nie wiesz tego, co ja. Nie widziałeś testamentu Irene Pickering. Nie masz pojęcia, że pani Lettie Lang podstępnie ingerowała w prywatne sprawy swoich chlebobdawców. Kiedy sędziowie przysięgli to usłyszą i zobaczą, dorosłym dzieciom Seta Hubbarda nie stanie się krzywda.

Pryncypialna obrona ostatniej woli zmarłego klienta oraz nieco buńczuczna wiara, że proces powinien odbyć się w Clanton, w jego sali sądowej, zostały poważnie nadszarpnięte przez tragedię, która wydarzyła się następnej nocy, podczas burzy śnieżnej w pobliżu miasteczka Lake Village. Dwaj bracia, Kyle i Bo Rostonowie, wracali do domu po meczu baseballu, w którym grali w szkolnej reprezentacji. Kyle był w ostatniej klasie liceum w Clanton i grał na pozycji wysuniętego obrońcy. Bo chodził do drugiej klasy i był rezerwowym. Świadek jadący samochodem tuż za nimi powiedział, że kierowca, Kyle, prowadził ostrożnie, nie śpieszył się i doskonale radził sobie z sytuacją na drodze. Pojazd jadący z naprzeciwka przyśpieszył po minięciu wzgórza i wpadł w poślizg. Świadek z przerażeniem patrzył na nieuchronną katastrofę. Ocenił, że Kyle jechał z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Drugi pojazd, stary pick-up, pruł znacznie szybciej. W wyniku czołowego zderzenia mała toyota

Rostonów przekoziółkowała w powietrzu i wylądowała w rowie. Pick-up wykonał raptowny obrót i wypadł na pole, wysypując ładunek na drogę. Świadek zdołał się w porę zatrzymać, żeby udzielić pomocy ofiarom.

Kyle zmarł na miejscu. Bo został wyciągnięty z wraku przez ekipę ratunkową i przewieziony do szpitala w Clanton, gdzie natychmiast trafił na stół operacyjny. Obrażenia głowy były tak poważne, że ledwie przeżył. Kierowca drugiego pojazdu też znalazł się w szpitalu, ale odniósł tylko powierzchowne rany. Badanie wykazało, że dopuszczalny poziom alkoholu we krwi został dwukrotnie przekroczony. Przed jego pokojem siedział funkcjonariusz z biura szeryfa.

Sprawcą wypadku okazał się Simeon Lang.

Ozzie zadzwonił do Jake'a tuż po północy, budząc go z głębokiego snu. Kwadrans później zaparkował przed jego domem. Jake wypadł na dwór i wskoczył do radiowożu. Na drodze był lód, a ulice przypominały lodowisko, więc gdy wlekli się przez miasto, szeryf przekazał mu najświeższe informacje. Drugi chłopak był w dalszym ciągu operowany, ale sytuacja wyglądała paskudnie. Z informacji Ozziego wynikało, że tego dnia Simeon nie pił w miejscowej spelunie. Według Lettie, która była już w szpitalu, przebywał poza domem od tygodnia. Myślała, że wracał z długiej trasy, ale nie miał przy sobie forsy ani czeku.

Miał złamany nos, ale poza tym był cały.

– Pijacy zawsze wychodzą cało z wypadku – zauważył Ozzie.

Lettie i Portia ukrywały się na końcu długiego korytarza, niedaleko pokoju, w którym leżał Simeon. Obie płakały, były zrozpaczone i nie dawały się pocieszyć. Po kilku minutach, kiedy wymienili tylko parę słów, Lettie poszła do łazienki. Ledwie się oddaliła, Portia szepnęła:

– Dziesięć lat temu, gdy miałam czternaście lat i chodziłam do dziewiątej klasy, błagałam mamę, żeby go rzuciła. Już wtedy ją bił. Sama widziałam. Powiedziałam: „Błagam, mamó, ucieknijmy od niego. Wyprowadźmy się stąd”. Myślę, że próbowała, ale się go bała. Zobacz tylko, co teraz zrobił. Co z nim będzie, Jake? – Otarła policzek grzbietem dłoni.

– Nic dobrego – odparł ledwie słyszalnym szeptem. – Jeśli to jego wina i jeśli był pijany, odpowie za nieumyślne spowodowanie śmierci. Na razie usłyszysz jeden zarzut.

– Ile za to grozi?

– Od pięciu do dwudziestu pięciu lat. Wiele zależy od sędziego.

– Nie zdoła się wykręcić?

– Nie, nie widzę sposobu.

– Alleluja. W końcu zniknie na dłużej. – Zasłoniła twarz dłońmi i głośniej zaszlochała. – Biedni chłopcy – powtarzała.

W poczekalni głównego skrzydła szpitala gęstniał tłum. Ozzie zagadał do Jeffa i Evelyn Rostonów, rodziców chłopców, ale byli zbyt zaszokowani, żeby mu odpowiedzieć. Zwrócił się do jednego z wujów i wyjaśnił, że Simeon Lang został zatrzymany i w ciągu najbliższych godzin zostanie przewieziony do aresztu. Tak, był pijany. Nadal jest. Bardzo mi przykro.

– Lepiej go stąd zabierz – poradził wuj, wskazując głową grupkę mężczyzn. Wściekłych, zrozpaczonych wieśniaków, którzy od dzieciństwa mieli do czynienia z bronią i byli wystarczająco wkurzeni, żeby posunąć się do radykalnych rozwiązań. Z każdą chwilą dołączali do nich inni. Rostonowie uprawiali soję i hodowali kurczaki, aktywnie działali w wiejskiej parafii. Mieli wielu krewnych i znajomych i nigdy nie głosowali na Ozziego.

O drugiej nad ranem w szpitalu byli już wszyscy ludzie z biura szeryfa. O trzeciej ukradkiem wyprowadzili Simeona ze szpitala i zawieźli do aresztu. Ozzie poinformował o tym wujka chłopców.

Lettie i Portia opuściły szpital bocznymi drzwiami, a Jake odprowadził je do samochodu. Później wrócił do głównego skrzydła, omijając poczekalnię. Ozzie rozmawiał z dwoma swoimi ludźmi. Po chwili podszedł do nich Dumas Lee z aparatem na szyi. Natychmiast zamilkli.

– Masz minutkę, Jake? – zapytał Dumas.

Jake się zawahał i spojrzął na Ozziego.

– Nie ma jeszcze żadnego oświadczenia – powiedział szeryf – Co ci chodzi po głowie?

– Mam parę pytań.

Odeszli na stronę, w głąb długiego korytarza.

Czy możesz potwierdzić, że sprawcą wypadku jest Simeon Lang?

Zaprzeczanie nie miało sensu, więc Jake odrzekł:

– Tak.

– Jesteś jego prawnikiem?

– Nie.

– Nie rozumiem. Facet ma od czterech miesięcy sprawę w sądzie miejskim za kierowanie po pijanemu. W rejestrze figurujesz jako jego prawnik.

Uważaj, ostrzegł samego siebie Jake. Wziął głęboki oddech, czując, jak żołądek zaciska mu się w supel.

– Zrobiłem mu przysługę – odpowiedział.

– Nie obchodzi mnie, dlaczego to zrobiłeś. W rejestrze figurujesz jako jego obrońca.

– Nie jestem obrońcą Langa, rozumiesz? Nigdy nie byłem. Nie mogę być wykonawcą testamentu Setha Hubbarda i bronić Simeona Langa, męża jednej z jego beneficjentek.

– Czemu zatem pojawiłeś się w sądzie dziewiętnastego października, żeby złożyć wniosek o odroczenie jego sprawy o prowadzenie pod wpływem alkoholu?

– Wyświadczyłem mu przysługę. Nie jestem jego prawnikiem, zrozumiałeś, Dumas?

– Dlaczego jego sprawa została odroczone o cztery miesiące?

– Nie jestem sędzią.

– Z nim porozmawiam później – odparował Dumas.

– Zrób to. Nie mam nic więcej do powiedzenia. – Jake odwrócił się gwałtownie i odszedł.

Dumas ruszył za nim, nie przestając nawijać.

– Posłuchaj, Jake, lepiej ze mną pogadaj, bo to wszystko będzie kiepsko wyglądało.

Jake odwrócił się ponownie. Stanęli twarzą w twarz na środku korytarza. Jake opanował się, wziął głęboki oddech i powiedział:

– Nie wyciągaj pochopnych wniosków, Dumas. Nie tknąłem tamtej sprawy od czterech miesięcy, bo nie jestem jego prawnikiem. O ile pamiętam, był w tym czasie reprezentowany przez tych klaunów z Memphis. Nie przeze mnie. Dlatego uważaj.

Dumas gorączkowo notował. Jake miał ochotę mu przywalić, ale nagle zapomniał o wszystkim z powodu krzyków, które doleciały z drugiej strony budynku.

O czwartej piętnaście rano Bo Rostona uznano za zmarłego.

Rozdział 29

Jake i Carla siedzieli przy kuchennym stole, czekając, aż zaparzy się kawa. Nie minęła jeszcze piąta rano. Była środa, dwudziesty drugi lutego, niewątpliwie jeden z najsmutniejszych i najmroczniej szych dni w historii okręgu Ford. Dwóch nastolatków – inteligentnych, dobrych uczniów, sportowców i członków miejscowego Kościoła, znanych chłopaków z dobrej rodziny – zostało zabitych przez pijanego kierowcę na pokrytej lodem drodze. Tragiczne wiadomości rozchodziły się lotem błyskawicy. Kawiarnie będą pękać w szwach od rannych ptaszków, którzy przybędą w poszukiwaniu najświeższych informacji. Kościoły otworzą się, aby wierni mogli zanosić modły. Najgorzej będzie w liceum w Clanton. Biedne dzieciaki.

Carla naląła kawę. Rozmawiali przyciszonym głosem, żeby nie obudzić Hanny.

– Nawet nie założyłem mu akt – mówił Jake. – Ozzie zadzwonił do mnie w tamten poniedziałek, mówiąc, że w sobotę rano aresztowano Simeona i w środę stanie przed sądem. Kiedy wytrzeźwiał, Ozzie odwiózł go do domu. Po drodze doradził mu, żeby pozbył się prawników z Memphis. Podziękowałem Ozziemu i ustaliliśmy, że się później spotkamy. Oddzwonił po jakimś czasie, pytając, czy przyjdę do sądu, aby złożyć wniosek o odroczenie. Ozzie chciał wykorzystać zarzut prowadzenia pod wpływem alkoholu, żeby wstrząsnąć Simeonem. W środę poszedłem do sądu, odwaliłem papierkową robotę i poprosiłem o odroczenie sprawy. Sąd przychylił się do mojej prośby, wyraził zgodę, a ja o wszystkim zapomniałem. W tym czasie Simeona

reprezentował jeszcze Booker Sistrunk. Powiedziałem Simeonowi w sądzie, że mu nie pomogę. Nie lubię faceta. Szczerze mówiąc, gardzę nim.

– Zauważyłeś jakiś konflikt interesów? – zapytała Carla.

– Zastanawiałem się nad tym. Wspomniałem nawet o tym Ozziem. Prawda jest taka, że żadnego nie było. Jestem adwokatem występującym w roli wykonawcy testamentu. Simeon nie jest zainteresowaną stroną. Jego żona tak, ale nie on.

– To nie jest do końca jasne, Jake.

– Nie, nie jest. Nie powinienem był się w to angażować. Popeliłem wielki błąd. Nie zaufałem instynktowi.

– Ale nikt nie może cię winić o to, że Simeon prowadził samochód po pijanemu.

– Właśnie że może. Gdyby sprawa została przeprowadzona jak należy, zostałby skazany i straciłby prawo jazdy. Nie jechałby pick-upem tej nocy, przynajmniej teoretycznie.

– To tylko cztery miesiące, Jake. Takie sprawy ciągną się znacznie dłużej, prawda?

– Czasami.

– Jak się nazywał ten facet, dekarz? Prowadziłeś sprawę jego syna, który kierował pod wpływem alkoholu. Ciągnęła się cały rok.

– Chuck Bennett. Nie chciałem, żeby chłopak trafił do pudła, zanim skończą naprawiać nasz dach.

– Chodziło mi o to, że takie sprawy często się przeciągają.

– Oczywiście, ale po tragedii zawsze szuka się winnych, wiesz, kozła ofiarnego. Ponieważ należę do obozu Lettie Lang, dostanę za swoje. Zawsze łatwo jest obwiniać prawników. Ozziem też przywała. Czarny szeryf próbował ochraniać jednego ze swoich, a teraz nie żyją dwa białe dzieciaki. Może być ostro.

– Ale nie musi, Jake.

– Nie jestem optymistą.

– W jaki sposób wpłynie to na spór o testament?

Jake powoli pił kawę i wpatrywał się w mrok otulający podwórko za domem.

– Niszczycielski. W ciągu następnych miesięcy Simeon Lang będzie najbardziej napiętnowaną osobą w tym okręgu. Będzie miał swój wielki dzień w sądzie, a później trafi do więzienia. Po pewnym czasie ludzie o nim zapomną, ale nasz proces rozpoczyna się za sześć tygodni. Nazwisko Lang stanie się toksyczne. Wyobraź sobie wybór przysięgłych z takim bagażem. – Wypił kolejny łyk, a później potarł oczy. – Lettie nie ma wyboru. Musi jak najszybciej wystąpić o rozwód. Zerwać wszelki kontakt z Simeonem.

– Zrobi to?

– Czemu nie? Facet spędzi następne dwadzieścia lub trzydzieści lat w więzieniu Parchman. Tam, gdzie jego miejsce.

– Jestem pewna, że Rostonowie będą z tego zadowoleni.

– Biedni ludzie.

– Spotkasz się z nią dzisiaj? Z Lettie?

– Na pewno. Zadzwoń rano do Harry'ego Rexa i poproszę, żeby zaaranżował spotkanie. Będzie wiedział, co zrobić.

– Czy ta wiadomość przebiję się do „Timesa”?

– Nie. „Times” za godzinę znajdzie się na ulicach. Jestem pewny, że w przyszłym tygodniu Dumas wysmaruje artykuł na całą czołówkę, ze zdjęciami rozbitych pojazdów i jak największą ilością drastycznych szczegółów. Z rozkoszą rozniesie mnie w pył.

– Jaka jest najgorsza rzecz, którą może o tobie napisać, Jake?

– Po pierwsze, może mnie nazwać prawnikiem Simeona. Po drugie, przekręcić i wypaczyć fakty, sugerując, że w październiku byłem zamieszany w odroczenie jego sprawy o prowadzenie po pijanemu. Da do zrozumienia, że gdybym tego nie zrobił, sąd odebrałby mu prawo jazdy. Facet nie prowadziłby samochodu tej feralnej nocy, a chłopcy Rostonów nadal by żyli.

– Nie może tego zrobić. To czyste spekulacje.

– Może i zrobi to.

– W takim razie z nim pogadaj. Spróbuj ograniczyć straty, Jake. Dziś mamy środę. Pogrzeb będzie pod koniec tygodnia. Zaczekaj do poniedziałku i załóż sprawę rozwodową. Jak nazywacie ten zakaz sądowy?

- TZZ. Tymczasowy zakaz zbliżania się.
- Właśnie. Skłoń sędziego, żeby go wydał. Żeby Simeon nie mógł się zbliżyć do Lettie. Wiem, że facet siedzi w więzieniu, ale wystąpienie o zakaz postawi ją w korzystnym świetle. Wyraźne zerwanie, babka ucieka od faceta. W międzyczasie pogadaj z Dumasem. Dopilnuj, żeby poznał fakty. Przeprowadź badania i pokaż mu, że niektóre sprawy o prowadzenie pod wpływem alkoholu ciągną się ponad cztery miesiące. Nigdy nie zajrzałeś do jego akt i nie wzięłeś ani centa. Może uda ci się skłonić Ozziego, żeby wziął trochę ognia na siebie. O ile dobrze pamiętam, w zeszłorocznych wyborach zdobył około siedemdziesięciu procent głosów. Jest kuloodporny. Do tego chce, żeby Lettie wygrała sprawę o zatwierdzenie testamentu. Jeśli cię zaatakują, poproś Ozziego, aby wziął na siebie część ataków. Da sobie radę.

Jake kiwał głową, uśmiechając się pod nosem. Dalej, dziewczyno!

- Posłuchaj, kochany – powiedziała. – Widzę, że masz nerwicę frontową. Ty jesteś po prostu przerażony. Otrząśnij się. Nie zrobiłeś nic złego, więc nie daj się o nic obwinie. Kontroluj straty i bieg sprawy.

- Mogę cię zatrudnić? Potrzebuję pomocy w biurze.

- Obawiam się, że nie byłoby cię stać. Jestem nauczycielką.

Hanna zakaszłała i Carla poszła do córki.

ΔΔΔ

Kontrolę strat trzeba było rozpocząć godzinę później, kiedy Jake wszedł do Coffee Shopu, gotowy przekonać wszystkich i każdego z osobna, że nie jest i nigdy nie był prawnikiem Simeona Langa. W końcu tyle plotek narodziło się tutaj, nad jajkami i bekonem, że Jake postanowił od razu uderzyć u źródła.

Prather z biura szeryfa siedział nad kopcem naleśników, tak jakby na coś czekał. Nie spał całą noc i tytał zaspanymi oczkami jak Jake. W ciszy wywołanej jego wkroczeniem Marshall wykrzyknął:

- Cześć, Jake! Widziałem cię w szpitalu parę godzin temu! – Była to celowa próba nawiązania rozmowy, bo Ozzie też próbował

ograniczyć straty.

– Taak. Straszna historia – odrzekł poważnie Jake. – Zabraliście tego Langa do pudła? – spytał głośno.

– A jakże. Jeszcze nie wytrzeźwiał.

– Jesteś jego prawnikiem, Jake? – zapytał Ken Nugent siedzący trzy stoliki dalej. Nugent całymi dniami rozwoził pepsi, i inne napoje gazowane do wiejskich sklepików.

– Nigdy nie byłem – odparł Jake. – Nie reprezentuję gościa, nigdy też nie reprezentowałem jego żony.

– Więc czemu zajmowałeś się jego sprawą?! – huknęła Nugent.

Dell napełniła kubek Jake'a kawą i trąciła go tyłkiem, zgodnie ze zwyczajem.

– Dzień dobry, kochanie – szepnęła. Jake posłał jej uśmiech, a później spojrzął na Nugenta. Wszystkie rozmowy ucichły.

– Zgodnie z prawem reprezentuję pana Setha Hubbarda. Oczywiście, nie ma go już wśród nas, ale przed śmiercią poprosił mnie, żebym był wykonawcą jego testamentu. Mam spełnić jego życzenie, przedstawić testament i ochronić majątek. Reprezentuję jedynie administratora majątku i nikogo innego. Nie jestem adwokatem Lettie Lang, a już z pewnością nie jej męża. Szczerze mówiąc, nie cierpię gościa. Nie zapominaj, że Simeon zatrudnił tych klaunów z Memphis, którzy próbowali ukraść mi sprawę.

W tym momencie do rozmowy wtrąciła się jak zawsze lojalna Dell.

– Próbowałam im to wytłumaczyć – rzekła, stawiając przed nim talerz z tostem i kaszą kukurydzianą.

– To kto jest jego prawnikiem? – spytał Nugent, ignorując Dell.

– Nie mam zielonego pojęcia. Pewne ktoś wyznaczony przez sąd. Wątpię, czy będzie go stać na adwokata.

– Jaki wyrok dostanie, Jake? – zapytał Roy Kern, hydraulik, który wykonywał prace w jego poprzednim domu.

– Wysoki. Za podwójne nieumyślne zabójstwo w wypadku samochodowym grozi od pięciu do dwudziestu pięciu lat. Nie wiem, jaki zapadnie wyrok, ale sędzia Noose jest nieubłagany w takich

przypadkach. Nie byłbym zaskoczony, gdyby zasądził dwadzieścia lub trzydzieści lat.

- Czemu nie karę śmierci? – dopytywał się Nugent.
- Takie przestępstwo nie jest zagrożone karą śmierci, bo...
- Cholera, powinno być! Drań zabił dwóch chłopaków!
- Nie zrobił tego umyślnie, to nie było zabójstwo z premedytacją.

Karę śmierci wymierza się za zabójstwo i coś jeszcze: zabójstwo i gwałt, zabójstwo i rabunek, zabójstwo i porwanie. Ta sprawa nigdy nie zakończy się wyrokiem śmierci.

Ludzie przyjęli jego słowa bez większego entuzjazmu. Odpowiednio podbechtana klientela Coffee Shopu zaczynała przypominać żądny linczu tłum, ale po śniadaniu sytuacja zwykle wracała do normy. Jake dodał tabasco do kaszy kukurydzianej i zaczął smarować grzanekę masłem.

– Czy Rostonowie mogą uzyskać jakieś odszkodowanie? – spytał Nugent.

Odszkodowanie? Jakby pieniądze Setha stały się nagle dostępne, a więc zagrożone.

Jake odłożył widelec i spojrzał na Nugenta. Przypomniawszy sobie, że to jego ludzie, jego klienci i przyjaciele, którzy po prostu potrzebują otuchy.

– Nie – odparł najprzejmiej, jak potrafił. – Nie ma mowy. Minie wiele miesięcy, może nawet lat, zanim pieniądze pana Hubbarda zostaną podzielone. Dziś nie sposób powiedzieć, kto je dostanie. Proces może rozstrzygnąć pewne kwestie, ale werdykt z pewnością trafi do apelacji. Nawet jeśli Lettie Lang otrzyma w końcu całą sumę lub dziewięćdziesiąt procent, jej mąż nie uszczknie z tego ani centa. Będzie siedział w pudle, a Rostonowie nie będą mieli podstaw do wysuwania roszczeń w stosunku do Lettie.

Ugryzł grzanekę i szybko przełknął. Musiał kontrolować bieg wydarzeń, zamiast marnować czas i siedzieć z pełnymi ustami.

- Gość nie wyjdzie za kaucją, prawda, Jake? – spytał Bill West.
- Wątpię. Kaucja zostanie wyznaczona, ale będzie przypuszczalnie zbyt wysoka. Przewiduję, że pozostanie w więzieniu do czasu

zakończenia procesu lub pójścia na ugodę z oskarżeniem.

– Jaka może być linia obrony?

Jake pokręcił głową, jakby taka linia nie istniała.

– Facet był pijany i mamy świadka wypadku, prawda, szeryfie?

– Taak. Guy wszystko widział.

– Przewiduję ugodę z oskarżeniem lub długi wyrok.

– Czy ten Lang nie ma chłopaka w więzieniu? – zapytał Nugent.

– Ma. Marvisa.

– Może wyląduje na jednej pryczy ze swoim synalkiem. Wstąpi do tego samego gangu i będzie się zabawiał w Parchman – zauważył z przekąsem Nugent, wzbudzając śmiech na sali. Jake też się roześmiał, a później zaatakował śniadanie. Odetchnął z ulgą, że rozmowa zeszała z jego rzekomych związków z Simeonem Langiem.

Ludzie wyjdą z Coffee Shopu i pójdą do roboty, cały dzień będą gadać wyłącznie o tragedii Rostonów. Byli przecież w posiadaniu poufnych informacji, bo jedli śniadanie z Jakiem, który znał sytuację od środka. Zapewnią swoich współpracowników i słuchaczy, że ich kumpel Jake nigdy nie był prawnikiem Simeona Langa, najbardziej znienawidzonego człowieka w okręgu Ford. Uspokoją ich i obiecują, że łotr trafi do więzienia na długi czas.

Bo tak powiedział im Jake.

Jasne promienie wczesnego poranka przenikały przez drewniane żaluzje, kładąc się równymi, białymi pasami na długim stole w sali konferencyjnej. Gdzieś w oddali bez przerwy dzwonił telefon, ale nikt nie miał zamiaru podnosić słuchawki. Zamknięto frontowe drzwi, więc co piętnaście minut dawało się słyszeć kołatanie. Fala ożywionych rozmów narastała, by po chwili opaść i osłabnąć, choć można było powiedzieć znacznie więcej.

Harry Rex wprowadzał ich w arkana sztuki składania pozwu rozwodowego. Trzeba zrobić to niezwłocznie. Z hukiem. Wnieść tyle poważnych zarzutów, ile się da, aby Lang wyszedł na takiego śmiecia, jakim faktycznie był. Powinni go oskarżyć o cudzołóstwo, notoryczne

okrucieństwo i nieludzkie traktowanie, porzucenie, pijaństwo, molestowanie, niewywiązywanie się z obowiązku alimentacyjnego. Wywalić wszystko, bo to małżeństwo było skończone, niezależnie od tego, czy Lettie będzie chciała to przyznać. Powinni mu przyładować, bo z więzienia nie będzie mógł odpowiedzieć. Bo i czemu miałby się tym przejmować? Powinni zrobić to w poniedziałek, a następnie dopilnować, żeby Dumas Lee i każdy reporter przejawiający najmniejsze zainteresowanie sprawą dostał kopię pozwu. I dołączyć prośbę o wydanie zakazu zbliżania się chama do domu, Lettie oraz jej dzieci i wnucząt do końca ich życia. Nie chodziło jedynie o zakończenie złego małżeństwa, ale o spektakl na użytek opinii publicznej. Harry Rex zgodził się zająć tą sprawą.

Portia powiedziała im, że pierwszy telefon z pogrózkami był tuż po piątej rano. Phedra podniosła słuchawkę i po kilku sekundach spokojnie odłożyła ją na widełki.

– Nazwał mnie czarnuchem – wybełkotała oniemiała. – Powiedział, że zapłacimy za śmierć tych chłopców. – Wpadły w panikę i zamknęły drzwi. Portia wyciągnęła z szafy krótką dubeltówkę i załadowała. Zgasiły światło i ukryły się w salonie, obserwując ulicę. Później telefon zadzwonił ponownie. I jeszcze raz. Modliły się, żeby wreszcie wzeszło słońce. Portia powiedziała, że kiedy jej matka podpisze pozew rozwodowy, będą musiały się wystrzegać Langów. Bracia i kuzyni Simeona byli niższą formą życia – mieli tę samą pulę genów – więc mogli sprawiać kłopoty. I bez tego zadręczali Lettie prośbami o pieniądze, więc jeśli uznają, że zostali splawieni, mogą zrobić coś głupiego.

Lucien miał za sobą ciężką noc, ale zjawił się mimo to i myślał równie jasno jak zwykle. Szybko doszedł do wniosku, że proces w sprawie zatwierdzenia testamentu nie może się odbyć w okręgu Ford. Jake musi złożyć wniosek o zmianę miejsca rozprawy. Atlee go odrzuci, ale da im to przynajmniej mocny argument w razie apelacji. Lucien nigdy nie wyrażał przesadnego entuzjazmu w kwestii szans Jake'a na wygraną przed ławą przysięgłych. Od dawna też był przekonany, że potencjalni przysięgli zostali skażeni przez Bookera

Sistrunka. Nierozsądna decyzja Lettie, aby przeprowadzić się do miasta, do domu, który należał kiedyś do średnio zamożnej białej rodziny, nie poprawiła jej notowań w lokalnej społeczności. Ludzie byli niechętnie nastawieni i pełni podejrzeń. Kobieta nie pracowała od czasu śmierci Hubbarda. Aż teraz jeszcze to: nosiła najbardziej znienawidzone obecnie nazwisko w okręgu. Złożenie wniosku rozwodowego nie było jedną z możliwości, ale absolutną koniecznością. Jednak sprawa rozwodowa najpewniej nie zakończy się przed rozpoczęciem procesu w sprawie testamentu, który zaplanowano na trzeciego kwietnia. W testamencie widniało jej nazwisko. Lang. Gdyby on, Lucien, znalazł się w skórze Wade'a Laniera, zadbałby o to, żeby przysięgli znienawidzili każdego Langa, który kiedykolwiek stąpał po tej planecie.

– Wybacz, Portio – powiedział. – Bez urazy. Po prostu tak będzie. – Dziewczyna rozumiała, a przynajmniej starała się zrozumieć. Była zbyt wyczerpana, aby mówić. Zostawiła matkę i siostry w podomkach, skulone przy kominku. Kominku, na którego gzymsie leżał obrzyn. Zastanawiały się, czy posłać dzieci do szkoły i co im powiedzieć. Kirk, uczeń drugiej klasy liceum w Clanton, znał młodych Rostonów i zaklinał się, że jego noga więcej nie postanie w szkole. Byli fajnymi kolegami. Do tego nienawidził własnego ojca. Jego życie było skończone. Chciał wyjechać jak Portia. Wstąpić do wojska i nigdy nie wrócić.

Jake i Harry Rex rozmawiali o sposobach odroczenia procesu. Będą przeciągać sprawę, mitrzyć czas, aby Harry Rex mógł doprowadzić do końca sprawę rozwodową oraz dać władzom czas na pozbycie się Simeona, wyekspediowanie go z miasta. Należało też dać mieszkańcom nieco odetchnąć między potwornością obecnej chwili, dwoma pogrzebami a walką o majątek Setha Hubbarda. Gdzie się znajdą za sześć miesięcy? Lettie uzyska rozwód. Będzie mogła nawet wrócić do panińskiego nazwiska. Lettie Tayber. To brzmiało znacznie lepiej, choć Portia powiedziała sobie, że pozostanie przy starym. Simeon zniknie. Sistrunk zostanie w końcu zapomniany. Bez wątplenia za pół roku sytuacja będzie znacznie bardziej sprzyjająca

dla przeprowadzenia sprawiedliwego procesu. Oponenti Jake'a będą się gwałtownie sprzeciwiać, bo i czemu mieliby tego nie robić, skoro sytuacja przemawia na ich korzyść?

Jake wyraził lekki optymizm, mówiąc, że w któreś piątkowe popołudnie mógłby odbyć pogawędkę na werandzie z sędzią Atlee nad szklaneczką whisky, a gdy pękną lody, poruszyć sprawę odroczenia rozprawy lub zmiany miejsca procesu. Oczywiście istniało ryzyko, że rozwścieczy sędziego wyraźną próbą wpływania na sąd. Ale Atlee co najwyżej każe mu się zamknąć, chociaż po paru szkockich pewnie tego nie zrobi. Rozmowa mogłaby nie być mu w smak, ale nie udzieli Jake'owi ostrej reprymendy. Zresztą nawet gdyby go i zbeształ, nie wyrządziłby tym żadnej większej szkody.

Niech minie trochę czasu, powiedział sobie Jake. Niech wściekłość, przerażenie i smutek nieco osłabną, a później znikną. W poniedziałek złożą wniosek o rozwód, a za tydzień lub dwa Jake spróbuje pogadać z sędzią Atlee.

Quince Lundy przyjechał na jedną ze swoich dwóch cotygodniowych wizyt. Zastał ich w sali konferencyjnej, skupionych ponuro wokół stołu, milczących, potulnych, zasmuconych, wpatrujących się w ścianę i mroczną przyszłość, która ich czekała. Dowiedział się o wszystkim z audycji rozgłośni radiowej w Clanton, w drodze ze Smithfield. Miał zamiar spytać, jaki wpływ ta tragedia będzie miała na przebieg procesu, ale kilka sekund po wejściu do sali konferencyjnej wiedział, że sytuacja jest poważna.

△△△

Willie Hastings był jednym z czterech czarnoskórych funkcjonariuszy biura szeryfa. Jego kuzynką była Gwen Hailey, żona Carla Lee i matka Tonyi, która miała teraz trzynaście lat i doskonale się czuła. Zakołatał do frontowych drzwi domu Sappingtona i zaczekał, aż ze środka doleciało pośpieszne szuranie.

W końcu drzwi się uchyliły i wyjrzała Lettie.

– Dzień dobry, pani Lang – powiedział Willie. – Przysyła mnie szeryf Walls.

Drzwi otworzyły się nieco szerzej, a Lettie zdobyła się na słaby uśmiech.

– To ty, Willie? – zapytała. – Wejdiesz?

Willie wszedł do środka i zastał dzieci oglądające telewizję – najwyraźniej odpuszczają sobie szkołę. Poszedł za Lettie do kuchni, gdzie Phedra poczęstowała go kawą. Pogadał z kobietami, zanotował to i owo na temat telefonów z pogrózkami, zauważył, że wyjęły przewód aparatu z gniazdka, i powiedział, że przez jakiś czas zostanie w pobliżu. Zaparkuje na podjeździe i będzie czekać, na wypadek gdyby go potrzebowały. Żeby ludzie widzieli. Szeryf Walls przesyła wyrazy współczucia. Umieścili Simeona w pojedynczej celi, zapuszkowali jak należy. Nadal śpi, odsypia pijaństwo. Hastings nie znał Rostonów i z nimi nie rozmawiał, ale przypuszczał, że są w domu, otoczeni przez rodzinę i przyjaciół. Lettie wręczyła mu list, który napisała wczesnym rankiem, i spytała, czy mógłby dopilnować, żeby doręczono go Rostonom.

– Chcieliśmy napisać, jak paskudnie się czujemy – wyjaśniła.

Willie obiecał, że list dotrze do nich przed południem.

Kiedy dolały mu kawy, wyszedł na zewnątrz. Na dworze był mróz, ale radiowóz miał sprawną klimatyzację. Przez cały ranek Willie popijał kawę i obserwował ulicę. Nie zauważył niczego podejrzanego i starał się nie zasnąć.

ΔΔΔ

Rozgłoszenia radiowa w Tupelo podała wiadomość o siódmej rano. Stillman Rush brał akurat prysznic i jej nie usłyszał, ale nie uszła ona uwagi jego współpracownika. Wykonali kilka telefonów i zweryfikowali szczegóły. Godzinę później Stillman zadzwonił do Wade'a Laniera z tragiczną, choć wielce obiecującą nowiną. To było jak grom z jasnego nieba. Żaden przysięgły z okręgu Ford nie wystąpiłby w obronie Simeona Langa, ale teraz i jego żona stała się łatwym celem.

Rozdział 30

W czwartek Simeon Lang zbudził się wcześniej rano, został nakarmiony, skuty kajdankami i zaprowadzony korytarzem do ciasnego pokoju widzeń, gdzie czekał na niego jakiś nieznajomy. Simeon usiadł na składanym krześle, z kajdankami na rękach, i zamienił się w słuch.

– Nazywam się Arthur Welch. Jestem prawnikiem z Clarksdale, tego w rejonie Deltę – przedstawił się nieznajomy.

– Wiem, gdzie jest Clarksdale – odparł Simeon, który miał na nosie duży opatrunek, a pod lewym okiem parę szwów.

– To dobrze – rzekł Welch. – Mam cię reprezentować, bo nikt inny nie chciał wziąć tej sprawy. Dziś o dziewiątej rano staniesz przed sądem. Trzeba złożyć wniosek o wyznaczenie kaucji. Będziesz potrzebować prawnika. Jestem jedynym idiotą, który chce stanąć u twojego boku.

Simeon lekko skinął głową.

O ósmej trzydzieści Lang został przewieziony do sądu i pośpiesznie zaprowadzony tylnymi schodami na salę, która stała się tymczasowym królestwem sędziego okręgowego Percy'ego Bullarda. Jego własna sala rozpraw znajdowała się kawałek dalej i była bardzo mała, więc wołał skorzystać z większej, która akurat stała wolna. Od szesnastu lat rozstrzygał głównie w drugorzędnych sprawach cywilnych i lżejszych karnych, choć czasami zdarzały się bardziej poważne przypadki, w których należało wydać szybkie orzeczenie. Ponieważ mieszkańcy okręgu byli w żałobie, a napięcie sięgnęło zenitu, postanowił porządnie zbesztać Langa i dać mu parę szturchańców, aby

ludzie widzieli, że koła sprawiedliwości się obracają.

Wiadomość rozniosła się lotem błyskawicy, więc na sali niebawem pojawiła się publiczność. Punktualnie o dziewiątej wprowadzono Simeona. Jeszcze nigdy nie widziano bardziej winnego pod sądowego. Twarz miał pokiereszowaną, a pomarańczowy więzienny kombinezon zbyt obszerny i poplamiony krwią. Skuto mu ręce za plecami, a woźni sądowi szarpali go z lubością podczas rozkuwania.

Sędzia Bullard spojrział na niego i oznajmił:

– „Stan przeciwko Simeonowi Langowi”. Dajcie no go tutaj! – powiedział, wskazując ławę z przodu sali.

Simeon zaszurał nogami, rozglądając się nerwowo, jakby ktoś mógł mu wpakować kulkę w plecy. Arthur Welch stanął obok niego, dbając o zachowanie odpowiedniej odległości.

– Jesteś Simeon Lang? – zapytał sędzia Bullard.

Simeon skinął głową.

– Proszę odpowiedzieć!

– Tak.

– Dziękuję, a pan kto?

– Wysoki Sądzie, nazywam się Arthur Welch. Praktykuję w Clarksdale. Mam reprezentować pana Langa.

Bullard spojrział na niego takim wzrokiem, jakby chciał powiedzieć: „Na cholere?”. Zamiast tego zapytał Simeona:

– Panie Lang, czy pan Welch jest pańskim prawnikiem?

– Tak.

– Rozumiem. Panie Lang, został pan oskarżony o dwukrotne nieumyślne zabójstwo i prowadzenie samochodu pod wpływem alkoholu. Przyznaje się pan do winy?

– Jestem niewinny.

– Tak myślałem. Wyznaczę wstępne przesłuchanie za trzydzieści dni od dziś. Panie Welch, zostanie pan powiadomiony przez urzędnika sądowego. Jak sądzę, zechce pan teraz poruszyć kwestię kaucji.

Welch odpowiedział, jakby czytał z kartki:

– Tak, Wysoki Sądzie. Chcielibyśmy prosić o wyznaczenie rozsądnej kaucji. Pan Lang ma żonę i rodzinę w tym okręgu. Mieszka w

okręgu Ford całe życie. Nie istnieje ryzyko, że ucieknie, zapewnił mnie i zapewni Wysoki Sąd, że stawi się na każde wezwanie.

– Dziękuję. Wyznaczam kaucję wysokości dwóch milionów dolarów. Po jednym za każdego zabitego. Coś jeszcze, panie Welch?

– Nie, Wysoki Sądzie.

– Doskonale. Panie Lang, zostanie pan odprowadzony do aresztu szeryfa okręgu Ford, gdzie będzie pan przebywał do czasu wpłacenia kaucji lub wezwania przez sąd. – Lekko stuknął młotkiem i mrugnął do Welcha. Simeon został ponownie skuty i wyprowadzony z sali. Welch podążył za nim na zewnątrz, pod tylny taras, tam gdzie fotografowano oskarżonych, kiedy sprawa była na tyle głośna, by na to zasłużyli. Dumas Lee zjawił się w samą porę i zrobił odpowiednią liczbę zdjęć Langa i jego prawnika. Później zamienił słówko z Welchem, który miał niewiele do powiedzenia, choć mimo to był chętny do rozmowy. Wyrażał się niejasno o swoim zaangażowaniu w sprawę, bo Clanton leżało dwie godziny drogi od jego domu.

Welch wygramolił się z łóżka o piątej rano, obudzony brutalnym telefonem Harry'ego Rexa Vonnera, dawnego kolegi z pokoju w akademiku, gdy studiowali na wydziale prawa. Welch prowadził dwie sprawy rozwodowe dla Harry'ego Rexa, a Harry Rex dwie dla Welcha. Byli sobie winni tyle przysług, pieniędzy i innych rzeczy, że trudno było zliczyć. Harry Rex chciał, żeby niezwłocznie przyjechał do Clanton, więc Welch to zrobił, klnąc dwie godziny po drodze. Nie zamierzał reprezentować Simeona Langa w stopniu większym od wymaganego i planował pozbyć się sprawy najpóźniej za miesiąc.

Harry Rex wyjaśnił mu najbardziej barwnym i dosadnym językiem, jaki można było sobie wyobrazić, że najważniejsze jest, aby miejscowi zobaczyli i zrozumieli, że Simeon Lang nie jest reprezentowany przez Jake'a Brigance'a, ale jakiegoś nicponia, o którym nigdy wcześniej nie słyszeli.

Welch zrozumiał. Był to kolejny przypadek, o którym nigdy nie uczyli studentów na wydziale prawa.

Było wczesne piątkowe popołudnie, na dworze zimno i wilgotno. Jake z bólem odprawiał cotygodniowy rytuał, próbując uporządkować sprawy, których nie udało się załatwić w ciągu minionych pięciu dni, żeby się nie nagromadziły i nie zniszczyły mu poniedziałku. Wśród jego licznych, choć niepisanych zasad była i ta, która nakazywała odpowiedzieć na każdy telefon w piątek do południa. Wolałby pozostawić większość z nich bez odpowiedzi, ale to nie wchodziło w grę. Z drugiej strony łatwo było o nich zapomnieć. Często przechodziły z jednego dnia na następny, ale Jake był zdecydowany nie przeciągać sprawy dłużej niż do weekendu. Inna żelazna zasada zakazywała mu brania bezwartościowych spraw, które przyniosą niewielki lub zgoła żaden zysk i zmieniają odpychających klientów w ludzi, których mógłby posiekać na kawałki. Z drugiej strony, jak każdy prawnik, nawykowo mówił „tak” próżniakom, których matka uczyła go w czwartej klasie lub których wuj znał jego ojca. Albo załamany wdowom z kościoła, których nie było stać na prawnika, choć nie mogły się bez niego obyć. Takie sprawy zamieniały się niezmiennie w „teczki z rybami”, cuchnąc tym paskudniej, im dłużej leżały nieknięte w kące. Miał je każdy prawnik i każdy ich nienawidził. Każdy też zaklinał się na wszystkie świętości, że już nigdy żadnej nie weźmie. Można je było wyczuć niemal od pierwszej chwili, gdy klient stawał w drzwiach kancelarii.

Wolność oznaczała dla Jake'a przebywanie w biurze wolnym od „teczek z rybami”. Nadal też rozpoczynał każdy nowy rok zobowiązaniem, że więcej takich spraw nie weźmie. Lucien powtarzał mu od lat: „Prawnika nie kształtują sprawy, które bierze, ale te, które odrzuca”. Wystarczy powiedzieć „nie”. Mimo to jego specjalna szuflada na „teczki z rybami” była przygnębiająco pełna. Co piątek wbijał w nią wzrok, przeklinając samego siebie.

Portia weszła do jego gabinetu bez pukania, wyraźnie zdenerwowana. Poklepywała klatkę piersiową, jakby nie mogła oddychać.

– Jest tu mężczyzna... – oznajmiła szeptem, jak gdyby nie była w stanie mówić głośniej.

– Nic ci nie jest? – zapytał Jake, ponownie odsuwając „teczki z

rybami”.

Gwałtownie pokręciła głową.

– Nie... to jest pan Roston. Ojciec tych chłopców.

– Co?! – zawołał Jake, zrywając się na równe nogi.

Portia w dalszym ciągu oklepywała klatkę piersiową.

– Chce się z tobą widzieć.

– Dlaczego?

– Błagam, Jake. Nie mów mu, kim jestem. – Spojrzeli na siebie, nie mając pojęcia, o co chodzi.

– Dobrze, dobrze. Zaprowadź go sali konferencyjnej. Zejdź za minutę.

Jeff Roston był niewiele starszy od Jake'a, ale okoliczności sprawiły, że wyglądał znacznie starzej. Siedział ze złożonymi dłońmi i zwieszonymi ramionami, jakby dźwigał na nich ogromne brzemię. Był ubrany w grube, sztywne spodnie khaki i granatową marynarkę; przypominał bardziej ubranego po sportowemu gogusia niż farmera uprawiającego soję. Miał też twarz ojca przeżywającego nieopisany koszmar. Wstał i podali sobie dłonie.

– Strasznie mi przykro, panie Roston.

– Dziękuję. Proponuję, żebyśmy zwracali się do siebie po imieniu, dobrze?

– Oczywiście. – Jake usiadł obok niego po tej samej stronie stołu i spojrzeli na siebie. Po niezręcznej chwili milczenia Jake powiedział:

– Nie wyobrażam sobie tego, co przechodzisz.

– Wiem. Nie możesz – powiedział cicho i wolno Jeff, cedząc słowa ciężkie od smutku. – Też bym nie mógł. Czuję się tak, jakbym chodził we śnie. Jakbym mechanicznie wykonywał niezbędne ruchy, żebyśmy mogli przeżyć następną godzinę, a po niej kolejną. Modlimy się o czas. O to, żeby dni zamieniły się w tygodnie i miesiące. Żeby jeden dzień oddalił nas o lata od tego kosmaru. Żebyśmy zdołali się uporać z bólem i smutkiem. Jednocześnie wiemy, że to nigdy nie nastąpi. Człowiek nie powinien grzebać własnych dzieci, Jake. To sprzeczne z naturą.

Jake kiwał głową, nie potrafiąc powiedzieć niczego głębokiego,

inteligentnego lub niosącego nadzieję. Bo co można powiedzieć ojcu, którego dwaj synowie leżą w trumnach, czekając na potrzeb?

– Nie potrafię tego pojąć – powiedział Jake. W pierwszej chwili pomyślał: „Czego on chce?”, a teraz, kilka minut później, nadal nie znał odpowiedzi. – Jutro jest nabożeństwo – odezwał się po długiej, ciężkiej przerwie.

– To prawda. Kolejny koszmar. – Oczy Rostona były zaczerwienione i zmęczone, jakby nie spał od kilku dni. Nie miał siły spojrzeć Jake'owi w oczy, więc patrzył w dół, na własne kolana. Delikatnie złożył palce, jakby znajdował się w stanie głębokiej medytacji. W końcu powiedział: – Otrzymaliśmy bardzo miły list od Lettie Lang. Doręczył go szeryf Walls, osobiście. Muszę przyznać, że zachował się wspaniale. Powiedział, że jesteście zaprzyjaźnieni. – Jake skinął głową i słuchał w milczeniu, a Jeff ciągnął: – Był to wzruszający list wyrażający ból i poczucie winy całej rodziny. Wiele znaczy dla Evelyn i dla mnie. Wiemy, że Lettie jest wierzącą kobietą przerażoną tym, co zrobił jej mąż. Mógłbyś jej od nas podziękować?

– Oczywiście.

Roston ponownie wbił wzrok w kolana i złożył palce. Westchnął powoli, jakby nawet oddychanie sprawiało mu ból.

– Jeśli można, chciałbym, żebyś powiedział jej coś jeszcze, Jake. Chciałbym, żebyś powtórzył to, co powiem, Lettie i jej rodzinie. Nawet jej mężowi.

Jasne. Wszystko, co zechcesz. Czy Jake mógłby odmówić czegoś pogrążonemu w bólu ojcu?

– Jesteś chrześcijaninem, Jake?

– Tak. Staram się, choć czasami mi nie wychodzi.

– Tak sobie pomyślałem. W szóstym rozdziale Ewangelii według świętego Łukasza Jezus naucza o przebaczeniu. Wie, że jesteśmy ludźmi i mamy naturalną skłonność do mściwości, do odpłacania złem za zło, potępiania tych, którzy nas skrzywdzili, ale takie postępowanie nie jest właściwe. Powinniśmy przebaczać. Zawsze. Chciałbym, żebyś powiedział Lettie i jej rodzinie, a szczególnie mężowi, że Evelyn i ja przebaczyliśmy Simeonowi to, co zrobił. Modliliśmy się.

Rozmawialiśmy z pastorem. Nie możemy pozwolić, żeby do końca życia rządziły nami poczucie urazy i nienawiść. Przebaczyliśmy mu, Jake. Możesz im to powiedzieć?

Jake'a tak zamurowało, że nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Wiedział, że szczeka mu z lekka opadła, że otworzył usta i patrzy z niedowierzaniem na Jeffa Rostona, ale przez kilka sekund nie mógł nic na to poradzić. Jak można przebaczyć pijanemu kierowcy, który niecałe siedemdziesiąt dwie godziny temu zabił na drodze dwóch twoich synów? Pomyślał o Hannie. Wyobraził sobie niemożliwe – własną córkę leżącą w trumnie. W takiej sytuacji domagałby się krwawej zemsty.

W końcu zdołał skinąć głową. Tak, powie im.

– Kiedy jutro pochowamy Kyle'a i Bo... kiedy się z nimi pożegnamy, uczynimy to w całkowitej miłości i przebaczeniu. Nie ma miejsca na nienawiść, Jake.

Jake ciężko przełknął ślinę i powiedział:

– Czarna dziewczyna w pokoju obok to córka Lettie. Pracuje u mnie. Sam jej to powiedz.

Jeff Roston wstał bez słowa i podszedł do drzwi. Otworzył je i wszedł do recepcji z Jakiem stąpającym w ślad za nim.

Spojrzał na Portię.

– Pani jest córką Simeona Langa? – spytał, a Portia niemal się wzdrygnęła. Podniosła się, spojrzała na niego i powiedziała:

– Tak, proszę pana.

– Pani matka przesłała nam bardzo miły list. Proszę jej ode mnie podziękować.

– Zrobię to. Dziękuję – odrzekła nerwowo.

– Czy może pani również przekazać ojcu, że moja żona Evelyn i ja przebaczyliśmy mu to, co zrobił?

Portia zasłoniła usta dłonią, czując, że jej oczy nagle zrobiły się wilgotne. Roston podszedł bliżej i delikatnie ją przytulił.

Później cofnął się raptownie i powtórzył:

– Przebaczyliśmy mu.

Po tych słowach opuścił kancelarię.

Kiedy odszedł, jeszcze długo wpatrywali się w drzwi, oniemiała i przytłoczeni.

W końcu Jake wydusił:

– Zamknijmy biuro i chodźmy do domu.

Rozdział 31

Wysiłki zmierzające do podważenia własnoręcznego testamentu Setha Hubbarda zostały podjęte na nowo w późny niedzielny ranek, choć Jake i jego sprzymierzeńcy nie mieli o tym pojęcia. Randall Clapp węszył w miasteczku Dillwyn, na południowym krańcu stanu Georgia, dziesięć kilometrów od granicy z Florydą, i w końcu odnalazł czarną kobietę, której szukał od tygodnia. Nazywała się Mina Kidd, miała trzydzieści dziewięć lat i była rozwiedzioną matką dwójki dzieci.

Pięć lat temu Julina była zatrudniona w dużej fabryce mebli niedaleko Thomasville w stanie Georgia. Pracowała w biurze, miała etat i zarabiała piętnaście tysięcy dolarów rocznie. Pewnego dnia ze zdumieniem usłyszała, że jej firma została kupiona przez anonimową korporację z siedzibą w Alabamie. Wkrótce potem zjawił się nowy właściciel, pan Hubbard, żeby wszystkich przywitać.

Miesiąc później Julina otrzymała wymówienie, a tydzień później złożyła skargę o molestowanie seksualne w Komisji Równych Warunków Zatrudnienia. Skarga została oddalona trzy tygodnie po jej złożeniu. Prawnik kobiety w Valdoscie odmówił przedstawienia sprawy Clappowi i dodał, że stracił kontakt z Juliną i nie ma pojęcia, gdzie ona przebywa.

Kiedy Clapp odnalazł Julinę, mieszkała w domu komunalnym z dwójką nastoletnich dzieci i młodszą siostrą. Pracowała na pół etatu u hurtownika handlującego olejem. Początkowo nie była zainteresowana rozmową z nieznanym białym mężczyzną. Jednak Clapp, który zarabiał w ten sposób na życie, wiedział, jak wyciągnąć infor-

macje. Zaproponował dwieście dolarów w gotówce i lunch w zamian za poświęcenie mu godziny i udzielenie odpowiedzi na pytania. Spotkali się w barze przy parkingu dla ciężarówek i zamówili miejscową specjalność, czyli pieczonego kurczaka. Clapp, zagorzały rasista, który nigdy nie zabiegał o względy czarnej kobiety, miał problem z zapanowaniem nad własnymi myślami. Julina wyglądała szalowo – piękna karnacja w odcieniu kawy ze śmietanką, orzechowe oczy przenikające do głębi, wysokie afrykańskie kości policzkowe, idealne zęby odsłonięte w niewymuszonym, uwodzicielskim uśmiechu. Zachowywała się powściągliwie i bez przerwy unosiła brwi, jakby wietrzyła zasadzkę w każdym wypowiedzianym słowie.

Nie zdradził jej zbyt wiele, przynajmniej na początku. Oświadczył, że bierze udział w głośnym sporze sądowym z Sethem Hubbardem po stronie jego przeciwników. Wie, co ich łączyło. Tak, szuka brudów.

Miała coś dla niego. Seth zjawił się w jej życiu niczym osiemnastoletni marynarz, który dostał pozwolenie zejścia na ląd. Miała wtedy trzydzieści cztery lata i była w końcowej fazie przykrew sprawy rozwodowej. Paskudnie się czuła i lękała o przyszłość. Nie interesował jej sześćdziesięciosześcioletni biały mężczyzna, który cuchnął jak popielniczka. Niezależnie od tego, ile firm posiadał. Ale Hubbard był ciepły i spędzał dużo czasu w fabryce w Thomasville. Dał jej znaczną podwyżkę i przeniósł do biurka w pobliżu swojego gabinetu. Zwolnił sekretarkę i mianował Julinę „asystentką dyrektora”, choć nie umiała pisać na maszynie.

Miał dwie fabryki mebli w Meksyku i musiał je odwiedzać. Poprosił Julinę, żeby wyrobiła paszport, i zapytał, czy chciałaby mu towarzyszyć. Odebrała to raczej jako polecenie służbowe niż zaproszenie. Z drugiej strony nigdy nie wyjeżdżała z kraju i była lekko zaintrygowana myślą, że zobaczy kawałek świata, choć wiedziała, iż będzie musiała pójść na kompromis.

– Nie sądzę, żeby Seth był pierwszym mężczyzną, który zabiegał o twoje względy – rzekł Clapp.

Uśmiechnęła się lekko, skinęła głową i powiedziała:

– Nie. Czasami się to zdarzało.

Clapp musiał ponownie zapanować nad swoimi myślami. Dlaczego babka była sama? I dlaczego mieszkała w domu komunalnym? Każda kobieta z jej wyglądem i figurą, biała czy czarna, mogła zrobić z nich użytek i mieć znacznie lepsze życie.

Pierwszą podróż lotniczą w życiu odbyła do Mexico City. Zameldowali się w luksusowym hotelu w dwóch sąsiadujących pokojach. W nocy obudziło ją głośnie pukanie do drzwi. Otworzyła. Później leżała z nim w łóżku, zdegustowana tym, co zrobiła. Seks za pieniądze. Była prostytutką. Przygryzła wargi i gdy tylko wyszedł następnego dnia, pojechała taksówką na lotnisko. Kiedy wrócił tydzień później, została natychmiast zwolniona i wyprowadzona z biura przez uzbrojonego ochroniarza. Zatrudniła prawnika i oskarżyła Hubbarda o molestowanie seksualne. Prawnik Setha był przerażony faktami. Szybko skapitulowali i wyrazili chęć zawarcia ugody. Po krótkich przepychankach Seth zgodził się wypłacić jednorazowo sto dwadzieścia pięć tysięcy dolarów i zawrzeć poufną umowę. Jej prawnik wziął dwadzieścia pięć tysięcy, a ona żyła z tego, co zostało. Zobowiązała się, że nikomu o tym nie powie, ale co tam. Minęło pięć lat.

– Nie martw się, Seth nie żyje – odrzekł Clapp i opowiedział jej dalszy ciąg historii. Słuchała, żując łykowatego kurczaka i popijając słodką mrożoną herbatę. Seth był jej obojętny, i nie ukrywała tego. Właściwie zapomniała o staruszku.

– Czy wspomniał coś o tym, że woli czarne kobiety?

– Twierdził, że kolor skóry nie ma dla niego znaczenia – powiedziała nieco wolniej. – Ale wyznał, że nie byłem jego pierwszą czarną kobietą.

– Kiedy to powiedział?

– Zwierzył się, gdy byliśmy w łóżku. Nie chcę brać udziału w procesie.

– Nic nie mówiłem o twoim udziale – odparł Clapp, próbując ją uspokoić, ale stała się jeszcze ostrożniejsza. Wiedział, że ponownie trafił na coś wielkiego, ale starał się zachować spokój. – Słuchaj, prawnicy, dla których pracuję, chętnie zapłacą za złożenie zeznania.

– Czy to legalne?

– Oczywiście, że tak. Prawnicy często płacą świadkom za składanie zeznań. Każdy biegły żąda fortuny. Poza tym pokryją koszty przelotu i pobytu w hotelu.

– Ile zapłacą?

– Nie mam pojęcia, ale możemy omówić to później. Czy mógłbym ci zadać... delikatne pytanie?

– Czemu nie? O czym jeszcze nie rozmawialiśmy?

– Kiedy byłeś z Sethem... jaki był... wiesz, co mam na myśli? Facet miał wtedy sześćdziesiąt sześć lat. Kilka lat później zatrudnił tę czarnoskórą gospodynię. Na długo, zanim zachorował. Staruszek posunął się w latach, ale wygląda na to, że był całkiem dziarski.

– Fakt, był całkiem niezły. Powiedziałabym, że jak na faceta w jego wieku, to bardzo dobry. – Powiedziała to takim tonem, jakby miała wielu kochanków w różnym wieku. – Miałam wrażenie, że chce się zaszyć w tym pokoju i pieprzyć cały tydzień. Nieźle, jak na starszego gościa, czarnego czy białego.

△△△

Wade Lanier pił piwo w klubie za miastem, kiedy Clapp go namierzył. W każdy niedzielny rano punktualnie o siódmej czterdzieści pięć grał w golfa z trzema tymi samymi kumplami. Robił osiemnaście dołków i zwykle zarabiał więcej forsy, niż tracił, a później kilka godzin sączył piwo przy pokerze. Tym razem szybko zapomniał o kartach i piwie, gdy Clapp powtórzył słowo w słowo swoją rozmowę z Juliną Kidd.

Większość tego, co powiedziała, nie została dopuszczona jako dowód w sądzie, jednak już samo postawienie Juliny Kidd w ławie dla świadków i pozwolenie, aby przysięgli ujrzeli jej czarną skórę i posłuchali, jak opowiada o molestowaniu seksualnym przez Seta Hubbarda, przekonałoby białych członków ławy, że staruszek i Lettie ubili interes. Aby uwierzyli, że Lettie zbliżyła się do Hubbarda tak bardzo, jak to tylko możliwe, a później wywarła na niego wpływ. Że wykorzystwała swoje ciało, żeby uwzględnił ją w testamencie. Lanier nie mógł tego udowodnić, ale mógł zasiać poważne podejrzenie.

Wyszedł z klubu i pojechał do biura.

AAA

Wczesnym rankiem Ian i Ramona Dafoe odbyli trzygodzinną podróż z Jackson do Memphis i zjedli późne śniadanie z Herschelem. Więzy pomiędzy nimi osłabły, więc czas najwyższy, żeby je wzmocnić. Tak przynajmniej powiedziała Ramona. Stali po tej samej stronie, dlatego byłoby głupotą, gdyby się kłócili i nie ufali sobie nawzajem. Spotkali się w naleśnikami. Po rutynowej próbie pojednania Ian stanowczo poprosił Herschela, żeby zrezygnował z usług Stillmana Rusha i jego firmy. Jego prawnik, Wade Lanier, był znacznie bardziej doświadczony i, szczerze mówiąc, martwił się, że Rush może mu przeszkodzić podczas procesu. Był przystojnym facetem, pretensjonalnym i zadziornym i mógł niekorzystnie nastawić przysięgłych. Lanier obserwował go uważnie od ponad czterech miesięcy i nie podobało mu się to, co widział. Ten facet to wielkie ego i zero talentu. Proces można wygrać lub przegrać przez arogancję prawnika, więc Lanierowi nie daje to spokoju. Grozi nawet, że zrezygnuje z prowadzenia sprawy.

Na tym nie koniec. Na dowód nieporównywalnych kompetencji obu prawników Ian ujawnił sprawę innego testamentu i próbę zapisania Lettie kwoty pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Nie wymieni nazwisk, bo nie chce, żeby Stillman Rush wszystko spieprzył. Herschel oniemiał, ale był wyraźnie podekscytowany. Zaczekaj, to nie wszystko. Wade Lanier odnalazł czarnoskórą kobietę, która pozwała Seta Hubbarda o molestowanie seksualne.

Spójrz, czego dokonał mój prawnik, i porównaj z tym, co zrobił twój. Twój chłopak nie ma pojęcia o tej grze, Herschel. Lanier to specjalista od wojny partyzanckiej, a twój to skaut. Połączmy siły. Lanier przedstawił konkretną propozycję: jeśli się dogadamy, pozbędziemy Rusha i pozwolimy, żeby Lanier reprezentował nas oboje, obniży swoje honorarium do dwudziestu pięciu procent przyznanej sumy. Ma pomysł, jak wymusić ugodę, dzięki temu, czego dowiedział się jego główny śledczy. Wybierze odpowiednią chwilę i zwali

wszystko na Jake'a Brigance'a, który pęknie pod naporem faktów. Będziemy mieli forszę w ciągu kilku miesięcy!

Herschel trzymał się dzielnie jakiś czas, ale w końcu wyraził zgodę, żeby pojechać do Jackson i potajemnie spotkać się z Lanierem.

△△△

Simeon Lang kończył właśnie niedzielny obiad złożony z wieprzowiny, fasolę z puszki oraz czterech kromek czerstwego chleba, kiedy zjawił się strażnik i wsunął przez kraty paczkę.

– Miłej lektury – powiedział i odszedł. Przesyłka pochodziła z kancelarii Harry'ego Rexa Vonnera.

W środku był list od prawnika, adresowany do Simeona przebywającego w areszcie okręgu Ford. W piśmie dosadnie komunikowano Langowi, że w sądzie złożono pozew rozwodowy. Miał trzydzieści dni na odpowiedź.

Czytał powoli. Po co ten pośpiech? Notoryczne okrucieństwo i nieludzkie traktowanie? Cudzołóstwo? Opuszczenie? Fizyczne znęcanie? W sumie co za różnica? Zabił dwóch chłopców i trafi do Parchmann na długi czas. Jego życie było skończone. Lettie potrzebowała kogoś innego. Nie widzieli się od czasu, gdy zamknęli go w pudle. Wątpił, czy kiedykolwiek go odwiedzi. Ani tu, ani w Parchman. Portia wpadła, żeby go pozdrowić, ale nie zabawiła długo.

– Co tam czytasz? – spytał z górnej pryczy Denny, jego nowy kumpel z celi, zatrzymany za prowadzenie skradzionego wozu. Simeon miał go dość. Wolał mieszkać sam, choć czasami miło było z kimś pogadać.

– Żona złożyła pozew rozwodowy – oświadczył.

– Ty to masz szczęście. Ja przeżyłem dwa. Babki wariują, kiedy człowiek siedzi w pudle.

– Skoro tak mówisz. A miałeś kiedy zakaz zbliżania się?

– Nie, ale brat miał. Ta suka przekonała sędziego, że jest niebezpieczny. Sędzia nakazał, żeby nie zbliżał się do domu i trzymał się od niej z daleka w miejscach publicznych. Brat się nie przejął. I tak ją zabił.

– Twój brat zabił własną żonę?!
– Tak, sama się prosiła. To było usprawiedliwione zabójstwo, ale sędzia myślał inaczej. Uznał go za winnego zabójstwa drugiego stopnia.

– Gdzie teraz jest?

– Więzienie Angola w Luizjanie. Dwadzieścia lat odsiadki. Mój prawnik mówi, że dostaniesz tyle samo.

– Twój prawnik?

– Taak. Zapytałem go dziś po południu, kiedy się spotkaliśmy. Zna twoją sprawę. Powiedział, że huczy od niej w całym mieście. Ludziska są wkurzeni. Powiedział, że twoja żona bardzo się wzbogaci, kiedy zatwierdzą testament, a ty będziesz gnął w pudle dwadzieścia lat. Kiedy wyjdiesz, forsa się rozejdzie na jej nowych przyjaciół. Prawda to?

– Spytaj swojego prawnika.

– Jak twoja stara skłoniła tego pryka, żeby tyle jej zapisał? Mój prawnik powiedział, że gość zostawił jakieś dwadzieścia milionów. Czy to prawda?

– Zapytaj swojego prawnika.

– A zapytam. Słuchaj, nie chciałem cię wkurzyć czy coś takiego.

– Nie jestem wkurzony. Po prostu nie mam ochoty gadać, kapujesz?

– Kumam, szefie. – Denny sięgnął po książkę i zaczął czytać.

Simeon wyciągnął się na dolnej pryczy i wrócił do pierwszej strony. Za dwadzieścia lat skończy sześćdziesiąt sześć lat. Lettie będzie miała innego męża i znacznie lepsze życie. Będzie miała dzieci, wnuki, a może nawet prawnuki. A on nie będzie miał nic.

Postanowił nie walczyć w sprawie rozwodu. Niech ma wszystko.

Może uda mu się spotkać w więzieniu Marvisa.

Rozdział 32

Osiem dni po tragicznej śmierci młodych Rostonów, gdy napięcie zaczęło opadać i ludzie zajęli się innymi rzeczami, sprawa wróciła w weekendowym wydaniu „Ford County Times”.

Na pierwszej stronie, pod wypisanym dużymi literami nagłówkiem OKRĘG OPLAKUJE ŚMIERĆ BRACI ROSTONÓW umieszczono duże zdjęcie Kyle'a i Bo. Nieco niżej widniała fotografia ich rozbitego samochodu, trumien wynoszonych z kościoła i szkolnych kolegów trzymających świece podczas czuwania przez liceum w Clanton. Dumas Lee napisał o wszystkim. Jego artykuł był długi i szczegółowy.

Na drugiej stronie znalazło się duże zdjęcie skutego kajdankami Simeona Langa z zabandażowaną twarzą, opuszczającego gmach sądu w miniony czwartek w towarzystwie adwokata, Arthura Welcha z Clarksdale. W artykule pod fotografią Jake Brigance nie został wspomniany, głównie dlatego, że zagroził Dumasowi i gazecie wytoczeniem procesu o zniesławienie, gdyby choć w mglisty sposób zasugerowali, że reprezentował Simeona. Wspomniano za to o starej sprawie Simeona o prowadzenie pod wpływem alkoholu, która od października ubiegłego roku nadal czekała na rozpatrzenie. Dumas nie rozwinął tego wątku ani nie zasugerował żadnych nieprawidłowości. Przestraszył się perspektywy procesu i jak zwykle szybko zrejterował. Dwa nekrologi były długie i wzruszające. Zamieszczono też artykuł o szkole, z entuzjastycznymi opiniami nauczycieli i kolegów. Był też artykuł z miejsca wypadku, w którym cytowano Ozziego opisującego szczegóły tragicznego zdarzenia. Naoczny

świadek wypadku miał dużo do powiedzenia, więc zamieszczono także jego zdjęcie. Rodzice milczeli, a wuj poprosił o uszanowanie ich prywatności.

O siódmej rano Jake przeczytał numer od deski do deski i z miejsca poczuł się wyczerpany. Nie poszedł do Coffee Shopu, bo był zbyt zmęczony ciągłym wałkowaniem tragedii. O siódmej trzydzieści pocałował Carlę na do widzenia i ruszył do biura w nadziei, że wróci do codziennej rutyny. Planował pracować nad innymi sprawami niż testament Hubbarda. Miał dość klientów potrzebujących odrobiny uwagi.

Tuż po ósmej rano zadzwonił Stillman Rush z wiadomością, że przed chwilą został zwolniony przez Herschela Hubbarda. Jake słuchał z uwagą. Z jednej strony był rad, że Stillman stracił robotę, bo nie lubił faceta, z drugiej niepokoiły go kunktatorskie umiejętności Wade'a Laniera. W swoim jedynym głośnym procesie, sprawie Carla Lee Haileya, Jake doprowadził do bezpośredniej konfrontacji z Rufusem Buckleyem, zręcznym prokuratorem okręgowym. Chociaż Buckley potrafił się sprawnie poruszać na sali sądowej i był gładki w obyciu, nie należał do szczególnie inteligentnych, nie był też przebiegłym manipulantem ani sprytnym intrygantem. Z Wade'em Lanierem było inaczej. Jake odnosił wrażenie, że facet zawsze wyprzedza go o krok. Jego zdaniem Lanier mógł posunąć się do wszystkiego – kłamstwa, oszustwa, kradzieży, matactwa – żeby wygrać sprawę. Miał też doświadczenie, bystrość umysłu i szeroki repertuar sztuczek, by osiągnąć ten cel. Dlatego Jake chciał Stillmana na sali sądowej, żeby plół głupstwa i przechadzał się jak paw przed ławą przysięgłych.

Jake był dość zmartwiony, kiedy odkładał słuchawkę, ale w ciągu godziny zapomniał o tym telefonie.

Portia potrzebowała otuchy. Nabrali zwyczaju wypijania porannej kawy około ósmej trzydzieści, zawsze w gabinecie Jake'a. W dniach bezpośrednio po wypadku jej rodzina odebrała cztery telefony z pogrózkami. Teraz groźby ustały. Funkcjonariusz z biura szeryfa nadal krążył w okolicy, zatrzymywał radiowóz na podjeździe,

sprawdzał nocą tylne drzwi, więc Langowie czuli się bezpieczniej. Rostonowie zachowywali się tak wspaniałomyślnie i dzielnie, że gniew mieszkańców Clanton został opanowany. Przynajmniej na jakiś czas.

Jednak gdyby Simeon zdecydował się na rozprawę z udziałem ławy przysięgłych, koszmar powróciłby na nowo. Portia, Lettie i pozostali członkowie rodziny bali się spektaklu na sali sądowej. Tego, że będą musieli spojrzeć w twarz Rostonom. Jake wątpił, że dojdzie do takiej rozprawy, a gdyby nawet, to rozpocznie się najwcześniej za rok.

Od trzech miesięcy zachęcał Lettie, żeby poszukała pracy. Jakiegokolwiek. Podczas procesu przysięgli powinni wiedzieć, że pracuje i wspiera rodzinę. Że nie jest czterdziestosiedmioletnią emerytką czekającą na przyływ większej gotówki. Jednak żadna biała kobieta nie zatrudniłaby Lettie jako gosposi z powodu licznych związanych z nią kontrowersji. Z drugiej strony była za stara, aby pracować w barze szybkiej obsługi, za czarna do pomocy w biurze.

- Mama dostała robotę – oświadczyła z dumą Portia.
- Znakomicie. Gdzie?
- U metodystów. Będzie sprzątać przedszkole trzy razy w tygodniu. Za minimalne wynagrodzenie, ale nie mogła znaleźć nic innego.
- Jest szczęśliwa?
- Dwa dni temu wystąpiła o rozwód, Jake. Jej nazwisko cieszy się złą sławą w okolicy. Ma syna w więzieniu, dom pełen krewnych próżniaków i dwudziestojednoletnią córkę z dwójką niechcianych dzieci. Życie jej nie oszczędza. Nie sądzę, żeby praca, w której można zarobić trzy i pół dolca za godzinę, dała jej wiele radości.

– Przepraszam, głupie pytanie.

Stali na balkonie. Powietrze na dworze było rześkie, ale nie nadmiernie chłodne. Jake miał na głowie milion spraw i już wypił litry kawy.

- Pamiętasz Charleya Pardue, mojego rzekomego kuzyna z Chicago? – zapytała. – Spotkałeś go u Claude'a parę miesięcy temu.
- Oczywiście, nazwałaś go krętaczem, który chce pieniędzy na

nowy dom pogrzebowy.

– Tak. Rozmawialiśmy przez telefon. Znalazł jakiegoś krewnego niedaleko Birmingham. Staruszek mieszka w przytułku. Nazywa się Rinds. Charley Pardue sądzi, że facet może być brakującym ogniwiem.

– Temu Pardue chodzi o forszę, tak?

– Wszystkim chodzi o forszę. Tak czy owak, planuję tam pojechać w najbliższą sobotę, odnaleźć staruszka i zadać mu kilka pytań.

– To Rinds?

– Tak, Boaz Rinds.

– W porządku. Powiedziałaś Lucienowi?

– Tak, uważa, że warto spróbować.

– W sobotę masz wolne. Decyzja nie należy do mnie.

– Chciałam, żebyś wiedział. Jest coś jeszcze, Jake. Lucien powiedział, że władze okręgu przechowują dawne akta sądowe w Burley, w starej szkole dla czarnych.

– Tak, słyszałem. Kiedyś byłem w Burley, szukałem starych dokumentów, ale niczego nie znalazłem. Mają tam mnóstwo śmieci.

– Jak stare są te archiwa?

Jake zamyślił się na chwilę. W oddali zadzwonił jego telefon.

– Dokumenty dotyczące własności ziemi znajdują się w gmachu sądu, bo są używane – odparł w końcu. – Wiele materiałów, które tam mają, to bezużyteczne śmieci: dokumenty małżeńskie i rozwodowe, akty urodzenia i zgonu, pozwy, orzeczenia sądowe i tak dalej. Większość powinna zostać wyrzucona, ale nikt nie chce niszczyć dokumentów sądowych, nawet tych sprzed stu lat. Słyszałem, że są tam odręczne stenogramy rozpraw sprzed wojny secesyjnej. Interesujące, ale mają obecnie niewielką wartość. Szkoda, że nie zostały zniszczone przez ogień.

– Kiedy był pożar?

– W każdym gmachu sądu kiedyś wybucha pożar. Nasz został poważnie zniszczony w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku. Wiele dokumentów uległo zniszczeniu.

– Mogłabym pogrzebać w starych aktach?

– Po co? To strata czasu.

– Uwielbiam historię prawa, Jake. Spędziłam wiele godzin w sądzie, czytając dawne dokumenty sądowe i umowy kupna ziemi. Można się z nich mnóstwo dowiedzieć o miejscu i ludziach, którzy tam mieszkają. Czy wiesz, że w tysiąc dziewięćset piętnastym przed gmachem sądu powieszono człowieka? Miesiąc po procesie? Obrabował Security Bank i strzelił do człowieka, ale nawet go nie zranił. Uciekł z dwustoma dolarami, lecz go złapali. Osadzili go na miejscu, a później powiesili.

– Sprawna robota. Jak sądę, nie mieli problemu przeludnionych więzień.

– Ani przeciążenia sądów. Takie sprawy mnie fascynują. Znalazłam testament z tysiąc osiemset czterdziestego siódmego roku, w którym biały facet przekazał spadkobiercom swoich niewolników. Napisał, że bardzo ich kocha i ceni, a później rozdał jak konie lub krowy.

– Przygnębiające. Żaden Brigance nigdy nie miał niewolników. Byliśmy szczęśliwymi posiadaczami jednej krowy.

– W każdym razie potrzebuję zgody członka palestry, aby mieć dostęp do starych akt. Przepisy okręgowe.

– Załatwione. Tylko rób to po godzinach. Nadal szukasz swoich korzeni?

– Jasne. Wszędzie, gdzie się da. Rodzina Rindsów w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku nieoczekiwanie wyjechała z tego okręgu. Zniknęli bez śladu. Nie zostawili żadnej wskazówki. Chcę się dowiedzieć dlaczego.

△△△

Lunch serwowany w tylnej części sali sklepu spożywczego Bate-sów składał się z czterech rodzajów warzyw wybranych na chybił trafił z dziesięciu garnków oraz rondli stojących na dużej kuchni gazowej. Pani Bates zajmowała się wskazywaniem, nakładaniem chochlą na talerze, podawaniem ich klientom i komentowaniem, podczas gdy pan Bates walił w kasę i pobierał trzy dolce pięćdziesiąt centów od porcji, wliczając w to mrożoną herbatę i chleb kukury-

dziany. Jake i Harry Rex wpadali tam raz w miesiącu, kiedy chcieli coś przegryźć i pogadać tak, żeby nikt ich nie podsłuchał. Lokal Batesów odwiedzała wiejska klientela, farmerzy, robotnicy rolni, a czasem drwale, dla równowagi. Wyłącznie biali. Czarni zostaliby obsłużeni bez mrugnięcia okiem, ale żaden się jeszcze nie pojawił. Czarni robili zakupy w przedniej części sali. To właśnie tutaj trzy lata temu zrobiła zakupy Tonya Hailey, zanim porwano ją w drodze do domu.

Dwaj prawnicy usiedli przy małym stoliku jak najdalej od innych. Stolik się kołysał, a podłoga trzeszczała. Choć nadal panowała zima i w budynku był przeciąg, nad ich głowami nierówno i chybotliwie wirował wiatrak. W drugim rogu beczułkowaty piecyk promieniował gęstym, gryzącym ciepłem, które sprawiało, że w wąskim pomieszczeniu było przyjemnie. Po kilku kęsach Harry Rex powiedział:

– Dumas odwalił kawał dobrej roboty. Facet lubi porządne wypadki samochodowe tak jak prawnicy.

– Zagroziłem mu pozwem, więc nie wyrządził nam szkody większej od tej, którą już uczyniono. Dzięki za obsadzenie Arthura Welcha w epizodycznej rólce.

– Welch to idiota, ale go lubię. Moglibyśmy ci opowiedzieć wiele historii. Kiedyś spędziliśmy dwie noce w areszcie, choć powinniśmy być na zajęciach z prawa. Omal nie wyrzucili nas z uczelni.

Jake wiedział, że nie powinien pytać, ale nie mógł się powstrzymać.

– Za co was wsadzili?

Harry Rex przełknął dużą porcję kapusty i zaczął opowieść:

– To było tak. Pojechaliśmy do Nowego Orleanu na długi weekend, a później próbowaliśmy wrócić do Ole Miss. Prowadziłem i piłem, gdy nagle, gdzieś w okręgu Pike, zgubiłem drogę. Ujrzałem migające niebieskie światła i powiedziałem: „Jasna cholera, Welch. Musisz usiąść za kółkiem. To gliny, a ja jestem pijany”. Welch na to: „Też jestem pijany, dupku. Rób, co chcesz”. Dodam, że byliśmy w jego wozie i wiedziałem na sto procent, że facet nie jest tak pijany jak ja. Mówię mu: „Słuchaj, Welch, wypiełeś tylko parę piw. Zatrzymam

brykę, a ty przełożysz dupsko na moje miejsce”. Niebieskie światła były coraz bliżej. Welch protestuje: „Nie ma mowy. Piję od piątku. Poza tym dostałem jedno upomnienie za prowadzenie wozu pod wpływem alkoholu i stary mnie zabije, jeśli przyniosę następne”. Wcisnąłem hamulec i stanąłem na poboczu. Niebieskie światła znalazły się tuż za nami. Złapałem Welcha, który w tamtym czasie był nieco mniejszy, i próbowałem przeciągnąć go na fotel kierowcy. Facet się wkurzył jak cholera. Zaczął mnie okładać. Chwyciłem klamkę jego drzwi, ale zaparł się o podłogę, i nie mogłem drania ruszyć. Wkurzyłem się i zdzieliłem go z bekhendu. Dostał prosto w nos, i na sekundę odpuścił. Złapałem go za włosy i szarpnąłem, ale wóz miał dźwignię zmiany biegów w desce rozdzielczej, więc gość utknął. Zapłataliśmy się i byliśmy wściekli jak cholera. Przeklinaliśmy i drapaliśmy się pazurami jak para kotów. Założyłem mu nelsona, kiedy policjant zajrzał do środka i powiedział: „Panowie wybaczą”. Zamarliśmy. Na posterunku funkcjonariusz odbył rozmowę z każdym z nas i stwierdził, że jesteśmy równie pijani. Wiesz, to było przed alkomatami, za starych dobrych czasów. – Harry Rex wypił łyk herbaty i zaatakował mały kopczyk smażonej okry.

– Co się później stało? – zapytał w końcu Jake.

– Za nic nie zadzwoniłbym do mojego starego, a Welch nie zamierzał wydzwaniać do swojego. Jakiś prawnik był w areszcie u klienta i usłyszał o dwóch studentach wydziału prawa Ole Miss w celi obok, trzeźwiejących i opuszczających zajęcia. Facet poszedł do sędziego, pociągnął za odpowiednie sznurki i nas wypuścili. Dziekan już czekał na uczelni, groził, że nas zabije, a przynajmniej pozbawi uprawnień do wykonywania zawodu jeszcze przed otrzymaniem dyplomu. Po pewnym czasie nam odpuścili. Dziekan wiedział, że jestem zbyt cennym nabytkiem dla miejscowej adwokatury, żeby mnie usunąć.

– Ma się rozumieć.

– Nie muszę chyba dodawać, że wspólnie z Welchem przeszliśmy później szmat drogi. Zostało nam dużo trupów w szafie. Facet zadba o Simeona do czasu zatwierdzenia testamentu. Ten gnojek i tak

jest skończony. Niewiele można mu pomóc.

– Jakie straty, twoim zdaniem, wyrządził naszej sprawie?

Wieczny pesymista Lucien był przekonany, że straty są nieodwracalne, ale Jake nie był tego pewien. Harry Rex wytarł twarz papierową serwetką i powiedział:

– Wiesz, jak to bywa podczas procesu, Jake. Kiedy wszystko się zacznie, sędzia, prawnicy oraz świadkowie i przysięgli będą zamknięci w jednej sali, w takiej odległości, że mogliby się nawzajem opłuć. Wszystko słyszą, wszystko widzą, a nawet wszystko czują. Z drugiej strony mają skłonność do zapominania o tym, co jest na zewnątrz, co wydarzyło się tydzień lub rok temu. Są pochłonięci tym, co rozgrywa się na ich oczach, zaaferowani decyzjami, które będą musieli podjąć. Mam przeczucie, że nie będą myśleć o Simeonie Langu i chłopcach Rostonów. Lettie nie miała nic wspólnego z tą tragedią, to pewne. Stara się uwolnić od drania, który niebawem na dłuższy czas opuści nasz okręg. – Kolejny łyk herbaty i kawałek kukurydzianego chleba. – Teraz może to budzić niepokój, ale za miesiąc lub dwa sytuacja się zmieni. Uważam, że przysięgli będą tak pochłonięci testamentem Setha Hubbarda, że nie będą myśleć o wypadku samochodowym.

– Nie sądzę, że tak łatwo zapomną o tym, co się stało. Wade Lanier dopilnuje, żeby sobie przypomnieli.

– Nadal zamierzasz lobbować u sędziego Atlee w sprawie zmiany miejsca rozprawy?

– Taki mam plan. Spotkamy się w piątek na jego werandzie. Na moją prośbę.

– To zły znak. Jeśli facet chce, żebyś do niego przyszedł, w porządku. Ale jeśli sam musisz o to prosić, przypuszczalnie nie będzie łatwo.

– Sam nie wiem. Spotkałem go w kościele w ostatnią niedzielę. Zapytał, jak sobie radzę w obecnej sytuacji. Wydawał się szczerze zatroskany, więcej... gotów pogadać ze mną o sprawie po nabożeństwie. To niezwykle.

– Pozwól, że coś ci powiem, Jake. O sędzim Atlee. Wiem, że je-

steś mu bliski, tak jak bliski może być prawnik sędziemu, ale sprawa ma mroczniejszą stronę. Facet jest ze starej szkoły. Z dawnego Południa. Wiesz, silne więzi rodzinne i tradycja. Założę się, że w głębi ducha jest zbulwersowany tym, że biały facet wziął pieniądze należące do rodziny i przekazał je czarnoskórej kobiecie. Może pewnego dnia zrozumiemy, dlaczego Seth Hubbard tak postąpił, ale niezależnie od powodu, Reubenowi Atlee to się nie spodoba. Ma majątek, bo odziedziczył go po przodkach. Jego rodzina miała własnych niewolników, Jake.

– Tysiąc lat temu, podobnie jak rodzina Luciena.

– Tak, ale Lucien to wariat. Dawno temu pozbył się wszelkich uprzedzeń. Lucien się nie liczy, ale Atlee tak. Nie oczekuj, że wyświadczy ci jakąś przysługę. Przeprowadzi sprawiedliwy proces, ale idę o zakład, że sercem sprzyja drugiej stronie.

– Nie chcemy prosić o nic więcej, jak tylko o sprawiedliwy proces.

– Jasne, ale sprawiedliwy proces w innym okręgu brzmi znacznie lepiej od sprawiedliwego procesu tutaj.

Jake popił łyk herbaty i zagadał do przechodzącego obok mężczyzny. Później pochylił się niżej i powiedział:

– Złożę wniosek o zmianę miejsca rozprawy. Będziemy mieli argument w razie apelacji.

– Jasne, złóż go, ale Atlee się nie zgodzi.

– Dlaczego jesteś taki pewny?

– Bo Atlee to starszy gość o kiepskim zdrowiu. Nie chce jeździć codziennie sto pięćdziesiąt kilometrów. Facet będzie przewodniczył rozprawie, Jake, niezależnie od tego, gdzie odbędzie się proces. Atlee to leń, jak większość sędziów. Chce, żeby spektakl odbył się tutaj, w jego sądzie.

– Mówiąc szczerze, ja również.

– Na co dzień zajmuje się rozwodami bez orzekania o winie, rzucają mu same ochłapy. Chce tej sprawy, jak każdy inny sędzia, i pragnie, żeby odbyła się w domu. Zdołamy wybrać tu przysięgłych, Jake. Jestem pewien.

– My?

– Oczywiście. Przecież sam sobie nie poradzisz. Dowiedliśmy tego podczas procesu Haileya. Jesteś niezły na sali rozpraw, ale wygraliśmy sprawę tylko dzięki mojej tęgiej głowie.

– Kurczę! Zapamiętałem to nieco inaczej.

– Uwierz mi, Jake. Chcesz trochę puddingu bananowego?

– Jasne, czemu miałbym nie chcieć?

Harry Rex powlókł się do lady i zapłacił za dwie duże porcje deseru w kartonowych kubkach. Podłoga zadygotała, kiedy przyczłapał do stolika i klapnął ciężko na krzesło.

– Wczoraj wieczorem zadzwonił do mnie Willie Traynor. Chce wiedzieć, co myślisz o domu.

– Sędzia Atlee powiedział, żebym go nie kupował. Przynajmniej nie teraz.

– Że co?!

– Nie udawaj, przecież słyszałeś.

– Nie sądziłem, że Wysoki Sąd działa w branży nieruchomości.

– Uważa, że to by źle wyglądało. Ludzie zaczęliby plotkować, że zgarnąłem sporą działkę majątku Hubbarda, bo nagle zacząłem się rozglądać za domem.

– Powiedz mu, żeby pocałował się w dupę. Odkąd facet zajmuje się twoimi prywatnymi sprawami?

– Od kiedy aprobuje moje honoraria za usługi prawne.

– Pieprzenie! Słuchaj, Jake, powiedz staremu przykowi, żeby się gonił. Niech pilnuje własnego nosa. Jeśli spieprzysz sprawę i stracisz ten dom, będziesz do końca życia, razem ze swoją śliczną Carłą, wyrzucał sobie, że tego nie zrobiłeś.

– Nie stać mnie.

– Nie stać cię, żeby go nie kupić. Pamiętaj, że już takich nie budują, Jake. Poza tym Willie chce, żebyś go miał.

– To niech zejdzie z ceny.

– Już sprzedaje poniżej ceny rynkowej.

– Nadal za drogo.

– Słuchaj, Jake, powiem ci, jak jest. Willie potrzebuje forsy. Nie

wiem, co knuje, ale wyraźnie cienko przędzie. Zejdzie z dwustu pięćdziesięciu do dwustu dwudziestu pięciu. To rabunek, Jake. Do licha, sam bym go kupił, gdyby moja żona chciała się przeprowadzić.

– Zmień żonę.

– Już o tym myślałem. Posłuchaj, idioto, co dla ciebie zrobię. Tak zagmatwałeś sprawę o odszkodowanie, że nigdy nie zawrzesz ugody z ubezpieczycielem. Dlaczego? Bo sam jesteś swoim klientem. Na wydziale prawa uczyli nas, że prawnik, który reprezentuje samego siebie, ma głupca za klienta. Pamiętasz?

– Było coś takiego.

– Wezmę tę sprawę darmo i doprowadzę do ugody. Co to za firma?

– Land Fire and Casualty.

– Szemrane skurczybyki! Czemu kupiłeś u nich polisę?

– Czy ma to teraz jakieś znaczenie?

– Nie. Co zaproponowali?

– Stosują politykę odtworzenia wartości. Ponieważ zapłaciliśmy za dom jedynie czterdzieści tysięcy, Land stoi na stanowisku, że gdy spłonął, był wart sto tysięcy. Mam rachunki, faktury, płatności na rzecz wykonawców, wszystko... i mogę dowieść, że włożyłem w chałupę następne pięćdziesiąt. W ciągu trzech lat. Razem z wartością rynkową daje to sto pięćdziesiąt tysięcy. Tyle był wart, gdy spłonął. Ale tamci nie chcą ustąpić. Nie biorą pod uwagę potu, który Carla i ja nad nim wylaliśmy.

– I to cię tak wkurza?

– Jak cholera!

– Właśnie! Masz zbyt emocjonalny stosunek do sprawy, żeby doprowadzić do czegoś dobrego. Masz klienta głupca.

– Dziękuję.

– Nie trzeba. Ile jest warta hipoteka?

– Hipoteki, jest ich kilka. Zrefinansowałem je, kiedy skończyłem odnawiać dom. Pierwsza hipoteka to osiemdziesiąt tysięcy, druga nieco poniżej piętnastu.

– Więc Land proponuje ci w sam raz tyle, żeby spłacić obie.

- W zasadzie tak. Odejdziemy z niczym.
- Rozumiem. Pozwól, że wykonam parę telefonów.
- Jakich telefonów?
- W sprawie ugody, Jake. Chodzi o sztukę negocjacji. Musisz się jeszcze wiele nauczyć. Będę ich miał do siedemnastej. Doprowadzimy do ugody i odejdziemy z gotówką. Wszystko dla ciebie, nic dla mnie. Później zawrzemy umowę z Williem i staniesz się właścicielem Hocutt House. W tym czasie powiesz czcigodnemu sędziemu Reubenowi Atlee, żeby pocałował się w dupę.
- Ja?
- Tak, cholera! Ty!

Rozdział 33

Oczywiście Jake nie wypowiedział ani jednego słowa, które mogłoby zostać uznane za choćby w najmniejszym stopniu niegrzeczne. Spotkali się na werandzie w wietrzne, ale ciepłe marcowe popołudnie. Pół godziny gadali o dwóch synach sędziego Atlee. Ray wykładał prawo na Uniwersytecie Wirginii, wiodąc spokojne, pozytywne życie. Z młodszym, Forrestem, było inaczej. Obaj zostali wysłani na wschód do szkoły z internatem, więc w Clanton mało kto ich znał. Forrest toczył ciężkie boje z uzależnieniami, co bardzo gnębiło jego ojca. Tak bardzo, że w ciągu dwudziestu minut wychylił dwie szklaneczki whisky.

Jake wyznaczył sobie nieco wolniejsze tempo. Kiedy nadeszła stosowna chwila, powiedział:

– Myślę, że potencjalni przysięgli są skażeni, panie sędzio. W tej okolicy nazwisko Lang stało się toksyczne. Nie sądzę, aby Lettie mogła liczyć na uczciwy proces w Ford.

– Należało odebrać prawo jazdy temu bydlakowi, Jake – odparł sędzia. – Słyszałem, że ty i Ozzie odwlekaliście jego sprawę o prowadzenie pod wpływem alkoholu. Nie jestem zwolennikiem takiego postępowania.

Jake wyczuł przytyk i wziął głęboki oddech. Jako sędzia sądu kanclerskiego okręgu Ford Reuben Atlee nie miał jurysdykcji w sprawach o prowadzenie po pijanemu, choć jak zawsze uważał, że to jego interes.

– Nieprawda, panie sędzio – odpowiedział Jake. – Poza tym Simeon Lang prowadziłby i bez prawa jazdy. Dla takich ludzi posia-

danie ważnego prawa jazdy jest bez znaczenia. Trzy miesiące temu Ozzie ustawił blokadę drogową w piątkowy wieczór. Sześćdziesiąt procent czarnych i czterdzieści procent białych kierowców prowadziło bez prawa jazdy.

– Nie dostrzegam żadnego związku – odparł Atlee, ale Jake nie miał zamiaru go oświecać. – Zatrzymano go w październiku za prowadzenie po pijanemu. Gdyby jego sprawa została należycie rozpatrzona, straciłby prawo jazdy. Istnieje uzasadnione prawdopodobieństwo, że nie prowadziłby pick-upa we wtorek, tydzień temu.

– Nie jestem jego prawnikiem, panie sędzio. Nie jestem i nie byłem.

Obaj zagrzechotali kostkami lodu. Upłynęło trochę czasu, zanim Atlee pociągnął kolejny łyk i powiedział:

– Jeśli chcesz, złóż wniosek o zmianę miejsca procesu. Nie mogę cię powstrzymać.

– Chciałbym, żeby potraktowano go poważnie. Mam wrażenie, że dawno temu podjął pan decyzję w tej sprawie, ale sytuacja uległa zmianie.

– Traktuję poważnie każdą rzecz. Dowiemy się wszystkiego, gdy zaczniemy wybierać członków ławy przysięgłych. Jeśli się okaże, że ludzie wiedzą za dużo o sprawie, wówczas zarządę przerwę i zajmujemy się problemem. Sądziłem, że już to wyjaśniłem.

– Zrobił to pan, panie sędzio.

– Co się stało z naszym kolegą, Stillmanem Rushem? W poniedziałek przesłał mi faks z informacją, że nie reprezentuje już pana Herschela Hubbarda.

– Wywalił go. Wade Lanier od paru miesięcy kombinował, jak to zrobić. Próbuje zebrać w swoim obozie strony pragnące podważyć testament. Wygląda, że zdobył kolejny punkt.

– Niewielka strata. Jednego prawnika mniej. Stillman nie zrobił na mnie dobrego wrażenia.

Jake ugryzł się w język, ale zdołał się powstrzymać od komentarza. Jeśli Wysoki Sąd chciał zmieszać z błotem kolejnego prawnika, Jake był gotów uczestniczyć w przedstawieniu. Miał jednak prze-

czucie, że starszy nic więcej nie powie.

– Znasz tego Arthura Welcha z Clarksdale? – zapytał sędzia Atlee.

– Nie, panie sędzio. Wiem tylko, że jest przyjacielem Harry'ego Rexa.

– Rozmawialiśmy dziś rano przez telefon. Powiedział, że będzie reprezentował Langa także w sprawie rozwodowej, choć nie będzie miał przy tym wiele roboty. Stwierdził, że jego klient chce się zrzec wszystkiego i mieć to za sobą. Zważywszy na wysokość kaucji i stawiane zarzuty, i tak nie wyjdzie w najbliższym czasie.

Jake przytaknął. Arthur Welch robił dokładnie to, co mu kazał Harry Rex, a ten zdawał ze wszystkiego sprawę Jake'owi.

– Dziękuję za wydanie zakazu zbliżania się – powiedział Jake. – Dobrze to wygląda w gazetach.

– To idiotyzm mówić człowiekowi, który siedzi w pace, że przez jakiś czas nie może się zbliżyć do żony i pozostałych członków rodziny. Z drugiej strony nie wszystko, co robię, ma sens.

Fakt, pomyślał Jake, ale się nie odezwał. Patrzyli na trawę falującą w powiewach wiatru i liście rozrzucone na ziemi. Sędzia Atlee pociągnął łyk whisky i zamyslił się nad własnymi słowami.

– Jakies nowiny w sprawie Ancila Hubbarda? – spytał, zmieniając temat.

– Żadnych. Wydaliśmy trzydzieści tysięcy dolarów i nadal nie wiemy, czy żyje. Zawodowcy podejrzewają, że ma się dobrze, bo dotąd nie natrafiono na żadne dowody jego śmierci. Nadal szukają.

– Przypilnuj tego. Wolałbym nie rozpoczynać procesu bez czegoś konkretnego.

– Sądzę, że powinniśmy opóźnić proces o kilka miesięcy, panie sędzio. Dopóki nie zakończymy poszukiwań...

– A ludzie nie zapomną o tragedii Rostonów.

– To też.

– Podnieś tę kwestię na spotkaniu dwudziestego marca. Rozważ ją.

Jake wziął głęboki oddech i oznajmił:

– Panie sędzio, chciałbym zatrudnić na czas procesu konsultanta do spraw ławy przysięgłych.

– Jakiego konsultanta?!

Jake nie był zaskoczony pytaniem. W najlepszych latach prawniczej kariery sędziego Atlee nie było konsultantów do spraw ławy przysięgłych, a sąd nie zwracał uwagi na nowe trendy.

– To ekspert, który zajmuje się kilkoma rzeczami – wyjaśnił Jake.

– Po pierwsze, analizuje dane demograficzne okręgu i tworzy profil przysięgłego orzekającego w danej sprawie. Później przeprowadza ankietę telefoniczną, używając ogólnych określeń i konkretnych faktów, aby wy badać reakcje społeczne. Kiedy wylosujemy nazwiska kandydatów, przeprowadzi badania wszystkich potencjalnych członków ławy, oczywiście z bezpiecznej odległości. Podczas wyboru będzie obecny na sali, obserwując kandydatów. Konsultanci od ławy przysięgłych są bardzo wyczuleni na język ciała i podobne sygnały. Kiedy rozpocznie się proces, będzie codziennie obserwował ich w sądzie. Zorientuje się, któremu ze świadków dają wiarę, a któremu nie. W którą stronę się skłaniają.

– Nieźle to brzmi, a ile kosztuje?

Jake zgrzytnął zębami i powiedział:

– Pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

– Odpowiedź brzmi „nie”.

– Przepraszam?

– Nie. Nie wydam zgody na uszczuplenie majątku o taką kwotę.

Według mnie to strata pieniędzy.

– W dzisiejszych czasach to standardowa procedura w dużych procesach przed ławą przysięgłych, panie sędzio.

– Uważam takie honorarium za przesadne. Wybranie ławy przysięgłych jest zadaniem prawników, Jake. To nie robota jakiegoś tam konsultanta. Za moich czasów z lubością oddawałem się odgadywaniu poglądów i języka ciała potencjalnych przysięgłych, żeby wybrać odpowiednich ludzi. Mam do tego talent, Jake. Jeśli wolno mi to o sobie powiedzieć.

Tak, Wysoki Sądzie. Tak jak w sprawie jednookiego kaznodziei.

Za jego czasów, czyli jakieś trzydzieści lat temu, młody Reuben Atlee został wynajęty przez Pierwszy Zjednoczony Kościół Metodystyczny w Clanton, aby bronić go w sprawie wytoczonej przez zielonoświątkowego ewangelistę, który przybył do miasta, żeby zabierać wiernych innym wspólnotom podczas dorocznego jesiennego przebudzenia. Kaznodzieja ów miał zwyczaj odwiedzać główne kościoły w mieście i wypędzać złe duchy na frontowych schodach. Wraz z garstką zagorzałych zwolenników utrzymywał, że starsze, bardziej stateczne kongregacje fałszują Słowo Boże, schlebiają grzesznikom i służą za przystań rzekomym chrześcijanom, których w najlepszym razie można uznać za letnich w wierze. Bóg kazał mu rzucić wyzwanie heretykom na ich własnym gruncie, więc każdego popołudnia podczas tygodnia duchowego przebudzenia on i jego mała gromada zbierali się przed różnymi kościołami na modły i ciskanie gromów. W zasadzie byli ignorowani przez metodystów, prezbiterian, baptystów i członków Kościoła episkopalnego. Któregoś dnia, kiedy kaznodzieja z zamkniętymi oczami modlił się na całe gardło u metodystów, stracił równowagę i spadł z ośmiu marmurowych stopni. Został poważnie ranny, doznał wstrząśnienia mózgu i stracił prawe oko. Rok później (w 1957 roku) wniósł pozew, twierdząc, że do wypadku doszło z powodu zaniedbania wspomnianego kościoła. Krótko mówiąc, chciał pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Reuben Atlee był rozsierdzony pozwem i chętnie podjął się obrony kościoła bez żadnej zapłaty. Jako chrześcijanin uważał, że jego obowiązkiem jest bronienie prawdziwego Domu Bożego przed takimi nieuprawnionymi roszczeniami. Podczas wyboru członków ławy przysięgłych wygłosił słynne aroganckie słowa: „Dajcie mi pierwszych dwunastu”.

Prawnik kaznodziei wzywającego do duchowego przebudzenia przystał na to z ochotą. Po zaprzysiężeniu pierwszych dwunastu zasiadło w ławie, a adwokat wykazał, że schody prowadzące do kościoła znajdowały się w strasznym stanie i były zaniedbane, choć wymagały naprawy. Ludzie zgłaszali skargi i tak dalej. Reuben Atlee

paradował po sali, dumny, butny i pełen świętego oburzenia, że w ogóle wniesiono pozew. Po dwóch dniach przysięgli przyznali kaznodziei odszkodowanie wysokości czterdziestu tysięcy dolarów, rekordowe w okręgu Ford. Była to przykra nauczka dla Atlee, z którego żartowano całymi latami, dopóki nie został wybrany na sędziego.

Później okazało się, że pięciu spośród pierwszych dwunastu przysięgłych należało do Kościoła zielonoświątkowego, znanego ze skrajnego sekciarstwa i drażliwości. Wspomniany fakt mogłoby ujawnić pobieżne przesłuchanie. Trzydzieści lat później prawnicy często mruczeli żartem „dajcie mi pierwszych dwunastu”, badając potencjalnych przysięgłych oczekujących na sali sądowej.

Jednooki kaznodzieja został później wybrany do senatu stanowego, mimo uszkodzenia mózgu i innych problemów zdrowotnych.

△△△

– Jestem pewny, że Wade Lanier zatrudni konsultanta do spraw przysięgłych – powiedział Jake. – Często korzysta z ich pomocy. Staram się jedynie wyrównać szanse. Nic więcej.

– Korzystałeś z takich usług w sprawie Haileya? – zapytał sędzia Atlee.

– Nie. Dostałem dziewięćset dolarów za tę sprawę. W tamtym czasie nie miałem pieniędzy nawet na rachunek za telefon.

– Mimo to wygrałeś. Zaczynam się martwić o koszty administracyjne i sądowe.

– Majątek Hubbarda oszacowano na dwadzieścia cztery miliony dolarów, panie sędzio. Nie wydaliśmy nawet jednego procenta.

– Tak, ale w takim tempie nie wystarczy go na długo.

– Nie pompuję sztucznie kosztów.

– A ja nie kwestionuję twoich honorariów, Jake. Przypominam, że musimy opłacić księgowych, rzeczoznawców, Quince'a Lundy'ego, ciebie, śledczych i protokolantów sądowych. Teraz mamy jeszcze płacić biegłym, żeby raczyli zeznawać na procesie?! Zdaje sobie sprawę, że winny jest Seth Hubbard, bo sporządził idiotyczny

testament, ale mimo to ciąży na nas obowiązek ochrony jego majątku. – Atlee powiedział to tak, jakby pieniądze pochodziły z jego własnej kieszeni. Nieprzyjazny ton głosu sędziego przypominał Jake'owi o ostrzeżeniu Harry'ego Rexa.

Wziął głęboki oddech i dał sobie spokój. Usłyszawszy dwie odmowy – w sprawie zmiany miejsca procesu i konsultanta do spraw ławy przysięgłych – Jake postanowił odpuścić. Spróbuje kiedy indziej. Nie, żeby tak było lepiej, ale sędzia Atlee zaczął nagle chrapać.

△△△

Boaz Rinds mieszkał w ponurym, zapuszczonym domu opieki przy biegnącej z północy na południe autostradzie koło miasteczka Peli City w Alabamie. Po czterech godzinach drogi i paru objazdach, kilku niewłaściwych skrętach i ślepych uliczkach Portia i Lettie dotarły na miejsce tuż po sobotnim lunchu. Charley Pardue zdołał odnaleźć Boaza i powiadomił o tym daleką krewną, dzwoniąc z Chicago. Ciężko pracował nad utrzymaniem kontaktu ze swoją nową kuzynką. Widoki na zysk z domu pogrzebowego z każdym tygodniem stawały się coraz bardziej obiecujące. Wiedział, że niebawem przyjdzie odpowiednia chwila, żeby uderzyć.

Boaz okazał się schorowanym staruszkiem, który ledwie słyszał. Siedział na wózku inwalidzkim, ale nie potrafił nim manewrować. Pielęgniarka wytoczyła go na zewnątrz, na betonowy taras, i została, aby dwie panie mogły go przesłuchać. Był szczęśliwy, że ma gości. Wszystko wskazywało, że tej soboty nie przyjdzie nikt inny. Urodził się „około” 1920 roku w okolicy Tupelo. Jego rodzicami byli Rebecca i Monroe Rindsowie. Oznaczało to, że miał około sześćdziesięciu ośmiu lat, co kobiety uznały za szokujące, gdyż Boaz wyglądał znacznie starzej, ze swymi śnieżnobiałymi włosami i zmarszczkami wokół wodnistych oczu. Wyjaśnił, że ma słabe serce i dużo palił.

Portia powiedziała, że razem z matką starają się odtworzyć drzewo genealogiczne rodziny. Istnieje możliwość, iż są z sobą spokrewnieni.

Staruszek rozjaśnił się na te słowa szczerbatym uśmiechem. Kobiety wiedziały, że w rejestrze urodzin okręgu Ford nie ma żadnej wzmianki o Boazie Rindsie, wiedziały jednak również, jak bardzo spis jest niekompletny. Staruszek powiedział, że miał dwóch synów, ale obaj umarli. Jego żona odeszła wiele lat temu. Jeśli miał jakieś wnuki, nie miał pojęcia o ich istnieniu. Nikt go nigdy nie odwiedził. Z wyglądu przytułku można było wnosić, że Boaz nie był jedynym pensjonariuszem w takim położeniu.

Mówił powoli, przerywając od czasu do czasu, aby podrapać się w głowę, jakby próbował przywołać wspomnienia. Po dziesięciu minutach rozmowy stało się jasne, że cierpi na starczą demencję. Miał za sobą surowe, niemal brutalne życie. Jego rodzice byli robotnikami rolnymi, którzy wędrowali przez Missisipi i Alabamę, ciągnąc za sobą dużą rodzinę – siedmioro dzieci – i przenosząc się z jednej plantacji bawełny na drugą. Pamiętał, że zbierał bawełnę, gdy miał pięć lat. Nie chodził do szkoły, bo jego rodzina nigdzie nie zagrzała miejsca na dłużej. Gnieździli się w szałasach i namiotach. Wiedzieli, co to głód. Ojciec zmarł młodo i został pochowany za kościołem dla czarnych niedaleko Selmy. Matka wzięła sobie innego faceta, który bił dzieci. Boaz uciekł z bratem i nigdy nie wrócił.

Portia notowała, a Lettie zadawała delikatne pytania. Nie potrafił sobie przypomnieć imion dziadków i nic o nich nie wiedział. Sądził, że mieszkali w Missisipi. Lettie wymieniła kilka imion członków rodziny Rindsów. Boaz się uśmiechał, kiwał głową, a następnie oświadczał, że ich nie zna. Kiedy jednak powiedziała: „Sylvester Rinds”, zaczął kiwać głową i w końcu oznajmił:

– Był moim wujem. Sylvester Rinds. On i mój tata byli kuzynami.

Sylvester urodził się w 1898 i zmarł w 1930 roku. Był właścicielem trzydziestu hektarów ziemi, które jego żona sprzedała Cleonowi Hubbardowi, ojcu Setha.

Jeśli Monroe Rinds, ojciec Boaza, był kuzynem Sylvestra, to ten nie był jego wujem. Nie zamierzały wyprowadzać starca z błędu, pamiętając, jak pokręcone są konary drzewa genealogicznego Rind-

sów. Były podekscytowane zdobytą informacją. Lettie doszła do wniosku, że jej biologiczną matką jest Lois Rinds, córka Sylvestra, i pragnęła tego dowieść.

– Sylvester miał trochę ziemi, prawda?

Boaz skinął głową i się uśmiechnął.

– Chyba tak. Tak mi się zdaje.

– Czy kiedykolwiek mieszkaliście na jego ziemi?

Podrapał się w czoło.

– Chyba tak. Tak, kiedy byłem małym chłopcem. Teraz sobie przypominam. Zbierałem bawełnę na plantacji wuja. – Potarł wargi i mruknął coś pod nosem.

– Doszło do jakiegoś zatargu? Co się stało? – spytała delikatnie Lettie.

– Opuściliśmy to miejsce i pojechaliśmy na inną farmę. Nie pamiętam dokąd. Pracowaliśmy na wielu plantacjach.

– Czy Sylvester miał jakieś dzieci?

– Wszyscy mają dzieci.

– Pamiętasz jakieś dzieci Sylvestra?

Boaz podrapał się w czoło i zamyślił tak głęboko, że zapadł w drzemkę. Kiedy zdały sobie sprawę, że śpi, Lettie delikatnie trąciła go w ramię i powiedziała:

– Boazie, czy pamiętasz któreś z dzieci Sylvestra?

– Przesuńcie mnie tam, na słońce – poprosił, wskazując część werandy, na którą nie padał cień. Przetoczyły wózek i przestawiły krzesła. Boaz się wyprostował, popatrzył w słońce i zamknął oczy. Lettie i Portia czekały. W końcu wybełkotał: – Nie przypominam sobie. Pamiętam Bensona.

– Jakiego Bensona?

– Człowieka, który nas bił.

– A pamiętasz małą dziewczynkę imieniem Lois? Lois Rinds?

Gwałtownie poruszył głową, spojrzał na Lettie, a następnie powiedział czysto i wyraźnie:

– Tak. Teraz sobie przypomniałem. Była małą córeczką Sylvestra. Oni byli właścicielami ziemi. Lois. Małeńka Lois. Wiecie, w

tamtych czasach czarni rzadko mieli ziemię. Teraz pamiętam. Najpierw dobrze się układało, ale później zaczęły się kłótnie.

– Myślę, że Lois była moją matką.

– Skąd wiesz?

– Nie wiem. Umarła, kiedy miałam trzy lata. Ktoś mnie adoptował, ale jestem z Rindsów.

– To tak jak ja. Zawsze byłem – odparł i oboje się roześmiali. Później spojrzął na nią smutno i powiedział: – Niewielu nas zostało. Wszyscy rozjechali się po świecie.

– Co się stało z Sylwestrem? – zapytała Lettie.

Skrzywił się i przesunął ciężar ciała, jakby poczuł wielki ból. Dyszał ciężko przez kilka minut, a później zrobił taką minę, jakby zapomniał o pytaniu. Spojrzął na kobiety, jakby nie widział ich nigdy wcześniej, i wytarł nos rękawem. Później powrócił do przerwanej wątku i powiedział:

– Wyjechaliśmy. Nie wiem. Słyszałem, że stało się coś złego.

– Co? – Długopis Portii zawisł w powietrzu.

– Zabili go.

– Kto?

– Biali.

– Dlaczego go zabili?

Odplynął kolejny raz, jakby nie usłyszał pytania. Po chwili odrzekł:

– Nie wiem. Wyjechaliśmy. Przypomniałem sobie Lois. Uroczą małą dziewczynką. Benson nas bił.

Portia zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle mogą mu wierzyć. Boaz zamknął oczy, a uszy drżały mu tak, jakby dostał ataku.

– Benson, Benson – powtarzał.

– Czy ten Benson poślubił twoją matkę? – spytała delikatnie Lettie.

– Słyszeliśmy tylko, że zabili go jacyś biali.

Rozdział 34

Jake był w połowie całkiem produktywnego poranka, kiedy usłyszał charakterystyczny odgłos wielkich butów Harry'ego Rexa człapiących po i tak już sfatygowanych schodach. Wziął głęboki oddech i czekał, aż drzwi otworzą się na oścież bez najslabszego choćby pukania.

– Witaj, Harry – powiedział.

– Słyszałeś o klanie Whiteside'ów, tych po drugiej stronie jeziora? – zapytał Harry Rex, opadając na krzesło z głośnym sapaniem.

– Słyszałem gdzieś to nazwisko. Dlaczego...

– To najbardziej pokręcani debile, jakich znam. W ostatni weekend Whiteside przyłapał żonę w łóżku z jednym ze swoich zięciów. Ni stąd, ni zowąd zrobiły się dwa rozwody. Wcześniej jedna z ich córek wniosła własny pozew. Dostał się mnie. Koniec końców mam...

– Wybacz Harry, ale nic mnie to nie obchodzi. – Jake wiedział, że Harry Rex może opowiadać takie historie bez końca.

– Przepraszam. Przyszedłem, bo wszyscy są teraz w moim biurze. Kopiają się i drapią pazurami. Musieliśmy wezwać policję. Mam dość swoich klientów! Wszystkich! – Otarł czoło rękawem. – Masz budweisera?

– Nie, ale mam kawę.

– To ostatnia rzecz, jakiej mi trzeba. Dziś rano gadałem z gośćmi z firmy ubezpieczeniowej. Zaproponowali sto trzydzieści pięć. Przyjmujesz? No jak?

Jake pomyślał, że to żart, i omal się nie roześmiał. Dwa lata upie-

rali się przy stu tysiącach.

– Mówisz poważnie?

– Tak, najpoważniej w świecie, drogi kliencie. Weź pieniądze. Moja sekretarka spisuje właśnie tekst ugody. Przyniesie umowę do południa. Odbierz ją, poproś Carlę, żeby podpisała, i odnieś to cholerstwo do mojego biura, dobrze?

– Dobrze. Jak to zrobiłeś?

– Jake, przyjacielu, wyjaśnię ci, gdzie pokpiłeś sprawę. Złożyłeś pozew w sądzie okręgowym i poprosiłeś o ławę przysięgłych. Po wygranej sprawie Haileya dałeś się ponieść pysze, kombinując, że firma ubezpieczeniowa nie ośmieli się wystąpić przeciw tobie, słynnemu Jake'owi Brigance'owi, przed przysięgłymi okręgu Ford. Widziałem to. Inni też widzieli. Zażądałeś odszkodowania z nawiązką, licząc na pomyślny werdykt, dużą forszę i mistrzowską zagrywkę w sprawie cywilnej. Znam cię, wiem, co sobie myślałeś. Nie zaprzeczaj. Kiedy ci z ubezpieczalni nawet nie mrugnęli okiem, obie strony okopały się na z góry upatrzonych pozycjach. Sprawa nabrała osobistego charakteru, mijały lata. Potrzebne było świeże spojrzenie kogoś, kto tak jak ja zna sposób myślenia firm ubezpieczeniowych. Oprócz tego oświadczyłem draniom, że wycofam pozew z sądu okręgowego i złożę go w sądzie kanclerskim, gdzie mam większą kontrolę nad sprawami na wokandzie. Pomysł stawienia mi czoła w sądzie kanclerskim, na dodatek w naszym okręgu, nie jest tym, co prawnicy lubią najbardziej. Zaczęliśmy się szarpać i handryczyć, i w końcu wyciągnąłem od zgredów sto trzydzieści pięć. Zostanie ci jakieś czterdzieści na czysto, bo nie wezmę honorarium. Tak jak się umawialiśmy. W ten sposób ponownie staniesz na nogi. Zadzwoń do Williego i powiem mu, że ty i Carla zapłacicie dwieście dwadzieścia pięć za Hocutt House.

– Hola, hola! Nie tak szybko, Harry Rexie! Trudno mnie uznać za bogatego z czterdziestoma tysiącami dolarów w kieszeni.

– Nie wciskaj mi kitu, Jake. Zgarniasz trzydzieści tysięcy miesięcznie za sprawę Hubbarda.

– Niezupełnie, a przy okazji diabli biorą resztę mojej praktyki.

Zatwierdzanie testamentu potrwa rok. Tyle samo, ile sprawa Haileya.

– Za tę sprawę przynajmniej ci płacą.

– Tak. Jestem wdzięczny, że użyłeś swoich niezwykłych umiejętności, żeby doprowadzić do ugody w sprawie ubezpieczenia. Dziękuję, Harry Rexie. Podpiszę dokumenty i dostarczę po południu. Przyznam, że czułbym się lepiej, gdybym zapłacił ci honorarium. Skromne.

– Nie biorę od przyjaciół, a moje honoraria nie należą do skromnych. Gdybym zażądał wynagrodzenia, zagroziłoby to naszej przyjaźni. Poza tym nie mogę mieć innych dochodów w tym kwartale. Nie chcę, żeby urząd podatkowy nabrał podejrzeń i ponownie nasłał na mnie swoich matolów. Biorę to na siebie. Co mam powiedzieć Williemu?

– Powiedz mu, żeby jeszcze trochę zszedł z ceny.

– Będzie w mieście w najbliższy weekend. Planuje wydać kolejny koktajl w sobotę po południu. Powiedział, żeby zaprosić ciebie i Carlę. Przyjdziecie?

– Muszę spytać szefowej.

Harry Rex podniósł się z krzesła i ruszył w stronę drzwi.

– Do zobaczenia w sobotę.

– Jasne. Jeszcze raz dziękuję, Harry Rexie.

– Nie ma o czym mówić. – Trzasnął drzwiami, a Jake uśmiechnął się do siebie. Odetchnął z ulgą na myśl o podpisaniu ugody. Będzie mógł zamknąć grubą, przygnębiającą „teczkę z rybami”, spłacić dwie hipoteki, uwolnić się od banków i zgarnąć trochę gotówki. Nie zdołają z Carlą odkupić za to swojego domu, ale czy nie jest tak w przypadku każdego poważnego odszkodowania po pożarze? W końcu będą mogli ruszyć dalej, zostawić za sobą przeszłość.

Pięć minut później do jego drzwi zapukała Portia. Chciała mu coś pokazać, ale w tym celu musieli odbyć krótką przejażdżkę.

△△△

W południe wyszli z biura, przejechali tory, a następnie Lowtown, część miasta zamieszkaną przez kolorowych. Dalej, na wschodnim

krańcu Clanton, stała Burley, stara szkoła podstawowa i gimnazjum dla czarnych, które opustoszały w 1969 roku w wyniku procesu desegregacji. Kilka lat później zabudowania zostały odzyskane przez okręg, odnowione i przeznaczone na magazyn i pomieszczenia techniczne. Szkoła była kompleksem złożonym z czterech budynków przypominających stodoły, wzniesionych z jasnego drewna i pokrytych dachami z blachy ocynkowanej. Parking wypełniały samochody pracowników okręgu Ford. Za zabudowaniami szkoły wznosił się duży warsztat naprawczy, wokół którego stały wywrotki i maszyny. mPo drugiej stronie ulicy znajdowała się East, szkoła średnia dla czarnych.

Jake znał wielu czarnych, którzy uczęszczali do szkoły w Burley. Choć byli wdzięczni za wprowadzenie systemu integracyjnego, zwykle z nostalgią wspominali starą budę i dawne czasy. Zawsze dostawali to, co zostało: wysłużone biurka, tablice, maszyny do pisania, szafki na dokumenty, sprzęt sportowy i instrumenty muzyczne. Wszystko. W Burley nie było niczego nowego: wyłącznie rzeczy, których pozbyły się białe szkoły z okręgu Ford. Biali nauczyciele zarabiali tu mniej niż w innych stanach, a czarni jeszcze gorzej. Chociaż pieniędzy nie starczało na jeden dobry system szkół, przez dziesięciolecia władze okręgu, podobnie jak wszystkie inne, utrzymywały dwa. Słowa „oddzielne, ale równe” uważano za ponury żart. Jednak mimo wyraźnie niekorzystnej sytuacji szczęśliwcy, którzy mieli przywilej pobierać nauki w Burley, wyrażali się z dumą o dawnej szkole. Nauczyciele byli surowi i wymagający, ale oddani swoim uczniom. Niesprzyjające okoliczności sprawiały, że sukcesy wydawały się cenniejsze. Czasami któremuś z absolwentów udało się skończyć college, więc stawał się wzorem dla młodszych roczników.

– Mówiłeś, że tu byłeś – powiedziała Portia, gdy wchodzili po schodach do budynku, w którym kiedyś znajdowała się administracja szkoły.

– Tak. Jeden raz, kiedy zacząłem pracować dla Luciena. Wysłał mnie na poszukiwanie jakichś starych dokumentów sądowych. Wróciłem z kwitkiem.

Weszli schodami na drugie piętro. Portia dokładnie wiedziała, dokąd się udać, a Jake podążał jej śladem. W salach ustawiono używane wojskowe szafki na dokumenty pełne starych zeznań podatkowych i wycen nieruchomości. Same śmieci, pomyślał Jake, czytając naklejki na szufladach. W jednym z pomieszczeń znajdowały się dokumenty rejestracyjne pojazdów, w innym stare numery lokalnych gazet. I tak bez końca. Zmarnowana powierzchnia i siła robocza.

Portia zapaliła światło w ciemnym pokoju bez okien, wypełnionym szafkami, jak pozostałe. Ostrożnie zdjęła z półki ciężki tom i położyła delikatnie na stole. Tomiszcze było oprawione w ciemnozieloną skórę, popękaną wskutek upływu dziesiątek lat i ludzkiego zaniedbania. Na środku okładki widniały dwa słowa: „Rejestr wyroków”.

– To rejestr wyroków i spraw w toku z lat dwudziestych – wyjaśniła. – A konkretnie od sierpnia tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego do października tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku. – Powoli otworzyła księgę i zaczęła ostrożnie przewracać kruche, pożółkłe, niemal rozpadające się karty. – Sąd kanclerski – powiedziała tonem kuratora znajdującego się na rzeczy.

– Ile czasu tu spędziłaś? – zapytał Jake.

– Sama nie wiem. Wiele godzin. Takie rzeczy mnie fascynują, Jake. To dzieje naszego okręgu odzwierciedlone w historii jego systemu prawnego. – Odwróciła kolejne karty, a później się zatrzymała. – Mam. Czerwiec tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku, sześćdziesiąt lat temu. – Jake się pochylił, aby lepiej widzieć. Wszystkie notatki wprowadzono odręcznie, atramentem, który wyblakł po latach. Przesunęła palcem w dół kolumny i powiedziała: – Czwarty czerwca tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego. – Przesunęła palec w prawo, wskazując sąsiednią kolumnę. – Powód, Cleon Hubbard, wniósł pozew przeciwko pozwanemu... – Wskazała następną kolumnę. – Niejakiemu Sylwestrowi Rindsowi. – I kolejną. – Sprawę opisano jako spór o ziemię. W następnej rubryce zapisano nazwisko prawnika. Cleona Hubbarda reprezentował Robert E. Lee Wilbanks.

– To dziadek Luciena – powiedział Jake. Oboje pochylili się nad sądową księgą, ramię przy ramieniu.

– Pozwanego reprezentował Lamar Thisdale.

– Staruszek nie żyje od trzydziestu lat, ale jego nazwisko nadal pojawia się w testamentach i aktach własności. Gdzie jest teczka sprawy? – spytał Jake, cofając się o krok. Portia wyprostowała się i rzekła:

– Nie mogę jej znaleźć. – Zatoczyła ręką po sali. – Jeśli istnieje, powinna być gdzieś tutaj, ale wszędzie sprawdzałam i nic. We wszystkim są luki, pewnie z powodu pożaru sądu.

Jake pochylił się nad szafką, analizując sytuację.

– Zatem w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym spierali się o ziemię.

– Tak. Myślę, że chodziło o trzydzieści hektarów, które Seth posiadał w chwili śmierci. Z badań Luciena wiemy, że w tym czasie Sylvester nie miał innej ziemi. Cleon Hubbard otrzymał akt własności w tysiąc dziewięćset trzydziestym. Od tego czasu pozostawała w rodzinie Hubbardów.

– Z tego, że w tysiąc dziewięćset trzydziestym Sylvester nadal posiadał ziemię, wynika, że wygrał sprawę w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym. W przeciwnym razie należałaby do Cleona Hubbarda.

– Właśnie o to chciałam zapytać. Jesteś prawnikiem, a ja prostą sekretarką.

– Uczysz się, żeby zostać prawnikiem, Portio, choć nie jestem pewny, czy studia na wydziale prawa będą ci potrzebne. Sądziś, że Sylvester był twoim pradziadkiem?

– Moja matka jest pewna, że był jej dziadkiem. Że jego jedynym dzieckiem była Lois, ta sama, która była jej matką. Skoro tak, staruszek jest moim pradziadkiem, nie żebyśmy byli sobie bliscy, czy coś w tym rodzaju.

– Powiedziałeś Lucienowi, co kombinowali jego przodkowie?

– Nie. Powinnam była to zrobić? W jakim celu? To nie jego wina. Nie było go wtedy na świecie.

– Zrobiłbym to, żeby mu dokuczyć. Czułby się paskudnie, gdyby usłyszał, że jego rodzina reprezentowała starego Hubbarda i przegrała.

– Daj spokój, Jake. Przecież wiesz, że Lucien nienawidzi swojej rodziny i jej dziejów.

– Tak, ale kocha majątek, który mu zostawili. Powiem mu.

– Czy kancelaria Wilbanksów przechowuje akta starych spraw?

Jake mruknął coś pod nosem, uśmiechnął się i powiedział:

– Wątpię, żeby sięgały dalej niż sześćdziesiąt lat wstecz. Na strychu jest sterta śmieci, ale nic tak starego. Prawnicy z zasady niczego nie wyrzucają, ale akta giną wraz z upływem czasu.

– Mogę je przejrzeć?

– Wszystko mi jedno. Czego chcesz szukać?

– Akt, dokumentów, które mogłyby zawierać jakieś wskazówki. Wiemy, że istniał spór o trzydzieści hektarów ziemi, ale co się za nim kryło? Co się wydarzyło w związku z tą sprawą? Jakim cudem czarny zdołał wygrać proces o ziemię w stanie Missisipi w latach dwudziestych? Zastanów się, Jake. Biały właściciel ziemski zatrudnił największą firmę prawniczą w mieście, posiadającą władzę i wpływy, żeby pozwać jakiegoś biednego czarnucha w sprawie sporu o ziemię. Jakby tego było mało, ten czarny wygrał, a przynajmniej wszystko na to wskazuje.

– Może nie wygrał. Może w chwili śmierci Sylwestra sprawa wlokła się w sądzie.

– Właśnie o to mi chodziło, Jake. Muszę się tego dowiedzieć.

– Życzę szczęścia. Powiem o wszystkim Lucienowi i poproszę go o pomoc. Będzie przeklinał przodków, ale i tak robi to codziennie przed śniadaniem. Poradzi sobie, wierz mi. Wilbanksowie robili gorsze rzeczy.

– Świetnie. Powiem mu i jeszcze dziś po południu zaczniemy przeczesywać strych.

– Uważaj. Chodzę tam raz w roku tylko wtedy, gdy muszę. Szczerze wątpię, czy coś tam znajdziecie.

– Zobaczymy.

Lucien dobrze przyjął wiadomość. Wygłosił kilka zjadliwych uwag na temat swojego dziedzictwa, ale wydawał się zadowolony z tego, że jego dziadek przegrał sprawę przeciwko Sylwestrowi Rindsowi. Bez jakiegokolwiek zachęty wdał się w rozważania o przeszłości, wyjaśniając Portii, a czasami także Jake'owi, bo wywód ciągnął się całe popołudnie, że Robert E. Lee Wilbanks urodził się w okresie rekonstrukcji i przeżył całe życie w przekonaniu, iż pewnego dnia niewolnictwo powróci. Rodzinie udało się utrzymać kombinatorów z Północy z dala od swojej ziemi, a Robert, co trzeba zapisać mu na plus, dał początek dynastii, która miała w swoim posiadaniu banki, kolej żelazną, politykę i kancelarie prawne. Był surowym, odpychającym człowiekiem. Jako dziecko Lucien się go bał, ale staremu czortowi trzeba oddać zasługę. Piękny dom stanowiący własność Luciena został zbudowany przez drogiego dziadka i należycie przekazany potomkowi.

Po skończeniu pracy wgramolili się na strych i zapuścili jeszcze głębiej w przeszłość. Jake towarzyszył im przez chwilę, ale szybko zrozumiał, że to strata czasu. Akta sięgały roku 1965, kiedy Lucien odziedziczył kancelarię po ojcu i wuju, którzy zginęli w katastrofie lotniczej. Ktoś – najpewniej legendarna sekretarka Ethel Twitty – wyczyścił dom i pozbył się starych akt.

Rozdział 35

Dwa tygodnie przed planowanym wybuchem wojny prawnicy i ich asystenci spotkali się w głównej sali sądu na naradę przedprocesową. W dawnych czasach o niej nie słyszano, ale nowoczesne przepisy nakazywały jej zwołanie. Istniał nawet stosowny akronim, NPP. Prawnicy pokroju Wade'a Laniera, którzy zajmowali się sprawami cywilnymi, świetnie znali metody postępowania i niuanse NPP. Jake był nieco mniej zorientowany w tej materii, a Reuben Atlee nigdy nie przewodniczył podobnej naradzie, choć za nic w świecie nie przyznałby się do tego. W sądzie Atlee najpoważniejszą sprawą był burzliwy rozwód połączony z zacieklą walką o pieniądze, a takie należały obecnie do rzadkości. Atlee rozstrzygał je tak, jak to czynił od trzydziestu lat. Do diabła z nowymi przepisami!

Krytycy nowych zasad ujawnienia i procedury sądowej kręcili nosami, twierdząc, że NPP jest wyłącznie próbą generalną przed właściwym procesem, wymagała zatem, aby prawnicy przygotowywali się dwukrotnie. Poza tym była to czasochłonna, kosztowna, obciążająca i ograniczająca swobodę ruchów procedura. Podczas właściwego procesu nie można było wykorzystać żadnego dokumentu, zagrądnienia i świadka, o którym nie wspomniano na NPP. Starzy prawnicy, jak Lucien, którzy przepadali za brudnymi chwytami i atakami z zasadzki, nienawidzili nowych przepisów, bo te sprzyjały sprawiedliwości i przejrzystości. „W procesie nie chodzi o sprawiedliwość, Jake, ale o to, żeby zwyciężyć”, powtarzał Lucien tysiące razy.

Sędzia Atlee również za nimi nie przepadał, ale miał obowiązek

ich przestrzegać. Dwudziestego marca o dziesiątej rano wyprosił garstkę widzów i powiedział woźnemu, żeby zamknął drzwi, bo spotkanie nie ma charakteru publicznego.

Kiedy prawnicy zajęli miejsca, Lester Chilcott, doradca Laniera, podszedł do stołu Jake'a i położył na nim jakieś papiery.

– Najnowsze ustalenia – burknął mimochodem, jakby było to rutynową czynnością. Kiedy Jake przeglądał kartki, sędzia Atlee poprosił o ciszę i zaczął lustrować salę, aby się upewnić, że wszyscy prawnicy przybyli.

– Nie widzę pana Stillmana Rusha – mruknął do mikrofonu.

W tym czasie zaskoczenie Jake'a przerodziło się w gniew. W części dotyczącej potencjalnych świadków Lanier wymienił nazwiska czterdziestu pięciu osób. Wszyscy mieszkali na Południowym Wschodzie, a czterech miało adres w Meksyku. Jake rozpoznał zaledwie garstkę z nich – paru, których wezwał na świadków podczas ujawnienia. „Wysyp dokumentów” był powszechnie stosowanym brudnym trikiem, udoskonalonym przez korporacje i firmy ubezpieczeniowe zabiegiem, za pomocą którego ich prawnicy przed samym procesem ukrywali podlegające ujawnieniu dokumenty wśród tysięcy innych, żeby przedstawiciele drugiej strony nie zdążyli się do nich na czas dokopać. Wade Lanier wykorzystał właśnie bliskiego kuzyna wspomnianej sztuczki, „wysyp świadków”. Do ostatniej chwili zataił nazwiska wielu potencjalnych świadków, a później wywalił je na stół wraz z mnóstwem innych, żeby zdezorientować oponenta.

Oponent zakipiał gniewem, ale nagle okazało się, że ma na głowie bardziej palące kwestie.

– Panie Brigance – rzekł sędzia Atlee. – Złożył pan dwa wnioski: o zmianę miejsca procesu i odroczenie rozprawy. Zapoznałem się z ich uzasadnieniem i odpowiedzią strony przeciwnej. Zakładam, że nie ma pan w tej sprawie nic do dodania.

Jake wstał i odrzekł przytomnie:

– Nie, Wysoki Sądzie.

– Proszę nie wstawać, panowie. To narada przed procesem, a nie formalne przesłuchanie. Jak sądzę, nie udało się odnaleźć Ancila

Hubbarda?

– Nie, Wysoki Sądzie, choć byłoby to możliwe, gdybyśmy dysponowali większą ilością czasu.

Wade Lanier podniósł się z miejsca i powiedział:

– Za pozwoleniem, Wysoki Sądzie, chciałbym zabrać głos w tej sprawie. Obecność lub nieobecność Ancila Hubbarda nie ma tu żadnego znaczenia. Istota sporu została sprowadzona do tego, czego oczekiwaliśmy, najważniejszych czynników, które grają rolę przy próbie podważenia testamentu: trzeźwości umysłu, zdolności do sporządzenia testamentu i niedopuszczalnego wpływu. Ancil, nawet jeśli żyje, nie widział swojego brata od kilkudziesięciu lat. Nie mógłby zatem zeznać, co myślał Seth przed popełnieniem samobójstwa. Proponuję, żebyśmy postępowali zgodnie z planem. Jeśli sąd opowie się za przyjęciem spisanego odręcznie testamentu, pan Brigrance i zarządca majątku będą mieli dość czasu na odnalezienie Ancila i, przy odrobinie szczęścia, przekazanie mu należnych pięciu procent. Jeśli przysięgli odrzucą odręczny testament, wówczas Ancil stanie się zbędny, bo nie został wymieniony w poprzednim testamencie. Proponuję, abyśmy przeszli dalej, Wysoki Sądzie. Wiele miesięcy temu wyznaczył pan rozprawę na trzeciego kwietnia i nie ma uzasadnionych powodów, żeby odstąpić od tego planu.

Lanier się nie popisywał, ale okazywał trzeźwą i rzeczową postawę, cnotę prostolinijną i przekonującą. Jake wiedział, że facet umie bez wysiłku dowieść swojej racji, sypnąć argumentami z rękawa i przekonać każdego niemal do wszystkiego.

– Zgadzam się – odrzekł szorstko sędzia Atlee. – Rozpoczniemy proces zgodnie z planem, trzeciego kwietnia. Na tej sali. Proszę usiąść, panie Lanier.

Jake notował i czekał na następny argument. Sędzia Atlee zajrzał do notatek, poprawił okulary do czytania, które zsunęły się na czubek nosa, i powiedział:

– Doliczyłem się sześciu prawników reprezentujących strony pragnące podważyć testament. Pan Lanier jest głównym doradcą dzieci Setha Hubbarda: Ramony Dafoe i Herschela Hubbarda. Pan

Zeitler reprezentuje dwójkę dzieci Herschela Hubbarda, a pan Hunt dwójkę dzieci Ramony Dafoe. Pozostali z państwa są asystentami. – Zdjął okulary i wsunął zausznik do ust, co było nieomylnym znakiem, że za chwilę rozpocznie się wykład. – Panowie, kiedy zaczniemy proces, nie będę tolerował nadmiernego, niepotrzebnego trajkotu sześciu prawników, dlatego nie wyrażę zgody, aby zabrał głos ktoś oprócz panów Laniera, Zeitlera i Hunta ze strony osób kwestionujących testament. Bóg jeden wie, że to powinno wystarczyć. Nie zamierzam również narażać przysięgłych na torturę wysłuchiwania trzech różnych mów wstępnych i trzech mów końcowych, a także trzech przepytywań świadków. Jeśli będą protesty, nie chcę, żeby trzech lub czterech panów zrywało się z miejsca, wymachiwało rękami i krzyczało: „Sprzeciw! Sprzeciw!”. Rozumieją panowie?

Jasne, że rozumieli. Atlee mówił wolno i wyraźnie, typowym dla siebie władczyim tonem.

– Proponuję, żeby pan Lanier reprezentował wszystkich kwestionujących testament i wziął na siebie główny ciężar procesu. Jest z pewnością najbardziej doświadczony, nie ma też wątpliwości, że jego klienci są najbardziej zainteresowani. Możecie podzielić się pracą, jak zechcecie... nie ośmielę się udzielać wam rad – powiedział poważnym głosem, jakby przed chwilą nie udzielał rad. – Nie staram się nakładać nikomu kagańca. Macie prawo doradzać swojemu klientowi lub klientom. Każdy może powoływać własnych świadków i przesłuchiwać tych, którzy zostaną wezwani przez stronę przeciwną. Uprzedzam jednak, że przy pierwszym powtórzeniu, a wiem, że prawnicy mają skłonność do powtarzania, będziecie mogli się spodziewać szybkiej interwencji z mojej strony. Nie będę tolerował takiego zachowania. Czy panowie zrozumieli?

Z pewnością, przynajmniej w tej chwili.

Ponownie poprawił okulary na nosie i spojrzął do notatek.

– Przejdźmy do dowodów rzeczowych – podjął po chwili.

Spędzili godzinę, rozmawiając o dokumentach, które zostaną dopuszczone jako materiał dowodowy i okazane przysięgłym. Pod wpływem zdecydowanego stanowiska sędziego Atlee uznano, że

odręczny testament został faktycznie sporządzony przez Henry'ego Seta Hubbarda. Próby przekonania sądu, że jest inaczej, byłyby stratą czasu. Doszli też do zgody w kwestii przyczyny śmierci i zaakceptowali jako dowód rzeczowy cztery duże barwne fotografie. Przedstawiały Seta dyndającego na gałęzi drzewa, nie pozostawiając żadnych wątpliwości, w jaki sposób zszedł z tego świata.

Później sędzia Atlee zarządził:

– Teraz zajmijmy się świadkami. Widzę, że pan Lanier dodał sporą gromadkę.

Jake od godziny niecierpliwie czekał na tę chwilę. Starał się zachować spokój, ale nie było to łatwe.

– Wysoki Sądzie – powiedział – nie zgadzam się, żeby wielu z wymienionych zeznawało podczas procesu. Proszę spojrzeć na stronę szóstą i następne. Podano tam nazwiska czterdziestu pięciu potencjalnych świadków. Z ich adresów domyślam się, że wielu z nich pracowało w fabrykach i wytwórniach pana Hubbarda. Nie wiem tego na pewno, bo widzę te nazwiska pierwszy raz. Zajrzałem do poprzedniego wykazu świadków. Do dnia dzisiejszego przedstawiciele stron kwestionujących testament wskazali zaledwie piętnaście, szesnaście nazwisk spośród tych czterdziestu pięciu. Zgodnie z prawem powinienem otrzymać te nazwiska kilka miesięcy temu. To „wysyp świadków”, Wysoki Sądzie. Wywalenie na stół całej gromady świadków dwa tygodnie przed procesem. Nie ma mowy, abym zdołał z nimi pomówić, dowiedzieć się, na jaką okoliczność będą zeznawać. Możemy zapomnieć o zebraniu zeznań pod przysięgą, bo zajęłoby to kolejne pół roku. To wyraźne naruszenie przepisów, do tego pokrętnie.

Sędzia Atlee zmarszczył brwi i spojrzał w kierunku drugiego ze stołów.

– Panie Lanier?

Ten wstał i zapytał:

– Czy mógłbym rozprostować nogi, Wysoki Sądzie? Mam chore kolano.

– Jak pan sobie życzy.

Lanier zaczął krążyć przed stołem, lekko utykając. Jake pomyślał,

że to kolejna sztuczka z arsenału używanych na sali sądowej.

– Wysoki Sądzie, nasze działanie nie jest pokrętne. Stanowczo sprzeciwiam się takiemu oskarżeniu. Ujawnianie świadków jest z konieczności procesem. Zawsze pojawiają się nowe nazwiska. Bywa, że oporny świadek otwiera się w ostatniej chwili. Jeden świadek przypomina sobie drugiego lub trzeciego, przywołuje nowe wydarzenia, o których wcześniej nie pamiętał. Nasi śledczy od pięciu miesięcy prowadzą nieustanne poszukiwania. Szczerze mówiąc, wykonaliśmy lepszą pracę niż nasi przeciwnicy. Znaleźliśmy więcej świadków i nadal szukamy kolejnych. Pan Brigance ma dwa tygodnie, żeby zadzwonić lub pojechać do dowolnego świadka figurującego na mojej liście. Całe dwa tygodnie. Wiem, że to niewiele czasu, ale czy kiedykolwiek jest go dość? Wiemy, że nie. W taki sposób odbywają się głośne spory sądowe, Wysoki Sądzie. Obie strony przepychają się do ostatniej chwili. – Krążąc tam i z powrotem, utykając i skutecznie argumentując, Lanier wzbudził niechętny podziw przeciwnika, choć Jake miał ochotę rzucić w niego toporem. Lanier nie grał przepisowo, ale potrafił zręcznie usprawiedliwić swoje kłamstwa.

Dla Wade'a Laniera była to decydująca chwila. Wśród czterdziestu pięciu nazwisk ukryli Minę Kidd, jedyną czarną kobietę, do jakiej udało się dotrzeć Randallowi Clappowi. Zgodziła się złożyć zeznania i przyznać, że spała z Sethem. Za pięć tysięcy dolarów plus wydatki była gotowa przyjechać do Clanton i zeznawać w sądzie. Zgodziła się również nie odbierać telefonów i nie odpowiadać na próby kontaktu ze strony innych prawników, a dokładnie niejakiego Jake'a Brigance'a, który mógł się pojawić z nienacka, rozpaczliwie węsząc w poszukiwaniu śladów.

Na liście nie znajdowało się nazwisko Fritza Pickeringa. Nie wspomnieli o nim i nie zamierzali tego robić. Ujawnią go dopiero w kluczowym momencie procesu.

- Ile zeznań pod przysięgą pan odebrał? – spytał sędzia Atlee.
- W sumie trzydzieści, Wysoki Sądzie – odparł Jake.
- Jak dla mnie sporo. Z pewnością dużo was to kosztowało. Panie Lanier, jestem przekonany, że nie zamierza pan powołać wszystkich

czterdziestu pięciu.

– Oczywiście, że nie, Wysoki Sądzie, ale zgodnie z zasadami musimy ujawnić wszystkich potencjalnych świadków. Dopiero podczas procesu będę wiedział, kto powinien w następnej kolejności zasiąść na ławie świadków. Przepisy dopuszczają taką elastyczność.

– Wiem, panie Lanier. Ilu świadków zamierza pan powołać?

– Około piętnastu, Wysoki Sądzie.

– Zapewniam panów, że nie pozwolę, aby przysięgli... i ja sam... musieli wysłuchiwać zeznań sześćdziesięciu świadków. Jednocześnie nie zamierzam pana ograniczać, wskazywać, ilu świadków może lub nie może pan powołać. Proszę jedynie zadbać o to, żeby wszyscy zostali ujawnieni drugiej stronie. Panie Brigance, ma pan wszystkie nazwiska i dwa tygodnie na poszukiwania.

Jake pokręcił głową, wyraźnie sfrustrowany. Stary sędzia, chcąc nie chcąc, powrócił do dawnych przyzwyczajęń.

– Czy w takim razie mógłbym prosić, aby prawnicy drugiej strony przedstawili krótkie podsumowanie tego, co każdy ze świadków mógłby zeznać podczas procesu? Wydaje się to jedynym sprawiedliwym rozwiązaniem, Wysoki Sądzie.

– Panie Lanier?

– Nie jestem przekonany, czy takie rozwiązanie jest sprawiedliwe, Wysoki Sądzie. Z tego, że zakasaliśmy rękawy i odnaleźliśmy wielu świadków, o których pan Brigance nigdy nie słyszał, nie wynika, że powinniśmy podać mu wszystko na tacy. Niech sam wykona robotę. – Wypowiedział te słowa lekceważąco, niemal pogardliwie. Jake poczuł się przez chwilę jak obibok.

– Zgadzam się – przytaknęła sędzia Atlee.

Lanier, przechodząc obok i zajmując miejsce, posyłał Jake'owi wyniosłe spojrzenia zwycięzcy.

Narada trwała dalej. Przeszli do omawiania zeznań biegłych i tego, co mogliby powiedzieć. Jake był zirytowany zachowaniem sędziego Atlee i nie starał się ukrywać swoich uczuć. Kulminacyjnym punktem spotkania było ujawnienie listy potencjalnych przysięgłych, którą sędzia zachował na sam koniec. Urzędnik sądowy zaczął ją rozdawać

przed południem.

– Oto dziewięćdziesiąt siedem nazwisk – oznajmił Atlee. – Myślę, że prześwietliliśmy ich pod każdym względem z wyjątkiem wieku. Jak panowie wiecie, niektórzy obywatele powyżej sześćdziesiątego piątego roku życia nie chcą być zwalniani z obowiązku zasiadania w ławie przysięgłych, więc pozwolę wam zająć się tą kwestią w trakcie wyboru przysięgłych.

Prawnicy przejrzeni nazwiska, szukając przyjaznych, bystrych, życzliwie nastawionych osób, które opowiedzą się natychmiast po ich stronie i wydadzą jedynie słuszny werdykt.

– Posłuchajcie mnie uważnie, panowie – ciągnął Atlee. – Nie będę tolerował żadnych kontaktów z tymi ludźmi. Rozumiem, że w głośnych sprawach sądowych, jakie się dzisiaj odbywają, często zdarza się, że prawnicy oceniają kandydatów na przysięgłych tak wnikliwie, jak to możliwe. Śmiało, nie krępujcie się, ale nie próbujcie nawiązać z nimi kontaktu, śledzić, zastraszać lub nękać w inny sposób. Postąpię surowo z każdym, kto to uczyni. Proszę zachować listę w tajemnicy. Nie chcę, żeby cały okręg wiedział, kto znalazł się wśród kandydatów.

– W jakiej kolejności zostaną przesłuchani podczas procedury wyboru, Wysoki Sądzie?

– Całkowicie przypadkowej.

Prawnicy milczeli, pośpiesznie przeglądając nazwiska. Jake miał w tej dziedzinie wyraźną przewagę, bo znajdował się na własnym terenie. Jednak za każdym razem, gdy spojrział na listę, nie mógł się pozbyć wrażenia, jak niewiele nazwisk rozpoznaje. Dawny klient tu, znajomy z kościoła tam. Kolega z ogólniaka w Karaway. Kuzyn jego matki. Podczas pobieżnej lektury rozpoznał może dwadzieścia z dziewięćdziesięciu siedmiu osób. Harry Rex rozpoznałby jeszcze więcej, a Ozzie wszystkich czarnych i wielu białych. Lucien chlubił się tym, ilu mieszkańców okręgu Ford zna, ale prawda była taka, że za długo przesiadywał na werandzie.

Wade Lanier i Lester Chilcott byli z Jackson, więc nie znali nikogo, ale wiedzieli, że otrzymają pomoc. Skumali się z kancelarią

Sullivana, dziewięcioma prawnikami tworzącymi największą korporację w okręgu, i liczyli na znaczne wsparcie z ich strony.

O wpół do pierwszej sędzia Atlee poczuł się zmęczony i pożegnał wszystkich. Jake wyszedł pośpiesznie z sali, zastanawiając się, czy staruszek sprosta fizycznym wyzwaniom wyczerpującego procesu. Martwił się też o zasady, które będą rządzić przebiegiem rozprawy. Oczywiście było jasne, że nowe przepisy, o których pisano w książkach prawniczych, nie będą ściśle przestrzegane.

Niezależnie od zasad, Jake – jak każdy inny prawnik z Missisipi – wiedział, że stanowy Sąd Najwyższy jest znany z tego, iż zdaje się na mądrość lokalnych sędziów. Byli na miejscu, w ogniu walki. Widzieli twarze, słuchali zeznań, czuli napięcie panujące na sali. Kimże jesteśmy, od dziesięcioleci powtarzali sobie członkowie Sądu Najwyższego, żeby zasiadając gdzieś daleko, beznamietnie zastępować orzeczenie takiego a takiego sędziego swoim własnym?

Proces będzie się jak zawsze rządził Regułami Reubena.

Niezależnie od tego, jakie będą w danej chwili.

Wade Lanier i Lester Chilcott udali się wprost do kancelarii Sullivana, by zająć miejsce w sali konferencyjnej na drugim piętrze. Czekał tam na nich półmisek z kanapkami oraz zadziorny mały jegomość, mówiący ze skrzeczącym akcentem z północnej części Środkowego Zachodu. Człowiek ów, niejaki Myron Pankey, eks-prawnik, znalazł sobie wygodną niszę w stosunkowo nowej dziedzinie, jaką było doradztwo w sprawach ławy przysięgłych – dziedzinie, która łokciami utorowała sobie drogę na salę rozpraw wielu głośnych procesów. W zamian za okrągłą sumkę Pankey i jego ludzie dokonywali osobliwych cudów i dostarczali klientom idealną ławę przysięgłych, a przynajmniej najlepszą, jaką akurat dało się uzyskać. Już przeprowadzili badanie telefoniczne. Odbyli rozmowy z dwiema setkami zarejestrowanych wyborców z okręgów sąsiadujących z okręgiem Ford.

Pięćdziesiąt procent badanych wyraziło pogląd, że człowiek ma

prawo zapisać swój majątek każdemu, nawet kosztem własnej rodziny. Jednak dziewięćdziesiąt procent odnosiło się nieufnie do spisane go odręcznie testamentu, który przekazywał wszystko ostatniemu opiekunowi zmarłego. Dane nadal napływały i były analizowane w macierzystym biurze Pankeya w Cleveland. Pochodzenie nie było istotnym czynnikiem w żadnym z tych badań.

Wstępne dane tchnęły nadzieję w serce Wade'a Laniera. Stał, jedząc kanapkę, rozmawiając i popijając dietetyczną colę przez słomkę. Skserowali listę kandydatów na przysięgłych i rozdzielili siedzącym przy stole konferencyjnym. Każdy z dziewięciu pracowników Sullivana dostał kopię i został poproszony o jak najszybsze przejrzanie nazwisk, choć jak zwykle byli zawaleni robotą i nie wiedzieli, jakim cudem mogliby znaleźć pięć minut wolnego w swoich wypełnionych zajęciami rozkładach.

Na jednej ze ścian umieszczono powiększoną mapę drogową okręgu Ford. Były policjant z Clanton, niejaki Sonny Nance, wetknął już kilka pinesek w miejsca, gdzie mieszkali potencjalni przysięgli. Nance pochodził z Clanton, poślubił kobietę z Karaway i twierdził, że zna wszystkich w okolicy. Pracując dla Myrona Pankeya, miał tego dowieść. O trzynastej trzydzieści przybyli czterej nowi pracownicy i odebrali instrukcje. Lanier był kategori czny, ale dokładny. Jeśli to możliwe, chciał mieć kolorowe zdjęcie każdego domu, każdego sąsiedztwa, każdego samochodu. Jeśli na zderzakach będą nalepki, mają je sfotografować. Tylko za żadne skarby nie dajcie się złapać. Niezależnie od okoliczności. Udawajcie przeprowadzających ankietę, inkasentów, gońców firm ubezpieczeniowych dostarczających czek i, świadków Jehowy, każdego, kto wyda się wiarygodny. Rozmawiajcie z sąsiadami i ustalcie tyle, ile się da, bez wzbudzania podejrzeń. I pod żadnym pozorem nie kontaktujcie się bezpośrednio z potencjalnymi przysięgłymi. Ustalcie, gdzie pracują, do którego kościoła uczęszczają, do jakiej szkoły posyłają swoje dzieci. Mamy podstawowe informacje – nazwisko, wiek, płeć, pochodzenie etniczne, adres i okręg wyborczy – i nic więcej. Trzeba wypełnić wiele luk.

– Nie możecie dać się złapać – powtórzył Lanier. – Jeśli wasze

działania wzbudzą podejrzenia, natychmiast się wycofajcie. Jeśli dojdzie do konfrontacji, podajcie fałszywe nazwisko i zameldujcie się w biurze. Wycofajcie się nawet wówczas, gdy będziecie mieli wrażenie, że zostaliście przyłapani. Odejdźcie i wróćcie za jakiś czas. Są pytania?

Żaden z czwórki nie pochodził z okręgu Ford, więc szansa, że zostaną rozpoznani, wynosiła zero. Dwaj byli gliniarze dorabiali sobie jako śledczy na część etatu. Wiedzieli, jak pracować na ulicy.

- Ile mamy czasu? – spytał jeden z nich.
- Proces zaczyna się za dwa tygodnie. Meldujcie się co drugi dzień i przekazujcie nam zebrane informacje. Macie czas do przyszłego piątku.
- Chodźmy – powiedział inny.
- Tylko nie dajcie się złapać.

△△△

Konsultantka procesowa Jake'a była także jego sekretarką i pomocą prawną. Odkąd sędzia Atlee rozporządzał majątkiem Hubbarda tak, jakby wszystkie środki pochodziły z jego własnej płytkiej kieszeni, zatrudnienie prawdziwego konsultanta nie wchodziło w grę. Portia odpowiadała za zbieranie informacji lub raczej panowanie nad tymi, które już posiadali. W poniedziałek, o czternastej trzydzieści, ona, Jake, Lucien i Harry Rex zebrali się w sali na drugim piętrze. Zjawił się także Nick Norton, prawnik, który miał kancelarię po drugiej stronie placu i dwa lata temu reprezentował Marvisa Langa.

Wspólnie przejrzeni dziewięćdziesiąt siedem nazwisk.

Rozdział 36

Sądząc po wyglądzie i akcencie, Lonny uznał, że to banda Rosjan. A gdy przez godzinę obserwował, jak chłają wodę, był tego pewien. Prymitywni, hałaśliwi, prostaccy szukający guza. Musieli wybrać sobie akurat tę noc, kiedy dyżur miał tylko jeden wykidajło. Właściciel baru zagroził, że wywiesi znak zakazujący wstępu Rosjanom, ale było jasne, że tego nie zrobi. Lonny wykombinował sobie, że stanowili załogę jakiegoś towarowca, jednego z tych, co to przywożą zboże z Kanady.

Zadzwoił do domu innego wykidajły, ale nikt nie odebrał. Właściciela nie było, więc za knajpę odpowiadał Lonny. Rosjanie zamówili następną kolejkę wódki. Lonny pomyślał, żeby rozcieńczyć ją wodą, ale dranie natychmiast by się skapowali. Kiedy któryś klepnął kelnerkę w kształtny tyłek, sytuacja szybko wymknęła się spod kontroli. Samotny wykidajło, gość, który nigdy nie wzdrygał się przed użyciem siły, warknął do zbereźnego typa, który odburknął coś w obcym języku, gniewnie wstając od stołu. Zamachnął się wściekle, chybił i zainkasował celny cios. Z drugiej strony sali posypały się butelki z piwem, rzucone przez gang patriotycznie nastawionych motocyklistów. Rosjanie ruszyli do akcji. Lonny jęknął: „O kurwa!”, myśląc o wycofaniu się do kuchni. Był już świadkiem takich scen. Wielokrotnie. Jego bar cieszył się złą sławą. Pewnie dlatego tak dobrze płacili, do tego gotówką.

Kiedy Rosjanie powalili drugą kelnerkę, wyskoczył zza baru, żeby jej pomóc. Kilkadziesiąt centymetrów dalej rozgrywało się istne piekło. Wyciągnął ręce, żeby chwycić kobietę, gdy jakiś tępy przed-

miot zetknął się z tylną częścią jego głowy. Stracił przytomność. Krew ciekąca z rany nasączyła jego długi, szpakowaty kucyk. Sześćdziesięciosześcioletni Lonny był za stary nawet na to, żeby oglądać takie burdy.

Dwa dni przeleżał nieprzytomny w szpitalu w Juneau. Właściciel baru przyznał niechętnie, że zatrudniał Lonny'ego na czarno. Zna tylko imię i nazwisko. Lonny Clark. W pobliżu szwendał się detektyw, ale gdy stało się jasne, że ranny może się nigdy nie obudzić, dobili targu. Właściciel knajpy powiedział policji, którą z rozpadających się bud Lonny nazywa domem, a gliniarze weszli do środka. Oprócz przedmiotów pozbawionych wszelkiej wartości znaleźli trzydzieści kilogramów kokainy schludnie owiniętych w folię. Opakowanie wydawało się nietknięte. Pod materacem leżała plastikowa saszetka z zamkiem błyskawicznym, w której były jakieś dwa tysiące dolarów w gotówce, prawo jazdy z Alaski – jak się później okazało, podrobione – na nazwisko Harry Mendoza oraz paszport, również sfalszowany, wystawiony na niejakiego Alberta Johnsona. Oprócz tego był inny lewy paszport na nazwisko Charlesa Nolanda, skradzione, nieaktualne prawo jazdy z Wisconsin, własność Wilsona Steglitza, oraz poźółkle zwolnienie ze służby w marynarce, wystawione na nazwisko Ancila Hubbarda, z maja 1955 roku. Saszetka stanowiła jedyny doczesny majątek Lonny'ego, nie licząc koki wartości około półtora miliona dolarów.

Weryfikacja danych i inne formalności zajęły policji kilka dni, tyle samo, ile Lonny potrzebował, żeby odzyskać przytomność i pocuć się nieco lepiej. Funkcjonariusze zdecydowali, że zapytają o kokę dopiero wówczas, gdy będzie gotowy do wypisania ze szpitala, i postawili policjanta po cywilnemu przed jego pokojem. Ponieważ jedynymi prawdziwymi nazwiskami w jego arsenale wydawały się Ancil F. Hubbard i Wilson Steglitz, wprowadzili je do komputerowego krajowego rejestru kryminalnego, aby sprawdzić, czy czegoś się dowiedzą. Detektyw zaczął gawędzić z Lonnym, wpadając z wizytą i przynosząc biedakowi mleczne koktajle. Nadal ani słowa o narkotykach. Po kilku odwiedzinach detektyw powiedział, że nie znaleźli

zadnych danych człowieka nazwiskiem Lonny Clark. Czy może podać miejsce i datę urodzenia, numer ubezpieczenia, stan, w którym mieszka? Cokolwiek, Lonny.

Ale Lonny, który całe życie uciekał i się ukrywał, nabrał podejrzeń i stał się mniej rozmowny.

- Znasz niejakiego Harry'ego Mendozę? – spytał detektyw.
- Może i znam – odparł Lonny.

Słowo? Gdzie go poznałeś? Pamiętasz kiedy? Jak? W jakich okolicznościach? Nadal nic.

A może Alberta Johnsona lub Charlesa Nolanda? Lonny na to, że mógł ich spotkać, ale to było dawno temu, więc nie jest pewny. Miał mgliste wspomnienia. Odzyskiwał i tracił pamięć. Przecież oberwał w głowę, miał wstrząs mózgu, nie pamiętał nawet szczegółów bójki w barze. Po co te wszystkie pytania?

Zorientował się, że policjanci byli w jego mieszkaniu, ale nie miał pewności, czy znaleźli kokainę. Może gość, do którego należała, wstąpił do niego zaraz po bójce i zabrał towar? Lonny nie był dealerem, wyświadczył tylko przysługę kumplowi, przysługę, za którą miał zainkasować okrągłą sumkę. Zatem główne pytanie brzmiało: czy gliniarze znaleźli kokainę? Jeśli tak, Lonny był w poważnych tarapatkach. Im mniej im powie, tym lepiej. Kilkadziesiąt lat temu nauczył się, że gdy gliniarze zaczynają zadawać poważne pytania, należy zaprzeczać, zaprzeczać i jeszcze raz zaprzeczać.

△△△

Jake siedział sobie za biurkiem, kiedy zadzwoniła Portia.

– Albert Murray do ciebie – powiedziała. Chwycił słuchawkę i się przywitał.

Murray prowadził firmę w Waszyngtonie, tę, która zajmowała się odnajdywaniem zaginionych osób, w kraju i za granicą. Do tego dnia zarządca majątku Seta Hubbarda wypłacił mu okrągłe czterdzieści dwa tysiące dolarów za poszukiwanie zaginionego dawno temu brata zmarłego. Firma Murraya zainkasowała forszę, choć nie znalazła prawie nic, czym mogłaby się pochwalić. Rezultaty były zniechęca-

jące, choć honoraria mogłyby konkurować z honorariami firm prawniczych z wielkich miast.

– Być może namierzylismy Ancila Hubbarda, ale się nie podniecaj – uprzedził jak zawsze sceptyczny Murray. Po obiecującym zagajeniu przedstawił wszystkie fakty, które znał. Gość o imieniu Lonny, burda w knajpie w Juneau, pęknięcie czaszki, mnóstwo kokainy, fałszywe dokumenty.

– Ma sześćdziesiąt sześć lat i handluje narkotykami? – zdziwił się Jake.

– W tej branży nie ma przepisowego wieku przejścia na emeryturę.

– Dzięki, że mi przypomniałeś.

– W każdym razie – ciągnął Murray – gość jest przebiegły jak lis, do niczego się nie przyznaje.

– Został poważnie ranny?

– Od tygodnia leży w szpitalu. Kiedy go wypiszą, trafi do pudła, więc lekarze się nie śpieszą. Wiesz, pęknięcie czaszki to pęknięcie czaszki.

– Skoro tak mówisz.

– Tych z Alaski interesuje zwolnienie ze służby w marynarce. Wydaje się autentyczne, ale nie pasuje do reszty. Wiesz, podrobione prawo jazdy i fałszywy paszport mogą się do czegoś przydać, ale po cholere zwolnienie ze służby sprzed trzydziestu lat? Na co szumownie taki papier? Oczywiście mógł zostać skradziony.

– W ten sposób powracamy do odwiecznego pytania. – Jake westchnął. – Jak zweryfikujemy faceta, kiedy go znajdziemy?

– No właśnie.

Nie dysponowali żadnym zdjęciem Ancila Hubbarda, które mogłoby pomóc. W pudełku, które znaleźli w szafie Setha, było kilkadziesiąt fotografii rodzinnych, głównie Ramony, Herschela i jego pierwszej żony. I ani jednej fotografii z dzieciństwa. Ani jednej fotki rodziców lub młodszego brata. Dzięki szkolnym dokumentom można było prześledzić losy Ancila do dziewiątej klasy. Mieli nieostrą fotografię grupową ze szkoły średniej w Palmyrze z 1934 roku, na

której było widać jego uśmiechniętą twarz. Zdjęcie powiększono, wraz z kilkoma fotografiami Setha w wieku dorosłym. Ponieważ Ancil od pięćdziesięciu lat nie postawił nogi w okręgu Ford, nie udało się znaleźć ani jednej osoby, która mogłaby powiedzieć, czy jako dziecko był podobny do starszego brata, czy też chłopak wyglądał całkiem inaczej.

– Masz kogoś w Juneau? – spytał Jake.

– Nie, jeszcze nie. Dwa razy gadałem z policją. Mogę tam kogoś wysłać w ciągu dwudziestu czterech godzin.

– Co robi, kiedy znajdzie się na miejscu? Jeśli Lonny Clark nie chce gadać z miejscowymi, czemu miałby rozmawiać z kompletnym nieznanym?

– Wątpię, czy wyrazi chęć rozmowy.

– Daj mi pomyśleć.

Jake odłożył słuchawkę i przez godzinę nie myślał o niczym innym. Po miesiącach poszukiwań natrafili na pierwszy ślad, ale jakże słaby. Proces rozpoczynał się za cztery dni. Nie było możliwości, żeby popędził na Alaskę i jakimś sposobem zweryfikował człowieka, który nie chciał podać swojej tożsamości, a właściwie spędził ostatnie trzydzieści lat na jej ciągłym zmienianiu.

Zszedł na dół i odnalazł Luciena w sali konferencyjnej, studiującego karty katalogowe z nazwiskami przysięgłych wypisanymi tłustym drukiem. Ułożył je schludnie na długim stole w porządku alfabetycznym. Wszystkie dziewięćdziesiąt siedem. Na każdej widniała ocena, od jednego do dziesięciu, przy czym dziesiątka oznaczała przysięgłego najbardziej godnego pożądania. Wielu nie miało oceny, bo jeszcze nic o nich nie wiedział.

Jake powtórzył mu rozmowę z Albertem Murrayem.

– Nie powiemy o tym sędziemu Atlee – odrzekł w pierwszym odruchu Lucien. – A przynajmniej jeszcze nie teraz. Wiem, o czym myślisz. Jeśli Ancil żyje i możemy ustalić, gdzie przebywa, zaczniemy się domagać odroczenia, kupmy trochę czasu. To kiepski pomysł, wiesz, Jake?

– Wcale o tym nie myślałem.

– Bardzo możliwe, że starsuszek spędzi w pierdlu resztę życia. Nie mógłby przybyć na proces, nawet gdybyśmy tego chcieli.

– Jesteś w błędzie, myślałem o weryfikacji jego tożsamości. Jeśli z nim nie pogadamy, nie będziemy mogli tego ustalić. Pamiętaj, że czeka na niego sporo forsy. Może być bardziej chętny do współpracy, niż nam się zdaje.

Lucien wziął głęboki oddech i zaczął krążyć wokół stołu. Portia wydawała się zbyt niedoświadczona, poza tym była młodą czarnoskórą kobietą i nie należała do tych, co to potrafią wyciągnąć sekret od starego białasa, który przed czymś lub kimś uciekał. Pozostawał tylko on, jedyny dostępny pracownik firmy. Podeszedł do drzwi i oznajmił:

– Pojadę. Przygotuj mi wszystkie informacje, jakie zdołasz.

– Jesteś pewny, Lucienie?

Zamiast odpowiedzi Wilbanks zamknął za sobą drzwi. Jedyna nadzieja w tym, że zdoła pozostać trzeźwy.

△△△

Ozzie wpadł z krótką wizytą w czwartek, późnym popołudniem. Harry Rex i Portia analizowali nazwiska kandydatów na przysięgłych. Jake siedział za biurkiem w swoim gabinecie, rozmawiając przez telefon i marnując czas na próby dowiedzenia się czegoś o kilku z czterdziestu pięciu świadków Wade'a Laniera. Do tej pory zadanie to okazało się niezwykle frustrujące.

– Piwko, szeryfie? – Harry Rex spytał Ozziego, wskazując świeżą butelkę budweisera.

– Jestem na służbie, nie piję – odparł Ozzie. – Mam nadzieję, że nie będziesz dziś prowadzić. Serce mi się kraje na myśl, że mógłbyś zostać aresztowany za jazdę po pijanemu.

– Zatrudnię Jake'a, załatwi mi wieczne odroczenie. Znasz jakies nazwiska?

Ozzie podał mu kartkę i powiedział:

– Niewiele. O Oscarze Peltzu gadaliśmy wczoraj. Mieszka w okolicy Lake Village i chodzi do tego samego kościoła, co Rostonowie. – Portia podniosła kartonik z nazwiskiem OSCAR PELTZ

wypisanym u góry czarnym markerem. – Trzymałbym się od niego z daleka – dodał.

Harry Rex podniósł głowę znad notatek.

– Daliśmy mu pięć – powiedział. – Nie wyglądał szczególnie atrakcyjnie.

– Raymond Griffis mieszka niedaleko wiejskiego sklepu Parkera, na południe od miasta. Wiesz coś o nim?

Portia podniosła kolejny kartonik i powiedziała:

– Biały mężczyzna, czterdzieści jeden lat, pracuje w firmie wykonującej ogrodzenia.

– Rozwiedziony i powtórnie żonaty – dodał Harry Rex. – Jego ojciec zginął w wypadku samochodowym jakieś pięć lat temu.

– Omijajcie Griffisa szerokim łukiem – poradził Ozzie. – Jeden z moim informatorów twierdzi, że jego brat zadawał się z Klanem trzy lata temu podczas procesu Haileya. Na pozór może wyglądać dobrze, ale to twardy skurczybyk.

– Dałem mu cztery – skwitował Harry Rex. – Sądziłem, że sprawdzisz wszystkich czarnych na liście.

– To zbyt wiele. W tym procesie wszyscy czarni z automatu dostaną dziesiątkę.

– Ilu ich mamy na liście, Portio?

– Dwudziestu jeden na dziewięćdziesięciu siedmiu.

– Weźmiemy wszystkich.

– Gdzie Lucien? – spytał Ozzie.

– Jake się go pozbył. Czy powinniśmy spróbować szczęścia z Pernellem Phillipsem? Wspomniałeś, że Moss Junior może go znać.

– Facet jest kuzynem trzeciej żony Mossa Juniora, ale nie przychodzi na rodzinne spotkania. To zaściankowi baptyści. Ode mnie nie dostałby wysokiej noty.

– Portio, a ty?

– Daliśmy mu trójkę – odpowiedziała tonem doświadczonego konsultanta do spraw ławy przysięgłych.

– W tym całym problem z tymi cholernymi kandydatami. – Harry Rex westchnął. – Za dużo trójek i czwórek, za mało ósemek i dzie-

wiątek.

- Gdzie jest Jake?
- Na górze. Walczy z telefonem.

△△△

Lucien pojechał do Memphis, wsiadł do samolotu do Chicago, skąd całą noc leciał do Seattle. Pił podczas rejsu, ale poszedł spać, zanim przekroczył miarę. Przesiedział sześć godzin na lotnisku w Seattle, a następnie odbył dwugodzinny lot do Juneau na pokładzie samolotu Alaska Air. Zameldował się w hotelu w centrum miasta, zadzwonił do Jake'a, przespał trzy godziny, wziął prysznic, a nawet się ogolił i włożył stary czarny garnitur, którego nie miał na sobie od dziesięciu lat. W białej koszuli i krawacie w tureckie wzory mógł od biedy uchodzić za prawnika, dokładnie tak, jak zaplanował. Z wysłużoną teczką w dłoni wszedł do szpitala. Dwadzieścia dwie godziny po opuszczeniu Clanton przywitał się z detektywem i przy kawie wybadał sytuację.

Najświeższe nowiny nie przyniosły niczego istotnego. Infekcja spowodowała, że mózg Lonny'ego opuchł i facet nie był w nastroju do pogaduszek. Lekarze chcieli, żeby zostawić go w spokoju, więc detektyw nie rozmawiał z nim tego dnia. Pokazał Lucienowi podrobione dokumenty, które znaleźli w budzie rannego, oraz dokument wypisania ze służby w marynarce. Lucien odwdzińczył się dwiema powiększonymi fotografiami Seta Hubbarda. Może istniało jakieś podobieństwo, a może nie. Jeśli istniało, było bardzo małe. Detektyw zadzwonił do właściciela baru i poprosił, żeby zajrzał do szpitala. Facet dobrze znał Lonny'ego, więc mógł sobie popatrzeć na fotki. Przyjrzał się, ale nie zauważył podobieństw.

Kiedy właściciel baru odszedł, Lucien, który nie miał nic innego do roboty, wyjaśnił detektywowi cel swojej wizyty. Od pół roku szukali Ancila, ale nie mogli trafić na jego ślad. Jego brat, ten na zdjęciach, zapisał mu pieniądze w testamencie. Nie jakąś fortunę, ale wystarczającą sumkę, żeby Lucien w nocy przyleciał na Alaskę z Missisipi.

Detektyw okazał niewielkie zainteresowanie procesem. Bardziej intrygowała go kokaina. Nie, nie wierzył, że Lonny Clark jest dealerem. Byli bliscy rozbicia gangu narkotykowego działającego w Vancouver. Mieli paru informatorów. Krążyły plotki, że Lonny po prostu przechował towar za forszę. Jasne, że posiedzi, ale raczej miesiące niż lata. Nie, nie pozwolą mu na podróż do Missisipi, bez względu na powód. Nawet jeśli jego prawdziwe nazwisko to Ancil Hubbard.

Po wyjściu detektywa Lucien przeszedł się po szpitalu, aby rozeznaczyć się w labiryncie korytarzy, dobudówek i poziomów szpitalnych. Odnalazł pokój Lonny'ego na trzecim piętrze i ujrzał mężczyznę stojącego w pobliżu. Facet kartkował magazyn i próbował nie zasnąć. Lucien pomyślał, że gość jest policjantem.

Wieczorem wrócił do hotelu, zdał raport Jake'owi i ruszył do baru.

△△△

Była to jego piąta albo szósta noc spędzona w wilgotnym, ciemnym pokoju z oknami, które nigdy się nie otwierały, a w ciągu dnia jakimś sposobem zatrzymywały całe światło. Pielęgniarki przychodziły i odchodziły, czasami cicho pukając do drzwi, a innym razem wchodząc bez ostrzeżenia i stając przy jego łóżku. Przyczepili mu kroplówki do rąk i powiesili monitory nad głową. Podobno nie groziła mu śmierć, ale po pięciu lub sześciu dniach i nocach na lekach zamiast zarcia, w towarzystwie nieznośnej liczby lekarzy i pielęgniarek, nie miałyby nic przeciwko temu, żeby na dłużej stracić przytomność. Łeb łupał go z bólu, a brak ruchu powodował, że za tyłek chwytały skurcze. Czasami miał ochotę zerwać wszystkie rurki i przewody i uciec z pokoju. Zegar wskazywał dwudziestą trzecią dziesiątą.

Ciekawe, czy mógłby wyjść. Czy pozwoliliby mu opuścić szpital? A może zbiry czekały w domu, żeby go sprzątnąć? Nikt mu o tym nie powie. Spytał kilka bardziej przyjaźnie nastawionych pielęgniarek, czy ktoś na niego czeka, ale udzieliły niejasnej odpowiedzi. W ogóle wiele rzeczy było zamazanych. Czasami ekran telewizora był wyraźny, a czasami zamazany. Stałe dzwonienie w uszach powodowało,

że mamrotał do siebie. Lekarze mu nie wierzyli, a pielęgniarki podawały kolejną pigułkę. Całą noc otaczały go cienie. Dziwne postacie wślizgiwały się do pokoju. Może byli to studenci chcący rzucić okiem na prawdziwego pacjenta, a może cienie były bezcielesne. Często zmieniali mu leki, żeby sprawdzić, jak zareaguje organizm. Niech spróbuje tego na ból, tego na zamazany obraz. Tego na cienie, a tego na rozrzedzenie krwi. Tu masz antybiotyki. Mnóstwo pigułek, o wszystkich porach dnia i nocy.

Zdrzemnął się ponownie. Kiedy otworzył oczy, zegar wskazywał dwudziestą trzecią siedemnaście. W pokoju panowała ciemność, rozpraszana jedynie przez czerwoną poświatę rzucaną przez monitor zawieszony nad głową. Ten, którego nie mógł zobaczyć.

Drzwi otworzyły się cicho, ale z ciemnego korytarza nie wpadł do środka żaden promień światła. Nie, to nie była pielęgniarka. Jakiś nieznajomy facet podszedł do jego łóżka. Siwe, długie włosy, czarna koszula. Staruszek, którego nie widział nigdy wcześniej. Oczy miał zmrużone i jakieś dzikie. Kiedy pochylił się nad Lonny, woń whisky niemal go obezwładniła.

– Co się stało z Sylwestrem Rindsem, Ancilu? – spytał.

Serce Lonny'ego zamarło, kiedy spojrzął na obcego, który delikatnie położył mu dłoń na ramieniu. Smród whisky jeszcze się wzmógł.

– Co się stało z Sylwestrem Rindsem, Ancilu? – powtórzył nieznajomy.

Lonny próbował coś odpowiedzieć, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Mrugnął, żeby odzyskać jasność widzenia. Słowa były wyraźne, akcent nieomylny. Nieznajomy przybył z Głębokiego Południa.

– Co? – wyszeptał, a raczej wydyszał Lonny.

– Co się stało z Sylwestrem Rindsem? – Oczy nieznajomego świdrowały Lonny'ego jak promień lasera.

Na stole łóżka znajdował się przycisk do wezwania pielęgniarki. Lonny szybko go wcisnął. Nieznajomy się cofnął, ponownie przeistoczył w cień, a później zniknął z pokoju.

Pielęgniarka w końcu się zjawiała. Ta, którą najmniej lubił, która

nie chciała, żeby zawracać jej głowę. Lonny pragnął z nią pogadać, powiedzieć o nieznanym, ale babka nie była z tych, co chcą słuchać. Spytała, czego sobie życzy, więc odrzekł, że nie może zasnąć. Obiecała, że później do niego zajrzy. Zawsze tak mówiła.

Leżał przerażony w ciemności. Czy przeraził się dlatego, że przybysz użył jego prawdziwego imienia? A może dlatego, że dosięgła go przeszłość? Albo że nie był pewny, iż naprawdę widział i słyszał tego człowieka? Czyżby w końcu odebrało mu rozum? Czyżby uszkodzenie mózgu okazało się trwałe?

Zasnął; pogrążył się w ciemności, a kiedy się z niej wynurzał, zaczął myśleć o Sylvestrze.

Rozdział 37

W sobotni ranek Jake wszedł do Coffee Shopu pięć minut po siódmej. Zamienił kilka słów i wysłuchał kilku obelg, zajmując miejsce. Proces rozpoczął się za dwa dni. Według Dell poranne rozmowy przy stołach obracały się wokół plotek i niekończących się rozważań o rozprawie. Temat pogaduszek zmieniał się w chwili, gdy Jake wchodził rano do baru, a gdy z niego wychodził, to jak za naciśnięciem przełącznika ponownie w centrum uwagi pojawiał się testament Hubbarda. Chociaż klientami Dell byli biali, wydawali się dzielić na kilka obozów. Panowało przekonanie, że człowiek przy zdrowych zmysłach może rozporządzać majątkiem, jak mu się podoba, nie bacząc na dobro rodziny. Inni przekonywali, że Seth nie był w pełni władz umysłowych. Lettie też miała swoich zagorzałych krytyków. Była powszechnie uważana za rozwiązłą kobietę, która omotała nieszczęsnego Seta.

Jake wpadł do lokalu w ubiegłym tygodniu, kiedy nie było klientów, i został zapoznany z sytuacją przez Dell. Szczególnie interesujący okazał się pewien stały bywalec, Tug Whitehurst, stanowy inspektor kontroli mięsa. Jego brat znajdował się na liście potencjalnych przysięgłych, choć Dell nie była pewna, czy dowiedziała się o tym od Tuga. Facet nie należał do gadatliwych, ale podczas jednej z dyskusji opowiedział się po stronie Kerry'ego Huila, kiedy ten oświadczył, że nikomu nic do tego, komu człowiek zapisze swój majątek. Sam Hull był wiecznie splukany i zadłużony po uszy, więc wszyscy wiedzieli, że majątek, który pozostawi, będzie katastrofą, ale nie komentowano tego. W każdym razie Dell uważała, że Jake

mógłby wybrać Tuga Whitehursta, ale kto wie, jakie są poglądy jego brata.

Na tym etapie Jake rozpaczliwie poszukiwał wszelkich informacji na temat dziewięćdziesięciu siedmiu kandydatów.

Siedział przy stoliku razem z paroma farmerami, czekając na grzankę i kaszę kukurydzianą. Rozmowę zdominował temat łowienia okoni, więc Jake miał niewiele do powiedzenia. W pewnych kręgach od co najmniej trzech lat trwała wielka debata, czy populacja bassa wielkogębowego w jeziorze Chatulla ulega zmniejszeniu, czy zwiększeniu. Opinie były zdecydowane i głośne, nie pozostawiały miejsca na kompromis, a ekspertów nie brakowało. Kiedy szale przechyliły się na korzyść zwolenników malejącej populacji, ktoś chwalił się wędkarskim trofeum i spór wybuchał na nowo. Jake'a nudził ten temat, ale cieszył się z niego, bo odwracał uwagę gości od sprawy Hubbarda.

Jadł w najlepsze, kiedy Andy Furr zapytał:

- Powiedz, Jake, czy proces zaczyna się w ten poniedziałek?
- Tak.
- Nie ma nadziei na odroczenie czy coś w tym stylu?
- Nie. O dziewiątej przystąpimy do wyboru przysięgłych, a w południe proces powinien ruszyć na dobre. Przyjdziesz?
- Nie, muszę pracować. Spodziewasz się tłumów?
- Nigdy nie wiadomo, choć procesy cywilne bywają nudne. Na początku może być kilku widzów, ale nie sądzę, aby długo wytrzymali.

Dell dołała mu kawy i powiedziała:

- Sala będzie pełna, i dobrze o tym wiesz. W mieście nie było tyle szumu od procesu Haileya.
- Już o nim zapomniałem odrzekł Jake, wzbudzając kilka wybuchów śmiechu.

Bill West powiedział, że słyszał, iż FBI zrobiło nalot na biura dwóch inspektorów w okręgu Polk, miejscu cieszącym się sławą notorycznie skorumpowanego, co wywołało głosy potępienia niemal wszystkich gości z wyjątkiem Jake'a i Dell. Zmieniło także temat

rozmów, budząc zadowolenie Jake'a. Wiedział, że czeka go długi weekend w biurze, i nie chciał niczego prócz śniadania.

△△△

Portia zjawiała się około dziewiątej. Wypili kawę na balkonie, obserwując budzące się do życia miasto. Powiedziała, że zjadła wczesne śniadanie z Lettie. Jej matka była zdenerwowana, przerażona zbliżającym się procesem. Wyczerpana mieszkaniem w domu pełnym krewnych, pracą na część etatu i ignorowaniem faktu, że jej mąż siedzi w więzieniu za zabójstwo dwóch chłopców. Jeśli dodać do tego czekający ją rozwód i bolesną próbę podważenia testamentu, całkiem zrozumiałe, że była wrakiem.

Portia przyznała, że sama czuje się wyczerpana. Spędzała dużo czasu w biurze i mało spała. Jake okazywał jej współczucie, ale tylko do pewnego stopnia. Procesy sądowe często oznaczają pracę po osiemnaście godzin dziennie i stracone weekendy. Jeśli Portia myślała poważnie o karierze prawniczej, potrzebowała zdrowej dawki presji. W ciągu dwóch ostatnich tygodni zapamiętali wszystkie dziewięćdziesiąt siedem nazwisk z listy kandydatów na przysięgłych. Kiedy Jake mówił „R”, Portia recytowała: „Sześciu. Rady, Rakestraw, Reece, Riley, Robbins i Robard”. Portia mówiła „W”, a Jake na to: „Trzech. Wampler, Whitehurst, Whitten”. Wątkowali listę na okrągło, rywalizując każdego dnia.

Wybór ławy przysięgłych to dopust Boży, który w Missisipi trwa zwykle jeden dzień. Nie dłużej. Jake nie przestawał fascynować się procesami w innych stanach, gdzie wybór przysięgłych zajmował od dwóch tygodni do miesiąca. Nie potrafił pojąć, o co chodzi. Sędziowie z Missisipi również. Śmiertelnie poważnie traktowali wybór sprawiedliwej i bezstronnej ławy, ale po prostu nie tracili czasu.

Szybkość miała kluczowe znaczenie. Trzeba będzie podejmować błyskawiczne decyzje. Prawnicy stron nie będą mieli wiele czasu, żeby zastanawiać się nad nazwiskami lub zaglądać do notatek. Dlatego należało bezwzględnie znać nazwiska i szybko kojarzyć je z twarzami. Jake był zdeterminowany zapamiętać każdego z przysię-

głych, znać jego wiek, adres, pracę, wykształcenie, wyznanie i tak dalej. Tyle informacji, ile zdołają zebrać.

Kiedy otrzymali listę dziewięćdziesięciu siedmiu kandydatów, Portia dostała zadanie sprawdzenia ich w archiwach sądowych. Godzinami wertowała dokumenty notarialne i księgi wieczyste, szukając transakcji z ostatniego dziesięciolecia. Przeczesała akta sądowe, sprawdzając nazwiska powodów i pozwanych, zwycięzców i pokonanych. Z dziewięćdziesięciu siedmiu w ciągu ostatnich dziesięciu lat szesnastu miało sprawę rozwodową. Nie wiedziała, jakie to ma znaczenie podczas procesu o zatwierdzenie testamentu, ale zdobyła te informacje. Jeden z panów, niejaki Eli Rady, złożył trzy pozwy i wszystkie przegrał. Sprawdziła księgi zatrzymania i znalazła kilkanaście notatek o niezapłaconych podatkach, fakturach lub podwykonawcach. Kilku kandydatów wisiało pieniądze okręgowi z tytułu podatku od nieruchomości. W biurze poborcy podatkowego dokopała się do wykazu pojazdów używanych przez kandydatów wraz z marką i modelem. Nie byli zaskoczeni faktem, że wśród nich znalazło się dużo półciężarówek.

Była to mozolna, często otepiająca robota, ale Portia nie zwolniła tempa, nigdy nawet nie pomyślała, żeby dać sobie spokój. Po dwóch tygodniach spędzonych w towarzystwie potencjalnych przyjaciół miała pewność, że ich zna.

Wypili kawę i niechętnie przystąpili do pracy. Jake zaczął szkicować wstępne wystąpienie, a Portia wróciła do sali konferencyjnej i swoich nowych dziewięćdziesięciu siedmiu przyjaciół. O dziesiątej w końcu nadciągnął Harry Rex z torbą pełną tłustych kanapek z kiełbasą od Claude'a. Weisnął jedną Jake'owi, nalegając, żeby wziął, a później przysunął mu kopertę po blacie.

– To czek od twojej firmy ubezpieczeniowej, Land Fire and Casualty. Nie kupuj więcej polisy u tej bandy skurczybyków, zrozumiałeś? Sto trzydzieści pięć tysięcy dolców. Cała kwota uzgodniona w ugodzie. Ani centa honorarium dla prawnika, więc wiesz mi dużą przysługę, kolego.

– Dziękuję. Skoro tak mało sobie liczysz, zabieraj się do roboty.

– Mam po dziurki w nosie tej sprawy, Jake. W poniedziałek pomogę ci wybrać przysięgłych i spadam. Mam własne sprawy do przegrania.

– Uczciwy układ, tylko przyjdź, kiedy będziemy ich wybierać. – Jake wiedział, że Harry Rex nie odpuści sobie zeznań w sądzie, a później zaparkuje w sali konferencyjnej na dole, gdy będą jeść pizzę i kanapki i spierać się o to, co poszło źle oraz czego mogą się spodziewać następnego dnia. Będzie przewidywać kolejne ruchy Jake'a, zgryźliwie potępiać Wade'a Laniera, przeklinać zakazy sędziego Atlee, udzielać nieproszonych rad przy każdej okazji i promieniować ponurą aurą, sugerując, że przegrają sprawę, bo nie da się jej wygrać. Czasami będzie tak nieznośny, że Jake będzie miał ochotę cisnąć w niego czymś ciężkim. Z drugiej strony Harry rzadko się mylił. Znał prawo i jego zawilości. Umiał czytać ludzi, jak inni czytają gazetę, i potrafił dyskretnie obserwować przysięgłych, kiedy ci obserwowali Jake'a.

Mimo wyraźnej instrukcji Setha Hubbarda, aby żaden inny prawnik z okręgu Ford nie uszczknął nic z jego majątku, Jake postanowił znaleźć sposób, aby przelać część honorarium na konto Harry'ego Rexa. Seth życzył sobie, żeby jego odręczny, spisany w ostatniej chwili testament stawiał czoło wszystkim wyzwaniom, a niezależnie od tego, czy mu się to podobało, Harry Rex Vomier odgrywał kluczową rolę w realizacji tego zamiaru.

Telefon na biurku cicho zadzwonił. Jake go zignorował.

– Czemu wszyscy w tym biurze przestali odbierać telefon? – spytał Harry Rex. – Dzwoniłem dziesięć razy w tym tygodniu i nikt nie raczył podnieść słuchawki.

– Portia była w sądzie. Ja byłem zajęty, a Lucien nie odbiera telefonów.

– Pomyśl o wszystkich wypadkach samochodowych, rozwodach i kradzieżach sklepowych, które ci przeszły koło nosa. Cała ludzka niedola wali tu drzwiami i oknami.

– Obecnie jesteśmy zakorkowani.

– Jakieś wiadomości od Luciena?

– Dziś rano nic, ale na Alasce jest dopiero szósta. Wątpię, czy Lucien doszedł do siebie.

– Pewnie dopiero się położył. Idiota z ciebie, Jake. Wysłałeś Luciena w podróż służbową?! Do licha, gość potrafi się upić w drodze z kancelarii do domu. Wypraw go w drogę, zostaw samego w sali odlotów, barze hotelowym, gdzie chcesz, a facet się zapije.

– Zaczął się ograniczać. Planuje zdać egzamin adwokacki i wrócić do palestry.

– W przypadku tego starego capa ograniczenie oznacza zaprzestanie konsumpcji o północy.

– Od kiedy jesteś taki czysty i trzeźwy, Harry Rexie? Sam wypijasz budweisera na śniadanie.

– Potrafię nad sobą zapanować. Jestem profesjonalistą, a Lucien to pijak, i basta!

– Chcesz popracować nad przysięgłymi czy siedzieć beczynnienie i zlorzeczyc Lucienowi cały ranek?

Harry Rex wstał i poczłapał do wyjścia.

– Później. Masz zimnego budweisera?

– Nie. – Kiedy wyszedł, Jake otworzył kopertę i obejrzał czek od firmy ubezpieczeniowej. Z jednej strony był smutny, bo oznaczało to koniec ich pierwszego domu. Co prawda spłonął ponad trzy lata temu, ale pozew przeciwko firmie ubezpieczeniowej dawał Carli i jemu nadzieję, że zdołają go odbudować. Było to nadal możliwe, ale mało prawdopodobne. Z drugiej strony oznaczał gotówkę w banku. Nie była to duża suma, ale po spłaceniu dwóch hipotek zostanie im jakieś czterdzieści tysięcy. Niewiele, ale łagodziło nieco presję, którą odczuwał.

Zadzwoił do Carli i zaprosił ją na małą uroczystość. Znajdź opiekunkę do dziecka, powiedział.

△△△

Przez telefon Lucien brzmiał normalnie, choć w jego przypadku oznaczało to ochryply głos i z trudem klecone zdania dukane przez pijanego starającego się usunąć z oczu pajęczynę snu. Oświadczył, że

ich facet, Lonny Clark, miał za sobą ciężką noc. Infekcja nie ustąpiła, a lekarze byli bardziej zatroskani niż wczoraj. Co najważniejsze, Lonny nie przyjmował gości.

– Jakie masz plany? – spytał Jake.

– Zabawię tu jakiś czas, może wybiorę się na wycieczkę. Byłeś tu kiedyś, Jake? Niezłe widoki. Z trzech stron góry i Pacyfik pod samymi drzwiami. Miasto nie należy do dużych i ładnych, ale ta sceneria! Po prostu mi się podoba! Wyjadę z miasta i rozejrzę się po okolicy.

– Myślisz, że to on, Lucienie?

– Wiem mniej niż wtedy, gdy wyjeżdżałem z Clanton. Facet pozostaje zagadką. Gliniarzy nie obchodzi, kim jest ani co się u nas dzieje. Chcą rozpieprzyć gang narkotykowy. Polubiłem to miejsce, Jake. Nie będę się śpieszył z powrotem. Nie potrzebujesz mnie w sądzie.

Jake oczywiście się z nim zgodził, ale nic nie powiedział.

– Powietrze jest tu chłodne i suche. Tylko pomyśl, Jake, zero wilgotności. Na Alasce naprawdę jest super. Będę miał oko na Lonny'ego. Kiedy mnie wpuszczą, będę odbywał z nim pogaduszki.

– Jesteś trzeźwy, Lucienie?

– Rano zwykle bywam trzeźwy. W tarapaty wpadam około dziesiątej wieczorem.

– Bądź ze mną w kontakcie.

– Jasne, Jake. Nie martw się.

△△△

Zostawili Hannę u rodziców Jake'a w Karaway i po godzinie dotarli do Oxfordu. Przejechali przez stary kampus Ole Miss, pławiąc się w widokach i wspomnieniach dawnego życia. Był ciepły, pogodny wiosenny dzień. Studenci biegali w szortach i na bosaka. Rzucali frisbee na polu piknikowym Grove, wyjmowali piwo z lodówek turystycznych i wygrzewali się w promieniach zachodzącego słońca. Jake miał trzydzieści pięć lat, a Carla trzydzieści jeden. Czasy college'u wydawały się bliskie, a jednocześnie dalekie.

Spacer przez kampus zawsze wywoływał falę nostalgii. I niedo-

wierzenia. Czy naprawdę mieli po trzydzieści kilka lat? Wydawało się, jakby jeszcze miesiąc temu byli studentami. Jake celowo unikał przechodzenia obok budynku wydziału prawa – koszmar nie był jeszcze wystarczająco odległy. O zmroku pojechali na rynek i zaparkowali przed sądem. Godzinę buszowali w księgarni, wypili kawę na balkonie na piętrze, a później poszli na obiad do Downtown Grill, najdroższej knajpy w promieniu stu dwudziestu kilometrów. Mieli forszę do wydania, więc Jake zamówił butelkę bordeaux za sześćdziesiąt dolców.

Kiedy wrócili, była prawie północ. Pojechali starą trasą, wolno mijając Hocutt House. W niektórych oknach paliły się światła. Wielki stary dom wabił ich do siebie. Na podjeździe stał triumph spitfire Williego Traynora z rejestracją z Tennessee.

– Zjrzyjmy do Williego – rzucił Jake rozluźniony wypitym winem.

– Nie, Jake! Jest za późno! – zaprotestowała Carla.

– Daj spokój. Willie się nie pogniewa. – Zatrzymał saaba i wrzucił wsteczny bieg.

– Jake, to bardzo nieuprzejmie.

– Tak, w przypadku każdego, ale nie Williego. Poza tym facet chce, żebyśmy kupili jego dom – odrzekł Jake, parkując saaba za spitfire'em.

– A jeśli nie jest sam?

– To będzie miał więcej gości. Chodź.

Carla z ociąganiem wysiadła z samochodu. Zatrzymali się chwilę na wąskiej ścieżce i spojrzeli na szeroką frontową werandę. Powietrze było ciężkie od zapachu peonii i irysów. Różowe i białe azalie wystrzeliwały z rabatek.

– Powiedziałem, że kupimy ten dom – odezwał się Jake.

– Nie stać nas – odparła Carla.

– Nas nie, ale bank może sobie na niego pozwolić.

Weszli na werandę i nacisnęli dzwonek. Z oddali dolatywał głos Billie Holiday. W końcu Willie otworzył drzwi. Był w dzinsach i T-shircie i uśmiechał się do nich szeroko.

– No, no, no, a niech mnie, nowi właściciele.
– Byliśmy w okolicy i naszła nas chęćka na drinka – powiedział Jake.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy – dodała nieco zakłopotana Carla.

– Nic a nic. Zapraszam do środka – nalegał Willie. Weszli do salonu, gdzie czekała butelka białego wina w kubelku z lodem.

Była prawie pusta, więc Willie szybko odkorkował następną, wyjaśniając, że przyjechał do miasta, aby napisać relację z procesu. Jego ostatnim przedsięwzięciem był miesięcznik poświęcony kulturze Południa. Tematem pierwszego numeru miała być historia Setha Hubbarda i fortuny, którą zapisał swojej czarnoskórej opiekunce. Willie nie wspomniał o tym wcześniej.

Jake był podekscytowany myślą o reklamie poza granicami okręgu Ford. Proces Haileya przyniósł mu pewną sławę, a to mogło zawrócić człowiekowi w głowie.

– Kto będzie na okładce? – zagadnął żartem.

– Zapewne nie ty – odparł Willie, podając im dwa wypełnione po brzegi kieliszki. – Zdrówko.

Przez chwilę rozmawiali o procesie, ale każde z nich myślało o czymś innym. W końcu Willie przełamał lody.

– Proponuję, żebyśmy dziś wieczór uścisnęli sobie dłonie w sprawie sprzedaży domu. Zawarli ustną umowę, tylko my troje.

– Ustna umowa sprzedaży nieruchomości nie ma mocy prawnej – wyjaśnił Jake.

– Nie czujesz nienawiści do prawników? – spytał Willie, zwracając się do Carli.

– Tak, do większości.

– Umowa będzie miała moc obowiązującą, jeśli powiemy, że ją posiada – rzekł Willie. – Podajmy sobie dłonie na znak sekretnej umowy, a po procesie znajdziemy prawdziwego prawnika, który wysmaruje nam odpowiedni dokument. Pójdźcie do banku i wystąpicie o kredyt hipoteczny, a za dziewięćdziesiąt dni od dziś dobijemy targu.

Jake spojrział na żonę, a Carla na niego. Na chwilę zamarli, jakby ten pomysł był dla nich czymś nowym. W rzeczywistości rozmawiali o Hocutt House tak długo, że znudzili się tym tematem.

– A jeśli nie udzielą nam kredytu? – spytała Carla.

– Nie bądźcie śmieszni. Każdy bank w mieście pożyczyci wam forszę.

– Wątpię – odparł Jake. – W mieście jest pięć banków, z czego trzy pozwalam.

– Posłuchajcie, dwieście pięćdziesiąt to okazyjna cena. Banki to wiedzą.

– Myślałem, że sprzedasz ze dwieście dwadzieścia pięć – rzucił Jake, spoglądając na Carłę.

Willie wziął do ust łyk wina, cmoknął z zadowoleniem i powiedział:

– Fakt, była taka cena. Chwilowo, ale nie złapałeś przynęty. Szczerze mówiąc, ta chałupa jest warta czterysta tysięcy. W Memphis...

– Już o tym gadaliśmy, Willie. Nie jesteśmy w centrum Memphis.

– Fakt, ale dwieście pięćdziesiąt to rozsądniejsza cena. Chcę dwieście pięćdziesiąt.

– Stosujesz dziwną metodę sprzedaży, Willie – zauważył Jake. – Zawsze podnosisz cenę, kiedy klient odrzuci ofertę?

– Więcej nie podniosę, Jake, chyba że napatoczy się jakiś lekarz. Dwieście pięćdziesiąt. To uczciwa propozycja. Wiecie, że to prawda. Podajmy sobie dłonie.

Jake i Carla spojrzeli na siebie i po chwili uścisnęli wyciągniętą rękę Williego.

– Bomba! – powiedział Jake. Umowa została sfinalizowana.

△△△

Jedynym dźwiękiem był cichy szum monitora pracującego gdzieś w górze, za jego głową. Jedynym światłem – czerwona poświata cyfr pokazujących jego podstawowe funkcje życiowe. Plecy zaczęły go

boleć, więc próbował się lekko przekręcić. Płyn w kroplówce dostarczał do krwi przezroczyste, ale silne substancje, które usuwały ból. Otwierał i zamykał oczy, zasypiał i się budził, na chwilę odzyskiwał przytomność, by natychmiast ponownie odpłynąć. Stracił rachubę godzin i dni. Lekarstwa były tak silne, że nawet najbardziej upierdliwe pielęgniarki nie mogły go obudzić o dowolnej porze nocy, choć się starały.

Gdy przechodził w tryb czuwania, docierał do niego każdy ruch w pokoju – pielęgniarzy, salowych i lekarzy. Mnóstwo lekarzy. Czasami słyszał, jak rozmawiają przyciszonymi, zatroskanymi głosami. Już zdecydował, że umiera. Opanowała go infekcja, której nazwy nie umiał wymówić ani zapamiętać. Lekarze walczyli z chorobą, a on budził się i zasypiał.

Nieznajomy pojawił się bezszelestnie i dotknął barierki łóżka.

– Ancilu – powiedział niskim, ale mocnym głosem. – Słyszysz mnie, Ancilu?

Lonny otworzył oczy na dźwięk swojego imienia. Znowu ten starszy człowiek o długich siwych włosach, w czarnym T-shircie. Znowu ta twarz!

– Słyszysz mnie, Ancilu?

Clark nie poruszył żadnym mięśniem.

– Nie nazywasz się Lonny, obaj to wiemy. Jesteś Ancil, Ancil Hubbard. Brat Seta. Co się stało z Sylwestrem Rindsem? Miałeś wtedy osiem lat, Ancilu. Co się stało z Sylwestrem Rindsem?

Lonny zamknął oczy i wziął głęboki oddech. Na kilka sekund odszedł, a później gwałtownie poruszył rękami i otworzył oczy.

Nieznajomy zniknął.

Wezwał pielęgniarkę.

Rozdział 38

Przed śmiercią żony sędziego Atlee i ona przez osiem lat nie opuścili ani jednego niedzielnego nabożeństwa w Pierwszym Kościele Prezbiteriańskim. Pięćdziesiąt dwie niedziele z rzędu przez osiem lat. Serię przerwał dopiero wirus grypy. Kiedy zmarła, sędzia opuścił się i raz lub dwa w roku nie pojawiał się w kościele. Nie było go również w niedzielę przed rozpoczęciem procesu, a kiedy Jake zdał sobie z tego sprawę, pozwolił, by podczas kazania jego myśli poszybowały daleko. Może staruszek zachorował? Jeśli tak, czy proces zostanie odroczone? Jak wpłynie to na jego strategię? Mnóstwo pytań bez odpowiedzi.

Po nabożeństwie Jake i jego dziewczyny pojechali do Hocutt House, gdzie Willie przygotował brunch na tylnej werandzie. Uparł się, żeby zaprosić nowych właścicieli, twierdząc, że chce poznać Hannę i oprowadzić ją po okolicy. Oczywiście w największej tajemnicy. Jake i Carla woleliby, żeby córka o niczym nie wiedziała, ale nie mogli ukryć podekscytowania. Córeczka przyrzekła, że dotrzyma ważnej tajemnicy. Po oprowadzeniu, które obejmowało zapoznanie ze wstępnie wybraną nową sypialnią dziewczynki, zasiedli na werandzie wokół wiejskiego stołu z desek, przy francuskich grzankach i jajecznicę.

Willie zmienił temat rozmowy z domu na proces. Zrećźnie, bo ponownie został dziennikarzem, węszył wokół wrażliwego tematu. Carla dwukrotnie posłała ostrzegawcze spojrzenie Jake'owi, który zdał sobie sprawę, co się dzieje. Kiedy Willie spytał, czy spodziewają się jakichś dowodów, że Seth Hubbard pozostawał w zażyłych

stosunkach z Lettie Lang, Jake odparł uprzejmie, że nie może udzielić odpowiedzi na to pytanie. Atmosfera zrobiła się dość niezręczna, bo Jake był coraz bardziej milczący, a gospodarz gadał bez przerwy o plotkach i pogłoskach, na które polował. Czy to prawda, że zaproponowano Lettie, aby doprowadziła do ugody i podzieliła się pieniędzmi? Jake odrzekł stanowczo, że nie może komentować tej sprawy. W mieście krążyło wiele plotek. Kiedy Willie zadał kolejne pytanie dotyczące „zażyłości” obojga, Carla powiedziała:

- Proszę, Willie, nie rozmawiajmy o tym przy dziecku.
- Och, przepraszam.

Oczywiście Hanna nie uroniła ani jednego słowa.

Po godzinie Jake spojrzął na zegarek i oświadczył, że musi iść do biura. Czeka go długie popołudnie i noc. Willie dołąił im kawy, ale podziękowali i odłożyli serwetki. Grzeczne pożegnanie zajęło piętnaście minut. Kiedy odjeżdżali, Hanna się obejrzała, żeby spojrzeć na dom przez tylną szybę.

- Lubię nasz nowy domek. Kiedy się wprowadzimy?
- Niebawem, kochanie – odparła Carla.
- Gdzie będzie mieszkał pan Willie?
- Ma kilka domów – odrzekł Jake. – Nie martw się o niego.
- To taki miły pan.
- Tak, to prawda – przytaknęła Carla.

ΔΔΔ

Lucien wszedł za detektywem do pokoju, w którym siedział niecierpliwie Lonny w towarzystwie korpulentnej pielęgniarki. Wyglądało, jakby kobieta go pilnowała. Nie uśmiechała się i była wyraźnie poirytowana najściem. Jeden z lekarzy niechętnie wyraził zgodę na zadanie choremu paru pytań. W ciągu ostatniej nocy stan Lonny'ego uległ poprawie. Pacjent czuł się lepiej, ale personel medyczny nadal się martwił. Tak czy owak, nie lubili prawników.

– To facet, o którym ci wspominałem, Lonny – powiedział detektyw, nie zadając sobie trudu, by ich sobie przedstawić.

Ubrany w czarny garnitur Lucien stanął w nogach łóżka Lonny'ego

i wykrzywił twarz w sztucznym uśmiechu.

– Panie Clark, nazywam się Lucien Wilbanks, pracuję dla prawnika z Clanton w Missisipi.

Lonny pomyślał, że gdzieś już widział tę twarz. Czy aby na pewno? Twarz pojawiła się w środku nocy i zniknęła jak duch.

– Miło mi – odparł Lonny, nadał nieco przymulony, choć jego umysł nie był jeszcze tak jasny od czasu, gdy oberwał w łepetynę.

– Uczestniczymy w sporze sądowym i musimy bezwzględnie odnaleźć niejakiego Ancila Hubbarda. Pan Hubbard urodził się w okręgu Ford w stanie Missisipi, pierwszego sierpnia tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku. Jego ojcem był Cleon Hubbard, a matką Sarah Belle Hubbard. Miał jednego brata, Seta, starszego o pięć lat. Wszędzie szukaliśmy pana Ancila Hubbarda. Doszły nas słuchy, że może pan go znać, że w ostatnim czasie wasze ścieżki mogły się skrzyżować.

– Przyjechał pan taki szmat drogi z Missisipi? – zdziwił się Lonny.

– Oczywiście, to nic wielkiego. Samoloty latają także tutaj. Przetrzęsaliśmy cały kontynent, szukając Ancila.

– Cóż to za spór sądowy? – spytał Lonny z pogardą, z jaką większość ludzi podchodzi do podejrzanych spraw.

– To skomplikowana historia. Seth Hubbard zmarł nagle jakies pół roku temu. Zostawił po sobie niezły bałagan. Miał wiele firm, ale okazywał niewiele zainteresowania rozdysponowaniem majątku. Naszym zadaniem jako prawników jest dotarcie do rodziny, co w przypadku Hubbarda jest sporym wyzwaniem. Mamy powody sądzić, że może pan wiedzieć to i owo na temat Ancila Hubbarda. Czy to prawda?

Lonny zamknął oczy, jakby przez jego głowę przetoczyła się fala bólu.

– Przepraszam, ale to nazwisko nic mi nie mówi.

– Może spotkał pan kogoś, kto znał Ancila Hubbarda? Wspomniał jego nazwisko? – ciągnął Lucien, jakby nie usłyszał odpowiedzi. – Niech mi pan pomoże, panie Clark. Proszę się zastanowić.

Wygląda, że dużo pan podróżował, musi pan znać wielu ludzi. Wiem, że boli pana głowa. Proszę się nie śpieszyć. Niech pan się dobrze zastanowi.

– Nie, nie słyszałem tego nazwiska – powtórzył Lonny.

Pielęgniarka spojrzała na Luciena tak, jakby miała ochotę mu przyłożyć. Zignorował jej obecność, wolno stawiając sfatygowaną teczkę w nogach łóżka, tak żeby Lonny mógł ją zobaczyć. Teczka musiała zawierać coś bardzo ważnego.

– Czy był pan kiedyś w Missisipi, panie Clark?

– Nie.

– Jest pan pewny?

– Jasne, że jestem.

– A niech mnie! To mi niespodzianka! Sądziłyśmy, że pan się tam urodził. Wydaliśmy dużo pieniędzy na kosztownych detektywów, którzy ruszyli śladami Ancila Hubbarda. Kiedy pojawiło się pana nazwisko, podążyli tym tropem i odnaleźli paru Lonnych Clarków. Jeden z nich urodził się w Missisipi sześćdziesiąt sześć lat temu. Czy ma pan sześćdziesiąt sześć lat, panie Clark?

Lonny spojrział na niego, przytłoczony i niepewny.

– Taak – wycedził powoli.

– Co zatem łączy pana z Ancilem Hubbardem?

– Przecież powiedział, że go nie zna – wtrąciła się pielęgniarka.

– Nie rozmawiam z panią! – rzucił Lucien. – To ważna sprawa prawna, duże dochodzenie, w którym bierze udział kilkunastu prawników. Toczy się w kilku sądach, idzie o furę pieniędzy. Jeśli zajdzie potrzeba, żeby wściubiła pani w to wszystko swój nos, dam pani znać. Do tego czasu proszę się nie wtrącać! – Poczerwieniła i sapnęła ze zdumienia.

Lonny nie znośli jej, więc dodał:

– Proszę nie udzielać za mnie odpowiedzi, dobrze? Potrafię o siebie zadbać. – Zbesztana kobieta cofnęła się od łóżka. Lucien i Lonny, zjednoczeni w pogardzie dla pielęgniarki, przyjrzeni się sobie uważnie. – Muszę się z tym przespać. Ostatnio na przemian tracę i odzyskuję pamięć. Dają mi jakieś środki odurzające, nie?

– Chętnie poczekam – odparł Lucien. – Odnalezienie Ancila Hubbarda jest dla nas bardzo ważne. – Wyciągnął z kieszeni wizytówkę i podał ją Lonny'emu. – To mój szef, Jake Brigance. Może pan z nim pogadać, sprawdzić, czy mówię prawdę. Pan Brigance jest głównym prawnikiem w tej sprawie.

– Pan też jest prawnikiem? – spytał Lonny.

– Tak, ale skończyły mi się wizytówki. Zatrzymałem się w hotelu Glacier Inn na Trzeciej Ulicy.

△△△

Późnym popołudniem Herschel Hubbard otworzył drzwi domu swojego ojca i wszedł do środka. Budynek stał pusty. Od jak dawna? Zatrzymał się i wykonał pośpieszne obliczenia. Ojciec popełnił samobójstwo drugiego października, w niedzielę. Dziś był drugi kwiecień, też niedziela. O ile wiedział, w domu nie sprzątano od dnia, gdy zwolnili Lettie, co nastąpiło dzień po pogrzebie. Gruba warstwa kurzu pokrywała telewizor i półki z książkami. Pokoje wypełniała woń zastalego powietrza i stęchłego tytoniu. Zapalił światło. Powiedziano mu, że Quince Lundy, administrator masy spadkowej, płaci rachunki za media. Kuchenne blaty były nieskazitelnie czyste, lodówka świeciła pustkami. Do porcelanowego zlewu z kranu wolno skapywały brunatne krople. Przeszedł na tył domu, do pokoju, który kiedyś nazywał swoim. Trzepnął w materac, żeby usunąć kurz, a później wyciągnął się wygodnie i spojrzał w sufit.

W ciągu ostatniego pół roku kilka razy igrał z losem, wydając forsy bez ograniczeń, ale również podwajając i potrajając majątek mądrymi inwestycjami. Czasem czuł się jak milioner, innym razem ogarniała go przerażająca pustka, gdy widział, jak bogactwo przecieka mu między palcami i zostaje z niczym. Dlaczego staruszek to zrobił? Herschel był gotów zaakceptować i wziąć na siebie niewspółmierną odpowiedzialność za ich napięte stosunki, ale nie wyobrażał sobie, że zostanie całkiem wydziedziczony. Mógł okazywać Sethowi więcej miłości, ale ojciec nie starał się jej odwzajemnić. Mógł spędzać w domu więcej czasu, ale Seth nie chciał go widzieć. Jaki błąd popełnili?

Ile lat miał Herschel, kiedy zdał sobie sprawę, że ojciec jest chłodny i daleki? Dziecko nie może zabiegać o względy ojca, który nie ma dla niego czasu.

Przecież Herschel nigdy z nim nie walczył, nigdy nie wprawił go w zakłopotanie otwartym buntem lub czymś gorszym – popadnięciem w uzależnienie, aresztowaniem, przestępczym życiem. Ich drogi się rozeszły, gdy miał osiemnaście lat i wyprowadził się z domu, żeby zostać mężczyzną. Jeśli jako dorosły zaniedbywał Seta, to tylko dlatego, że ten zaniedbywał go, kiedy Herschel był małym chłopcem. Dziecko nie przychodzi na świat ze skłonnością do zaniedbywania innych. Uczy się tego. Herschel uczył się tej sztuki od prawdziwego mistrza.

Czy pieniądze zmieniłyby coś w tej kwestii? Co zrobiłby inaczej, gdyby zdawał sobie sprawę, jak okazały się majątek ojca? Cholera, dużo! W końcu przyznał to przed sobą. Początkowo dumnie zapewniał, przynajmniej matkę, że niczego by nie zmienił. Co to, to nie, proszę pana. Jeśli Seth nie chciał zapisać nic swojemu jedynemu synowi, ten nie zamierzał mu w tym przeszkadzać. Jednak dzisiaj, gdy minął pewien czas i jego własny ponury świat stał się jeszcze bardziej mroczny, Herschel uświadomił sobie, że spędzałby tu czas, w tym domu, opiekując się swoim drogim starym tatą. Okazywałby entuzjastyczne zainteresowanie tarcicą i meblami. Błagałby Seta, żeby wprowadził go w interes, nauczył wszystkiego i wychował na swojego następcę. Zacisnęłaby zęby i wrócił do okręgu Ford. Wynająłby dom gdzieś w pobliżu, a już z pewnością miałby oko na Lettie Lang.

Utrata takiego majątku była ogromnie upokarzająca. Przyjaciele szeptali za jego plecami. Wrogowie rozkoszowali się jego nieszczęściami. Była żona pogardzała nim niemal tak, jak on Seta, i chętnie rozpowszechniała po całym Memphis wstrętne, choć prawdziwe plotki. Chociaż jej dzieci też odeszły z kwitkiem, nie mogła się powstrzymać przed dokładaniem nieszczęsnemu Herschelowi. Od pół roku miał trudności z prowadzeniem interesu i skupieniem uwagi na własnych sprawach. Niezapłacone rachunki i długi narastały. Nawet matka okazywała coraz mniejsze współczucie i pomoc. Dwa razy

poprosiła, żeby się wyprowadził, znalazł sobie inne miejsce. Chciał, ale nie mógł sobie na to pozwolić.

Jego los spoczywał teraz w rękach przebiegłego prawnika Wade'a Laniera, zręczliwego sędziego Reubena Atlee i przypadkowej grupy przysięgłych z rolniczej części Missisipi. Czasami był pewny zwycięstwa. Wiedział, że sprawiedliwość weźmie górę, pokona zło i wszystkie przeciwności. Przecież to niewłaściwe, aby majątek odziedziczyła gosposia, niezależnie od koloru skóry, która pojawiła się w ostatnich latach długiego życia ojca i chytrze nim pokierowała. Sprawiedliwość była po ich stronie. Czasami odczuwał niewypowiedziany ból, że pieniądze wyslizgują mu się z rąk. Jeśli zdarzyło się tak raz, z pewnością mogło się zdarzyć ponownie.

Ściany pokoju zbliżyły się do siebie, stęchłe powietrze zgęstniało. Był to dom pozbawiony radości, w którym rodzice pogardzali sobą nawzajem. Przeklął ich oboje, a później skupił uwagę na Secie. Po co mieć dzieci, jeśli się ich nie pragnie? Zmagał się z tymi pytaniami od lat i nie znajdował odpowiedzi. Postanowił o tym zapomnieć.

Dość tego. Zamknął dom i pojechał do Clanton, gdzie spodziewano się go około osiemnastej, Ian i Ramona byli już na miejscu, w dużej sali konferencyjnej na drugim piętrze kancelarii Sullivana. Po jego przybyciu błyskotliwy konsultant do spraw ławy przysięgłych, niejaki Myron Pankey, miał przedstawić wyniki swoich drobiazgowych badań. Przywitani się zdawkowo i zostali równie zdawkowo przedstawieni. Pankey był w towarzystwie dwóch asystentek, atrakcyjnych młodych dam zajętych notowaniem.

Wade Lanier i Lester Chilcott siedzieli w otoczeniu asystentów prawnych.

– W naszym badaniu telefonicznym, po przedstawieniu dodatkowych faktów, iż testament został sporządzony przez zamożnego siedemdziesięcioletniego mężczyznę, którym opiekowała się atrakcyjna, znacznie młodsza kobieta, połowa rozmówców zapytała, czy łączyły ich bliższe stosunki – zaczął Pankey. – Nigdy nie wspomnieliśmy o seksie, ale taka była zwykle automatyczna reakcja. Co naprawdę między nimi zaszło? Chociaż nie poruszyliśmy kwestii koloru

skóry, czarni respondenci niemal w osiemdziesięciu procentach przypadków podejrzewali istnienie związku o podłożu seksualnym. W przypadku białych było to pięćdziesiąt pięć procent.

– Zatem kwestia pozostaje, choć nikt nie mówi o tym głośno – skwitował Lanier.

Czy nie wiedzieliśmy tego sześć miesięcy temu? – spytał samego siebie Herschel, gryzmołąc w notatniku. Do tej pory zapłacili Pankeyowi dwie trzecie jego honorarium wynoszącego siedemdziesiąt pięć tysięcy. Pieniądze zostały wyasygnowane przez kancelarię prawną Wade'a Laniera, która pokrywała wszystkie wydatki związane z procesem, Ian dorzucił dwadzieścia tysięcy, a Herschel zero. Jeśli odzyskają pieniądze, będzie wojna o ich podział.

Pankey zaczął rozdawać opasłe broszury, aby mogli sobie poczytać do woli, choć prawnicy spędzili już wiele godzin nad materiałami. Każdemu z potencjalnych przysięgłych od Ambrose'a do Younga poświęcono jedną, dwie strony podsumowania. Wiele zawierało zdjęcia domów i pojazdów, kilka aktualne fotografie przysięgłych. Zdobyto je z kościelnych i klubowych katalogów oraz roczników wydawanych przez licea. Kilka zostało wykonanych po kryjomu przez przyjaciół.

– Nasz idealny przysięgły to człowiek rasy białej powyżej pięćdziesiątego roku życia – mówił Pankey. – Młodszy chodzili do szkół integracyjnych i mają bardziej tolerancyjny stosunek do rasy, a na tolerancji nam nie zależy. Przykro powiedzieć, ale im większy rasista, tym lepiej. Białe kobiety są nieco bardziej pożądane od białych mężczyzn, bo mają skłonność do okazywania większej zazdrości wobec innych kobiet, którym udało się zmanipulować testatora. Facet może tłumaczyć innego faceta, że dał się ogłupić opiekunce, ale kobieta nie okaże tyle zrozumienia.

I oni dali za to siedemdziesiąt pięć tysięcy, mruknął pod nosem Herschel. Przecież to oczywiste! Posłał znudzone spojrzenie siostrze, która wyglądała na starą i zmęczoną, Ianowi kiepsko szło. W ciągu ostatnich trzech miesięcy rodzeństwo rozmawiało przez telefon więcej niż przez poprzednie dziesięć lat. Inwestycje Iana nie przyno-

siły spodziewanego zysku, a ich małżeństwo nie wytrzymało presji, Ian spędzał większość czasu nad Zatoką Meksykańską, gdzie wraz z paroma wspólnikami odnawiał centrum handlowe. Ramona nie miała nic przeciwko temu, bo nie chciała go w domu. Otwarcie przebąkiwała o rozwodzie, przynajmniej Herschelowi. Jeśli przegrają sprawę, może z Ianem utkwic na zawsze. Brat musiał ją stale zapewniać, że nie przegrają.

Omawiali wyniki badań do dziewiętnastej trzydzieści, kiedy Wade Lanier oświadczył, że ma dość. Pojechali do knajpy rybnej z widokiem na jezioro Chatulla i cieszyli się długą kolacją, jak to bywa z prawnikami i ich klientami. Parę drinków ukoilo nerwy, zdołali się zrelaksować. Jak większość prawników procesowych Wade Lanier był świetnym gawędziarzem, więc zabawiał ich opowieściami o swoich awanturach na sali sądowej.

Stale powtarzał:

- Wygramy. Zaufajcie mi.

△△△

Lucien siedział w swoim pokoju hotelowym. Kiedy zadzwonił telefon, na stoliku nocnym stała szklaneczka jacka danielsa z lodem, a nos Wilbanksa tkwił w kolejnej nieprzeniknionej powieści Faulknera.

- Czy to pan Wilbanks? – zapytał słaby głos z drugiej strony.
- Tak – odparł Lucien, delikatnie zamykając książkę i opuszczając stopy na podłogę.
- Mówi Lonny Clark, panie Wilbanks.
- Proszę mówić mi Lucien, a ja będę mówił panu Lonny, zgoda?
- Zgoda.
- Jak się dziś miewasz, Lonny?
- Lepiej, znacznie lepiej. Wczorajszej nocy byłeś w moim pokoju, prawda, Lucienie? Wiem. Sądziłem, że śnię, kiedy ostatniej nocy w moim pokoju pojawił się nieznajomy, ale gdy dziś przyszedłeś, od razu cię poznałem, przypomniałem sobie głos.
- Obawiam się, że naprawdę ci się to śniło, Lonny.
- Nie, nie śniło mi się. Byłeś też poprzedniej nocy. Przyszedłeś w

piątek i sobotę. To byłeś ty. Wiem.

– Nikt nie może wejść do twojego pokoju, Lonny. Zapomniałeś, że przy drzwiach siedzi gliniarz. Powiedzieli, że pilnują cię przez całą dobę.

Lonny zamilkł, jakby o tym nie wiedział. Jeśli faktycznie tak było, jak nieznajomy zdołał się zakraść do pokoju?

– Ten człowiek mówił coś o Sylwestrze Rindsie – powiedział w końcu. – Słyszałeś o Sylwestrze Rindsie, Lucienie?

– Skąd facet jest? – zapytał Lucien, upijając łyk jacka danielsa.

– Zadałem ci pytanie, Lucienie. Znasz Sylwestra Rindsa?

– Całe życie mieszkam w okręgu Ford, Lonny. Znam tam wszystkich, czarnych i białych, ale coś mi mówi, że Sylvester Rinds zmarł, zanim się urodziłem. Znałeś go?

– Sam nie wiem. Jestem przymulony. To było bardzo dawno temu... – Głos Lonny'ego przycichł, jakby odłożył słuchawkę.

Zachęć go do mówienia, powiedział sobie Lucien.

– Bardziej interesuje mnie Ancil Hubbard... – rzucił. – Poszczęściło ci się, Lonny?

– Może coś sobie przypomniałem – odrzekł słabym głosem. – Mógłbyś wpaść do mnie jutro?

– Oczywiście. Kiedy?

– Wcześniej, rano nie jestem taki zmęczony.

– Kiedy lekarze kończą obchód?

– Nie mam pojęcia. O dziewiątej lub coś koło tego.

– Będę o dziewiątej trzydzieści, Lonny.

Rozdział 39

Nevin Dark zaparkował pick-upa przed gmachem sądu i spojrzał na zegarek. Przyjechał wcześniej, ale taki miał plan. Nigdy nie został wezwany, aby kandydować na członka ławy przysięgłych, więc niechętnie przyznawał, że to dość ekscytujące. Gospodarzył na osiemdziesięciu hektarach ziemi na zachód od Karaway i rzadko zaglądał do Clanton. Właściwie nie pamiętał, kiedy ostatni raz odwiedził stolicę okręgu. Z tej okazji włożył najnowszą parę sztywnych spodni khaki i skórzaną kurtkę, którą dostał od ojca, pilota w czasie drugiej wojny światowej. Żona odprasowała mu bawełnianą koszulę z kołnierzykiem na guziki. Nevin rzadko bywał tak wystrojony. Zatrzymał się na chwilę i rozejrzał wokół sądu, szukając innych z wezwaniem w garści.

Niewiele wiedział o tej sprawie. Szwagier, okropny chwalipięta, twierdził, że przedmiotem sporu jest sporządzony odręcznie testament, ale nie znał innych szczegółów. Ani Nevin, ani jego małżonka nie prenumerowali lokalnych gazet. Od dziesięciu lat nie postawili nogi w kościele, więc nie mieli dostępu do bogatego źródła plotek. W wezwaniu nie było nic o obowiązkach przysięgłego, które go czekały. Nevin nigdy nie słyszał o Secie Hubbardzie ani Lettie Lang. Rozpoznałby nazwisko Jake'a Brigance'a, ale tylko dlatego, że Jake pochodził z Karaway, a proces Haileya cieszył się złą sławą.

Mówiąc krótko, Nevin był wzorowym kandydatem na przysięgłego: w miarę inteligentny, bezstronny i niedoinformowany. Złożone wezwanie spoczywało w kieszeni jego kurtki. Obszedł plac, żeby zmitrzążyć kilka minut, a później zajrzał do sądu, gdzie zaczęło się

robić gorąco. Wszedł po schodach i dołączył do tłumu kłębiącego się przed dużymi dębowymi drzwiami prowadzącymi do głównej sali rozpraw. Dwaj umundurowani ludzie szeryfa stali obok z podkładkami. Nevin został w końcu wylegitymowany, a gdy wszedł na salę, uśmiechnięty urzędnik sądowy wskazał mu miejsce z lewej strony. Usiadł obok atrakcyjnej kobiety w krótkiej spódniczce, która w ciągu dwóch minut poinformowała go, że uczyła w tej samej szkole co Carla Brigance, i pewnie nie zostanie wybrana. Kiedy wyznał, że nie wie nic o sprawie, okazała zdumienie. Trudno w to uwierzyć! Wszyscy wezwani szeptali między sobą, obserwując prawników z ważnymi minami krążących po sali. Ława sędziego była pusta. Sześciu urzędników przenosiło papiery z jednego miejsca w drugie, nie robiąc nic pożytecznego, a jedynie starając się usprawiedliwić swoją obecność na największej rozprawie w sprawie zatwierdzenia testamentu w całej historii okręgu Ford. Niektórzy prawnicy nie mieli najmniejszego związku ze sprawą, żadnego powodu, by przebywać dziś w sądzie, ale sala wypełniona kandydatami na przysięgłych zawsze przyciągała uwagę kilku sądowych bywalców.

Dla przykładu prawnik Chuck Rhea nie miał klientów, kancelarii ani pieniędzy. Co jakiś czas sprawdzał tytuły własności w księgach wieczystych, więc zawsze był w sądzie, starając się zabić ogromną ilość wolnego czasu, pijąc kawę w pokojach, gdzie akurat zaparzone świeżą, flirtując z urzędniczkami, które świetnie go znały, i plotkując z każdym prawnikiem, który znalazł się w zasięgu słuchu. Jednym słowem, przebywał w sądzie. Chuck rzadko opuszczał jakąś rozprawę. Ponieważ nie miał własnych spraw, śledził wszystkie prowadzone przez kolegów. Tego dnia miał na sobie swój najczarniejszy garnitur, a jego wyglansowane półbuty lśniły. Zamienił słówko z Jakiem i Harrym Rexem, którzy znali go aż za dobrze, i zagadał do prawników spoza miasta, którzy zdążyli się już zorientować, że Chuck jest jednym ze stałych elementów wyposażenia tutejszego sądu. W każdym przybytku Temidy byli tacy jak on.

Do rozmowy wtrącił się mężczyzna siedzący po lewej stronie Nevina. Oświadczył, że ma w Clanton firmę produkującą ogrodzenia i

ze kiedyś zakładał siatkę w zagrodzie dla psów myśliwskich Harry'ego Rexa Vonnera. Pokazał go palcem i powiedział:

- To najpodlejszy prawnik rozwodowy w całym okręgu.
- Pracuje dla Jake'a Brigance'a? – spytał Nevin, który nie miał o niczym pojęcia.

- Na to wygląda.
- Kim są pozostali?
- A kto ich wie? Ostatnio tyłu się tu kręci. Pełno ich na rynku.

Woźny sądowy nagle ożył i krzyknął:

– Wstać, sąd idzie! Rozpoczynamy obrady sądu kanclerskiego Dwudziestego Piątego Obwodu sądowego stanu Missisipi! Przewodniczy sędzia Reuben V. Atlee!

Ukazał się sędzia Atlee i zajął miejsce za ławą, a publiczność zerwała się na równe nogi.

– Proszę usiąść – powiedział. Tłum hałaśliwie spoczął na miejscach. Sędzia powitał zebranych, życzył wszystkim udanego ranka i podziękował kandydatom na przysięgłych za przybycie. Jakby mieli wybór. Wyjaśnił, że pierwszym punktem obrad będzie wybór sędziów przysięgłych, dwunastu przysięgłych i dwóch rezerwowych, oraz wyraził przypuszczenie, iż zajmie im to większą część dnia. Czasami sprawy posuwają się wolno, jak to bywa w sądzie, więc poprosił o cierpliwość. Urzędnik sądowy przygotował małe karteczki z nazwiskami wszystkich kandydatów. Umieści je w plastikowym pojemniku i będzie wyciągał w przypadkowy sposób. Kandydaci zajmą miejsca w kolejności wyczytywania. Po wylosowaniu pięćdziesięciu reszta zostanie zwolniona. Jeśli zajdzie potrzeba, mogą zostać wezwani następnego dnia.

Sala sądowa składała się z dwóch części, na prawo i na lewo od środkowego przejścia. W każdej stało po dziesięć długich ławek, na których mogło usiąść około dziesięciu ludzi. Ponieważ sala była pełna, sędzia Atlee poprosił widzów o powstanie i zwolnienie czterech pierwszych rzędów ze lewej strony. Ludzie kilka minut szurali nogami, wpadali na siebie i kręcili się niepewnie, nie wiedząc, co z sobą zrobić. Większość stanęła przy ścianach. Atlee sięgnął do

plastikowego pojemnika, wyciągnął karteczkę z nazwiskiem i zawołał:

– Pan Nevin Dark!

Nevinowi zabiło serce, ale wstał i powiedział:

– Tak, proszę pana.

– Witam, panie Dark. Byłby pan łaskaw usiąść tutaj, w pierwszym rzędzie, z lewej strony. Dla wygody będziemy nazywać pana przysięgłym numer jeden.

– Oczywiście.

Idąc w kierunku ławy, Nevin zauważył, że prawnicy gapią się na niego, jakby przed chwilą kogoś zastrzelił. Zajął miejsce w pustym pierwszym rzędzie. Prawnicy nadal się gapili. Wszyscy, co do jednego.

Nevin Dark. Biały mężczyzna, pięćdziesiąt trzy lata, farmer, żonaty, dwoje dorosłych dzieci, nieuczęszczający do kościoła, nienależący do żadnego klubu, brak dyplomu ukończenia college'u i przeszłości kryminalnej. Jake dał mu notę siedem. Razem z Portią zajrzeli do notatek. Harry Rex, który stał w rogu, obok ławy przysięgłych, też przeglądał swoje zapiski. Ich idealny przysięgły był czarnym mężczyzną lub kobietą w dowolnym wieku, ale w tłumie było takich niewielu. Wade Lanier i Lester Chilcott siedzący przy stole strony kwestionującej testament zaglądali do wyników własnych badań. Ich idealnym przysięgłym była biała kobieta, czterdziestopięcioletnia lub starsza, wychowana na dawnym Południu w czasach, gdy istniały głębokie podziały rasowe, nieokazująca najmniejszej tolerancji wobec czarnych. Nevin Dark się im podobał, choć nie wiedzieli o nim więcej od Jake'a.

Numerem dwa została Tracy McMillen, sekretarka, biała kobieta w wieku trzydziestu jeden lat. Sędzia Atlee wyciągał i rozwijał kolejne kartki, starannie odczytywał nazwiska i pozwalał każdemu zająć swoje miejsce. Kiedy pierwszy rząd się wypełnił, kandydaci zaczęli zajmować miejsca w drugim, poczynając od przysięgłej numer jedenaście, Sherry Benton, pierwszej czarnej kandydatki.

Usadzenie pięćdziesięciu osób zajęło godzinę. Kiedy wszyscy

zajęli miejsca, sędzia Atlee zwolnił pozostałych, wyjaśniając, że powinni czekać w pogotowiu na następne zawiadomienie. Niektórzy wyszli z sali, ale większość pozostała na miejscu, dołączając do publiczności.

– Ogłaszam piętnastominutową przerwę – oświadczył Atlee, uderzył młotkiem, uniósł swoją ciężką postać i opuścił ławę sędziowską z połami togi łopoczącymi za plecami. Prawnicy skupili się w rozgorączkowanych grupach, przekrzykując jedni drugich. Jake, Portia i Harry Rex udali się do sali narad przysięgłych, która w tej chwili była pusta. Ledwie Jake zamknął drzwi, gdy Harry Rex oznajmił:

– Jesteśmy załatwieni, wiecie?! Bardzo złe losowanie! Fatalne, fatalne!

– Daj spokój – burknął Jake, rzucając notatnik na stół i strzelając palcami.

– Mamy jedenastu czarnych na pięćdziesięciu. Niestety, czterech siedzi w drugim rzędzie. Znowu zostaliśmy zepchnięci na tył – stwierdziła Portia.

– Starasz się być zabawna? – burknął Harry Rex.

– Sądziłam, że tak będzie dobrze.

– Możesz o nich zapomnieć – powiedział Jake. – Wątpię, czy dojdziemy do przysięgłego numer czterdzieści.

– Jestem podobnego zdania – przytaknął Harry Rex. – Skoro już o tym mowa, pozwalam siódmego, osiemnastego, trzydziestego pierwszego, trzydziestego szóstego i czterdziestego siódmego w sprawie rozwodowej. Nie wiedzą, że dla ciebie pracuję, panie Brigrance. Ja też nie jestem tego pewny, bo mam pieprzoną pewność, że mi nie zapłacisz. Jest poniedziałek rano. W mojej kancelarii kłębią się małżonkowie pragnący rozwodu, niektórzy uzbrojeni. A ja snuję się po sądzie jak Chuck Rhea, nie dostając za to ani grosza.

– Byłbyś łaskaw się zamknąć?! – ryknął Jake.

– Skoro nalegasz...

– Sprawa nie jest beznadziejna – powiedział Jake. – Wynik losowania faktycznie nie jest najlepszy, ale sytuacja nie jest bezna-

dziejna.

- Założę się, że Lanier i jego chłopcy śmieją się od ucha do ucha.
- Nie rozumiem was, panowie – wtrąciła się Portia. – Czemu zawsze widzicie tylko czarnych i białych? Patrzę na tych ludzi, na ich twarze i nie widzę bandy zatwardziałych rasistów, którzy najchętniej spaliliby testament i oddali wszystko drugiej stronie. Widzę wśród nich rozsądnych ludzi.
- I paru nierozsądnych – wtrącił Harry Rex.
- Zgadzam się z Portią, ale daleko jeszcze do ostatecznej dwunastki. Zachowajmy sprzeczki na później.

△△△

Po przerwie pozwolono prawnikom przesunąć krzesła na drugą stronę stołów, aby mogli patrzeć na kandydatów, a oni na nich. Sędzia Atlee zajął miejsce w ławie bez rytualnego zawołania „Proszę wstać, sąd idzie” i rozpoczął od zwięzłego przedstawienia sprawy. Spodziewają się, że proces potrwa trzy, najwyżej cztery dni. Jeśli o niego chodzi, zaplanował, że zakończy się do piątku po południu. Przedstawił prawników, wszystkich, co do jednego, ale nie wspomniał o asystentach prawnych. Jake był sam przeciwko całej zgrai jurystów.

Sędzia Atlee wyjaśnił, że omówi kilka podstawowych kwestii, a później pozwoli, żeby prawnicy zadawali pytania i sondowali kandydatów. Zaczął od zdrowia. Czy wśród kandydatów są chorzy, osoby poddawane leczeniu lub niemogące siedzieć i słuchać przez dłuższy czas? Jedna z pań wstała i oświadczyła, że jej mąż jest w szpitalu w Tupelo i powinna być u jego boku.

– Zwalam panią – odrzekł z wielkim współczuciem sędzia Atlee, a niewiasta pośpiesznie wyszła z sali. Mogli skreślić numer dwadzieścia dziewięć.

Numerowi czterdzieści wypadł dysk. W ostatni weekend jego stan uległ pogorszeniu i teraz odczuwał silny ból. Facet brał środki przeciwbólowe, które czyniły go z lekka otępiałym.

– Jest pan wolny – odprawił go Atlee.

Wydawało się, że sędzia jest gotów zwolnić każdego, kto przed-

stawi uzasadniony powód, ale okazało się, że tak nie jest. Kiedy zapytał o konflikty w pracy, podniósł się mężczyzna w kurtce i krawacie, oświadczając najzwyczajniej w świecie, że nie może opuścić biura. Był kierownikiem regionalnym w firmie produkującej stalowe baraki, najwyraźniej przekonany o swojej ważności. Dał nawet do zrozumienia, że może stracić pracę. Sędzia Atlee wygłosił pięciominutowy wykład na temat obywatelskiej odpowiedzialności i zbeształ faceta. Zakończył słowami:

– Proszę dać mi znać, jeśli straci pan pracę, panie Crawford. Wezwę do sądu pańskiego szefa, postawię w miejscu dla świadka i dopilnuję, żeby miał zły dzień.

Pan Crawford usiadł upokorzony. Nie było innych prób wymówienia się od obywatelskiego obowiązku z uwagi na pracę. Sędzia Atlee przeszedł do omówienia następnej sprawy: wcześniejszego zasiadania w ławie przysięgłych. Kilku miało już ten zaszczyt, trzech w sądzie stanowym, dwóch w federalnym. Żadne z tych doświadczeń nic wpływało negatywnie na ich zdolność sądenia w tej sprawie.

Dziewięć osób przyznało, że zna Jake'a Brigance'a. Zwolniono jego czterech dawnych klientów. Dwie panie uczęszczały do tego samego kościoła, ale uważały, że ten fakt nie będzie miał wpływu na ich osąd. Nie zostały zwolnione. Zwolniono za to dalekiego krewnego Jake'a. Przyjaciółka Carli, która uczyła w tej samej szkole, powiedziała, że zbyt dobrze zna Jake'a, aby mogła mieć obiektywne stanowisko. Skoro tak, sędzia Atlee ją zwolnił. Ostatni zgłosił się kumpel Jake'a z liceum w Karaway, ale przyznał, że nie widział go od dziecięciu lat. Pozostał w ławie przysięgłych do dalszego rozważenia.

Później przedstawiono następnych prawników i kandydaci usłyszeli identyczne pytania. Nie, żaden nie znał Wade'a Laniera, Lestera Chilcotta, Zacka Zeitlera lub Joe Bradleya Hunta, ale w końcu byli prawnikami spoza miasta.

Sędzia Atlee powiedział:

– Przejdźmy dalej. Ostatnia wola i testament będące przedmiotem sporu zostały sporządzone przez niejakiego Setha Hubbarda, który oczywiście nie żyje. Czy ktoś z państwa znał go osobiście? – W

górze nieśmiało powędrowały dwie ręce. Jeden z kandydatów wstał i oświadczył, że dorastał w rejonie Palmyry i znał Setha, gdy byli odrobinę młodszy.

- Ile ma pan lat? – spytał sędzia Atlee.
- Sześćdziesiąt dziewięć.
- Czy wie pan, że może poprosić o zwolnienie, bo ma ponad sześćdziesiąt pięć lat?
- Tak, Wysoki Sądzie. Chyba nie muszę tego robić, prawda?
- Nie. Jeśli pragnie pan zasiadać w ławie przysięgłych, to jest to godne pochwały. Dziękuję.

Po nim głos zabrała jakaś kobieta, mówiąc, że kiedyś pracowała w składzie drewna należącym do Setha Hubbarda, ale ten fakt nie będzie stanowić problemu. Sędzia Atlee wymienił nazwiska dwóch żon Setha i zapytał, czy ktoś z kandydatów je zna. Inna pani oświadczyła, że jej starsza siostra była zaprzyjaźniona z pierwszą żoną zmarłego, ale było to bardzo dawno temu. Wysoki Sąd poprosił Herschela Hubbarda i Ramonę Hubbard o powstanie. Uśmiechnęli się niezręcznie do sędziego i przysięgłych, a następnie usiedli. Sędzia Atlee spytał metodycznie, czy kandydaci na przysięgłych ich znają. W górę powędroowało kilka rąk, wszystko dawnych kolegów z liceum w Clanton. Wysoki Sąd zadał każdemu szereg pytań. Wszyscy utrzymywali, że niewiele wiedzą o sprawie i nie będzie to miało większego wpływu na ich werdykt.

Na sali powiało nudą, gdy sędzia Atlee zadawał jedno pytanie po drugim. Do południa zwolniono dwunastu z pięćdziesięciu. Wyłącznie białych. Wśród trzydziestu ośmiu, którzy pozostali, było jedenastu czarnych, bo ani jeden nie podniósł ręki.

Podczas przerwy na lunch prawnicy spotkali się w grupach, nerwowo debatując nad tym, kogo można przyjąć, a kogo należy odrzucić. Nie zwracali uwagi na kanapki, dyskutując o języku ciała i wyrazie twarzy. W kancelarii Jake'a panowała nieco weselsza atmosfera, bo grupa kandydatów trochę pociemniała. W głównej sali konferencyjnej kancelarii Sullivana wyczuwało się nieco cięższy nastrój, bo czarni okopali się na pozycjach. Z jedenastu, którzy

pozostali, żaden nie przyznał, że zna Lettie Lang. Przecież to niemożliwe w takim małym okręgu! Musieli uknuć spisek! Myron Pankey uważnie obserwował paru podczas przesłuchania i nie miał wątpliwości, że zrobią wszystko, aby znaleźć się w składzie ławy przysięgłych. Tyle że Myron był z Cleveland i niewiele wiedział o czarnych z Południa.

Wade Lanier pozostał niewzruszony. Brał udział w większej liczbie procesów w Missisipi niż pozostali prawnicy razem wzięci i nie przejmował się trzydziestoma ośmioma kandydatami na przysięgłych. Podczas niemal każdego procesu zatrudniał konsultantów, którzy badali pochodzenie wybrańców, ale kiedy oglądał ich na własne oczy, wiedział, że potrafi w nich czytać jak w otwartej księdze. Chociaż tego nie powiedział, spodobało mu się to, co zobaczył tego ranka.

Lanier miał dwa wielkie asy w rękawie: spisany odręcznie testament Irene Pickering i zeznanie Juliny Kidd. O ile wiedział, Jake nie miał pojęcia, co go czeka. Jeśli Lanierowi uda się zdetonować dwie bomby na otwartym posiedzeniu sądu, uzyska jednogłośnie wyrok. Po długich negocjacjach Fritz Pickering zgodził się zeznawać za siedem i pół tysiąca dolarów. Julina Kidd wyraziła zgodę za marnych pięć. Ani Fritz, ani Julina nie rozmawiali z nikim z przeciwnej strony, więc Lanier był pewny, że przeciwnik wpadnie w zasadzkę.

Do tej pory jego firma zapłaciła lub zobowiązała się zapłacić ponad osiemdziesiąt pięć tysięcy dolarów tytułem kosztów procesowych, co ostatecznie mieli pokryć jego klienci. Ci rzadko rozmawiali o kosztach procesu, choć stale o nich myśleli. Martwili się rosnącymi wydatkami, ale Wade Lanier znał ekonomiczne realia głośnej sprawy sądowej. Dwa lata temu jego firma wydała dwieście tysięcy na sprawę o odpowiedzialność za jakość towaru i przegrała.

Wiadomo, rzucasz kostką i czasami przegrywasz. Jednak Wade Lanier nawet nie dopuszczał myśli o przegranej w sprawie Seta Hubbarda.

△△△

Nevin Dark usiadł w boksie w Coffee Shopie wraz z trójką nowych

przyjaciół i zamówił u Dell mrożoną herbatę. Cała czwórka nosiła białe identyfikatory z napisem „przysięgli” skreślonym wielkimi niebieskimi literami, jakby byli teraz oficjalnie zakazani i nieprzystępni. Dell widziała takie plakietki setki razy i wiedziała, że powinna pilnie nasłuchiwać, nie zadając żadnych pytań i nie wyrażając opinii.

Trzydziestu ośmiu pozostałych przysięgłych zostało pouczonych przez sędziego Atlee, aby nie rozmawiali o sprawie. Ponieważ Nevin i siedzące z nim osoby wcześniej się nie znały, rozmawiali kilka minut o sobie, przeglądając menu. Fran Decker była emerytowaną nauczycielką z Lake Village, położonego piętnaście kilometrów na południe od Clanton. Charles Ozier sprzedawał ciągniki dla firmy z okolic Tupelo i mieszkał nad jeziorem. Debbie Lacker mieszkała w centrum Palmyry, osady liczącej trzystu pięćdziesięciu mieszkańców, ale nigdy nie poznała Setha Hubbarda. Ponieważ nie mogli rozmawiać o testamencie Hubbarda, rozmawiali o sędzim, sali sądowej i prawnikach. Dell czujnie nasłuchiwała, ale nie wyczytała nic z ich rozmowy przy lunchu, a przynajmniej nic, o czym mogłaby donieść Jake'owi, gdyby wpadł później na plotki.

O trzynastej piętnaście zapłacili rachunki i wrócili do sądu. O trzynastej trzydzięci, kiedy stawili się wszyscy z trzydziestu ośmiu kandydatów, sędzia Atlee oznajmił:

– Życzę miłego popołudnia.

Wyjaśnił, że przejdzie teraz do wyboru ławy przysięgłych i że ma zamiar zrobić to w nieco niezwykły sposób. Kandydaci będą proszeni po kolei do jego gabinetu, aby prawnicy mogli ich przepytwać na osobności.

Jake wystąpił z taką inicjatywą, bo przypuszczał, że kandydaci jako grupa wiedzieli o sprawie więcej, niż byli gotowi przyznać. Przypiekając ich pojedynczo, miał nadzieję wydobyć dodatkowe informacje. Wade Lanier nie zgłosił sprzeciwu.

– Zapraszam do mojego gabinetu pana Nevina Darka – rzekł sędzia Atlee.

Wózny sądowy wskazał mu drogę. Nevin nerwowo przeszedł obok ławy, otworzył drzwi, pokonał krótki korytarz i wkroczył do małego

pokoju, gdzie wszyscy już na niego czekali.

– Przypominam, że odpowiada pan pod przysięgą, panie Dark – pouczył go sędzieja Atlee.

– Oczywiście.

Jake Brigance uśmiechnął się do niego najserdeczniej, jak potrafił, i zaczął:

– Niektóre z pytań mogą się okazać zbyt osobiste, panie Dark. Jeśli pan nie chce, nie musi na nie odpowiadać. Czy pan rozumie?

– Tak.

– Czy ma pan testament?

– Tak.

– Kto go sporządził?

– Barney Suggs, prawnik z Karaway.

– A pańska żona?

– Też, podpisaliśmy dokumenty w tym samym czasie, w biurze pana Suggsa. Będzie ze trzy lata temu.

Nie pytając o szczegóły, Jake krążył na obrzeżach procesu sporządzania testamentu. Co skłoniło ich do spisania go? Czy dzieci znają treść dokumentów? Czy często zmieniali testament? Czy dostali coś w spadku? Czy on, Nevin Dark, uważa, że człowiek powinien mieć prawo zapisać swój majątek dowolnej osobie? Komuś spoza rodziny? Organizacji dobroczynnej? Przyjacielowi lub pracownikowi? Czy pan Dark lub jego małżonka zastanawiali się kiedykolwiek nad zmianą ostatniej woli i wyłączeniem osoby, która obecnie jest jego beneficjentem?

I tak dalej. Kiedy Jake skończył, Wade Lanier zadał szereg pytań o leki i środki przeciwbólne. Nevin Dark stwierdził, że używa ich sporadycznie, ale jego żona, która miała raka piersi, stosowała bardzo silne leki. Nie mógł sobie przypomnieć, jak się nazywały. Lanier okazał szczere z troską losem kobiety, której nigdy nie poznał, i drążył na tyle długo, aby zasugerować, że silne środki przeciwbólne przyjmowane przez ciężko chorych często powodują osłabienie zdolności racjonalnego myślenia. Ziarenko zostało zrzęcznie zasiane.

Sędzia Atlee spoglądał na zegarek i po dziesięciu minutach oznajmił, że czas minął. Dark wrócił na salę i natychmiast znalazł się w centrum uwagi. Kandydatka numer dwa, Tracy McMillen, czekała na krześle przy ławie sędziowskiej. Zaprowadzono ją szybko do gabinetu, gdzie usłyszała te same pytania co Nevin.

Na sali powiało nudą, więc wielu widzów udało się do domu. Niektórzy kandydaci na przysięgłych drzemali, inni czytali gazety lub czasopisma. Woźni szeroko ziewali i gapili się przez duże okna na trawnik przed gmachem, a kandydaci jeden po drugim podążali do pokoju sędziego Atlee. Większość zniknęła na pełnych dziesięć minut, ale niektórym zabierało to mniej czasu. Kiedy kandydatka numer jedenaście wróciła z przesłuchania, przeszła obok ławek i ruszyła do drzwi, zwolniona z powodów, których siedzący na sali mieli nigdy nie poznać.

Lettie i Phedra wyszły na długą przerwę. Idąc między ławkami w stronę podwójnych drzwi, starannie unikały spoglądania na klan Hubbardów skupiony w tylnym rzędzie.

△△△

Dochodziła osiemnasta trzydzieści, kiedy na salę powrócił kandydat numer trzydzieści osiem. Sędzia Atlee energicznie zatarł dłonie i oznajmił:

– Panowie, zakończmy robotę, abyśmy jutro rano mogli zacząć od wygłoszenia oświadczeń wstępnych. Zgoda?

– Wysoki Sądzie, chciałbym ponownie wnioszek o zmianę miejsca procesu – rzekł Jake. – Po przepytaniu pierwszych trzydziestu ośmiu kandydatów odnoszę wrażenie, że jako grupa wiedzą zbyt dużo o sprawie. Niemal każdy był gotów przyznać, że coś o niej słyszał. To raczej niezwykle w sprawie z powództwa cywilnego.

– Wręcz przeciwnie, Jake – odpowiedział sędzia Atlee. – Uważam, że udzielali prawidłowych odpowiedzi. Pewnie, że słyszeli o sprawie, ale niemal wszyscy utrzymywali, że pozostaną bezstronni.

– Zgadza się, Wysoki Sądzie – wtrącił swoje trzy grosze Lannier. – Nie licząc paru wyjątków, kandydaci zrobili na mnie dobre

wrażenie.

– Oddalam wniosek, Jake.

– Nie jestem zaskoczony – mruknął Brigance na tyle głośno, żeby wszyscy usłyszeli.

– Czy możemy przystąpić do wyboru ławy przysięgłych?

– Jestem gotów – odrzekł Jake.

– Zaczynamy – przytaknął Wade Lanier.

– Znakomicie. Odrzucam kandydatów numer trzy, cztery, siedem, dziewięć, piętnaście, osiemnaście i dwadzieścia cztery. Jakież pytania?

– Tak, Wysoki Sądzie – wycedził Lanier. – Dlaczego piętnaście?

– Powiedział, że zna rodzinę Rostonów i jest przybity śmiercią ich synów. Podejrzewam, że chowa urazę do każdego, kto nosi nazwisko Lang.

– Przecież podkreślił, że nie chowa urazy, Wysoki Sądzie – zdziwił się Lanier.

– Wiem, że tak powiedział. Po prostu mu nie wierzę. Odsuwam go od sprawy. Ktoś jeszcze?

Jake pokręcił głową. Lanier był wściekły, ale nic nie powiedział. Sędzia Atlee drążył dalej:

– Każda ze stron ma cztery prawa weta. Panie Brigance, proszę zaproponować pierwszych dwunastu.

Jake spojrział nerwowo w notatki i wolno powiedział:

– Bierzemy kandydatów o numerach jeden, dwa, pięć, osiem, dziesięć, dwanaście, czternaście, szesnaście, siedemnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia jeden i dwadzieścia dwa. – Zapadła dłuższa cisza, bo wszyscy w pokoju spoglądali do swoich kajetów i robili notatki. W końcu zabrał głos sędzia Atlee:

– Odrzuciłeś szóstego, trzynastego, dwudziestego i dwudziestego trzeciego, czy tak?

– Tak, Wysoki Sądzie.

– Jest pan gotów, panie Lanier?

– Sekundę, Wysoki Sądzie – odparł Lanier, naradzając się z Lesterem Chilcottem. Szeptali chwilę, najwyraźniej nie mogąc dojść do

zgody. Jake natężył słuch, ale nie zdołał nic usłyszeć.

Skupił wzrok na swoim notatniku, na wybranych dwunastu, wiedząc, że nie zdoła wszystkich ocalić.

– Panowie?! – przynaglił ich sędzia Atlee.

– Tak, Wysoki Sądzie – odparł wolno Lanier. – Odrzucamy piętego, szesnastego, dwudziestego piątego i dwudziestego siódmego.

Z pokoju ponownie uszło powietrze, gdy prawnicy i sędzia wykreślali nazwiska z prowizorycznej listy, przenosząc do przodu dalsze numery.

– Jeśli dobrze rozumiem, nasza ława przysięgłych będzie się składać z numerów pierwszego, drugiego, ósmego, dziesiątego, dwunastego, czternastego, siedemnastego, dziewiętnastego, dwudziestego pierwszego, dwudziestego drugiego, dwudziestego szóstego i dwudziestego ósmego. Czy wszyscy się zgadzają?

Prawnicy skinęli głowami, nie odrywając wzroku od notatników. Dziesięciu białych, dwóch czarnych. Osiem kobiet, czterech mężczyzn. Połowa sporządziła testament, połowa nie. Średnia wieku wynosiła czterdzieści dziewięć lat. Dwie dwudziestoparoletnie kobiety, co było miłą niespodzianką dla Jake'a. W sumie był zadowolony. Druga strona też nie kryła satysfakcji. Sędzia Atlee odwalił kawał dobrej roboty, eliminując tych, którzy mogli wzbudzić wątpliwości z powodu przesądów i uprzedzeń. Na papierze wyglądało na to, że ekstremiści zniknęli, a los procesu spoczął w rękach dwunastu otwartych ludzi.

– Wybierzmy teraz dwóch rezerwowych przysięgłych – zarządził Wysoki Sąd.

△△△

O dziewiętnastej, zgodnie z poleceniem sędziego Atlee, nowi przysięgli poszli do swojego pokoju, żeby się zorganizować. Ponieważ został wybrany jako pierwszy, w pierwszej kolejności wywołano jego imię i usadzono na pierwszym miejscu, a ponadto wszystko wskazywało na to, że jest przyjazną osobą mającą uśmiech i dobre słowo dla każdego, Nevin Dark został wybrany na przewodniczącego

ławy przysięgłych.

Mieli za sobą bardzo długi, choć ekscytujący dzień. W drodze do domu Nevin odkrył, że ma wielką ochotę pogadać z żoną przy spóźnionej kolacji i wszystko jej opowiedzieć. Sędzia Atlee uprzedzał, żeby nie rozmawiali z sobą o sprawie, ale nie wspomniał ani słowem, by nie rozmawiać z małżonkiem.

Rozdział 40

Lucien potasował talię i zręcznie rozdał po dziesięć kart sobie i Lonny'emu. Lonny jak zwykle powoli podniósł je z blatu składanego stolika i całe wieki układał po swojemu. Jego dłonie i słowa były powolne, ale umysł pracował jak należy. W piątej kolejce remika gin zdobył trzydzieści punktów, a wcześniej wygrał trzy kolejki. Miał na sobie obszerny szpitalny szlafrok i kropłówkę nad głową. Jedna z miłszych pielęgniarek pozwoliła mu wstać z łóżka i zagrać w karty na stoliku przy oknie, choć Lonny musiał wcześniej podnieść głos. Był chory i zmęczony szpitalem, pragnął jak najszybciej opuścić to miejsce. Z drugiej strony nie miał się gdzie podziać. Pozostawało mu tylko miejskie więzienie, ale tam żarcie było jeszcze gorsze, a w dodatku gliniarze czekali z pytaniami. Właściwie już teraz stali za drzwiami. Trzydzieści kilogramów kokainy zawsze stwarza problem. Jego nowy kumpel Lucien, który podawał się za prawnika, zagwarantował, że znaleziona koka nie zostanie dopuszczona jako materiał dowodowy. Gliniarze nie mieli podstaw, żeby włamywać się do pokoju Lonny'ego w nędznej noclegowni. To, że człowiek został poturbowany podczas bójki w barze, nie upoważnia policji do grzebania w jego zamkniętym mieszkaniu.

– To prosta sprawa – obiecał mu Lucien. – Nawet nierozgarnięty prawnik od spraw karnych doprowadzi do wykreślenia koki z listy dowodów. Wyjdiesz czysty.

Gadali o Secie Hubbardzie. Lucien sypał faktami, powtarzał plotki i zmyślenia, spekulacje i pogłoski, które krążyły w Clanton w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Lonny okazywał umiarkowane zaintereso-

sowanie, ale słuchanie Luciena wydawało się sprawiać mu radość. Prawnik nie wspomniał o odręcznie spisany testament i czarnoskórej opiekunce. Obszernie opisał zdumiewającą przemianę Setha, która zaszła dziesięć lat temu, z nieudacznika załamanego drugim rozwodem w odważnego przedsiębiorcę gotowego podejmować ryzyko, który zastawił własną nieruchomość i zamienił ją w fortunę. Opisał skłonność Setha do tajemnic, jego zagraniczne konta bankowe i istny labirynt firm. Opowiedział też zdumiewającą anegdotę o tym, jak Cleon, ojciec Setha, zatrudnił dziadka Luciena, Roberta E. Lee Wilbanka, podczas sporu sądowego o ziemię w 1928 roku i jak przegrali!

Lucien gadał niemal bez przerwy, żeby zdobyć zaufanie Lonny'ego i przekonać go, że nie ma nic złego w rozmowie o sekretach z przeszłości. Skoro on, Lucien, mógł się tak otworzyć, Lonny też nie powinien mieć problemu. Dwukrotnie delikatnie spytał, czy Lonny wie coś o Ancilu, ale bez rezultatu. Lonny wydawał się nie przejawiać najmniejszego zainteresowania tematem. W południe pacjent poczuł się zmęczony i powiedział, że musi odpocząć. Pielęgniarka z przyjemnością oznajmiła Lucienowi, że musi wyjść.

Wyszedł, ale wrócił dwie godziny później, żeby sprawdzić, jak się miewa jego nowy przyjaciel. Lonny chciał grać w blackjacka, po dziesięć centów za lewę. Trzydzieści minut później Lucien powiedział:

– Zadzwoń do Jake'a Brigance'a, tego prawnika z Missisipi, dla którego pracuję. Poproszę, żeby zapytał o Sylvestra Rindsa, o którym wspominałeś. Coś znalazł.

Lonny odłożył karty i spojrzął z zaciekawieniem na Luciena.

– Co? – spytał powoli i wyraźnie.

– Z ksiąg wieczystych okręgu Ford wynika, że Sylvester Rinds miał trzydzieści hektarów ziemi w północno-wschodniej części okręgu. Odziedziczył ją po swoim ojcu, Solomonie Rindsie, który przyszedł na świat na początku wojny secesyjnej. Chociaż dokumenty nie są jasne, rodzina Rindsów mogła wejść w posiadanie ziemi zaraz po wojnie, w okresie rekonstrukcji, kiedy wyzwoleni niewolnicy

nabywali nieruchomości z pomocą hochsztaplerów z Północy, gubernatorów federalnych i innych łotrów, którzy w tym czasie zalali nasz kraj. Wygląda, że jakiś czas później tych trzydzieści hektarów stało się przedmiotem sporu. Rodzina Hubbardów miała inną działkę o tej samej powierzchni, graniczącą z własnością Rindsów. Wysuwali roszczenia do tej ziemi. Proces, o którym wspomniałem dziś rano, odbył się z pozwu Cleona Hubbarda i dotyczył sporu o ziemię. Mój dziadek, najlepszy prawnik w okręgu i człowiek ustosunkowany, przegrał sprawę Cleona. Wykombinowałem sobie, że dziadek przegrał, bo rodzina Rindsów miała silne prawa do ziemi. Sylwestrowi udało się ją zachować jeszcze kilka lat, ale zmarł w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku. Po jego śmierci Cleon Hubbard otrzymał ziemię od wdowy po nim.

Lonny podniósł karty i spojrzał na nie niewidzącym wzrokiem.

Słuchał i przywoływał obrazy z innego życia.

– Ciekawe, prawda? – spytał Lucien.

– Dawne dzieje. – Lonny westchnął, krzywiąc się z bólu, który przeszył mu czaszkę.

Lucien drążył dalej. Nie miał nic do stracenia, więc nie zamierzał odpuścić.

– Najdziwniejsze w tej całej historii jest to, że nie zachowała się żadna relacja o śmierci Sylwestra. W okręgu Ford nie mieszka obecnie nikt z rodziny Rindsów, wygląda, jakby się wyprowadzili, kiedy Cleon Hubbard położył łapę na ich ziemi. Wszyscy zniknęli. Większość uciekła na północ, do Chicago, gdzie znaleźli pracę. Nie było w tym nic dziwnego w okresie wielkiego kryzysu. Wielu głodujących czarnych uciekało z Głębokiego Południa. Pan Brigance twierdzi, że odnalazł ich dalekiego krewnego w Alabamie. Niejakiego Boaza Rindsa. Ten Boaz utrzymuje, że jacyś biali uprowadzili i zabili Sylwestra.

– Czy ta sprawa ma z czymś związek? – spytał Lonny.

Lucien wstał, podszedł do okna i spojrzał na parking w dole. Zastanawiał się, czy powiedzieć prawdę o testamencie, o Lettie Lang i jej pochodzeniu. O tym, że niemal na pewno nazywała się Rinds, a nie

Tayber. Że jej rodzina pochodziła z okręgu Ford i mieszkała kiedyś na ziemi należącej do Sylvestra. Że jest wielce prawdopodobne, iż Sylvester był jej dziadkiem.

Wrócił jednak na miejsce i powiedział:

– Nie. To stare dzieje, w które byli zamieszani moi krewni i Seth Hubbard, a może także Sylvester Rinds.

Pograżyli się w milczeniu. Żaden nie tknął kart ani nie spojrzął drugiemu w oczy. Lonny odplynał daleko myślami, a Lucien poszybował razem z nim.

– Znałeś Ancila, prawda?

– Tak – przytaknął Lonny.

– Opowiedz mi o nim. Musimy go odnaleźć. I to szybko.

– Co chcesz o nim wiedzieć?

– Czy żyje?

– Tak.

– Gdzie przebywa obecnie?

– Nie wiem.

– Kiedy go ostatnio widziałeś?

Do pokoju weszła pielęgniarka, wyjaśniając, że musi sprawdzić odczyty na monitorze. Lonny oświadczył, że jest zmęczony, więc pomogła mu wrócić do łóżka, poprawiła kropłówkę i spojrzała gniewnie na Luciena, a później zmierzyła pacjentowi ciśnienie i tętno.

– Musi odpocząć – powiedziała znacząco.

Lonny zamknął oczy i westchnął:

– Nie odchodź. Zgaś tylko światła.

Lucien przyciągnął krzesło do jego łóżka i usiadł. Kiedy pielęgniarka wyszła, poprosił:

– Opowiedz mi o Ancilu.

Lonny zaczął mówić prawie szeptem, nie otwierając oczu.

– Ancil zawsze przed czymś uciekał. Opuścił dom, kiedy był młody, i nigdy do niego nie wrócił. Nienawidził domu, a szczególnie ojca. Walczył na wojnie i omal nie umarł. Został ranny w głowę. Może dlatego większość kolegów zawsze uważała go za nieco stukniętego. Kochał morze. Powtarzał, iż urodził się tak daleko od morza,

że go zauroczyło. Przepracował wiele lat na statkach towarowych i widział szmat świata. Właściwie cały świat. Nie znalazłbyś punktu na mapie, gdzie nie stanęła jego stopa. Góry, portu, miasta lub znanego miejsca. Baru, tancbudy lub burdelu. Wymień, co chcesz, a okaże się, że Ancil tam był. Obracał się w towarzystwie twardzieli i od czasu do czasu zdarzyło mu się zboczyć na złą drogę. Popelniał drobne przestępstwa, choć czasami zdarzały się grubsze sprawy. Kilka razy o mało nie stracił życia. Raz spędził tydzień w szpitalu na Sri Lance, lecząc ranę od noża. Rana okazała się niczym w porównaniu z infekcją, której nabawił się w szpitalu. Miał wiele kobiet, a niektóre z nich miały dużo dzieci, ale nigdzie nie zagrzeżał miejsca na dłużej. O ile się orientował, niektóre z tych kobiet ciągle go szukały wraz z gromadką swoich dzieci. Inne też mogły go wypatrywać. Ancil prowadził zwariowane życie i zawsze musiał się oglądać przez ramię.

Słowo „życie” wypowiedział jakoś dziwnie, a może właśnie naturalnie, tak jak wymawiają je w północnej części Missisipi. Lucien celowo zaczął mówić przez nos w nadziei, że skłoni Lonny'ego do pójścia za swoim przykładem. Bo Lonny pochodził z Missisipi i obaj o tym wiedzieli.

Zamknął oczy, jakby pogrążył się w drzemce. Lucien obserwował go przez kilka minut, cierpliwie czekając. Oddech Lonny'ego stawał się cięższy, gdy odpływał. Prawa ręka spoczęła wzdłuż tułowia. Monitory wskazywały prawidłowe ciśnienie krwi i tętno. Żeby nie zasnąć, Lucien zaczął krążyć po ciemnym pokoju, czekając, aż przyjdzie pielęgniarka i go wyrzuci. W końcu podszedł do łóżka, ścisnął mocno prawą rękę chorego i wyszeptał:

– Ancilu! Ancilu! Seth zostawił ostatnią wolę i testament. Zapisał ci milion dolarów.

Oczy Lonny'ego się otworzyły, a Lucien powtórzył to, co przed chwilą powiedział.

△△△

Debata trwała od godziny, nie słabnąc ani na chwilę. Ledwie nad sobą panowali. Szczerze powiedziawszy, od miesiąca wiedli gorące

spory w tej sprawie, nie uskarżając się na brak opinii. Dochodziła dwudziesta druga. Stół w sali konferencyjnej był zawalony notatkami, teczkami, książkami i resztkami kiepskiej pizzy na wynos, którą pożarli na obiad.

Czy przysięgli powinni usłyszeć, jaka jest wartość majątku pozostawionego przez Seta? Jedynym przedmiotem procesu było, czy spisany odręcznie testament jest ważny. Ni mniej, ni więcej. Z prawnego punktu widzenia, czyli technicznie rzecz biorąc, wielkość majątku nie miała znaczenia. Po stronie stołu zajmowanej przez Harry'ego Rexa panowało silne przekonanie, że przysięgli nie powinni się dowiedzieć, bo gdy usłyszą, że chodzi o dwadzieścia cztery miliony dolarów, które mają trafić do Lettie Lang, wzdrygną się przed wydaniem takiej decyzji. To naturalne, że odniosą się niechętnie do wyprowadzenia ogromnego bogactwa z rodziny. Suma wydawała się tak niesłychana, tak szokująca, że było rzeczą nie do pomyślenia, aby miała przypaść skromnej czarnoskórej gospodyni. Lucien, choć nieobecny, zgadzał się z Harrym Rexem.

Jake stał na zgoła odmiennym stanowisku. Uważał, że przysięgli czują, iż chodzi o duże pieniądze, choć podczas wyboru niemal wszyscy zaprzeczyli, że są w posiadaniu takiej wiedzy. Spójrzcie tylko na skalę sporu. Na liczbę zaangażowanych prawników. Wszystko, co wiązało się z tą sprawą i procesem, pachniało grubą forszą. Drugim argumentem Jake'a było, że najlepszą polityką jest pełna jawność. Jeśli przysięgli będą mieli poczucie, że Jake próbuje coś przed nimi ukryć, już na początku procesu straci na wiarygodności. Każda osoba na sali sądowej chce wiedzieć, co jest przedmiotem sporu. Powiedzmy im. Wyłóżmy karty na stół. Niczego nie ukrywajmy. Jeśli zataimy wartość majątku, jego rozmiary staną się palącą kwestią, o której się otwarcie nie mówi.

Portia się wahała. Przed wyborem ławy przysięgłych skłaniała się ku pełnej jawności, ale gdy ujrzała dziesięć białych twarzy i tylko dwie czarne, zaczęła powątpiewać, czy mają jakąkolwiek szansę. Czy kiedy wszyscy świadkowie złożą zeznania, kiedy umilkną prawnicy i sędzia Atlee wypowie już swoje pouczenia, dziesięciu białych znaj-

dzie w sobie dość odwagi, żeby sięgnąć w głąb własnego serca i zdobyć się na podtrzymanie ostatniej woli Setha? Wtedy, zmęczona i znużona, uległa zwątpieniu.

Zadzwonił telefon. Odebrała go i powiedziała:

– To Lucien. – Podała słuchawkę Jake'owi.

– Słucham.

Chwilę później usłyszał raport z Alaski.

– Mam go, Jake. Ten facet to Ancil Hubbard, bez wątplenia.

Jake odetchnął głęboko.

– No cóż, to dobra wiadomość, jak sądzę. – Na chwilę odłożył słuchawkę i rzucił: – To Ancil.

– Co robicie? – spytał Lucien.

– Przygotowujemy się do jutrzejszego dnia. Ja, Portia i Harry Rex. Ominęło cię przyjęcie, Lucienie.

– Mamy ławę przysięgłych?

– Tak. Dziesięciu białych i dwóch czarnych. Bez niespodzianek.

Opowiedz mi o Ancilu.

– To schorowany gość. Miał wstrząs mózgu, a teraz wdała się infekcja. Lekarze się martwią. Bierze tony leków, antybiotyków i środków przeciwbólowych. Cały dzień graliśmy w karty i gadaliśmy o wszystkim. Facet na przemian odzyskuje przytomność i odpływa. W końcu wspomniałem o ostatniej woli. Powiedziałem, że jego starszy brat zostawił mu milion dolców. Zdobyłem jego uwagę. Przyznał się, kim jest. Pół godziny później o wszystkim zapomniał.

– Mam zawiadomić sędziego Atlee?

Harry Rex pokręcił przecząco głową.

– Nie sądzę – odparł Lucien. – Proces się rozpoczął i nie zostanie przerwany z tego powodu. Ancil nie ma nic do dodania. Z pewnością nie będzie mógł przyjechać na rozprawę z pękniętą czaszką i sprawą o kokainę, która czeka za drzwiami. Biedak będzie musiał odsiedzieć jakiś czas. Gliniarze wydają się zdeterminowani w tej sprawie.

– Czy wspięliście się razem na ich drzewo genealogiczne?

– Taak, odrobinę, ale musiałem długo czekać, zanim powiedział prawdę. Przedstawiłem mu historię rodziny Hubbardów i Rindsów,

podkreślając tajemnicę związaną z osobą Sylwestra, lecz nie okazał większego zainteresowania. Jutro spróbuję ponownie. Planuję wyjechać po południu. Chciałbym zdążyć na kawałek procesu. Jestem pewny, że zanim wrócę, zdązysz wszystko spieprzyć.

– Nie wątpię, Lucienie – odparł Jake i odłożył słuchawkę.

Powrócił do rozmowy z Portią i Harrym Rexem, który, choć za-intrygowany, miał do obgadania inne kwestie. To, że Ancil Hubbard żyje i mieszka na Alasce, nie miało najmniejszego znaczenia na sali sądowej.

Telefon zadzwonił ponownie. Jake natychmiast sięgnął po słuchawkę.

– Słuchaj, Jake – powiedział Willie Traynor – to, co powiem, jest przeznaczone wyłącznie dla twoich uszu. Wśród przysięgłych jest człowiek, którego nie powinno tam być.

– Pewnie już na to za późno, ale słucham.

– Siedzi w drugim rzędzie. Nazywa się Doley, Frank Doley. – Jake zauważył, że Willie robił notatki cały dzień.

– Rozumiem. Co z nim nie tak? – spytał Jake.

– Ma dalekiego kuzyna, który mieszka w Memphis. Sześć albo siedem lat temu piętnastoletnia córka tego kuzyna została uprowadzona przez jakichś czarnych chuliganów w centrum handlowym we wschodniej części miasta. Trzymali ją na pace pick-upa kilka godzin. W środku działy się straszne rzeczy. Dziewczyna przeżyła, ale była zbyt skołowana, żeby zidentyfikować sprawców. Nikogo nie aresztowano. Dwa lata później popełniła samobójstwo. To prawdziwa tragedia.

– Czemu teraz mi to mówisz?

– Bo dopiero godzinę temu skojarzyłem nazwisko. Mieszkałem w tym czasie w Memphis. Pamiętałem paru Doleyów z okręgu Ford. Lepiej usuń go z ławy, Jake.

– To nie takie proste. Szczerze mówiąc, w obecnej chwili to niemożliwe. Został przesłuchany przez prawników i sędziego, udzielił poprawnych odpowiedzi. – Frank Doley miał czterdzieści trzy lata i prowadził firmę dekarскую gdzieś nad jeziorem. Twierdził, że nie zna

sprawy Seta Hubbarda, i wydawał się całkowicie bezstronny. Dzięki za nic, Willie.

– Przepraszam, Jake, ale w sądzie nie zwróciłem na to uwagi. Przecieżbym ci powiedział.

– W porządku. Jakoś się tym zajmę.

– Co myślisz o pozostałych przysięgłych? Oprócz Doleya.

Jake rozmawiał z dziennikarzem, więc musiał być ostrożny.

– Są w porządku – odrzekł Willie. – Muszę już kończyć.

– Też się martwiłem o faceta – skomentował sytuację Harry Rex.

– Coś z nim było nie tak.

– Nie przypominam sobie, żebyś wtedy coś powiedział – odparł Jake. – Łatwo dawać wskazówki w poniedziałek rano.

– To irytujące.

– Wydawał się pełen entuzjazmu – wtrąciła Portia. – Dałam mu ósemkę.

– Trzymaliśmy się go. Udzielał właściwych odpowiedzi.

– Może nie zadałeś właściwych pytań. – Harry Rex pociągnął kolejny łyk piwa.

– Dziękuję, Harry Rexie. Przypomnę ci, że podczas wyboru przysięgłych prawnicy nie mogą zadawać pytań w rodzaju: „Panie Doley, czy to prawda, że pańska daleka kuzynka z Memphis padła ofiarą gwałtu zbiorowego z udziałem czarnoskórych zbirów?”. Powodem zakazu jest to, że prawnicy zwykle nie wiedzą o tak potwornych zbrodniach.

– Jadę do domu. – Kolejny łyk.

– Zróbmy tak wszyscy – zaproponowała Portia. – Niewiele udało się nam osiągnąć.

Dochodziła dwudziesta druga trzydzieści, kiedy zgasili światła. Jake obszedł rynek, żeby uporządkować myśli. Światła w oknach kancelarii Sullivana płonęły. Wade Lanier i jego zespół nadal tam byli, nadal pracowali.

Rozdział 41

Podczas procesu Carla Lee Haileya mowa wstępna, którą Jake wygłosił do ławy przysięgłych, trwała zaledwie czternaście minut. Rufus Buckley odpowiedział ściągniętym otwarciem, które ciągnęło się niemal półtorej godziny i uspiło przysięgłych. Związła riposta Jake'a została dobrze przyjęta i doceniona. Przysięgli słuchali uważnie, chłonąc każde jego słowo.

– Przysięgli są jeńcami – powtarzał zawsze Lucien – więc staraj się trzymać ich jak najkrócej.

W przypadku ostatniej woli i testamentu Henry'ego Setha Hubbarda Jake zaplanował dziesięciominutowe wystąpienie. Wszedł na podium, uśmiechnął się do świeżych, pełnych entuzjazmu twarzy i rozpoczął:

– Panie i panowie, sędziowie przysięgli. Waszym zadaniem nie jest rozdysponowanie pieniędzy Setha Hubbarda. Jest ich dużo, a wszystkie zostały zarobione osobiście przez Setha Hubbarda. Nie przez was ani przeze mnie lub innego prawnika obecnego na tej sali. Pan Hubbard ryzykował, zaciągał duże pożyczki, ignorował rady zaufanych współpracowników, zastawił własny dom i ziemię, zawierał umowy, które źle wyglądały na papierze, pożyczał jeszcze więcej, ważył się na rzeczy zuchwałe i w końcu, kiedy usłyszał, że umiera na raka płuc, wszystko sprzedał. Wymienił żetony na pieniądze, spłacił banki i policzył wartość swojego majątku. Wygrał. Miał rację, a wszyscy inni się mylili. Nie można nie podziwiać takiego człowieka jak Seth Hubbard. Żałuję, że nigdy osobiście go nie poznałem. Ile pieniędzy zostawił? Usłyszycie zeznanie pana Quince'a

Lundy'ego, który siedzi wśród nas. Został wyznaczony przez sąd na zarządcę majątku Setha Hubbarda, którego wartość szacuje się na jakieś dwadzieścia cztery miliony dolarów.

Jake krążył wolno po podeście, ale gdy wymienił liczbę, stanął i spojrzął na twarze. Niemal wszyscy przysięgli się uśmiechali. Naprzód, Seth! Zuch chłopak! Kilku było wyraźnie zaszokowanych. Tracy McMillen, przysięgła numer dwa, spoglądała na Jake'a wytrzeszczonymi oczami. Chwila szybko minęła. Nikt w okręgu Ford nie mógł ogarnąć tak wielkiej kwoty.

– Jeśli sądzicie, że człowiek, który w dziesięć lat zbił fortunę wartą dwadzieścia cztery miliony, wie, co robi z pieniędzmi, to macie słuszość. Seth doskonale wiedział, co robi. Na dzień przed samobójczą śmiercią poszedł do swojego biura, zamknął drzwi, usiadł przy biurku i sporządził nowy testament. Odręczny, spełniający wszystkie wymogi prawa, schludny i czytelny, niezagmatwany, prosty i zrozumiały. Wiedział, że następnego dnia, w niedzielę drugiego października, popełni samobójstwo, więc chciał zostawić wszystko w najlepszym porządku. Zaplanował każdy szczegół. Napisał list do niejakiego Calvina Boggsa, swojego pracownika, w którym wyjaśnił, że zamierza targnąć się na własne życie. Zobaczycie oryginał tego pisma. Szczegółowo opisał, jak ma wyglądać nabożeństwo żałobne i pogrzeb. Przedstawimy wam oryginały tych dokumentów. Tej samej soboty, przypuszczalnie w swoim biurze, gdzie sporządził ostatnią wolę, napisał list do mnie, wydając konkretne instrukcje. Okażemy także ten dokument. Powtarzam, wszystko starannie zaplanował. Kiedy skończył, pojechał do Clanton, na pocztę główną i nadał do mnie list z ostatnią wolą. Drodzy państwo, chciał, żebym otrzymał go w poniedziałek, bo nabożeństwo żałobne miało się odbyć we wtorek o szesnastej w Chrześcijańskim Kościele Irlandzkiej Drogi. Jak widzicie, Seth zadbał o każdy szczegół. Doskonale wiedział, co robi. Wszystko starannie zaplanował.

Wspomniałem, że waszym zadaniem nie jest rozdysponowanie pieniędzy Setha, zdecydowanie kto ile powinien dostać. Wasza rola polega na rozstrzygnięciu, czy Seth wiedział, co robi. Prawnicy okre-

ślają to mianem „zdolności testamentowej”. Żeby sporządzić ważny testament, napisany odręcznie na odwrocie torebki po zakupach lub przepisany na maszynie przez pięć sekretarek w wielkiej firmie prawniczej i podpisany w obecności notariusza, człowiek musi posiadać zdolność testamentową. To termin prawny, którego zrozumienie nie powinno nastęrczać trudności. Panie i panowie, oznacza on, że człowiek wie, co robi. Seth Hubbard doskonale wiedział. Nie był szalony. Nie miał urojeń. Nie pozostawał pod wpływem leków i środków przeciwbólowych. Był sprawny psychicznie, przy zdrowych zmysłach, jak wasza dwunastka, która zasiada w tych ławach. Niektórzy powiedzą, że człowiek planujący własne samobójstwo nie może być zdrowy psychicznie. Przecież to szaleństwo zabić samego siebie, czyż nie? Otóż nie zawsze. Niekoniecznie. Jako sędziowie przysięgli musicie polegać na swoim życiowym doświadczeniu. Może znacie kogoś, przyjaciela lub członka rodziny, kto dotarł do kresu drogi i postanowił sam zdecydować, kiedy odejdzie. Czy był niespełna rozumu? Może, ale przypuszczalnie nie. Seth doskonale wiedział, co robi. Od roku toczył walkę z rakiem płuc. Kilkakrotnie poddawał się chemioterapii i nasświetlaniu, bez powodzenia. W końcu doszło do przerzutów na żebra i kręgosłup. Doświadczał potwornego bólu. Podczas ostatniej wizyty u lekarza usłyszał, że został mu zaledwie miesiąc życia. Kiedy przeczytacie to, co napisał dzień przed śmiercią, będziecie pewni, że Seth Hubbard znajdował się w pełni władz umysłowych.

Jake trzymał w rękę notatnik w charakterze rekwizytu, ale do niego nie zaglądał. Nie potrzebował. Chodził tam i z powrotem przed przysięgłymi, utrzymując kontakt wzrokowy ze wszystkimi, mówiąc wolno i wyraźnie, jakby siedzieli w jego salonie i rozmawiali o ulubionych filmach. Jednak każde słowo zostało gdzieś zanotowane. Każde starannie przećwiczone. Każda pauza została odpowiednio skalkulowana. Właściwa chwila, kadencja głosu, rytm – wszystko opanował niemal doskonale.

Nawet najbardziej zajęci prawnicy procesowi spędzają zaledwie ułamek swojego czasu przed ławą przysięgłych. Takie chwile należą do rzadkości, więc Jake się nimi upajał. Był jak aktor na scenie, wygłasza-

jący napisany przez siebie monolog i kierujący słowa do wybranej publiczności. Tętno miał przyspieszone, czuł ściskanie żołądka, a nogi miał jak z waty. Jednak całkowicie nad tym panował i spokojnie dawał wykład swoim nowym przyjacielom.

Mówił od pięciu minut i nie zmarnował ani słowa. Czekają go pięć kolejnych, stanowiących najtrudniejszą część.

– Panie i panowie, jest też nieprzyjemna strona tej opowieści i właśnie z jej powodu się zebraliśmy. Seth Hubbard pozostawił syna, córkę i czworo wnucząt. W swoim testamencie nic im nie zapisał. Prostym i wyraźnym, choć jednocześnie bolesnym językiem jednoznacznie odsunął rodzinę od dziedziczenia. Powstaje naturalne pytanie, dlaczego to zrobił. W takiej sytuacji mamy odruchową skłonność zapytać: „Czemu ktoś miałby to zrobić?”. Jednak zadawanie tego pytania nie należy do naszych obowiązków. Seth postąpił tak z sobie tylko znanych powodów. Powtórzę: to on zarobił pieniądze. Należały do niego. Mógł przekazać wszystko Czerwonemu Krzyżowi, jakiemuś zręcznemu telewizyjnemu kaznodziei lub partii komunistycznej. To jego sprawa, nie nasza. Nie moja ani tego sądu. Zamiast zostawić pieniądze rodzinie, Seth zapisał pięć procent Kościołowi, pięć procent dawno zaginionemu bratu, a pozostałych dziewięćdziesiąt niejakiej Lettie Lang. Pani Lang siedzi tu dzisiaj pomiędzy mną i panem Lundym. Przepracowała trzy lata u Setha Hubbarda jako gospodyni domowa, kucharka, a czasem pielęgniarka. Ponownie pojawia się zrozumiałe pytanie: dlaczego? Dlaczego Seth wydziedziczył rodzinę i zostawił niemal wszystko kobiecie, którą znał przez tak krótki czas? Wiercie mi, panie i panowie, że jest to najważniejsze pytanie, przed którym stanąłem w swojej prawniczej karierze. Zadawałem je sam i słyszałem, jak robili to inni prawnicy, członkowie rodziny Hubbarda, Lettie Lang, przyjaciele i sąsiedzi, dosłownie wszyscy mieszkańcy okręgu, którzy znają tę historię. Dlaczego?! Prawda jest taka, że nigdy się tego nie dowiemy. Tylko Seth znał powód, a nie ma go już wśród nas. Prawdą, drodzy państwo, jest również to, że to nie nasz interes. My, prawnicy i sędzia, oraz wy, przysięgli, nie powinniśmy interesować się tym, dlaczego Seth tak postąpił. Jak powiedziałem, naszym zadaniem jest rozstrzygnięcie tylko jednej ważnej kwestii: czy w

chwili spisywania ostatniej woli Seth był w pełni władz umysłowych i wiedział, co robi. Wiedział i tak uczynił. Przedstawię na to jasne, przekonujące dowody.

Przerwał i sięgnął po szklanę wody. Pociągnął szybki łyk, rozglądając się po zatłoczonej sali. Z drugiego rzędu patrzył na niego Harry Rex. Skinął głową. Do tej pory świetnie ci idzie. Zdobyłeś ich uwagę. Teraz tylko dobrze zakończ mowę.

Jake wrócił na podium, spojrzął do notatek i ciągnął: – Ponieważ chodzi o tak znaczną sumę, w ciągu nadchodzących dni możemy się spodziewać napiętej atmosfery. Rodzina chce podważyć własnoręczny testament Seta Hubbarda i nie można jej o to winić. Szczerze wierzą, że pieniądze powinny przypaść im. Zatrudnili kilku dobrych prawników, aby obalić ostatnią spisana odręcznie wolę Seta. Utrzymują, że nie posiadał on zdolności testamentowej, że nie był w pełni władz umysłowych. Że Lettie Lang wykorzystała swoją pozycję opiekunki, aby wywrzeć na niego niedopuszczalny wpływ. Termin „niedopuszczalny wpływ” jest określeniem prawnym, które odegra kluczową rolę w tej sprawie. Prawnicy rodziny będą próbowali was przekonać, że Lettie Lang wykorzystała pozycję opiekunki, by nawiązać intymną relację z Setem Hubbardem. Intymność może mieć wiele znaczeń. Pani Lang opiekowała się Setem, czasami go kąpała, zmieniała ubranie, sprzątała po nim i robiła wszystkie rzeczy, które robią opiekunowie w podobnie delikatnych i przykrych sytuacjach. Seth był umierającym starszym mężczyzną dotkniętym wyniszczającą śmiertelną chorobą, która uczyniła go słabym i nieudolnym.

Zwrócił się do Wade'a Laniera i bandy prawników siedzących przy drugim stole.

– Prawnicy będą wiele sugerować, ale nie zdołają niczego dowieść. Bo między Setem Hubbardem i Lettie Lang nie było żadnej relacji fizycznej. Usłyszycie jedynie aluzje i sugestie, ale nie ujrzycie żadnego dowodu, bo taka sytuacja nigdy nie miała miejsca.

Jake rzucił notatnik na stół i zakończył swoje wystąpienie:

– Zapowiada się krótki proces z udziałem wielu świadków. Jak podczas każdej rozprawy, czasami podejmowane kwestie mogą się

wydać zawikłane. Prawnicy robią to często celowo, ale nie dajcie się zwieść. Panie i panowie, pamiętajcie, że waszym zadaniem nie jest podzielenie pieniędzy Setha Hubbarda. Wasza rola polega na ustaleniu, czy wiedział, co robi, gdy spisywał testament. Nie mniej, nie więcej. Dziękuję.

Pod wpływem sędziego Atlee prawnicy reprezentujący rodzinę zgodzili się, żeby mowę wstępną i końcową w imieniu wszystkich wygłosił Wade Lanier. Adwokat wszedł na podium w wymiętej marynarce, przykrótkim krawacie i połami koszuli tak kusymi, że niemal wychodziły ze spodni. Wokół uszu na wszystkie strony sterczały nieliczne kępkki włosów. Sprawiał wrażenie roztrzepanego guzdrały, który może zapomnieć o przyjsciu na jutrzejszą rozprawę. Oczywiście zrobił to wszystko celowo, żeby rozbroić ławę przysięgłych, ale Jake nie dał się zwieść.

Lanier zaczął słowami:

– Dziękuję, panie Brigance. Biorę udział w procesach sądowych od trzydziestu lat, ale jeszcze nie spotkałem tak utalentowanego prawnika jak Jake. Obywatele okręgu Ford mogą czuć się dumni, że mają pośród siebie tak znakomitego młodego adwokata. To dla mnie zaszczyt, występować przeciwko niemu, a także zabierać głos w tej wielkiej, starej sali.

Przerwał, aby zwrócić do notatek, dusząc Jake'a w sosie fałszywych pochwał. Kiedy nie występował przez ławę przysięgłych, Lanier wypowiadał się gładko i zrozumiale, jednak teraz, przed widownią, zgrywał równego gościa, trzeźwo myślącego faceta, którego da się lubić.

– To jedynie mowa wstępna, więc nic, co powiem lub co powiedział pan Brigance, nie może być traktowane jako dowód. Dowody pochodzą tylko z jednego źródła, z krzesła dla świadków, które tam stoi. Prawnicy dają się czasem ponieść i mówią rzeczy, których nie zdołają dowieść podczas procesu. Mają też skłonność do pomijania ważnych faktów, o których powinni wiedzieć ławnicy. Na przykład pan Brigance nie wspomniał, że gdy Seth Hubbard spisywał swoją wolę, jedyną osobą przebywającą w domu oprócz niego była Lettie Lang. Był sobotni ranek, a ona nigdy nie pracowała w sobotę.

Przyszła do jego domu, a następnie zawiozła go do biura jego ładnym nowym cadillakiem. Byli sami. Przez jakieś dwie godziny przebywali sami w biurze Zakładów Drzewnych Berringa, głównej firmy Setha Hubbarda. Kiedy przybyli na miejsce tamtego sobotniego ranka, Seth Hubbard miał już ostatnią wolę i testament sporządzone rok wcześniej w kancelarii znanej firmy prawniczej z Tupelo, której prawnikom ufał przez lata. W testamencie tym zapisał niemal wszystko dwójce dorosłych dzieci i czwórce wnuków. Był to typowy testament. Standardowy i rozsądny. Z rodzaju tych, które prędzej czy później podpisuje większość Amerykanów. Dziewięćdziesiąt procent majątku zmarłego trafia do rąk rodziny. Tak też powinno być.

Lanier zaczął krążyć po podium, kiwając na boki ciężkim, lekko pochylonym tułowiem.

– Jednak po dwóch godzinach spędzonych tego ranka w biurze w towarzystwie Lettie Lang pan Hubbard zostawił inną ostatnią wolę, którą spisał odręcznie. W której wydziedziczał swoje dzieci i wnuki, zostawiając dziewięćdziesiąt procent majątku gospodyni domowej. Czy takie zachowanie wydaje się rozsądne, drodzy państwo? Umieścimy wszystko we właściwej perspektywie. Seth Hubbard od roku toczył walkę z rakiem. Były to straszne zmagania, wiedział, że przegrywa. W ostatnich dniach jego ziemskiej wędrówki najbliższą osobą Setha Hubbarda była Lettie Lang. W lepsze dni gotowała, robiła porządki i opiekowała się domem, w gorsze karmiła go, kąpała, ubierała i sprzątała po nim. Wiedziała, że umiera, bo nie było to żadną tajemnicą. Wiedziała również, że jest bogaty i że jego relacje z dorosłymi dziećmi są napięte.

Lanier zatrzymał się obok krzesła dla świadka, rozłożył ramiona w geście ironicznego niedowierzania i spytał głośno:

– Mamy uwierzyć, że nie myślała o pieniądzach?! Dajcie spokój! Bądźmy realistami! Pani Lang powie wam, że całe życie pracowała jako gospodyni domowa. Że jej mąż, Simeon Lang, który siedzi obecnie w więzieniu, raz miał pracę, a raz nie, więc nie mogła polegać na tym, iż będzie regularnie przynosił wypłatę. Jej życie nie było łatwe! Nigdy nie miała grosza oszczędności. Jak wielu ludzi, Lettie

Lang była zawsze splukana. Widząc, jak jej chlebobawca krok po kroku zbliża się do śmierci, myślała o pieniądzach. Taka jest ludzka natura. To nie jej wina. Nie sugeruję, że była zła lub chciwa. Kto z nas nie myślałby jednak o pieniądzach?

W tamten sobotni rano, w październiku ubiegłego roku, kiedy Lettie zawiozła szefa do biura, dwie godziny byli sami. W tym czasie jedna z największych fortun w historii tego stanu przeszła z rąk do rąk. Dwadzieścia cztery miliony dolarów zostały przelane z konta rodziny Hubbardów na konto gospodyni domowej, którą Seth Hubbard znał od zaledwie trzech lat.

Lanier zrobił po tych słowach efektowną przerwę, pozwalając, aby ostatnie zdanie wybrzmiało na sali. Do licha, facet jest dobry, pomyślał Jake, patrząc na ławę przysięgłych tak, jakby wszystko było w porządku. Frank Doley posłał mu gniewne spojrzenie, wyrażające głęboką pogardę.

Wade Lanier ściszył głos i kontynuował:

– Będziemy próbowali wykazać, że Seth Hubbard pozostawał pod niedopuszczalnym wpływem pani Lang. Kluczem do rozwiązania tej sprawy jest niedopuszczalny wpływ, co dowiedzimy na kilka sposobów. Jedną z oznak niedopuszczalnego wpływu jest niezwykle lub niedorzeczny dar. Dar, który Seth Hubbard ofiarował pani Lang, jest rażąco niezwykle i niedorzeczny. Proszę o wybaczenie. Nie potrafię znaleźć odpowiednich przymiotników, żeby go opisać. Dziewięćdziesiąt procent majątku wartego dwadzieścia cztery miliony i nic dla rodziny? To bardzo niezwykle, drodzy państwo. Według mnie także bardzo niedorzeczne. Taka sytuacja aż krzyczy, że ktoś użył niedopuszczalnego wpływu. Jeśli pan Hubbard chciał zrobić coś miłego dla opiekunki, mógł jej zostawić milion dolców. Byłby to bardzo hojny dar. Dwa miliony? Może pięć? Powiem szczerze, moim skromnym zdaniem, każda kwota przekraczająca milion dolarów byłaby niezwykle i niedorzeczna, zważywszy na krótką historię ich znajomości.

Lanier wrócił na podium i spojrzał do notatek, a później rzucił okiem na zegarek. Osiem minut, nie musiał się nigdzie śpieszyć.

– Dowiedzimy, że doszło do niedopuszczalnego wpływu, ana-

lizując poprzedni testament Seta Hubbarda. Testament został sporządzony przez jedną z głównych kancelarii prawnych w Tupelo, rok przed śmiercią Seta Hubbarda. W dokumencie tym Seth zapisał około dziewięćdziesięciu pięciu procent majątku swojej rodzinie. To skomplikowany testament pełen prawniczych terminów, które mogą pojąć jedynie doradcy podatkowi. Nie rozumiem go i będę się stara! was nim nic zanudzać. Jedynym celem przywołania poprzedniego testamentu jest wskazanie, że Seth nie myślał jasno i rozsądnie. Poprzedni testament, przygotowany przez sześciu prawników specjalizujących się w podatkach, którzy znali swój fach, a nie człowieka, który planuje się powiesić, wykorzystuje w pełni przepisy podatkowe. Dzięki temu zaoszczędzono trzy miliony dolarów na podatkach. Z kolei odręcznie spisany testament Hubbarda został tak sporządzony, że urząd podatkowy otrzyma pięćdziesiąt jeden procent, czyli ponad dwanaście milionów dolarów. Poprzedni testament był tak skonstruowany, że kwota podatku wynosiła dziewięć milionów. Pan Brigance lubi powtarzać, że Seth Hubbard dobrze wiedział, co robi. Wątpię. Zastanówcie się, drodzy państwo. Człowiek na tyle sprytny i przebiegły, by w ciągu dziesięciu lat zgromadzić fortunę, nie sporządziłby odręcznego dokumentu, który zmniejszy pozostawiony przez niego majątek o trzy miliony. To absurd! Rzecz niezwykła i niedorzeczna!

Prawnik oparł łokcie na barierce i złożył palce, spoglądając w oczy pełnych napięcia przysięgłych. W końcu powiedział:

– Pozwólcie, że na tym zakończę. Muszę przyznać, że macie szczęście, bo ani Jake Brigance, ani ja nie wierzymy w długie przemowy. Skoro o tym mowa, nie wierzy w nie także sędzia Atlee. – Na twarzach niektórych pojawiły się uśmiechy. Zrobiło się prawie wesoło. – Chciałbym się z wami rozstać tą samą myślą, od której zacząłem. Moim pierwszym obrazem tego procesu. Wyobraźcie sobie Seta Hubbarda pierwszego października minionego roku, stojącego w obliczu śmierci, zdecydowanego ją przyśpieszyć, cierpiącego i otepiałego od środków przeciwbólowych, smutnego, samotnego, żyjącego w pojedynkę, pozostającego w separacji z dziećmi i wnu-

kami. Umierającego, rozgoryczonego starego człowieka, który się poddał. I wyobraźcie sobie jedyną osobę, która znajduje się na tyle blisko, żeby go wysłuchać i pocieszyć. Lettie Lang. Nigdy się nie dowiemy, jak bliski był związek, który ich łączył, ale wiemy, co z niego wyniknęło. Panic i panowie, to wyraźny przykład sytuacji, w której człowiek popełnia straszny błąd pod wpływem kogoś zabiegającego o jego pieniądze.

Kiedy Lanier usiadł, głos zabrał sędzia Atlee:

- Panie Brigrance, proszę wezwać pierwszego świadka.
- Powołuję na świadka szeryfa Ozziego Wallsa. – Ozzie podniósł się z miejsca w drugim rzędzie, zasiadł w ławie dla świadków i został zaprzysiężony. Quince Lundy siedział przy stole, po prawej stronie Jake'a. Chociaż praktykował prawo od niemal czterdziestu lat, jak ognia unikał sali sądowej. Jake poinstruował go, żeby co jakiś czas patrzył na przysięgłych i robił notatki. Kiedy Ozzie sadowił się na miejscu, Lundy podsunął Jake'owi karteczkę ze słowami: „Byłeś świetny. Lanier też. Ława przysięgłych jest podzielona. Jesteśmy załatwieni”.

Dzięki, pomyślał Jake. Portia pokazała mu swój notatnik. Napisała w nim: „Frank Doley to samo zło”.

To mi dopiero zespół, pomyślał Jake. Brakowało tylko Luciena szepczącego mu do ucha złe rady i irytującego wszystkich obecnych na sali.

Z pomocą pytań zadawanych przez Jake'a Ozzie opisał miejsce samobójstwa. Wykorzystał w tym celu cztery barwne fotografie Setha Hubbarda wiszącego na sznurze. Podali je przysięgłym, żeby ich zaszokować. Jake był temu przeciwny z uwagi na potworne szczegóły. Lanier sprzeciwiał się temu, bo zdjęcia mogły wzbudzić współczucie dla Setha. W końcu sędzia Atlee oświadczył, że członkowie ławy przysięgłych powinni je zobaczyć. Kiedy je zebrano i włączono do materiału dowodowego, Ozzie wyciągnął list poze-gnalny, który Seth zostawił na kuchennym stole dla Calvina Boggsa. Powiększony dokument został wyświetlony na ekranie ustawionym naprzeciw ław, w których zasiadali przysięgli. Pismo miało następu-

jąca treść: „Do Calvina. Zawiadam władzę, że odebrałem sobie życie sam, bez niczyjej pomocy. Na załączonej kartce zostawiam szczegółowe instrukcje co do nabożeństwa żałobnego i pogrzebu. Nie życzę sobie żadnej sekcji! S.H. 2 października 1988 roku”.

Jake wyciągnął oryginał instrukcji dotyczących nabożeństwa i pogrzebu. Bez sprzeciwu dołączono je do materiałów dowodowych i wyświetlono na dużym ekranie. Każdy z przysięgłych otrzymał własną kopię. Treść była następująca:

Instrukcje w sprawie mojego pogrzebu:

Życzę sobie skromnego nabożeństwa w Chrześcijańskim Kościele Irlandzkiej Drogi we wtorek, 4 października, o 16.00, które odprawi wielebny Don McElwain. Chcę, żeby pani Nora Baines odśpiewała „Ten stary umęczony krzyż”. Nie życzę sobie żadnych mów pogrzebowych, zresztą nie sądzę, by ktoś chciał je wygłaszać. Wielebny McElwain może mówić, co mu się spodoba, ale najwyżej pół godziny.

Jeśli jacyś czarni przyjdą na mój pogrzeb, mają być wpuszczeni do środka. Jeśli nie chcecie ich wpuszczać, dajcie sobie spokój z całą ceremonią i po prostu zakopcie mnie w ziemi.

Moją trumnę mają nieść: Harvey Moss, Duane Thomas, Steve Holland, Billy Bowles, Mike Mills i Walter Robinson.

Instrukcja w sprawie pochówku:

Niedawno wykupiłem kwatery na przykościelnym cmentarzu Irlandzkiej Drogi. Rozmawiałem z panem Magargelem z zakładu pogrzebowego i zapłaciłem mu za trumnę. Nie życzę sobie grobowca. Pogrzeb

*ma nastąpić zaraz po nabożeństwie żałobnym.
Najwyżej pięć minut i trumna ma być
opuszczona.*

*Na razie. Do zobaczenia po tamtej stronie.
Seth Hubbard*

Jake zwrócił się do świadka i zapytał:

– Szeryfie Walls, jeśli dobrze rozumiem, ten list pożegnalny oraz instrukcje dotyczące nabożeństwa i pogrzebu zostały znalezione przez pana i pana ludzi w domu Setha Hubbarda niedługo po tym, jak znaleźliście jego ciało. Czy tak?

– Tak.

– Co pan z nimi zrobił?

– Zabraliśmy, wykonaliśmy kopie, a następnego dnia przekazaliśmy rodzinie pana Hubbarda w jego domu.

– Nie mam więcej pytań do świadka, Wysoki Sądzie.

– Panie Lanier?

– Nie mam pytań.

– Jest pan wolny, szeryfie Walls. Dziękuję. Panie Brigance?

– Tak, Wysoki Sądzie. Chciałbym, aby pouczono przysięgłych, iż wszystkie strony uznały, że dokumenty przed chwilą włączone do materiału dowodowego zostały sporządzone własnoręcznie przez pana Setha Hubbarda.

– Panie Lanier?

– Zgadza się.

– Doskonale. Nie ma sporu co do autorstwa dokumentów. Proszę kontynuować, panie Brigance.

– Wzywam na świadka pana Calvina Boggsa – powiedział Jake. Zaczekali, aż Calvin zostanie wezwany z sali dla świadków. Boggs był rosnym wiejskim chłopakiem, który nigdy nie nosił krawata. Nie pomyślał też o tym, żeby go kupić na tę okazję. Miał na sobie postrzępioną koszulę w szkocką kratę, z łatanami na wytartych łokciach, brudne spodnie khaki, ubłocone buty i wyglądał, jakby trafił na salę sądową prosto z wyřębu lasu. Wydawał się ożywiony i przytłoczony otoczeniem, a po kilku sekundach zaczął tracić głos, opowiadając o

swym przerażeniu, gdy znalazł szefa wiszącego na drzewie.

– O której w niedzielę rano zadzwonił pan Hubbard? – spytał Jake.

– Około dziewiątej. Powiedział, że spotkamy się o czternastej przy moście.

– Zjawiłeś się punktualnie o czternastej, tak?

– Tak, proszę pana.

Jake chciał użyć zeznań Boggsa, aby zilustrować, jak skrupulatnie Seth zatroszczył się o najdrobniejsze szczegóły. Później miał zamiar wykazać przysięgłym, że Seth zostawił na stole list pożegnalny, zabrał sznur i drabinę, pojechał na miejsce i zadbał o to, żeby Calvin znalazł go martwego, kiedy zjawi się na miejscu o czternastej. Chciał, żeby ujrzał go wkrótce po śmierci. W przeciwnym razie mógłby tak wisieć całymi dniami.

Lanier nie miał pytań, więc świadek został zwolniony.

– Proszę wezwać następnego świadka, panie Brigance – powiedział sędzia Atlee.

– Wzywam na świadka koronera okręgu Ford, pana Finna Plunketta – odparł Jake.

Finn Plunkett pracował jako wiejski listonosz, kiedy trzynaście lat temu wybrano go na ten urząd. W owym czasie nie miał pojęcia o medycynie, ale w stanie Missisipi tego nie wymagano. Nigdy nie był na miejscu zbrodni. Już sam fakt, że w dalszym ciągu wybierano własnych koronatorów, był wystarczająco dziwny, bo robiono tak jedynie w nielicznych stanach. Właściwie należałoby zacząć od tego, że Missisipi było jednym z nielicznych stanów, które w ogóle wprowadziły ów rytuał. W ciągu ostatnich trzynastu lat Finn był wzywany na okrągło do takich miejsc, jak domy opieki, szpitale, miejsca wypadków, knajpy, rzeki i jeziora oraz domy dotknięte przemocą. Miał zwyczaj pochylać się nad ciałem i poważnym głosem obwieszczać: „Taak, gość nie żyje”. Później odgadywał przyczynę śmierci i wypisywał akt zgonu.

Był obecny, kiedy opuszczono na ziemię ciało Setha, i orzekł: „Taak, gość nie żyje”. Śmierć przez powieszenie. Samobójstwo.

Uduszenie i pęknięcie karku. Dzięki pytaniom Jake'a szybko wyjaśnił przysięgłym to, co było boleśnie oczywiste. Wade Lanier nie miał pytań.

Jake wezwał na świadka swoją byłą sekretarkę, Roxy Brisco, która początkowo nie chciała zeznawać, bo odeszła z biura w przykrych okolicznościach. Wystosował więc wezwanie i wyjaśnił, że może trafić do więzienia, jeśli je zignoruje. Roxy podeszła szybkim krokiem i zajęła miejsce w ławie dla świadków, ubrana według najnowszej mody. Wspólnymi siłami odtworzyli wydarzenia, które rozegrały się rankiem trzeciego października, kiedy przyszła do biura z pocztą. Rozpoznała kopertę, list i dwustronicowy testament, a sędzia Atlee włączył go do materiałów dowodowych jako dowód obrońców testamentu. Druga strona nie zgłosiła żadnych zastrzeżeń. Realizując scenariusz zaproponowany przez Wysoki Sąd, Jake wyświetlił na ekranie powiększony list, który otrzymał od Setha. Wręczył również jego kopię każdemu z przysięgłych.

– Drogie panie i panowie – powiedział sędzia Atlee – zarządzam krótką przerwę, abyście mogli zapoznać się z pismem.

Na sali sądowej zapadła cisza, gdy przysięgli czytali swoją kopię dokumentu, a widzowie zapoznawali się z jego treścią wyświetloną na ekranie.

*Załączam moją ostatnią wolę i testament,
w którym każde słowo napisałem własną
ręką, własnoręcznie podpisałem i opatrzyłem
datą. Zapoznałem się z prawem
obowiązującym w Missisipi i jestem pewny,
że sporządziłem wymagany przepisami
własnoręczny testament, który posiada pełną*

moc prawną. W chwili spisywania nie miałem żadnych świadków, ale jak Panu wiadomo, testamenty własnoręczne nie wymagają obecności świadków. Rok temu spisałem testament w kancelarii prawnej Rusha w Tupelo, niniejszym go jednak unieważniam.

Wykonanie załączonego testamentu może nastąpić pewnych trudności, i dlatego chcę, żeby tą sprawą zajął się Pan. Chcę, by załączony testament został za wszelką cenę wybroniony i wiem, że Pan potrafi tego dokonać. W szczególności wydziedziczam moje dorosłe dzieci, a także ich dzieci i dwie byłe żony. To nie są mili ludzie i będą zażarcie walczyć, więc proszę być przygotowanym. Posiadam znaczny majątek, o którego rzeczywistej wielkości moja rodzina nie ma nawet pojęcia, więc gdy się dowie, przystąpi do ataku. Proszę stanąć z nimi do walki, Panie Brigance, i ich pokonać. Musimy postawić na swoim.

W liście samobójczym zawarłem instrukcje odnośnie do mojego pogrzebu. Proszę nikomu nie ujawniać treści mojego testamentu przed pogrzebem. Chcę, aby moja rodzina musiała dopełnić wszystkich żałobnych rytuałów, zanim się dowie, że nic nie dostanie. Niech się Pan im przyjrzy, gdy będą udawać, są w tym bardzo dobrzy. Tylko dla mnie zabrakło im miłości.

Z góry dziękuję za Pańskie zaangażowanie. To nie będzie łatwe zadanie i pocieszam się

*myślą, że nie będą musieli osobiście uczestniczyć
w tym obrzydliwym spektaklu.*

*Z poważaniem, Seth Hubbard
1 października 1988 roku*

Kiedy przysięgli skończyli czytać, nie mogli się powstrzymać przed wolnym uniesieniem głowy i spojrzeniem na salę, gdzie siedzieli Herschel Hubbard i Ramona Dafoe. Ramona miała ochotę zapłakać, ale słusznie uznała, że patrzący na nią ludzie pomyślą, iż udaje. Chcąc nie chcąc, utkwiała wzrok w podłodze, podobnie jak jej brat i mąż, czekając, by ta niezręczna i okropna chwila minęła.

ΔΔΔ

Mimo iż Seth Hubbard stanowił ostrzeżenie o szkodliwości palenia, przynajmniej połowa przysięgłych wyszła na papierosa. Niepalący zostali w pokoju, pijąc kawę, a palacze udali się za woźnym sądowym na małe patio wychodzące na północny trawnik przed gmachem. Szybko zapalili i wydmuchnęli kłęby dymu. Nevin Dark próbował rzucić palenie, zdołał się nawet ograniczyć do pół paczki dziennie, ale w tej chwili odczuwał silny głód nikotynowy. Jim Whitehurst stanął obok, wydmuchnął dym i powiedział:

– Co o tym wszystkim sądzisz, panie przewodniczący?

Sędzia Atlee ostrzegł ich bez ogródek: nie mogą rozmawiać o sprawie, ale przysięgli podczas każdego procesu nie mogą się doczekać, żeby pogadać o tym, co widzieli i słyszeli.

– Wygląda na to – rzekł półgębkiem Nevin – że staruszek dobrze wiedział, co robi. A ty co myślisz?

– Nie mam żadnych wątpliwości.

Dokładnie nad nimi, w bibliotece prawniczej okręgu Ford, Jake zebrał Portię, Lettie, Quince'a Lundy'ego i Harry'ego Rexa. Nie narzekali na brak uwag i obserwacji. Portia była zdenerwowana, gdyż Frank Doley, przysięgły numer dwanaście, cały czas się na nią gapił i poruszał wargami, jakby przeklinał. Lettie zauważyła, że Debbie Lacker, przysięgła numer dziesięć, zasnęła, a Harry Rex był pewny, że

przysięgła numer dwa, Tracy McMillen, musiała się zadurzyć w Jake'u. Quince Lundy w dalszym ciągu utrzymywał, że ława przysięgłych jest podzielona, ale Harry Rex stwierdził, że będą mieli szczęście, jeśli uzyskają cztery głosy. Jake poprosił go uprzejmie, żeby się zamknął, i przypomniał jego ponure przepowiednie z procesu Carla Lee Haileya.

Po dziesięciu minutach bezmyślnej gadaniny Jake stwierdził, że zje lunch sam.

Po powrocie na salę sądową wezwał na świadka Quince'a Lundy'ego i zadał szereg nudnych, lecz koniecznych pytań o jego zaangażowanie w sprawę, wyznaczenie na administratora i zastąpienie w tej roli Russella Amburgha. Lundy sucho wyjaśnił swoje obowiązki jako administratora, odwalając kawał dobrej roboty i sprawiając, że wydały się tak nudne, jak faktycznie były. Jake wręczył mu odręczny testament i spytał, czy go poznaje.

Lundy odpowiedział:

– To spisana odręcznie ostatnia wola zmarłego, która została przekazana do zatwierdzenia czwartego października minionego roku. Podpisana przez pana Seta Hubbarda pierwszego października.

– Spójrzmy na nią raz jeszcze – zaproponował Jake i ponownie wyświetlił dokument na ekranie, rozdając kopie przysięgłym.

– Panie i panowie, proszę, żebyście to uważnie przeczytali – powiedział sędzia Atlee. – Będziecie mogli zabrać wszystkie dokumenty i dowody do sali przysięgłych, kiedy rozpoczniecie obrady.

Jake stał przy podium, trzymając kopię dokumentu i udając, że czyta. W rzeczywistości bacznie obserwował przysięgłych. Większość z nich w którymś momencie marszczyła brwi. Uznał, że ten bolesny grymas musiały wywołać słowa „niech szczeną w bólu”. Czytał ostatnią wolę Hubbarda wiele razy, ale nadal doświadczał dwóch reakcji. Po pierwsze, uważał, że były to podłe, surowe, okrutne i niezrozumiałe słowa. Po drugie, dziwił się, co takiego zrobiła Lettie, że staruszek był wobec niej taki miły. Zawsze jednak kolejna lektura utwierdzała go w przekonaniu, że Seth dokładnie wiedział, co robi. Jeśli człowiek posiada zdolność testamentową, może sporządzić

najdziksze i najbardziej niezrozumiałe zapisy, jakie uzna za stosowne.

Kiedy ostatni przysięgły odłożył swoją kopię, Jake wyłączył projektor. Później razem z Quince'em Lundym pół godziny omawiali główne punkty niezwyklej dziesięcioletniej podróży Seta Hubbarda od ruiny po ostatnim rozwodzie do bogactwa, jakiego nie oglądano w całej historii okręgu Ford.

O dwunastej trzydzieści sędzia Atlee zarządził przerwę do czternastej.

Rozdział 42

Detektyw wychodził ze szpitala, gdy Lucien wkroczył w jego podwoje. Odbyli krótką rozmowę w głównym holu, wymieniając kilka słów na temat Lonny'ego Clarka, który nadal leżał w pokoju na trzecim piętrze i nie czuł się za dobrze. Miał za sobą ciężką noc, więc lekarze zakazali odwiedzin. Lucien zniknął we wnętrzu szpitala, by godzinę później pojawić się na trzecim piętrze. Przy drzwiach nie było gliniarza, a żadna pielęgniarka nie opiekowała się Lonnym. Lucien wślizgnął się do środka i delikatnie potrząsnął ramieniem Ancila.

– Ancil, Ancil, jesteś tam?

Ale Ancila nie było.

△△△

W małej firmie Brigance'a panowała powszechna zgoda, że poranna rozprawa nie mogła udać się lepiej. Przedstawienie pożegnalnego listu, instrukcji dotyczących nabożeństwa i pogrzebu, spisane go odręcznie testamentu oraz listu adresowanego do Jake'a dowodziło niezbicie, że Seth Hubbard wszystko starannie zaplanował i do samego końca nad sobą panował. Mowa wstępna Jake'a była bardzo przekonująca, choć wystąpienie Laniera okazało się równie mistrzowskie. W sumie dobry początek.

Jake rozpoczął popołudniową sesję od wezwania na świadka wielbnego Dona McElwaina, pastora Chrześcijańskiego Kościoła Irlandzkiej Drogi. Kaznodzieja zeznał, że odbył krótką rozmowę z Sethem drugiego października po nabożeństwie, na kilka godzin

przed samobójstwem Hubbarda. Wiedział, że Seth jest poważnie chory, choć nie zdawał sobie sprawy, że lekarze dawali mu zaledwie kilka tygodni życia. Tego ranka Seth wydawał się w dobrym nastroju, zwawy, nawet uśmiechnięty. Powiedział McElwainowi, że bardzo podobało mu się kazanie. Chociaż był chory i słaby, nie sprawiał wrażenia człowieka odurzonego lekarstwami lub pozostającego pod czyimś wpływem. Był członkiem zboru od dwudziestu lat i zwykle pojawiał się na nabożeństwie raz w miesiącu. Trzy tygodnie przed śmiercią Seth nabył za trzysta pięćdziesiąt dolarów kwaterę na cmentarzu, tę, którą obecnie zajmował.

Następny był skarbnik zboru. Willis Stubbs zeznał, że Seth rzucił na tacę czek opiewający na pięćset dolarów, z datą drugiego października. W ciągu roku pan Hubbard przekazał kościołowi dwa tysiące sześćset dolarów.

Później na ławie zajął miejsce Everett Walker i opowiedział o prywatnej rozmowie z Sethem, która mogła być ostatnią rozmową w jego życiu. Kiedy po nabożeństwie szli przez parking, pan Walker spytał, jak idą interesy. Seth mruknął coś o okresie huraganów, który w tym roku nadciągał bardzo powoli. Więcej huraganów oznaczało większe zniszczenia, a zatem większy popyt na drewno. Seth powiedział, że uwielbia huragany. Zdaniem pana Walkera jego przyjaciel był przenikliwy, inteligentny i sprawiał wrażenie, jakby nic go nie bolało. Oczywiście, był słaby. Kiedy później pan Walker usłyszał, że Seth nie żyje, że popełnił samobójstwo niedługo po ich rozmowie, był zaszokowany. Hubbard wydawał się taki rozluźniony i zrelaksowany, nawet zadowolony. Walker znał go od wielu lat. Seth nie był w najmniejszym stopniu towarzyski. Należał do ludzi cichych, skrytych i małomównych. Walker pamiętał, że się uśmiechał, gdy w tamtą niedzielę odjeżdżał sprzed kościoła. Powiedział nawet żonie, że rzadko widział go tak radosnego.

Gilda Chatham zeznała, że ona i jej mąż siedzieli za Sethem podczas ostatniego nabożeństwa i po jego zakończeniu zamienili z nim kilka słów. Nie dostrzegli niczego, co wskazywałoby, że stoi przed tak dramatycznym krokiem. Nettie Vinson powiedziała, że pozdrowiła

go, kiedy wychodzili z kościoła, i że wydał się jej dziwnie przyjacielsko nastrojony.

Po krótkiej przerwie zaprzysiężono onkologa Setha, doktora Talberta z regionalnego ośrodka medycznego w Tupelo. Medyk zdążył szybko znudzić publiczność długą, suchą narracją o nowotworze płuc stwierdzonym u pacjenta. Leczył Setha niemal od roku. Zaglądając do notatek, bez końca opowiadał o operacji, chemio- i radioterapii oraz przyjmowanych lekarstwach. Stwierdził, że już na początku była słaba nadzieja, ale Seth walczył z całych sił. Kiedy pojawiły się przerzuty na kręgosłup i żebra, wiedzieli, że koniec jest bliski. Doktor Talbert widział Setha dwa tygodnie przed śmiercią i był zdumiony jego determinacją. Z drugiej strony ból był potworny. Talbert zwiększył przyjmowaną doustnie dawkę demerolu do stu miligramów co trzy, cztery godziny. Seth wołał nie brać tego leku, bo go otępiał. Raz lub dwa wspomniał nawet, że próbuje przeżyć każdy dzień bez środków przeciwbólowych. Doktor Talbert nie wiedział, ile tabletek tak naprawdę wziął. W ciągu dwóch ostatnich miesięcy zapisał dwieście sztuk.

Jake powołał lekarza na świadka z dwóch powodów. Po pierwsze, chciał potwierdzić fakt, że Seth stał na krawędzi śmierci z powodu raka płuc. Zatem jego samobójczy akt nie był wcale tak drastyczny i niezrozumiały. Jake planował dowieść, że Seth w ostatnich dniach życia myślał jasno i wyraźnie, niezależnie od rodzaju śmierci, jaką wybrał. Ból był nieznośny, koniec bliski, więc po prostu przyspieszył bieg rzeczy. Po drugie, Jake pragnął zaatakować frontalnie kwestię skutków ubocznych demerolu. Lanier miał w zanadrzu zeznanie wagi ciężkiej, sprowadził biegłego, który miał zaświadczyć, że silny narkotyk przyjmowany w przepisanych ilościach poważnie ograniczał władze umysłowe Setha.

Najdziwniejsze było to, że nigdy nie odnaleziono ostatniego opakowania. Seth wykupił lek w aptece w Tupelo sześć dni przed śmiercią, a później najwyraźniej wyrzucił. Nie było więc żadnego dowodu, jak dużo lub jak mało leku zażył. Zgodnie ze swoją wyraźną wolą, został pochowany bez przeprowadzenia sekcji. Kilka miesięcy

wcześniej Wade Lanier zasugerował poza protokołem przeprowadzenie ekshumacji w celu wykonania testów toksykologicznych. Sędzia Atlee odmówił. Też poza protokołem. Poziom opiatów we krwi Setha w niedzielę, gdy umarł, nie przekładał się automatycznie na ich poziom w dniu, gdy spisywał testament. Sędzia Atlee wydawał się wyraźnie zgorzchnięty pomysłem, żeby wykopać człowieka, który został należycie pochowany.

Jake był zadowolony z przesłuchania doktora Talberta. Niezbicie dowiedli, że Seth starał się unikać przyjmowania demerolu. Że nie było sposobu, aby wykazać, jaka ilość tej substancji znajdowała się w jego organizmie, kiedy spisywał ostatnią wolę.

Wade Lanier zdołał zmusić lekarza do przyznania, że pacjent biorący od sześciu do ośmiu pigułek demerolu dziennie, po sto miligramów każda, nie powinien podejmować żadnych ważnych decyzji, szczególnie takich, które mają związek z dużymi sumami pieniędzy. Taki chory powinien wypoczywać w jakimś wygodnym i spokojnym miejscu – bez kierowania samochodem, aktywności fizycznej i podejmowania poważnych kroków.

Kiedy zwolniono doktora, Jake wezwał na świadka Arlene Trotter, długoletnią sekretarkę Setha i kierowniczkę jego biura. Miała być jego ostatnim świadkiem przed Lettie, a ponieważ zbliżała się siedemnasta, postanowił zostawić Lettie na środę rano. Od czasu śmierci Setha rozmawiał z Arlene wielokrotnie, więc z pewnym zdenerwowaniem wezwał ją, by zajęła miejsce w ławie dla świadków. Właściwie nic miał wyboru. Gdyby jej nie powołał, z pewnością zrobiłby to Wade Lanier. Arlene złożyła zeznanie pod przysięgą na początku lutego. Zdaniem Jake'a, udzielała wymijających odpowiedzi. Po czterech godzinach doszedł do przekonania, że została odpowiednio przeszkolona przez Laniera lub kogoś, kto dla niego pracował. Jednak w ostatnim tygodniu życia Setha spędziła z nim więcej czasu niż ktokolwiek inny, więc jej zeznanie było kluczowe.

Wydawała się przestraszona, składając przysięgę, że będzie mówić prawdę i tylko prawdę, i zajmując miejsce w ławie. Rzuciła okiem na przysięgłych, którzy bacznie ją obserwowali. Jake zadał kilka

wstępnych pytań. Łatwych i oczywistych. Arlene nieco się uspokoila. Ustalili, że od poniedziałku do piątku, w tygodniu poprzedzającym jego śmierć, Seth zjawiał się w biurze około dziewiątej rano, czyli nieco później niż zwykle. Przeważnie był pogodny i w dobrym nastroju aż do południa, kiedy ucinął sobie dłuższą drzemkę na kanapie w gabinecie. Nie jadł, choć Arlene stale podsuwała mu kanapki i przekąski. Zamiast jeść, palił – nigdy nie zdołał się uwolnić od nalogu. Jak zawsze drzwi do jego gabinetu były zamknięte, więc Arlene nie wiedziała, co robi. Mimo to był zajęty cały tydzień, próbując sprzedać trzy leśnie działki w Karolinie Południowej. Spędzał dużo czasu przy telefonie, co nie było niczym niezwykłym. Przynajmniej raz w ciągu godziny wychodził na przechadzkę po biurze. Przystawał i rozmawiał z pracownikami. Flirtował z recepcjonistką Kamilą. Arlene wiedziała, że odczuwa silny ból, bo nie był w stanie tego ukryć. Z drugiej strony nigdy, ale to nigdy się do tego nie przyznał. Kiedyś wymknęło mu się, że bierze demerol, ale ani razu nie widziała buteleczki z lekarstwem.

Nie, nie miał szklistych oczu. Nie bełkotał. Czasami był zmęczony. Często drzemał. Zwykle wychodził z biura o piętnastej lub szesnastej.

Jake zdołał przedstawić Seta jako człowieka, który nadal dzierży ster, jako szefa przychodzącego do pracy, jakby wszystko było w porządku. Przez pięć dni z rządu przed spisaniem nowego testamentu Seth Hubbard pracował w biurze, przy telefonie, dbając o swoją firmę.

Wade Lanier rozpoczął przepytывanie świadka od zagajenia:

- Pomówmy o sprzedaży działek leśnych w Karolinie Południowej, panno Trotter. Czy Seth Hubbard sprzedał wszystkie trzy?
- Tak, proszę pana.
- Kiedy?
- W piątek rano.
- Czy następnego dnia, w sobotę, sporządził swoją ostatnią wolę?
- Tak.
- Czy podpisał jakąś umowę?
- Tak. Przesłano ją faksem na moje biurko. Zaniósłam ją do jego

gabinetu. Podpisał, a ja przefaksowałam ją do prawników w Spartanburgu.

Lanier podniósł dokument i powiedział:

– Wysoki Sądzie, mam tu umowę opatrzoną symbolem C pięć, zgłoszoną i dołączoną do materiałów dowodowych...

– Proszę kontynuować – przerwał mu sędzia Atlee.

Lanier wręczył Arlene kontrakt, który Seth podpisał w piątek rano, umowę sprzedaży trzech działek leśnych w Karolinie Południowej.

– Jaką kwotę miał otrzymać pan Hubbard?

– Łącznie osiemset dziesięć tysięcy dolarów.

– Osiemset dziesięć. Pani Trotter, ile pan Hubbard zapłacił za te działki?

Wahała się chwilę, spojrzała nerwowo na przysięgłych i powiedziała:

– Przecież ma pan ten dokument, panie Lanier.

– Oczywiście. – Lanier wyciągnął trzy kolejne dowody, które zostały wcześniej oznaczone i zaliczone do materiału dowodowego. Nie było to żadną niespodzianką, bo Jake i Lanier spierali się tygodniami o materiał dowodowy i dokumenty. Sędzia Atlee już dawno zdecydował, że są w pełni dopuszczalne.

Arlene przeglądała je powoli, a obecni na sali sądowej czekali. W końcu powiedziała:

– Pan Hubbard nabył ziemię w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku za jeden milion sto tysięcy dolarów.

Lanier zapisał kwotę, jakby jej nie znał. Spojrzał ponad szklami okularów, z niedowierzaniem unosząc brwi.

– To oznacza stratę trzystu tysięcy dolarów! – oznajmił.

– Wszystko na to wskazuje.

– Czy podpisał ten kontrakt zaledwie dwadzieścia cztery godziny przed sporządzeniem odrębnego testamentu?

Jake skoczył na równe nogi.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie! Udzielenie odpowiedzi wymaga od świadka spekulacji. Strona przeciwna może użyć tego argumentu w mowie końcowej.

– Sprzeciw podtrzymany.

Lanier zignorował zamieszanie, skupiając uwagę na pani Trotter.

– Czy domyśla się pani, dlaczego Seth zawarł tak niekorzystną umowę?

Jake wstał ponownie.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie! Kolejne spekulacje!

– Podtrzymuję.

– Czy pan Hubbard trzeźwo myślał, pani Trotter?

– Sprzeciw!

– Sprzeciw podtrzymany.

Lanier przerwał na chwilę, zaglądając do notatek.

– Pani Trotter, kto odpowiadał za sprzątanie biura, kiedy pani i Seth Hubbard pracowaliście?

– Mężczyzna nazwiskiem Monk.

– Proszę nam o nim opowiedzieć.

– Monk był długoletnim pracownikiem tartaku. Pomagał przy różnego rodzaju zajęciach, wykonywał prace dorywcze, głównie porządkowe. Malował, wszystko naprawiał, mył nawet samochody pana Hubbarda.

– Jak często Monk sprzątał w biurze?

– W poniedziałek i wtorek rano, od dziewiątej do jedenastej.

Niezmiennie od wielu lat.

– Czy sprzątał biuro w czwartek, dwudziestego dziewiątego września ubiegłego roku?

– Tak.

– Czy Lettie Lang kiedykolwiek sprzątała biuro pana Hubbarda?

– O ile wiem, nie. Nie było takiej potrzeby. To była rola Monka.

Nie widziałam pani Lang aż do dziś.

△△△

Myron Pankey cały dzień krążył po sali rozpraw. Jego zadaniem było ciągle obserwowanie przysięgłych, ale robienie tego w sposób dyskretny wymagało zastosowania kilku sztuczek. Zajmował różne miejsca, zmieniał punkt obserwacyjny i sportowe kurtki, ukrywał

twarz za plecami rosłej osoby, która przed nim siedziała, i zakładał na nos coraz to nowe okulary. Całą karierę zawodową spędził na salach sądowych, słuchając świadków i obserwując reakcje przysięgłych. Jako człowiek bywały, uznał, że Jake przedstawił sprawę w solidny sposób. Żadnych błyskotliwych zagrywek, niczego zapadającego w pamięć, ale też żadnych błędów. Większość przysięgłych go lubiła i uważała, że dąży do prawdy. Trzej byli odmiennego zdania. Frank Doley, numer dwanaście, trwał niewzruszenie w narożniku i nigdy nie zagłosowałby za oddaniem wszystkich pieniędzy czarnoskórej opiekunce. Pankey nie znał tragicznej historii bratanicy Doleya, ale od pierwszych chwil wiedział, że przysięgły nie ufa Jake'owi i nie lubi Lettie. Przysięgła numer dziesięć, Debbie Lacker, pięćdziesięcioletnia biała kobieta, mieszkała na wsi. W ciągu dnia kilkakrotnie posłała Lettie ostre spojrzenie. Przesyłała małe sygnały, których Myron nigdy by nie przeoczył. Przysięgła numer cztery, Fay Pollan, kolejna biała kobieta, skinęła głową, kiedy doktor Talbert powiedział, że osoba biorąca demerol nie powinna podejmować ważnych decyzji.

Kiedy pierwszy dzień zeznań dobiegł końca, Pankey uznał, że jest remis. Dwóch dobrych prawników świetnie się sprawiło, a przysięgli nie uronili ani jednego słowa.

ΔΔΔ

Ponieważ Ancil nie mógł mówić, Lucien spędził cały dzień w wynajętym samochodzie, zwiedzając lodowce i fiordy w górach otaczających Juneau. Miał pokusę, żeby wyjechać, popędzić na toczący się w Clanton proces, ale był oczarowany pięknem Alaski, chłodnym powietrzem i niemal idealnym klimatem. W Missisipi już robiło się gorąco, dni były dłuższe, a powietrze wilgotne. Jedząc lunch w kawiarni na zboczu wzgórza i podziwiając malowniczą cieśninę Gastineau, zdecydował, że wyjedzie następnego dnia. W środę.

W odpowiednim momencie, pewnie niebawem, Jake poinformuje sędziego Atlee, że udało się odnaleźć Ancila Hubbarda. Odnaleźć i zweryfikować, chociaż weryfikacja była wątpliwa, bo Ancil w każdej chwili mógł zmienić zdanie i przedstawić się pod innym nazwiskiem.

Jednak Lucien w to powątpiewał, bo Ancil myślał o pieniądzach. Poza tym taka rewelacja nie miałaby wpływu na przebieg procesu. Wade Lanier nie mylił się: Ancil nie miał nic do powiedzenia w kwestii ostatniej woli brata i jego zdolności testamentowej. Lucien zdecydował, że zostawi go z własnymi problemami. Podejrzał, że Ancil może odsiedzieć kilka miesięcy w więzieniu. Jeśli będzie miał szczęście i znajdzie dobrego prawnika, może nawet wyjdzie na wolność. Lucien był przekonany, że przeszukanie i odnalezienie kokainy były wyraźnym naruszeniem czwartej poprawki do konstytucji. Wystarczy zaskarżyć przeszukanie, wyeliminować wątek kokainy, a Ancil wyjdzie z tego bez szwanku. Jeśli Jake wygra proces, Ancil będzie mógł pewnego dnia powrócić do okręgu Ford, żeby upomnieć się o swoją część majątku.

A jeśli przegra, Ancil rozplynie się w mroku nocy i nigdy więcej go nie znajdą.

Wieczorem zszedł do hotelowego baru i przywitał się z Bo Buckiem, barmanem, który stał się jego nowym bliskim przyjacielem. Buck był kiedyś sędzią w Nevadzie, ale wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu. Obaj lubili wymieniać się opowieściami. Rozmawiali chwilę, gdy Lucien czekał na swojego pierwszego jacka danielsa z colą. Zaniósł drinka do stolika i usiadł sam. Kochał samotność. Nikogo oprócz faceta i jego szklaneczki whisky. Minutę później nie wiadomo skąd zjawił się Ancil Hubbard i usiadł po drugiej stronie.

– Dobry wieczór, Lucienie – powiedział swobodnie.

Przez chwilę Lucien gapił się na niego zdumionym wzrokiem, jakby chciał się upewnić. Ancil miał na sobie bejsbolówkę, bluzę od dresu i dzinsy. Przecież tego ranka leżał nieprzytomny na szpitalnym łóżku z podłączonymi rurkami!

– Nie sądziłem, że cię zobaczę – stwierdził Lucien.

– Miałem dość szpitala, więc wyszedłem. Pewnie jestem zbiegiem, ale to dla mnie nic nowego. Lubię uciekać.

– A twoja głowa? A infekcja?

– Łeb faktycznie trochę boli, ale nie tak, jak myślą. Pamiętaj, że ze szpitala miałem trafić do pudła. Nie odpowiada mi taki transfer.

Poprzestańmy na stwierdzeniu, że nie byłem tak nieprzytomny, jak sądzili. Co do infekcji, mam wszystko pod kontrolą. – Wyciągnął butelkę z pigułkami. – Na odchodnym zabrałem antybiotyki. Nic mi nie będzie.

– Jak wyszedłeś?

– Najzwyczajniej w świecie. Zawieźli mnie na dół, żeby zrobić tomografię. Poszedłem do łazienki. Myśleli, że nie dam rady chodzić, więc zbiegłem po schodach, odnalazłem piwnicę, a później szatnię. Przebrałem się i wyszedłem przez rampę dla dostawców. Kiedy ostatnio sprawdzałem, roilo się tam od glin. Popijałem kawę po drugiej stronie ulicy.

– To małe miasteczko, Ancilu. Długo się nie ukryjesz.

– Co ty wiesz o ukrywaniu się? Mam kilku przyjaciół.

– Chcesz drinka?

– Nie, ale nie pogardzę hamburgerem z frytkami.

△△△

Harry Rex spojrzął na świadka z gniewną miną i zapytał:

– Dotykałeś jego penisa?

Lettie odwróciła oczy, wyraźnie zakłopotana.

– Tak – odrzekła chłodno.

– To oczywiste, Lettie – wtrącił Jake. – Nie był w stanie się umyć, więc robiłaś to za niego. Musiałaś dotykać jego członka, i to nie raz. Kąpiel oznacza umycie całego ciała. Musiałaś to zrobić, bo on nie potrafił. Nie było w tym nic intymnego, nic choćby w najmniejszym stopniu seksualnego. Po prostu wykonywałaś swoją pracę.

– Nie dam rady. – Lettie westchnęła, spoglądając bezradnie na Portię. – Nie zada mi takich pytań, prawda?

– Na pewno to zrobi, do cholery! – ryknął Harry Rex. – Zada te i wiele innych pytań, więc lepiej przygotuj sobie odpowiedzi!

– Zróbmy przerwę – zaproponował Jake.

– Muszę się napić piwa – oświadczył Harry Rex, wstając. Wyszedł głośno z pokoju, jakby miał ich wszystkich dosyć. Ćwiczyli odpowiedzi od dwóch godzin. Dochodziła dwudziesta druga. Jake

zadawał proste pytania, a Harry Rex bez przerwy trzymał Lettie w krzyżowym ogniu. Czasami był brutalny, bardziej brutalny, niż dopuściłby Atlee na sali sądowej, ale lepiej się przygotować na najgorsze. Portia współczuła matce, choć była sfrustrowana jej słabością. Lettie potrafiła być twarda, a później całkiem się załamać. Nie mieli najmniejszej pewności, że jej zeznania pójdą gładko.

Pamiętaj o zasadach, Lettie, powtarzał Jake. Uśmiechaj się, ale nie bądź sztuczna. Mów wolno i wyraźnie. Możesz płakać, gdy poczujesz emocje. Jeśli nie jesteś pewna, nic nie mów. Przysięgli uważnie słuchają, nie uronią ani słowa. Spójrz na nich od czasu do czasu, ale zrób to z pewnością siebie. Nie pozwól, żeby Wade Lanier wyprowadził cię z równowagi. Będę stał obok, żeby cię bronić.

Harry Rex miał ochotę wykrzyzczeć inną radę: „Chodzi o dwadzieścia cztery miliony dolarów, więc daj przedstawienie swojego życia!”. Pohamował się. Kiedy wrócił z piwem, Portia powiedziała:

– Mamy dość, Jake. Pójdziemy do domu, posiedzimy na werandzie i pogadamy. Wrócimy tu jutro wcześniej rano.

– Zgoda. Wszyscy jesteśmy zmęczeni.

Kiedy wyszły, Jake i Harry Rex poszli na górę i usiedli na balkonie. Noc była ciepła, ale pogodna – idealna wiosenna noc, którą trudno w pełni docenić. Jake popijał piwo i relaksował się pierwszy raz od wielu godzin.

– Jakies wieści od Luciena? – spytał Harry Rex.

– Nie, zapomniałem odsłuchać wiadomości nagrane na automatycznej sekretarce.

– Mamy szczęście, wiesz? Mamy szczęście, że facet jest na Alasce, a nie tutaj. Narzekałby na wszystko, co poszło nie tak.

– Na tym polega nasza robota, nie?

– Tak, ale mam dość narzekania. Miałaś dobry dzień, Jake. Wygłosiłaś dobrą mowę wstępną, spodobała się przysięgłym. Później wezwałeś dwunastu świadków i żaden nie został spalony. Dowody silnie przemawiają na twoją korzyść, przynajmniej w tej chwili. Nie mógłbyś oczekiwać lepszego dnia.

– A przysięgli?

- Lubią cię, ale za wcześnie spekulować, jak bardzo lubią albo nie lubią Lettie. Jutro się okaże.
- Jutro czeka nas decydujący dzień, stary. Lettie może wygrać proces lub go przegrać.

Rozdział 43

Prawnicy stron spotkali się w gabinecie sędziego Atlee w środę rano o ósmej czterdzieści pięć i uzgodnili, że nie będzie składania wniosków ani zgłaszania żadnych spraw przed rozpoczęciem rozprawy. Trzeci dzień z rzędu Wysoki Sąd był żwawy, niemal podekscytowany, jakby podniety głośnego procesu go odmłodziły. Z kolei prawnicy nie spali całą noc. Pracowali lub się martwili i wyglądali na tak zmarnowanych, jak się czuli. Stary sędzia był jednak gotów ruszyć z kopyta.

Powitał wszystkich zgromadzonych na sali i podziękował publiczności za życzliwe zainteresowanie amerykańskim systemem sądowym, a następnie polecił woźnemu, żeby wprowadził przysięgłych. Kiedy usiedli, powitał ich serdecznie i zapytał, czy nie pojawiły się jakieś problemy. Czy ktoś nie próbował się z nimi skontaktować? Czy nie wydarzyło się coś podejrzanego? Czy wszyscy dobrze się czują? Znakomicie. Panie Brigance, proszę zaczynać.

Jake wstał i oznajmił:

– Wysoki Sądzie, wzywam na świadka panią Lettie Lang.

Poinstruowali ją, żeby nie wkładała niczego dopasowanego lub obcisłego, niczego choćby w najmniejszym stopniu wyzywającego. Wczesnym rankiem, na długo przed śniadaniem, spierały się w kwestii odpowiedniego stroju. Portia wygrała. Wyszło na granatową bawełnianą sukienkę luźną w pasie. Wystarczająco elegancką, a jednocześnie taką, którą gospościa mogłaby nosić w pracy, ale której Lettie za nic nie włożyłaby do kościoła. Do tego buty na niskim obcasie. Żadnej biżuterii. Żadnego zegarka. Nic, co mogłoby wska-

zywać, że posiada jakieś nadwyżki finansowe lub spodziewa się znacznego przyływu gotówki. Od miesiąca nie farbowała siwych włosów, które miały teraz naturalną barwę. Jednym słowem, wyglądała na swoje czterdzieści siedem lat.

Jąkając się, powiedziała, że będzie mówić prawdę i tylko prawdę. Patrzyła na Portię siedzącą za krzesłem Jake'a. Córka uśmiechnęła się, dając znak, że ona też powinna to zrobić.

W wypełnionej po brzegi sali zapadła cisza, kiedy Jake ruszył w kierunku podium. Zapytał, jak się nazywa, gdzie mieszka i pracuje – łatwe pytania, z którymi świetnie sobie poradziła. Spytał o imiona dzieci i wnuków. Tak, jej najstarszy syn Marvis siedzi w więzieniu. Jej mąż, Simeon Lang, jest w pace, czeka na proces. Miesiąc temu wystąpiła o rozwód i spodziewa się, że w ciągu kilku tygodni sprawa zostanie zakończona. Zapytał o wykształcenie, wyznanie, poprzednie zajęcia. Wcześniej wszystko przeciwicyli, więc jej odpowiedzi czasami wydawały się sztywne i wyuczone, wyryte na pamięć, i tak faktycznie było. Spojrzała na przysięgłych, ale się wystraszyła, kiedy stwierdziła, że ją obserwują. Ustalili, że kiedy się zdenerwuje, ma spojrzeć na Portię. Czasami nie potrafiła oderwać oczu od córki.

Jake przeszedł w końcu do pana Setha Hubbarda lub po prostu pana Hubbarda, jak zawsze miała o nim mówić w sądzie. Nigdy Seth. Nigdy pan Seth. Trzy lata temu pan Hubbard zatrudnił ją jako gosposię, na część etatu. W jaki sposób dowiedziała się o robocie? Nie dowiedziała się. To on do niej zadzwonił. Powiedział, że słyszał od przyjaciela, iż nie ma pracy. Tak się składa, że szuka służącej na część etatu. Opisała historię swojej znajomości z panem Hubbardem: jego zasady, przyzwyczajenia, rozkład dnia, a później ulubione jedzenie i potrawy. Po pewnym czasie trzy dni w tygodniu zamieniły się w cztery. Dał jej jedną, a później drugą podwyżkę. Wiele podróżował. Często siedziała w domu i nie miała co robić. W ciągu trzech lat ani razu nie wyprawił przyjęcia ani nie zaprosił nikogo na kolację. Poznała Herschela i Ramonę, ale rzadko ich widywała. Ramona wpadała raz w roku, zwykle na kilka godzin, a wizyty Herschela były jeszcze rzadsze. Nie poznała czwórki wnucząt pana Hubbarda.

– Nie pracowałam w weekendy, więc nie wiem, kto go wówczas odwiedzał – powiedziała. – Pan Hubbard mógł mieć wtedy najróżniejsze towarzystwo. – Starła się wyglądać na sprawiedliwą, ale tylko do pewnego punktu.

– Ale pracowała pani w poniedziałki, prawda? – Jake zadał pytanie ze scenariusza.

– Tak.

– Czy kiedykolwiek zauważyła pani ślady wskazujące, że podczas weekendu w domu byli goście?

– Nie, proszę pana. Nigdy.

Bycie miłym wobec Herschela i Ramony nie należało do planu, bo oni nie planowali być mili wobec niej. Bazując na ich zeznaniach złożonych pod przysięgą, można było bezpiecznie przyjąć, że będą kłamać ile wlezie.

Po spędzeniu godziny w ławie dla świadków Lettie poczuła się swobodniej. Jej odpowiedzi stały się jasne i spontaniczne, od czasu do czasu uśmiechała się też do przysięgłych. Jake dotarł w końcu do raka płuc, na którego chorował pan Hubbard. Lettie opisała szereg przeciężnych pielęgniarek, z których pomocy korzystał jej szef, zanim w końcu spytał, czy mogłaby pracować pięć dni w tygodniu. Opisała najtrudniejsze chwile, kiedy chemioterapia powaliła go z nóg i omal nie zabiła. Kiedy nie miał siły pójść do łazienki ani jeść.

Nie okazuj emocji, pouczała ją Portia. Nie okazuj żadnych uczuć w stosunku do pana Hubbarda, jakiegokolwiek były. Przysięgli nie mogą odnieść wrażenia, że istniała między wami więź emocjonalna. Oczywiście, że istniała. Taka sama, jak między każdym umierającym i jego opiekunem, ale nie przyznaj się do tego w ławie dla świadków.

Jake poruszył kwestię wzbudzającą ogromne zainteresowanie, ale nie poświęcił dużo czasu chorobie pana Hubbarda. Wiedział, że Wade Lanier z pewnością to zrobi. Zapytał Lettie, czy kiedykolwiek sporządziła testament. Nie, nie zrobiła tego.

– Czy kiedykolwiek widziałaś testament?

– Nie, proszę pana.

– Czy pan Hubbard rozmawiał z tobą o swoim testamencie?

Udało się jej zachichotać i znakomicie to sprzedała.

– Pan Hubbard był niezwykle skrytą osobą – powiedziała. – Nigdy nie rozmawiał ze mną o interesach ani innych sprawach. Nigdy nie wspominał o rodzinie i dzieciach lub czymś takim. To nie było w jego stylu.

W rzeczywistości Seth dwukrotnie obiecał Lettie, że jej coś zostawi, ale nie napomknął o testamencie. Rozmawiały o tym z Portią, która doszła do wniosku, że jeśli się przyzna, Wade Lanier i inni prawnicy to wyolbrzymią. Będą przekręcać słowa i przesadzać, uczynią z nich śmiertelną broń. „Zatem rozmawiała pani z nim o testamencie!”, wykrzyknie Lanier przed ławą przysięgłych.

O pewnych sprawach lepiej nie wspominać. Nikt się nie dowie. Seth nie żyje, a Lettie nie powie ani słowa.

– Czy rozmawiał z panią o swojej chorobie? O tym, że umiera? – spytał Jake.

Wzięła głęboki oddech, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Jasne. Czasami czuł tak potworny ból, że chciał umrzeć. Przypuszczam, że to coś naturalnego. W ostatnich dniach życia pan Hubbard wiedział, że koniec jest bliski. Prosił, żebym pomodliła się razem z nim.

– I pomodliła się pani?

– Tak. Pan Hubbard był głęboko wierzącym człowiekiem. Chciał przed śmiercią załatwić wszystko, jak należy.

Jake przerwał w celu podkreślenia dramatyzmu tej chwili, aby przysięgli mogli sobie wyobrazić, jak Lettie i jej szef się modlą, zamiast robić to, o czym myślała większość ludzi. Później przeszli do pierwszego października minionego roku i Lettie opowiedziała swoją historię. Około dziewiątej rano wyszli z domu. Lettie usiadła za kółkiem najnowszego modelu cadillaca należącego do Hubbarda. Nigdy wcześniej nim nie jechała. Nigdy nie prosił jej, żeby prowadziła. Był to pierwszy i ostatni raz, kiedy siedzieli razem w samochodzie. Gdy wychodzili z domu, rzuciła głupią uwagę, że dotąd nie prowadziła cadillaca, więc musiał nalegać. Była zdenerwowana i jechała powoli. Pan Hubbard popijał kawę z papierowego kubka.

Sprawiał wrażenie zrelaksowanego, nieodczuwającego bólu. Chyba bawiło go to, że Lettie jest taka spięta, chociaż autostrada była pusta.

Jake spytał, o czym rozmawiali podczas dziesięciminutowej przejażdżki. Po chwili namysłu spojrzęła na przysięgłych, którzy do tej pory nie uronili ani jednego słowa, i powiedziała:

– O samochodach. Pan Hubbard powiedział, że wielu białych nie lubi cadillaców, bo cieszą się dużą popularnością wśród czarnych. Zapytał, czemu cadillac jest dla nich taki ważny.

Odparłam, że nie mam pojęcia. Że nigdy nie chciałam i nie miałam cadillaca. Mój pontiac ma dwanaście lat. Później dodałam, że cadillac to najładniejszy samochód, że w ten sposób można pokazać innym, że odniosło się sukces. To wszystko. On na to, że zawsze lubił cadillaki. Że stracił pierwszy podczas pierwszego rozwodu, a drugi podczas drugiego, ale od czasu, gdy dał sobie spokój z małżeństwem, nikt nie zwracał głowy jemu i jego cadillacom. Zabawnie o tym mówił.

- Zatem był w dobrym nastroju, żartował? – zapytał Jake.
- Tak, proszę pana. Tego ranka był bardzo pogodny.
- Czy miał jasny umysł?
- Taak. Powiedział, że jadę jego siódmym cadillakiem i że pamięta je wszystkie. Wspomniał, że co dwa lata wymienia wóz na nowy.
- Czy wie pani o tym, aby tego ranka brał środki przeciwbólowe?
- Nie, proszę pana. Nie mam pojęcia. Miał zabawny stosunek do lekarstw. Nie lubił brać leków i trzymał je w teczce, z dala ode mnie. Widziałam je tylko raz, kiedy leżał na plecach, śmiertelnie chory, i prosił, żebym je wyjęła. Tamtego ranka nie sprawiał wrażenia, jakby brał środki przeciwbólowe.

Kontynuowała swoją opowieść, umiejętnie kierowana przez Jake'a. Przyjechali do Zakładów Drzewnych Berringa. Była tam tylko ten jeden raz. Sprzątała, kiedy pan Hubbard zamknął się w gabinecie. Odkurzała dywany, wycierała kurze, umyła większość okien, ułożyła czasopisma, a nawet pozmywała naczynia w małej kuchni. Nie, nie opróżniła koszy na śmieci. Od wejścia do biura do wyjścia nie zamieniła słowa z panem Hubbardem, nawet go nie widziała. Nie miała

pojęcia, co robi w swoim gabinecie. Nie pomyślała, żeby o to zapytać. Wszedł z teczką i z tą samą teczką wyszedł. Odwiozła go do domu, a później, około południa, wróciła do siebie. W niedzielę w późnych godzinach wieczornych zadzwonił Calvin Boggs z wiadomością, że pan Hubbard się powiesił.

O jedenastej rano, po niemal dwóch godzinach przesłuchania, Jake oddał świadka do dyspozycji przeciwnej strony. Podczas krótkiej przerwy powiedział Lettie, że świetnie się spisała. Portia była podniekscytowana i bardzo dumna z matki. Lettie panowała nad sobą i była przekonująca. Harry Rex, który obserwował wszystko z tylnego rzędu, stwierdził, że jej zeznania nie mogły wypaść lepiej.

Około południa wszystko legło w gruzach.

△△△

Wiedział, że ukrywanie zbiega stanowi naruszenie prawa każdego stanu, także Alaski, więc mogło mu grozić więzienie, ale wtedy się nad tym nie zastanawiał. Obudził się o wschodzie słońca, zeszywniały po nocy spędzonej w fotelu. Ancil dostał łóżko. Całe, do wyłącznej dyspozycji. Powiedział, że może spać na podłodze lub fotelu, ale Lucien bał się o jego ranną głowę i nalegał, żeby zajął miejsce na materacu. Środek przeciwbólowy go wybudził. Długo siedział w ciemności, trzymając ostatnią szklankę whisky z colą i słuchając chrapania staruszka.

Ubrał się i cichcem wyszedł z pokoju. Hotelowy hol zionął pustką. Nie zauważył żadnych gliniarzy węszących w poszukiwaniu Ancila. W kawiarni kawałek dalej kupił kawę i babeczki i przyniósł do pokoju. Ancil już wstał i oglądał lokalne wiadomości.

- Ani słowa – powiedział.
- Nie jestem zaskoczony – odparł Lucien. – Wątpię, aby sprowadzili psy tropiące.

Jedli, jeden po drugim wzięli prysznic i ubrali się. O ósmej opuścili pokój. Ancil miał na sobie czarny garnitur Luciena, białą koszulę, krawat w tureckie wzory i jego czapkę zsuniętą na czoło, aby ukryć twarz. Pośpiesznie minęli trzy przecznice, zmierzając do kancelarii

prawnej Jareda Wolkowicza, prawnika poleconego przez Bo Bucka z baru w Glacier Inn. Lucien wstąpił wczoraj do pana Wolkowicza i zorganizował zeznanie pod przysięgą. Protokolant sądowy i operator kamery wideo czekali w sali konferencyjnej. Pan Wolkowicz stanął w końcu stołu, podniósł prawą rękę i powtarzał za protokolantem, ślubując mówić prawdę i tylko prawdę, a następnie zasiadł naprzeciw kamery.

– Dzień dobry. Nazywam się Jared Wolkowicz. Jestem adwokatem i wykonuję praktykę zgodnie z prawem stanu Alaska. Mamy środę, piątego kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku. Znajduję się w mojej kancelarii przy Franklin Street w centrum Juneau w stanie Alaska. Jest ze mną pan Lucien Wilbanks z Clanton w Missisipi oraz Ancil F. Hubbard, mieszkający obecnie w Juneau. Celem przesłuchania jest nagranie zeznania pana Hubbarda. Nie znam sprawy, z którą panowie do mnie przyszli. Moją wyłączną rolą jest poświadczenie faktu, że należycie utrwalono to, co tutaj zaszło. Jeśli jacyś prawnicy lub sędziowie będą chcieli się ze mną skontaktować, proszę zadzwonić.

Wolkowicz wstał z krzesła, a do przodu wyszedł Lucien. Po zaprzysiężeniu przez protokolanta sądowego zajął miejsce adwokata przed kamerą.

– Nazywam się Lucien Wilbanks – powiedział. – Jestem dobrze znany sędziemu Atlee i prawnikom zaangażowanym w spór o ostatnią wolę i testament Setha Hubbarda. Współpracując z Jakiem Brigrance'em oraz innymi osobami, zdołałem odnaleźć Ancila Hubbarda. Rozmawiałem z nim kilka godzin i nie mam wątpliwości, że jest bratem Setha Hubbarda. Urodził się w okręgu Ford w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku. Jego ojcem jest Cleon Hubbard, a matką Sarah Belle Hubbard. W tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym jego ojciec zatrudnił mojego dziadka, Roberta E. Lee Wilbanksa, aby reprezentował jego interesy w sprawie sporu o ziemię. Spór ten ma istotne znaczenie dla rozpatrywanej obecnie sprawy. Oto pan Ancil Hubbard.

Lucien zwolnił miejsce, pozwalając, aby zasiadł w nim Ancil. Ten

podniósł prawą rękę i przysiągł mówić wyłącznie prawdę.

△△△

Wade Lanier rozpoczął swoje toksyczne przesłuchanie od pytania o Simeona. Dlaczego siedzi w więzieniu? Czy usłyszał oskarżenie? Jak często Lettie go odwiedza? Czy Simeon sprzeciwia się rozwodowi? Był to brutalny, choć skuteczny sposób przypomnienia przysięgłym, że ojciec piątki dzieci Lettie jest pijakiem, który zabił dwóch młodych Rostonów. Po pięciu minutach Lettie ocierała łzy, a Lanier wyglądał jak skończony drań. Miał to gdzieś. Kiedy górę wzięły emocje, chwilowo ograniczając zdolność trzeźwego myślenia, szybko zmienił bieg i zastawił pułapkę.

– Pani Lang, u kogo pani pracowała przed podjęciem pracy u pana Hubbarda?

Lettie otarła policzek wierzchem dłoni, próbując zebrać myśli.

– U państwa Tingleyów w Clanton.

– W jakim charakterze?

– Gospodyni domowej.

– Jak długo pani u nich pracowała?

– Nie pamiętam dokładnie, jakieś trzy lata.

– Czemu pani odeszła?

– Państwo Tingleyowie zmarli. Oboje.

– Czy zapisali pani jakieś pieniądze w testamencie?

– Jeśli to zrobili, nikt mi o tym nie powiedział. – Kilku przysięgłych się uśmiechnęło, ale Wade Lanier nie zrozumiał dowcipu.

– A wcześniej? – pytał dalej. – U kogo pani pracowała przed Tingleyami?

– W szkole w Karaway, jako kucharka.

– Jak długo?

– Dwa lata.

– Czemu pani odeszła?

– Dostałam pracę u państwa Tingleyów. Wolę pracować jako gospodyni domowa niż kucharka.

– Rozumiem. Gdzie pani pracowała przed podjęciem pracy w

szkole?

Milczała chwilę, próbując sobie przypomnieć. W końcu odrzekła:

– Przed szkołą pracowałam u pani Gillenwater w Clanton, jako gospodyni.

– Długo?

– Około roku. Pani Gillenwater wyprowadziła się z miasta.

– U kogo pani pracowała przed panią Gillenwater?

– U państwa Gloverów w Karaway.

– Jak długo?

– Nie pamiętam dokładnie, trzy, może cztery lata.

– Rozumiem. Nie chodzi mi o szczegóły, pani Lang. Proszę sobie przypomnieć najlepiej, jak pani potrafi, dobrze?

– Tak, proszę pana.

– U kogo pani pracowała przed Gloverami?

– U panny Karsten, w tym mieście. Pracowałam u niej sześć lat. Była moją ulubioną chlebodawczynią. Nie chciałam od niej odejść, ale panna Karsten nagle umarła.

– Dziękuję. – Lanier zapisał coś w swoim notatniku, jakby nauczył się czegoś nowego. – Podsumowując, pani Lang, pracowała pani trzy lata u pana Hubbarda, trzy u Tingleyów, dwa w szkole, rok u pani Gillenwater, trzy lub cztery lata u Gloverów oraz sześć lat u panny Karsten. Jeśli dobrze rachuję, to okres około dwudziestu lat. Czy to brzmi wiarygodnie?

– Tak, plus minus jeden rok tu i tam – odrzekła pewnie Lettie.

– Czy nie miała pani innych pracodawców w ciągu ostatnich dwudziestu lat?

Pokręciła głową.

Lanier wyraźnie dokąś zmierzał, ale Jake nie mógł go powstrzymać. Modulacja głosu, nieznaczne sygnały podejrzeń, uniesione brwi, sucha rzeczowość pytań. Starał się to wszystko ukryć, ale wyszkolone oczy i uszy Jake'a wyczuły niebezpieczeństwo.

– Sześciu pracodawców w ciągu dwudziestu lat, pani Lang. Ile razy panią zwolniono?

– Ani razu. Po śmierci pana Hubbarda wypowiedziano mi

umowę, panna Karsten zachorowała, a państwo Tingleyowie umarli. Robota po prostu się skończyła.

– Czy nigdy nie zwolniono pani za złą pracę? Za zrobienie czegoś niewłaściwego?

– Nie, proszę pana. Nigdy.

Lanier wycofał się z podium, spojrzął na sędziego Atlee i powiedział:

– To wszystko, Wysoki Sądzie. Rezerwuję sobie prawo wezwania świadka w dalszej części procesu. – Podszedł z uśmiechem do stołu. W ostatniej chwili Jake zauważył, jak mruga porozumiewawczo do Lestera Chilcotta.

Lettie skłamała, a Lanier zamierzał ją zdemaskować. Jake nie miał pojęcia, co się święci, więc nie mógł temu zapobiec. Instynkt nakazywał mu usunąć Lettie z ławy dla świadków. Wstał i powiedział:

– Wysoki Sądzie, nie mamy więcej pytań.

– Czy chce pan powołać jakichś świadków, panie Lanier?

– Tak, Wysoki Sądzie.

– Proszę wezwać pierwszego.

– Wzywam na świadka pana Fritza Pickeringa.

– Kogo? – wybełkotał Jake.

– Fritza Pickeringa – powtórzył głośno i ironicznie Lanier, jakby Jake miał kłopot ze słuchem.

– Nigdy o nim nie słyszałem. Nie ma go na mojej liście świadków.

– Ale jest w rotundzie – wyjaśnił woźnemu Lanier. – Czeka.

Jake pokręcił głową i spojrzął na sędziego Atlee.

– Nie może zeznawać, jeśli nie znajduje się na liście świadków, Wysoki Sądzie.

– Wzywam go mimo to – odrzekł Lanier.

Fritz Pickering wszedł na salę i ruszył za woźnym w kierunku miejsca dla świadka.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie – powiedział Brigance.

Sędzia Atlee zdjął okulary do czytania i spojrzął gniewnie na Wade'a Laniera.

– Zarządzam piętnastominutową przerwę. Zapraszam do siebie prawników stron. Wyłącznie prawników. Bez asystentów prawnych i personelu.

Ławnicy zostali pośpiesznie wyprowadzeni z sali, a prawnicy podążyli za sędzią do ciasnego gabinetu w głębi korytarza. Atlee nie zdjął togi, ale usiadł i spojrzał na Laniera równie zaskoczony jak Jake.

– Słucham – powiedział.

– Wysoki Sądzie, Pickering nie znajduje się na liście świadków dowodowych, więc nie musi być znany drugiej stronie. Ma służyć podważeniu wiarygodności innego świadka, a nie przedstawieniu dowodów. Nie byłem zobowiązany uwzględnić go na liście lub w inny sposób ujawnić jego nazwiska, bo nie byłem pewny, że go powołam. Obecnie, gdy usłyszałem zeznania Lettie Lang i dostrzegłem jej niezdolność do powiedzenia prawdy, uznałem, że świadek okazał się nagle kluczowy dla sprawy.

Sędzia Atlee głośno wypuścił powietrze, a każdy prawnik w pokoju szukał w głowie przepisów dotyczących materiałów dowodowych i zasad procedury cywilnej. Nie było większych wątpliwości, że Lanier może się powołać na zasady dotyczące zakwestionowania wiarygodności świadka. Na tym polegała zasadzka, którą tak zrećnie zastawił razem z Lesterem Chilcottom. Jake pragnął znaleźć jakiś przekonujący, rozsądny argument, ale błyskotliwy intelekt zawiódł go sromotnie.

– Co zezna świadek? – spytał sędzia Atlee.

– Lettie Lang pracowała kiedyś u jego matki, pani Irene Pickering. Fritz i jego siostra zwolnili Lettie, kiedy znaleziono odręczny testament zapisujący Lettie pięćdziesiąt tysięcy dolarów w gotówce. Pani Lang skłamała przynajmniej trzykrotnie. Po pierwsze, powiedziała, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat pracowała wyłącznie u wymienionych przeze mnie ludzi. Pani Pickering zatrudniła ją w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku, a oni zwolnili ją w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym. Po drugie, została zwolniona, gdy pracowała jako gosposia. Po trzecie, zeznała, że nigdy nie widziała testamentu. Fritz i jego siostra pokazali jej odręczny testament

w dniu, gdy ją zwolnili. Mogła skłamać jeszcze raz lub dwa, ale w obecnej chwili nie potrafię sobie wszystkiego przypomnieć.

Jake zwiesił ramiona, czując, jak zaciska mu się żołądek. Obraz przed oczami uległ zamazaniu, twarz pobladła. Musiał koniecznie powiedzieć coś inteligentnego, ale w głowie miał pustkę. Później zabłysła iskierka.

– Kiedy poznał pan tego Fritza Pickeringa?
– Poznałem go dziś – odrzekł Lanier, nie kryjąc zadowolenia.
– Nie o to pytałem. Kiedy dowiedział się pan o Pickeringach?
– W trakcie poszukiwań. To kolejny dowód, że pracowaliśmy ciężiej niż wy, Jake. Znaleźliśmy więcej świadków. Przetrzęsaliśmy zarośla, urobiliśmy sobie ręce po łokcie, harowaliśmy do utraty tchu. Nie wiem, co robiłeś w tym czasie.

– Przepisy wymagają przedstawienia świadków, których strony mają zamiar powołać. Dwa tygodnie temu wywaliłeś na stół nazwiska czterdziestu pięciu nowych. Nie grasz przepisowo, Wade. Wysoki Sądzie, to jawne naruszenie przepisów.

Sędzia Atlee podniósł rękę i powiedział:

– Dość! Dajcie mi chwilę pomyśleć. – Wstał, podszedł do biurka, sięgnął po jedną z kilkunastu fajek, napełnił ją tytoniem marki Sir Walter Raleigh, wypuścił gęsty kłąb dymu i pogрузzył się w zadumie. Z jednej strony siedzieli zadowoleni Wade Lanier, Lester Chilcott, Zack Zeitler i Joe Bradley Hunt, w milczeniu czekając na decyzję, która bezpowrotnie skieruje proces na północ lub południe. Z drugiej samotnie przycupnął Jake, gryzmołąc notatki, których nawet on sam nie zdołałby odczytać. Było mu niedobrze i nie mógł powstrzymać drżenia rąk.

Wade Lanier wykonał mistrzowski chwyt poniżej pasa, co mogło doprowadzić człowieka do furii. Dlaczego Lettie nie wspomniała o Pickeringach? Od października przegadali niezliczoną ilość godzin.

Wysoki Sąd wydmuchnął dym i powiedział:

– To zbyt ważny świadek, aby go wykluczyć. Wyrażam zgodę na to, żeby pan Pickering zeznawał, ale w ściśle określonych granicach.
– Zasadzka procesowa – mruknął gniewnie Jake. – Werdykt zo-

stanie automatycznie uchylony. Za dwa lata będziemy przerabiać to ponownie.

– Nie praw mi kazań – odburknął sędzia Atlee. – Sąd Najwyższy jeszcze nigdy nie podważył mojego wyroku. Nigdy.

Jake wziął głęboki oddech i powiedział:

– Przepraszam.

△△△

Opowieść Ancila trwała pięćdziesiąt osiem minut. Kiedy skończył, otarł wilgotne oczy, stwierdził, że nie może dłużej mówić, i wyszedł z sali. Lucien podziękował Jaredowi Wolkowiczowi za udostępnienie pomieszczenia. Nie powiedział prawnikowi, że Ancil jest zbiegiem.

W drodze do hotelu zauważyli kilku policjantów na rogu ulicy, i postanowili przycząć się w kawiarni. Ukryli się w boksie, starając się podtrzymać rozmowę. Lucien był wstrząśnięty opowieścią Ancila, ale żaden nie był w nastroju, by o tym gadać.

– Zapłaciłem za dwie dodatkowe doby w hotelu. Pokój jest cały twój. Muszę wyjechać. Możesz zatrzymać ubrania, szczoteczki do zębów, wszystko, co chcesz. W szafie wiszą stare spodnie khaki z trzystoma dolcami w przedniej kieszeni. Należą do ciebie.

– Dzięki, Lucienie.

– Jakie masz plany?

– Nie wiem. Nie chcę iść do więzienia, więc pewnie dam drapaką z miasta. Zniknę jak zwykle. Ci klauni mnie nie złapią. To dla mnie normalka.

– Dokąd się udasz?

– Cóż, może wpadnę do Missisipi, skoro mój drogi braciszek miał o mnie takie wysokie mniemanie. Kiedy będę mógł uszczknąć nieco z jego majątku?

– Kto wie? Właśnie toczy się proces. Może za miesiąc, a może za pięć lat. Masz mój numer telefonu. Zadzwoń za parę tygodni, a przekażę ci najświeższe wiadomości.

– Tak zrobię.

Lucien zapłacił za kawę i wyszli bocznymi drzwiami. Pożegnali

się w alejce. Lucien ruszył na lotnisko, a Ancil do hotelu. Kiedy dotarł na miejsce, detektyw już na niego czekał.

△△△

Fritz Pickering opowiedział swoją historię ze wszystkimi drugoczącymi szczegółami w nabitej sali sądowej, którą wypełniała kamienna cisza. Lettie słuchała z przegraną miną. Opuściła czoło i wbiła wzrok w podłogę. Co jakiś czas zamykała oczy w cierpieniu. Czasami kręciła głową, jakby się nie zgadzała, ale nikt na sali jej nie wierzył.

Kłamstwa, kłamstwa i jeszcze raz kłamstwa.

Fritz pokazał kopię odręcznego testamentu matki. Jake sprzeciwił się dołączeniu dokumentu do materiału dowodowego, bo nie można było udowodnić, że charakter pisma faktycznie należy do Irene Pickering, ale sędzia Atlee go nie posłuchał. Testament zaliczono do dowodów w sprawie. Wade Lanier poprosił świadka o przeczytanie czwartego paragrafu, w którym była mowa o przekazaniu Lettie Lang kwoty pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Odczytał go wolno, donośnym głosem. Kilkoro przysięgłych pokręciło głowami z niedowierzaniem.

Wade Lanier walił dalej:

– Panie Pickering, czy pan i pana siostra usiedliście z Lettie Lang przy stole w kuchni i pokazaliście jej testament spisany przez matkę?

– Tak.

– Czyli zeznając wcześniej, że nigdy nie widziała testamentu, skłamała?

– Tak sędzę.

– Sprzeciw!

– Oddalam! – zawołał ze swojej ławy Wysoki Sąd.

Stało się jasne, przynajmniej dla Jake'a, że sędzia Atlee jest jego wrogiem. Uważał Lettie za kłamcę, a w jego świecie nie było cięższego grzechu. W ciągu swojej kariery posłał za kraty kilka osób przyłapanych na kłamstwie, ale zawsze w sprawie rozwodowej. Noc w więzieniu czyniła cuda na drodze do prawdy.

Lettie nie groziło więzienie, choć byłoby to dużo lepsze. W tej

strasznej chwili, gdy przysięgli wiercili się nerwowo i spoglądali na siebie, groziła jej utrata plus minus dwudziestu milionów, oczywiście przed zapłaceniem podatków.

Kiedy świadek mówi prawdę i prawda boli, prawnik nie ma innego wyboru, jak tylko podważyć jego wiarygodność. Jake siedział z kamienną twarzą, jakby oczekiwał, że Fritz skończy mówić to, co ma do powiedzenia, ale podświadomie rozpaczliwie poszukiwał słabych punktów. Co zyskał Pickering, składając zeznania? Czemu traci czas w sądzie?

– Panie Brigance – powiedział sędzia Atlee, kiedy Lanier oddał świadka do dyspozycji drugiej strony.

Jake wstał szybko, udając, że jest pewny swego. Pierwsza zasada każdego prawnika procesowego mówi, by nie zadawać pytania, jeśli nie zna się odpowiedzi. Kiedy stoi się jednak w obliczu nieuchronnej klęski, do diabła z zasadami. Jake strzelił z biodra na oślep:

– Panie Pickering, ile panu zapłacono za to, aby złożył pan dziś zeznanie?

Kula trafiła między oczy. Facet zamrugał i opuścił szczękę. Spojrzał rozpaczliwie na Wade'a Laniera. Lanier wzruszył ramionami i skinął głową. Powiedz, to bez znaczenia.

– Siedem i pół tysiąca dolarów – odrzekł Fritz.

– Kto panu zapłacił? – spytał Jake.

– Czek został wystawiony przez kancelarię pana Laniera.

– Z jaką datą?

– Nie pamiętam dokładnie, ale jakiś miesiąc temu.

– Zatem dobiliście targu przed miesiącem. Zgodził się pan przyjechać do Clanton i zeznawać, a pan Lanier przesłał panu pieniądze, czy tak?

– Tak.

– Nie przyszło panu do głowy zażądać więcej niż siedem i pół tysiąca? – spytał Jake, nadal strzelając na oślep. Nie znał faktów, ale miał przecucie.

– Przyszło. Poprosiłem o więcej.

– Chciał pan przynajmniej dziesięć tysięcy, prawda?

– Coś w tym rodzaju – przyznał Fritz i ponownie spojrzął na Laniera. Jake czytał w jego myślach.

– Powiedział pan, że nie będzie zeznawał, jeśli nie otrzyma pieniędzy, prawda?

– W tym czasie nie rozmawiałem z panem Lanierem. Rozmawiałem z jednym z jego śledczych. Pana Laniera poznałem dopiero dziś rano.

– Mimo to nie zamierzał pan zeznawać za darmo, tak?

– Tak.

– Kiedy przyjechał pan ze Shreveport?

– Wczoraj późnym wieczorem.

– Kiedy zamierza pan wyjechać z Clanton?

– Jak najszybciej.

– To krótka podróż, jakieś dwadzieścia cztery godziny?

– Coś w tym rodzaju.

– Siedem i pół tysiąca dolarów za dwadzieścia cztery godziny.

Jest pan droгим świadkiem.

– Czy to pytanie?

Jake miał szczęście, ale wiedział, że nie może to wiecznie trwać. Zajrzał do notatek, przekreślił coś, czego nie potrafił odczytać, i zmienił temat.

– Panie Pickering, czy Lettie Lang nie wyjaśniła panu, że nie miała nic wspólnego ze sporządzeniem testamentu pana matki?

Jake nie miał pojęcia, co Lettie zrobiła. Nie zdążyli omówić tego wydarzenia. Zanosilo się na paskudną rozmowę, przypuszczalnie podczas lunchu.

– Tak powiedziała – odrzekł Fritz.

– Czy nie starała się wyjaśnić, że pańska matka nie wspomniała ani słowa o testamencie?

– Tak powiedziała.

– Skąd ma pan kopię testamentu?

– Miałem w rodzinnych papierach. – Naprawdę przyszła w anonimowym liście, ale kto się w tym połapie?

– Nie mam więcej pytań – powiedział Jake i usiadł.

– Ogłaszam przerwę do trzynastej trzydzieści – ogłosił sędzia Atlee.

Rozdział 44

Jake i Harry Rex uciekli z miasta. Jake siedział za kierownicą. Pędzili na wieś, starając się oddalić od koszmaru sali sądowej. Mogliby się tam natknąć na Lettie lub Portię, lub jednego z prawników. Na każdego, kto był świadkiem niedawnej masakry.

Harry Rex był wiecznym przekorą. Kiedy w sądzie wszystko szło gładko, można było liczyć na to, że dostrzeże same negatywy. Z kolei po kiepskim dniu potrafił promieniować niewiarygodnym optymizmem w sprawie przyszłości. Jake prowadził i dyszał gniewem, czekając, aż jego kumpel wypowie jakąś uwagę, która choćby przełotnie podniesie go na duchu. Usłyszał jedynie:

– Do licha, lepiej przestań się wymądrzać i doprowadź do ugody.

Jake odpowiedział po przejechaniu półtora kilometra.

– Dlaczego sądzisz, że Wade Lanier będzie nią zainteresowany?

Właśnie wygrał sprawę. Przysięgli nie dadzą Lettie Lang pięćdziesięciu dolców na zakupy. Widziałeś ich twarze.

– Wiesz, co w tym wszystkim jest najgorsze, Jake?

– Wszystko. Nasza sytuacja jest gorsza niż zła.

– Najgorsze jest to, że zeznania Pickeringa kompletnie podważyły wszystko, co powiedziała Lettie. Ani przez chwilę nie pomyślałem, że manipulowała Sethem Hubbardem, nakłaniając go do zmiany testamentu. Lettie nie jest taka sprytna, a on nie był taki głupi. Teraz, kiedy wiem, że już to wcześniej zrobiła, zadaję sobie pytanie: „Czy to schemat działania?”, „Czy ta paniusia może wiedzieć o testamencie i dziedziczeniu więcej, niż sądziliśmy?”. Nie mam pojęcia, ale po prostu chodzi mi to po głowie.

– Czemu to ukryła? Do diabła, założeń się, że nigdy nie wspomniała o tym Portii. Nigdy nikomu nie powiedziała, że została przyłapaną przez Pickeringów. Powinienem mieć dość rozumu, żeby spytać ją o to pół roku temu. „Lettie, czy rozmawiałaś z kimś o zmianie testamentu i dodaniu paragrafu z ładną sumką dla siebie?”

– Dlaczego o tym nie pomyślałaś?

– Bo byłem głupi. Teraz też czuję się jak głupiec.

Przejechali kolejny kilometr, a po nim następny.

– Masz rację – powiedział Jake. – To powoduje, że zaczynasz wątpić we wszystko. Jeśli my tak myślimy, wyobraź sobie, co myślą przysięgli.

– Straciliśmy przysięgłych, Jake. Nigdy ich nie odzyskasz. Wezwałeś swoich najlepszych świadków, doskonale przedstawiłeś sprawę i na koniec zostawiłeś kluczowego świadka. Ten spisał się znakomicie, a później, w ciągu kilku minut, sprawa została pogrążona przez nieoczekiwanego świadka drugiej strony. Możesz zapomnieć o ławie przysięgłych.

Pokonali kolejny kilometr.

– Nieoczekiwany świadek – powiedział Jake. – Z pewnością są podstawy do uchylecia.

– Nie licz na to. Nie możesz pozwolić, żeby sprawy zaszły tak daleko, Jake. Musisz doprowadzić do ugody, zanim przysięgli wydadzą werdykt.

– Będę musiał skapitulować jako adwokat.

– Skoro tak musi być. Zarobiłeś trochę grosza, więc usuń się z drogi. Pomyśl o Lettie.

– Wolałbym tego nie robić.

– Rozumiem. A jeśli wyjdzie z sądu bez centa?

– Może na to zasługuje.

Zatrzymali się na żwirowym parkingu sklepu spożywczego Bate-sa. Jedynym zagranicznym wozem na placu był czerwony saab. Pozostałe pojazdy były przynajmniej dziesięcioletnimi pick-upami. Czekali w kolejce, kiedy pani Bates cierpliwie nakładała warzywa, a pan Bates kasował po trzy i pół dolara od każdego, wliczając słodką

mrożoną herbatę i chleb kukurydziany. Sala pękała w szwach, nie było żadnych wolnych miejsc.

– Tam. – Pan Bates skinął głową. Jake i Harry Rex usiedli przy małym blacie nieopodal dużej kuchenki gazowej, na której stały garnki. Mogli rozmawiać, ale musieli być ostrożni.

Nie żeby miało to jakieś znaczenie. Żadna z osób konsumujących lunch u Batesów nie miała pojęcia, że w mieście toczy się proces, a już z pewnością nie wiedziała, jak fatalny obrót przybrał dla Jake'a, który przycupnął na stołku, pochylony nad talerzem. Siedział smętny, przyglądając się ludziom.

– Hej! Powinieneś coś zjeść! – powiedział Harry Rex.

– Nie mam apetytu.

– Mogę zjeść twoją porcję?

– Możesz. Wiesz, zazdroszczę tym ludziom. Nie muszą wracać na cholerną salę sądową.

– Ja też nie. Zostałeś sam, kolego. Schrzanieś sprawę tak paskudnie, że nie da się jej ocalić. Wychodzę z gry.

Jake ułamał kawałek chleba kukurydzianego i wetknął do ust.

– Nie studiowałeś razem z Lesterem Chilcotte? – spytał.

– Studiowałem. To największy dupek na całym wydziale. Kiedy zaczynał, był całkiem miły, ale później dostał robotę w wielkiej firmie w Jackson i bum, w jednej chwili zamienił się w dupka. Pewnie tak już jest. Nie on pierwszy. Dlaczego zapytałeś?

– Złap faceta po południu. Szepnij mu słówko. Wybadaj, czy będą chcieli rozmawiać o ugodzie.

– W porządku – zgodził się Harry Rex. – O jakiej ugodzie?

– Nie wiem, ale jeśli usiądą do stołu, to się dogadamy. Jeśli zrezygnuję, sędzia Atlee przejmie kontrolę nad negocjacjami i dopilnuje, żeby każdy coś otrzymał.

– Wreszcie mówisz do rzeczy. Warto spróbować.

Jake zdołał przełknąć odrobinę smażonej okry. Harry Rex już prawie skończył i typał łakomym okiem na talerz Jake'a.

– Słuchaj, Jake, grałeś w futbol, prawda? – spytał.

– Próbowałem.

– Nie pitol. Pamiętam, że byłeś rozgrywającym tej mizernej drużyny z Karaway. Nie udało się wam wygrać ani razu. Powiedz, jakie najgorsze lanie dostaliście na boisku?

– Ci z Ripley skopali nam tylek pięćdziesiąt do zera. Byłem wtedy w przedostatniej klasie.

– Ile przegrywaliście do przerwy?

– Trzydzieści sześć do zera.

– Zszedłeś z boiska?

– Skąd, byłem rozgrywającym!

– Rozumiem. W połowie meczu wiedziałeś, że nie wygracie, ale po przerwie wyprowadziłeś drużynę na boisko, żeby rozegrać dalej. Wtedy się nie poddałeś i teraz nie możesz tego zrobić. Teraz zwycięstwo wydaje się wątpliwe, ale musisz wrócić na boisko. Wyglądasz na przegranego, a przysięgli obserwują każdy twój ruch. Zjedz warzywa jak grzeczny chłopiec i ruszajmy.

△△△

Przysięgli rozeszli się na lunch i spotkali ponownie o trzynastej piętnaście w swojej sali. Byli zaskoczeni i zdezorientowani. Zaskoczeni, że proces przybrał nagle tak niekorzystny obrót dla Lettie Lang. Zanim pojawił się Fritz Pickering, wszystko wskazywało, że Seth Hubbard był człowiekiem, który osiągał to, co sobie zaplanował, i dokładnie wiedział, co robi. Nagle sytuacja uległa radykalnej zmianie. Teraz wszyscy spoglądali na Lettie z ogromną podejrzliwością. Nawet dwie czarne przysięgłe, Michele Still i Barb Gaston, zwątpiły. Ludzie nie wiedzieli, co się stanie. Kogo powoła Jake, żeby naprawić szkody? Czy jest to w ogóle możliwe? A jeśli oni, przysięgli, odrzuca własnoręczny testament, co się stanie z pieniędzmi? Istniało wiele pytań i niewiele odpowiedzi.

Tak zapamiętali debatowali o sprawie, że przewodniczący Nevin Dark poczuł się w obowiązku przypomnieć, że Wysokiemu Sądowi nie spodobałoby się to, co robią.

– Porozmawiajmy o czymś innym – zasugerował grzecznie, nie chcąc nikogo urazić. W końcu nie był ich szefem.

O trzynastej trzydzieści woźny sądowy wszedł do pokoju i powiedział: „Chodźmy”. Podążyli za nim na salę rozpraw. Zajmując miejsca, cała dwunastka patrzyła na Lettie Lang, która skrzętnie coś notowała i nie podnosiła głowy znad kartki. Jej prawnik nie posłał żadnego ze swoich uroczych małych uśmiezków w kierunku ławy przysięgłych. Zamiast tego siedział niedbale na krześle, gryząc ołówek i udając zrelaksowanego.

– Panie Lanier, może pan powołać następnego świadka.

– Tak, Wysoki Sądzie. Powołujemy na świadka pana Herschela Hubbarda. – Herschel wstał i uśmiechnął się idiotycznie do przysięgłych, obiecał mówić prawdę i tak dalej, a następnie zaczął udzielać odpowiedzi na całe mnóstwo przyziemnych pytań. Wade Lanier należycie go przygotował. Poruszali się tam i z powrotem, opisując wszystkie aspekty nudnego życia Herschela. Świadek opowiadał niestworzone historie, z wielkim rozrzewnieniem wspominając swoje dzieciństwo, rodziców, siostrę i wspaniałe chwile, które razem przeżyli. Tak, rozwód rodziców był bardzo bolesną sprawą, ale rodzina stawiała czoło próbie i przetrwała. Był bardzo blisko z ojcem. Dużo z sobą rozmawiali i widywali się, kiedy tylko mogli, ale obaj mieli mnóstwo obowiązków. Obaj byli zapalonymi kibicami drużyny Atlanta Braves. Z nabożną czcią śledzili wyniki drużyny i bez przerwy rozmawiali o meczach.

Lettie patrzyła na niego oniemiała. Nigdy nie słyszała, żeby Seth Hubbard wspomniał choć słówkiem o Atlanta Braves, w ogóle nie widziała, żeby oglądał mecze baseballowe w telewizji.

Starali się przynajmniej raz w sezonie pojechać do Atlanty, żeby obejrzeć kilka meczów. Że jak? Informacje Herschela były nowiną dla Jake'a i każdego, kto czytał jego wcześniejsze zeznania złożone pod przysięgą. Nigdy nie wspomniał o wspólnej podróży samochodem do Atlanty, ale Jake niewiele mógł zrobić. Trzeba by dwóch dni ciężkiej pracy, aby wykazać, że podróże do Atlanty nigdy się nie odbyły. Jeśli Herschel chciał opowiadać bajeczki o sobie i swoim starym, Jake nie mógł go powstrzymać. Bo musiał być ostrożny. Jeśli przysięgli uważali go jeszcze za chociaż odrobinę wiarygodnego, mógł poważ-

nie nadszarpnąć ten kredyt, atakując Herschela. Facet stracił ojca, a później został wykluczony z testamentu w bardzo okrutny i upokarzający sposób. Nic dziwnego, że przysięgli czuli do niego naturalną sympatię.

Poza tym, jak można było spierać się z synem, który pozostawał w oziębłych stosunkach z ojcem, a teraz przysięgał, że było inaczej? Nie można. Jake wiedział, że nie zdoła zwyciężyć w tym sporze. Robił notatki, słuchał zmyślonych bredni i starał się zachować twarz pokerzysty, jakby wszystko było w najlepszym porządku. Nie mógł się zmusić, aby spojrzeć przysięgłym w oczy. Oddzielała ich ściana, której nigdy wcześniej nie doświadczył.

Kiedy doszli do choroby Seta, Herschel spoważniał, a nawet stłumił łzy. To było straszne, powiedział. Trudno było patrzeć, jak aktywny, silny człowiek usycha i marnieje z powodu raka. Ojciec wiele razy próbował rzucić palenie. Wiele razy ojciec i syn szczerze rozmawiali o tym nałogu. Herschel odstawił papierosy, gdy miał trzydzieści lat, i błagał ojca, by zrobił to samo. W ostatnich miesiącach życia odwiedzał go tak często, jak to było możliwe. Tak, rozmawiali o jego majątku. Seth nie krył swoich intencji. Może nie był zbyt szczodry wobec Herschela i Ramony, kiedy byli młodszy, ale chciał, żeby po jego śmierci odziedziczyli cały majątek. Zapewnił ich, że sporządził testament – taki, który zabezpieczy ich przed materialnymi troskami i zapewni przyszłość ich dzieciom, bo Seth kochał wnuki.

Pod koniec życia nie był sobą. Rozmawiali stale przez telefon. Pierwszą rzeczą, jaką zauważył Herschel, było osłabienie pamięci ojca. Nie mógł zapamiętać wyniku meczu z ostatniego wieczoru. Herschel musiał się stale powtarzać. Cały czas rozwodził się o World Series, choć w ostatnim roku Braves nie uczestniczyli w rozgrywkach finałowych. Dla Seta brali w nich udział. Staruszek odchodził. Było to bardzo bolesne.

Nic dziwnego, że Herschel był nieufny wobec Lettie Lang. Dobrze pracowała, sprzątając w domu, gotując i opiekując się ojcem, ale im dłużej tam przebywała i im bardziej stan Seta się pogarszał, tym

bardziej zdawała się go chronić. Zachowywała się tak, jakby nie chciała widzieć Herschela i Ramony w domu. Kilka razy zadzwonił do ojca, ale pani Lang powiedziała, że staruszek źle się czuje i nie może podejść do telefonu. Starła się odseparować go od rodziny.

Lettie spojrzała gniewnie na świadka, powoli kręcąc głową.

Jednym słowem, Herschel dał niezłe przedstawienie, a kiedy skończył, Jake był tak skamieniały, że ledwie mógł się poruszyć lub pomyśleć. Dzięki zręcznym i mozolnym przygotowaniom Wade Lanier sklecił bajeczkę, której mógłby pozazdrościć każdy ojciec i syn.

Jake podszedł do podium i zapytał:

– Panie Hubbard, w jakim hotelu zwykle nocowaliście, jeżdżąc na mecze Atlanta Braves?

Herschel zmrużył oczy i otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Hotele przechowywały dokumenty, które można było sprawdzić. W końcu się otrząsnął i powiedział:

- Cóż, mieszkaliśmy w różnych hotelach.
 - Pojechał pan do Atlanty rok temu?
 - Nie, tata był zbyt chory.
 - A rok wcześniej?
 - Chyba tak. Tak.
 - Rozumiem, był pan w osiemdziesiątym siódmym. W jakim hotelu pan się wtedy zatrzymał?
 - Nie umiem sobie przypomnieć.
 - Dobrze. Z kim grali wtedy Bravesi?
- Rozgrywki też były do sprawdzenia.
- No, nie jestem pewien. Może z Chicago Cubs.
 - Możemy to sprawdzić – stwierdził Jake. – Pamięta pan datę?
 - Och, nie mam pamięci do dat.
 - Dobrze, a w osiemdziesiątym szóstym udało się wam pojechać na mecz lub dwa?
 - Tak, chyba tak.
 - W którym hotelu nocowaliście?
 - Może w Hiltonie. Nie jestem pewny.

- Z kim grali Bravesi?
- Niech się zastanowię. Nie jestem pewny, ale któregoś roku byłem na ich meczu z Philadelphia Phillies.
- Kto grał na trzeciej bazie w drużynie Phillies w osiemdziesiątym szóstym?

Herschel ciężko przełknął ślinę i spojrzał przed siebie, jakby gapił się w reflektory. Poruszał łokciami i zerkał na przysięgłych. Uwikłał się we własnych kłamstwach. Mistrzowska fikcja Laniera miała luki.

- Nie wiem – wybełkotał w końcu.
- Nie pamięta pan Mike'a Schmidta, najsztywniejszego zawodnika na trzeciej bazie w historii? Nadal gra, niebawem trafi do Galerii Sław w muzeum historii baseballu.

- Przykro mi, ale nie.
- Kto grał na środku pola w drużynie Atlanta Braves?

Kolejna bolesna pauza. Było jasne, że Herschel nie ma pojęcia.

- Słyszał pan kiedyś o Dale'u Murphym?
- Jasne. To był on. Dale Murphy.

Herschel wyszedł na wielkiego kłamcę, a przynajmniej na człowieka o silnej skłonności do konfabulacji. Jake mógł dalej drażyć, ale nie miał gwarancji, że ponownie ugra punkt. Instynktownie zdecydował się usiąść.

Następnym świadkiem była Ramona. Zaczęła płakać wkrótce po zaprzysiężeniu. Nadal nie mogła uwierzyć, że jej ukochany „tatusz” czuł się taki zagubiony i zrozpaczony, że targnął się na własne życie. Po pewnym czasie Lanier zdołał ją uspokoić i przeprowadzić przez wcześniej przygotowane zeznanie. Ramona zawsze była dziewczynką tatusia, nigdy nie miała dość staruszka. Seth uwielbiał ją i dzieci, często odwiedzał ich w Jackson.

Jake ponownie nie mógł się uwolnić od niechętnego podziwu dla Wade'a Laniera. Dobrze przygotował Ramonę do grudniowych zeznań, nauczył ją sztuki okładania się workami z piaskiem. Wiedział, że podczas procesu Jake nie będzie mógł obalić jej zeznań, więc rzucił parę okrucichów podczas wstępnego zeznania pod przysięgą, dość, żeby udzielić niejasnej odpowiedzi na pytania, a później wysmarował

fikcyjną opowieść dla przysięgłych.

Jej świadectwo było dramatycznym połączeniem emocji, kiepskiego udawania, kłamstwa i przesady. Jake zaczął ukradkiem popatrywać na przysięgłych, żeby sprawdzić, czy ktoś ma podejrzenia. Kiedy ponownie się rozryczała, Tracy McMillen, przysięgła numer dwa, wyczuła spojrzenie Jake'a i uniosła brwi, jakby chciała powiedzieć: „Możesz w to uwierzyć?”.

A przynajmniej Jake'owi tak się zdawało. Oczywiście mógł się mylić. Jego instynkt doznał wstrząsu, więc nie miał do niego pełnego zaufania. Tracy była jego ulubionym przysięgłym. Ich oczy spotkały się wielokrotnie w ciągu ostatnich dwóch dni, co zaczęło graniczyć z flirtem. Nie pierwszy raz atrakcyjny wygląd zyskał mu przychylność jednego z przysięgłych. I pewnie nie ostatni. Kolejny raz podniósł oczy i napotkał na wzrok Franka Doleya komunikujący dosadnie: „Nie mogę się doczekać, żeby ci przyłożyć”.

Wade Lanier nie był doskonały. Za długo trzymał Ramonę w ławie dla świadków i zaczął tracić słuchaczy. Jej głos stał się skrzypiący, a płacz brzmiał niczym zepsuta płyta. Ludzie, którzy patrzyli na Ramonę, cierpieli razem z nią, a kiedy Lanier w końcu powiedział: „Oddaję świadka do dyspozycji drugiej strony”, sędzia Atlee szybko uderzył młotkiem.

– Ogłaszam piętnastominutową przerwę.

Przysięgli wyszli i sala opustoszała. Jake został przy stole, podobnie jak Lettie. Nadszedł czas na wyrażenie zachęty i uznania. Portia przysunęła krzesło, aby mogli cicho porozmawiać w zbitej gromadce.

Zaczęła Lettie.

– Przepraszam cię, Jake. Co ja narobiłam? – Jej oczy natychmiast zwilgotniały.

– Czemu mi nie powiedziałaś, Lettie? Gdybym wiedział o Pickeringach, byłbym się przygotował.

– To nie było tak, Jake. Przysięgam, nigdy nie rozmawiałam o testamencie z panią Irene. Nigdy. Ani przedtem, ani potem, gdy go napisała. W ogóle nie wiedziałam o istnieniu testamentu do tamtego

ranka, kiedy rozpętało się piekło. Przysięgam, Jake. Musisz to wyjaśnić przysięgłym. Sama mogę to zrobić. Mogę sprawić, że mi uwierzą.

- To nie takie proste. Później o tym pogadamy.
- Musimy porozmawiać, Jake. Herschel i Ramona kłamią bez opamiętania. Nie możesz ich powstrzymać?
- Nie sądzę, aby przysięgli uwierzyli w ich bajeczki.
- Nie lubią Ramony – wtrąciła Portia.
- Jestem w stanie ich zrozumieć. Muszę iść do toalety. Czy Lucien się odezwał?
- Nie. Odsluchalam wiadomości nagrane na automatycznej sekretarce. Paru prawników, kilku reporterów i jedna groźba śmierci.
- Co?!
- Jakiś dureń powiedział, że spalą ci dom, jeśli wygrasz pieniądze dla czarnuchów.
- Jak miło. W pewnym sensie nawet to lubię. To przywołuje miłe wspomnienia z procesu Haileya.
- Zachowałam nagranie. Chcesz, żebym powiedziała Ozziemiu?
- Oczywiście.

△△△

Harry Rex dopadł Jake'a przed łazienką i powiedział:

- Gadałem z Chilcottem. Nie ma mowy. Nie są zainteresowani ugodą. Niemal roześmiał mi się w twarz. Powiedział, że mają w zanadrzu jedną lub dwie niespodzianki.
 - Jakże?! – zapytał spanikowany Jake.
 - Myślisz, że by mi powiedział? To zniszczyłoby zasadzkę, nie?
 - Nie wytrzymam kolejnej, Harry Rexie.
 - Zachowaj spokój. Dobrze ci idzie. Nie sądzę, aby Herschel i Ramona zrobili wrażenie na przysięgłych.
 - Powinienem dobrać się jej do skóry?
 - Nie. Spokojnie. Jeśli ją przyszpilisz, znowu zaczniesz płakać. Przysięgli mają jej dosyć.
- Pięć minut później Jake wszedł na podium i powiedział:
- Pani Dafoe, pani ojciec zmarł drugiego października ubiegłego

roku, czy tak?

- Tak.
- Kiedy widziała go pani ostatni raz przed śmiercią?
- Nie prowadzę notatek, panie Brigance. On był moim tatą.
- Czy nie jest prawdą, że widziała go pani ostatni raz pod koniec czerwca, ponad dwa miesiące przed jego śmiercią?
- Nie, to nieprawda. Widywałam go cały czas.
- Kiedy ostatnio, pani Dafoe? Kiedy widziała go pani ostatni raz?
- Już powiedziałam, że nie notują takich rzeczy. Pewnie kilka tygodni przed jego śmiercią.
- Jest pani pewna?
- Nie, nie jestem. Czy pan notuje, kiedy odwiedza rodziców?
- Nie jestem świadkiem, pani Dafoe. Jestem prawnikiem, który zadaje pytania. Jest pani pewna, że widziała się z ojcem kilka tygodni przed jego śmiercią?
- Nie, nie mam pewności.
- Dziękuję. A dzieci, Will i Leigh Ann? Kiedy ostatni raz widziały dziadka?
- Na Boga, panie Brigance! Nie mam zielonego pojęcia.
- Zeznała pani, że widywały dziadka bardzo często, czy tak?
- Oczywiście, tak. Kochały dziadka.
- Czy on też je kochał?
- Uwielbiał.

Jake się uśmiechnął i podszedł do małego stołu, na którym leżały dowody. Podniósł dwie kartki i spojrzał na Ramonę.

– To ostatnia wola, którą pani ojciec sporządził dzień przed śmiercią. Dołączono ją do materiałów dowodowych, przysięgli ją widzieli. W paragrafie szóstym pani ojciec pisze, cytując: „Mam dwoje dzieci: Herschela Hubbarda i Ramonę Hubbard Dafoe, oni zaś mają swoje dzieci. Nie wiem dokładnie ile, gdyż od pewnego czasu nie utrzymujemy kontaktów”. Koniec cytatu.

Jake odłożył pismo na stół i zapytał:

- Nawiasem mówiąc, ile lat ma Will?
- Czternaście.

– A Leigh Ann?
– Dwanaście.
– Od urodzenia młodszego dziecka minęło dwanaście lat. Czy tak?

– Tak, dokładnie.
– I pani ojciec nie wiedział, czy ma pani więcej dzieci?
– Nie można wierzyć temu, co napisał w ostatniej woli, panie Brigance. Tata nie był wtedy przy zdrowych zmysłach.

– To rozstrzygną przysięgli. Nie mam więcej pytań.

Jake usiadł i przeczytał karteczkę od Quince'a Lundy'ego: „Znakomicie. Załatwiłeś ją”. W tym momencie procesu, swojej kariery, a nawet życia Jake bardzo potrzebował zachęty. Pochylił się i szepnął:

– Dziękuję.

Wade Lanier wstał i oświadczył:

– Wysoki Sądzie, wzywam na świadka pana Iana Dafoe, męża Ramony Hubbard. – Ian zajął chyłkiem miejsce w ławie dla świadków, wymuskany i gotów sfabrykować kolejną podróż śladami pamięci. W połowie zeznania Quince Lundy podsunął kolejną kartkę. „Ci ludzie za bardzo starają się przekonać przysięgłych. Nie sądzę, aby to podziałało”.

Jake skinął głową, szukając okazji, rzuconego niebacznie słowa, którego mógłby się ucześcić i wykorzystać przeciwko świadkowi. Po egzaltowanym przedstawieniu urządzonym przez żonę Ian wydał się nieszkodliwie nudny. Udzielał zbyt wielu identycznych odpowiedzi, nie okazując żadnych emocji.

Od informatorów i poufnych kanałami Jake, Harry Rex i Lucien dowiedzieli się paru brudów. Małżeństwo Iana przeżywało kryzys. Pan Dafoe wolał przebywać z dala od domu, zrzucając winę na pracę. Odczuwał silny pociąg do kobiet. Jego żona za dużo piła. Interesy nie szły za dobrze.

Kiedy przyszła jego kolej, Jake zaczął od pytania:

- Jest pan deweloperem nieruchomości, czy tak?
- Tak.
- Czy ma pan udziały w firmie KLD Biloxi Group?

– Mam.
– Czy wspomniana firma zamierza odnowić centrum handlowe Gulf Coast Mall w Biloxi w stanie Missisipi?

– Tak.

– Czy powiedziała pan, że wspomniana firma ma mocne fundamenty finansowe?

– Zależy, jak pan zdefiniuje „mocne fundamenty”.

– Dobrze. Zdefiniujmy je w następujący sposób. Czy to prawda, że dwa miesiące temu pańska firma KLD Biloxi Group została pozwana przez First Gulf Bank za niezapłacenie dwóch milionów dolarów kredytu? – Jake pomachał jakimiś spiętymi świstkami papieru. Dysponował twardymi dowodami.

– Tak, ale to tylko część opowieści.

– Nie pytałem o nic więcej. Czy pańska firma została miesiąc temu pozwana przez bank z Nowego Orleanu, występujący pod nazwą Picayune Trust, o zapłatę dwóch milionów sześciuset tysięcy dolarów?

Ian wziął głęboki oddech i w końcu powiedział:

– Tak, ale te sprawy są nadal w toku. Poza tym złożyliśmy własny pozew.

– Dziękuję, nie mam więcej pytań.

Ian opuścił ławę świadków kwadrans przed piątą. Sędzia Atlee zastanawiał się chwilę nad odroczeniem rozprawy do czwartku rano. Wade Lanier pośpieszył z pomocą:

– Wysoki Sądzie, mamy świadka, który złoży krótkie zeznanie.

Gdyby Jake wiedział, co go czeka, ociągałby się nieco dłużej z Ianem, zmitrężył trochę czasu i opóźnił kolejną zasadzkę co najmniej do następnego dnia. Miało się jednak okazać, że przysięgli opuszczają salę z jeszcze gorszym mniemaniem o Secie Hubbardzie i jego skłonnościach.

– Wzywam na świadka Julinę Kidd.

Jake natychmiast rozpoznał nazwisko, które znajdowało się wśród czterdziestu pięciu, jakie Lanier rzucił mu na biurko dwa tygodnie wcześniej. Dwukrotnie próbował do niej zadzwonić, ale bez powo-

dzenia. Woźny sądowy przyprowadził ją z pokoju dla składających zeznania i powiódł do ławy dla świadków.

Zgodnie z wyraźnymi i stanowczymi zaleceniami Laniera miała na sobie tanią niebieską sukienkę podobną do tej, którą włożyła Lettie. Nic obcisłego, nic zmysłowego, nic, co przyciągałoby wzrok. Żadnej biżuterii, nic wyszukanego. Starła się wyglądać zwyczajnie, choć było to niemożliwe.

Przesłanie było wyraźne: jeśli Seth mógł uwieść tę atrakcyjną czarną kobietę, mógł się uganiać także za Lettie.

Julina Kidd zajęła miejsce i uśmiechnęła się nerwowo do przysięgłych. Lanier zadał kilka pytań wstępnych, a później przeszedł do rzeczy. Podał jej kartkę i zapytał:

– Może nam pani powiedzieć, co to takiego?

Spojrzała szybko i powiedziała:

– To pozew w sprawie o molestowanie seksualne, który pięć lat temu złożyłam przeciwko Sethowi Hubbardowi.

Jake skoczył na równe nogi, drąc się na całe gardło:

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie! Nie może zeznawać, dopóki prawnicy drugiej strony nie wyjaśnią, jaki to ma związek ze sprawą!

Lanier również stał, gotów do burdy.

– Zeznania pani Kidd mają istotny związek ze sprawą, Wysoki Sądzie – oznajmił donośnie.

Sędzia Atlee uniósł dłonie i powiedział:

– Cisza! – Spojrzał na zegarek, a później na przysięgłych, zawahał się chwilę i oświadczył: – Proszę pozostać na miejscach, zarządzam pięciominutową przerwę. Zapraszam do siebie prawników stron. – Pośpiesznie przemaszerowali do gabinetu sędziego. Jake był tak wściekły, że miał ochotę walnąć Laniera, a ten palił się, by oddać cios. Kiedy Lester Chilcott zamknął drzwi, sędzia Atlee spytał: – Co ona zezna?

– Pracowała w jednej z firm należących do Setha Hubbarda w południowej Georgii – odrzekł Lanier. – Tam się poznali. Zmusił ją do seksu, a później zwolnił, kiedy nie wyraziła ochoty na kolejne zbliżenia. Doszli do ugody przed rozpoczęciem procesu o molestowanie.

– Pięć lat temu? – spytał Jake.

– Tak.

– Jaki to ma związek z obecną sprawą? – spytał sędzia Atlee.

– Bardzo istotny, Wysoki Sądzie – odparł swobodnie Lanier, bo miał wiele miesięcy, żeby się przygotować. W przeciwieństwie do niego Jake był całkowicie zaskoczony, zbyt wściekły, aby trzeźwo myśleć. – Ta sprawa łączy się z niedopuszczalnym wpływem – ciągnął Lanier. – Seth miał skłonność do uwodzenia kobiet, które dla niego pracowały, niezależnie od koloru skóry. Skłonność ta doprowadziła go do decyzji, które nie były uzasadnione z finansowego punktu widzenia.

– Jake?

– Brednie. Po pierwsze, Wysoki Sądzie, nie powinna zeznawać, bo nie została wymieniona na liście świadków. Druga strona ujawniła ją dopiero dwa tygodnie temu. To wyraźne pogwałcenie prawa. Po drugie, to, co Seth zrobił pięć lat temu, nie ma nic wspólnego ze zdolnością testamentową, którą posiadał w październiku. Oczywiście nie ma ani śladu dowodu, że pozostawał w intymnej relacji z Lettie Lang. Nie obchodzi mnie, ile kobiet, czarnych lub białych, uwiódł pięć lat temu.

– Uważamy, że jej zeznania mają wartość dowodową.

– Gówno prawda! Wszystko ma wartość dowodową.

– Wyrażaj się, Jake – ostrzegł go sędzia Atlee.

– Przepraszam.

Sędzia Atlee podniósł rękę i wszyscy ucichli. Zapalił fajkę, dostojnie wydmuchnął dym, podeszedł do okna i wrócił, by w końcu oznajmić:

– Podzielim twój punkt widzenia, Wade. Obie kobiety dla niego pracowały. Dopuszczam jej zeznania.

– Nikt nie potrzebuje zajrzeć do kodeksu? – spytał Jake.

– Wpadnij do mnie dziś po rozprawie, Jake – rzekł surowo sędzia Atlee, a następnie wydmuchnął kolejny obłok dymu. Odłożył fajkę i powiedział: – Wracajmy na salę.

Prawnicy zebrali się ponownie w sali rozpraw.

– Co się stało? – szepnęła Portia, pochylając się w kierunku Jake'a.

– Nic takiego, sędzia postradał rozum.

Publiczność słuchała opowieści Juliny z zapartym tchem. Jej nieoczekiwany awans, nowy paszport, podróż do Mexico City z szefem, luksusowy pokój i sąsiadujące z sobą pokoje, a później seks i poczucie winy. Kiedy wrócił do domu, natychmiast ją zwolnił, kazał ochroniarzom wyprowadzić z budynku. Gdy złożyła pozew, Seth szybko doprowadził do ugody poza salą sądową.

Jej zeznanie nie miało związku ze sporem o testament. Było skandaliczne i zapadające w pamięć, ale gdy Jake go słuchał, doszedł do wniosku, że sędzia Atlee popełnił fatalny błąd. Proces był przegrany, ale z każdą godziną pojawiały się kolejne przesłanki do apelacji. Jake będzie miał swoje pięć minut, ujawniając sztuczki Wade'a Laniera przed Sądem Najwyższym stanu Missisipi. Będzie miał ogromną satysfakcję, gdy w końcu doprowadzi do uchylecia wyroku Reubena V. Atlee.

Jake musiał uznać, że sprawa jest przegrana, skoro myślał o apelacji, ale przepytował Julinę Kidd kilka minut, na tyle długo, aby wydobyć przyznanie, że zapłacono jej za zeznania.

Nie powiedziałyby ile, bo Lanier miał czas, żeby z nią pogadać.

– Wymieniła pani seks za pieniądze, a teraz wymienia za nie zeznania, panno Kidd? – spytał. Pytanie było ostre i natychmiast pożałował, że je wypowiedział. Ta kobieta mówiła jedynie prawdę.

Wzruszyła ramionami i nie odpowiedziała, co być może było najlepszą odpowiedzią, jaka padła tego dnia.

O siedemnastej trzydzieści sędzia Atlee odroczył rozprawę do czwartku rano. Jake został w sądzie, czekając, aż wszyscy wyjdą. Rozmawiał po cichu z Portią i Lettie, daremnie usiłując je przekonać, że sytuacja nie jest tak zła, jak się wydaje. Zadanie okazało się beznadziejne.

W końcu wyszedł, gdy pan Pate zgasił światło.

Nie zajął do gabinetu sędziego Atlee, jak mu kazano. Zamiast tego poszedł do domu. Potrzebował chwili spokoju w towarzystwie

dwóch ukochanych osób, które będą go zawsze uważać za największego prawnika na świecie.

Rozdział 45

Na samolot do Seattle sprzedano więcej biletów, niż było miejsc. Lucien kupił ostatni bilet do San Francisco, gdzie miał dwadzieścia minut, aby przesiąść się na samolot lecący bezpośrednio do Chicago. Gdyby wszystko poszło dobrze, znalazłby się w Memphis tuż po północy. Tylko że wszystko poszło źle. W San Francisco spóźnił się na następny lot. Później wdał się w kłótnię z przedstawicielem agencji sprzedaży biletów i omal nie został skuty kajdankami przez ochronę. Aby usunąć awanturnika z lotniska, wsadzili go na pokład samolotu lecącego do Los Angeles, obiecując, że stamtąd będzie miał lepsze połączenie z Dallas. Podczas rejsu do LA wypił trzy podwójne burbony na lodzie, wzbudzając zdumienie stewardes. Po wylądowaniu udał się wprost do baru i pił dalej. Cztery razy dzwonił do kancelarii Jake'a, ale zdołał się jedynie nagrać na automatyczną sekretarkę. Trzykrotnie zatelefonował do Harry'ego Rexa, ale powiedziano mu, że prawnik jest w sądzie. Kiedy o dziewiętnastej trzydzieści odwołano lot do Dallas, skłął kolejnego agenta i zagroził, że pozwie linie American Airlines. Aby usunąć drania z lotniska, zafundowali mu czterogodzinny lot do Atlanty, pierwszą klasą, z darmowymi drinkami.

ΔΔΔ

Tully Still pracował jako operator wózka widłowego w firmie transportowej w przemyśle, północnej części miasta. Miał nocną zmianę i łatwo było go znaleźć. O dwudziestej trzydzieści w środę Ozzie Walls skinął mu głową i wyszli na zewnątrz, znikając w

ciemności. Zapalili papierosy. Nie byli z sobą spokrewnieni, ale ich matki przyjaźniły się od czasu podstawówki. Żona Tully'ego, Michele, była przysięgłym numer trzy. Pierwszy rząd, na samym środku. Nagroda dla Jake'a.

– Kiepsko to wygląda? – spytał szeryf.

– Bardzo. Co się stało? Tak dobrze szło, a tu nagle wszystko runęło.

– Paru świadków zjawiło się nie wiadomo skąd. Co gadają?

– Ozzie, nawet Michele zwątpiła w Lettie Lang. Babka została ukazana w paskudnym świetle. Knuje, nakłania starych białasów do zmiany testamentu. Nie martw się, Michele i Gaston będą po jej stronie, ale to oznacza, że macie dwa głosy. Biali przysięgli nie są złymi ludźmi. Może z kilkoma wyjątkami. Do dzisiejszego ranka większość była po stronie Lettie. Wiesz, sytuacja w tym gronie nie jest czarno-biała.

– Dużo z sobą rozmawiają?

– Tego bym nie powiedział. Myślę, że dużo szepczą po kątach. Chyba to normalne, nie? Trudno oczekiwać, że do samego końca nie zamienią z sobą słowa.

– Chyba tak.

– Co zrobi Jake?

– Nie wiem, czy może cokolwiek poradzić. Mówi, że powołał swoich najlepszych świadków.

– Wygląda, że go zaskoczyli. Ci prawnicy z Jackson go przechytrzyli.

– Zobaczymy. Może to jeszcze nie koniec.

– Marna sprawa.

– Miej oko na wszystko.

– Nie martw się.

△△△

W firmie Sullivana nie świętowano zwycięstwa szampanem, choć łało się dobre czerwone wino. Walter Sullivan, emerytowany wspólnik, który założył kancelarię czterdzieści pięć lat wcześniej, należał

do koneserów win i niedawno odkrył przednie włoskie Barolo. Po lekkim roboczym obiedzie w sali konferencyjnej odkorkował parę flaszek, przyniósł piękne kryształowe kieliszki i zaczęło się smakowanie trunku.

Byli w triumfalnym nastroju. Myron Pankey obserwował tysiące przysięgłych, ale jeszcze nigdy nie widział tak szybkiej i radykalnej zmiany.

– Są twoi, Wade – powiedział. Lanier był otaczany podziwem niczym magik z sali sądowej, mimo przepisów dowodowych potrafiący wyciągać króliki z cylindra.

– Nie zapominaj o sędzim – kilkakrotnie zaoponował skromnym tonem. – Sędzia Atlee chce, żeby proces był sprawiedliwy.

– W procesie sądowym nie chodzi o sprawiedliwość, ale o wygraną – poprawił go Sullivan.

Lanier i Chilcott już czuli zapach forsy. Osiemdziesiąt procent majątku brutto trafi do klientów, minus podatki i tak dalej, a ich mała dziesięcioosobowa firma procesowa zarobi dwa miliony netto tytułem honorarium. Załatwią to migiem. Kiedy odręczny testament zostanie obalony, powrócą do poprzedniego. Większość pieniędzy była w gotówce. Może uda się uniknąć długiej procedury urzędowego zatwierdzenia testamentu.

Herschel był w Memphis, dojeżdżał na proces z dwójką dzieci. Rodzina Dafoe zatrzymała się w pensjonacie należącym do przyjaciół, niedaleko wiejskiego klubu. Wszyscy mieli świetne nastroje, nie mogli się doczekać forsy, aby dalej żyć. Kiedy dopije wino, Lanier zadzwoni do nich, żeby odebrać wyrazy najwyższego uznania.

△△△

Godzinę po rozmowie z Tullym Stillem Ozzie pochylił się nad maską radiowozu przed domem Jake'a, pałac cygaro ze swoim ulubionym prawnikiem.

– Tully powiedział, że jest dwa do dziesięciu – poinformował go. Jake wydmuchnął obłok dymu i westchnął:

– Nie jestem zaskoczony.

– Cóż, wygląda na to, że pora złożyć krzeselko i wrócić do domu, Jake. Przyjęcie się skończyło. Wyrwij coś dla Lettie i się wycofaj. Niewiele jej potrzeba. Doprowadź do ugody, zanim sprawa trafi do przysięgłych.

– Próbowaliśmy, Ozzie. Dziś po południu Harry Rex dwukrotnie zaczepił chłopaków Laniera. Wyśmiali go. Nie można dojść do ugody, gdy druga strona się z ciebie śmieje. Z miejsca zgodziłbym się na milion dolców.

– Milion! Ilu czarnych w okolicy ma milion dolarów, Jake? Myślisz jak biały. Wyrwij pół miliona albo ćwierć. Cholera, wywalcz coś dla niej.

– Jutro spróbujemy ponownie. Zobaczę, jak nam pójdzie rano, a podczas lunchu zagadnę Wade'a Laniera. Facet zna stawkę i wie, jak prowadzić tę grę. Wcześniej sam bywał w podobnym położeniu. Myślę, że zdołam się z nim dogadać.

– Pośpiesz się, Jake. Zakończ ten cholerny proces. Nie chciałbyś mieć takich przysięgłych. To nie sprawa Haileya.

– Zdecydowanie nie.

Jake podziękował szeryfowi i wrócił do domu. Carla leżała w łóżku. Czytała i martwiła się o męża.

– Kto to był? – spytała, kiedy się rozbierał.

– To tylko Ozzie. Niepokoi się o proces.

– Czemu przyjechał tak późno?

– Znasz Ozziego, facet nie sypia. – Jake runął na łóżko i pomasażował jej nogi pod prześcieradłem.

– Tak jak ty. Mogę cię o coś spytać? Jesteś w środku kolejnego wielkiego procesu. W zeszłym tygodniu nie spałeś dłużej niż cztery godziny, a kiedy już zasnąłeś, przewracałeś się z boku na bok i miałeś koszmary. Źle się odżywasz. Tracisz na wadze. Często bywasz zaaferowany i bujasz w obłokach. Jesteś spięty, nerwowy, drażliwy, czasami nawet masz mdłości.

– A gdzie pytanie?

– Dlaczego, u licha, chcesz być prawnikiem procesowym?

– Nie sądzę, aby był to najlepszy czas na zadawanie takich pytań.

– Mylisz się, to idealna chwila. Ile procesów przed ławą przysięgłych miałeś w ciągu ostatnich dziesięciu lat?

– Trzydzieści jeden.

– Żle sypiałeś i traciłeś na wadze podczas każdego z nich, prawda?

– Nie sędzę. Większość nie miała takiego znaczenia, Carlo. Ten proces jest wyjątkowy.

– Chodziło mi o to, że praca prawnika procesowego jest bardzo stresująca. Dlaczego chcesz ją wykonywać?

– Bo kocham tę robotę. Na tym polega bycie prawnikiem. Na przebywaniu na sali sądowej, przed ławą przysięgłych. To jak walka na arenie lub boisku. Rywalizacja jest ostra, a stawka wysoka. Zawsze jest zwycięzca i przegrany. Czuję przyływ adrenaliny za każdym razem, gdy na salę wchodzi przysięgli i zajmują miejsca.

– Dużo w tym ludzkiego ego.

– Całe mnóstwo. Skuteczny prawnik procesowy pozbawiony ego nie istnieje. To warunek konieczny. Trzeba mieć ego, żeby pracować.

– W takim razie powinieneś sobie dobrze radzić.

– Zgoda, przyznaję, że mam ego, ale w tym tygodniu mogę zostać zmiażdżony. Mogę potrzebować odrobiny pocieszenia.

– Teraz czy później?

– Teraz. Nie robiliśmy tego od ośmiu dni.

– Zamknij drzwi.

△△△

Lucien zasnął gdzieś nad Missisipi, na wysokości dziesięciu kilometrów. Kiedy samolot wylądował w Atlancie, stewardesy pomogły mu wysiąść. Dwaj ochroniarze usadowili go na wózku inwalidzkim i podtoczyli do bramki na lot do Memphis. Po drodze minęli kilka barów, które nie umknęły jego czujnej uwagi. Kiedy ochroniarze zaparkowali wózek, dzwignął się z niego i powlókł do najbliższego baru, żeby zamówić piwo. Zaczął się ograniczać, zachowywać odpowiedzialnie. Przespał cały lot z Atlanty do Memphis i znalazł się na miejscu o siódmej dziesiąt następnego ranka. Wytaszczyli go z

samolotu, wezwali ochronę, a ta zadzwoniła po policję.

Portia odebrała telefon w biurze. Jake był na górze, rozpaczliwie wertując zeznania świadków, kiedy połączyła się z nim na linii wewnętrznej:

- Jake, dzwoni Lucien, na koszt rozmowy.
- Gdzie on jest, do cholery?
- Nie mam pojęcia, ale brzmi okropnie.
- Przyjmij i połącz ze mną!

Chwilę później Jake podniósł słuchawkę i powiedział:

- Lucienie, gdzie jesteś?

Lucien z wielkim trudem wyjaśnił, że znajduje się w areszcie miejskim w Memphis i chce, żeby Jake go wyciągnął. Bełkotał i głądził chaotycznie, wyraźnie nawalony. Niestety, Jake już to wszystko słyszał. Nagle Lucien stał się zły i odpychający.

– Nie pozwolą mi zabrać głosu! – wymamrotał Lucien, ledwie zrozumiałym bełkotem. Później warknął na kogoś obok.

Jake doskonale wyobraził sobie tę scenę.

– Lucienie, za pięć minut wychodzimy do sądu. Przykro mi. – Wcale go nie żałował. Niech drań zgnije w więzieniu.

– Muszę się dostać do Clanton, Jake. To ważne – powiedział Lucien tak niewyraźnie, że musiał trzykrotnie powtórzyć własne słowa.

– Co jest ważne?

– Mam zeznanie pod przysięgą. Ancila. Ancila Hubbarda. To ważne, Jake.

Jake i Portia przebiegli ulicę i weszli do sądu tylnymi drzwiami. Ozzie stał w korytarzu na pierwszym piętrze i rozmawiał z woźnym.

– Masz minutkę? – spytał Jake, spoglądając na niego śmiertelnie poważnym wzrokiem. Dziesięć minut później Ozzie i Marshall Prather wyjechali z miasta, pędząc w kierunku Memphis.

△△△

– Nie doczekałem się ciebie wczoraj – zauważył sędzia Atlee, kiedy Jake wszedł do jego gabinetu. Prawnicy zebrali się, jak co

dzień, na poranną odprawę przed rozpoczęciem igrzysk.

– Przepraszam, Wysoki Sądzie, miałem mnóstwo pracy w związku z procesem – odrzekł Jake.

– Nie wątpię. Czy są jakieś wstępne kwestie, które chcielibyście poruszyć?

Prawnicy reprezentujący stronę kwestionującą testament uśmiechnęli się ponuro i pokręcili głowami. Jake za to oznajmił:

– Tak, Wysoki Sądzie. Odnaleźliśmy Ancila Hubbarda w Juneau na Alasce. Żyje i ma się dobrze, ale nie mógł tu przyjechać przed rozpoczęciem procesu. Jest stroną zainteresowaną i powinien mieć możliwość wzięcia udziału w rozprawie. Dlatego wnoszę o unieważnienie procesu i rozpoczęcie rozprawy od początku, kiedy Ancil dotrze do Clanton.

– Odrzucam wniosek – odrzekł bez wahania sędzia Atlee. – Ancil Hubbard nie pomoże nam w rozstrzygnięciu kwestii ważności testamentu brata. Jak go znalazłeś?

– To dłuższa historia, Wysoki Sądzie.

– Zachowaj ją na później. Coś jeszcze?

– Nie mam nic więcej.

– Czy pańscy następní świadkowie są gotowi, panie Lanier?

– Tak.

– Zatem do roboty.

ΔΔΔ

Wade Lanier miał przysięgłych w kieszeni, więc nie zamierzał ich zanudzać. Podjął decyzję o przyspieszeniu przesłuchania, aby przysięgli jak najszybciej przystąpili do pracy. Razem z Lesterem Chilcottom opracował scenariusz końcowej części procesu. Zamierzali poświęcić czwartek na przepytanie pozostałych świadków. Jeśli Jake ma coś w zanadrzu, będzie mógł powołać świadków w celu obalenia ich zeznań. Obaj prawnicy wygłoszą mowy końcowe w piątek przed południem, a przysięgli rozpoczną obrady zaraz po lunchu. Zbliżający się weekend i wyrobiona opinia sprawią, że powinni skończyć i przedstawić werdykt przed zakończeniem rozprawy o godzinie

siedemnastej. W ten sposób Wade i Lester wrócił do Jackson w samą porę, aby zjeść spóźnioną kolację z żonami.

Jako wytrawni fachowcy powinni byli wiedzieć, że lepiej nie planować przebiegu procesu.

Ich pierwszym świadkiem w czwartek rano był emerytowany onkolog, doktor Swaney. Swaney od wielu lat pracował jako lekarz, a jednocześnie wykładał na wydziale medycznym. Jego życiorys był nieskazitelny, podobnie jak manieri. Mocno przeciągał samogłoski w sposób typowy dla mieszkańców wiejskich obszarów stanu Missisipi, co sprawiało, że jego wypowiedzi były pozbawione tonu wyższości. Wydawał się całkowicie godny zaufania i wiarygodny. Używając niewielkiej liczby terminów medycznych, doktor Swaney wyjaśnił przysięgłym, jaki rodzaj raka zabijał Seta Hubbarda, podkreślając pojawienie się przerzutów w rejonie rdzenia kręgowego i żeber. Opisał silny ból towarzyszący tej chorobie. Leczył tysiące pacjentów w podobnym stanie, dlatego wiedział, że jest to najgorszy ból, jaki można sobie wyobrazić. Demerol należał z pewnością do najbardziej skutecznych środków przeciwbólowych. Często stosowano doustną dawkę stu miligramów podawaną co trzy, cztery godziny, która częściowo uśmierzała ból. Zwykle demerol sprawiał, że chory był senny, niemrawy i oszołomiony, często cierpiał na nudności i nie był w stanie wykonywać codziennych czynności. Kierowanie samochodem z pewnością nie wchodziło w grę. Oczywiście, podczas przyjmowania demerolu człowiek nie powinien podejmować żadnych ważnych decyzji.

Jako młody prawnik Jake nauczył się, że toczenie sporu z prawdziwym ekspertem jest daremnym przedsięwzięciem. Zdarzało się, że fałszywy biegły dostarczał okazji do urzędzenia jatki na oczach przysięgłych, ale w przypadku takiego świadka jak doktor Swaney było to niemożliwe. Podczas przepytывania Swaneya Jake podkreślił, że doktor Talbert, lekarz prowadzący Seta Hubbarda, nie był w stanie powiedzieć, jakie ilości demerolu Seth przyjmował w dniach bezpośrednio poprzedzających jego śmierć. Świadek przyznał, że to, co powiedział, to czysta spekulacja, ale uprzejmie przypomniał

Jake'owi, że pacjenci bardzo rzadko kupują drogie leki, jeśli ich nie przyjmują.

Następnym biegłym był inny lekarz medycyny, doktor Niehoff z Wydziału Medycznego UCLA. Biegli, którzy przebyli znaczną odległość, aby spędzić czas w towarzystwie przysięgłych z małego miasteczka, robili na nich duże wrażenie, o czym nikt nie wiedział lepiej od Wade'a Laniera. Ekspert z Tupelo na pewno zyskałby ich uwagę, a jego kolega z Memphis zdołałby tego dokonać w jeszcze wyższym stopniu. Gdyby ten sam facet przyjechał z Kalifornii, przysięgli chłonęliby każde jego słowo.

Za dziesięć tysięcy dolarów plus wydatki doktor Niehoff wyjaśnił przysięgłym, że poświęcił ostatnich dwadzieścia pięć lat swojego życia badaniom i leczeniu chorych na raka. Doskonale znał nowotwory, o których była mowa, i szeroko opisał wpływ, jaki wywierają na organizm człowieka. Obserwował, jak pacjenci płakali i krzyczeli przez dłuższy czas, mieli silne torsje, prosili o leki, mdleli, a nawet błagali o śmierć. Samobójcze myśli były częste, a przypadki targnięcia się na własne życie nie należały do rzadkości. Demerol to najbardziej popularny i skuteczny środek przeciwbólowy. W tym momencie doktor Niehoff odszedł od scenariusza i zaczął używać technicznego żargonu, co zdarzało się często, gdy biegły nie mógł się oprzeć pokusie zrobienia wrażenia na słuchaczach. Nazwał wspomniany lek chlorowodorkiem meperydyny, narkotykiem o działaniu analgetycznym, środkiem przeciwbólowym działającym na receptory opioidowe.

Lanier przerwał mu, sugerując zmianę słownictwa na bardziej przystępne. Doktor Niehoff powiedział przysięgłym, że demerol to lek przeciwbólowy o mocnym działaniu i silnych właściwościach uzależniających. Posługiwał się nim w całej swojej medycznej karierze i napisał liczne artykuły na jego temat. Lekarze woleli podawać go w warunkach szpitalnych lub w prowadzonych przez siebie klinikach, jednak w takich przypadkach jak Setha Hubbarda pozwalano pacjentowi przyjmować go doustnie w domu. Łatwo było przekroczyć dozwoloną dawkę, szczególnie gdy ktoś odczuwał tak

silny ból jak Seth.

Jake wstał i powiedział:

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie! Nie ma najmniejszego dowodu na to, że Seth Hubbard nadużywał tego leku.

– Podtrzymuję. Proszę trzymać się faktów, doktorze.

Jake usiadł z ulgą, rad, że w końcu udało mu się uzyskać korzystne rozstrzygnięcie w jakiejś sprawie.

Niestety doktor Niehoff był doskonałym świadkiem. Zmiany nowotworowe, doświadczany ból i działanie demerolu opisał tak szczegółowo, że po czterdziestu pięciu minutach zeznań łatwo było uwierzyć, że Seth potwornie cierpiał i że mógł sobie ulżyć jedynie przyjmowaniem potężnych dawek demerolu, narkotyku, który praktycznie pozbawiał go zdolności myślenia. Zdaniem biegłego codzienne dawki specyfiku oraz ich skumulowany efekt tak osłabiły zdolność osądu Setha Hubbarda, że w ostatnich dniach nie mógł trzeźwo myśleć.

Podczas przepytywania świadka Jake stracił kolejne punkty. Kiedy próbował wykazać, że doktor Niehoff nie ma pojęcia, jakie ilości leku przyjmował Seth, ekspert „zagwarantował” mu, że każdy człowiek cierpiący na taką chorobę jak Seth rozpaczliwie pragnie demerolu.

– Zapewniam pana, że jeśli miał receptę, to brał pigułki, panie Brigance.

Jake usiadł po kilku bezcelowych pytaniach. Dwaj lekarze wykonali dokładnie to, czego chciał Wade Lanier. Przysięgli i wszyscy obecni na sali uznali, że Seth był zdezorientowany, senny i cierpiał na zawroty głowy. Nie był w stanie prowadzić, więc poprosił o to Lettie.

Jednym słowem, nie posiadał zdolności testamentowej.

Po dziesięciminutowej przerwie Lanier wezwał na świadka Lewisa McGwyre'a. Ponieważ firma Rusha nieładnie wycofała się ze sprawy i została odcięta od honorariów, McGwyre początkowo odmówił składania zeznań. Wówczas Wade Lanier zrobił rzecz nie do pomyślenia: wezwał do sądu innego prawnika. Mówiąc krótko, Lanier wykazał, że we wrześniu 1987 roku McGwyre przygotował obszerny testament dla Setha. Testament został zaliczony do materiału dowo-

dowego, a McGwyre zszedł z ławy dla świadków. Chociaż bardzo pragnął zostać i obserwować dalszy przebieg procesu, nie pozwalała mu na to duma. On i Stillman Rush pośpiesznie wyszli z sali.

Po nim przyszła pora na Duffa McClennana, który złożył przysięgę i zaczął wyjaśniać przysięgłym, że jest prawnikiem podatkowym i ma firmę w Atlancie zatrudniającą trzystu pracowników. Od trzydziestu lat specjalizuje się w sprawach majątkowych. Sporządzał obszerne testamenty dla zamożnych ludzi, którzy chcieli, aby po śmierci ich majątek nie został zbyt mocno uszczuplony przez podatki. Przejrzał listę składników majątku sporządzoną przez Quince'a Lundy'ego i zapoznał się z własnoręcznym testamentem podpisanym przez Seta Hubbarda. Lanier wyświetlił na ekranie szereg wycień, a McClennan przystąpił do napuszonego tłumaczenia, jak federalne i stanowe podatki, które trzeba uiścić po śmierci, mogą pożreć niedostatecznie chroniony majątek. Przepraszył słuchaczy za zawiłości, sprzeczności i ogłupiające banały „naszego ukochanego prawa podatkowego”, wyrażając ubolewanie z powodu poziomu jego komplikacji. Dwukrotnie podkreślił: „ja tego nie wymyśliłem, to robota Kongresu”. Lanier świetnie wiedział, że przysięgli będą znużeni czy wręcz zniesmaczeni jego zeznaniem, więc skakał między kwestiami, wskazując jedne punkty i pomijając inne.

Jake nie miał zamiaru się sprzeciwić i przedłużać agonii. Przysięgli i bez tego byli podenerwowani.

Kiedy McClennan litościwie dotarł do ostatniej linijki, oświadczył:

– Według mnie wszystkie podatki, które trzeba będzie zapłacić, sięgną pięćdziesięciu jeden procent całego majątku. – Lanier napisał dużymi literami na ekranie: „12 240 000 dolarów z tytułu podatków”.

Ale zabawa dopiero się zaczęła. McClennan przeanalizował testament sporządzony przez Lewisa McGwyre'a. Był to zasadniczo zbiór wzajemnie powiązanych, skomplikowanych funduszy powierniczych, które miały wypłacić po milionie dolarów Herschelowi i Ramonie, a następnie zatrzymać resztę na wiele lat, stopniowo przekazując pieniądze rodzinie. On i Lanier nie mieli wyboru, musieli szczegółowo omówić to zagadnienie. Jake obserwował przysięgłych,

którzy zaczęli przysypiać, chociaż uproszczona wersja skutków podatkowych testamentu przedstawiona przez McClennana była zwięzła, a miejscami komicznie niezrozumiała. Tymczasem prawnik od podatków parł naprzód, omawiając liczby wyświetlone na wielkim ekranie. W dolnej linijce stało, że podatki do zapłacenia w przypadku testamentu z 1987 roku wyniosą, według eksperckiej opinii McClennana, jedynie „ok. 9 100 000 dolarów z tytułu podatków federalnych i stanowych”.

Na ekranie ukazała się wypisana dużymi cyframi różnica: „3 140 000 dolarów”.

Wyraźnie pokazał, o co chodzi. Pośpiesznie spisany, holograficzny testament Setha znacznie uszczuplał jego majątek. Mieli zatem kolejny dowód na to, że nie myślał jasno.

Podczas studiów na wydziale prawa Jake unikał jak ognia prawa podatkowego, a przez ostatnie dziesięć lat konsekwentnie spławiał wszystkich potencjalnych klientów pragnących porady w kwestiach podatkowych. Nie miał im nic do zaoferowania, bo niewiele wiedział o tej dziedzinie. Podziękował, kiedy Lanier przekazał mu świadka. Wiedział, że przysięgli są znudzeni i czekają na lunch.

– Ogłaszam przerwę do trzynastej trzydzięci – obwieścił sędzia Atlee. – Panie Brigance, zapraszam do siebie. – Jake zamierzał zagadnąć Wade'a Laniera i spytać, czy ma pięć minut na rozmowę, ale nagle jego plany zostały pokrzyżowane. Zamiast tego spotkał się z sędzią Atlee w jego gabinecie. Wysoki Sąd zdjął togę, zapalił fajkę, spoczął w fotelu, spojrzął na Jake'a i powiedział spokojnie:

- Widzę, że nie podobają ci się moje postanowienia.
- Nie podobają – prychnął Jake. – Pozwolił pan, aby Wade Lanier przejął kontrolę nad procesem za pomocą paru brudnych sztuczek oraz kilku świadków, których wprowadził z zaskoczenia, abym nie mógł się przygotować.
- Twój klient skłamał.
- Ona nie jest moim klientem. Moim klientem jest majątek Hubbarda. Przyznaję, Lettie nie powiedziała prawdy. Została zaskoczona, schwytana w zasadzkę, panie sędzio. W swoim zeznaniu pod

przysięgą powiedziała, że nie pamięta wszystkich białych rodzin, u których pracowała. Epizod z Pickeringami był tak przykry, że na pewno starała się o nim zapomnieć. Najważniejszym elementem tej krótkiej historii jest, że Lettie nigdy nie wiedziała, iż Irene Pickering sporządziła własnoręczny testament. Zdołałbym ją odpowiednio przygotować, panie sędzio. O to mi chodzi. Mógłbym osłabić wpływ, ale pan pozwolił na urządzenie zasadzki i w ciągu kilku sekund sytuacja procesowa uległa zmianie.

Jake spojrział gniewnie na starszego pana, choć doskonale wiedział, że Reuben V. Atlee nie należy do ludzi, którym można udzielić reprimendy. Tym razem sędzia był w błędzie, a Jake czuł się wściekły z powodu niesprawiedliwości. Nie miał nic do stracenia, więc czemu nie miałyby wyłożyć kart na stół?

Sędzia wciągnął kłęb dymu, zrobił taką minę, jakby chciał go połknąć, a później wydmuchnął.

– Nie zgadzam się z tobą. Niezależnie od wszystkiego oczekuję, że będziesz postępował z godnością. Nie pozwolę, żeby prawnicy przeklinali w moim gabinecie.

– Przepraszam. Czasami zdarzy mi się zakłąć w ogniu walki. Nie mnie jednemu.

– Nie jestem pewny, że przysięgli zmienili zdanie, jak powiedziałeś.

Jake się zawahał. Mało brakowało, a przypomniałby sędziemu, że nie ma zielonego pojęcia, co myślą przysięgli. Za rzadko ich widywał, i to było częścią problemu. W sądzie kanclerskim sprawował najwyższą władzę jako sędzia i ława przysięgłych w jednej osobie, miał też luksus w postaci możliwości dopuszczenia dowodów. Mógł je przesiewać, oddzielając ziarno od plew, a następnie wydawać orzeczenia, które uważał za słuszne.

Jake nie zamierzał się spierać. Zamiast tego powiedział:

– Przepraszam, panie sędzio, ale mam dużo pracy.

Sędzia Atlee machnął ręką w kierunku drzwi i Jake wyszedł z gabinetu. Harry Rex dopadł go w chwili, gdy opuszczał gmach sądu.

– Ozzie zadzwonił do kancelarii. Są nadal w więzieniu w Mem-

phis. Próbują go wyciągnąć, ale jeszcze nie udało się wyznaczyć kaucji.

Jake uniósł brwi.

– Kaucji? Za co?

– Oskarżono go o picie alkoholu w miejscu publicznym i stawianie oporu podczas zatrzymania. To Memphis, człowieku! W Memphis smarują zarzut o stawienie oporu za każdym razem, gdy kogoś zgarną.

– Sądziłem, że Ozzie ma tam kontakty.

– Pewnie teraz ich szuka. Mówiłem, że to błąd wysłać pijaka na Alaskę.

– Czy ma to teraz jakieś znaczenie?

– Nie. Dokąd pójdziemy na lunch?

– Nie jestem głodny.

– W takim razie chodźmy na piwo.

– Nie, Harry Rexie. Niektórzy przysięgli czują się urażeni, gdy od prawników zalatuje alkoholem.

– Czyżbyś się nimi przejmował?

– Odczep się, dobrze?

– Dziś po południu muszę jechać do sądu w Smithfield – oznajmił Harry Rex. – Powodzenia. Odezwę się później.

– Dzięki. – Kiedy Jake przeszedł ulicę, zmierzając do swojej kancelarii, zdał sobie sprawę, że od poniedziałku rano Harry Rex nie opuścił ani jednego dnia rozprawy.

△△△

Dewayne Squire był wiceprezesem Zakładów Drzewnych Beringa. W czwartek, przed samobójstwem szefa, on i Seth pokłócili się o dużą dostawę twardych desek sosnowych dla firmy z Teksasu wytwarzającej klepkę podłogową. Squire wynegocjował warunki, a później z zaskoczeniem stwierdził, że szef zadzwonił do kontrahenta i zaproponował inną, niższą cenę. Wydzwaniali tam i z powrotem. Obaj byli wściekli i obaj uważali, że mają rację, ale w pewnej chwili Squire zdał sobie sprawę, że Seth nie jest sobą. Arlene Trotter nie było w

biurze, więc ominęła ją kłótnia. Za którymś razem Squire wszedł do gabinetu szefa i zastał go z głową w dłoniach, twierdzącego, że ma zawroty i mdłości. Kiedy później rozmawiali, Seth zapomniał o szczegółach nieszczęsnego kontraktu. Twierdził, że Squire zgodził się na zbyt niską cenę, i ponownie zaczęli się kłócić. Kiedy o piętnastej Seth wychodził z biura, umowa była zawarta, co miało kosztować Berringa około dziesięciu tysięcy dolarów. O ile Squire pamiętał, była to największa strata, na jaką Seth naraził firmę, podpisując kontrakt z odbiorcami.

Opisał szefa jako zdezorientowanego i nieodpowiedzialnego. Następnego dnia sprzedał ze znaczną stratą działki leśnie w Karolinie Południowej.

Jake wiedział, że Wade chce, by sprawa trafiła do przysięgłych przed weekendem. Musiał przystopować tempo, więc podczas przepytывania świadków powrócił do finansów firmy Berringa i przeanalizował je wspólnie ze Squire'em. Rok 1988 był najbardziej zyskowym z pięciu ostatnich lat, chociaż wyniki ostatniego kwartału, po śmierci Hubbarda, uległy pogorszeniu. Przysięgli drzemali, a Jake i Squire rozmawiali o działalności firmy, podpisywanych kontraktach, strategiach, kosztach, problemach z zatrudnieniem i deprecjacją fabryki. Wysoki Sąd dwukrotnie popędził adwokata, mówiąc: „Proszę dalej, panie Brigance”, ale nie wywierał zbyt dużego nacisku. Przecież pan Brigance już i tak nie był z niego zadowolony.

Gdy Dwayne Squire skończył, Lanier wezwał na świadka pana Drawberry'ego, pośrednika handlu ziemią specjalizującego się w farmach i klubach łowieckich. Drawberry opowiedział, jak robił interesy z Sethem w ostatnich dniach przed jego śmiercią. Seth był zainteresowany kupnem dwustu hektarów w okręgu Tyler dla klubu łowieckiego. On i Drawberry od pięciu lat spoglądali łakomym okiem na tę ziemię, ale Seth nie mógł się zdecydować. W końcu zapłacił roczną opłatę na zakup działki, a później zachorował i stracił zainteresowanie. Kiedy termin opcji dobiegał końca, kilka razy zadzwonił do Drawberry'ego. Ten nie miał pojęcia, że Hubbard jest umierający, nie wiedział również o tym, że bierze silne środki przeciwbólowe.

Seth jednego dnia chciał kupić ziemię, drugiego nie. Kilka razy nie mógł sobie przypomnieć ceny za hektar, a raz nie miał pojęcia, z kim rozmawia przez telefon. Jego zachowanie stawało się coraz bardziej chaotyczne.

Podczas przepytывania świadka Jake zdołał jeszcze bardziej spowolnić tempo. W czwartek późnym popołudniem rozprawa niemal utknęła w miejscu, a sędzia Atlee wcześniej ogłosił przerwę.

Rozdział 46

Po ostrym starciu z biurokracją Memphis Ozzie był bliski rezygnacji, ale na szczęście przypomniał sobie coś, o czym powinien był pomyśleć wcześniej. Zadzwoił do Bookera Sistrunka, którego kancelaria znajdowała się cztery przecznice od miejskiego aresztu. Po trudnym początku utrzymywali z sobą kontakt. W ciągu ostatnich miesięcy spotkali się dwukrotnie, kiedy Ozzie bawił w Memphis. Booker nie wrócił do Clanton i nie miał na to najmniejszej ochoty. Obaj zdawali sobie sprawę, że dwaj czarni żyjący w odległości sześćdziesięciu minut drogi od siebie, na dodatek posiadający pewną władzę w świecie białych, powinni jakoś się dogadać. Ba, powinni się zaprzyjaźnić. Booker był szczególnie zainteresowany pięćdziesięcioma pięcioma tysiącami dolarów, które była mu winna rodzina Langów, i pragnął zadbać o swoje pieniądze.

Policja w Memphis pogardzała Bookerem Sistrunkiem, ale się go bała. Piętnaście minut po tym, jak zajechał pod areszt swoim czarnym rollsem, dokumenty zaczęły fruwać z biurka na biurko i sprawa Luciena Wilbanksa nagle zyskała wysoki priorytet. Lucien wyszedł z pudła trzydzieści minut po zjawieniu się Bookera.

– Musimy jechać na lotnisko – oświadczył Lucien.

Okazało się, że zostawił teczkę w samolocie. Sądził, że leżała pod fotelem, ale równie dobrze mogła się znajdować w schowku nad głową. W każdym razie stewardesy były idiotkami, bo nie potrafiły jej znaleźć. Zbyt zaabsorbowało je wyprowadzanie go z samolotu. Ozzie i Prather słuchali i gotowali się ze złości, gnając na lotnisko. Lucien wyglądał i cuchnął jak awanturujący się menel, którego zatrzymali za

włóczęstwo.

W biurze rzeczy znalezionych nie było żadnej adnotacji o teczce, którą pozostawiono w samolocie z Atlanty. Samotny urzędnik niechętnie przystąpił do poszukiwań. W tym czasie Lucien znalazł bar i zamówił piwo. Ozzie i Prather zjedli niesmaczny lunch w zatłoczonej hali nieopodal baru. Starali się mieć na oku swojego pasażera. Zadzwonili do kancelarii Jake'a, ale nikt nie odebrał. Dochodziła piętnasta, więc pewnie wszyscy byli w sądzie.

Teczkę zlokalizowano w Minneapolis. Ponieważ Ozzie i Prather byli funkcjonariuszami policji, w American uznano ją za dowód w sprawie odgrywający doniosłą rolę w ważnym dochodzeniu. W rzeczywistości była to stara sfatygowana skórzana teczka, w której było kilka notatników, parę magazynów, tanie mydło, zapalki zabrane z Glacier Inn w Juneau oraz jedna kasetka wideo. Po długim oczekiwaniu i niepewności wytargowali, że wspomniany przedmiot zostanie jak najszybciej dostarczony do Memphis. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, powinien dotrzeć około północy.

Ozzie podziękował urzędnikowi i ruszył na poszukiwanie Luciena. Kiedy wyjeżdżali z lotniska, Lucien nagle się ożywił i powiedział:

- Wiecie co, zostawiłem tu samochód. Spotkajmy się w Clanton.
- Nie możesz prowadzić, Lucienie, jesteś pijany – zaproponował Ozzie.

– Pocałuj mnie w dupę, Ozzie! Jesteśmy w Memphis, nie masz tu żadnej władzy – warknął gniewnie Lucien.

Ozzie machnął ręką i odszedł z Pratherem. Próbowali jechać za Lucieniem, opuszczając miasto w godzinach szczytu, ale nie mogli nadażyć za brudnym małym porsche, który mknął niebezpiecznym slalomem po zatłoczonej autostradzie. Pojechali do Clanton, do biura Jake'a, i dotarli na miejsce przed dziewiętnastą. Jake czekał na nich, pragnąc usłyszeć sprawozdanie.

Jedyną wiadomością, którą tego trudnego i frustrującego dnia można by w przybliżeniu uznać za dobrą, było to, że Lucien został zatrzymany za picie alkoholu w miejscu publicznym i stawianie oporu podczas aresztowania. Incydent raz na zawsze utnie gadanie o jego

powrocie do dawnego zawodu, ale w obecnej chwili była to kiepska satysfakcja, o której Jake nawet by nie wspomniał. Poza tym sytuacja była ponura.

Dwie godziny później Jake zajechał przed dom Luciena. Zatrzymał wóz na podjeździe, ale nie zauważył porsche. Na werandzie zamienił słówko z Sallie, która obiecała, że do niego zadzwoni, gdy tylko Lucien wróci do domu.

Za sprawą jakiegoś cudu teczka Luciena dotarła do Memphis o północy. Willie Hastings z biura szeryfa odebrał ją i przywiózł do Clanton.

O siódmej trzydzieści Jake, Harry Rex i Ozzie zebrali się w sali konferencyjnej na górze i zamknęli drzwi. Jake wsunął kasetę do odtwarzacza i zgasił światło. Na ekranie ukazały się słowa „Juneau, Alaska, 5 kwietnia 1989 roku”, by po chwili zniknąć. Jared Wolkowicz przedstawił się widzom i wyjaśnił, co zamierzają zrobić. Lucien przedstawił swoją skromną osobę i oznajmił, że za chwilę zostanie złożone zeznanie pod przysięgą. Wyglądał trzeźwo i schludnie. Przedstawił Ancila F. Hubbarda, który został zaprzysiężony przez sądowego protokolanta.

Drobny, kruchy, o głowie gładkiej jak cebula, Ancil miał na sobie czarny garnitur i białą koszulę Luciena, obie rzeczy kilka numerów za duże. Tył głowy miał zabandażowany, a nad prawym uchem było widać kawałek plastra. Głośno przełknął ślinę, spojrzał z przerażeniem w obiektywy kamery i powiedział:

– Nazywam się Ancil F. Hubbard. Mieszkam w Juneau na Alasce, ale urodziłem się w okręgu Ford w stanie Missisipi pierwszego sierpnia tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku. Moim ojcem był Cleon Hubbard, matką Sarah Belle, a bratem Seth. Seth był pięć lat starszy ode mnie. Przyszedłem na świat na rodzinnej farmie niedaleko Palmyry. Opuściłem dom w wieku szesnastu lat i nigdy nie wróciłem. Nigdy. Nigdy tego nie chciałem. Oto moja historia.

Kiedy pięćdziesiąt osiem minut później ekran pociemniał, trzech mężczyzn siedziało dobrą chwilę, wpatrując się w niego bez ruchu. Nie było to coś, co chcieliby ponownie zobaczyć i usłyszeć, ale miało być inaczej. W końcu Jake powoli podniósł się z miejsca i wysunął kasetę.

– Lepiej chodźmy do sędziego.

– Czy ta kasetka może stanowić materiał dowodowy? – spytał Ozzie.

– Nie ma mowy – odparł Harry Rex. – Mógłbym na poczekaniu wymyślić dziesięć sposobów, żeby temu zapobiec, i ani jednego, aby dokonać tej sztuczki.

– Możemy przynajmniej spróbować – powiedział Jake.

Przebiegł na drugą stronę ulicy z bijącym sercem i myślami wirującymi w głowie. Inni prawnicy kręcili się obok sądu, zadowoleni, że już piątek, i gotowi wrócić do domu z trofeami. Jake zamienił słówko z sędzią Atlee, mówiąc, że ma pilną sprawę. Że prawnicy obu stron powinni spotkać się niezwłocznie w jego gabinecie, w którym był telewizor i wideo. Kiedy wszyscy zebrali się wokół stołu i Wysoki Sąd zapalił fajkę, Jake wyjaśnił, co zamierza zrobić.

– Dwa dni temu złożono to zeznanie pod przysięgą. Lucien pojechał na miejsce i zadał kilka pytań.

– Nie wiedziałem, że znowu jest prawnikiem zauważył z przekąsem Wade Lanier.

– Spokojnie – rzucił lekceważąco Jake. – Obejrzyjmy taśmę, później będziemy walczyć.

– Ile trwa nagranie? – zapytał sędzia Atlee.

– Około godziny.

– To strata czasu, panie sędzio. Nie może pan przyjąć tego zeznania, jeśli nie było mnie na miejscu i nie miałem okazji przesłuchać świadka. To absurd.

– Mamy czas, Wysoki Sądzie – powiedział Jake. – Po co ten pośpiech?

Sędzia Atlee wydmuchnął obłok dymu, spojrzał na Jake'a z bliskim w oku i powiedział:

– Pokaż.

Dla Jake'a nagranie było równie szokujące, jak za pierwszym razem. Potwierdziły się rzeczy, co do których za pierwszym razem miał wątpliwości. Spoglądał wielokrotnie na Wade'a Laniera, którego irytacja słabła w miarę słuchania opowieści Ancila. Wydawał się przytłoczony. Pod koniec sprawiał wrażenie, jakby spuszczone z niego powietrze. Przemiana dokonała się u wszystkich prawników pragnących podważyć testament. Ich pewność siebie zniknęła.

Kiedy Jake wyjął kasetę, sędzia Atlee w dalszym ciągu wpatrywał się w pusty ekran. Ponownie zapalił fajkę i wydmuchnął kłęb dymu.

– Panie Lanier?

– Wysoki Sądzie, nie można tego dopuścić. Nie było mnie na miejscu. Nie miałem okazji przesłuchać świadka. Wie pan, to nie byłoby fair.

– A zatem byłoby zgodne z duchem tej rozprawy – wybuchnął Jake. – Niespodziewany świadek tu, zasadzka tam. Sądziłem, że znasz się na tych sztuczках, Wade.

– Nie będę tego komentował. To nie jest właściwie przeprowadzone zeznanie pod przysięgą.

– O co mógłbyś go zapytać? – spytał Jake. – Facet opisuje wydarzenia, które rozegrały się, zanim się urodziłeś. Jest jedynym żyjącym świadkiem. Nie mógłbyś go przesłuchać. Nie masz zielonego pojęcia, co się stało.

– Zeznanie nie zostało odpowiednio poświadczone przez sądowego protokolanta, a ten prawnik z Alaski nie ma licencji na praktykowanie w Missisipi. Mógłbym ciągnąć to bez końca.

– W porządku. Wycofam nagranie jako zeznanie pod przysięgą i przedłożę jako oświadczenie pod przysięgą złożone w obecności publicznego notariusza.

– To zeznanie nie ma żadnego związku ze zdolnością testamentową Setha Hubbarda w dniu pierwszego października ubiegłego roku.

– Jak to nie? Ono wszystko wyjaśnia, Wade – zaprzeczył Jake. – Dowodzi ponad wszelką wątpliwość, że Seth Hubbard doskonale

wiedział, co robi. Wysoki Sądzie, chodzi tylko o to, żeby przysięgli mogli je usłyszeć...

– Wystarczy – przerwał mu surowo sędzia Atlee. Zamknął oczy i na chwilę pogrążył się w zadumie. Wydmuchnął dym i westchnął głęboko. Kiedy otworzył oczy, powiedział:

– Panowie, myślę, że przysięgli powinni poznać Ancila Hubbarda.

△△△

Dziesięć minut później zebrani na sali zostali przywołani do porządku. Wprowadzono przysięgłych i ponownie ustawiono duży ekran. Sędzia Atlee przeprosił przysięgłych za zwłokę i wyjaśnił, co się stało. Później spojrzął na stół strony kwestionującej testament i zapytał:

– Panie Lanier, czy chce pan powołać kolejnych świadków?

Wade Lanier dźwignął się boleśnie, jakby dokuczał mu artretyzm, i powiedział:

– Nie, powołaliśmy wszystkich.

– Panie Brigance?

– Wysoki Sądzie, chciałbym powołać na świadka panią Lettie Lang, w ograniczonym zakresie. To zajmie tylko chwilę.

– Dobrze. Pani Lang, proszę pamiętać, że została pani zaprzysiężona i nadal zeznaje pod przysięgą.

Portia pochyliła się ku Jake'owi i wyszeptała:

– Co robisz, Jake?

– Nie teraz – odpowiedział szeptem. – Za chwilę zobaczysz.

Lettie usadowiła się na miejscu, próbując zachować spokój, ale nadal mając w pamięci okropne doświadczenie poprzedniego przesłuchania. Nie patrzyła na przysięgłych. Jake nie miał czasu, żeby ją przygotować, a ona nie miała pojęcia, co ją czeka.

– Lettie, kto jest twoją matką? Twoją biologiczną matką? – spytał Jake.

Lettie uśmiechnęła się, skinęła głową na znak, że zrozumiała, i odpowiedziała:

- Moja biologiczna matka nazywała się Lois Rinds.
- Kim byli jej rodzice?
- Sylvester i Esther Rindsowie.
- Co wiesz o Sylwestrze Rindsie?
- Zmarł w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku, więc go nie znalazłam. Mieszkał na ziemi, która należy obecnie do Hubbardów. Po jego śmierci Esther przepisała ziemię na ojca Setha Hubbarda. Ojcem Sylvestra był Solomon Rinds, poprzedni właściciel tej ziemi.

- Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.
- Panie Lanier?

Wade podszedł do podium bez notatnika.

- Pani Lang, czy ma pani akt urodzenia.
- Nie, proszę pana.
- Czy pani matka zmarła, kiedy miała pani trzy lata?
- Tak.
- Kiedy w grudniu składała pani zeznanie pod przysięgą, tydzień przed świętami Bożego Narodzenia, nie była pani taka pewna swojego pochodzenia. Skąd obecnie taka pewność?
- Dotarłam do paru krewnych. Udzielili mi odpowiedzi na wiele pytań.

- Czy teraz jest pani pewna?
- Wiem, kim jestem, panie Lanier. Jestem tego pewna.

Kiedy usiadł, sędzia Atlee zwrócił się do obecnych na sali:

- Za chwilę obejrzą państwo zeznanie pod przysięgą złożone przez Ancila Hubbarda i nagrane na taśmie wideo. Proszę o zgaszenie świateł, zamknięcie drzwi i nieopuszczanie miejsc. Zajmie nam to około godziny. Nie będzie żadnych przerw.

Przysięgli znudzeni poprzednim dniem nagle się obudzili, gotowi obserwować nieoczekiwany zwrot akcji. Wielu widzów przeszło na prawą stronę, żeby lepiej widzieć ekran. Zgaszono światła i wszelki ruch zamarł. Ludzie wzięli głęboki oddech, a taśma zaczęła się kręcić. Po prezentacji Jareda Wolkowicza i Luciena na ekranie ukazał się Ancil.

– *Oto moja historia – powiedział. – Nie wiem, od czego zacząć. Mieszkam tutaj, w Juneau, ale nie jest to mój prawdziwy dom. Nie mam domu. Moim domem jest świat, który zjeździłem od końca do końca. Miewałem kłopoty, ale przeżyłem również wiele radości. Wiele szczęśliwych chwil. W wieku siedemnastu lat wstąpiłem do marynarki. Nie podałem prawdziwego wieku, bo zrobiłbym wszystko, żeby uciec z domu. Przez piętnaście lat przenosiłem się z miejsca na miejsce. Brałem udział w wojnie na Pacyfiku, na pancerniku USS „Iowa „. Po odejściu z marynarki mieszkałem w Japonii, na Sri Lance, w Trynidadzie, w tyłu miejscach, że sam ich wszystkich nie pamiętam. Pracowałem dla armatorów i mieszkałem na morzu. Kiedy chciałem odpocząć, osiedlałem się, zawsze w innym miejscu.*

– *Opowiedz nam o Secie – poprosił spoza kadru Lucien.*

– *Seth był pięć lat starszy ode mnie. Nie mieliśmy więcej rodzeństwa. Był moim starszym bratem, zawsze się mną opiekował, najlepiej jak umiał. Mieliśmy ciężkie życie z powodu naszego ojca, Cleona Hubbarda, człowieka, którego nienawidziliśmy od chwili przyjścia na ten świat. Bił nas, znęcał się nad matką, można było odnieść wrażenie, że stale jest z kimś skłócony. Mieszkaliśmy na wsi, niedaleko Palmyry, na rodzinnej farmie, w starym wiejskim domu, który zbudował dziadek. Dziadek nazywał się Jonas Hubbard, a jego ojcem był Robert Hall Hubbard. Większość naszej rodziny przeniosła się do Arkansas, więc nie mieliśmy wielu krewnych i kuzynów. Seth i ja harowaliśmy w gospodarstwie, doiliśmy krowy, pieliliśmy i zbieraliśmy bawełnę, pracowaliśmy w sadzie. Oczekiwano od nas, że będziemy pracować jak dorośli. Życie było trudne, czasy wielkiego kryzysu i tak dalej, ale jak mówią na Południu, kryzys nie uderzył nas tak mocno, bo znajdowaliśmy się w nim od zakończenia wojny.*

– *Ile mieliście ziemi? – spytał Lucien.*

– *Trzydzieści hektarów. Ziemia od dawna należała do rodziny. Większość była zalesiona, ale była też ziemia uprawna, którą wykarczował dziadek. Uprawialiśmy na niej bawełnę i fasolę.*

– *Czy rodzina Rindsów miała ziemię przylegającą do waszej?*

– *Tak. Ziemia należała do Sylvestra Rindsa. W okolicy mieszkali*

także inni Rindsowie. Od czasu do czasu Seth i ja bawiliśmy się z dziećmiakami Rindsów, ale tylko kiedy ojciec nie patrzył. On nienawidził Sylvestra, nienawidził wszystkich Rindsów. Waśń rodowa trwała od dawna. Widzisz, Sylvester też miał trzydzieści hektarów, które graniczyły z naszą ziemią, leżały na zachód od niej. Hubbardowie zawsze uważali, że ta ziemia należy do nich. Według ojca niejaki Jeremia Rinds nabył tytuł własności w tysiąc osiemset siedemdziesiątym roku w okresie rekonstrukcji. Jeremia był niewolnikiem. Później został wyzwolony i jakimś sposobem kupił ziemię. Byłem dzieckiem i nie rozumiałem, co się wtedy stało, ale Hubbardowie zawsze uważali, że to ich ziemia. Myślę, że poszli z tym nawet do sądu, ale tych trzydzieści hektarów pozostało w rękach Rindsów. Ojca doprowadzało to do furii, bo miał tyle samo ziemi co te czarnuchy. Jako dziecko wielokrotnie słyszałem, że Rindsowie są jedynymi czarnymi w okręgu, którzy mają własną ziemię... ziemię jakimś sposobem odebraną Hubbardom. Razem z Sethem wiedzieliśmy, że powinniśmy nie lubić dzieci Rindsów, ale zwykle nie mieliśmy innych towarzyszy do zabawy. Wymykaliśmy się chyłkiem i szliśmy z nimi na ryby albo się kąpaliśmy. Kiedy ojciec przyłapał mnie i Seta, gdy pływaliśmy z małymi Rindsami, spuścił nam takie lanie, że nie mogliśmy chodzić. Był gwałtownym człowiekiem. Mściwym, pełnym nienawiści i porywczym. Baliśmy się go.

Ponieważ Jake oglądał nagranie trzeci raz tego ranka, nie koncentrował się na filmie. Zamiast tego obserwował przysięgłych. Siedzieli skamieniali, słuchali jak urzeczeni, chłonęli każde słowo, jakby nie wierzyli własnym uszom. Nawet Frank Doley, zaprzysięgły wróg Jake'a, pochylał się do przodu, przytykając palec wskazujący do warg, całkowicie pochłonięty opowieścią.

– *Co się stało z Sylwestrem?* – spytał Lucien.

– *A, tak. Tego się chciałeś dowiedzieć. Waśnie się nasiliły, kiedy wycięto kilka drzew nieopodal granicy posiadłości. Ojciec uważał, że drzewa były jego. Sylvester miał pewność, że stanowiły jego własność. Ponieważ granica od dawna była przedmiotem sporów, wszyscy dokładnie wiedzieli, gdzie przebiega. Ojcu puściły nerwy. Pamiętam,*

jak mówił, że zbyt długo tolerował to gównno, że czas najwyższy z tym skończyć. Którejś nocy przyszli do nas jacyś ludzie i pili whisky za stodołą. Seth i ja podkradliśmy się, żeby podsłuchać, o czym rozmawiają. Planowali jakąś akcję przeciwko Rindsom. Nie wiedzieliśmy dokładnie, o co chodzi, ale było jasne, że uknuli jakiś spisek. Później pewnego sobotniego popołudnia pojechaliśmy do miasteczka. Było gorąco. Myślę, że było to w sierpniu tysiąc dziewięćset trzydziestego roku. Tego dnia wszyscy pojechali do miasta, czarni i biali. Wszyscy musieli zrobić zakupy i uzupełnić zapasy na nadchodzący tydzień. W owych czasach Palmyra była małą rolniczą osadą, ale w sobotę roilo się tam od ludzi, w sklepach i na chodnikach były tłumy. Seth i ja niczego nie widzieliśmy, ale wieczorem usłyszeliśmy, jak inne dzieci rozmawiały o czarnym, który powiedział coś przykrego o białej kobiecie. Wszyscy byli tym poruszeni. Później dowiedzieliśmy się, że tym czarnym był Sylvester Rinds. Wróciliśmy do domu na pace pick-upa. Rodzice siedzieli z przodu. Czuliśmy, że coś się wydarzy. To było oczywiste. Kiedy dotarliśmy do domu, ojciec kazał nam pójść do naszego pokoju i nie wychodzić, dopóki nam nie pozwoli. Później usłyszeliśmy, jak kłóci się z matką. Porządnie się posprzeczali. Myślę, że ją uderzył. Po kilku minutach usłyszeliśmy, jak odjeżdża. Udawaliśmy, że śpimy, ale w okamgnieniu byliśmy na dworze. Tylne światła jego samochodu zmierzały na zachód w kierunku Sycamore Row.

– *Gdzie to jest?*

– *Sycamore Row już nie ma, ale w tysiąc dziewięćset trzydziestym w pobliżu strumienia na ziemi Rindsów stała mała osada. Garstka starych domów rozproszonych w okolicy, relikw czasy niewolnictwa. W Sycamore Row mieszkał Sylvester. W każdym razie Seth i ja założyliśmy uzdę Daisy, naszemu kucowi, i ruszyliśmy na oklep. Seth trzymał uzdę, a ja kurczowo uchwyciłem się grzbietu Daisy. Wtedy jeździło się na oklep, więc wiedzieliśmy, co robimy. Kiedy zbliżyliśmy się do Sycamore Row, ujrzeliśmy światła samochodów. Zsiedliśmy i przeprowadziliśmy Daisy przez las, a później przywiązaliśmy do drzewa i zostawiliśmy. Zbliżaliśmy się coraz bardziej, aż usłyszeliśmy głosy. Staliśmy na zboczu wzgórza. Spoglądając w dół, widzieliśmy,*

jak trzech lub czterech biali biją kijami jakiegoś czarnego. Zdarli z niego koszulę, miał poszarpane spodnie. To był Sylvester Rinds. Jego żona, Esther, stała przed domem, pięćdziesiąt metrów dalej. Krzyczała i płakała. Próbowwała podejść, ale jeden z białych rzucił ją na ziemię. Seth i ja podkradliśmy się bliżej, aż znaleźliśmy się na granicy lasu. Stanęliśmy, obserwując i nasłuchując. Z pick-upa wysiedli inni mężczyźni. Mieli sznur. Kiedy Sylvester go ujrzał, wpadł w szal. Trzeba było trzech lub czterech, żeby go przytrzymać, skrępować mu ręce i nogi. Podnieśli go i rzucili na skrzynię jednego z samochodów.

– *Gdzie był twój ojciec?* – zapytał Lucien.

Ancil przerwał, wziął głęboki oddech i potarł oczy.

– *Razem z tamtymi* – wyjaśnił dalej. – *Stał z boku. Przyglądał się, trzymając w rękę śrutówkę. Należał do bandy, ale nie chciał pobrudzić sobie rąk. Były cztery pick-upy. Wszystkie wyjechały wolno z osady, niedaleko, w kierunku rzędu platanów. Seth i ja znaleźliśmy to miejsce, bo łowiliśmy ryby nad strumieniem. Było tam pięć lub sześć wysokich platanów rosnących w idealnym rzędzie. Krążyła stara legenda o szczepie Indian, którzy zasadzili drzewa podczas jakiegoś pogańskiego rytuału, ale kto ich tam wie? Samochody zatrzymały się przy pierwszym drzewie i ustawiły w półkolu, aby oświetlić teren. Seth i ja podkradliśmy się lasem. Nie chciałem na to patrzeć i w pewnej chwili powiedziałem: „Seth, chodźmy stąd”, ale on się nie poruszył, więc zostałem i ja. Zarzucili sznur na grubą gałąź i szamotali się chwilę z Sylwestrem, żeby nałożyć mu pętlę na szyję. Wił się, krzyczał i błagał: „Nic nie powiedziałem, panie Burt! Nic nie powiedziałem! Błagam, panie Burt! Przecież pan wie, że nic nie powiedziałem!”.* Paru białych szarpnęło linę tak mocno, że omal nie oderwali mu głowy.

– *Kim był ten pan Burt?* – zapytał Lucien.

Ancil wziął kolejny głęboki oddech i wpatrywał się w kamerę. W końcu powiedział:

– *Wiesz, to było niemal pięćdziesiąt lat temu. Jestem pewny, że większość tych ludzi dawno nie żyje. Jestem pewny, że smażą się w piekle, gdzie jest ich miejsce, ale mają rodziny. Z ujawnienia nazwisk*

nie wyniknie nic dobrego. Seth rozpoznał trzech z nich: pana Burta, który był prowodyrem linczu. Naszego ukochanego ojca, ma się rozumieć, i jeszcze jednego, ale nie podam nazwiska.

– *Pamiętasz je?*

– *O tak! Nie zapomnę go do końca życia.*

– *Wystarczy. Co się później stało?*

Ancil zrobił kolejną długą przerwę, próbując nad sobą zapanować.

Jake spojrział na przysięgłych. Numer trzy, Michele Still, dotykała policzka chusteczką. Inna czarna przysięgła, Barb Gaston, numer osiem, ocierała oczy. Siedzący po prawej stronie Jim Whitehurst, przysięgły numer siedem, podał jej chusteczkę.

– *Sylvester właściwie wisiał, aie palcami dotykał jeszcze skrzyni pick-upa. Pętla była tak mocno zadzierzgnięta, że nie mógł mówić ani krzyczeć, choć próbował. Wydał potworny dźwięk, którego nigdy nie zapomnę. Coś w rodzaju cienkiego, przenikliwego warknięcia. Pozwolili mu cierpieć minutę lub dwie. Wszyscy stali wokół, podziwiając swoje dzieło. Sylvester tańczył na palcach, próbował uwolnić ręce, krzyknąć. Było to bardzo żalosne, bardzo przerażające.*

Ancil otarł oczy rękawem. Ktoś spoza kadru wręczył mu chusteczkę. Ciężko oddychał.

– *Boże, nigdy nie opowiadałem tej historii. Seth i ja rozmawialiśmy o tym całymi dniami i miesiącami. Później postanowiliśmy o wszystkim zapomnieć. Nigdy nikomu o tym nie powiedziałem. To było potworne. Byliśmy tylko dziećmi, nie mogliśmy ich powstrzymać.*

Po krótkiej przerwie Lucien zapytał:

– *Co się później stało, Ancilu?*

– *To chyba oczywiste. Pan Burt krzyknął: „Ruszaj!” i gość siedzący za kierownicą dodał gazu. Sylvester dziko zadyndał w powietrzu. Dwaj mężczyźni trzymający drugi koniec sznura pociągnęli mocniej i Rinds powędrował kolejne piętnaście lub dwadzieścia centymetrów w górę. Jego stopy znajdowały się jakieś trzy metry nad ziemią. Niebawem się uspokoił. Patrzyli na niego chwilę. Żaden nie chciał odejść. Później odwiązali linę i go zostawili. Wrócili do osady, która znajdowała się jakieś sto pięćdziesiąt metrów od drzewa.*

Niektórzy szli, inni jechali.

– *Ilu ich było?*

– *Byłem tylko dzieckiem, nie wiem. Może dziesięciu.*

– *Opowiadaj dalej.*

– *Seth i ja przemykaliśmy między drzewami, w cieniu, słuchając, jak rechoczą i poklepują się po plecach. Jeden powiedział: „Spalmy jego dom”. Skupili się wokół domku Sylvestra. Esther stała na frontowych stopniach z dzieckiem na rękach.*

– *Z dzieckiem? Z chłopcem czy dziewczynką?*

– *Z dziewczynką. Nie była niemowlęciem, ale małą dziewczynką.*

– *Znałeś ją?*

– *Nie, wtedy nie. Seth i ja dowiedzieliśmy się o niej później. Sylvester miał tylko jedno dziecko, dziewczynkę imieniem Lois.*

Lettie westchnęła tak boleśnie, że zwróciła na siebie uwagę większości przysięgłych. Quince Lundy podał jej chusteczkę. Jake spojrział przez ramię na Portię. Kręciła głową, poruszona jak wszyscy.

– *Spalili dom?* – zapytał Lucien.

– *Nie, stała się dziwna rzecz. Ojciec wystąpił ze śrutówką, stając pomiędzy tamtymi a Esther i Lois. Powiedział, że nie podpalą domu, a wtedy wsiedli do pick-upa i odjechali. Seth i ja zaczęliśmy się wycofywać. Przed odejściem ujrzałem, że ojciec rozmawia z Esther na schodach ich małego domku. Wskoczyliśmy na naszego kuca i pogналиśmy do domu. Kiedy wślizgnęliśmy się przez okno do pokoju, matka już na nas czekała. Była rozgniewana, chciała wiedzieć, gdzie byliśmy. Seth był lepszym kłamcą, więc powiedział, że łapaliśmy robaczki świętojańskie. Chyba mu uwierzyła. Błagaliśmy, żeby nie mówiła nic ojcu. Nie sądzę, aby kiedykolwiek to zrobiła. Leżeliśmy w łóżku, kiedy usłyszeliśmy, jak nadjeżdża pick-up i staje na podjeździe. Ojciec wszedł do domu i położył się spać. Nie mogliśmy zasnąć. Szeptaliśmy całą noc. Nie mogłem opanować płaczu. Seth powiedział, że można płakać, jeśli nikt nas nie widzi. Przysiągł, że nie powie nikomu, że płakałem. Później zauważyłem, że on też płacze. Było bardzo gorąco, a w tych czasach nie było jeszcze klimatyzacji. Na długo przed wschodem słońca ponownie wymknęliśmy się przez okno i*

usiedliśmy na tylnej werandzie, gdzie było chłodniej. Gadaliśmy o tym, żeby wrócić do Sycamore Row i sprawdzić, co się stało z Sylvestrem, ale nie mówiliśmy tego poważnie. Szeryf szukał świadków, więc nie mogliśmy puścić pary z ust. Nigdy. Tamtej nocy nie poszliśmy spać. Kiedy usłyszeliśmy, że matka krząta się w kuchni, wślizgnęliśmy się do łóżka. W samą porę, bo chwilę później do pokoju wszedł ojciec i krzyknął, żebyśmy wstali i poszli do stodoły wydoić krowę. Robiliśmy to codziennie o świcie. Każdego ranka. Mieliliśmy ciężkie życie. Nie nawidziłem farmy, a od tego dnia znenawidziłem ojca, jak jeszcze żadne dziecko nie znenawidziło swojego rodzica. Chciałem, żeby szeryf go aresztował i zabrał na wieki.

Zza kadru dobiegł taki dźwięk, jakby Lucien sam potrzebował przerwy. Dopiero po dłuższej chwili zapytał:

– *Co się stało z rodziną Rindsów?*

Ancil zwiesił głowę i pokręcił nią.

– *To było straszne. Po prostu straszne. Dalszy ciąg jest jeszcze gorszy. Dzień lub dwa później ojciec poszedł do Esther. Dał jej parę dolarów i zmusił do podpisania umowy sprzedaży trzydziestu hektarów. Obiecał, że będzie mogła tam zostać. Została czterdzieści osiem godzin. Szeryf się pojawił, a jakże. On, jego zastępca i ojciec zjawili się w osadzie i oznajmili Esther oraz innym Rindsom, że zostali wyeksmitowani. Że mają się natychmiast wynosić. Mają spakować manatki i zmiatać z jego ziemi. Była tam taka mała kapliczka z desek, w której czarni modlili się od dziesięcioleci. Żeby dowieść, że wszystko należy do niego, ojciec ją podpalił. Spalił doszczętnie, żeby pokazać, jaki z niego ważny człowiek. Szeryf i jego zastępca mu pomagali. Zagrozili, że podpalą także chałupy.*

– *Widziałeś to?*

– *Jasne. Seth i ja niczego nie przeoczyliśmy. Mieliliśmy pielic bawełnę, ale kiedy ujrzeliśmy, że szeryf zajeżdża przed dom, wiedzieliśmy, że coś się święci. Mieliliśmy nadzieję, że aresztuje ojca, ale wtedy w Missisipi było inaczej. Zupełnie inaczej. Szeryf zjawił się, żeby mu pomóc oczyścić jego ziemię, pozbyć się czarnych.*

– *Co się stało z czarnymi?*

– *Cóż, wyjechali. Zabrali, co się dało, i uciekli do lasu.*
– *Ilu ich było?*
– *Już mówiłem, byłem wtedy dzieckiem. Na ziemi Sylvestra mieszkało kilka rodzin Rindsów. Nie wszyscy w samej osadzie, ale całkiem blisko siebie.* – Ancil westchnął głęboko i wymamrotał: – *Mam tego dość.*

Lucien na to:

– *Już prawie skończyliśmy. Proszę, opowiadaj dalej.*
– *Dobrze, dobrze. Kiedy Rindsowie opuścili swoje domostwa, ojciec i szeryf podłożyli ogień. Spalili wszystko. Do dziś pamiętam ludzi stojących na skraju lasu, trzymających na rękach dzieci i dobytek, który zdołali zabrać. Patrzyli na ogień i gęste kłęby dymu, płacząc i zawodząc. To było po prostu straszne.*

– *Co się z nimi stało?*
– *Rozproszyli się po świecie. Jakiś czas garstka koczowała nad strumieniem Tutwiler, głęboko w lesie, nieopodal rzeki Big Brown. Seth i ja szukaliśmy Toby'ego i znaleźliśmy go tam razem z rodziną. Byli głodni i przerażeni. W któreś niedzielne popołudnie objuczyliśmy konie i wymknęliśmy się z domu, zabierając tyle jedzenia, ile mogliśmy ukraść tak, żeby nas nie nakryli. Właśnie tego dnia ujrzałem Esther i jej małą Lois. Miała pięć lat i była całkiem naga. Nie miała ubrania. To było potworne. Toby zakradł się parę razy do naszego domu i ukrył za stodołą. Seth i ja daliśmy mu tyle jedzenia, ile mogliśmy. Zaniósł je do obozowiska, które znajdowało się kilkanaście kilometrów dalej. Którejś niedzieli przyjechali jacyś mężczyźni ze strzelbami i śrutówkami. Nie zdołaliśmy się podkraść na tyle blisko, żeby ich podsłuchać, ale później matka powiedziała, że pojechali do obozu czarnych i przepędzili wszystkich Rindsów. Kilka lat później inne czarne dziecko powiedziało Sethowi, że Toby i jego siostra utonęły w strumieniu, a niektórzy zostali zastrzeleni. Myślę, że dość się już nasłuchałeś. Mógłbym dostać tyk wody?*

W kadrze ukazała się ręka ze szklanką. Ancil powoli wypił wodę, a po chwili podjął opowieść:

– *Kiedy miałem trzynaście lat, moi rodzice się rozeszli. Był to dla*

mnie szczęśliwy dzień. Odszedłem z matką. Pojechaliśmy do Corinthu w Missisipi. Seth nie chciał zmienić szkoły, więc został z ojcem, chociaż rzadko z sobą rozmawiali. Bardzo tęskniłem za bratem, ale po jakimś czasie w naturalny sposób oddaliliśmy się od siebie. Kiedy miałem szesnaście lat, uciekłem z domu, a wieku siedemnastu wstąpiłem do marynarki. Czasami mam wrażenie, że od tego czasu zacząłem uciekać. Po odejściu nie utrzymywałem kontaktów z rodziną. Głowa mi pęka. To wszystko. To koniec tej smutnej historii.

Rozdział 47

Przysięgli w milczeniu opuścili swój pokój i zeszedli za woźnym tylnymi schodami do bocznych drzwi gmachu sądu, tą samą drogą, którą przemierzali od czwartku. Kiedy znaleźli się na zewnątrz, rozstali się bez słowa. Nevin Dark postanowił pojechać do domu na lunch. Nie chciał być z kolegami. Musiał przetrwać opowieść, którą przed chwilą usłyszał. Chciał zaczerpnąć oddechu, pomyśleć, powspominać. Siedząc w swoim pick-upie ze spuszczo-nymi szybami, poczuł się niemal brudny. Może przysznic mu pomoże.

Pan Burt. Pan Burt. W jakimś ocienionym miejscu drzewa genealogicznego jego żony był stryjeczny dziadek lub daleki kuzyn o tym nazwisku. Wiele lat temu, kiedy mieszkał niedaleko Palmyry, krążyły plotki, że Burt należał do Klanu.

Nie, to nie mógł być on.

Choć Nevin mieszkał w okręgu Ford od pięćdziesięciu trzech lat, słyszał tylko o jednym linczu, ale prawie zapomniał tę historię. Doszło do niego na przełomie wieków. Wszyscy świadkowie umarli, a szczegóły poszły w zapomnienie. Nevin nigdy nie słyszał relacji naocznego świadka zabójstwa. Biedny Ancil. Wyglądał żałośnie z tą swoją małą, okrągłą głową, w obszernym garniturze, ocierając łzy rękawem.

Odurzony demerolem czy nie, Seth doskonale wiedział, co robi.

Michele Still i Barb Gaston nie miały żadnych planów na lunch i były zbyt wstrząśnięte, aby trzeźwo myśleć. Wskoczyły do wozu Michele i uciekły z Clanton pierwszą lepszą drogą, bez żadnego celu. Dystans pomógł i po dziesięciu kilometrach przebytych pustą wiejską

drogą zdołały się odprężyć. Wstąpiły do wiejskiego sklepiu, kupiły napoje i herbatniki, a później usiadły w cieniu ze spuszczoneymi szybami i słuchały soulowej rozgłośni z Memphis.

- Mamy dziewięć głosów? – spytała Michele.
- Dziewczyno, możemy mieć dwanaście.
- Nie. Nigdy nie będziemy mieć Doleya.
- Pewnego dnia skopię mu tyłek. Może dziś, może za rok, ale to zrobię.

Michele się roześmiała i ich nastrój uległ znacznej poprawie.

Jim Whitehurst też wrócił na lunch do domu. Żona czekała na niego z potrawką. Usiedli na werandzie. Szczegółowo relacjonował jej przebieg rozprawy, ale nie chciał powtarzać tego, co właśnie usłyszał. Nalegała, więc prawie nie tknęli jedzenia.

Tracy McMillen i Fay Pollan pojechały razem do pasażu handlowego we wschodniej części miasta, gdzie otwarto nowy bar z kanapkami, który zyskał zawrotną popularność. Ich identyfikatory z napisem „przysięgli” przyciągnęły kilka spojrzeń, ale nikt nie zadał pytań. Usiadły w boksie, aby móc rozmawiać, i po kilku minutach doszły do pełnej zgody. Seth Hubbard mógł przygasnąć w ostatnich dnia życia, ale nie ma wątpliwości, że wszystko starannie zaplanował. Poza tym Herschel i Ramona i na nich nie zrobili dobrego wrażenia. To prawda, kobietom nie podobało się to, że czarna gosposia dostanie całą forszę, ale – jak powiedział Jake – przysięgli nie byli od tego, żeby o tym decydować. Nie chodziło o ich pieniądze.

△△△

Dla członków rodziny Hubbardów dzień, który rozpoczął się tak obiecująco, skończył się upokarzającym koszmarem. Na jaw wyszła prawda o dziadku, człowieku, którego ledwie znali. Ich nazwisko zostało bezpowrotnie skalane. Mogli się nauczyć, jak z tym żyć, ale utrata pieniędzy oznaczała katastrofę. Nagle zapragnęli się ukryć. Pognali do domu swojego gospodarza, z dala od wiejskiego klubu, zapominając o lunchu i debatując, czy wrócić na salę rozpraw.

△△△

Podczas przerwy Lettie i Portia pojechały do domu Sappingtona, ale nie w głowie był im lunch. Zamiast jeść, poszły do sypialni Lettie, zdjęły buty i położyły się obok siebie, trzymając się za ręce i popłakując.

Opowieść Ancila wypełniła wiele luk.

W głowie wirowało mnóstwo myśli, ale nie padły prawie żadne słowa. Emocje były zbyt duże. Lettie myślała o babci Esther i przerażającej opowieści, którą usłyszała. I o swojej matce, małej dziewczynce bez ubrania, jedzenia i domu.

– Skąd on wiedział, mamó? – spytała Portia.

– Kto? O czym? O co ci chodzi?

– Seth. Skąd wiedział, że to ty? W jaki sposób Seth Hubbard dowiedział się, że jesteś córką Lois Rinds?

Lettie spojrzała w wiatrak wirujący na suficie, nie mogąc się zebrać do udzielenia odpowiedzi. W końcu powiedziała:

– Był bardzo mądrym człowiekiem i wątpię, byśmy się kiedykolwiek tego dowiedzieli.

Willie Traynor zajrzał do kancelarii Jake'a z półmiskiem kanapek i wprosił się na lunch. Jake i Harry Rex siedzieli na górze, na balkonie. Jake pił kawę, a Harry Rex piwo. Podziękowali za kanapki. Willie wybrał piwo.

– Kiedy prowadziłem gazetę – zaczął – w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym jakiś facet wydał książkę o linczach. Odrobił pracę domową, zamieścił mnóstwo potwornych fotografii i tak dalej. Dobrze się ją czytało. Według niego, a gość pochodził z Północy, więc chciał nas przedstawić w złym świetle, w latach tysiąc osiemset osiemdziesiąt dwa – tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt osiem w Stanach Zjednoczonych zlinczowano trzydzieści pięć tysięcy czarnych. Oprócz tego trzysta tysięcy białych, ale byli to w większości złodzieje koni z Zachodu. Począwszy od tysiąc dziewięćsetnego roku dopuszczano się linczu wyłącznie na czarnych, także na kobietach i dzieciach.

– Czy to odpowiedni temat do rozmowy podczas lunchu?
– Nie wiedziałem, że masz taki delikatny żołądek, olbrzymie – odparował Willie. – W każdym razie zgadnijcie, jaki stan wiódł prym w tej konkurencji.

– Boję się zapytać – odrzekł Jake.

– Właśnie. Byliśmy pierwsi. Prawie sześciuset zamordowanych, w tym jedynie czterdziestu białych. Tuż za nami szła Georgia. Teksas niewiele jej ustępował, plasując się na zaszczytnym trzecim miejscu. Pamiętam, że gdy czytałem tę książkę, pomyślałem sobie: sześćset osób to dużo. Ilu ludzi mieszka w okręgu Ford? Sięgnąłem sto lat wstecz i przejrzałem każdy numer „Timesa”. Znalazłem tylko trzy lincze, wszystkie popełnione na czarnych. Nie było żadnej wzmianki o Sylwestrze Rindsie.

– Kto zebrał te dane? – spytał Jake.

– Przeprowadzono badania, ale nie wiadomo, na ile są wiarygodne.

– Jeśli wiedzieli o sześciuset przypadkach linczu – odpowiedział Harry Rex – możesz iść o zakład, że było ich znacznie więcej.

Willie pociągnął łyk piwa i powiedział:

– A teraz zgadnijcie, ilu ludziom postawiono zarzut zabójstwa za udział w linczu.

– Żadnemu.

– Znowu zgadłeś. Ani jednej osobie. Takie tu było prawo. Czarni stanowili zwierzynę łowną.

– Mam mdłości – powiedział Jake.

– Cóż, stary, twoja ława przysięgłych też je ma – odparł Willie. – Są po twojej stronie.

△△△

O trzynastej trzydzieści przysięgli zebrali się ponownie w swoim pokoju. Nie padło ani jedno słowo na temat procesu. Woźny zaprowadził ich na salę. Duży ekran zniknął. Nie było więcej świadków. Sędzia Atlee spojrział w dół i oznajmił:

– Panie Brigance, pora na mowę końcową.

Jake wszedł na podium bez notatnika. Nie miał notatek. Zaczął słowami:

– Będzie to najkrótsza mowa końcowa w historii tego sądu, bo nie mógłbym powiedzieć nic tak przekonującego, jak zeznanie Ancila Hubbarda. Im dłużej będę mówił, tym większy stworzę dystans pomiędzy nim i waszymi rozważaniami, więc będę się streszczał. Chciałbym, żebyście pamiętali o wszystkim, co powiedział, nie dlatego, że ktoś mógłby o tym zapomnieć. Podczas procesu często dochodzi do nieoczekiwanych zwrotów. Kiedy rozpoczynaliśmy w poniedziałek, nikt z nas nie podejrzewał, że lincz sprzed wielu lat wyjaśni tajemnicę, odpowie na pytanie, dlaczego Seth Hubbard zapisał całą fortunę Lettie Lang. Jego ojciec zlinczował jej dziadka w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku. Kiedy go zabił, przywłaszczył sobie jego ziemię i wypędził rodzinę. Ancil opowiedział o tym lepiej, niż ja kiedykolwiek zdołam. Przez pół roku zastanawialiśmy się nad przyczyną decyzji Setha. Teraz ją znamy. Teraz ją wszystko stało się jasne.

Czuję dla Setha nowy podziw, choć nigdy osobiście go nie poznałem. Mimo słabości charakteru, które przecież wszyscy posiadamy, był człowiekiem niezwykłym. Czy znacie kogoś, kto zbiłby taką fortunę w ciągu dziesięciu lat? Jakby tego było mało, zdołał w jakiś sposób odnaleźć Esther i Lois, a później Lettie. Pięćdziesiąt lat później zadzwonił do Lettie i zaproponował jej pracę. To nie ona do niego zadzwoniła. Zaplanował wszystko, proszę państwa. Był niezwykły. Podziwiam Setha także za jego odwagę. Wiedział, że jest umierający, a jednak odmówił zrobienia tego, czego od niego oczekiwano. Wybrał znacznie trudniejszą ścieżkę. Wiedział, że jego reputacja zostanie zrujnowana, że rodzina będzie przeklinać jego imię, ale nie zważał na to. Uczynił to, co uważał za słuszne.

Jake podszedł do stołu i podniósł odręcznie spisany testament.

– Na koniec podziwiam Setha za jego poczucie sprawiedliwości. W tym holograficznym testamencie stara się naprawić zło wyrządzone rodzinie Rindsów przez jego ojca dziesiątki lat temu. Teraz to od was zależy, panie i panowie przysięgli, czy pomożemy Sethowi

naprawić wyrządzone zło. Dziękuję.

Jake wrócił wolno na miejsce, spoglądając na publiczność.

W tylnym rzędzie siedział Lucien Wilbanks, uśmiechając się i kiwając głową.

– Trzy minuty i dwadzieścia sekund – mruknął do siebie Harry Rex, zatrzymując stoper w zegarku.

– Panie Lanier – powiedział sędzia Atlee.

Wade ruszył w kierunku podium, utykając bardziej niż zwykle. On i jego klienci patrzyli bezradnie, jak pieniądze ponownie przeciekają im między palcami. A już się nimi cieszyli. Jeszcze o ósmej rano rozmyślali, jak je wydadzą.

Lanier miał niewiele do powiedzenia w tej dramatycznej chwili. Historia nagle i nieoczekiwanie powróciła, miażdżąc go po drodze. Mimo to był weteranem, który bywał w trudnym położeniu. Zaczął słowami:

– Jednym z najważniejszych narzędzi, które prawnik ma do dyspozycji na sali sądowej, jest możliwość przesłuchania świadków drugiej strony. Prawniki niemal zawsze mają taką okazję, ale czasami, jak teraz, jest jej pozbawiony. To bardzo frustrujące. Czuję się skrępowany. Chciałbym, żeby Ancil tu był, abym mógł mu zadać kilka pytań. Na przykład: „Czy to prawda, Ancilu, że przebywałeś obecnie w policyjnym areszcie w Juneau?”. Albo: „Czy to prawda, że jesteś poszukiwany przez władze co najmniej czterech stanów za bezprawne wejście w posiadanie różnych przedmiotów, za kradzież mienia o dużej wartości i niepłacenie alimentów?”. Albo: „Czy mógłbyś powiedzieć przysięgłym, dlaczego od dwudziestu lat nie złożyłeś zeznania podatkowego?”. Mógłbym też zadać najważniejsze pytanie: „Czy to prawda, że otrzymasz milion dolarów, jeśli odręczny testament Seta zostanie uznany za ważny?”.

Nie mogę tego jednak zrobić, panie i panowie, bo nie ma go wśród nas. Mogę was jedynie ostrzec. Ostrzec, że wszystko, co słyszeliście z ust Ancila, nie musiało wyglądać tak, jak to opisał. Na chwilę zapomnijmy o istnieniu Ancila. Chcę, abyście wrócili myślami do ostatniej nocy. Pamiętacie, o czym wtedy myśleliście? Opuściliście tę salę po

wysłuchaniu przygniatających zeznań. Zeznań lekarzy o niepodważalnych kwalifikacjach, ekspertów, którzy pracowali z chorymi na raka i rozumieją, w jakim stopniu silne środki przeciwbólowe zaburzają zdolność jasnego myślenia.

Lanier przeszedł do podsumowania zeznań doktorów Swaneya i Niehoffa. W mowie końcowej jest sporo miejsca na perswazję, ale Lanier tak pokrętnie przedstawiał fakty, że Jake poczuł się zmuszony wstać i powiedzieć:

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie! Nie wierzę w to, co powiedział doktor Niehoff.

– Podtrzymuję – odrzekł szorstko sędzia Atlee. – Panie Lanier, proszę trzymać się faktów.

Zganyony Lanier zaczął się rozwodzić nad tym, co powiedzieli owi świetni doktorzy. Zeznawali wczoraj, więc nie było potrzeby przypominania treści ich wypowiedzi. Wade Lanier zaczął się płatać i stracił klasę. Kiedy nie potrafił wymyślić nic innego, powtarzał: „Seth Hubbard nie miał zdolności testamentowej”.

Ku zadowoleniu Jake'a i konsternacji przysięgłych wyciągnął ponownie testament z 1987 roku.

– Trzy miliony dolarów uleciały ot tak! – zawołał, pstrykając palcami. Opisał sztukę podatkową określaną mianem międzypokoleniowego funduszu powierniczego i gdy Debbie Lacker, przysięgła numer dziesięć, szykowała się do drzemki, powtórzył: – Trzy miliony dolarów uleciały ot tak! – strzelając jeszcze głośniejszymi palcami.

Zanudzanie przysięgłych jest kardynalnym grzechem, bo nie mogą wyjść z sali i są obowiązani słuchać, więc Wade Lanier postępował ostrożnie. Mądrze nie zaatakował Lettie Lang. Słuchacze niedawno poznali prawdziwą historię jej rodziny. Potępienie lub umniejszenie jej nie byłoby roztropne.

Kiedy zrobił bolesną przerwę, żeby zajrzeć do notatek, sędzia Atlee stwierdził:

– Proponuję, żeby spakował pan manatki. Przekroczył pan limit czasu.

– Przepraszam, Wysoki Sądzie. – Wytracony z równowagi wy-

lewnie podziękował przysięgłym za ich „wspaniałą służbę” i zakończył prośbą o bezstronne rozważenie sprawy, wolne od emocji i poczucia winy.

– Chce się pan ustosunkować do wystąpienia pana Laniera, panie Brigance? – spytał sędzieja Atlee. Jako przedstawiciel pozwanego Jake miał dziesięć minut na ustosunkowanie się do tego, co powiedział Lanier, ale mądrze zrezygnował z tej okazji.

– Nie, Wysoki Sądzie. Uważam, że przysięgli usłyszeli już wszystko, czego potrzebowali.

– Bardzo dobrze. Panie i panowie, poświęcę kilka minut na pouczenie was o tym, co stanowi prawo i w jaki sposób odnosi się do rozpatrywanego przypadku, dlatego słuchajcie uważnie. Kiedy skończę, udacie się do swojego pokoju i rozpoczniecie rozważania. Jakies pytania?

△△△

Czekanie zawsze jest najgorsze. Kiedy przysięgli opuścili salę, z barków prawników spadł ogromny ciężar. Praca była zakończona, świadkowie przesłuchani, zmartwienia o mowę wstępną i końcową odpłynęły. Zaczynało się oczekiwanie i nie było sposobu przewidzenia, jak długo potrwa.

Jake zaprosił Wade'a Laniera i Lestera Chilcotta do swojej kancelarii na drinka. W końcu przecież rozprawa się zakończyła, był piątek po południu, tydzień dobiegł końca. Otworzyli piwo na balkonie na pierwszym piętrze i patrzyli na budynek sądu mający w oddali. Jake wskazał duże okno.

– To pokój przysięgłych – wyjaśnił. – Teraz tam obradują.

Po chwili zjawił się Lucien, jak zawsze gotów na drinka. Wiedział, że później zamienią słówko z Jakiem, ale nastrój chwili wymagał alkoholu.

– Opowiedz, co się wydarzyło w Juneau, Lucienie – powiedział ze śmiechem Wade.

Lucien wypił pół butelki i zaczął opowieść.

△△△

Kiedy wszyscy dostali swoje napoje, Nevin Dark uciszył małe zgromadzenie i oznajmił:

– Proponuję, żebyśmy zaczęli od arkusza werdyktu, który otrzymaliśmy od sędziego. Są jakieś sprzeczności?

Nikt się nie odezwał. Obrady ławy przysięgłych toczyły się bez żadnych reguł. Sędzia Atlee powiedział, że mogą sami zdecydować.

– W porządku – podjął Nevin. – Pierwsze pytanie: Czy dokument podpisany przez Seta Hubbarda jest pełnoprawnym własnoręcznie sporządzonym testamentem, to znaczy, po pierwsze, czy został w całości sporządzony przez Seta Hubbarda, po drugie, czy został przez niego podpisany i po trzecie, czy Seth Hubbard umieścił na nim datę? Jakies pytania?

– Nie ma co do tego żadnych wątpliwości – odparła Michele Still.

Pozostali przytaknęli. Zwolennicy obalenia testamentu nie twierdzili, że jest inaczej.

– Następnie mamy bardzo ważną kwestię zdolności testamentowej – ciągnął Nevin. – Pytanie o trzeźwy, jasny umysł. Pytanie brzmi: Czy Seth Hubbard rozumiał i właściwie oceniał naturę oraz konsekwencje swojego własnoręcznego testamentu? Ponieważ było to przedmiotem procesu, sugeruję, aby każdy po kolei powiedział, co myśli. Kto chce zacząć?

– Powiedz pierwszy – zaproponowała Fay Pollan. – Jesteś przysięgłym numer jeden.

– Zgoda, oto co myślę. Myślę, że złą rzeczą jest wydziedziczenie rodziny i przekazanie wszystkich pieniędzy obcej osobie, szczególnie komuś, kogo Seth znał zaledwie trzy lata. Z drugiej strony, jak powiedział na wstępie Jake, naszym zadaniem nie jest podjęcie decyzji o tym, kto powinien otrzymać pieniądze. Te miliony nie są nasze. Myślę również, że w ostatnich dniach życia Seth podupadł na zdrowiu i był odurzony środkami przeciwbólowymi, ale po wysłuchaniu Ancila nie mam wątpliwości, że wiedział, co robi. Planował to od dłuższego czasu. Dlatego głosuję za utrzymaniem testamentu. Tracy?

– Zgadzam się z tobą – odpowiedziała szybko Tracy McMillen. –

Niepokoji mnie sporo elementów tej sprawy, ale nie powinnam się nimi przejmować. Nagle musimy się zająć historią sprzed pół wieku. Nie sądzę, by ktokolwiek z nas powinien przy tym majstrować. Seth podjął decyzję, bo miał po temu bardzo ważne powody.

– Michele?

– Powiem wam, jak się czuję. Wołałabym, żeby nas tu nie było. Żeby Seth zostawił Lettie trochę pieniędzy, jeśli tego chciał, a później zatroszczył się o rodzinę, nawet jeśli jej nie lubił. Nie mogę powiedzieć, że go obwiniam. Nie obchodzi mnie, jacy są źli, ale nie powinni odejść z niczym.

– Fay?

Fay Pollan budziła najmniej sympatii wśród wszystkich obecnych w pokoju, może z wyjątkiem Franka Doleya.

– Nie przejmuję się, jak wy, losem rodziny – powiedziała. – Przypuszczalnie mają więcej forsy niż większość z nas. Są młodzi i wykształceni. Poradzą sobie. Nie pomogli Sethowi zarobić pieniędzy, więc czemu mieliby oczekiwać, że coś dostaną? Wydziedziczył ich z powodu lub powodów, których nigdy nie poznamy. Jego syn nie wiedział nawet, kto grał na środku pola w drużynie Bravesów. Boże, od lat kibicujemy Dale'owi Murphy'emu. Myślę, że zwyczajnie kłamał. W każdym razie jestem przekonana, że Seth nie był miłą osobą, ale, jak powiedział Jake, to nie nasza sprawa, komu postanowił przekazać pieniądze. Był chory, ale nie był wariatem.

△△△

Obrady trwały tyle, ile trzeba, aby wypić dwa piwa. Po drugim do kancelarii Jake'a zadzwonił woźny sądowy, mówiąc, że werdykt zapadł. Śmiechy w jednej chwili ustały. Prawnicy wsunęli do ust gumę do żucia i poprawili krawaty. Weszli razem na salę rozpraw i zajęli miejsca. Jake odwrócił się w kierunku sali i ujrzał, że Carla i Hanna siedzą w pierwszym rzędzie, tuż za jego plecami. Uśmiechnęły się, a Carla powiedziała bezgłośnie: „Powodzenia”.

– Wszystko w porządku? – szepnął Jake, pochylając się nad Lettie.

- Jestem spokojna – odparła. – A ty?
- Jestem kłębkim nerwów – odrzekł z uśmiechem.

Sędzia Atlee zajął miejsce i na salę wprowadzono przysięgłych. Nie jest możliwe, aby prawnik procesowy nie patrzył na przysięgłych, kiedy wracają z gotowym werdyktem, chociaż każdy zaklina się, że ich ignoruje. Jake patrzył na Michele Still, która usiadła jako pierwsza i posłała mu nieznaczny, szybki uśmiech. Nevin Dark wręczył kartkę z werdyktem woźnemu, a ten przekazał ją sędziemu. Wysoki Sąd studiował notatkę całą wieczność, a później przysunął się centymetr lub dwa do mikrofonu i upajając się dramatyzmem chwili, oznajmił:

– Werdykt przysięgłych wydaje się w porządku. Przysięgli mieli udzielić odpowiedzi na pięć pytań. Pytanie pierwsze: Czy Seth Hubbard sporządził ważny własnoręczny testament w dniu pierwszego października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku? Odpowiedzieli tak, stosunkiem dwunastu głosów do zera. Pytanie drugie: Czy Seth Hubbard rozumiał i zdawał sobie sprawę z natury i konsekwencji tego, co robi, gdy spisywał własnoręczny testament? Ponownie pozytywna odpowiedź, dwanaście do zera. Pytanie trzecie: Czy Seth Hubbard rozumiał i zdawał sobie sprawę z tego, kim są beneficjenci, którym przekazał zapisy w swym własnoręcznym testamencie? Ponownie odpowiedź twierdząca: dwanaście do zera. Pytanie czwarte: Czy Seth Hubbard rozumiał i zdawał sobie sprawę z natury i rozmiarów własnego majątku oraz tego, w jaki sposób chce nim rozporządzić? Ponownie odpowiedź twierdząca, dwanaście głosów do zera. I pytanie numer pięć: Czy Seth Hubbard pozostawał pod niedopuszczalnym wpływem Lettie Lang lub innej osoby, gdy spisywał swój własnoręczny testament pierwszego października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego? Dwunastu odpowiedziało przecząco.

Ramona westchnęła i zaczęła płakać. Herschel, który przeniósł się do drugiego rzędu, natychmiast wstał i wybiegł z sali. Zwycięzcy zaczęli się obejmować, a przegrani zrobili ponure miny. Wade Lanier elegancko przyjął porażkę i pogratulował Jake'owi doskonałej roboty. Zamienił uprzejme słówko z Lettie i życzył jej wszystkiego najlep-

szego.

Nawet jeśli Lettie była bliska zostania najbogatszą czarną kobietą w stanie, nie wyglądała na taką. Pragnęła po prostu wrócić do domu. Zignorowała reporterów i minęła sympatyków. Czowała się zmęczona poklepywaniem i przymilaniem.

Harry Rex z miejsca zorganizował przyjęcie i serwował zimne piwo i hot dogi z grilla na podwórku za swoim domem. Portia obiecała, że przyjdzie, kiedy zajmie się Lettie. Willie Traynor był zawsze gotów do wzięcia udziału w przyjęciu. Lucien przyrzekł, że niebawem się pojawi i być może przyprowadzi z sobą Sallie, co było rzadkim wydarzeniem. Zanim wyszli z sądu, Lucien już przypisał sobie zwycięstwo.

Jake miał ochotę go udusić.

Rozdział 48

Jak co roku kazanie, które usłyszeli w kościele, było poświęcone właściwemu zarządzaniu pieniędzmi. Jak co roku wierni wysłuchali też połajanki mającej skłonić ich do większej ofiarności, wezwać do wystąpienia i ofiarowania Panu należnej dziesięciny. Oczywiście z ochoczym sercem. Jake słyszał to setki razy i, jak zawsze, miał trudności z utrzymaniem dłuższego kontaktu wzrokowego z pastorem, bo jego myśli krążyły wokół znacznie ważniejszych spraw. Podziwiał kaznodzieję i co niedziela zabiegał usilnie o to, aby sprawiać wrażenie oczarowanego jego kazaniem, choć często nie było to możliwe.

Sędzia Atlee siedział trzy rzędy przed nim, na skraju ławki, w tym samym uświęconym miejscu, które objął w posiadanie co najmniej dziesięć lat temu. Jake wpatrywał się w jego potylicę, myśląc o procesie i wniesionej apelacji. Werdykt był zbyt świeży, więc apelacja napotka mur. Proces będzie się włókł w nieskończoność. Protokolant sądowy miał dziewięćdziesiąt dni na przepisanie setek stron stenogramów z rozprawy. Dziewięćdziesiąt z okładem, bo rzadko się zdarzało, żeby wykonał robotę na czas. Wnioski i podchody poprocesowe, które trwały w tym czasie, mogły się ciągnąć miesiącami. Kiedy sprawa zostanie w końcu zamknięta, przegrani będą mieli dziewięćdziesiąt dni na wniesienie apelacji, albo i więcej, jeśli zajdzie taka potrzeba. Kiedy Sąd Najwyższy i Jake otrzymają tekst apelacji, będzie miał kolejnych dziewięćdziesiąt dni na odpowiedź. Po upływie przewidzianych prawem terminów i dostarczeniu dokumentów sądowi rozpocznie się prawdziwe czekanie. Z typowymi opóźnie-

niami, zaległościami i odroczeniami. Prawnicy nauczyli się nie pytać, dlaczego musi to trwać tak długo. Przecież sąd starał się, jak mógł.

W Missisipi czas rozpatrzenia przeciętnej apelacji w sprawie cywilnej wynosił dwa lata. Przygotowując się do procesu Hubbarda, Jake natknął się na podobną sprawę w stanie Georgia, która wlokła się trzynaście lat. Toczono ją przed trzema ławami przysięgłych, wędrowała do Sądu Najwyższego i z powrotem, by w końcu zostać zamknięta, bo większość zainteresowanych umarła, a prawnicy zabrali wszystkie pieniądze. Jake nie martwił się o swoje honorarium, ale o Lettie.

Portia powiedziała, że jej matka przestała chodzić do kościoła. Słyszała zbyt wiele kazań o obowiązku płacenia dziesięciny.

Gdyby ufać zbiorowej mądrości Harry'ego Rexa i Luciena, werdykt uzyskany przez Jake'a był zagrożony. Dopuszczenie taśmy wideo z zeznaniem Ancila było błędem, który dało się naprawić. Zaskakujące powołanie na świadka Fritza Pickeringa nie było już tak jednoznacznym naruszeniem prawa, choć przypuszczalnie zirytuje sędziów Sądu Najwyższego. „Wysyp świadków” urządzony przez Wade'a Laniera dwa tygodnie przed rozprawą spotka się z surową naganą, ale sam w sobie nie spowoduje zwrotu sprawy. Nick Norton zgadzał się z nimi. Przypatrywał się rozprawie w piątek i był zaskoczony nagraniem wideo. Czuł się głęboko poruszony jego treścią, a jednocześnie zmartwiony włączeniem go do materiału dowodowego. W piątek czterej prawnicy razem z Williem Traynorem i innymi ekspertami debatowali i świętowali przy hot dogach oraz piwie do późnej nocy. Panie popijały wino nad basenem Harry'ego Rexa i rozmawiały z Portią.

Chociaż sprawa Hubbarda była dla Jake'a finansowym wybawieniem, marzył o tym, żeby przejść do innych spraw. Nie cieszyła go perspektywa uszczuplania majątku w nadchodzących latach o comiesięczne honorarium. Wiedział, że w pewnym momencie zacznie się czuć jak pijawka. Właśnie wygrał głośny proces i czekał na kolejny.

Tego ranka nikt w Pierwszym Kościele Prezbiteriańskim nie

wspomniał o procesie. Jake był za to wdzięczny. Po nabożeństwie wierni skupili się pod dwoma wielkimi dębami, wymieniając uprzejmości i krok po kroku przesuując się w kierunku parkingu. Sędzia Atlee przywitał się z Carlą i Hanną i pochwalił piękny dzień. Później ruszył ścieżką razem z Jakiem. Kiedy nikt nie mógł ich usłyszeć, oznajmił:

– Mógłbyś wpaść do mnie po południu, powiedzmy o siedemnastej? Chciałbym z tobą pomówić o pewnej sprawie.

– Oczywiście, panie sędzio – odrzekł Jake.

– Mógłbyś przyprowadzić z sobą Portię? Chętnie usłyszę jej zdanie.

– Tak sądzę.

△△△

Siedzieli przy stole w jadalni, pod skrzypiącym wiatrakiem, który nie chłodził skwarne, wilgotnego powietrza. Na dworze było znacznie chłodniej – na werandzie siedziałoby się o wiele przyjemniej – ale z jakiegoś powodu sędzia wybrał jadalnię. Poczęstował ich kawą i tanimi sklepowymi ciasteczkami. Jake napił się lurowatej kawy, a później jej już nie tknął.

Portia od razu odmówiła. Była podenerwowana i nie potrafiła opanować ciekawości. Znajdowała się w obcej części miasta. Jej matka widywała ładne domy, bo w nich sprzątała, ale nigdy nie odwiedzała ich w charakterze gościa.

Sędzia Atlee zajął miejsce u szczytu stołu. Jake usiadł z prawej, a Portia z lewej strony. Po kilku niezręcznych słowach tytułem wstępu Atlee oznajmił, jakby zasiadał w ławie sędziowskiej i miał przed sobą gromadkę zatrwożonych prawników:

– Chciałbym doprowadzić do ugody w tej sprawie. Jeśli uruchomimy apelację, przez dwa lata nie będzie można ruszyć pieniędzy. Zmarnujemy setki godzin. Przeciwnicy testamentu przedstawia mocne argumenty za tym, że werdykt powinien zostać unieważniony. Rozumiem ich racje. Dopuściłem zeznanie Ancila Hubbarda na taśmie wideo, bo w tamtej chwili było to uczciwe. Przysięgli i wszy-

scy pozostali powinni znać historię. Przeszłość nadała sens motywom Seta. Jednak druga strona będzie z całą mocą przekonywać, że popełniłem błąd proceduralny. Z egoistycznego punktu widzenia wolałbym, żeby nie unieważniono procesu, ale moje uczucia się tu nie liczą.

Do licha, masz rację, pomyślał Jake i spojrzał na Portię, która wpatrywała się w stół jak skamieniała.

– Przypuśćmy przez chwilę, że sprawa powróci do ponownego rozpatrzenia. Następnym razem nie będziesz zaskoczony zeznaniem Pickeringa i przygotujesz się na spotkanie z Juliną Kidd. Co ważniejsze, będziesz miał Ancila w charakterze zainteresowanej strony i żyjącego świadka. Jeśli nadal będzie przebywać w więzieniu, będziesz miał czas, aby odebrać właściwe zeznanie pod przysięgą. W każdym razie podczas ponownego procesu będziesz miał znacznie mocniejszą pozycję. Zgadzasz się ze mną, Jake?

– Tak, oczywiście.

– Wygrasz, bo tak powinno być. Właśnie dlatego dopuściłem taśmę z zeznaniem Ancila. Było to rzeczą słuszną i sprawiedliwą. Rozumiesz, co powiedziałem, Portio?

– Och! Tak, panie sędzio.

– W jaki sposób mielibyśmy doprowadzić do ugody, uniknąć apelacji i zająć się innymi sprawami? – spytał Jake, choć znał odpowiedź i nie potrzebował pouczenia w tej sprawie.

– Od piątku wieczór nie myślę o niczym innym – ciągnął sędzia. – Testament Seta był rozpaczliwą, podjętą w ostatniej chwili próbą naprawienia potwornej niesprawiedliwości. Zostawiając tyle pieniędzy twojej matce, próbował zrekompensować krzywdę wyrządzoną twojemu dziadkowi i wszystkim Rindsom. Zgadza się?

Zgódź się, Portio, zgódź się, do cholery. Jake był tego świadkiem setki razy. Kiedy sędzia pyta „Zgadzasz się?”, już założył, że się mu entuzjastycznie przytaknie.

– Tak, proszę pana – odpowiedziała.

Wypił łyk kawy. Jake zastanawiał się, czy sędzia Atlee każdego ranka pija tę lurę.

– Zastanawiam się, czego naprawdę pragnie twoja matka. Bardzo by nam pomogło, gdybyśmy to wiedzieli. Jestem pewien, że ci powiedziała. Możesz podzielić się z nami swoją wiedzą?

– Oczywiście, panie sędzio. Moja mama nie chce wiele. Ma wątpliwości, czy powinna dostać wszystkie pieniądze. Tak naprawdę do nas nie należą. Mama chciałaby odzyskać ziemię, trzydzieści hektarów, i zbudować na niej dom. Ładny dom, nie rezydencję. Widziała ładne domy, ale nigdy nie miała własnego. Teraz, pierwszy raz w życiu, może pomyśleć o posiadaniu pięknego domu. Domu, w którym będzie mogła sprzątać dla siebie. Chce mieć dużo miejsca dla dzieci i wnuków. Nie wyjdzie ponownie za mąż, chociaż paru zgre-dów zaczęło wokół niej krążyć. Chce się wyprowadzić i zamieszkać na wsi, gdzie jest spokój i nikt nie będzie jej nachodzić. Nie przyszła dziś do kościoła, panie sędzio. Nie była tam od miesiąca. Wszyscy wyciągają do niej ręce po pieniądze. Moja matka chce, żeby zostawić ją w spokoju.

– Z pewnością chce więcej niż tylko domu i trzydziestu hektarów – powiedział Jake.

– Cóż, kto nie chciałby mieć przyzwoitej sumki w banku? Mama zmęczyła się sprzątaniami.

– O jakich pieniądzach mówimy? – zapytał sędzia Atlee.

– Nie zaszłyśmy tak daleko. W ciągu ostatniego pół roku mama nie miała okazji, żeby usiąść i pomyśleć: „W porządku, wezmę pięć milionów i dam każdemu z dzieci po milionie”. To nie w jej stylu, rozumie pan? Mama nie myśli w takich kategoriach. To ją po prostu przerasta. – Portia przerwała na chwilę, a później zapytała: – Jak chciałby pan podzielić pieniądze, panie sędzio?

– Cieszę się, że o to zapytałaś. Oto mój plan. Większa część pieniędzy powinna trafić do funduszu dla waszych krewnych. Żadnego szastania gotówką, bo mogłoby to doprowadzić do zerowania. Powinny trafić na konto funduszu i zostać przeznaczone wyłącznie na wykształcenie dzieci. Nie wiem, ilu Rindsów mieszka w okolicy, ale jestem pewny, że zdołamy to szybko ustalić. Fundusz powierniczy będzie ściśle kontrolowany przez zarząd, a ten będzie odpowiadał

przede mną. Pieniądze zostaną mądrze zainwestowane i rozdzielone, powiedzmy w okresie dwudziestu lat. W tym czasie zostaną użyte do tego, aby pomóc jak największej liczbie studentów. Powinny zostać przeznaczone na jeden cel, a edukacja jest najlepsza. Jeśli nie zawężymy celu, napłyną tysiące próśb, od pokrycia kosztów leczenia po zwrot kosztu zakupów, wydatki mieszkaniowe i nowe samochody. Pieniądze nieprzydzielane obligatoryjnie, trzeba będzie na nie zapracować. Krewni, którzy będą się uczyć i zostaną przyjęci do college'u, zyskają prawo do skorzystania ze środków zgromadzonych na koncie funduszu.

– Jak chciałby pan podzielić pieniądze? – spytał Jake, a Portia uśmiechnęła się do sędziego.

– Z grubsza mówiąc, przyjmijmy, że mamy do dyspozycji kwotę dwunastu milionów. Wiemy, że ta kwota cały czas się zmienia, ale będzie coś koło tego. Fundusz przekaże Ancilowi i Kościółowi po pół miliona dolarów. Zostanie jedenaście. Proponuję ulokować pięć milionów w funduszu powierniczym, który przed chwilą opisałem. To dużo pieniędzy na naukę, ale możemy się spodziewać zgłoszeń wielu krewnych. Starych i nowych.

– Ciągłe pojawiają się nowi – powiedziała Portia.

– Zostałoby zatem sześć milionów – ciągnął sędzia Atlee. – Proponuję podzielić je równo między Lettie, Herschela i Ramonę. Oczywiście Lettie otrzyma trzydzieści hektarów, które należały do jej dziadka.

Jake wziął głęboki oddech, bo liczby zafurczały mu w głowie.

Spojrzał przez stół na Portię i stwierdził:

– Decydujący głos ma Lettie, Portio.

– Mama to zaakceptuje – odrzekła Portia, nie przestając się uśmiechać. – Będzie miała ładny dom i przyzwoite zabezpieczenie, a jednocześnie nie będzie nachodzona, bo nie dostanie fortuny, z której każdy zechce uszczknąć coś dla siebie. Ostatniej nocy powiedziała mi, że pieniądze należą się całej rodzinie Sylvestra, a nie tylko jej. Chce być szczęśliwa i mieć święty spokój. Myślę, że to rozwiązanie ją ucieszy.

- Jak pan sprzeda ten pomysł pozostałym? – spytał Jake.
- Myślę, że Herschel i Ramona będą zadowoleni. Nie wiem, jak będzie z Ancilem i Kościołem. Pamiętaj, Jake, że nadal sprawuję pieczę nad majątkiem i będę ją sprawował tak długo, jak zechcę. Bez mojej zgody nie zostanie wypłacony złamany grosz. Dodam, że nie ma żadnej granicy czasowej na zamknięcie sprawy. Jestem pewny, że nikt nie nazywa mnie dupkiem za plecami, ale gdybym zechciał nim być, mógłbym siedzieć na pieniądzach Setha następnych dziesięć lat. Pod warunkiem że majątek będzie chroniony. Mogę przykręcić im śrubę tak mocno, jak zechcę.

Atlee zaczął przemawiać tonem sędziego, nie pozostawiając cienia wątpliwości, że on, Reuben V. Atlee, postawi na swoim.

- Może się okazać, że kwestię majątku trzeba będzie pozostawić otwartą w nieograniczonej perspektywie czasowej, żeby zarządzać funduszem edukacyjnym, o którym mówimy.

- Kto będzie nim zarządzał? – zapytał Jake.

- Myślałem o tobie.

Jake się skrzywił, a później niemal wziął nogi za pas na myśl, że musiałby się handryczyć z setkami prymusów zabiegających o pieniądze.

- To świetny pomysł, panie sędzio – przytaknęła Portia. – Moja rodzina będzie czuła się lepiej, jeśli Jake pozostanie zaangażowany w tę sprawę i będzie miał oko na pieniądze.

- Później dopracujemy szczegóły – odrzekł szybko Jake.

- Umowa stoi? – zapytał sędzia.

- Nie jestem stroną – odparł Jake. – Proszę na mnie nie patrzeć.

- Jestem pewna, że Lettie zaaprobuje tę propozycję, ale muszę z nią porozmawiać – powiedziała Portia.

- Świetnie. Porozmawiaj z nią i odezwij się jutro. Przygotuj memorandum i prześlę wszystkim prawnikom. Jake, sugeruję, żebyś spotkał się z Ancilem w tym tygodniu i uzyskał odpowiedź na kilka pytań. Za dziesięć dni od dziś wyznaczę spotkanie ze wszystkimi zainteresowanymi stronami. Zamkniemy drzwi i dojdziemy do ugody. Chcę do tego doprowadzić, rozumiecie?

Rozumieli go aż za dobrze.

△△△

Miesiąc po wydaniu rozstrzygnięcia Ancil Hubbard siedział w fotelu pasażera starego porsche Luciena, oglądając przez okno łagodne wzgórza okręgu Ford. Krainę, z której nie zachował żadnych wspomnień. Spędził w tych stronach pierwszych trzynastu lat życia, ale przez następnych pięćdziesiąt robił wszystko, co mógł, żeby o nich zapomnieć. Niczego sobie nie przypominał.

Został zwolniony za kaucją wynegocjowaną przez Jake'a i innych, a później skłoniony do przyjazdu na Południe przez swojego kumpla Luciena. Miał złożyć tylko jedną, ostatnią wizytę. Jego wygląd mógłby zaskoczyć. Rzadkie siwe włosy odrosły, częściowo zasłaniając brzydką bliznę na potylicy. Miał na sobie dzinsy i sandały, tak samo jak Lucien.

Skęcili w wiejską drogę i podjechali do domu Setha. Przed domem widniała tabliczka: „Na sprzedaż”.

- Tutaj mieszkał Seth – wyjaśnił Lucien. – Chcesz się zatrzymać?
- Nie.

Skęcili w zwirową drogę i wjechali w las.

- Poznajesz coś? spytał Lucien.
- Nie.

Po chwili las się przerzedził i dotarli na polanę. Ujrzeni chaotycznie zaparkowane samochody i krążących wokół ludzi. Było wśród nich kilkoro dzieci. Z grilla unosił się dym.

Kawałek dalej znajdowały się ruiny zarośnięte kudzu. Ancil podniósł rękę i powiedział:

- Zatrzymaj się. Tutaj.

Wysiedli. Jacyś ludzie podeszli, żeby się przywitać, ale Ancil ich nie zauważył. Spoglądał w drugą stronę, gdzieś daleko. Później ruszył do platana, na którym znaleźli ciało jego brata. Inni ruszyli za nim w milczeniu. Niektórzy zostali w tyle. Z Lucieniem drepczącym tuż za nim, Ancil pokonał sto metrów, a później stanął i rozejrzał się. Wskazał małe wzgórze porośnięte dębami i wiązami i powiedział:

– Byliśmy tam. Seth i ja. Ukryliśmy się między drzewami. Wtedy wydawało się to dalej. Przeprowadzili go tutaj, pod to drzewo. Wtedy rosło tu więcej drzew. Cały rząd. Pięć lub sześć, w idealnej linii, wzdłuż strumienia. Teraz zostało tylko jedno.

– W sześćdziesiątym ósmym przeszło tędy tornado – bąknął stojący za jego plecami Lucien.

– Tutaj znaleźliśmy Seta – powiedział Ozzie, który zatrzymał się obok Luciena.

– To jest to samo drzewo? – zapytał Jake i stanął obok Ozziego.

Ancil usłyszał głosy i spojrzał na ich twarze niewidzącym wzrokiem. Był oszołomiony, jakby znajdował się w innym miejscu i czasie.

– Nie mogę powiedzieć na pewno, ale tak sędzę. Wszystkie drzewa miały identyczną wysokość, stały w równym rzędzie – stwierdził, ponownie wskazując ręką. Westchnął ciężko i skrzywił się nieznacznie, a później zamknął oczy i pokręcił głową. – To było potworne – wyszeptał, kiedy otworzył je ponownie.

– Ancilu, jest tu wnuczka Sylvestra. Chciałbyś ją poznać?

Złapał głęboki oddech, wracając do rzeczywistości. Odwrócił się gwałtownie i powiedział:

– Z ogromną radością.

Lettie podeszła do niego i wyciągnęła rękę. Ancil ją zignorował. Zamiast tego ujął ją delikatnie za ramiona i mocno uściskał.

– Tak mi przykro – powiedział. – Tak bardzo mi przykro.

Po kilku sekundach uwolniła się z jego rąk i odparła:

– Wystarczy, Ancilu. Przeszłość należy do przeszłości. Uznajmy sprawę za zamkniętą. Chcę, żebyś poznał moje dzieci i wnuki.

– Będę zaszczycony. – Potem przedstawiono mu Portię, Carlę, Ozziego, Harry'ego Rexa i resztę rodziny Lettie. A później po raz pierwszy ujrzał swojego bratanka, Herschela Hubbarda. Od razu zaczęli rozmawiać, oddalając się od drzewa i zmierzając na piknik.